

noa/n  
D-752

ALEKSANDER DOWZENKO

# ZACZAROWANA DESTINA



Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza

ZACZAROWANA  
DESNA



ALEKSANDER DOWZENKO

ZACZAROWANA  
DESNA

i inne

opowieści

filmowe

przełożył

z ukraińskiego

STANISŁAW EDWARD BURY

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza  
Warszawa 1976



Tytuł oryginału: Twory w p'jaty tomach  
Dnipro • Kijów 1964

Okładkę i kartę tytułową projektował  
Cyprian Kościelniak

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza  
Warszawa 1976

# ALEKSANDER DOWŻENKO

O Aleksandrze Dowżence (1894—1956) można bez większego ryzyka powiedzieć, iż był humanistą w renesansowym znaczeniu tego słowa. Ale tylko dzięki swoim filmom wspiał się na piedestał sławy; stanowił w dziejach kina radzieckiego i światowego bezsporną wielkość. Wielkość, którą wyznaczali za rzeczywisty postęp w sztuce — postęp, traktowany jako sumowanie świadomości ludzkiej i kulturowej, jako atakowanie lub przekraczanie bariery cywilizacyjnej — tacy teoretycy i historycy kina, jak Georges Sadoul, Lewis Jacobs, Ivor Montagu, John Howard Lawson, Lay Leyda i in.

Zresztą już sama decyzja podjęcia pracy w filmie jak i osiągnięty w krótkim czasie sukces artystyczny wskazują, że twórca „Ziemi” był prawdziwym dzieckiem kina. Jest w tym coś wyjątkowego i fascynującego zarazem. Oto po krótkotrwałej karierze nauczycielskiej, dyplomatycznej, dziennikarskiej, po znamienym „całonocnym rekonesansie” swego życia w czerwcu 1926 roku, kiedy to postanowił zerwać ostatecznie z malarstwem (do którego sposobił się na studiach w Berlinie), decydując się na podjęcie pracy w filmie. Minęło niepełne trzy lata, a już w roku 1928 Leon Moussinac stawia Dowżenkę obok takich

twórców, jak Eisenstein, Pudowkin, którzy narzucili kino radzieckie widowniom świata. Aczkolwiek reżyser miał wówczas na swoim koncie kilka filmów, ale tylko „Zwennyhora” (1927) i „Arsenał” (1928) zdradzały wielką indywidualność filmową i talent artysty. Właśnie począwszy od tych dwu filmów, a przede wszystkim od głośnej „Ziemii” (1930) oraz „Iwana” (1932) do „Poematu o morzu” (tego obrazu, jak też „Opowieści płomiennych lat” i innych, twórca nie zdążył już zrealizować; dzieła tego dokonała z całym pietyzmem dla swego mistrza Julia Sołncewa), Dowżenko bywa stale wymieniany wśród prominentów ówczesnego kina. Niekiedy nawet traktowano go jako czołowego twórcę i reformatora, od którego uczono się sztuki filmowej, podobnie jak wszyscy w Europie uczyli się malować od Picassa, a pisać od Hemingwaya.

Niewątpliwie było coś wyjątkowego w tym człowieku i jego dziele, skoro koneserzy kina podkreślali, że w swoich obrazach Dowżenko ujawnia nieomylny instynkt filmowy i wirtuozerię stylistyczną, mimo że emocje zastępują tu niejednokrotnie argumentację, odczucia intuicyjną filozofię. Niemniej jednak rzucają się w oczy owe wprost nieograniczone możliwości stylistyczne artysty, który od komedii, ballady, elegii, opowieści sięga jak gdyby po epopeję. Wszędzie zdradza zadziwiające wycucie stylu, rzadki słuch współczesności, pietyzm dla wielkich tradycji narodu oraz wartości i klimatów nonszalancko odrzucanych lub w ferworze walki starego z nowym niesłusznie postponowanych.

Z tego też względu Dowżenko napotykał w swojej pracy liczne trudności i przeszkody natury pozaartystycznej, o których z wielkim żalem i szczerością wspomina w swojej „Autobiografii”, a przede wszystkim w „Dzienniku”. Wszak przez 30 lat pracy w kinematografii Dowżenko zreali-

zował zaledwie 8 filmów fabularnych. To niepokoiło go najbardziej, nie dziw więc, iż na dwa lata przed śmiercią zanotował: „Napisałem niewiele scenariuszy i zrealizowałem niewiele filmów. Skutkiem różnych i bardzo złożonych przyczyn zrobiłem mniej niż mógłbym zrobić, zwłaszcza w ciągu ostatnich piętnastu lat. Ale wszystkie swoje filmy robiłem szczerze, z gorącą miłością. One były głównym celem mojego życia”.

Ale nie jedynym. Już bowiem w roku 1941 w liście do żony, Julii Sołncewej, wyznaje, że film go zniechęca, że chce pisać. Przede wszystkim o tym, co przeżywa na froncie, a więc „o cierpieniach, bohaterstwie i tragedii swego narodu”. Natomiast już po zakończeniu wojny, w listopadzie 1945 roku notuje w „Dzienniku”, że „teraz głównym celem mego życia nie jest kinematografia. Nie mam dla niej fizycznych sił. Stworzyłem żałośnie mało filmów, zresztą nie ze swojej winy, zatracając na nie swoje najlepsze lata. Stałem się ofiarą barbarzyńskich warunków pracy, ubóstwa i biurokratycznej nikczemności (...) Zwracam więc swój duchowy wzrok nie ku taśmie filmowej. Chciałbym umrzeć dopiero wówczas, kiedy napiszę chociaż jedną książkę o ukraińskim narodzie. Kiedy zakreśliam granice tej książki, to przed moimi oczami jawi się Donkiszot, Colas Breugnon, Till Eulenspiegel, Mułła Nasreddin, Szwejk. Myślę o tym już pięć lat, szukając odpowiedniej formy. I wydaje mi się, że ją znajduję. Tak bardzo pragnę napisać tę książkę; chcę, by czytano ją jak książkę do nabożeństwa, aby przynosiła ludziom uciechę, odpoczynek, dobrą radę i pomagała zrozumieć życie”.

Chyba takiej książki Dowżenko jednak nie zdążył napisać. Jakkolwiek „Zaczarowana Desna” jest niewątpliwie literackim arcydziełem, jednym z największych artystycznych osiągnięć literatury ukraińskiej czasów najnowszych, ale książ-

ką, jaką tu widział artysta oczami swojej wyobraźni, ona raczej nie jest. Jest po prostu inna, dająca przecież znakomite świadectwo o nieograniczonych wprost możliwościach pisarskich jej autora. Jest rzeczą bardzo pasjonującą obserwować w „Zaczarowanej Deśnie” technologię pracy literackiej Dowżenki — kompozycję, styl, język, zdolność portretowania, plastyczność itd. Lecz wszystkie cechy formalne jego pisarstwa podporządkowane są tu głównym cechom jego osobowości twórczej, jako myśliciela, jako człowieka pełnego troski o życie społeczeństwa i jego przemianę, świadectwo o ludziach swoich czasów oraz ich problemach.

Charakterystyczne jest, że tych właściwości nie pozbawione są także filmowe scenariusze Dowżenki, których wartości literackie dostrzeżono głównie dzięki „Zaczarowanej Deśnie” już po śmierci pisarza. Właśnie te scenariusze, pisane z dużą kulturą artystyczną, pełne inwencji i pasji pisarskiej, są jednocześnie znakomitymi utworami literackimi, w których twórca stara się określić swój stosunek do świata, do zachodzących procesów i zjawisk miarą własnych uczuć i sądów. Być może nader często pojawia się tu pewien ton profetyczny, trzeba jednak pamiętać, iż Dowżenkę — jak i całą inteligencję radziecką — „uskrzydłał historyczny wiatr” rewolucji 1917 roku i wizja socjalizmu. A także wizja sztuki jako organizatora ludzkiego świata.

Właśnie „Arsenał” jest jedną z propozycji realizującą rewolucyjne postulaty nowej epoki. Epoki, w której gwałtownie się przyśpieszyły procesy rozpadu starych struktur społecznych i politycznych, procesy emancypacji ciemniejących klas i zbiorowości. Wszelako ukazana w „Arsenale” autentyczna historia stłumionego przez Petlurę powstania robotników kijowskiego arsenału nie jest tylko — jak to się na pozór wydaje — pi-

sarską repliką na aktualne wydarzenia polityczne, lecz jest również pretekstem do szerszych rozmyślań nad historią, jej powikłaniami i przeciwnościami, wyrażającymi się zarówno w konflikcie idei, jak i w bezpośrednim zbrojnym starciu, nie wyłączając walk bratobójczych. Te zaś, począwszy od „Zwenyhory”, będą natarczywie przewijać się w „Arsenale” oraz w innych utworach łącznie z „Ziemią”.

Z potrzeby autentycznego wniknięcia w te wielkie problemy i konflikty współczesności bierze się zainteresowanie Dowżenki owymi zderzeniami nowego ze starym, racji politycznych z etycznymi, postaw jednostki i zbiorowości ich świadomości moralnej, zderzeniami, które pragnie uczynić nowym doświadczeniem wzbogacającym historię, a także wiedzę o człowieku i o społeczeństwie na nowym etapie jego rozwoju. Pragnie pobudzić naszą wyobraźnię, aby w burze, jakie ludźmi teraz miotają, wprowadzić jakiś ład, ufność w życie oraz jego urodę.

Tę urodę życia ukazał pisarz szczególnie plastycznie i po mistrzowsku w „Ziemi”. Nawet, a może przede wszystkim, przez piękno i sens umierania. Nie tak chyba śmierci Wasyla Trubenki, który padł od bratobójczej kuli wroga kolektywizacji podczas żywiołowego tańca, pełnego radości i witalności, będącego zarazem jego tańcem śmierci; ile raczej umierania owego majestatycznego jak Bóg starca, który w otoczeniu bujnej i pięknej przyrody, jej nader obfitych płodów, pomnażanych przezeń w ciągu jego pracowitego i uczciwego życia, odchodzi z uśmiechem na „łono Abrahama”. A zraszający ziemię, życiodajny deszcz symbolizuje zarówno łyzy smutku, jak i radości, zwiastując cykliczne odradzanie się przyrody i związanego z nią ludzkiego życia, co potwierdzają nowe narodziny dziecka.

W swojej warstwie myślowej „Ziemia” jest

właśnie rodzajem traktatu filozoficznego na temat pojmowania podstawowych spraw ludzkich: narodzin i śmierci, miłości i nienawiści, związku człowieka z ziemią, z rytmem życia całej przyrody. Ziemia — Człowiek — Przyroda to słynna Dowżenkowska triada, która będzie natarczywie wracać w następnych jego utworach, łącznie z „Poematem o morzu” i „Opowieścią płomiennych lat”, narzucając naszej wyobraźni — niekiedy zbyt werbalnie i naiwnie, jak np. w „Poemacie o morzu” — przesłanki myślowe, którymi posługuje się pisarz w swoim mocowaniu się z tymi problemami.

Natomiast w „Zaczarowanej Deśnie” ogląda je i analizuje już jako sędziwy olimpijczyk, który opanował świat swoich wrażeń, myśli i wyobrażeń, scalił go w sobie, zintegrował z własną biografią duchową, zdając sobie doskonale sprawę, że pisarz musi mieć koncepcję całości, objąć ją jednym spojrzeniem, gdyż tylko tak można w określony sposób modyfikować stosunek jednostki do społeczeństwa, społeczeństwa zaś do problemów i wartości uniwersalnych, wyrażających się najpełniej w owej triadzie, to jest w jedności człowieka z ziemią i przyrodą. Ale dążąc do ujawnienia sensu tej jedności, Dowżenko jest również przekonany, że dzięki temu potrafi najpełniej zrozumieć świat. Poddając go zewnętrznemu i wewnętrznemu oglądowi nie zauważa wcale, że widzi świat głównie w tych wymiarach i aspektach, w jakich z kolei ten oddziałuje na patrzącego, warunkując jego życie i sztukę. Aczkolwiek autor jest świadom, iż sumę pisarskich, więcej — ludzkich doświadczeń stanowi nie tylko to, co człowiek sam przeżył, lecz w równym stopniu to, co wyobrażał, co przeczuwał, czego się bał, co słyszał. W tejsze „Zaczarowanej Deśnie”, po retrospektywnym opisie niebywalej powodzi oraz spustoszeń wojennych i martyrologii narodu, narrator,

alter ego pisarza, nie mogąc stłumić swojej rozpaczyny powtarza jak gdyby podświadomie „boli mnie, boli!” A dalej czytamy:

— Czego krzyczysz? — skarcono mnie. — Co cię przywiodło do tego w takich wielkich czasach? Ból, strach?

— Cierpienie. Wybaczcie, jestem artystą i moja wyobraźnia była zawsze moją radością i moim przekleństwem. I oto nagle zdradziła mnie. Kiedy patrzyłem na to nieszczęście, przez chwilę wydawało mi się, że ginie nie moja wieś, lecz cały naród. Czy może być coś straszniejszego na świecie?!

Oto znakomity przykład, jak pisarstwo Dowżenki wyraża wielostronną różnorodność ludzkich potrzeb i uczuć, jak łączy udatnie wielkie sprawy filozoficzne i artystowskie z historiozoficznym zatroskaniem o losy swego narodu. Traktowanie własnej ukraińskości nie poprzez impoderabilia, a zwłaszcza nie te, co jednakowo rozczulają, jak usypiają, nie jako coś, nad czym trzeba odprawiać msze żałobne, lecz jako coś, co można przeżywać, nad czym trzeba dyskutować, z czym się można ujawnić i uzewnętrznić, satysfakcjonując siebie i bliźnich. Wszak zarówno naród — wedle Dowżenki — jak i człowiek, który się nie uzewnętrznia, traci swoje życie wewnętrzne, swoje życie duchowe, które zamiera. Natomiast świat zewnętrzny w swym istnieniu i głównych przejawach jest nie tylko formą oraz instrumentem wyrażającym i przekształcającym człowieka, lecz jest też jego dziełem, czemu pisarz dał wyraz w „Poemacie o morzu”. Te relacje, wprzegające człowieka w kierat porządku przyrody jako konieczność, oraz kontynuacja porządku naturalnego i społecznego sprawiają, że on musi się uzewnętrznić, gdyż to uzewnętrznienie jest jego celem bądź staje się obsesją.

Stąd u Dowżenki owa eksplozja ukraińskości, jej niesłychana witalność, manifestująca się w



opisach przepięknej przyrody i jej bogactwie, rozległości horyzontów oraz feerii krajobrazu i barw, bądź rozbrzmiewająca w rzewnych pieśniach obrzędowych, bohaterskich dumach historycznych i homeryckim śmiechu rycerskich Kozaków z epoki Tarasa Bulby, bądź też w pełnych symboliki postaciach bohaterów. Wystarczy wspomnieć dla przykładu słynnego Tymisza z „Arsenału”, który mimo wystrzelonej doń serii karabinowej zostaje żywy, stając się symbolem witalności i siły ukraińskiego proletariatu. Albo postać starca, który jawi się bądź to jako romantyczny obraz symbolizujący bohaterską przeszłość Ukraińców, przypominający np. Wernyhore („Zwenyhora”), bądź to jako majestatyczny i „podobny do Boga” — jak go określa w „Zaczarowanej Deśnie” — lubiący „siać i sadzić, aby rosło” i uosabiający owego biblijnego Siewcę, lecz różniącego się odeń tylko tym, że mógłby zasiać i „obkosić całą kulę ziemską”, aby tylko „był dobry chleb i kasza”.

To olśnienie Dowżenki fenomenem życia wywołuje w nim niepowtarzalny nastrój, zawierający niezwykle skarby: wiarę w dobro, tęsknotę za czymś, co można by określić jako „ład serca”. Stąd ta rzucająca się w oczy franciszkańska wprost naiwność i prostota, aprobaty codzienności, która dzięki osobowości twórcy nadaje sprawom na pozór błahym wymiar głębszy, dostarczając czytelnikowi prawdziwie pięknych wzruszeń. Oto dla przykładu sceny z „Poematu o morzu”: Sawa Zarudny zwołuje do wsi wszystkich jej byłych mieszkańców, z których pewna część rozsiadana jest po różnych zakątkach kraju, piastuje różne tytuły, stanowiska i godności. Ponieważ wieś ma być zalana wodą, więc niektórzy przyjeżdżają jak gdyby na stypę, inni z sentymentu, dla jeszcze innych jest to fakt banalny, niegodny ich fatygi. I właśnie ten „banalny” fakt pisarz podniósł do rangi wielkiego problemu, a mianowicie: dlaczego

tak się dzieje, że u wielu byłych mieszkańców więzy z ziemią ojców zostały tak lekko zerwane? Wszak utrata ojcowskiej chaty jest jednocześnie utratą rodzinnego gruntu, rodzimej tradycji, kultury, a więc i ojczyzny. Nie przypadkiem tedy w jednym z fragmentów „Ukrainy w ogniu” okupant niemiecki będzie próbował uzasadnić swoją wyższość oraz prawo do podboju i rządzenia Ukrainą między innymi tym, że jej mieszkańcy nie mają państwowego instynktu, poczucia wspólnoty interesów, wielkich ideałów i nie znają własnej historii, bo się jej nie uczą.

Jako wielką replikę, namiętą antytezę do poruszonej tu przez pisarza kwestii należy uznać także jego „Opowieść płomiennych lat” (1944—1945), charakteryzującą się pasją w tropieniu brzmień patriotycznych oraz dającą werystyczne świadectwo przeżytych cierpień i okupacyjnej martyrologii narodu ukraińskiego. W utworze nacisk położony został na autentyzm faktów, te zaś zdają się przekonywać, iż zwycięstwo może nastąpić wtedy, kiedy śmiertelnej kuli można przeciwstawić patriotyzm oraz bohaterstwo i solidarność żołnierzy, a nie ilość armat i czołgów. Faszyzm uwikłał ludzi w sytuacje odrażające, zagroził tym wartościom, które w wielkim mozole zdobyły narody i społeczeństwo radzieckie. Nie dziw więc, iż ukazując obraz walk tamtych lat i podejmując jej moralne i psychologiczne aspekty Dowżenko ukazuje swoich bohaterów w sytuacjach, w których — zdawałoby się — człowiek i naród nie byli w stanie przeżyć, owo zaś przysłowiowe dantejskie piekło byłoby istnym rajem. Predylekcja pisarza do swoistej romantyzacji bohaterów i wydarzeń określają szczególną aurę oraz emocjonalną barwę i tonację tej płomiennej opowieści. Nie tylko zresztą „Opowieści płomiennych lat”, lecz wszystkich innych utworów Dowżenki, z „Ziemią” i „Zaczarowaną Desną” na czele, stanowiąc

charakterystyczną, immanentną cechą jego pisarstwa. Może niekiedy drażniąca nadmierną hiperbolizacją lub powierzchownym patetyzmem, przeto obdarzona witalizmem, rabelaisowską swadą oraz wewnętrzną spójnością i konsekwencją. Konsekwencją łączącą i konstrukcją, i metaforę, i sferę problemów, które dają się podporządkować określonym źródłom i mitom. Stąd ta skłonność pisarza do wyrażania się za pośrednictwem wieloznacznych parabol, figur i symboli, najczęściej rodem z ukraińskich mitów narodowych, które wpłynęły w decydującej mierze na styl Dowżenki, określane jako specyficznie ukraiński.

Polegał też ten styl na przejęciu i kontynuowaniu tych wartości piśmiennictwa ukraińskiego oraz nawiązywaniu do tych formacji kulturowych, bez których narodowa osobowość Ukraińców byłaby nie do pomyślenia. Wszak to one budzą tęsknotę do spraw nadających istnienie jednostkowemu i zbiorowemu znaczenie i wartość; bez odniesienia do nich trudno mówić o autentycznym dążeniu do znalezienia kierunków przemian zachodzących w strukturze społeczeństwa socjalistycznego lub ujawnianiu prawd rzeczywistych świata współczesnego, zbudowanego z rzeczy rozciągniętych, acz namacalnych, opartego na pojęciach weryfikujących się również i poprzez świadomą swoich celów literaturę.

*Stefan Kozak*

# AUTOBIOGRAFIA

Urodziłem się 30 sierpnia 1894 roku w pobliżu małego miasteczka powiatowego Sośnicy na Czernihowszczyźnie, które nosiło wówczas nazwę Wiu-nyszczę, w rodzinie chłopca Petra Semenowicza Dowżenki, wywodzącej się z kozackiego stanu. Mieliliśmy siedem lub siedem i pół dziesięcin ziemi. Gleba była mało urodzajna, żeby więc utrzymać gospodarstwo, ojciec dorabiał furmanką i smolarstwem.

Rodzice byli niepiśmienni, podobnie jak babka i prababka. Piśmienny był natomiast dziadek, któremu ojciec nie mógł darować swego analfabetyzmu. Z czternaściorga dzieci pozostało tylko dwoje: ja i siostra (dziś lekarz). Reszta pomarła w różnym wieku, nie osiągnąwszy dojrzałości. I kiedy wspominam swoje dzieciństwo i dom rodzinny, zawsze kojarzą mi się z płaczem i z pogrzebem. Pierwszy telegram, jaki przyszedł do nas, zawiadamiał o śmierci mego brata, tragarza z Rostowa. Jeszcze do dziś nie mogę patrzeć na pogrzeby, a przecież przewijają się we wszystkich moich scenariuszach i filmach.

W każdym z moich filmów jest jakaś rozłąka. Bohaterowie żegnają się, pędząc gdzieś naprzód na spotkanie innego życia, nieznanego, ale wabiącego ich nadzieją na lepsze. Żegnają się pospiesz-

nie i byle jak i oderwawszy się od bliskich, nie odwracają się, by nie ranić serca, płaczą zaś ci, co zostają. Jak moja matka. Narodzona dla pieśni — przepłakała całe swoje życie, odprowadzając na zawsze. Sprawy życia i śmierci mocno wkorzeniły się więc w moją wyobraźnię i trwały stale, przenikając w różnych wariantach moją twórczość.

Postać mojej matki przesłoniła wszystkie niezliczone postaci tej twórczości. Dziadek z filmu „Ziemia” to mój dobry, nieżyjący już dziadek Semen Tarasowicz, dawny czumak, człek prostoduszny i uczciwy. To on jest pierwowzorem kreowanych z miłością postaci staruszków w moich filmach; to ciepłe okruchy mego dzieciństwa. Moi dziadkowie to coś w rodzaju pryzmatu czasu. Dlatego też łatwiej mi było stworzyć postać Bożenki niż postać Szczorsa.

Drugą istotną rzeczą mego dzieciństwa, która zdecydowała o charakterze mojej twórczości, była miłość do przyrody, odczucie istoty jej piękna. U nas, nad Desną, były łąki jak z baśni; do końca życia pozostaną one w mej pamięci jako najpiękniejsze miejsce na ziemi. Z Desną związane są moje pierwsze połowy ryb i pierwsze jagody, i grzyby, i pierwsze odciski na dziecięcych rękach, bo nie należeliśmy przecież do tych, co to nad Desnę przyjeżdżali tylko na letnisko. Nie widziałem jej już dwadzieścia pięć lat. Wiem, że się zmieniła, bo i ja też stałem się inny, nie ma więc sensu wracać do tej innej Desny. Tamta żyje już tylko w mojej twórczości.

Sądziłem zawsze, a i teraz też tak myślę, że nie można być artystą bez gorącego ukochania przyrody. I nie tylko artystą, zwłaszcza teraz, kiedy trzeba przebudowywać niemal wszystko, wszystkie miasta, kiedy nauka w ogóle, a inżynieria i architektura w szczególności, ma po raz

pierwszy możliwość tworzenia w pełnej harmonii z przyrodą dla ludzkiej radości.

Do szkoły chodziłem w Sośnicy, najpierw do wstępnej, potem do powszechnej. Nauka szła mi łatwo. Byłem celującym uczniem. Fakt ten wprawiał mnie często w zakłopotanie, miałem bowiem wrażenie, że to nauczyciele czegoś tam do końca być może sami nie rozumieją i dlatego wydaje im się, że taki jestem prymus. Podobne zdziwienie, a niekiedy i gorycz, odczuwam również i teraz przy ocenie takich czy innych fragmentów mojej twórczości. Obecnie jednak moja świadomość jest bogatsza o jakieś tam okruchy, wywodzącej się z poznania, mądrości: jak jednak mało zrobiło się, jak wiele jeszcze trzeba się uczyć i jak wiele przemyśleć i wiedzieć, a nie tylko odczuwać, by osiągnąć pełną wyrazistość artystycznego przekazu.

Mówiłem o tym niejednokrotnie na różnych zebraniach, i teraz również pisząc o swoim życiu nie mogę przemilczeć: niezbyt lubię moje filmy. Czasem w ogóle ich nie cierpię. Współczuję im, jak dzieciom niezgrabnym i niezbyt urodziwym, ale przecież moim własnym. I ciągle wydaje mi się, że ten dobry, prawdziwy film jest jeszcze przede mną.

W dzieciństwie miałem pewną skłonność do kontemplacji. Lubiałem marzyć. Marzenie i wyobrażenia tak mną zawładnęły, że niekiedy przeżywałem otaczający mnie świat w dwóch zmagających się z sobą aspektach — realnym i wyobrażeniowym, przy czym ten drugi wydawał się być już urzeczywistnionym. Nie pociągało mnie nic specjalnie konkretnego. Wydawało mi się, że wszystko potrafię, wszystko lekko osiągnę, chciałem być ciągle kim innym, chciałem jakby rozdzielić się na kilka osobowości i żyć w różnych wcieleniach, zawodach, krajach, nawet zmieniać swój wygląd. A w ogóle to moje marzenia dotyczące wyboru przyszłego zawodu oscylowały po-

między architekturą, malarstwem, wielką żeglugą morską, hodowlą ryb i profesją nauczyciela. Być może dopiero obecnie włączam do moich ówczesnych marzeń zawód nauczycielski, bo to była jedyna rzecz, jaką wówczas osiągnąłem. W 1911 roku, mając niespełna szesnaście lat, wstąpiłem do seminarium nauczycielskiego w Głuchówce. Wybrałem tę szkołę dlatego, że miałem prawo tylko tam „składać egzaminy”, poza tym były tam stypendia w wysokości 120 rubli rocznie. To głównie pogoń za tym stypendium, a więc za jedyną możliwością uczenia się, przywiodła mnie do tego instytutu.

Byłem w nim najmłodszy. Najstarsi uczniowie, z pięcioletnim czy też dziesięcioletnim stażem nauczycielskim (w szkołach ludowych), mieli po trzydzieści i więcej. Trudno mi było zbliżyć się z tymi nauczycielami-uczniami. Nauka też szła mi ciężko. Moje przygotowanie do instytutu było niedostateczne, a egzaminy zdałem zupełnie przypadkowo. Uczyłem się więc źle, niesystematycznie i dlatego nie otrzymałem stypendium; przez pierwsze dwa lata przebijałem się dzięki lekcjom, ojciec musiał nawet sprzedać dziesięcinę ziemi. Odkrajał ją od serca. Jako niepiśmienny miał ciężkie i gorzkie życie, chciał więc koniecznie „wyuczyć swego syna na pana”.

Atmosfera duchowa w instytucie była ciężka. Miasto maleńkie, „obywatelskie”. Instytut kształcił poczciwych, naiwnych, politycznie nieuświadomionych nauczycieli początkujących klas szkół powszechnych. Wszyscy nauczyciele byli urzędnikami, a w szczególności dyrektorzy. Instytut miał własną cerkiew, do której trzeba było chodzić pod ostrymi rygorami. Tu właśnie przestałem wierzyć w Boga, do czego przyznałem się na spowiedzi nauczycielowi religii, ojcu Aleksandrowi, jedynemu w instytucie człowiekowi o liberalnych poglądach.

Tu też, w instytucie, zetknąłem się po raz pierwszy, dzięki moim współlokatorom, z książkami ukraińskimi. Był to „Literaturno-naukowyj wisnyk” i gazeta „Nowa Rada”, wychodząca zdaje się we Lwowie; czytaliśmy je oczywiście w tajemnicy przed pedagogami, jak coś ojczystego, ale zabronionego. Nawet rozmawiać po ukraińsku nie było wolno w naszym środowisku. Wychowywano nas na nauczycieli rusyfikatorów własnej ojczyzny. Za tę rusyfikację w guberni kijowskiej, podolskiej i wołyńskiej wypłacany był specjalny dodatek do pensji w wysokości osiemnastu rubli miesięcznie.

Ukończyłem instytut w 1914 roku z patentem nauczania uczniów, jako polityczny analfabeta i nierozgarnięty młodzieniec, mając dziewiętnaście i pół roku. Wybuch wojny imperialistycznej przyjąłem jak przystało na obywatela, a więc bez krytykanctwa, i pierwsze transporty rannych, którzy zaczęli napływać do Żytomierza, witałem okrzykami „hurra!” i razem ze swoimi uczniami i kolegami zarzucałem ich kwiatami.

Jeszcze i teraz spotykam niekiedy swoich dawnych uczniów, ludzi już niemłodych, różnych zawodów. Pytam ich, czy byłem dobrym nauczycielem. Odpowiadają, że byłem nie tyle dobrym nauczycielem, co dobrym wychowawcą. Te odpowiedzi sprawiają mi radość. Wątpię co prawda, czy byłem istotnie dobrym wychowawcą w zwykłym rozumieniu tego słowa. Byłem po prostu młody, niewiele starszy od nich, towarzyski, wesoły i moi uczniowie byli mi pod każdym względem bliżsi i sympatyczniejsi od moich kolegów nauczycieli. Byłem z nimi zawsze szczery. Uczyłem fizyki, przyrody, geografii, historii i gimnastyki. W drugim roku nauczania zaproponowano mi stanowisko inspektora, nie przyjąłem go jednak uzasadniając moją odmowę młodym wiekiem, marzyłem zresztą o tym, by dalej się kształcić.



Nie miałem prawa wstąpienia na uniwersytet. Chciałem wówczas zostać artystą, malowałem w domu i brałem prywatne lekcje malarstwa, marząc o tym, by kiedyś dostać się na akademię sztuk pięknych chociażby w charakterze wolnego słuchacza.

Mijały lata. Ani ja, ani nikt już nie rzucał kwiatów rannym i nie krzyczał „hurra!” Już dawno patrzyłem na nich ze współczuciem i palącym wstydem. Niekiedy odwracałem się, nie mogąc wytrzymać ich spojrzeń. Ranni zapełniali całe miasto. Pojawiali się gromadnie w otwartych oknach wszystkich wielkich domów, zamienionych na szpitale, kuśtykali w ogródkach, nosili na pierśiach zabandażowane ręce jak niańki dzieci, przeciągali ulicami małymi grupami w niezgrabnych szynelach, rzucając na nas, przeklętych „czynowników”, spojrzenia pełne nienawiści i żalu.

Przyszedł rok siedemnasty. My, nauczyciele, chłopscy synowie, urzędnicy dziewiątej grupy, powitaliśmy zrzucenie cara i samodzierżawia z olbrzymią, żywiołową radością. Rewolucyjna fala władczo wypychała nas na ulice, na place. Ściany szkoły rozsunęły się przede mną, szkołą stała się ulica. Tu jednak większość z nas okazała się kiepskimi nauczycielami. I ja też okazałem się takim nauczycielem. Absolutny brak elementarnej, zdrowej oświaty politycznej, brak jakiegokolwiek wyobrażenia o walce klas i partii w ogóle, nie mówiąc już o marksizmie, o którym nie miałem zielonego pojęcia, i urobiony przez szkołę drobnomieszczański charakter, i radość z powodu rewolucji, radość wywołana uwolnieniem się od caratu, i Ukraina, o której zabraniano czytać, i równość, i braterstwo, i wolność, i samostanowienie, i nie zakończona wojna, i ziemia, i swoboda oraz wiele innych nowych idei i problemów, dotąd nieznanych i nieuświadomionych, i nieumiejętność odróżnienia wielkiej, długo oczekiwanej prawdy od długo

wpajanego w nas kłamstwa — wszystko to oślepiło nas jak ludzi, którzy wyszli z ciemnej piwnicy.

Wykrzykiwałem na wiecach jakieś tam ogólne frazesy i radowałem się jak pies, który zerwał się z łańcucha, wierząc szczerze, że wszyscy ludzie stali się już braćmi, że wszystko stało się już jasne, że ziemia dla chłopów, fabryki dla robotników, szkoły dla nauczycieli, szpitale dla lekarzy, Ukraina dla Ukraińców, Rosja dla Rosjan, że jutro dowie się o tym cały świat, który — zarazony naszą mądrością — robi to samo u siebie.

Cieszyło mnie szczególnie to, że car Mikołaj II był nie Ukraińcem, lecz Rosjaninem i że cały jego ród też nie był ukraiński. W moim więc mniemaniu obalenie haniebnego systemu właściwie nie miało nic wspólnego z Ukraińcami. Był to oczywiście nacjonalizm. W tych czasach wszyscy Ukraińcy wydawali mi się ludźmi szczególnie sympatycznymi. Tyle już lat byli uciskani przez „tych przeklętych Moskali” („trzysta lat”), zapomnieli już nawet mówić po ukraińsku, rozmawiając kaleczonym żargonem ukraińsko-rosyjskim. Z powodu tej właśnie mowy uważałem wszystkich Ukraińców za chłopów lub chłopskiego pochodzenia, a nie za panów, bo panowie rozmawiali po rosyjsku. Wątpliwe, czy potrafiliby w ogóle mówić po ukraińsku. No więc nie ma wśród nas panów. A jeśli ich nie ma, to wszystko w porządku.

Ukraiński separatystyczny ruch burżuazyjny wydawał mi się wówczas ruchem najbardziej rewolucyjnym, najbardziej lewicowym, a więc najwspanialszym: im bardziej prawicowy, tym gorszy, im bardziej lewicowy, tym lepszy. O komunizmie nie wiedziałem nic, i gdyby wówczas ktoś spytał mnie o Marksa, odpowiedziałbym, że to chyba jakiś wydawca książek.

W ten sposób wszedłem do rewolucji przez nie-

właściwe drzwi. Miałem pecha. Nie poszczęściło mi się usłyszeć w pierwszych wielkich dniach Socjalistycznej Rewolucji Październikowej żadnego z wielkich trybunów tej rewolucji, nie było mi dane przeczytać ani jednej książki marksistowskiej, która oświeciłaby mój rozum i prawidłowo skierowałaby moją aktywność; więc za pierwsze pomyłki i błędy mego nierozgarniętego rozumu i gorącego serca przyszło mi później płacić miesiącami cierpienia i ciężkich rozmyślań.

Zostałem bolszewikiem dopiero w połowie 1920 roku. Świat okazał się o wiele bardziej skomplikowany. Bardziej też złożona była ówczesna sprawa ukraińska. Pełno było na Ukrainie panów swoich i obcych, którzy dobrze rozmawiali po ukraińsku, zaś półpankowie, wśród których się obracałem, szukając prawdy, okazali się żalosną garstką nieuków, szarlatanów i zdrajców. Porzuciłem ich i uciekłem z uczuciem głębokiej odrazy i goryczy i wspomnienie o tym jest najcięższym wspomnieniem mego życia. Nic nie przyszło mi za darmo.

W 1917 roku przeniosłem się jako nauczyciel do Kijowa i wstąpiłem do Kijowskiego Instytutu Handlowego na wydział ekonomiczny. Uczelnia ta również mi nie odpowiadała, zapisałem się jednak do niej dlatego, że mój dyplom z poprzedniego instytutu nie dawał mi prawa wstępu na inne wyższe uczelnie, był to więc jedyny sposób zdobycia wyższego wykształcenia. W instytucie tym nauka też szła mi nie najlepiej. Miałem na nią za mało czasu, bo sam musiałem uczyć. A poza tym zabrakło mi staranności. Niektórych przedmiotów w ogóle się nie uczyłem, inne natomiast, które lubiłem, jak na przykład fizyka, były wykładane na innym wydziale, musiałem więc dwoić się między dwoma fakultetami.

Za rządów hetmańskich, kiedy w Kijowie została zorganizowana Akademia Sztuk Pięknych,

spełniło się moje życiowe marzenie: wstąpiłem na akademię. Tak wiele wówczas chciałem, nie jednak z tego nie wyszło. Pamiętam, że otwarto wtedy również Instytut Geograficzny. Zamierzałem i tam się zapisać, ale coś stanęło na przeszkodzie.

W 1918 roku jako przewodniczący studenckiej społeczności w Instytucie Handlowym zorganizowałem ogólnostudencki wiec protestujący przeciw powołaniom do armii hetmańskiej oraz urządziłem wielką demonstrację na ulicy Korolenki. Oficerowie hetmańscy rozpędzili nas, zabijając blisko dwadzieścia osób i raniąc wielu uczestników demonstracji.

Rzuciłem studia na akademii, do instytutu zaś uczęszczałem do tysiąc dziewięćset dwudziestego lub dwudziestego pierwszego roku. Nie ukończyłem go, być może z braku czasu czy też dlatego, że nie potrafiłem usiedzieć na jednym miejscu, ale chyba przede wszystkim dlatego, że jak mi się wydawało, studia te nie odpowiadały memu powołaniu. Teraz, kiedy wspominam ten okres moich studiów, widzę jasno i nie bez zdziwienia, jak niewłaściwy, kręty, rujnujący energię i pełen manowców był mój szlak życiowy i jak unormowane i lekkie, jasne i szczęśliwe jest życie naszej współczesnej młodzieży.

Na początku 1920 roku wstąpiłem do partii bojowników\*. Było to i niepotrzebne i błędne. Bardzo chciałem wstąpić do Komunistycznej Partii Bolszewików Ukrainy, nie uważałem się jednak godnym przestąpienia jej progu, dlatego też poszedłem do tych „bojowników” uważając, że jest to jak gdyby wstępna klasa do gimnazjum, jaką ta partia rzecz jasna nigdy nie była. Dziś sama myśl o takim porównaniu wydaje mi się absur-

---

\* Partia borot'bystiw — wg „Słownyka ukraińskoj i mowy” (Kyjiw 1970, t. I) była to „partia drobnej burżuazji nacjonalistycznej” (przyp. tłum.).

dalna. No, ale wtedy tak sądziłem. Po kilku tygodniach Partia Bojowników włączyła się do KP(b)U i w ten sposób zostałem członkiem KP(b)U.

Wyznaczono mnie na kierownika szkoły partyjnej w Żytomierzu, ale polska agresja przerwała tę moją pracę. Nasi wycofali się do Kijowa, a mnie odkomenderowano do pracy podziemnej w okupowanym powiecie korowynieckim, gdzie konny patrol wojskowy wziął mnie do niewoli. Obchodzono się ze mną bardzo brutalnie. Żeby zmusić mnie do ujawnienia lokalizacji naszych oddziałów, próbowano zastraszyć mnie pozorowanym rozstrzelaniem. Patrol został jednak sam ostrzelany przez nasze oddziały i podczas strzelaniny, która się wywiązała, wysunął mnie jako żywą tarczę. Udało mi się jednak uciec do oddziału czerwonoarmistów. Następnego dnia byliśmy już w Kijowie. Przeczekałem jego okupację w kijowskim podziemiu. Po wyzwoleniu Kijowa zostałem sekretarzem gubernialnego wydziału miejskiej oświaty. Pracowałem w Kijowie około roku. Był to okres pracy niesłychanie napiętej. Ale byłem młody, zdrowy i mogłem pracować bez zmęczenia. Poza sekretarzowaniem kierowałem wydziałem sztuki, byłem komisarzem teatru imienia Szewczenki, uczestniczyłem w pracach komitetu organizacyjnego pracowników oświaty. Prócz tego w ramach obowiązków partyjnych jeździłem po wsiach kijowszczyzny, organizując miejscowe władze.

Rzuciłem studia w Instytucie Handlowym, przemianowanym na Instytut Gospodarki Narodowej. Wiele malowałem i rysowałem, zwłaszcza karykatury, i postanowiłem zdecydowanie rozpocząć studia w Instytucie Architektury w Kijowie, wkrótce jednak skierowano mnie do Charkowa, do dyspozycji Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych USRR.

O zagranicy marzyłem tylko w dzieciństwie.

Skierowanie na placówkę zagraniczną do Warszawy, chociaż do niezbyt odpowiedzialnej pracy, przyjąłem z mieszanymi uczuciami niepokoju i podniecenia. Byłem w Warszawie przez rok, początkowo w komisji rosyjsko-ukraińsko-polskiej do wymiany jeńców wojennych, a potem jako kierownik biura ambasady. Ta praca kancelaryjna w sytuacji 1921 roku była tak przykrą i nękającą, że całymi tygodniami nie wychodziłem z gmachu ambasady. Wiosną 1922 roku zostałem przeniesiony do Berlina na niższe stanowisko sekretarza konsulatu generalnego USRR w Niemczech. Po trzech czy czterech miesiącach pracy w Berlinie podałem się do dymisji i otrzymawszy z Ludowego Komisariatu Oświaty stypendium w wysokości czterdziestu dolarów miesięcznie, rozpocząłem studia w prywatnej uczelni artystycznej, mając nadzieję przeniesienia się jesienią na Akademię Sztuk Pięknych w Berlinie lub Paryżu.

Latem 1923 roku powróciłem na Ukrainę, do Charkowa, i już do Berlina nie wróciłem. Przeszkodziły temu wydarzenia w Hamburgu. Ludowy Komisariat Spraw Zagranicznych, w którego dyspozycji pozostawałem, zaproponował mi wyjazd do Kabulu (Afganistan) w charakterze kuriera dyplomatycznego. Zacząłem już przygotowywać się do wyjazdu, jednak sytuacja rodzinna zatrzymała mnie w Charkowie. Rozpocząłem pracę w redakcji gazety charkowskiej „Wisti WUCWK” \* jako ilustrator pisma. Do partii już wtedy nie należałem. Wykluczyli mnie z niej, kiedy byłem jeszcze za granicą, za nieprzekazanie dokumentów do wymiany legitymacji partyjnych. Dokumenty te przesłałem. Okazało się jednak, że gdzieś zaginęły. Odnaleziono je przypadkowo dopiero po

---

\* „Wiadomości Wszechukraińskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego” (przyp. tłum.).

kilku latach. Powiedział mi o tym redaktor mojej gazety, członek KC, W. Błakytny w przeddzień swojej śmierci.

Wykluczenie z partii przeżyłem bardzo ciężko. Szukałem tych dokumentów w Zakładzie Historii Partii, zamartwiałem się, oburzałem się na „niesprawiedliwość i bezduszność”. Odrzuciłem propozycję jednego z członków, czy chyba nawet przewodniczącego, Komisji Kontroli Partyjnej, bym wniósł podanie o ponowne przyjęcie do partii, uważałem bowiem moje wykluczenie za bezpodstawne. Słowem, postąpiłem niemądrze, nie po partyjnemu i wszelkie moje zabiegi nie miały sensu.

W redakcji pracowałem od jesieni 1923 do lata 1926. Zarabiałem na życie ilustracjami, a w wolnym czasie uczyłem się malarstwa. W mieszkaniu moim urządziłem pracownię i pracowałem w niej przez trzy lata. Nie był wtedy jeszcze ze mnie zbyt tęgi artysta, trudno było uczyć się samemu, wierzyłem jednak w swe zdolności i miałem niewzruszoną pewność, że w ciągu dziesięciu, piętnastu lat stanę się wybitnym plastykiem.

W tym charkowskim okresie zapoznałem się z ukraińskim środowiskiem literackim, skupionym wówczas wokół redakcji „Wiadomości” i „Chłopskiej prawdy”, a raczej wokół Błakytnego\* i Pyłypenki\*\*. Były to organizacje literackie „Hart” i „Pług”. Byłem w „Harcie” ilustratorem jego wydawnictw książkowych. Później z „Hartu” wy-

---

\* Wasyl Machyjłowicz Ełłanski, używający skróconego nazwiska Ełłan — (1893—1925) w swej działalności literackiej znany jako Błakytny, jeden z założycieli charkowskiej organizacji literackiej „Hart” (przyp. tłum.).

\*\* Sergij Wołodymyrowicz Pyłypenko — (1891—1943) pisarz, publicysta i działacz, redaktor „Wiadomości” i „Chłopskiej prawdy”, założyciel i kierownik literackiej organizacji „Pług” (przyp. tłum.).

łoniła się sławna Waplite\*, w której też przez jakiś czas przebywałem, ale potem wystąpiłem. Kierownicy tych organizacji uważali mnie za maulutkiego przy nich rysownika, a w dodatku za karykaturzystę, a więc wesołka, ja zaś ze smutkiem patrzyłem na ich zacofany prowincjonalizm, nieokrzesanie i ograniczoność horyzontów. Niekiedy miałem wrażenie, że jestem nie na wieczorach literackich, lecz na wieczornicach wiejskich, że biorę udział nie w posiedzeniach, lecz w szopce z kołędami. Zacząłem się od nich oddalać. Nie wiedziałem, co z sobą zrobić, czułem jednak, że nie można tak dalej żyć. W tym właśnie czasie nawiązałem kontakt z ukraińską organizacją filmową WUFKU. Robiłem dla niej plakaty i często tam zachodziłem.

Ograniczoność i partykularyzm życia literackiego, głoszone w ówczesnych lefowskich\*\* pisemkach poglądy o zbędności malarstwa jako staroświeckiej dziedziny sztuki, którą zastąpi fotografia, mały zasięg oddziaływania malarstwa na odbiorców, skomplikowane stosunki rodzinne oraz cały szereg innych jeszcze przyczyn, a przede wszystkim gorące pragnienie maksymalnie korzystnej pracy dla swego narodu i partii, z którą czułem się nadal duchowo związany — przenosiły coraz bardziej moje zainteresowania na kinematografię jako sztukę najbardziej masową i demokratyczną.

W czerwcu 1926 roku przesiedziałem całą noc w swej pracowni, dokonując obrachunku ze swego nie uporządkowanego trzydziestoletniego życia.

---

\* Waplite — (Wilna akademia proletarskoji literatury") nieoficjalna charkowska akademia literatury, skupiająca w latach dwudziestych wielu wybitnych twórców ukraińskich (przyp. tłum.).

\*\* LEF (Lewyj Front Iskusstw) — rosyjskie ugrupowanie literackie, założone przez Wł. Majakowskiego (1923—1930) (przyp. tłum.).



Rano wyszedłem z domu i więcej już tam nie wróciłem. Wyjechałem do Odessy i zacząłem pracować jako reżyser w wytwórni filmowej. W ten sposób w trzydziestym pierwszym roku życia trzeba było znowu zaczynać żyć i uczyć się od początku; nie byłem dotąd ani aktorem, ani reżyserem teatralnym, do kina chodziłem rzadko, nie miałem znajomości wśród aktorów filmowych i nie miałem żadnego pojęcia o całym złożonym kompleksie tak syntetycznej gałęzi sztuki, jaką jest film. A uczyć się nie było w Odessie kiedy i u kogo. Wytwórnia była solidnie zorganizowana, ale jej poziom artystyczny był niski i jej filmy nie odznaczały się zbyt dobrą jakością.

W pierwszych początkach pomogły mi, bardzo niewiele — zdawałoby się — znaczące, okoliczności. Otóż zacząłem przypatrywać się pracy jednego z odeskich reżyserów podczas zdjęć w plenerze w pobliżu naszej wytwórni. Jego praca z aktorami wykazywała taką jego bezradność i była tak beznadziejna, że od razu poweselałem. Pomyślałem sobie: jeśli dostrzegam, że jego praca jest zła i wiem, co w niej jest złego i dlaczego, to znaczy, że ja sam nie jestem już taki bezradny. Co więcej — po prostu wezmę i zrobię to lepiej.

To moje rozumowanie było słuszne tylko częściowo. Ileż to razy miałem okazję w późniejszym moim życiu zaobserwować, jak młodzi ludzie z niewątpliwą erudycją, którzy potrafili analizować krytycznie każdy detal sceny zrobionej przez kogo innego, każdy pierwszy lepszy kadr, wykazywali zupełną bezradność i bezsilność, kiedy pałeczka reżyserska przechodziła w ich ręce. Na szczęście mnie się to nie przytrafiło, chociaż pracuję z dużym wysiłkiem. Już szesnaście lat dzierżę tę pałeczkę, a jednak na początku każdego mego filmu zawsze wydaje mi się, że nic nie umiem i nie potrafię. W twórczości nigdy nie brakowało mi odwagi, ale zawsze każdej rozpoczętej pracy

towarzyszy niepokój i lęk. I wiem, że nie opuszczą mnie do końca życia.

Twórczość jest bezkresna i różnorodna, jak różnorodne i bezkresne w swym przemożnym rozwoju jest życie naszego wielkiego społeczeństwa socjalistycznego, i ani talent, ani żaden geniusz niczego nie dokona w dziedzinie sztuki, jeśli nie będzie podbudowany znajomością nie tylko jej specyfiki, ale przede wszystkim znajomością życia.

Zawód filmowca wymaga olbrzymiej pracowitości i umiłowania pracy nie tylko podczas kręcenia filmu, ale w całym mądrze organizowanym procesie jego tworzenia. Film to sztuka „opętanych”.

Przenosząc się do pracy w kinematografii zamierzałem poświęcić się wyłącznie filmom rozrywkowym i komediowym. Mój pierwszy scenariusz, napisany dla WUFKU — „Wasia reformator” — był pomyślany jako komedia, w tym też gatunku zrobiona była moja pierwsza reżyserska krótkometrażówka na pięćset metrów pt. „Jagódki miłości” według własnego scenariusza, napisanego w ciągu trzech dni. Komediami miały być też zaplanowane, ale nie zrealizowane filmy: „Ojczyzna” — o Żydach w Palestynie, „Zagubiony Chaplin” — o przygodach Chaplina na bezludnej wyspie, oraz „Car” — komedia satyryczna o Mikołaju II.

Warunki tak się jednak jakoś układały, że nie nakręciłem ani jednej komedii. Ciągłe ta sama, stara historia: tkwi się na jednym fakultecie, a słucha się wykładów na innym. Odrębne sekwencje komediowe, porzucane po moich filmach, reżyserowałem zawsze z prawdziwą rozkoszą. To, co robi się u nas w radzieckiej kinematografii w dziedzinie komedii filmowej, uważam za chybione i zasadniczo niesłuszne. Postacie komediowe pozbawia się rozumu, a trzeba robić właśnie na od-

wrót. Komediodowy charakter nie ma nic wspólnego z intelektualnym ubóstwem.

Pierwszym moim filmem była „Torba kuriera dyplomatycznego”.

Uskrzydłony sukcesem tego skromnego debiutu rozpocząłem wkrótce pracę nad nowym filmem. Była to „Zwenyhora”. Autorami scenariusza byli pisarze Johansen i bardzo wówczas popularny Jurtyk (Tiutiunyk). W scenariuszu tym było wiele bzdur i wyraźnie nacjonalistyczne tendencje. Dlatego też przerobiłem go w dziewięćdziesięciu procentach, w wyniku czego autorzy demonstacyjnie wycofali swoje nazwiska; stało się to początkiem mojego rozchodzenia się z charkowskimi pisarzami.

Ponieważ do wytwórni nie wpływały dobre scenariusze, ja zaś z wielu przyczyn znalazłem się wśród pisarzy w izolacji, byłem wobec tego zmuszony pisać sam scenariusze. Teraz już przyzwyczaiłem się do tego. Co prawda nie uważam tej metody robienia filmu ani za właściwą, ani za korzystną. Hamuje ona pracę reżysera, zmusza go do dublowania procesu twórczego i jak gdyby skraca mu życie. Przy normalnym napływie scenariuszy i ekonomicznym gospodarowaniu nimi mógłbym zrobić o wiele więcej filmów, niż zrobiłem. Przyznaję, że przez szesnaście lat działałem niewiele, jest w tym jednak wina nie tylko moja, ale i kierownictwa, które uważało mnie za traktor co wszystko uciągnie.

„Zwenyhora” pozostała mi w pamięci jako jedna z moich najciekawszych prac. Zrobiłem ją jednym tchem — w ciągu stu dni. Był to film o bardzo złożonej strukturze, być może eklektycznej; stworzył on mnie, producentowi-amatorowi, szansę wypróbowania swoich możliwości w różnych poetykach. Film „Zwenyhora” był swego rodzaju katalogiem moich twórczych możliwości.

Środowisko artystyczne przyjęło film entuzja-

stycznie, masowa widownia natomiast nie przyjęła go w ogóle, był dla niej niezrozumiały i za bardzo skomplikowany, ja jednak chodziłem dumny i nawet, jak pamiętam, pyszniłem się tym, że nie jestem przecież jakimś tam popularyzatorem, lecz kimś w rodzaju profesora wyższej matematyki. Jak gdybym zapomniał, po co poszedłem do filmu.

Czy był to omam, czy też zdrada kinematografii jako masowej sztuki ludowej? Nie. Nie znałem jeszcze prawideł twórczości filmowej i dlatego byłem przeświadczony, że nie popełniam błędów. Ja nie robiłem tego filmu — wyśpiewałem go jak ptak. Chciałem rozprzestrzenić ekran, odejść od szablonu narracji filmowej i przemawiać, że tak powiem, językiem wielkich uogólnień. Przebrałem jednak w tym miarę.

W nowym filmie „Arsenał” zawęziłem znacznie ramy swych czysto filmowych zadań. Chciałem w tym filmie ukazać walkę klasową na Ukrainie w okresie wojny domowej. Kontynuacją tej epopei był później — w nowej, innej stylistyce — „Szczors”. Założenia „Arsenału” były więc zdecydowanie polityczne, partyjne.

Bohaterowie „Arsenału” byli jeszcze za mało zróżnicowani jako ludzie; byli to raczej nosiciele idei, ideologii, niż pełnokrwiste postaci. Podobnie jak w „Zwenyhorze” posługiwałem się nie charakterami, lecz kategoriami klasowymi. Wielkość i skala wydarzeń poddawały materiał ciśnieniu niezliczonych atmosfer. Można to było przekazać uciekając się do języka poezji, co jest podobno specyfiką mojej twórczości. Do realizmu dochodziłem w filmie bardzo wolno.

Rezultaty pojawienia się „Arsenału” były dla mnie, jeśli nie zaskakujące, to na pewno ważne. Partia i naród przyjęły go pozytywnie, społeczność pisarska — negatywnie. Był to film odpowiadający w pełni obowiązującym kryteriom. Stosunek do niego i opinia o nim świadczyły wtedy o poli-

tycznym obliczu oceniającego. Dobrze to zapamiętałem. „Arsenał” był wielkim wydarzeniem w moim życiu. Wyrosłem w nim jako pracownik polityczny i zmagrzałem. Byłem z niego dumny, ale jednocześnie przeżywałem to jakoś bardzo boleśnie.

Film „Ziemia” zrobiłem już w wytwórni kijowskiej. Radość z twórczego sukcesu została brutalnie zdławiona przez miażdżący felieton Diemjana Biednego \*, zamieszczony w odcinku przez dwie kolumny w „Izwiestiach”. Byłem tak przybity tym felietonem, tak mi było wstyd chodzić ulicami Moskwy, że w ciągu kilku dni postarzałem się i osiwiąłem. Był to silny wstrząs psychiczny. Początkowo myślałem nawet o samobójstwie. Po kilku dniach dane mi było pełnić wartość honorową u trumny Majakowskiego, z którym byłem zawsze w dobrych stosunkach. Przede mną stał w tej samej warcie Biedny. Patrzyłem na jego łysiejącą głowę, a moje myśli koncentrowały się w jednym tylko gorącym pragnieniu: żeby leżał martwy on zamiast Majakowskiego. Nie zrobił mi tej przyjemności. Wyszliśmy obaj z krematorium żywi i cali.

Nie wiem, jak tam w innych dziedzinach, sądzę jednak, że w sztuce w ruch wprawiają tylko impulsy dodatnie. Różnie bywało, nieraz mnie chwälono i nieraz ganiłono moją pracę, ale doszedłem do wniosku, że miarą postępu życia twórczego winno być dobro, a nie zło. I że znacznie łatwiej i wydajniej pracuje się przy impulsach pozytywnych niż negatywnych.

„Ziemia” pomyślana była jako dzieło obwieszczające początek nowego życia na wsi. Jednak likwidacja kułactwa jako klasy oraz kolektywizacja — wydarzenia niezwyklej wagi politycz-

---

\* Jefim A. Pridworow (ps. Diemjan Biedny) — (1883—1945) rosyjski poeta i bajkopisarz, satyryk i publicysta (przyp. tłum.).

nej, które dokonały się, kiedy mój film był już gotowy, przed samą jego premierą — spowodowały, iż mój głos w tej sprawie brzmiał teraz słabutko i anemicznie. Wyjechałem za granicę, gdzie przebywałem prawie cztery i pół miesiąca.

Po powrocie z delegacji zaproponowałem kierownictwu Ukrainfilmu dojrzały już w mej wyobraźni scenariusz o naszych bohaterach w Arktyce w oparciu o materiały dotyczące tragedii Nobilego i zaginięcia Amundsena. Kierownictwo odrzuciło ten projekt, zażądało natomiast, bym jak najszybciej napisał „cokolwiek bądź” o współczesnym naszym życiu na Ukrainie, a nie w Arktyce. Natychmiast wykwaterowałem ze swojej świadomości Amundsena, w ciągu dwunastu dni napisałem nieudany scenariusz pt. „Iwan” i rozpocząłem zdjęcia. Pracowałem nad tym filmem z dużą trudnością, bo felieton Biednego przygniatał mnie z niezmnieszoną siłą. Film był ostro zganiony, pokazywano go tylko na zamkniętych przeglądach, mnie zaś zaliczono do obozu biologistów, panteistów, pieriewierzewców\*, spinozistów — niepewnych sprzymierzeńców, jakich można ledwie tolerować. Nawet studenci (studenci instytutu filmowego), którzy w mojej grupie odbywali praktykę, uważani byli w instytucie za dowżenkowców, to znaczy za kontrrewolucjonistów w filmie. Pozbawiono mnie możliwości wychowywania młodych kadr. W tym zaś, że nie zaproponowano mi w kijowskim instytucie filmowym nawet pracy lektora, dopatrzyłem się zakazu uczenia przeze mnie kogokolwiek. Zresztą kierownik kinematografii (Szumiacki) potwierdził to w jakiś czas później w formie jak najbardziej kategorycznej. Nurt proletariacki w kinematografii zmonopolizowali dwaj

---

\* Walerian F. Pieriewierzew — (1882) rosyjski krytyk i historyk literatury, jeden z głównych przedstawicieli zwulgaryzowanego socjologizmu w badaniach literackich.

członkowie partii, reżyserzy Kordjum i Kapczynski. Mnie zaś zepchnięto do obozu bezpłodnej burżuazji jako człowieka wprowadzie utalentowanego, ale politycznie ograniczonego obywatela-kibica. Męczyłem się. Decydujące czynniki polityczne przebywały w Charkowie, ja zaś mieszkałem w Kijowie.

Zaczął mi się psuć charakter. Stałem się nerwowy i nadmiernie wrażliwy. Zamknąłem się w sobie, unikałem ludzi.

Była jeszcze jedna rzecz, która zatruwała mi życie. To ulica Brzesko-Litewska, prowadząca do wytwórni filmowej. Wspominam o niej w swej biografii dlatego, że w moim codziennym życiu odgrywała ona i nadal odgrywa ważną, acz nikczemną rolę. Nie cierpię jej, protestuję przeciw niej codziennie już od dziesięciu lat. Przez cały ten długi okres przeżywam niezmiennie tę samą odrazę i bunt, i jeszcze nigdy nie zdarzyło się, bym jadąc nią nie wściekał się na nią. Stało się to punktem wyjściowym mojej choroby nerwowej. Przez te całe dziesięć lat codziennie zrywam z tej wspaniałej, prostej, szerokiej ulicy wszystkie pięć niezgrabnych rzędów słupów telegraficznych, telefonicznych i tramwajowych, które upodabniają ją do plantacji chmielu, i chowam kabel w ziemi. Zasypuję rowy i ścinam pagórki, niweluję ją, niszczę tramwaj, który jest w stanie permanentnego remontu, zamiast niego wprowadzam autobusy i trolejbusy prowadzące do samego Swiatoszyna, ulicę zaś zalewam asfaltem na betonowym podkładzie. Ulica staje się szeroka, prosta jak strzała, i falista. Burzę nędzne chatynki, a na ich miejscu stawiam niezbyt wysokie, ładne budynki. Rekonstruuje Bazar Halicki, miejsce, które w Kijowie rozczarowuje najbardziej, przekształcając go na jezioro z pięknym bulwarem.

Moja fantasmagoria doprowadza mnie do stanu pewności, że dopiero po jej urzeczywistnieniu

wszyscy reżyserzy zaczęą robić dobre filmy. Zaczyna się rozwijać we mnie szkodliwe marzycielstwo, które osiąga swe apogeum w okresie kręcenia „Iwana”. Złożyłem wówczas projekt przebudowy tej ulicy i z pianą na ustach dowodziłem w komitecie wojewódzkim i w radzie miejskiej konieczności zrealizowania tej absolutnie niezbędnej inwestycji. Słuchano mnie niezbyt uważnie. Przedłożyłem wówczas plan rekonstrukcji kilku placów i ulic, zmierzający do usprawnienia różnych urzędzeń i zapewniający większą wygodę mieszkańcom, i znowu zacząłem atakować komitet wojewódzki. Sprawa ta dotarła jakoś do stolicy. Kiedy rząd przeniósł się z Charkowa do Kijowa, powołano mnie — a przebywałem wówczas w Moskwie — do rządowej komisji rekonstrukcji miasta.

Powróćmy jednak do „Iwana”. Obowiązujący termin ukończenia filmu do października był wręcz niemożliwy do dotrzymania. Był to mój pierwszy film dźwiękowy, zrobiony na podłej aparaturze, nie opánowanej jeszcze przez techników dźwięku. Mimo to jednak zdołałem oddać film w terminie, ale trzeba było pod koniec przesiadzieć przy stole montażowym siedemdziesiąt pięć godzin bez snu i odpoczynku. Film był nie dopracowany i mało zwarty.

Wyjechałem do Moskwy porzucając ukraińskie otoczenie, dla którego stałem się postacią kłopotliwą, nie mogłem już bowiem dłużej znosić tych zmieniających się uwarunkowań... Zacząłem pracować w „Mosfilmie” i wkrótce wyjechałem ze swoją żoną i asystentem J. Sołncewą oraz z pisarzem A. Fadiejewem na Daleki Wschód, by po zapoznaniu się z tą odległą radziecką krainą zrobić o niej film. Podróż ta była jednym z jaśniejszych wydarzeń w moim życiu. Byłem zafascynowany nieskończonością obszarów naszego kraju i jego zdumiewającymi bogactwami. I jego uro-



dą. Przeszedłem nadmorskimi ścieżkami chyba z pół tysiąca kilometrów w bezustannym zachwy-  
cie. Stojąc nad brzegiem Oceanu Spokojnego  
i patrząc na zachód wspominałem Ukrainę, leżącą  
gdzieś tam daleko w jakimś zakątku po lewej  
w swoich właściwych w tej nowej optyce rozmia-  
rach, co wzmogło moją dumę obywatela wielkie-  
go Kraju Rad.

Scenariusz „Aerograd” napisałem w Moskwie  
w ciągu dwóch i pół miesiąca. Byłem oczarowany  
cudami Dalekiego Wschodu i pisałem ten sce-  
nariusz w prawdziwym natchnieniu. Mogłem go  
recytować na pamięć jednym tchem.

Najlepszym moim filmem był „Szczors”. Pracę  
nad scenariuszem o Szczorsie oraz nad filmem  
uważam za najdonioślejszy i najbardziej płodny  
intelektualnie okres w moim życiu. Scenariusz  
pisałem jedenaście miesięcy, a dwanaście miesięcy  
kręciłem film. To było całe życie.

Oddałem „Szczorsowi” całe swoje doświad-  
czenie życiowe. Wszystkie umiejętności, zdobyte  
w ciągu dwunastu lat pracy, znalazły w tym fil-  
mie swój pełny ekwiwalent. Tworzyłem go z mi-  
łością i olbrzymim napięciem wszystkich swoich  
sił, jako pomnik narodu, jako widomy symbol  
mojej miłości i najgłębszego szacunku dla bohatera  
wielkiego ukraińskiego Października. Robiłem  
go z takim uczuciem, jak gdyby moja twórczość  
spełniała się nie w mizernym celuloidzie, lecz  
w kamieniu lub metalu, tak jakby dane mu było  
żyć przez całe stulecia. Chciałem okazać się god-  
ny swego narodu. Kiedy podczas pracy nad fil-  
mem zachorowałem, odchodziłem niemal od zmy-  
słów na myśl, że mógłbym nie doprowadzić pracy  
do końca. Na swoje szczęście doprowadziłem. Film  
ten robiłem w wytwórni kijowskiej.

Pracując w Moskwie nad „Aerogradem” wiele  
czasu poświęcałem pracy społecznej, która za-  
wsze mnie pasjonowała. Byłem przewodniczącym

Wszeczwiązkowej Sekcji Twórczej Pracowników Filmu. Zorganizowałem w Moskwie Dom Filmu i przygotowałem program jego pracy. Natomiast znacznie odszedłem od życia społecznego podczas pracy nad „Szczersem”. Nie starczało mi na to ani sił, ani czasu. Zaniedbałem pracę w sekcji twórczej i w radzie miejskiej.

Jesienią 1939 roku podczas walk o wyzwolenie i zjednoczenie Ukrainy Zachodniej i Białorusi Zachodniej pracowałem prawie dwa miesiące w Galicji jako pracownik polityczny i kierownik grupy operatorskiej. Obecnie montuję o tym dokumentalny film, po czym rozpocznę pracę nad scenariuszem według powieści Gogola „Taras Bulba”.

Mam teraz czterdzieści pięć lat. Wyznaję, że bardzo jestem zmęczony i niezbyt zdrowy. Zwalniam tempo. Jeśli szanowny czytelnik dostrzeże, że w wyniku ludzkiej słabości pomniejszyłem swoje błędy i wady i ukazałem siebie w świetle bardziej korzystnym i efektywnym, niż pozwala na to zwykła skromność, to chyba będzie miał rację. Dlatego proszę nie sądzić mnie zbyt surowo pamiętając, że jeden człowiek sam nie może zbyt wiele zdziałać, nawet jeśli natura obdarowała go szczerze talentami i dobrymi chęciami.

Grudzień 1939.

# ARSENAŁ

## CZEŚĆ PIERWSZA

Pole ogrodzone drutem kolczastym. Szare niebo. Niskie chmury. Wybuch. \*

W chacie bieda, pusto, tylko kobieta ze śladami ciężkiej pracy i nędzy. Ręce zwisają martwo, oczy wyblakłe. Smutek.

Miała matka trzech synów...

Jedzie transport wojskowy. Płyną pejzaże. Na platformie, w szarych szynelach, zarośnięci, zmęczeni, śpią synowie.

Druciane zasieki. Okopy wysuniętych pozycji. Cisza. W stronę okopów sunie powoli ciężka chmura gazu.

Matczyne oczy wyblakłe od czekania, łez i jeszcze czegoś, co nie da się wyrazić słowami. Jak cicho i smutno w tej chacie.

Chmura gazu coraz bliżej okopu.

Niebo w dymie.

Była wojna...

Za wsią piaski. Samotna chata. Czy powróci do niej syn albo wnuk? Czy też zbutwieją na cudzych polach, pod cudzym niebem? W bezimien-

---

\* W przekładzie polskim opuszczono niektóre dygresje i sugestie autora dotyczące realizacji filmowej poszczególnych opowieści (przyp. tłum.).

nych bratnich mogiłach? Czy może rozpadną się w proch na groźnych minach i śladu po nich nie będzie?

Na ulicy trzy kobiety. Każda samotna, osamotniona. Kaleka rytmicznie i szybko kuśtyka na kulach, za kaleką bosymi nóżkami drobi dziecko.

Strażnik podchodzi z nudów do jednej z kobiet, które skamieniały przy wrotach w zadumie. Podszedł, postął, dotknął wyschniętych piersi i odszedł. Kobieta nawet go nie zauważyła.

Nie ma już matka trzech synów...

Pole. W pole wyszła stara kobieta. Sieje. Torba z ziarnem bardzo jej ciąży. Kobieta chwieje się ze zmęczenia.

W domu syn bez nóg. Kule pod ścianą. Wygląda na tej podłodze, jak pomnik rozbity i zdjęty zokołu. Na piersiach Order św. Jerzego.

Matka sieje, chwieje się. Obraz tchnie jakąś śpiewnością, stara kobieta w polu sama, jak dojrzała pieśń.

W Petersburgu siedzi przy stole car Mikołaj II. Nie marszczy carskiego czoła żadna wysoka myśl. Nudzi się ostatni z carów, szaro wygląda ostatni z carów.

Opadły w polu ręce, co siały. Matka inwalidy padła na ziemię, jak w sen.

Co może robić w tym czasie car? Udaje, że o czymś tam myśli.

Przy warsztacie robotnik. Skupiony, oczy przymknięte.

Car pisze w historycznym dzienniku: „Zabiłem wronę. Pogoda ładna”. Podpisuje się: „Niki”.

A w polu na wyschniętej grudzie leży utrudzona matka.

Car namyśla się. Postawił kropkę, podkręca wąsa.

Na twarzy matki krople rosy.

Czas upływa. Ziemia urodziła. W życie stoi

czarną plamą żandarm, zasłaniając niebo. Rozgląda się — w prawo, w lewo.

Pole. Nędzne żyto. Chudy jednoręki inwalida prowadzi chudego konia z opuszczonym smętnie łbem. Stanęli, spojrzeli na siebie, koński łeb i ludzka głowa pochyliły się jeszcze niżej.

Sterczą suche kłosa. Mizerny urodzaj.

A w domu głodne dzieci krzyczą, płaczą, żebrzą czepiając się matczynych nóg.

Pole. Stoi żołnierz inwalida. Jak tu żyć?

Matka otępiła od dziecięcych łez.

Jednoręki żołnierz schyla się, zrywa mizerny kłosek. Przypatruje mu się. Powraca do konia i wzięwszy lejce w zęby zaczyna nagle bić w tępej rozpacz — no, choćby konia. Człowiek musi kogoś uderzyć, cóż chcecie — serce kraje się z gniewu i rozpacz. Bieda zabiedza biedaka.

A matka też. Nie wytrzymała i zaczyna tłuc swoje dzieci. Nie patrzcie na nią, odwróćcie się.

Oszalały z rozpacz żołnierz bije konia.

Matka bije dwoje dzieci.

Bije konia jednoręki. Lejce w wyszczerzonych zębach.

Koń nie wytrzymał, wyrwał się. Jednoręki gospodarz pada na ziemię wypuszczając lejce.

Pod piecem płacze dziecko.

Koń zatrzymał się, patrzy: kaleki gospodarz z trudem się podnosi. I zdjął konia żal: do gospodarza i nad gospodarzem.

Pokaleczony gospodarz żołnierz wstaje. Wówczas koń mówi do żołnierza, kiwnąwszy głową:

— Nie bijesz tego, co trzeba, Iwanie.

Tak w każdym razie wydawało się jednorękiemu. Ujął w milczeniu lejce i poprowadził czworonogiego towarzysza. Zatrzymał się na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał, potem ruszył znowu i zniknął za pagórką.

Już dłużej nie może tak być. Powinno się coś stać. Napięcie doszło do zenitu. Zbliża się burza.

Niebo pociemniało. Między okopami a gęstymi zasiekami z drutu kolczastego rozrywają się pociski.

Cztery ciężkie wybuchy podrywają ziemię i ludzi.

Jeszcze jeden wybuch.

W szarym mrocznym dymie biegną do ataku żołnierze cesarza Wilhelma Hohenzollerna.

Biegną tyralierą — prosto, w prawo, w lewo.

Niektóre tyraliery mają wygląd niezwykły. Żołnierze idą trzymając się pod ręce i zataczając się jak pijani. Tyraliera zwija się jak potworny wąż. Żywi wloką zabitych i rannych.

Żołnierze biegną wśród wybuchów.

Czarne niebo jaśnieje.

Wiatr zmienia kierunek. W nadciągającej chmurze dymu zjawia się niemiecki żołnierz.

Napiera żołnierska trzoda w zielonoszarych szynelach i w żelaznych hełmach.

Jakiś żołnierz nie wytrzymał. Stanął, zrywa gwałtownie maskę przeciwgazową, rozgląda się obłąkańczym wzrokiem na wszystkie strony i zaczyna się śmiać.

Są gazy co rozweselają

Niemieckie formacje ruszają w bój. Na pierśsiach karabiny.

Żołnierz, który nawdychał się gazu, zwija się ze śmiechu. Z głowy spada żelazny hełm. Wygląda okropnie i żałośnie. Nie wytrzymał.

Po ziemi pełźnie chmura gazowa, wpełza do opuszczonego okopu.

Niemieckie oddziały idą kolumnami chwiejąc się jak pijani.

Ten, który się śmiał, zamilkł nareszcie. Rozgląda się nieprzytomnie, musiał to zrobić.

... Z rozrytego pociskiem piasku sterczy martwa ręka.

... Nieco dalej na piasku głowa niemieckiego żołnierza. Oczy zamknięte. Upiorny uśmiech, skierowany do pustego nieba, wykrzywił żołnierską twarz z wyszczerzonymi dużymi zębami.

Ale oto żołnierska trzoda dotarła do okopów. Żołnierze stanęli jak wryci. W okopach pusto. Jednemu z podoficerów wypadł z rąk karabin.

— Gdzie nieprzyjaciel?

Długi, bardzo długi pociąg wojskowy wlecze się jak gąsienica. Żołnierze rosyjscy na dachach, na buforach. Koniec wojny. Do domu.

Stoi Niemiec. Jest samym zdziwieniem, samym pytaniem.

Być może po raz pierwszy w ciągu tych czterech straszliwych lat żołnierz niemiecki zamyślił się, poczuł się człowiekiem. Rozkłada ręce: gdzie nieprzyjaciel? Co właściwie się dzieje? Kim ja jestem? Kogo i w imię czego zabijałem? Po co to wszystko? Jaka ciemna siła zmieniła mnie w kata?

Zamyślił się głęboko. Wszystkie uczucia, myśli, pożądania skierowane były do wnętrza z taką siłą, że kiedy podbiegł do niego z tyłu oficer i wymyślając mu ordynarnie groził parabellum, żołnierz zupełnie nie zareagował. Oficer strzelał mu w skroń, żołnierz cicho osuwa się. Oficer podnosi jego karabin i biegnie naprzód.

Chmury kotłują się nisko nad ziemią. Mrok powoli wchłania żołnierza, który rozciągnięty na skrwawionej ziemi wygląda jak symboliczna płaskorzeźba epoki.

## CZEŚĆ DRUGA

Mała stacja gdzieś między Szepietówką a Korostenem, gdzie utknął pociąg z wojskiem.

Peron przepelniony. Trwożny zgiełk. Hajdamacy z Centralnej Rady przecięli transportowi żołnierzy drogę.

Hajdamacy. Co to za słowo, co za nazwa? Z jakich mógł ją wydobyto i po co? Kto to jest? Powstali z głębin stuleci rycerze ukraińskiego narodu? Jego nieustraszeni obrońcy i bojownicy? Nie, to tacy sami żołnierze i oficerowie armii rosyjskiej w takich samych szynelach, przerobionych w pośpiechu na ukraińskie świtki i żupany, w takich samych czapkach, obszytych naprędce futrem.

Tylko że nacjonalistyczny opar zmaćił ich i bez tego prymitywną świadomość, rozbudzoną dopiero w ogniu walki. Lekcje historii dawali im prowincjonalni ukraińscy kooperatywiści\* i weterynarze, którzy w tym strasznym czasie marzyli o zawróceniu biegu historii narodu.

Hajdamacy obstąpili pociąg z wojskiem, rozbiegają rosyjskich żołnierzy.

Krzyki, wrzawa.

— Oddaj, wraży synu, nasz ukraiński szynel! Ściągają z żołnierza buty.

— I oddaj nasze ukraińskie buty!

Koło wagonu młody, puciołowaty, obdarty żołnierz. Przyczepił się do niego taki sam młody, puciołowaty żołnierz hajdamaka.

— Trzysta lat mnie męczył, kacap przeklęty! — gardłuje, powtarzając za kimś.

Obdarty żołnierz odwraca się.

— Kto, ja?

Patrzy ze zdziwieniem i pretensją na swego nowego „wroga”, który jest do niego bardzo podobny.

Z poranionej przez imperialistyczną wojnę ziemi sterczy zastygły na wieki uśmiech niemieckiego żołnierza.

---

\* Kooperatywy (spółdzielnie) stanowiły bazę działalności nacjonalistów ukraińskich (przyp. tłum.).



Ale oto pociąg rusza dalej. Hajdamakom nie udało się nim zawładnąć. Stoją i patrzą. Zabrakło im śmiałości.

Pociąg dowlóknął się do Post-Wołyńskiego.

Na Post-Wołyńskim, już przed samym Kijowem, znowu kłótnia i hałas. Rozwścieczeni żołnierze nacierają na maszynistę, przycisnęli go do parowozu.

— O co chodzi? Ruszaj dalej!

— Nie mogę dalej jechać, towarzysze — mówi przestraszony maszynista. — Dalej jest spadzisty teren. Hamulce nawaliły.

— Jedziesz?! — wściekają się żołnierze.

— Bracia, nie mogę!

Żołnierz mógłby teraz zabić maszynistę. Chce do domu, trzy lata gnił w okopach.

— Jedziesz?

— Nie!

Są tacy maszyniści. Umorusany sadzą i smarem, zarośnięty, z błyszczącymi gorączkowo oczami. Nie ma w nim nie tylko nic heroicznego, ale brak mu, zdawałoby się, zwyczajnej odwagi. Ale gdy nadejdzie decydujący moment, kiedy los, zgrzytając zębami, zażąda od niego heroizmu, nie wiadomo, skąd bierze się w nim taka siła ducha. Ilu ich zginęło na swoim tak bardzo odpowiedzialnym posterunku, ilu ludziom uratowali życie na trudnych szlakach swego kolejarskiego państwa!

Przy skroni maszynisty lufa nagana.

— Jedziesz?

— Nie!

Maszynista stoi. Zdaje się, że żołnierz coś zauważył. Odwodzi lufę nagana od skroni maszynisty.

Doleciał z bliska jakiś przyjemny głos. Żołnierze odwrócili się. To Tymisz Stojan. Młoda twarz o słabym zaroście, jasny uśmiech.

— Spokojnie, chłopaki. Naprawimy hamulce sami.

Nagle wpada na peron oddział hajdamaków. I prosto do pociągu.

— W imieniu Ukraińskiej Narodowej Republiki, oddać broń! — krzyczy przystojny szarooki sierżant hajdamacki wymachując naganem.

Tymisz Stojan, na którym nagan nie zrobił żadnego wrażenia, podchodzi spokojnie do sierżanta.

— W imieniu narodu ukraińskiego? Kto to powiedział?

Zaległa cisza. Wszyscy żołnierze i hajdamacy przyłgnęli spojrzeniami do dwóch przeciwników, ściskając w milczeniu broń gotową do strzału.

A tamci stoją, mierząc się wzajemnie oczami. Stojan i sierżant, każdy na swój sposób. Ale sierżanta opuszcza stopniowo pewność siebie, ręka z naganem zadrżała, przekazał jednak swoim zrozumiały dla nich znak.

Tymisz też dał znak swoim: machnął ręką.

W każdej chwili może rozgorzeć wojna domowa.

Odsuwają się drzwi tiopłuszki\* — a w niej karabiny maszynowe skierowane na hajdamaków.

Odsuwają się drugie drzwi — karabiny maszynowe.

Trzecie — karabiny maszynowe. Czwarte, piąte — karabiny maszynowe.

Hurra! Pociąg ruszył. Hajdamacy pozostają w tyle.

Ziemia ucieka do tyłu.

Migają żołnierze, karabiny, działa.

Za pociągiem biegnie maszynista, wymachując rozpaczliwie rękami. Chciałby krzyknąć: „Bracia, co wy robicie, zatrzymajcie się! Zginiecie! Werźcie się całym zestawem w ślepy tor tak, że nikt waszych kości nie pozbiera. Nie będą was witać ni matki, ni żony, ni dzieci. Będą stać na skrzyżo-

---

\* Wagony towarowe, ogrzewane piecykami (przyp. tłum.).

waniach, wpatrując się w dal stęsknionym wzrokiem i będą wypytywać trwożnie podróżnych, przeklinając wojnę”.

A pociąg mknie pełną parą prościutko na Kijów. Zjeżdża z pochyłości, ale na razie nikt nie zdaje sobie z tego sprawy ani w wagonach, ani w parowozie.

— Rźnij, Hawryło!

Zajazgotała żołnierska okopowa harmoszka.

Migają sady, pola, osiedla.

Wszystko w napiętym ruchu.

I nawet maszynista... Co robić, co robić?...  
Biegnie torami blady, ciężko oddychając.

Na platformie stoi przy armacie Tymisz Śtojan.  
Myśli tłoczą się, rozsada chęć działania.

Płyną lasy i słupy telegraficzne. Odpywają żywoploty.

W wagonach drzemią.

Pociąg przejeżdża pod mostem. Przeleciał przez tunel.

W pociągu żołnierze grają w karty.

Pociąg pędzi na spotkanie...

Gra harmoszka.

Pociąg mknie — coraz prędzej, coraz prędzej.

Jeszcze jeden most.

Gra harmoszka. Wesoło jest żołnierzom. Z radością patrzą na rozległe łąny. Każdy obrót kół przybliża ich do domu.

— Rźnij, Hawryło, rźnij!

Harmoszka szaleje.

Pociąg mknie. Przelatują błyskawicznie krajobrazy, przelatują błyskawicznie wagony.

Ale coś z tą jazdą nie tak... Starzy żołnierze marszczą czoła ściskając z przyzwyczajenia karabiny.

— Rźnij, Hawryło, rźnij, nie żałuj pistonów!

Więc harmoszka rźnie.

Przy palenisku parowozu żołnierze się kłóca, wszczyna się bójka. Jak prowadzić ten parowóz?

A gdzie tu kierownica? W którą stronę kręcić?  
Do czego służą te przyrządy?

W telegrafii kijowskiej panika. Zgiełk. Zamieszanie. Zbliża się katastrofa.

Pociąg pędzi jak szalony. W parowozie już prawdziwa bójka.

Na dworcu Kijów Pasażerski przerażony telegrafista. Telegrafistkę też ogarnęło przerażenie. I jeszcze kogoś tam.

Przy palenisku parowozu, który mknie jak strzała, żołnierze, czując niebezpieczeństwo, przepychają się wzajemnie.

Pracownicy telegrafu miotają się w popłochu na wszystkie strony.

Pociąg pędzi z pochyłości z przeraźliwą szybkością.

Żołnierze wyskakują z wagonów. W wagonach panika.

W parowozie bójka.

W straszliwym pędzie żołnierze wysypują się z wagonów jak popadnie. Pociąg gna.

Dworzec. Krzyki kobiet. Uciekajcie! Zamknijcie oczy! Zaraz wpadnie pociąg i zginą bohaterowie, męczennicy, bracia.

Cisza. Dach domu.

Ale oto gdzieś z nieba pada na dach znajoma harmoszka. Upadła, westchnęła i powoli osunęła się na dół. Zaczepiła o niższy jakiś dach, wygięła się jakoś do góry jak żywa i szybko spadła na ziemię.

Na dworcu, werżnięty w peron i budynek, płonie rozbity pociąg wojskowy. Kupy dopalających się szczątków. W dymie spazmatycznie wyciągnięta w górę ręka, chyba harmonisty. Przebiera palcami. Dym ją pochłania.

Leżą zwęgleni żołnierze.

Spod szczątków wydobywa się Tymisz Stojan. Długo się rozgląda, dziwiąc się wszystkiemu, co

się stało. Potem spojrział wprost na nas wszystkich i zdecydował:

— Będę maszynistą.

Wracają z frontów ci, co przeżyli.

Nie wszędzie radosne są powitania. Okopowe życie, nędza, krew, ogień i rany posiały w milionach serc trwogę tych, co jeszcze czekają.

Czy powrócą? I w jakim stanie powitają ich żony?

W biednych osiedlach trwożne oczekiwanie. Oto matka wstała, przygarniając do piersi niemowlę. Pukanie. Powraca mąż. Dociekliwie spogląda w oczy. W domu jest, czy nie w domu? Patrzy na dziecko.

— Kto?

Żona milczy. W oczach strach i cierpienie.

Tak jest w całej Europie.

I w Niemczech tak samo. Przed Niemką w takiej samej napiętej trwodze stoi niemiecki żołnierz z okopów.

— *Wer?* \*

I we Francji również stoją tak samo winne z dziećmi i spoglądają z bólem na mężów. Nie ma szczęścia. Nie ma schronienia! Zniknął spokój w Europie. I wszystko jakby na coś czeka.

Stary świat czai się z trwogą. Krąży po nim bieda, gotowa do działania. Inwalidzi nie mają się gdzie podziąć.

Nocą wypełznął na ulicę beznogi żołnierz. Odprowadza spojrzeniem jakąś parę, która dokądś spieszy, zamyślił się...

Tymisz Stojan powrócił do swojej dawnej fabryki, do kijowskiego „Arsenału”. Pracował tu od dziecka. Niezbyt przychylnie powitał go „Arsenał”. Dyrektor fabryki, pułkownik, ma bystre spojrzenie. Jest czujny, oschły, z trudem skrywa trwogę i lęk.

---

\* Kto?

— Ktoś ty?

— Zdemobilizowany żołnierz arsenałowiec, melduję się po powrocie — odpowiada Stojan, z trudem zdobywając się na postawę szacunku dla zwierzchnika.

Pułkownik przymrużył płonące złym blaskiem oczy.

— Ukrainiec?

Tymisz rozkłada ręce, namyśla się. Oczywiście że Ukrainiec, ale po co to pytanie? Co się dzieje w fabryce?

— Dezerter? — słyszy Tymisz ostry głos pułkownika.

Pod drzwiami gabinetu stoją dwaj robotnicy. Słyszą, jak coś niedobrego dzieje się w tym gabinecie:

Stojan nic nie odpowiada na pytanie pułkownika, ale patrzy na niego tak, że pułkownik szybko przysuwa bliżej browning leżący na biurku nie spuszczać z żołnierza oczu.

Stojan spojrział na wroga, w milczeniu odwrócił się i wyszedł.

Za drzwiami czekali na niego towarzysze, tacy sami robotnicy, jak on. Poszli razem szybko, pewnym krokiem.

O wielu sprawach chciał opowiedzieć Stojan w fabrycznym Komitecie Rewolucyjnym, zwanym skrótowo rewkodem. Ale nie dali mu długo mówić. Przewodniczący rewkomu, niemłody już tokarz, nie miał czasu. Je chleb, uśmiecha się i spogląda na Tymisza, słuchając jego gniewnych opowieści. W pewnym momencie przerywa, mu krótko i rzeczowo:

— Wracaj na razie do koszar, Tymku. Jak przyjdzie czas, to rewkom cię wezwie. W koszarach potrzebni są nasi ludzie. Zbliżają się wielkie wydarzenia.

## CZĘŚĆ TRZECIA

Stolica Ukrainy rozbrzmiewa donośnie ludzkim gwarem i dźwiękami cerkiewnych dzwonów. Cały Plac Sofijski od samego prastarego soboru Sofijskiego aż po młodszy od niego monaster Mychajłowski zapełniony tłumami. Kogo tam nie ma na tym historycznym placu! Oficerowie, a nawet generałowie, petluryzujący urzędnicy, emerytowani i w służbie czynnej, studenci w mundurach i tysięczne bezkształtne tłumy obywateli. Dzwony dzwonią uroczystym dzwonieniem. Czterdziestu czterech potężnych kijowskich popów na czele z metropolitą w lśniących ornatach, diakoni z kadzidłami i kropidłami, protodiakoni ze swoimi insygniami, archidiakoni o potężnych głosach — cała ta procesja ruszyła z soboru przez wspaniałą bramę na plac.

Chorążowie cerkiewni wzniesli nad duchowieństwem chorągwie jaśniejące złotem, srebrem i drogimi kamieniami. Członkowie bractw cerkiewnych niosą obrazy, haftowane złotem, srebrem i paciorkami.

Wśród szerniałych twarzy archimandrytów i świętych znalazło się jeszcze jedno oblicze, nie mające absolutnie nic wspólnego z kultem religijnym. To Taras Szewczenko, kanonizowany przez sentymentalnych kooperatywistów.

Cała ta uroczysta procesja, w którą wlewały się potężne chóry oraz dzwony pobliskich i dalekich monasterów i soborów, rozkołysała serca niemal wszystkich z jakąś magiczną siłą, tu i ówdzie ludzie płakali ze wzruszenia.

Pewna leciwa pułkownikowa przypadła do kroczącego z namaszczeniem archidiakona i w ekstazie pocałowała go w ramię.

W podniosłym nastroju rozgrywają się bez końca budujące sceny.

Jeden tylko obraz psuje chyba tę podniosłą uroczystość. Otóż gimnazjaliści, realiści i żołnierze dezertrzy, którzy oblepili dosłownie pomnik Bohdana Chmielnickiego, z przejściem gryzą pestki i wypluwają łuski z absolutną obojętnością, co wkrótce zmienia wygląd bohatera. Wygląda tak, jakby zdawał sobie sprawę, że każą mu przewodzić nie tym, co powinien, macha więc gniewnie buławą do Tarasa Szewczenki, który też znalazł się w wątpliwym raczej towarzystwie...

Powróćmy jednak do metropolity, archimandrytów, protodiakonów i popów.

— Módlmy się za naszą wolną matkę Ukrainę, żeby Bóg nadal miał ją w swojej opiece! — zabrzmiał protodiakon potężnym basem.

— *Hospody pomyluj!* — uderzył w niebo trzygłosowy chór w harmonijnym akompaniamencie dużych i małych dzwonów.

Rozchodzi się woń kadzidła. Okadzają kadzielnicami portret Szewczenki.

Na trybunie, pod łopocącymi na wietrze żółto-niebieskimi flagami, rozlegają się pierwsze słowa mówcy:

— Narodzie prawosławny!

Tłum na placu zafalował.

Poruszenie wśród urzędników.

Krzyknęli „Sława!” gimnazjaliści, studenci, urzędnicy i synalkowie kułaccy, poczciwi nauczyciele i nauczycielki.

Na trybunie zmieniają się kooperatywiści, jeden od drugiego głośniejszy, jeden od drugiego patetyczniejszy. Okrzyki i entuzjazm.

Artyści!... Przeciągają wśród tłumów ulicami na koniach, w operowych kostiumach — Zaporoska Sicz, wypisz wymaluj!

Mieniają się żółto-błękitne flagi. Na trybunie jakiś inteligent w binoklach.

— Niech żyje!



I w tym miejscu byłby bardzo potrzebny dźwięk\*. Bez tego nic się w filmie nie da zrobić. Więc widać tylko szeroko rozwarte oczy i tysiące otwartych ust. To wołają „Sława!” zachrypli już gimnazjaliści, studenci, nauczyciele, a nawet aptekarze i inni inteligenci i obywatele, jak również oficerowie i emeryci różnej profesji.

— Niech!... Niech!... Niech!...

Tłum kotłuje się, faluje. Oczy wszystkich skierowane na trybunę. A na trybunie pośród chorągwi i flag mówca za mówcą.

W krótkim czasie zmienia się aż pięciu mówców — wszystkich korci, żeby przemówić.

Ale w tym dzwonieniu dzwonów i rozgwarze tłumu prawie nic nie słyhać, docierają wyraźnie tylko słowa jednego z kooperatywistów:

— Trzysta lat nas...

Te słowa wyciskają łzy. Trzysta lat, to nie żarty. Jakaś babina zapłakała. Gdzie Bohdan Chmielnicki? Oto jest! Wyciąga buławę na północ, w stronę Moskwy.

Do buławy przywiązują narodowy sztandar. I basta!

Na piedestale pod Bohdanem, pod brzuchem konia, studenci, niestudenci spoglądają na tłum. A w tłumie zaczynają już składać sobie życzenia wielkanocne.

— Chrystus zmartwychwstał!

No i zaczęło się.

Tymisz stoi pod ścianą soboru Sofijskiego, patrzy. Nachodzą go różne myśli.

Przejeżdżają „arystokraci-zaporożcy”.

Jakiś kooperatywista próbuje objąć Tymisza, ten odtrąca go.

Pokój. Stary urzędnik zbliża się do portretu

---

\* „Arsenał” powstał w 1928 roku, a więc kiedy film był jeszcze niemy (przyp. tłum.).

Szewczenki z zapaloną lampką i śpiewa: „Jeszcze nie umarła...” \*

Siada na krześle i z przymkniętymi oczami, dyrygując ręką, śpiewa w błogim zamyśleniu.

Taras Szewczenko nie wytrzymał. Ożywa na moment, gasi lampkę, błysnąwszy gniewnie oczyma.

Powróćmy jednak na plac. Oto na piedestale pod koniem Chmielnickiego student pyta żołnierza pouczającym tonem:

— A wiesz, kto to był Bohdan Chmielnicki?

Żołnierz poprawił czapkę, wstrzymał się z wypłuciem łupin pestki i spojrzał w górę na koński brzuch.

— Nie wiem. Mówią, że to jakiś chochłacki \*\* generał. Patrz, jak krzywo siedzi w siodle.

Podniecenie panuje nie tylko na kijowskim placu. Niespokojnie jest też w koszarach Kijowa. Niepokój i trwoga, i różne ważne problemy atakują żołnierzy. Co robić? Co się dzieje na placu? O co chodzi?

Ulicami przejeżdżają na koniach operowi Zaporozcy w żupanach, z insygniami władzy, ze sztandarem. I wszędzie to podejrzane całowanie się.

W koszarach kręcą się już ukraińscy socjaldemokraci. Jeden z nich, wypasiony, w czamarce, skupił wokół siebie niemal cały batalion.

— Panowie żołnierze! Centralna Rada wzywa was...

Olbrzymie koszary zamieniły się w słuch, żołnierze stoją bez ruchu. Tylko jeden żołnierz podnosi ciągle rękę. Podnosi i opuszcza.

---

\* Początek nacjonalistycznego ukraińskiego hymnu narodowego „Jeszcze nie umarła Ukraina...” (przyp. tłum.).

\*\* Chochłak — pogardliwa nazwa Ukraińców, w języku polskim spotykana też w brzmieniu „chachłacki, chachłak” (przyp. tłum.).

Socjaldemokrata przemawia pięknie, długo, szybko.

Jak przedostać się do niego z żołnierskim pytaniem? Znów podnosi się ta sama ręka.

Wreszcie socjaldemokratyczny agitator zrobił pauzę, by obetrzeć pot. Zauważył żołnierza.

— Czego chcesz?

Żołnierze odwracają się do tego, który podniósł rękę.

Wówczas wstaje mężczyzna niskiego wzrostu, krępy, chyba z biednej chłopskiej rodziny, i zadaje mówcy zupełnie nieoczekiwane pytanie:

— Czy można zabijać burżujów i oficerów na ulicy, jeśli są uzbrojeni?

W koszarach poruszenie: co odpowie agitator?

Socjaldemokrata manipuluje z zakłopotaniem rękami: oczywiście, można, chociaż właściwie, rzecz jasna, nie można.

W innych koszarach dokonuje się już podziału żołnierzy na „Ukraińców” i „nie-Ukraińców”, innymi słowy werbuje się do petlurowskiej armii.

Wśród żołnierzy gwałtowne sprzeczki. Wszystko poszło w ruch: krzyki, wrzaski, pogróżki, wymyślanie — wszelkie środki przekonywania w ten wielki czas samookreślenia.

Przed oficerem prowadzącym werbunek stoi Tymisz. Oficer już podaje mu obsadkę.

Tymisz nie bierze jej. Oficer zwraca się do niego z przekonującym uśmiechem, jak do uczniaka:

— Przecież jesteś Ukraińcem?

— Tak. Ale jestem robotnikiem — odpowiada Tymisz, surowo patrząc oficerowi w oczy. Potem odwraca się i odchodzi.

Oficer zgłupiał. Wzywa jednak szybko agenta kontrwywiadu i każe mu śledzić Stojana.

Tymisz Stojan podszedł do grupy spierających

się żołnierzy i zamyslił się: czy słusznie odpowiedział oficerowi i co dalej robić?

Nie wolno zwlekać, trzeba działać. Wokół otumaniają ciemnych żołnierzy.

Oto znów zjawia się socjaldemokrata i wchodzi od razu na trybunę.

Oto żołnierze w rozpaczliwej kłótni „rozwiązują kwestię narodową”.

— Tak, jestem robotnikiem. Robotnikiem jestem, proletariuszem.

Tymofij Stojan potrząsnął połyskującą czupryną i ruszył do socjaldemokraty na trybunę. Potem zdecydowanym ruchem zepchnął go z trybuny i staął gniewny przed żołnierzami.

Wszyscy żołnierze powstali nagle jak jeden mąż.

#### CZEŚĆ CZWARTA

Wypadki toczą się z niewiarygodną szybkością. Kontrrewolucja na Ukrainie naciera na całej linii. Centralna Rada zwołuje do Kijowa pierwszy wszechukraiński zjazd.

Opera stołeczna wypełniona po brzegi delegatami.

Gdzie spojrzeć — wszędzie malownicze grupy kułaków oraz stołecznej i prowincjonalnej inteligencji.

Oto rozsiadł się w fotelu tryskający zdrowiem kułak jak z obrazka.

Oto weterynarz w binoklach z wyższością spogląda na salę.

Oto wyrostek kułacki poucza starego kułaka, wskazując na scenę:

— To jest właśnie to nasze ukraińskie prezydium, o którym opowiadał nam nauczyciel. Pamiętacie?

Oto i prezydium. Dwaj obywatele w średnim wieku o niezbyt pewnych minach. Żaden z nich

nigdy nie marzył o tym, że będą go tytułować ministrem. Ach, jak to przyjemnie!... Chociaż różnie jeszcze może być...

Trzeci minister przebrany za Zaporozca.

Czwarty o wyglądzie kombinatora czuje się tu jednak bardzo niepewnie. Widać to z jego uśmiechu oraz z tego, jak nerwowo bębni palcami po stole i rysuje w notesie esy-floresy. Nie przywykł jeszcze do swej godności, jest wyraźnie speszony.

Ale oto uroczysty i spokojny, chociaż nie pozabawiony pewnego ledwo uchwytnego niepokoju przebieg zjazdu zostaje zamacony jedną fatalną zapowiedzią przewodniczącego:

— Głos ma przedstawiciel bolszewików.

Przez salę przetoczyła się fala protestów i oburzenia.

Na trybunie Tymisz Stojan. Wygląda groźnie, zdecydowanie.

W prezydium uśmieszki martwieją.

Spośród delegatów zrywa się z miejsca stary dyrektor cukrowni, wołając z oburzeniem:

— Precz z bolszewikami!

Tymisz stoi na trybunie.

Ministrowie porozumiewają się szeptem.

Na sali histeryczne podniecenie.

— Precz! Precz! Nie pozwolić mu mówić!

Co Tymisz ma robić? Rodzima burżuazja nie chce go widzieć.

W prezydium porozumiewają się wzrokiem. Minister rysuje esy-floresy.

Tymisz wali pięścią w trybunę.

— Jesteśmy robotnikami!... My też za Ukrainą. Słyszycie? Ale chcemy fabryk, chcemy radzieckiej władzy, ot co!

W prezydium nachylają się do siebie, przestają się uśmiechać.

Przewodniczący zjazdu, profesor, dzwoni, potem stuka dzwonkiem o stół prezydialny.

Zachęceni reakcją sali hajdamacy nacierają na Tymisza.

Tymisz zwraca się oburzony do prezydium zjazdu:

— Zobaczymy, jak dokonujecie samosądu nad bezbronnym przedstawicielem robotników i chłopów!

Minister uśmiechnął się.

Siwy profesor bez przerwy dzwoni.

Hajdamacy nie odważyli się jednak zaatakować Tymisza. Zatrzymali się.

Tymisz opuszcza trybunę.

Odprowadzają go złe, nienawistne spojrzenia prezydium.

Wśród oklasków całej sali idzie do trybuny i staje na niej przedstawiciel chłopów. Nisko kłania się zebranym i zwracając się do prezydium niespodziewanie pyta:

— No dobrze, powiadacie, że władza ukraińska, a ziemia czyja?

W prezydium mają na to odpowiedź, tylko lepiej jeszcze jej teraz nie ujawniać. Więc prezydium milczy. Wówczas natrętny chłop zwraca się do sali:

— Ziemia, pytam, pańska czy chłopska?

Dzwonek przewodniczącego. Na to podstawowe pytanie trzeba jednak odpowiedzieć.

— Udzielam głosu głównemu atamanowi, Symonowi Petlurze, który udzieli odpowiedzi na postawione tu pytanie.

Na sali zrywa się burza oklasków. Kułacy wstają, wyciągają szyje — gdzie on jest, gdzie? Oto on! Patrzcie! Niech żyje!

Do aplauzu nie przyłącza się tylko jedna łoża: łoża bolszewików. Opuszczają ją. Łoża pusta.

Tymisz, zwracając się do prezydium, woła:

— My tu jeszcze wrócimy!

Wychodzi trzaskając drzwiami.

Petlura nie zdążył jeszcze wejść na trybunę,

kiedy przewodniczący znowu zwraca się do delegatów, chcąc zatrzeć wrażenie wywołane protestem bolszewików. Ma dla zjazdu radosną wiadomość: telegram od Floty Czarnomorskiej, która zawiadamia, że uznała Centralną Radę.

— Proszę państwa, otrzymaliśmy depezę od Floty Czarnomorskiej z powitaniem naszego zjazdu!

Włożywszy okulary przewodniczący odczytuje telegram.

— Co takiego? To niemożliwe!

Zdziwienie, konsternacja — wszędzie: na parterze, w łóżach.

Oto treść depezy: „Nie okłamujcie naszych braci i synów, bo oni wnet przejrzą waszą działalność i przeklą was wszyscy synowie Ukrainy”.

W całym teatrze lęk i niepokój.

„Nie liczcie na Flotę Czarnomorską, bo my pierwsi skierujemy przeciw wam dwunastocalowe działa”.

Te groźne słowa wręcz przygniotły do pluszowych foteli wielu delegatów, którzy zadzierając głowy spoglądali na galerię, jakby w obawie, że tam właśnie ujrzą wspomniane lufy armat.

Przewodniczący stał się bielszy od swej brody. Boże mój, jakież to dureń, nie przeczytawszy, podsunął mi, krótkowzrocznemu, ten telegram? I co teraz zrobić?

— Panowie! To jakaś pomyłka!... Poddaję to pod głosowanie. Uwaga! — Długie dzwonenie. — Kto za tym, żeby uznać to za pomyłkę?

Nikt.

Pusta łoża bolszewików.

Cała sala zamarła w milczeniu.

Przygniatająca cisza.

Tylko jakiś szlachcic zagrodowy podniósł niepewnie i ostrożnie rękę. Ale rozejrzawszy się wokół powoli opuścił ją speszony i poskrobał się za uchem, że niby tylko po to podnosił tę rękę.

— Kto przeciw? — rozległ się drżący głos przewodniczącego Centralnej Rady.

Prawdziwa rozpacz. Wszyscy przeciw. Nieomal cała Ukraina.

Marynarz konny podnosi rękę w imieniu załogi pancernika „Dreadnought Maria”.

Dwaj uzbrojeni marynarze z podniesionymi rękami z okrętu „Trzech Świętych”.

Trzej marynarze i górnicy z Donbasu.

Z parowozowni wyjeżdża parowóz. Na parowozie uzbrojeni robotnicy.

A z północy ciągną śnieżną równiną szwadrony kawalerii — synowie i bracia Ukrainy.

Na mroźnym wietrze lśnią czerwone proporce. „Arsenał” nasłuchiwał.

Robotnicy jednego z oddziałów „Arsenału” poszli na barykady. Pozostał tylko jeden robotnik, który zatrzymuje już ostatni silnik. Cisza. Zamysłili się stary arsenałowiec: co będzie dalej?

Ulicą przeciąga czarnym cieniem samochód pancerny Centralnej Rady.

W oddziałach fabrycznych „Arsenału” nie ma już nikogo.

Na barykadach nawołują się robotnicy.

„Arsenał” strajkuje. Nie jest to strajk zwyczajny. Nikt tu nie żąda ani podwyższenia zarobków, ani skrócenia czasu pracy, ani ubezpieczenia. Kierowana przez komunistów klasa robotnicza Ukrainy domaga się tego, do czego została powołana przez historię: władzy jak w radzieckiej Rosji. Na wiecach robotniczych nie milknie imię Lenina. Wszystko wskazuje na to, że nadchodzą wielkie wydarzenia.

Wśród czarnej nocy ulicami Kijowa krążą hajdamackie oddziały.

W „Arsenale” wiece trwają bez przerwy; tak wiele trzeba robotnikom powiedzieć, tak wiele trzeba wiedzieć w te dni.

Do „Arsenału” podchodzą żołnierze. To Tymisz



Stojan prowadzi całe swoje koszary na pomoc do obrony robotniczej twierdzy.

Wiec trwa.

I nagle — alarm!

Posterunki robotnicze rozstawione w pobliżu „Arsenału” dostrzegły zbliżające się oddziały wojska.

Napięcie wzrasta. Na dworcu panika.

Kiedy wojsko zbliżyło się do „Arsenału”, Tymisz wyszedł z szeregów i sam jeden wystąpił do przodu.

Wszystko stało się jasne.

Razem z robotnikami Tymisz wchodzi do „Arsenału”.

Za nimi idą żołnierze. Powoli zamyka się brama.

Wydarzenia zbliżają się szybko.

Peron dworca opustoszał. Z dużą walizką wpada jakiś zapóźniony czynownik. Jest zrozpaczony. Co teraz robić? Dokąd się ruszyć? Nie zdąży już wskoczyć do pociągu. Na parowóz? Też nie. Przy parowozie groźny maszynista.

**Proletariat kasuje pociągi...**

Czynownik zawrócił szybko i przepadł. Nie ma dokąd uciec.

## CZEŚĆ PIĄTA

Nadchodziła powstańcza noc. Robotnicy wytoczyli na arsenalski wał jedyne swoje działo, poukładali pociski i patrzyli w zamyśleniu na stare, rodzinne miasto.

Przez dobrą chwilę stali w milczeniu, wpafrując się szeroko otwartymi oczyma w miejski mrok, w odległą przeszłość swoją i swych rodziców, oraz wybiegając myślą w przyszłość.

Zaraz rozlegnie się ich pierwszy strzał w stary świat. Jego groźny pogłos rozejdzie się daleko,

obudzi śpiących w miastach, wsiach i chutorach Ukrainy. I długo nie zamilknie to echo. Ten mobilizujący łoskot przetoczy się przez wiele bratnich krajów. Narodzi się nowy świat, nowy porządek rzeczy. Będą układać o nim dumy i pieśni, napiszą poematy i książki. Działo postawią na cokole jako pomnik epoki swoich dumnych czynów i będą spoglądać na nie z uśmiechem, dziwiąc się jego skromnym rozmiarom; wszystkie dzieła przeszłości wydają się skromne.

Ale powróćmy do naszej armaty. Oto ona.

Rozmiarami jest rzeczywiście skromna, jak skromni są artylerzyści. Nie ma niczego heroicznego ani w ich twarzach, ani w fałdach ich odzieży; i dopiero wówczas, kiedy wystrzelawszy do wroga wszystkie pociski zginą śmiercią walecznych za rewolucję, zaścielając ziemię rodzinną swymi postrzelanymi ciałami, narody ujrzą, jak wielkie serca były pod szarymi szynelami.

Ale to jeszcze przyszłość. A teraz, w tę niepowtarzalną, świętą godzinę Tymisz Stojan, stojąc przy małym działku, powiedział te proste słowa:

— No cóż, towarzysze, zaczynamy, już czas.

I oto ładuje się działo pierwszym pociskiem.

Zanim jednak będzie oddany pierwszy strzał w kontrrewolucję, przejdźmy się bezludnymi ulicami Kijowa, przysłuchajmy się szeptom, zajrzyjmy do mieszkań bogaczy i biedaków.

Wszyscy czekają — każdy po swojemu. Każdy ma własne zmartwienia.

Gabinet ministra. Minister wsłuchuje się, sam jednak nie wie, w co. Jego starą duszę gniecie trwoga.

Oto mieszkanie mieszczan. Przy stole rodzina. Na twarzach niepokój. Czekają na syna, nieuka oficera. Wbiega młody oficer. Chwała Bogu żywy.

Czeka biedna rodzina robotnicza. Powrócą czy nie? Powrócą czy nie? Wchodzą dwie kobiety.

Gabinet ministra. Sekretarz podchodzi na palcach do okna. Patrzy ze strachem. Cisza.

„Arsenał”. Na dźwigu robotnik z karabinem. Ramię dźwigu powoli przesuwa się.

W mieszkaniu przebudziło się dziecko i płacze. Boi się samo, pozostawione w łóżku przez rodziców. Ale gdzie im teraz do dzieci.

Uwaga! Trzeba bacznie wpatrywać się w mrok.

Minister nie może usiedzieć w gabinecie. Ale trzeba siedzieć. Wnet ma się zacząć.

Robotnik przy armacie spluwa w dłoń, zacięła rękę.

Jak cicho! Minister w gabinecie słyszy, jak kołące jego stare, sklerotyczne serce.

Żałosna chatynka. Żyd szewc skrada się do okna.

Minister znieruchomiał przy stole, cały zamieniony w słuch i wzrok.

Nasłuchuje też czynownik. Uwaga, czynowniku! To cisza przed burzą!

Odejdź od okna, szewcze! Lepiej, żebyś odstąpił od okna, słyszysz?

Stary czynownik drepcze, zbity z tropu, po dywanie, naciera w roztargnieniu skronie.

Rodzina robotnicza. Wnet się zacznie, jeszcze chwila, sekunda, moment.

Oto robotnik przy armacie skręca papierosa. Zaraz go zapali i...

Na twarzy ministra coraz większa trwoga.

Telegraf szerzy popłoch. Rozbiegane ręce telegrafistów.

Takie same nerwowe, szybkie ruchy w centrali telefonicznej.

W nocnej ciszy zatrzymuje się dźwig, który dotąd powoli się obracał. Jest ciemno, więc nie wiadomo, jaką wykonywał pracę, ale jego znieruchomienie jest nie do zniesienia. Ach, żeby się już zaczęło!

Minister denerwuje się coraz bardziej. Sekwencja jego zmieniającej się twarzy.

Z prawej.

Z lewej.

Z przodu.

Bliżej!... Dość!

„Arsenał”.

Arsenałowiec przesuwa powoli gotowy do strzału karabin wpatrując się w mrok.

A w domu jego dobra matusia robi na drutach ciepłą skarpetkę. Nie może spać.

Ciemną ulicą przechodzi oddział petlurowców. Wrogowie otaczają „Arsenał”.

Zaczęło się. Podnosi się ręka. Armata!...

Pal!

Wystrzał.

Wśród hajdamaków krzątania. Zaterkotały ze wszystkich stron karabiny maszynowe rozbijając ciszę.

W mieszkaniach pełne lęku zdenerwowanie.

Nie można się dziwić, pociski armatnie wybuchają jeden za drugim.

Hajdamacy krążą ciemnymi ulicami jak stado wilków.

W mieszczańskim domu panika.

Oddział hajdamacki zanurza się w mrok. Gasną iskry spod końskich kopyt.

Stary szewc żydowski z przestachem odwraca się od okna. Zorientował się, że to strzelanina.

— Zdaje się, że oni już strzelają — mówi do swoich domowników.

Szewc mieszka gdzieś na przeciwległym przedmieściu. Strzały dochodzą z daleka. Bezludna ulica.

Powoli kuśtyka ulicą beznogi inwalida imperia-listycznej wojny.

Nastał szary, mroźny ranek. Życie w mieście zupełnie się zmieniło. Przy studniach ulicznych

długie kolejki po wodę wsłuchują się w terkot karabinów maszynowych i wybuchy bomb na Peczersku. Mieszczanie i czynownicy, którzy jeszcze nie tak dawno gardłowali na placu wystawiając Centralną Radę, stoją z dzbanami speszeni, wściekli. Kobiety też zbite z tropu i złe jak osy. Co teraz będzie?

Wszczyzna się kłótnia.

Czynownik pije łąpczywie wodę z wiadra.

W „Arsenale” strzelanina jakby nieco przygasała.

Biegnie żona robotnika, niesie mężowi obiad.

Nagle ze wszystkich stron posypały się strzały. Kolejka do wody rozpierzchła się. Na placu leży martwy czynownik z próżnym dzbanem.

Przed „Arsenałem” leży zabita żona robotnika. Naczynie stłuczone, chleb potoczył się na bruk.

Odgłosy bitwy przewalają się po jarach i urwiskach. Najeżyły się bagnietami przyległe do „Arsenału” budynki i całe dzielnice. Walczących niemal nie widać. Tylko nieustanne serie cekaemów i salwy wrogich baterii świadczą o rozmiarach i zaciętości walk.

Ranni zapełnili już cały arsenalski szpital. Poranione ręce, nogi. Obandażowane głowy. Zmęczone, wymizerowane twarze.

Pielęgniarki — żony robotników. Jedna z nich pisze list przy łóżku rannego. Żołnierz przekazuje swoje ostatnie życzenia:

— Kłaniam się niskim pokłonem...

Pielęgniarka zapisuje ten pokłon.

— I jeszcze kłaniam się wam do samej ziemi...

Rannemu przypomniały się koszary, przypomniały się przemówienia oficerów, polityków, agitatorów. Bieda długo gnębiła jego ród. Całe stulecia nędzy wykarbowały na nim swoje ślady. Jak trudno było mu zrzucać z pleców ten ciężar!

— Pytam ja was, czy można zabijać burżujów na ulicy, jeśli spotkam ich uzbrojonych?...

I tu urwało się jego życie.

Pielegniarka wkłada list do koperty.

— A jaki adres? Do kogo wysłać ten list?

Żołnierz leży martwy. Więc nie usłyszawszy, skąd on rodem — z Zaporozża, Riazania czy z dalekiego Sybiru — siostra wyjmując powoli list z koperty. I stojąc przy łóżku nad zmarłym, czyta nam wszystkim jego list:

— „Kłaniam się wam do samej ziemi...”

Głos surowy, w oczach łzy.

— „I pytam was wszystkich, czy można...”

I jakby odpowiadając towarzyszowi, robotnicy arsenałowcy w kontrataku na bagnety rzucili się na kontrrewolucję.

M o ż n a !

## CZEŚĆ SZÓSTA

Zabieliły się śniegi wokół Kijowa, rozszalały śnieżyce. Przy samotnej chatce na skraju wsi matka i córka. Wpatrują się w śnieżną dal, może ktoś jakąś wieść przyniesie, czy żywy, czy zdrow i gdzie on teraz jest.

Przelatuje oddział konny czerwonych partyzantów.

Pod Bachmaczem i Nieżynem toczą się krwawe boje. W ciężkich zmaganiach i kosztem wielkich ofiar Ukraina wyzwala się od kułaków i obszarników.

Śniegi zawiąły linię kolejową między Kijowem i Nieżynem.

Czerwonogwardziści rozciągnęli się po stepie wzdłuż szyn długą tyralierą. Spieszą na pomoc „Arsenałowi”. Stacząją po drodze dniem i nocą boje, pozostawiając na szynach zabitych i zamarniętych towarzyszy.

A na skraju wsi stepowa dal przykuwa do siebie oczy matek.

Dwie kobiety czekają z pochylonymi głowami; czekają, ale nie doczekają się, jak w pieśni albo w starodawnej dumie.

Przebiegło pięć osiodłanych koni bez jeźdźców. Z trwogą patrzą ośnieżone pola: gdzie jeźdźcy? Na szynach kolejowych ciała zamarzniętych.

Rozbiegają się osieroczone, bezdomne konie.

Jeden z jeźdźców leży na śniegu, żegna się z towarzyszami. Tak jak w pieśni:

— Hej, wy, bracia moi, towarzysze bojowi...

Stoją towarzysze nisko pochyliwszy głowy. Umiera ich ukochany dowódca Andrij Fedor-czenko.

— Przeżyłem cztery wojny i cztery lata służby wojskowej...

Żołnierze patrzą na umierającego towarzysza i umierający w szczerym polu dowódca po raz ostatni patrzy na towarzyszy i na konie, stojące w artyleryjskim zaprzęgu.

— ...i rok wojny domowej, bracia...

Twarze towarzyszy surowe i zamyślane. Luzak Tiahnybida odwraca wzrok, by ukryć łzy.

— Ginę od petlurowskiej kuli...

Wargi bieleją. Ostatnie słowa:

— Pochowajcie mnie w domu. Niedaleko stąd, pół godziny drogi. Nie widziałem domu dziewięć lat. Tylko spieszcie się, bracia. „Arsenal” czeka.

Towarzysze nałożyli czapki. Spojrzeli po sobie. Kładą umarłego na lawecie, przywiązują sznurkami.

W „Arsenale” wre walka. Kontrrewolucjoniści otoczyli go żelaznym pierścieniem. Arsenałowcy, pozbawieni snu, ale i lęku, ciągle na nowo kontratakują. Ojcowie zapomnieli o dzieciach.

Śnieżną równiną mkną artylerzyści — trzej jeźdźcy i sześć koni. Wokół ośnieżone lasy i rozległe stepy Ukrainy.

— Hej, koniki nasze dzielne! — woła jeździec na przodzie. — Spieszcie pochować naszego towarzysza, sławnego bojownika rewolucji!...

A konie jakby odpowiadały:

— Słyszemy, słyszemy, nasi gospodarze! Pędzimy wszystkimi dwudziestu czterema nogami!

Pędzą konie nad śniegami, migają namioty, słupy.

Wiożą na lawecie do domu martwego Fedorczenkę.

W „Arsenale” biją się już na moście.

Hajdamacy wdzierają się już do „Arsenału”.

Pędzą konie.

A za wsią nad świeżą jamą stoi z pokorą cicha i dobra matka Fedorczenki.

Pędzą konie.

Pędzi czerwona konnica do Kijowa.

Matka zastygła przy mogile. Podjeżdżają artylerzyści. Przywożą jej syna.

Stanęli. Konie parują. Wszystko nagli do pospiechu — szybciej, szybciej!

Konnica mknie przez ośnieżoną republikę.

Tak! Bojowcy położyli towarzysza przed matką na zmarzniętej ziemi, na skraju jamy. Co matce powiedzieć? Jak wyjaśnić? Czym pocieszyć?

Tyle tylko można jej powiedzieć:

— Masz, matko, syna. Tu nie ma nic do wyjaśniania. Rewolucyjne nasze życie i śmierć.

I znów mkną, by dopędzić konnicę, na Kijów.

Migocą śnieżne pola.

Matka nie zdążyła ani przywitać gości, ani łyronić i odezwać się do nich z żalnością: „Oj, synkowie moi, sokoły...”, jak jeźdźcy zniknęli już w niebieskiej mgłę, i tyle ich widziała.

Pomkniemy i my za nimi do Kijowa.

Bezludna ulica. Dudni samochód pancerny



„Wolna Ukraina”. Wokół pusto. Tylko między szynami tramwajowymi leży zabity robotnik.

Dudni „Wolna Ukraina”. Jęczy ziemia. Wydaje się, już-już rozgniecie robotnika ślepy kolos. Ale nie, ominął go. Wówczas robotnik szybko podrywa się i rzuca bombę. Samochód pancerny unieruchomiony.

A konnica już na przedmieściach Kijowa.

Robotnik zniszczył samochód pancerny, nie zdążył jednak uciec. Schwytany przez hajdamaków stoi na śledztwie w sztabie petlurowców. Już go prowadzą, skazanego, do pustej szopy. Wyrok na nim wykonuje jeden z mówców, który z taką zajadłością gardłował podczas uroczystego wiecu przy pomniku Chmielnickiego.

— Zniszczyłeś naszą „Wolną Ukrainę”! — woła do robotnika podnosząc nagan.

W jego oczach za szklami binokli nienawiść i strach. Drży nagan w jego rękę, drży mu głos.

— Stań... twarzą do ściany, żebym mógł ci strzelić w plecy.

Robotnik odwraca się, idzie w milczeniu do ściany.

Przestraszony mówca celuje do niego w potylicę i nie ma siły strzelić.

Hajdamacy wdzierają się już do „Arsenału”.

Ale konnica coraz bliżej. Konnica!

Robotnik szybko się odwraca.

Dlaczego wróg nie strzela? Dlaczego jego ręka drży?

— A jeśli podejść do ciebie, nędzny łajdaku? Jeśli zażadam, byś strzelił nie w potylicę, lecz w oko? No, naprowadź wreszcie ten twój trzęsący się nagan. Słyszysz, jak śnieg skrzypi? To jeźdźcy, moi bracia spieszą mi na pomoc. Dlaczego stoisz, strzelaj w twarz! W oczy! nie możesz?!

Ręce mówcy drżą. Oczy rozbiegane. Dolna szczęka obwisła. Diabli wiedzą, co się z nim dzieje, z głowy wyparowały wszystkie myśli, uleciały

gdzieś wszystkie słowa i uczucia, język wysechł, tylko jakiś trudny do wydobycia, mizerny dźwięk kołacze się gdzieś tam w środku, a właściwie nie dźwięk, lecz odczucie bezsiły dźwięku.

— A dlaczego ja mogę? — słyszy mówca głos robotnika, który zbliża się do niego i pewnym ruchem odbiera mu rewolwer ze zdrętwiałej ręki.

Przepadł! W oczach mówcy pustka. Bezsilnymi palcami naciska konwulsyjnie nie istniejący już spust. Na nic.

Nagan w rękę robotnika. Strzał. Kula w binokle. Koniec.

Na dziedzińcu „Arsenału” olbrzymia kupa dy-  
miących łusek od pocisków. Proletariusze, bojow-  
nicy wolności, stoją w obliczu śmierci.

Szopę przecina słoneczny promień. Leży ten, co  
przepadł za pańską Ukrainę. Nad nim pogromca  
„Wolnej Ukrainy” z naganem w rękę.

## CZEŚĆ SIÓDMA

Nastąpiła noc. Obrońcy „Arsenału” nie szczędzili  
ni pracy, ni krwi. Nie śpią już siedemdziesiąt je-  
den godzin. Trzy dni i cztery noce nieprzerwanej  
walki z oficerstwem i hajdamakami wyczerpały  
robotników. Wielu rannych, wielu zabitych. Nie  
ma ich kto pochować. Leżą poranieni, stężali na  
mrozie, uśmiechając się do wieczności.

Godzina siedemdziesiąta druga

Wokół armaty leżą łuski po wystrzelonych po-  
ciskach. Przy dziale robotnicy artylerzyści. Chce  
im się spać. Zmęczonymi oczami wodzą po polu  
bitwy. Jeden z nich podniósł pustą łuskę, spoj-  
rzył na nią, rzucił... Spać!

Przy następnej armacie dwaj robotnicy. Jeden,  
ranny w głowę, wyjmuje duży, kolejarski zega-  
rek. Przykłada do ucha, słucha, czy idzie. Ciężkie

myśli. Czy nie ostatnią już noc stoją przy tym swoim groźnym warsztacie? Czy nie ostatnie już świecą im gwiazdy? Ale chyba nie widać gwiazd.

— Jaka też będzie jutro pogoda?

Ranny w głowę powoli nakręca zegarek.

— Stał. Myślę, że jutro i z nami będzie koniec. Stał. Szedł, szedł i stanął.

Dudni ciężko, coraz głośniejszy, nieprzyjacielski samochód pancerny zbliżając się do „Arsenału”.

Zaterkotały w „Arsenale” karabiny maszynowe. Uderzyły działa.

Za wozem pancernym idą do ataku hajdamacy.

Tymisza Stojana trudno poznać. Już drugą dobę nie wypuszcza z rąk kaemu.

Ale tym razem hajdamacy wdarli się ostatecznie do „Arsenału”. Nie było już czym się bronić.

— Pociski!

— Nie ma!

Wszystko utonęło w dymie.

Nie ma ani pocisków, ani naboju. „Arsenał” zamilkł.

Wrogowie triumfują.

Drogo kosztowało ich to zwycięstwo. I jeszcze drożej zapłacą za swój krótkotrwały triumf ci, co próbowali cofnąć historię. Ale jednak tak było.

„Arsenał” padł. Tylko jeszcze na poszczególnych odcinkach słycać strzelaninę.

Z Kijowa płynie niedobra wieść, szerzy się wśród klasy robotniczej. Radują się krótkowzroczni zawracacze historii, triumfuje mieszczaństwo.

Pijani hajdamacy ruszyli do tańca.

Na dziedzińcu prowadzą pojmanyh arsenałowców pod wysoki ceglany mur. Na przodzie, wspierając się na ramionach towarzyszy, idzie stary, ranny robotnik.

Do „Arsenału” wdziera się nowa zgraja uzbrojonych hajdamaków.

Zaczyna się rozstrzelywanie.

Robotnicy padają przy swoich warsztatach, obryzgując je krwią.

Padają rozstrzelani na dziedzińcu, pod ceglanym murem.

Padają obok rozbitych armat.

Hajdamacy mają nisko nasunięte kaszkiety, nie widać ich oczu. Zaciśnięte szczęki w krostach. Powolny ruch naganów w zbrodniczych rękach.

Padają ojcowie, bracia, towarzysze, padają na ziemię hardzi, nieujarzmieni. Nie czekajcie na nich, sieroty, matki, wdowy, nie pytajcie:

— Gdzie ojciec?

— Gdzie mąż?

— Gdzie syn?

W nędznych izbach i w suterrenach pustka, smutek i płacz.

Noc na dziedzińcu „Arsenału”. Padają, wciąż jeszcze padają ojcowie i synowie, padają w śnieg i kurz.

Ranny robotnik z zakrwawioną opaską na oczach. Zaraz i on upadnie. Seria!

Pusto w oddziałach „Arsenału”. Zamarły warsztaty.

— Gdzie ślusarze?

— Nie ma ślusarzy.

— Gdzie kowale?

— Nie ma kowali.

Zagłada i zniszczenie. Ludzi się jednak nędzny zwycięzca, że bój się skończył. Nie skończył się! Walka dopiero się rozpoczyna. Już kawalerzyści wdzierają się od północnej strony do miasta.

A na ostatnim bastionie „Arsenału” Tymisz prąży do wrogów z karabinu maszynowego.

Podbiegają do niego hajdamacy... Ognia! Kaem zaciął się. Tymisz jest wściekły, trątuje broń, wyprostowuje się i zaczyna rzucać kamieniami w nacierającego wroga.

— Stój! — krzyczą hajdamacy zatrzymując się.

— Kto przy kaemie?

— Ukraiński robotnik. Strzelaj! — Tymisz wyprostował się, rozdarł na piersiach koszulę i stoi jak odlany z metalu. Tylko oczy pałają straszliwą nienawiścią i gniewem.

Trzy strzały oddali do niego hajdamacy, ale widząc ich bezskuteczność, zaczęli krzyczeć w zdumionym przerażeniu:

— Padaj! Padaj!

I zniknęli.

Stoi Tymisz — ukraiński robotnik.

# ZIEMIA

Scenariusza „Ziemi” faktycznie już nie ma. Pochłonął go pożar Wielkiej Wojny Narodowej wraz z całym archiwum autora. To, co tu napisałem, jest tylko autorskim wspomnieniem o scenariuszu i filmie, stworzonym na podstawie tego scenariusza jeszcze w trzydziestym roku, w przededniu wprowadzania w naszej socjalistycznej ojczyźnie gospodarki kołchozowej.

A u t o r

## I

Nie wiem, czy rzeczywiście tak było, czy to mi się przyśniło, czy też może sny splotły się ze wspomnieniami oraz reminiscencjami ze wspomnień; już nie pamiętam. Pamiętam tylko, że dziadek był bardzo stary i że kojarzył mi się z obrazem jednego ze świętych, którzy chronili i zdobili naszą starą chatę.

Pośród jabłoni, grusz, w krzakach porzeczek i agrestu — zawsze gdzieś tam w sadzie odcinała się od zieleni jego biała broda.

I pamiętam jeszcze ten letni dzień, w którym wszystko wokół wydawało się szczególnie piękne: sad, ogród, słoneczniki i maki, i pola za ogrodem. A w sadzie, akurat koło piwnicy, wśród jabłek i gruszek leżał na starej białej siermiędze mój dziadek Semen, dawny czumak, w białej koszuli, cały jakby biały i prześwietlony starością i dobrocią.

Miał chyba ze sto lat; no, może trochę mniej, ale jakoś przyjemnie pomyśleć, że właśnie sto, bo to było bardzo dawno i to było piękne. I leżał jakoś pięknie, jak na obrazie. I jak gdyby jakiś blask bił od niego, a może tak się tylko wydawało, bo się uśmiechał, i była jeszcze niedziela, i jakies tam święto.

Koło dziadka siedział na starym pniu jabłoni

jego dawny towarzysz i przyjaciel, Hryhory, też już bardzo stary, nie przypominał jednak żadnego świętego z obrazów, bo nie miał brody. Nie nosił wprawdzie brody, ale miał mocno przydymione wąsy, które nadawały mu groźny wygląd starodawnego woja. Dziadek opowiadał nam, że kiedyś, bardzo już dawno temu, Hryhory był najsilniejszym chłopakiem w całej guberni. Przez czterdzieści chyba lat rozwozili wołami sól i spirytus przez stepy od Czernihowa i Konotopu do Stawropola, Berdiańska i Jass, a nawet do samej Moskwy, nigdzie jednak nie spotkali równego mu siłacza. Hryhory nie był zbyt rozmowny, raczej zamknięty w sobie, ale dziadka kochał szczerze i odwiedzał go przynajmniej trzy razy do roku. Ubierał się schludnie, był zawsze poważny i skupiony, jakby nieustannie nad czymś dumał.

Teraz też siedział obok przyjaciela zamyślony i wreszcie po dłuższym milczeniu zapytał:

— Umierasz, Semenie?

— Umieram, Hryciu — przyznał się cicho dziadek i uśmiechnąwszy się lekko przymknął oczy.

Nadeszła matka; czuła, co dzieje się pod jabłonią, i zamyśliła się.

— Tak... No to umieraj — powiedział Hryhory i odwrócił się. W trawie, wśród spadłych z drzewa jabłek, siedział sobie dzieciak, który jeszcze zupełnie nie rozumiał życia. Trzymając w rękach jabłko próbował z uporem ugryźć je dwoma swoimi pierwszymi ząbkami, ale jabłko było o wiele za duże jak na usta dziecka.

— Umieraj, Semenie — rzekł Hryhory. — A jak już umrzesz, to daj mi jakiś znak z tamtego świata, gdzie ty tam będziesz, w niebie czy w piekle, no i jak ci tam.

— Dobrze, Hryciu — obiecał dziadek, przygotowując się do ostatniej czumackiej wędrówki. — Jak tylko będzie można, to na pewno dam znać, przyśnię się albo jakoś się przywidzę — rozwa-

żał pogodnie najprostsze sposoby porozumiewania się z opuszczanym przez siebie światem.

Dziadek nigdy na nic nie chorował, więc nie umarł tak szybko. Uniósł się jeszcze lekko, bez niczyjej pomocy, usiadł i rozejrzał się wokół. Od chaty zbliżał się do niego syn Opanas z wnukami Wasylem i Orysią, niosąc miskę z gruszkami.

— A może by tak coś zjeść? — pomyślał głośno dziadek, spoglądając na zebraną wokół niego rodzinę.

Orysia podeszła do niego z gruszkami. Dziadek wziął z miski jedną gruszkę, obtarł ją rękawem białej koszuli i zaczął jeść. Była to jego ulubiona rumiana klapsa. Widocznie zjadł już jednak wszystkie gruszki, jakie mu były przeznaczone, bo gdy tylko ugryzł ją i zaczął żuć, jak to miał w zwyczaju, serce zaczęło bić coraz wolniej. Zrozumiał to: odłożył napoczętą gruszkę, przyprowadził do ładu brodę i koszulę, spojrzął raz jeszcze na wszystkich i złożył ręce na piersiach.

— No, żegnajcie, umieram — powiedział z uśmiechem, opuścił się cicho na posłanie i umarł.

Śmierć dziadka w niczym nie naruszyła otaczającego go świata: nie zagrzmiało w chmurach, groźne błyskawice nie przecięły oślepiająco nieba, ani burze nie poprzewracały z korzeniami potężnych dębów.

Południowe niebo, bez jednej nawet chmurki, jaśniało nadal. Wokół była cisza. Tylko gdzieś jabłko spadło miękko na trawę. Nawet słońce znieruchomiał. Cały ten słonecznikowy świat trwał w bezruchu jak chór dzieci o ładnych twarzyczkach wzniesionych radośnie ku górze. A nad tymi twarzyczkami cicho przelatowały osieroczone przez dziadka złote pszczoły.

Z rodziną dziadka też nie działo się nic osobliwego. Sprawy potoczyły się w takim jakimś naturalnym rytmie, że jego najbliżsi nie wpadli ani w rozpacz, ani w smutek. I tylko na moment



serca ich przepęłniło jakieś dziwne wzruszenie i przecucie tajemnicy bytu — jakby wszyscy dotknęli nagle bezkresu czasu i jego harmonijnych praw. A poza tym dziadek chociaż umarł, to jednak nie chciał rozstać się z uśmiechem, który i teraz jeszcze rozjaśniał łagodnie jego oblicze. Trzeba powiedzieć, że za życia jego twarz też nie miała rysów heroiczych.

— Lubił gruszki — rzekł do Orysi ze smutnym uśmiechem jej starszy brat Wasyl, korespondent wiejski, i znowu spojrzał na dziadka. Dokonawszy wszystkiego, co było mu przeznaczone, dziadek leżał pod jabłonią ze złożonymi na piersiach, starymi, żyłastymi rękami.

Dziadek Semen był człowiekiem prostym i mało oświeconym, co nie przeszkodziło mu odegrać z Hryhorym w XIX stuleciu nie byle jaką rolę w krzewieniu nauki i oświaty w narodzie ukraińskim. Czumakując przez ponad trzydzieści lat na szlaku od Moskwy do Morza Czarnego przewozili swoimi wołami książki dla uniwersytetu charkowskiego, o czym nieraz wspominało się w sadzie przy kielichu.

— Ho, ho! Gdyby nie ja i Hryhory, nikt by nawet nie powąchał tej nauki w Charkowie. Ileż to tych książek przewieźliśmy przez te trzydzieści lat z hakiem! Samymi tylko okładkami można by podzelać ze trzy tysiące par butów.

— He, he! — dopowiadał Hryhory. — Ktoś je tam teraz czyta. A kiedy już przeczyta wszystkie, to wtedy nawet sam diabeł go nie oszuka.

Taką oto pozostała mi w pamięci cicha śmierć mojego dziadka latem 1930 roku pod jabłonią w sadzie, ogrodzonym jego własnymi rękami solidnym płotem.

A właściwie całą tę opowieść można by zacząć pieśnią:

Po niebie jasna toczyła się gwiazda  
I na ziemię runęła...

Wątpliwe, czy gdzieś jeszcze w jakichś innych krajach śpiewają tak pięknie i dźwięcznie, jak u nas na Ukrainie. I nie jest to jakaś czcza przechwałka przed światem, każdy bowiem, kto sam śpiewa, zgodzi się z tą opinią.

To z tą właśnie pieśnią wracaliśmy zwykle wraz z bohaterem tej opowieści z pracy. A czy jest na świecie coś radośniejszego i przyjemniejszego od dobrej roboty? I czy może być coś miłszego sercu od powrotu o zachodzie słońca do domu po całodziennej kośbie na wesołej łące? Ciało przyjemnie omdlałe, spokój w sercu, nie ukończyłeś jeszcze dziewiętnastu lat, a obok ona z grabkami, a pod bosymi stopami, jej i twoimi, ciepła ziemia z odcisniętymi śladami kół i kopyt, pokryta miękkim jak puch, ciepłym pyłem lub rzadkim błotem, które tak przyjemnie łaskocze między palcami. I słowa pieśni same się śpiewają:

Tańcz, tańcz, baw się, młodziutka dziewczyno,  
Odprowadzę do domu!...

Idziesz w doborowej kompanii kosiarzy i idąc tak widzisz i wieczorne niebo, i jasną gwiazdę, i ją z grabkami na krągłym dziewczęcym ramieniu.

Idziesz i słuchasz, i czujesz w sobie ziemię rodzinną, która karmi ciebie nie tylko chlebem i miodem, ale i myślami, pieśniami i zwyczajami, i która nie tylko karmi i wychowuje, lecz kiedyś przyjmie do swego macierzyńskiego łona, jak przyjęła twoich pradziadów i dziadka pod jabłonią.

Nie będziemy jednak obciążać fabuły nawet drogimi sercu wspomnieniami i podążymy szybko za biegiem wydarzeń, bo zdaje się, że akcja już się rozpoczęła.

Za dziadowym płotem błyskawice. Za dziadowym płotem burza przewraca dęby z korzeniami, gromy rozsadzają ciszę.

To Archyp Biłokoń rwie na sobie koszulę, chwytając się za kudłaty łeb. Dławi go taka rozpacz i rozsada nienawiść taka, że aż chata się trzęsie i w sieni dudni.

Żona, trzy córki i babka — wszystkie zawodzą i lamentują. Wyją psy. Nawet konie w stajni, czując nieszczęście, parskają chrapliwie i przebiegają niespokojnie nogami.

Komu Biłokoń tak wygraża przy oknie, zgrzytając zębami?

I czego szukają w jego chacie dwaj sąsiedzi, czy też bracia, oraz pop Herasym?

Skąd ten straszny popłoch?

Co się takiego zdarzyło?

Więc żyje sobie wieś od niepamiętnych czasów, przytulona do wzgórza nad cichą zatoką, pracuje, rozmnaża się, orze, sieje, karmi świat chlebem, śpiewa, śmieje się, płacze, umiera — cicho jak w jeziorze. Ale kiedy się coś wydarzy, to już coś takiego, że ani by tego nie wymyślił, ani w śnie nie wyśnił, i na całym świecie nie spotkałby czegoś podobnego; i początkowo trudno pojąć, co to takiego, skąd, dlaczego i po co. A potem przez długi czas kotłuje się — nie ustaje paplania naocznych świadków, wspomnienia bezpośrednich uczestników, relacje starych łgarzy. I wtedy trudno już dociec, czy tak było, czy też nie tak, i czy było w ogóle, czy też tak się tylko zwidziało Archypowi Biłokoniowi.

Nie, nie zwidziało się. To przyszło i jest. Z rewolucyjnego ładu zrodziła się nowa siła z taką oczywistością, jak świat rodzi się ze świata. Październikowa rewolucja socjalistyczna zbliżała się do wsi ze sztandarem kolektywizacji.

Archyp Biłokoń nie zrozumie jednak tego, dopóki tego nędznego i ciemnego obrońcy kawałka ziemi nie wywiozą do innych krajów, póki nie zniknie z powierzchni ziemi nie tylko jego imię, ale nawet wszelki po nim ślad.

Nie darmo więc psy tak żałośnie wyją swą psią żalność. I nie darmo ta trwoga. Zaczęły się markowskie rozrachunki z ziemią za całe stulecia.

Ciężko jest Archypowi Biłokoniowi. Czy mało się matrudził? Aż wyszło w gardle z nienawiści! Dziś już po raz setny przeklął nową władzę i nowy ład, i urodzaje, i ziemię, i nawet deszcz, zaklinając go, by nie polewał kołchozowych pól.

Gdyby mógł zabić korespondenta wiejskiego Wasyla, powiesić go lub udusić! Nawet gdyby go dusza opuściła, gdyby padł trupem tu, na podwórzu, i cała jego rodzina lamentowała nad jego marnym losem, to nawet martwy trzęsłby się z wściekłości i przeklinał Wasyla z tamtego świata.

— Dość już tych lamentów! — huknął pięścią w stół, aż chleb i nóż podskoczyły na pół arsyzna.

Zaległa cisza jak przed wybuchem bomby.

— Niech dobrodziej czytają dalej — wycharczał Biłokoń, przyłgnąwszy wielkimi, ciemnymi oczyma do gazety w rękach popa Herasyma.

Pop wyczytuje z gazety podzwonne wszystkim wrogom nowego życia kołchozowego, a w szczególności jemu:

„...Archypowi Biłokoniowi, który podrywa ład kołchozowy, ukrywa zboże na siew, niszczy pogłowie bydła...”

Kobiety znowu zarzępoliły na czworo skrzypiec. Biłokoń zakrył twarz rękami, potem nagle chwycił za siekiere i pognął jak szalony. Rodzina za nim. Dokąd? Sam nie wiedział. Wydaje mu się, że biegnie odrąbać głowę korespondentowi wiejskiemu Wasylowi, który być może stoi przy nieboszczyku dziadku. Już podbiegł do niego, chwytą go

za gardło, zamierza się siekierą. Uczepiły się jej żona i córki.

— Puśćcie!

Nie puszczają. Wbiega młodszy Biłokoń, Choma, i też go powstrzymuje. Bo Archyp Biłokoń trzyma za gardło nie wiejskiego korespondenta, lecz własnego konia w stajni.

— Nie dam! Puśćcie mnie! Zarąbię!

Chrapią w stajni konie Biłokonia i wyją psy.

Ojciec korespondenta wiejskiego Wasyla, średniak Opanas Trubenko, był człowiekiem powolnym. Nigdy w swoim życiu donikąd się nie spieszył i pozostał temu wierny do dziś. Do kołchozu też się nie spieszył, chociaż zamierzał to zrobić już od dawna. Zresztą, jak mu się zdawało, było wiele powodów, żeby nie wstępować: a to to, a to owo, to stary ojciec umarł, to znów jakoby wstępował już dwa lub trzy razy, ale jakoś nie wstąpił, chyba nie zapisali jak trzeba, czy co? A wreszcie cóż to można wiedzieć, może się obejdzie, to trudna sprawa.

— Już sam nie wiem, co robić — przyznał się kiedyś żonie Odarce, gdy nie było w pobliżu dzieci. — Nie bez powodu wymyślają nam od średniaków... Jednym uchem słuchasz zarządu kołchozu i Wasyla, a w drugie jakby sam diabeł naszeptuje: „Nie idź, nie idź, nie idź...”

— Oj, prawda — westchnęła żona.

— Jak świat się zmienił! Gdzie spojrzę, dokąd się ruszę, słyszę, że wszystko się zmieniło. Nawet nasza chata nie jest już ta sama. Zauważyłaś? Jakby już nie całkiem nasza, chociaż niby nasza. Jakby ściany w niej się rozstały, a wiatr zerwał strzechę i poniósł gdzieś... i wszystko stało się jakoś jasne... tak jasne, że aż straszne... Zniknął spokój. I tak, Odarko, jak Dniepr nie

zawróci wstecz, tak też nie zawróci życie. Co było, minęło...

Opanas zamilkł. Żona patrzyła na niego ze zdumieniem, nigdy tak wiele nie mówił. Po chwili namysłu Opanas westchnął.

— No to jak, może wstąpimy? Jak myślisz? Do kołchozu. I Wasylkowi będzie przyjemnie... Bo ludzie już szemrają: syn wiejski korespondent, namawia chłopów do kołchozu, a ojciec i matka siedzą spokojnie w domu.

— No cóż — zgodziła się Odarka, ale tak, żeby ta jej zgoda mogła wyglądać też na jej cichą opozycję. — Dobrze. Tylko tak sobie umyśliłam: sami wstąpić możemy, ale woły i krowy zostaną przy nas...

Opanas nie oponował. Na podstawie bogatego doświadczenia małżeńskiego wiedział, że jego protest nic nie dałby prócz niepotrzebnego krzyku i przykrości w domu, a poza tym jako dobry i łagodny człowiek nie mógł drażnić żony, zwłaszcza teraz, kiedy lada dzień spodziewała się ostatniego dziecka.

Wasył był uszczęśliwiony. Ojca decyzja wstąpienia do kołchozu uskrzydliła go. Trzeba będzie jeszcze co prawda przewalczyć naiwne „warunki” matki, ale tak w ogóle, to wszystko jest w porządku, tak jak być powinno. Po jakimś czasie ojciec i matka sami przekonają się, jak to pięknie i mądrze. Wczoraj oglądał w zarządzie plany kolektywizacji ziemi. Dostrzegł w nich jakby własne zaplanowane życie, jego sens, a może i sławę. Wydawało mu się, że nie jest zwykłym wieśniakiem, lecz działaczem państwowym Wasylem Trubenką. I że jego wieś to już też nie żadna ciemna, bierna masa, lecz klasa.

— No, teraz to już przyszedł koniec na kułaków-gnębicieli. A kiedy jeszcze otrzymamy, ojcze, nowe maszyny!... Oby jak najprędzej!

Opanas Trubenko znalazł się trochę na maszynach

rolniczych; za młodu służył przez dwa lata u Falzfeina w Kachowce i widział, jak koszone nimi zboże. Tylko dlaczego właśnie Wasyl ma się o to dobijać? Niechby kto inny tym się kłopotał, czyż to mało na wsi chętnych ludzi?

Ale oto Wasyl stoi już przed ojcem, gotowy do drogi. Opanas pobębnił palcami po stole.

— A może byś ty, Wasylku, nie tego... jak go tam...

Ale Wasyl nie rozumie ojcowskiej rozterki. Jakby nie słyszał jego słów. Ponosi go radość i żądza działania. Jest tu już obecny tylko połowicznie.

— Jak już otrzymamy maszyny, ojcze, to odbierzemy kułakom wszystką ziemię! Wszyściuteńką!

Opanas spojrział w okno, żując skórkę od chleba.

— Ano mówię tylko... żebyś nie tego... jak go tam... Może by tego... obeszło się bez ciebie?

Wasyl potrząsnął głową i roześmiał się. Opanas poczuł się tym dotknięty. Jakże to? Z ojca się śmiać?

— Nie powinienes jechać. I tak już cała wieś się śmieje.

— To nie cała wieś, ojcze, tylko kułacy i durnie — odciął się Wasyl.

— Więc to tak! To tak się teraz mówi do rodziców! — Opanas wstał gwałtownie od stołu. — To według ciebie jestem durniem, tak?

— Nie, nie jesteście, ojcze, durniem, tylko postarzeliscie się — odparł śmiało Wasyl, patrząc z uśmiechem ojcu w oczy.

Nie wiadomo, co Opanas odpowiedziałby na to, bo w tym momencie otworzyły się nagle drzwi i wszedł do izby nowy przyjaciel Wasyla, sekretarz powiatowej organizacji komsomolskiej, Czupryna czy też Krawczyzna, Opanas nie mógł zapamiętać jego nazwiska. Nazywał go po prostu

„Jaczejką”\*, i nie to, żeby go nie lubił — raczej lubił go, ale z daleka. A tu, w domu, z bliska starczało mu cierpliwości nie więcej niż na pół godziny, tak bardzo drażnił go ten Czupryna, czy też Krawczyzna swoją hałaśliwością, śmiechem i niewiarygodnie szybką i głośną gadaniną.

— O, już przyniosło Jaczejkę.

Opanas odwrócił się i usiadł przy oknie.

— No, rozpocznaj ten swój wiec.

Zanim jednak oddamy głos mówcy, musimy wyznać szczerze: Opanas lubił tego Czuprynę czy Krawczynę również u siebie w domu. To nic, że chłopak miał usta od ucha do ucha i twarz piegowatą, jakby opalał się przez sito, ale za to w jego głowie roiły się niegłupie myśli; że też Pan Bóg tyle pomysłu dał jednemu człowiekowi. Miał tylko jedną przykrą wadę: poucza wszystkich, diabelskie nasienie. I nie wstydzi się ani własnej młodości, ani cudzej starości — poucza wszystkich, kto mu się tylko nawinie. Taka już natura! A o delikatności to już lepiej nie mówić.

— Nie będę się odwracał — skrzywił się Opanas. — Niech tam przewraca świat do góry nogami, kiedy już przyszedł.

Nie wiemy, niestety, o czym mówił Czupryna czy też Krawczyzna. Widać tylko było, że usta mu się nie zamykają, a ma w nich chyba sto zębów, z oczu aż iskry się sypią, piegi mienia się różnymi odcieniami, a od całej jego ruchliwej postaci, od niesformej rudej czupryny, wesołego uśmiechu, od wyrazistej mimiki, z jaką przekonuje Opanasa jak nierozgarniętego żółtodzioba, śmieje się z niego, to znów zwraca się do niego z wyraźną sympatią, by następnie czynić mu jakieś wyrzuty i besztać go — od całej tej jego niepowtarzalnej, dynamicznej młodości tchnie ta-

\* Jaczejka — tak pierwotnie nazywano komórkę partyjną i komsomolską.



kim niepohamowanym optymizmem, że cała cha-  
ta poweselała, jakby nagle sufit uniósł się w gó-  
rę; i kiedy ten Czupryna czy Krawczyzna wyszedł  
wreszcie z Wasylem, trzasnąwszy drzwiami i głoś-  
no jeszcze o czymś rozmawiając w sieni a potem  
na podwórzu i na ulicy, Opanas odwrócił się i ja-  
koś z rozmarzeniem pomyślał głośno:

— A to ci diabłęta! Cudo!

Potem wstał i spojrział przez okno.

Długo nie mógł zapomnieć tej rozmowy.

„Być może prawda jest po ich stronie. Chyba  
jednak po ich. Nie te czasy. Teraz już wołami  
daleko się nie zajedzie” — rozmyślał orząc swój  
mizerny zagon.

Nagle od drogi doleciał głos:

— No to jadę, tato!

Opanas obejrzał się: Wasyl. W towarzystwie ta-  
kich jak on, z Krawczyną oczywiście na czele,  
z torbami na ramionach. „Pojechali do stolicy po  
traktory. Ależ to narwańcy! A jak śpiewają! Nie  
gorzej, niż my kiedyś, a może nawet ładniej.”

Odprowadzał ich spojrzeniem. Wnet zniknęli w  
jarze i tylko niosła się jeszcze nad polami ich  
pieśń:

Tańcz, tańcz, baw się, młodziutka dziewczyno,  
Odprowadzę cię do domu...

...I tylko słupy telegraficzne biegły w dal rów-  
nym, malejącym rzędem.

W tym czasie dziadek Hryhory, namaściwszy  
głowę oliwą z lampki, poszedł na cmentarz do  
swego zmarłego przyjaciela. Starzy ludzie powia-  
dają, że kiedyś cmentarz był u nas za wsią, jed-  
nak z czasem zarówno zmarli, jak i żywi, posze-  
rzyli swoje włości i teraz cmentarz znalazł się  
już niemal w obrębie wsi. Takie jego obecne usy-  
tuowanie było z wielu względów bardzo wygodne.  
Co prawda nie można powiedzieć, że nieboszczy-

cy czują się obecnie jak u siebie w domu, ponieważ nie mają żadnych odczuć, trzeba jednak stwierdzić z całą pewnością, że przebywają niewątpliwie na własnych śmieciach. Tu bawiły się wokół grobów dzieci, tu w niedziele przychodziły posiedzieć kobiety. Starzy ludzie powiadają, że w naszej wsi nie tak strasznie umierać, jak gdzie indziej. Na naszym cmentarzu nie było nic szczególnego, jak na przykład granitowe czy marmurowe pomniki. Na prostych drewnianych krzyżach suszyła się niekiedy bielizna albo sterczała jakaś makutra lub garnek. Świeży, jesionowy krzyż miał też dziadek Semen, który, jak wiadomo, nie lubił żelaza również za życia. Właśnie przy tym krzyżu zatrzymał się Hryhory.

Chociaż już była mowa o tym, że dziadek Hryhory nie był rozmowny, chciałoby się raz jeszcze przypomnieć, że był istotnie małomówny. Cecha ta stała się szczególnie widoczna po jego nieudanym przesiedleniu się w 1907 roku na Daleki Wschód.

Hryhory bardzo lubił ciszę. Dowiedziawszy się, że gdzieś tam na Oceanie Spokojnym jest nie zajęta ziemia i przypomniawszy sobie dalekie wędrówki za młodych lat, niewiele myśląc zaprzągnął swego - myszatego konia i ruszył w milczeniu „własnym szlakiem” na Wschód w towarzystwie żony Charytyny i psa Sułtana, którego ceniał za wyjątkowy takt i niechęć do szczekania. Sułtan wypełniał wszystkie psie obowiązki w milczeniu. Hryhory zabrał ze sobą w drogę sporo wszelakiej żywności i tytoniu. Był namiętym palącym, przy czym smalił tytoń tak piekielny, że nie wytrzymało go nic, co było w pobliżu żywego. Strońiły od tego dymu kury, gęsi, świnię. Gdy Hryhory palił, psy okrążały jego chatę z daleka poprzez ogrody, a jego synowa Halka nocowała w sieni, bojąc się umrzeć od oddechu dziadka. Powiadano, że tego jego oddechu obawiały się

nawet ryby, dlatego słabo brały. Kiedy szedł na ryby obok naszej chaty, nad zaułkiem długo jeszcze wisiał w powietrzu tytoniowy odór.

Tylko trzy istoty były nań niewrażliwe: babka Charytyna, koń i Sułtan.

Dla dopełnienia obrazu trzeba jeszcze dodać, że o ile dziadek Hryhory, jego koń i Sułtan lubili ciszę i milczenie, o tyle babka Charytyna — wprost przeciwnie — lubowała się w głośnym przeklinaniu wszystkiego, co tylko wpadło jej w oczy. Zdawało się, że bez tych przekleństw nie może przeżyć nawet jednej godziny. Tryskały z jej ust niepowstrzymanym potokiem, jak poecie wiersze, z najbliższego nawet powodu. Przekleństwa były jakby twórczą koniecznością gwałtownej natury tej ciemnej, starzejącej się kobiety.

Nietrudno wyobrazić sobie odrębny film w dwóch seriach o podróży dziadka Hryhorego do Oceanu Wielkiego czy Spokojnego w poszukiwaniu ciszy; żeby jednak nie zaplątać się w filmie, zrezygnujemy chyba z tych dwóch serii i korzystając ze wspomniałego, prześlicznego poranku letniego, przeniesiemy się od razu do Starych Młynów.

Co to za wrzawa na bazarze?

Dokąd tak wesoło spieszy staromłyńska gromada? Czyżby to stary Hryhory Towczenyk powrócił z Dalekiego Wschodu?

Zgadliście.

Kiedy dziadek Hryhory po długiej nieobecności wjechał na bazar, z miejsca zwrócił na siebie uwagę jarmarcznej ciżby. I nie upłynęło nawet pół godziny, jak cały bazar huczał wokół niego niczym pszczoły wokół matki.

— Patrzcie! Hryhory wrócił!

— Gdzie? Skąd? Jaki Hryhory?

— Towczenyk! Ten z Zielonego Klina.

— Z Zielonego Klina? I Charytyna też?

— I Charytyna, nie widzicie?

— I Charytyna, i koń, i Sułtan?

— Tak, to chyba on we własnej osobie.

— A jużci. Jaksiemasz, Hryhory!

— Pochwalony!

Rzeczywiście koń i pies Sułtan wyglądali niemal tak samo, jak wówczas, gdy Hryhory wyruszał na Daleki Wschód.

I oto, przewędrowawszy dwadzieścia tysięcy kilometrów w różnych długościach geograficznych, koń i Sułtan zatrzymali się na tym samym placu, skąd trzy i pół roku temu ruszyli w drogę do Oceanu Spokojnego.

— Ile też to będzie wiorst? — spytał Hryhorego nasz dziadek Semen, który wówczas jeszcze żył.

— A kto je tam liczył? — odparł powściągliwie wędrowiec. — Nikt ich nie zliczy.

— Ponoć dwadzieścia tysięcy z hakiem w obie strony.

— Czort go wie. Może i uzbierało się dwadzieścia, nic wielkiego.

— No dobrze — dopytywali się sąsiedzi. — A dlaczego wróciliście z tych dalekich krajów?

— Żonie się nie podobało — odrzekł Hryhory.

Cały bazar pokładał się ze śmiechu.

Przestraszony tym śmiechem Sułtan wskoczył pod wóz i zaczął stamtąd obszczekiwać bazar pełnym oburzenia ujadaniem. Koń też podniósł łeb i szarpnął dyszlem do tyłu. Jeden tylko Hryhory nie tracił równowagi ducha. Poprawił sybirskim biczyskiem szleję na koniu obieżyświacie i czekał cierpliwie aż się do woli wyśmieją. Chciał być może powiedzieć jeszcze coś niecoś na temat swojej żony, która siedziała w tyle wozu jak gęś na gnieździe, ale w tym momencie podszedł do niego dyrektor miejscowego muzeum krajoznawczego, człek wielce uczony i wszystkiego bardzo ciekaw.

— Ż waszego konia, Hryhorze Tarasowiczu,

trzeba by koniecznie zdjąć skórę — rzekł autorytatywnie i spojrział wokół. — Nie śmiećcie się! Bezwzględnie trzeba zdjąć, wypchać słomą i wystawić w muzeum, bo to fenomenalne zjawisko.

— Zgoda — odparł Hryhory, wyjmując kapciuch z machorką. — Tylko że ja bym zdarł skórę nie z konia i nie z Sułtana, ale z kogoś innego, a z kogo dokładnie, to wam powiem, jak będę umierać.

— Ludzie dobrzy, ratujcie — podniosła nagle wrzask Charytyna. — On chce go zamordować, żeby cię Pan Bóg skarał! Matko Boska, królowo niebieska!...

— No i tak właśnie przez całą drogę — Hryhory machnął ręką i zamilkł.

Utraciwszy wszelką nadzieję na ciszę tu, na ziemi, coraz częściej myślał o tamtym świecie. A po śmierci swego przyjaciela Semena zupełnie przestał rozmawiać.

Oto i grób Semena. Hryhory ukląkł, rozejrzał się, czy ktoś nie podgląda, nachylił się i przypadł uchem do ziemi. Długo wsłuchiwał się, wstrzymując oddech, czy przyjaciel nie przekaże mu jakiegoś znaku.

— Gdzie jesteś, Semenie? — spytał wreszcie głuchym głosem.

I w tym momencie — co za pech! — wyskoczyli zza sąsiedniego grobu dwaj sześciolatek psotnicy (że też takich święta ziemia nosi!) i zawołali dźwięcznie:

— Dzień dobry, dziadku!

Hryhory wstał i groźnie ściągnął brwi. Chłopcy schowali się. Więc znowu pochylił się nad grobem i obejrzał się. „Co za lichy? Przesłyszało mi się, czy to może jakiś znak?”

— Semenie, odezwij się, gdzie tam jesteś? —

zapytał ponownie, przypadając do ziemi, ale i tym razem nie było odpowiedzi.

— Dzień dobry, dziadku! — doleciały znów zza krzaka kaliny dźwięczne dziecięce głosy.

Hryhory wstał. Znowu ci chłopcy.

— Dzień dobry! — krzyknął po raz trzeci jeden z nich i czmychnął za krzak.

— Wynoście się stąd, do stu diabłów! Pętacie się tu, jakby was siła nieczysta nosiła. Nawet tu, na cmentarzu, nie ma człowiek spokoju.

Rozeźlony Hryhory ruszył do domu. Gdyby się obejrzał, dostrzegłby łzy w oczach jednego z chłopczyków, który pobiegł przed siebie z jakimś ciężkim, dziecięcym smutkiem.

### III

Na malowniczym wzgórzu na końcu wsi, skąd roztacza się rozległa panorama Zarzecza i stepu, zebrało się koło starego wiatraka w niedzielne popołudnie mnóstwo ludzi.

Pogoda była przepiękna.

Na tle błękitnego nieba migocą wyszywane stroje dziewcząt, zrobione niekiedy z tak wyszukanym smakiem, o jakim nie śniło się nawet księżniczkom, jeśli istnieją gdzieś jeszcze w zakątkach Europy.

Chłopcy też się wystroili. Foma Biłokoń ma wyszyty na piersi cały ogród. Kaszket starego fasonu jak młyńskie koło tylko jakimś cudem trzyma się na kudłatej głowie. Obok Ustym Wowkohonenko, zadarłszy głupi łeb, zręcznie wrzuca pestki do rozdziawionej gęby o grubych wargach.

Wszyscy spoglądają w stronę pola. Rozeszła się wieść, że ze stacji, odległej stąd o jakieś trzydzieści kilometrów, przyjedzie o własnym napędzie traktor i że wówczas niepotrzebne już będą na polu ani konie, ani miedze, bo traktor miedz nie lubi, i wszystko zupełnie się zmieni.

Czy coś takiego jest możliwe? Za nic w świecie!

Siwy Ułas Wowkohin z dwoma krętorogimi wółami, sam masywny jak wół, stoi na scytyjskiej mogile i wpatruje się w step, skamieniały jak posąg minionej epoki.

Nagle tłum się ożywił.

Pierwszy dostrzegł traktor młodszy syn Opanasa, siedmioletni Andrijko. Siedział na wysokim płocie z innymi dziećmi i gdy zauważył daleko na horyzoncie tuman kurzu nad drogą, dźwięcznym głosem zawołał radośnie:

— Jedzie!

— Jedzie, jedzie! — podchwycili chórem chłopcy.

Zeskoczyli szybko, jakby nagle wiatr zmiótł ich z płotu; wzbijając bosymi nogami kurzawę i poganiając chwacko swoje koniki z łożyny pomknęli w pole. Za nimi ruszyli dorośli.

Choma Biłokoń i Wowkohonenko wleźli na scytyjski kurhan i wyciągając szyje nasłuchiwali z rozdziawionymi ustami warkotu maszyny. Z napięciem wpatrywał się też w dal ojciec Wasyla, Opanas Trubenko. Traktor czy nie traktor? Już kiedyś tak było, jeszcze za cara. Ludzie też zbrali się w tym miejscu, by powitać archireja, który jechał poświęcić cerkiew, i droga tak samo się kurzyła, a okazało się, że to nie żaden archirej, lecz pijany Hryhory Siryk poganiał pańskie konie, więc przezwano go „Archirejem”, a przezwisko to tak do niego przyłgnęło, że nawet rewolucja go nie zmiotła. I już nie tylko sąsiedzi, ale on sam zapomniał swego prawdziwego nazwiska i nazywał sam siebie Archirejem, każde zaś z jego dzieci nazywało się Archirejczenko.

Tak, to był traktor. Zupełnie nowy, chwacki, wesoły traktor, prowadzony przez Wasyla. Ani Wasyl, ani jego towarzysze nie wiedzieli, ile traktor ma koni mechanicznych, z tego jednak, z jaką szybkością i furią chłopcy zbliżali się do ro-

dzinnej wsi, oraz z potu spływającego po zakurzonych twarzach i plecach i z błysku zębów na wesołych smagłych obliczach wyczuwało się w tym traktorze siłę nie koni mechanicznych, lecz takich, dla których nie wymyślono jeszcze nazwy. Był to chyba pierwszy traktor-rewolucjonista na rozległych obszarach Ukrainy.

I nagle — co za pech! — traktor zakrztusił się, zachrząścił, buchnął parą z chłodnicy i stanął jak wryty.

Operatorzy filmowi, szybciej! Kamery na ramiona i biegiem w pole!

Traktor nie może przecież „wysiąść” na oczach wsi. Już dzwonili z okręgu, czy traktor przyjechał. Już odpowiedzieli — oczywiście, przybył w pełnej gotowości przy olbrzymim aplauzie mieszkańców.

No i co teraz robić? Wasyl już dawno zauważył, że w chłodnicy chyba brakuje korka, ale może tak właśnie ma być? Wstyd mu było swych wątpliwości, przecież poinstruowali go. A może zapomniał zabrać ten korek? „No, jakoś się dojedzie — pocieszał się w myśli. — To już niedaleko”. Ale kiedy resztki wody zabulgotały w chłodnicy jak w samowarze, a z otworu buchnęła gorąca para, Wasyl zatrzymał maszynę.

— Co się stało, Wasylu? — zaniepokoił się jego towarzysz, domyślając się, że coś nie jest w porządku. — Powiedz coś, daj jakieś wyjaśnienie. Ludzie patrzą! A to ci historia! Patrz, biegną tu!

— Korek gdzieś się zapodział — przyznał się Wasyl z nieukrywanym zakłopotaniem. — Stąd, widzicie? Diabli wiedzą, co się z nim stało! Zapomnieliśmy chyba w stacji benzynowej, albo jakiś sukinsyn wykręcił umyślnie. I co teraz zrobimy? Ideologiczny klops, można powiedzieć.

Grupowy komsomolski Czupryna aż osłabł z irytacji, usiadł więc na drodze i z bezsilną wściek-



łością zaczął chłostać batogiem ziemię, jak gdyby ona była winna tego przykrego incydentu.

A tymczasem prawdziwy winowajca, Iwan Szumyło, stał obok i przeżywał po swojemu tę przygodę. Było mu wstyd tak, że gotów byłby zapaść się trzykrotnie pod ziemię.

Po iluś tam latach on sam stanie się sławnym traktorzystą. Jego zdjęcia będą zamieszczać stołeczne gazety, dziennikarze będą robić z nim wywiady. Na jego piersiach zajaśnieją Złote Gwiazdy i ordery. Wszystko jeszcze może się zdarzyć. Ale dzisiajszą stronicę swej sławnej twórczej biografii bohater socjalistycznej pracy kołchozowej Iwan Szumyło będzie szybko przerzucał lub zupełnie ją pomijał aż do samej starości.

Wyjąwszy z kieszeni korek od chłodnicy, Iwan z wyraźnym zakłopotaniem zaczął obracać go w palcach, po czym nieśmiało wyciągnął rękę z korkiem do Wasyla.

— A czy czasem nie można by... tym zakręcić?

— Przecież to właśnie ten!

— Co?

— Korek! Skąd go masz?

— Przecież to żelazo, a nie korek...

— Sam jesteś korek!...

— Znalazł sobie czas na sprzeczki — zachnął się Szumyło. — Ja tego... tylko się nie wściekaj, Wasylku... Chciałem jak najlepiej... Taki upał, myślę sobie, kurcz, więc woda szybciej będzie się chłodzić...

— Co ty bredzisz? A to ci komik, jak Boga kocham! — rozzłościł się Czupryna czy też Krawczyzna, w wyniku czego liczba piegów na jego twarzy potroiła się. — Tę sprawę z korkiem postawię na zarządzie i wylejemy cię z komsomołu na zбитy pysk... Na pół roku... Czy można z takim gamoniem, jak ty, budować socjalizm?

— Jakoś zbudujemy, nie gderaj tyle. I nie

krzycz! — obraził się Szumyło. — I bez tego wstyd mi za mój analfabetyzm techniczny.

Wasył, rozwścieczony do ostateczności, porwał korek.

— No dobrze, ale skąd ja teraz wezmę wody? Bez wody wszystko to się rozpieprzy w drobny mak... Patrzcie, tam biegają dzieci! Chłopcy, do mnie!

Nie będziemy wchodzić w szczegóły, bo to nieistotne. Kiedy na froncie decyduje się sprawa zwycięstwa, a z nią i los narodu, i kiedy zdarza się, że osłony karabinów maszynowych są rozżarzone do czerwoności, a nie ma wody, to nie jest ważne, skąd cekaemiści ją zdobywają, każda sekunda jest wtedy droga, a każdy ruch ich ciała piękny...

— Gotowe?

— Tak!

— Zakręć korek, no i jazda!

Cóż to była za radość! Już wszystkie dzieci przycwalaowały na swych konikach z łozy, a ich ojcowie cieszyli się chyba jeszcze bardziej od nich. „Zmotoryzowana kolumna” ruszyła z impetem. Na jej spotkanie ciągnęła ze wszystkich stron cała wieś. Otoczony wesołym gwarem Wasył wraz z towarzyszami zatrzymał traktor na wygonie pośrodku wsi.

Archyp Biłokoń, który pilnie śledził cały ten pochód z okna swej chaty, aż pozieleniał ze złości.

— No, teraz to już wszyscyśmy przepadli! Koniec z nami! — Archyp aż zachwiał się, i zwracając do popa swą kudłatą głowę, wyszeptał z egzaltowaną rozpaczą: — Patrzcie, oto ona, ta nasza zguba!

Ludzie obstąpili maszynę z wszystkich stron, już starli kurz z traktora i lemieszy, już odczytali krajową markę.

— Najprawdziwsza, faktycznie, maszyna! — zawołał głośno Kuprian Soroka zwany Gubernato-

rem, jeden z najstarszych aktywistów kołchozu, który lubił używać „inteligentnych” słów. Ten wysoki tytuł otrzymał we wsi zupełnie nieoczekiwanie jeszcze czterdzieści lat temu. Kiedy dostał pisemne wezwanie do sądu gubernialnego w jakiejś sprawie dotyczącej ziemi akurat w sobotę, pognął do Czernihowa grubo przed świtem i wieczorem był już w domu, zrobił więc w ten sposób w ciągu dnia pięćdziesiąt kilometrów, czyli po miejscowemu wiorst\*. „No i co ci tam przysądzili?” — pytali sąsiedzi. — „Zaszła jakaś pomyłka. Powiedzieli, że nazwisko na wezwaniu jakieś inne. No to kiedy wracałem, myślałem przez całą drogę: po jakiego licha byłem potrzebny temu durnemu gubernatorowi?”

Gubernator postukał biczyskiem po lemieszach pługa, raz jeszcze dał wyraz ważności wydarzenia, po czym spojrzął surowo na obecnych.

Wasył był szczęśliwy. Zdjął kaszkiet, wytarł mokrą głowę, wsłuchiwał się przez chwilę w gwar cizby, po czym przywitał się wesoło z ludźmi.

— Z traktorowym pozdrowieniem! Dobrze powiedział dziadek Gubernator. To najprawdziwsza prawda, która stała się faktem! — Wasył poklepał gorący metal traktora. — Teraz wszystko pójdzie innym torem. Obecnie możemy powiedzieć z całą pewnością: zapłaczą miedze na kułackich polach!

— A ty uważaj, żeby twoja mama nie zapłakała! — doleciała pogróżka spod kułackiej stodoły.

Wasył obejrzał się: Choma. Rozdzielał ich tłum. Dostrzegłszy gest Wasyła ludzie rozstąpili się, dając mu przejście. Wasył zszedł z traktora i powoli zaczął zbliżać się do swego wroga.

Choma miał trochę w czubie, a może wzburzenie spowodowało, że rzucił głośno tę pogróżkę. Spod kaszkietu sterczał nad zmętniałym okiem

---

\* 50 wiorst to więcej niż 50 km (dokładnie: 53,34 km), wiorsta liczy bowiem 1066,8 m (przyp. tłum.).

zuchwały lok. Do spoconej twarzy przyczepiły się łuski ze zboża. Choma był o wiele wyższy od Wasyla, który wyglądał przy nim jak wyrostek.

— Powtórz to jeszcze raz — rzekł Wasyl spokojnym głosem, patrząc z uśmiechem na Chomę.

— Powiedziałem, co powiedziałem — równie zuchwale, ale już nie tak pewnie, odparł Choma.

— No cóż, zobaczymy!...

— Ano, zobaczymy!

— Po co rozmawiasz z tym durniem, Wasylu? — wtrącił się Gubernator i spojrzał gniewnie na Chomę. — To tak samo, jak rozmawiać z buhajem. Pojedzie jeszcze na Sybir, wspomnicie moje słowo!

Tu i ówdzie wybuchnął śmiech. Choma zbladł nieco i jego aroganckie „he, he, he” wypadło również blado.

Ustym Wołkohin spojrzał zmieszany na przyjaciela. Czy wiedział coś, czy się tylko domyślał? W jego okrągłych, ciemnych oczach zamigotał zwierzęcy strach.

Kilka dni później było jakieś pomniejsze święto cerkiewne, którego nie świętowało od początku rewolucji przynajmniej pół wsi. Po obiedzie Choma szedł przez wieś z dyrygentem chóru cerkiewnego pijany jak bela i przytupując lakierowanym butem wrzeszczał na całą ulicę:

— Zataczajcie mnie, bo sam nie mogę! Zapłacę... Nagle zza rogu wyskoczył Ustym.

— Chomo! — zawołał zdyszany szybkim, długim biegiem. — Ojej, Chomo!... Wasyl zaorał traktorem miedze!...

Choma z miejsca wytrzeźwiał i — zaniemówił. Przez trzy dni nie powiedział do nikogo ani słowa.

Wraz z nim umilkli wszyscy przeciwnicy kołchozu. Tylko krowy ryczały po nocach, wyły żałośnie psy w zagrodach dla owiec, od wielu chat i stodół załatywało bimbrem, a ludzie gadałi, że gdzieś coś zgrzytało zębami.

Tymczasem traktor wyprawiał w polu niesłychane rzeczy. Początkowo za pierwszą bruzdą biegły nie tylko dzieci, towarzyszyli im też dorośli, wśród nich cały zarząd kołchozu. Gdy jednak Wasyl zaczął zaorywać odwieczne miedze i kiedy w ciągu kilku dni zorał olbrzymi łąn i wąskie poletka zamieniły się w jedną bezkresną, aksamitną niwę, wszyscy stanęli jak wryci: jedni z zachwytu, drudzy w milczącym podziwieniu, a jeszcze inni w napiętym skupieniu. Ludzie odczuli nagle jakby przyływ jakiejś mocy, i w sobie, i w nowym świecie.

— No i co ty na to, Opanasie? — Gubernator zwrócił się do ojca Wasyla, który orał swój mizerny zagon. — Patrz, co twój syn nabroił.

— To tylko powiem — Opanas przerwał na chwilę orkę — że teraz będzie na wsi sto razy mniej wołów i koni, no i chłop będzie musiał dobrze ruszyć głową, bo skończyło się nasze na pół końskie życie.

Kiedy Wasyl przejechał szybko traktorem również przez miedzę swoich pradziadów, wołając coś i kiwnąwszy ojcu przyjaźnie ręką, Opanas stanął i długo patrzył za synem. I wydał się sam sobie po raz pierwszy kimś małym i niezaradnym, kto przeżył na wąskich poletkach żalosne i ubogie życie zupełnie nie tak jak trzeba. I zapragnął gorąco wyruszyć za synem, dogonić los.

Czerwcowy dzień powoli gasł. Zmierzchało. Granatowe niebo roziskrzyło się gwiazdami. Nastąpiła cicha, ukraińska noc.

Pod białymi chatami na ławkach i kłodach, w księżycowej poświacie, we władzy drżących dotyków nocy, siedzieli nieruchomo parami, jak zczarowani, chłopcy i dziewczęta i przytuleni policzkami wpatrywali się szeroko otwartymi oczami w dalekie rozsrebrzone niebo.

Mężczyźni spali w rozrzuconymi rękami w stodołach, sieniach, na wozach. Matki, dławione we śnie przez zmory, stękały głośno i odwracały się ciężko do swych różowych dzieci.

Na podwórzach i w zagrodach woły, chrzęszcząc jarzmami, podnosiły łby i chwyciły księżyc na nieruchome, lśniące rogi.

Na wysokim konarze starego wiązu śpi w wielkim gnieździe para bocianów.

Wasył i Natałka stoją koło przełazu. Wsłuchani w siebie, trzymając się za ręce, szeroko rozwartymi oczyma wpatrują się w otaczający ich niezwykły świat: jabłonie, wierzby, stodoła, garnki na płocie, stary wiąz — wszystko to jakby zmienione przez noc i jakieś nieznanne, żyło własnym, tajemnym życiem.

Tak właśnie zwyczajne słowa, połączone wolą autora w odpowiednim porządku, stają się niekiedy poematami, wypełnionymi zupełnie nową, wzruszającą treścią.

— Jakie wszystko wokół dziwne, prawda?

— Uhm.

— A dlaczego ty, Wasylku, w dzień odwracasz się ode mnie? — spytała nieśmiało Natałka.

— To przecież ty się odwracasz. No co, może się nie odwracasz?

— Bo jestem wstydliva. W dzień jakoś wstydę się ciebie.

— Mnie też jakoś wstyd.

— Prawda?

— Przysięgam. A wieczorem, to tak mnie coś ciągnie do ciebie, Natałko...

— I mnie. Tak ciągnie... I tylko wciąż myślę o tym, żeby już był wieczór...

Wasył i Natałka nie ośmieliliby się jeszcze być może objąć w ten wieczór, gdyby w sukurs nie przyszedł odwieczny sprzymierzeniec dziewczęcego wstydu — strach.

— Ojej, patrz! — krzyknęła cicho ni z tego, ni z owego Natałka. — Widzisz?

Nawet sami nie zdali sobie sprawy, kiedy się objęli i przytulili, wpatrując się w ciemność.

— Jak wszystko w nocy się odmienia — powiedziała Natałka drżącym głosem. — Wierzba, patrzysz, i jakby nie wierzba. Tam coś jest... Ojej...

— Niczego tam nie ma. Zdawało ci się.

— Nie. Jest. Coś ciemnego i włochatego. Nie widzisz? — Natałka jeszcze mocniej przywarła do Wasyla.

Wasył uważnie wpatrywał się w dziwaczny kształt starej wierzby, nie zauważył jednak niczego tajemniczego ani włochatego, nic prócz wzruszającej bliskości Natałki.

— Ojej, Wasylku, w tych spróchniałych wierzbach siedzi jakieś lichy. A dlaczego w każdej wierzbie jest jakby wypalone ogniem serce? Co im się przydarzyło? Te wierzby nawet w dzień mnie straszą.

Długo rozmawiali o strachach i o strachu, nocnym towarzyszu młodości, który był dla nich raczej przyjemny niż straszny.

Wreszcie rozstali się. Na pożegnanie Wasył przytulił mocno głowę Natałki do swego serca; twarz jego nabrała wyrazu dziwnej powagi i głębi.

Oto idzie drogą wśród księżycowej powodzi. Pod nogami lekki pył. Na trawie krople rosy. Pasą się konie, pozostawiając zroszony ślad. Połyskują ich grzbiety.

Coś mignęło w cieniu za mostem pod wierzbą. Nie, chyba mu się zdawało. Niby cicho wokół, ale jest to cisza osobliwa, pełna nierozpoznawalnych dźwięków. Poprzez napływające w srebrzystej poświacie dziewczęce pieśni słychać jak rośnie trawa, jak dojrzewają ogórki, jak gdzieś w pełnej tajemnic parnej pomroce wydłużają się łodygi arbuźów, czepiając się wąsami płotu, jak nalewają

się czerwonym sokiem wiśnie, jak rumienieją gruszki.

Ziemia pachnie nocnymi kwiatami, pachnie płodami i liściem, i miodem słoneczników, i miodem tytoniu, i miodem hreczki. Wszystko wokół pachnie, nawet kurz na drodze, nawet rosa. Wszystko rośnie, wszystko porusza się pod granatowym pokrowcem życiodajnej nocy, jak gdyby spiesząc się wyrosnąć przez noc, póki wszyscy śpią; a rano, o wschodzie słońca, kiedy kobiety wyjdą z sieni myć się, spojrzą na rozkwitnięte słoneczniki i maki, których nie dotknęła jeszcze pierwsza pszczoła, i zawołają przeciągle, w zachwyceniu:

— Matko Boska! Co się stało z ogrodem przez noc!

Wasyłko idzie samotny pod gwiazdami przez ogrody. Gdzieś na łące chrapią konie w zaroślach. Wasył otworzył na mgnienie oczy i zamknął je znowu, uśmiechając się, cały pogrążony w marzeniach. Konie zaprychały.

Ale po co tyle pisać o nim? Nawet jeśli wczuć się w to, że teraz niebo i gwiazdy, i cała ziemia, i rosa należą do niego, to czyż koniecznie trzeba o nim tak wiele mówić?

Trzeba, bo za trzy minuty zginie i wszyscy będą go opłakiwać, a więc są to ostatnie jego kroki.

Nie będziemy jednak przyspieszać akcji. Przyjrzyjmy się uważnie jego postaci. Zaczął dopiero dziewiętnasty rok. Jak ten Wasył wyrósł w ciągu ostatniego lata! Kark mu zgrubiał, falująca czupryna nabrała połysku. Nad napęczniałymi zdrowiem wargami sypie się wąs. Wasył zaczął śpiewać basem. Ręce i nogi mocne i zwinne, chód lekkim, jak gdyby idąc nie dotykał ziemi, lecz płynął nad ścieżkami, drogami, łąkami — każdy, kto miał dziewiętnaście lat i był zakochany, wie, że taki chód jest możliwy. Cały młody świat Wasyla cechowała taka harmonia i taka aktywność, że nie byłoby nic dziwnego, gdyby w pewnym momencie



zamachał rękami i wzleciał z taką lekkością, z jaką latamy niekiedy w nieodgadnionych snach.

Na ulicę do dziewcząt wychodził dopiero o zmierzchu. W słonecznym świetle wstydził się nawet spojrzeć na nie, zwłaszcza w powszednie dni. I dopiero odurzające zapachami wieczory, jakich nie ma nigdzie na całym świecie poza Ukrainą, ośmielały go do patrzenia z bliska w ukochane oczy dziewczyny.

Przed tym komsomolcem wszystkie drogi do kariery stały otworem. Wskazać mu tylko kierunek, uzbroić w naukę i wiedzę techniczną, a wówczas zdobędzie każdy zawód, jaki tylko chcecie: inżyniera, kapitana, dyplomaty, artysty. Możecie go wówczas posyłać bić się za góry i morza, na biegun. I nie ma żadnej dziedziny ludzkiej działalności, w której Wasyl nie poradziłby sobie, lekko przy tym uśmiechając się ufnym uśmiechem.

„A może by tak zatańczyć?” — pomyślał Wasyl, odczuwając jakąś radosną lekkość ciała. — „Potańczę trochę ukradkiem, poćwiczę, ot tak sobie, żeby nikt nie widział... Ho, ho! Zdaje się, że już nieźle tańczę... No to dalej, o tak, o tak...”

Od wioski do wioski tańce i muzyki!  
Sprzedam jajka i kurkę i kupię trzewiki!...

Słowa niezbyt mądre, ale póki nie ma nowych piosenek, muszą wystarczyć stare”.

Wasyl nie zauważył nawet, jak hopakiem wzniesił kurz na całej uliczce, a między prętami płotów złocił się pył. Z głuchego tupotu jego nóg i z trwożnych szeptów wśród sennego bezruchu wyrosła taka cisza i tyle spokoju było we wszystkim, od ziemi aż do gwiazd, jak gdyby nigdy, odkąd świat istnieje i dopóki istnieć będzie, nie mogła się tu dokonać żadna zbrodnia.

Wasyl już nie pierwszy raz wiódł swe taneczne korowody wśród uśpionych uliczek. Kiedy prze-tańcowywał obok czyjejs rogożowej stodoły lub

zagrody, starzy ludzie nieraz budzili się, a niekiedy zdawało im się, że coś tam widzieli przez szpary w pleciance, nie byli jednak pewni, czy to sen, czy jawa, następnego dnia mówili więc: „Czy się coś przyśniło, czy przywidziało — Bóg jeden raczy wiedzieć. Budzę się, a tu na drodze ktoś tańczy, aż ziemia dudni. Nic się nie dzieje bez powodu, to pewnie jakiś znak”.

Wasył przetańczył już trzy uliczki. Przypuszczalnie w ten sposób powstały tańce ludowe. Nie na kursach tańców, nie na parkietach rodziły się te spontaniczne ruchy, lecz z tajemnych impulsów władania ciałem i przestrzenią, kiedy nie z woli skrzypiec i trąbek, ale ulegając niewzruszonym prawom życia dusza rwie się w górę, a triumfujące ciało, poddając się wewnętrznej muzyce i przekreślając wszelkie prawa ciężenia, odrywa się od ziemi na spotkanie piękna, które zaszczerpiła w każdym człowieku nieśmiertelna dusza jego narodu.

Nigdy jeszcze Wasył nie tańczył z taką rozkoszą i radością. Z prawą ręką na karku, a z lewą założoną do tyłu płynął, zda się, nad wsią w złocistej kurzawie, wzbijanej mocnymi uderzeniami stóp, ciągnąc za sobą długą, rozedrganą smugę, która opadała na uspiońy zaułek. Już widzi swoją chatę...

Strzał! I nie ma już Wasyla. Upadł prosto z tańca na drogę — w śmierć. W księżycowej poświacie wzniosł się nad jego trupem obłok kurzu. Ktoś przebiegł w oddali między drzewami. Zachrapały konie.

Jaka szkoda, że kiedy kręciłem „Ziemię”, w filmie nie można było jeszcze mówić. Byliśmy wtedy jeszcze niemi jak niemowlęta. A czas najwyższy opowiedzieć, kto i za co zabił komsomolca Wasyla!

Więc zamiast krzyku był na filmie napis, który widzowie mogli przeczytać. Zanim jednak ukaże się ten napis, artysta grający ojca Wasyla odizoluje się od wszystkich swoich codziennych spraw i przez całą noc będzie rozmyślał w samotności, tak jakby to śmierć dosięgła jego własne dziecko. Przejęty do głębi aktor wyjdzie więc w pole i stanie na kurhanie, skąd rozchodzą się drogi na wszystkie strony świata. Aktor przeżywał bardzo dramatycznie swą bezsilną niemotę, jednak głośniej od wszelkich słów zakrzyczał wówczas napis wydobywający się z jego otwartych ust:

„...Hej, niesyci Biłokonie,  
Wołkohony wściekle,  
czy to wyście mi zabili  
mojego Wasyla???”

Nie ma odpowiedzi. Tylko wiatr wygrywa smutnie na drutach telegraficznych melodię rozpacz, która niesie się w przestrzeń. Osierocony ojciec powstał w polu, i chociaż nie było wokół ani przepaści, ani gór, zdawało się, że jego głowa sięga nieba, a gnane wiatrem ciężkie chmury dotykają serca: syn komsomolec leży na stole martwy.

Opanas Trubenko nie otrzymał odpowiedzi. Poszedł więc do wsi. Ulice we wsi, jak zwykle, prawie puste. Spotkał przyjaciół Chomy, odwrócił się w milczeniu. A oto i sam Choma, stoi na podwórzu. Lepiej by się ukrył w chacie lub w stodole. Lecz Choma nie szuka tam schronienia, może boi się, że nagle zawałą się ściany, a powała runie mu na głowę. Nawet na podwórzu kuli się w obawie, czy nie spadnie na niego kamień z nieba.

— To ty, Chomo?

Choma milczy, nie podnosi oczu. Panas podchodzi do niego bardzo blisko.

— Pytam, czyś to ty zabił Wasyla?

— Nie, nie ja — wyszeptał Choma i zbladł jak płótno, a szare jego oczy zmętniały mgliście.

— Nie ty?

— Nie ja.

Opanas objął go długim, badawczym spojrzeniem, po czym odszedł w milczeniu.

Długo siedział przy trumnie zabitego syna, nikogo nie dostrzegając, nie widząc łez, nie słysząc żałobnego lamentu. Cały jego nieskomplikowany świat pogrążony był w boleści. Wszystko zatrzymało się, nawet czas. Dopiero na drugi dzień otrząsnął się z tego bolesnego odrętwienia i podniósł się powoli tak, jakby się na coś zdecydował. Spojrzał na swego Wasylka, uśmiechnął się smutno w odpowiedzi na jego czysty, zwiewny uśmiech i zaczął się rozglądać, jak zmęczony uciążliwą drogą podróżny, który powrócił z dalekich, długich wędrówek.

Wędrowiec wpatruje się z pełnym rozpaczy zdumieniem w najdroższe miejsca wśród rodzinnych ruin i już niczego wokół nie poznaje: jak gdyby na tych zgliszczach nigdy nie doznał i nigdy już nie dozna radości i śmiechu.

Nagle otworzyły się na oścież drzwi. Na progu, na tle ciemnej sieni, stała Natałka, bledsza od koszuli. Ale Opanas nie zauważył jej. Dostrzegł tylko otwarte drzwi, które przypomniały mu, że trzeba iść, więc wyszedł.

Osierocona dziewczyna w milczeniu, nie wydając najśłabszego nawet dźwięku, patrzyła na ukochanego, którego tak w dzień się wstydziła, czekając na cichy wieczór jak na jasną gwiazdę. Rozpacz i dławiąca tęsknota zatamowały jej oddech. Rozchylone nieco, zaschnięte wargi zastygły w jakimś niepowtarzalnym grymasie jakby wypaliła je błyskawica. „Wasylku mój, Wasylku mój”.

Wiele łez wsiąknie w gorącą poduszkę, wiele westchnień przez nikogo nie słyszanych uleci w samotność. Jej pełnym dotąd życzliwości dla ludzi sercem zawładną przekleństwa i nienawiść do zabójców, nic już jednak nie powróci, wszystko mija. Już innemu sądzone jest kiedyś przytulić ją i roz-

radować. Z innym pozna radości życia, kochania i pracy.

Natałka przypadła do Ulany, siostry Wasyla, siły ją opuściły, zemdląła w jej ramionach.

„Dokąd ja idę? Aha, coś sobie przypominam...” Opanas ruszył do ojca Herasyma, rozmawiając cicho sam z sobą.

Pop niewątpliwie coś przeczuwał i spodziewał się go. Kiedy Opanas przekroczył próg jego starego domu, zalatującego grzybem i samotnością, sługa boży powitał go słowami ni to współczucia, ni to pogodzenia się z „wolą Najwyższego”. W starczych oczach mignął niemy lęk.

— Nie ma Boga, ojcie duchowny... Nie ma, absolutnie nie ma... — rzekł Opanas cicho, ale i tego wystarczyło, żeby zapełnić gromami dom duchownego. — Bo gdyby był gdziekolwiek, chociażby nawet nie wszechmocny i nie najdobrotliwszy, a nawet nie najlepszy i niezbyt mądry z powodu starości... nawet taki nie mógłby dopuścić do nagłej śmierci mego syna. Niech jegomość pójdą i zobaczą: leży na stole i uśmiecha się. Dla kogo ten uśmiech, pytam was, ojcie, na martwych ustach? Bo przecież nie dla nas i nie dla was ani dla naszych ciemnych nędzarzy. Musiał myśleć przed śmiercią o czymś pięknym. Co mi możecie powiedzieć, ojcie? Mówcie, sługo ludzkiego ubóstwa!

Ojciec Herasym nie odezwał się ani słowem. W zakłopotanym milczeniu wznosił drżące ręce do pustego nieba, dokąd przez tysiące lat daremnie uchodziły duchowe siły ludu w postaci modlitw, oczekiwań i westchnień.

— To, co teraz wiem o życiu i śmierci, każe mi ogłosić jako nie istniejącego również i was, ojcie — zabrzmiały w ciszy ostatnie słowa Opanasa.

Żałośnię skrzypnęły drzwi. Ojciec Herasym obejrzał się: pusto.

Gdy Opanas zjawił się w zarządzie kołchozu, gdzie omawiano sprawę zabójstwa Wasyla, wszyscy powstali z miejsc.

— Zdarzyło się coś niezwykłego... Dzień dobry... Coś wielkiej wagi. Rozpada się nasz stary, chłopski świat — Opanas mówił wolno, z namysłem, ważąc każde słowo. — Komuś było potrzebne skrytobójstwo mojego syna — niski, głuchy głos Opanasa zadrżał. — No i dlatego, a ja to nie tylko czuję, ale mogę to już także poświadczyć, życie moje i naszej wsi bezpowrotnie rozpadło się od tej pory na dwoje... Na to, które było do zabójstwa i na to, które rozpoczęło się wtedy, kiedy Wasyl padł na drodze martwy. I dlatego, żeby zabójca nie mógł nawet potajemnie cieszyć się ze swej haniebnej zbrodni ani liczyć na jakąś własną nędzną korzyść, proszę was: kiedy już mój Wasyl zginął za nowe życie, pochowajcie go również po nowemu, żeby nie popi i diacy zawadzili za pieniądze swoje cerkiewne pienia, lecz żeby nasi komsomolcy, chłopcy i dziewczęta... sami śpiewali na pogrzebie... nowe pieśni o nowym życiu. Chcę pokonać rozpacz.

Opanas ciężko westchnął. Słowo „rozpacz” wymówił prawie szeptem.

Wówczas przewodniczący kołchozu Maksym Prytulak oraz sekretarz organizacji komsomolskiej Czupryna stanęli przed Opanasem i takimiż głuchymi głosami powiedzieli:

— Dobrze, towarzyszu Opanasie. Kiedy tak się już złożyło i taka jest wasza wola, pochowamy Wasyla sami. Kategorycznie wyklucza się udział popa i diaka, żadnych kadzideł ani cerkiewnych pień. Nie ma i nie będzie pojednania! Sami bę-

dziemy śpiewać o nowym życiu i o żywym Wasylu. Pryncypialnie.

Czy trzeba przytaczać słowa pieśni i opisywać dokładnie śpiewających oraz to, wobec czego słowo jest bezsilne, a co działo się następnego dnia, kiedy przykryty czerwonym sztandarem, na barkach towarzyszy Wasyl wybrał się w ostatni swój pochód i kiedy ruszyła za nim cała wieś — starzy i młodzi, wszystkie dziewczęta i dziewczynki z bukietami kwiatów, kobiety w białych chustkach, z niemowlętami i dziećmi na rękach, wszyscy komсомolcy w czerwonych krawatach i wszyscy mężczyźni i starcy z odkrytymi głowami?

Ludzie jakby przebudzeni ze snu niezwykłością tego, co się stało, zdobyli nowe spojrzenie na świat, i cały sens ich bytowania — wszystkie trudności, niedostatki, jak też i heroiczne wydarzenia przeszłości, wszystkie porywy współczesności i wszystkie nadzieje przyszłości, jak również przecucie własnego historycznego losu — wszystko to stanęło przed nimi w niezwyklej, niepodzielnej, fascynującej jedności.

Pieśni wlewały się w kondukt żałobny z ulic i uliczek, jak potoki do wielkiej rzeki. Stare motywy kozackie i czumackie, pieśni o pracy i o miłości, i o walce o wolność, i nowe pieśni komсомolskie, i „Międzynarodówka”, i „Testament”, i „Pobratał się sokół z modroskrzydłym orłem — hej, hej, bracie mój, towarzyszu mój!” i raz jeszcze „Śmiało pójdziemy w bój za władzę rad” — wszystko to połączyło się w jedną potężną i burzliwą rzekę dźwięków. Śpiewający ogarniali pieśniami całe wieki chłopskiego życia. Podniosłe brzmiały dźwięki dętej orkiestry. Z tych złożonych strumieni dźwiękowych, ze zderzeń różnych motywów, miedzianych surm, głosów, kotłów i nowych pieśni rodziła się ludowa heroiczna symfonia zwycięstwa nowego życia na ziemi.

Opanas kroczył za trumną, nie spuszczać oczu

z syna. Nie płakał, a nawet jakby się uśmiechał i szeptał jakieś słowa, odwracając niekiedy głowę bolesnym ruchem w stronę śpiewających. Żony przy nim nie było. Ulegając potężnemu nakazowi życia zaraz od wrót zawróciła do domu: przyszedł czas rodzenia.

Natałki też nie było. Z rozpaczliwym szlochem miotała się w swej chatynce, bijąc pięściami o ściany i rozrywając na sobie odzież. Wszystko w niej protestowało, wszystko pławiło się w cierpieniu i rozpacz. A kiedy przechodzili z ukochanym w pobliżu jej domu i ściany zadrżały jękliwie od śpiewu, Natałka padła niemal nieprzytomna na stojące w ciemnym kącie łóżko.

...Zatrzymaj się, szary orle,  
powracaj do domu!  
— Nie wrócę już, miła, ale  
nie dam cię nikomu!

Archyp Biłokoń dosłownie przylepił się do okna. Z ulicy przypominał Kaina z wiszącego na ścianie obrazu w starej, szerniałej ramie. Usta rozdzielone, włosy pozlepiane potem. Wstrzymuje oddech. Po raz pierwszy uświadomił sobie z całą wyrazistością, że nie można tak żyć dalej. Co to się dzieje w tym państwie? Rozpada się klasa chłopska. Korespondent wiejski Wasyl Trubenko przezwyciężył śmierć...

Archyp wybiegł do sieni.

— Chomo!

Ale Chomy nie ma.

— Chomooo!

Choma uciekł jak ścigany zwierz. Bez czapki, w samej koszuli wypuszczonej na spodnie, pędził przez pole jak oszalały, sam nie wiedząc dokąd. Pot zalewał mu oczy, z zaschniętego gardła z trudem wydobywał się ciężki oddech. Rozglądał się ciągle na wszystkie strony, jakby go ścigały



wszystkie okoliczne wsie. Nie wiadomo, jakie uczucia rwały na strzępy jego ciemną duszę — strach, złość, świadomość nieuniknionej kary czy piekący żal do siebie o popełniony czyn; w pewnym momencie zatrzymał się nagle w kwitnącej hreczce i krzyknął rozpaczliwie w stronę wsi:

— To ja!... Ja go zabiłem!... W nocy, kiedy wszyscy spali... Szedł ulicą sam... i tańczył...

I znów zaczął uciekać — w jedną stronę, potem w drugą... I nagle upadł z rozbiegu głową w dół i zaczął wwiercać się nią w ziemię, jakby chciał wpełznąć w jej wnętrze jak robak.

A Wasyl... Kiedy nieśli go obok sadów, które tak kochał, i obok pola rozkwitłych słoneczników, owoce i kwiaty niemal dotykały jego czystego oblicza. Wielu ludzi nie wytrzymało tych bolesnych sprzeczności i płakało, protestując przeciw tej absurdalnej harmonii życia i śmierci. I wówczas zabrzmiały jak grom w szczerym polu proste słowa czumackiej pieśni:

Zaryczały woły, hej, na stepie,  
wiatr deszczem i łzami, hej, miecie,  
nie ma już, nie ma, hej, drodzy bracia  
naszego, hej, druha na świecie!...

A w pieśń tę wlewały się potężną falą słowa: „Władanie ziemią, to nasze prawo”, „Już nastał wreszcie dzień zapłaty”, „Powstanie ludzki ród” — i miedziany wykrzyknik waltorni.

Na czysty błękit zaczęły niepostrzeżenie zakradać się chmurki. Rosły i rozmnażały się, zmieniając ciągle swe kształty. Niektóre z nich przypominały patriarchalne głowy brodatych proroków, inne wyglądały jak ośnieżone góry, niektóre zaś mknęły jak jeźdźcy na fantastycznych koniach.

A przed tym niebieskim rycerstwem leciał opromieniony słońcem olbrzymi ptak z rozpostartymi skrzydłami. Następnie prorocy, rycerze i ptak połączyli się w jedną czarną chmurę, która zakryła słońce i niebo. I kiedy Czupryna z rozwichrzonymi od patetycznych gestów włosami zaczął wygłaszać pożegnalną mowę, zaszumiały nad jego głową wierzby, potężnie zagrzmiało i na zakurzoną ziemię lunął rześisty i ciepły deszcz.

Było coś niewypowiedziane radosnego w tym życiodajnym, słonecznym deszczu, i wszyscy to tak odczuli. Deszcz ten jakby zmył z ludzi resztki smutku i żalu. W każdej jego kropli jaśniała obietnica triumfu życia. Nikt nie uciekał, nie krył się przed deszczem, dzieci zaś nastawiały smagłe, mokre twarze i śpiewały:

Przestań padać, mój deszczyku,  
pojedziemy na koniku!

Obmyte były sady, basztany, ogrody, pola. Na czystych jabłkach i śliwkach lśniły krople deszczu, spadając z owocu na owoc, a następnie na ziemię.

Z ludzkiego życia, a nawet z życia całych pokoleń, pozostaje na ziemi tylko to, co było w nim pięknego. Cały ród Biłokoniów wkrótce szczeł bez śladu. Natomiast aż po dzień dzisiejszy żyje w narodzie dobra pamięć o Wasylu Trubence. Zniknął z czasem smutek i żal, ustępując miejsca wdzięczności.

Ludzie wspominają jego lekki chód, jego uśmiech, jego życzliwość, jego zręczność i wesołość w każdej pracy. Ułożono o nim pieśń. Tylko postarzały brygadzysta kołchozu, Opanas, niekiedy zapłacze nocą w stodole za swoim synem, tłumiąc szloch czapką, żeby nie spłoszyć słowików na wiśni.

Kłaskają w młodych sadach słowiki. Płynie z od-  
dali dziewczęca pieśń. Ziemia kołchozowa kwitnie  
jak nigdy dotąd. Dziadek Hryhory doczekał się  
wreszcie ciszy — obok swego przyjaciela.

A Natałka znalazła szczęście z innym, i z nim  
radość w pracy i w dzieciach.

1930—1952

# OPOWIEŚĆ PŁOMIENNYCH LAT

Kończyła się wojna światowa. Stoję z automatem na progu nowej epoki i myślę: jaką potężną, ciemną siłę pokonaliśmy, niech będzie przeklęta!

Młody żołnierz spojrzął na tłące ruiny i jakby nagle porażony wielkością przebytej drogi zastygł w bezruchu jak pomnik.

Była w nim jakaś zuchwała siła. Miał obandażowaną głowę, ale jakby nie pamiętał o kontuzji. Zarośnięty, zmoknięty, pokryty kurzem i sadzą Berlina, dopiero co wyszedł z walki i parował na słońcu koło Bramy Brandenburskiej. Uśmiechając się myślał głośno:

— Przechodzą przede mną wojska, moi towarzysze. Defilują przede mną jak przed dowódcą, chociaż oczywiście nie jestem ani generałem, ani marszałkiem, ot, prosty sierżant Iwan Orluk, kołchoźnik naddnieprzański, zwyczajny, można rzec, zwycięzca w wojnie światowej. A zważywszy, że moich rodaków poległo w walkach o wyzwolenie ludzkości od faszyzmu więcej niż wszystkich innych na całym świecie razem wziętych, niezliczona wprost ilość, a przy tym ja sam osobiście przelałem wiele wrogiej krwi, włożyłem w tę wojnę wiele trudu, oraz zważywszy ponadto, że różnej maści mentorzy i dziennikarze na całym świecie zaczną teraz głądzić, a co, a jak, a dlaczego, i jaka może być siła gniewu i nienawiści w moim ra-

dzieckim sercu i w ogóle jakiejś tam dzielności, więc ja, człowiek urodzony dla dobra, winien jestem jakieś wyjaśniające oświadczenie moim współczesnym, przyjaciółom i wrogom na całym świecie, wraz z moją żoną, rodzicami, z całym domem, ze studnią, z której piłem kiedyś wodę, z sadem, ogrodem, gdzie poznałem pierwsze stwardnienia na rękach, jednym słowem, wraz z całym swoim rodem i dolą.

Jesień czterdziestego pierwszego roku była nad Dnieprem czasem rozstań i pożegnań. Ojcowie i matki żegnali się z dziećmi, mężowie z żonami, bracia z siostrami. Rozłączała się miłość z miłością, nadzieja z nadzieją, żegnano się z nie urzeczywistnionymi małżeństwami, z nie spełnionym macierzyństwem.

Był wiatr tej nocy. Z zachodu, od niemieckiej strony, napływały niebem strwożone chmury, niósł się odór trupów i pogorzeliisk.

Żegnali się pospiesznie, dławiąc rozpacz, odchodzili szybko, jakby chcieli dogonić swój niecodzienny przecież los.

W tę noc nikt nie mógł objąć wzrokiem horyzontów nieznaney przyszłości. Nie mógł też nic o niej wiedzieć bohater naszej opowieści, czerwonoarmista początku wielkiej wojny narodowej, Iwan Orluk. Kiedy jednak wyruszał ze swoim pułkiem na wschód, czuł, że przyszedł czas wielkich wydarzeń; niezwykłość tego, co działo się w nim, zamurowała mu usta.

Runęły mosty na Dnieprze. Nad dniewowymi wodami przewalił się ciężki, głuchy łoskot. Z wysokich brzegów posypała się ziemia.

Na porzuconym brzegu rzeki, już po tamtej stronie, stała na stromym urwisku matka Iwana Orluka, niemłoda już kołchoźnica Tetiana.

— Odsuń, o Boże, rękę śmierci od mego syna-wojaka — rzekła uroczyście; wiatr poniósł jej słowa w ciemność. Potem zatrzepotała rękami jak

ptak skrzydłami, padła na kolana, i pochyliwszy się, jak gdyby chciała przelecieć przez Dniepr, dojmująco zaklinała:

— Zwą go Iwanem, doło moja, Iwanem Orłukiem, a jam jego matka! Stoję na gwiazdach wieczornych i porannych i moszczę dla niego szczęśliwą drogę. Stoję o północy nad przepaścią rozpaczy i zamawiam, by nie tknął go ni miecz, ni ogień, ni woda. Synu mój, mój obrońco!...

Kula ziemiska obracała się w międzygwiazdnych przestrzeniach. Planeta dymiała od Nordkappu po Morze Czarne, a nad jej idealną sferą krążyły samoloty, wypływając ze swoich wnętrzości tysiące bomb. I cały eter dźwięczał nową muzyką, nie znaną dotąd życiu. Nie były to ni hymny na cześć jego urody, ni kantaty sławiące jego geniuszy, ni requiem opiewające jego bohaterów. W zimny bezkres niosły się świsty, wycia i zgrzyty zaszyfrowanych sygnałów radiowych. W złowieszczy warkot zniewolonego eteru wdzierały się nedorzeczne melodie pelengów, wściekłe okrzyki atakujących, wezwania i rozkazy w wielu językach. Ale wszystkie dźwięki, jakie są na świecie, zagłuszał niosący zagładę warkot motorów epoki.

Płonęły miasta.

— Oskarżony Iwan Orłuk, podczas aresztowania znaleziono u was pośród różnych rzeczy o, to. Co to jest? — spytał sędzia wojskowy Wełyczko, słuchając zeznań oskarżonego przed trybunałem wojennym.

Oskarżony westchnął ciężko i zaczerwienił się.

— Proszę odpowiedzieć, co to jest!

— Ziemia — rzekł oskarżony i spuścił oczy.

— Jaka?

— Ukraińska.

— Aha. Byliście komsomolcem?

— Oczywiście. I jestem komsomolcem.

— Przypuśćmy. A po co wam to? — Wojskowy sędzia rozwiązał na stole mały węzełek z ziemią.

— Zabrałem na pamiątkę, kiedy porzucałem Ukrainę. W nocy. Przed świtem jedna kobieta płacząc mówiła, że to już koniec Ukrainy. No, powiedzmy, granica, kres.

— No i co?

— No to odszedłem wtedy na bok, ukląknęłam i powiedziałem: „Żegnaj, Ukraino”.

— I co jeszcze powiedzieliście?

— Więcej nic. Zaraz, pomyślę... Nie, zdaje się, że to wszystko.

— No tak. Proszę kontynuować. Możecie dalej ciągnąć swoją biografię, tylko krótko.

— Tak! — Orluk nagle zadrżał i uśmiechnął się samymi tylko wargami, w oczach zastygło mu cierpienie. — No więc właśnie mówię, że w żniwa chodziliśmy po ziarnie wokół stogów. Przez całe swoje dzieciństwo chodziłem po ziarnie. Było ono u nas wszędzie, gdzie się obrócić: w garnkach, w węzełkach, na żerdziach w sieni, na poddaszu pod strzechą, w skrzyniach na zboże, w workach i workach. Często spałem pośród ziarna: w życie, w prosie, w jęczmieniu i w grochu na piecu. Lubiłem zapach ziarna. Wyrosłem w nim. I matka urodziła mnie w żniwa w polu, pod kopą ziarna.

— Dość.

— Kiedy to bardzo ważne. Ja zaraz wyjaśnię...

— Lepiej powiedzcie od razu o swojej zbrodni — powiedział drugi sędzia wojskowy. — Jak zabiliście dwóch swoich towarzyszy?

— ...którzy też pewnie wyrosli wśród ziarna — dodał Wełyczko.

— Przecież ja im mówiłem, nie można, powiadam, obmyślać takich podłych planów. A właściwie to tylko tak pomyślałem.

— A o czym?

— No właśnie o tym, co oni mówili.

— Ale wy przecież nie mieliście prawa ich rozstrzeliwać?

— Nie miałem.

— No więc/przyznajecie się do winy?

— Nie... Zaraz wszystko wyjaśnię... Czy ja coś powiedziałem? Przecież ja...

— Proszę odpowiadać na pytania dokładnie. Zabiliście...

— Rozstrzelałem ich. Przed rozstrzelaniem spytałem o pozwolenie.

— Kogo?

— Kapitana Krawczyny.

— Kapitan Krawczyna nie miał prawa dawać takiego pozwolenia.

— I nie pozwolił. Wybuchła mina i padł ranny. Wtedy już sam rozstrzelałem.

— Nikt was do tego nie upoważniał. Dlaczego nie chcecie uznać siebie winnym zabójstwa dwóch towarzyszy?

— Byłem wściekły.

— Odpowiadajcie! Przyznajecie się do winy? Tak czy nie?

— Kiedy ja... No, nie mogę, to trudno opowiedzieć.

— Stoicie przed trybunałem wojennym. Będziecie rozstrzelani!

— Powiem.

— Mówcie.

— We mnie samym było wtedy trochę tego, co oni czuli. Jakbym się od nich zaraził przez powietrze. I czułem się tym tak jakoś dotknięty, że się wściekłem. A nie było czasu się zastanawiać, no i ziemi, jak widzicie, tylko już tyle zostało... Ale proszę was, nie krzyczcie na mnie za to, co mówiłem o ziarnie. Uczyłem się przecież na agronoma. Chciałem rozślawić swój okręg, a teraz, ot, co z tego wyszło!

Oskarżony załamał się. Chwyciwszy ze stołu chusteczkę z garścią ziemi, zapłakał.



Okna dzwoniły od wybuchów.

No więc było to tak:

Pod chatą płakała kobieta, nie mogąc poradzić sobie ze swoim nieszczęściem. Było ciemno, ale i nie ciemno. Wokół wybuchały jaskrawo złowieszcze pociski i w tym nierealnym świetle tyle było trwogi i ciszę nocną raniły odgłosy tak złowrogie, iż zdawało się, że cała ziemia wydaje jakieś głuche jęki, jakby w przeczuciu apokalipsy.

Po długich, krwawych bojach wojsko odchodziło zgodnie z planem strategicznym dowództwa.

— Żegnaj, Ukraino... — powiedział Orluk, zatrzymując się i odwracając się na zachód czerwieniejący łunami. Głos rwał mu się od rozpacz. Potem uklęknął, a za nim jego towarzysze. Mówił cicho, cierpienie odebrało siłę jego głosowi. Mówił wolno, z pauzami, wpatrując się w nocne pożary. Potem wzrok jego pobiegł daleko, aż do brzegów Dniepru, do Karpat, które porzucił jeszcze tak niedawno.

— Żegnaj... Przysięgamy, że gdziekolwiek będziemy, dopóki będziemy żyć, będziesz żyć i ty. I nigdy nie zginiesz, droga ziemo nasza, droga nasza Ojczyzno, dopóki trzyma broń chociaż jedna para komsomolskich rąk! Nigdy! Zabierzemy, towarzysze, po garstce ziemi...

Kiedy to uczynili, Orluk krzyknął w mrok z całą siłą swego gniewu, swej urażonej godności, swego bólu:

— Śmierć faszystowskim okupantom!

— Cicho! Kto tam wrzeszczy? Odchodzimy po cichu... — doleciał od drogi głos dowódcy.

Orluk zauważył wówczas, że jego dwaj towarzysze rzucili zabrane garstki ziemi, przy czym porozumieli się spojrzeniem z jakimś niedobrym, ledwo widocznym uśmieżkiem, w którym odczytał chyba decyzję.

— Więc powiadacie, że pożary, że łuny... — mówił w roztargnieniu sędzia, nasłuchując sygnałów

alarmu przeciwlotniczego. — Potem zatrzymaliście się. I coście powiedzieli?

— Powiedziałem: żegnaj, Ukraino, śmierć fašystowskim okupantom, i jeszcze jakieś tam słowa.

— A potem?

— No a potem zabraliśmy właśnie to. A później zobaczyłem, jak oni to rzucili i tak jakoś... Więc ja im mówię, a oni do mnie zaczęli jednocześnie coś tam wrzeszczyć, więc widzę z tego, że albo rozstrzelam tych gadów, albo moja przysięga nie warta złamanego grosza i nigdy już nie wrócę do domu. A potem, już następnej nocy, kiedy fašyści przerwali front, patrzę, a oni w siano! Więc ja za automat. Stójcie, powiadam, tchórze i zdrajcy ojczyzny!

W tym miejscu Iwan Orluk tak się oburzył, że stół, przy którym siedzieli sędziowie, zatrzęsł się od uderzenia jego pięści.

Duża bomba lotnicza wybuchła przed samym budynkiem sądu. Przebiegły oszalałe konie, zerwawszy lejce. Zaczęło się bombardowanie.

Orluk siedział z sędziami w schronie przeciwlotniczym.

Sędzia Petro Samijłowicz Wełyczko był wyraźnie niezadowolony.

— Miły mój, jako obrońca ojczyzny i komunista i jako sędzia, bardzo was proszę, proszę dobrze zrozumieć to, co teraz powiem: gdybyście nawet byli moim jedynym synem, to i tak poszlibyście...

— Do karnej kompanii! — powiedział Orluk takim tonem, jakby prosił o wyjazd do Moskwy na wystawę gospodarstwa wiejskiego. — Powalczę chociaż trzy dni! Bardzo proszę.

— Trzy dni. A potem choćby śmierć.

— Bardzo proszę!

— Nierozumny z was człowiek. Nazwisko od orła się wywodzi, a w głowie pusto. Niedaleko

uciekliście od tych durniów, których samiście rozstrzelali... Nie, miły mój...

— Towarzyszu...

— Chwileczkę...

— Towarzyszu sędzio!

— Uwaga! Leci! — dobiegło skądś z góry.

Nastąpiła martwa cisza, po czym rozległ się taki huk i ziemia zadrżała tak, że wszyscy o sądzie zapomnieli. Potem nagle wszystko ucichło.

— A o tym ziarnie toście dobrze powiedzieli — odezwał się Wełyczko, śledząc oddalające się nieprzyjacielskie bombowce. — I wierzę, że wcześniej czy później będziecie jeszcze, Orluk, siać to ziarno gdzieś nad Dnieprem... Wspomnicie moje słowa.

— Więc o to ziarno się nie gniewacie?

— O ziarno nie, wprost przeciwnie.

— Tak lubię siać! — westchnął Orluk, usiłując przez cały czas zapomnieć, iż stoi przed sądem. — Lubię orać, kosić, młócić. Ale ponad wszystko lubię siać, sadzić, pielęgnować, żeby rosło. Mam wtedy sto rąk, a rękę mam, towarzyszu sędzio, taką lekką, że nigdzie tak nie rodziło, jak tam, gdzie byłem. Otrzymałem medal na wystawie. O, proszę!... Poszły, poszły, poszły! — ożywił się bardzo Orluk, ujrawszy nagle eskadrę naszych myśliwców. — Jak ja zazdroszczę lotnikom! Nie udało mi się dostać do lotnictwa.

Karna kompania czy nie karna, wszystkim jednakowo ciężko. Ostatecznie wszędzie można zwyciężać.

— Ogień na mnie! Ogień na mnie! Faszyci blisko! Ja „Jaskółka”! Ogień na mnie! Wróg już tu! Ja „Jaskółka”!... „Jaskółka”!...

Orluk siedział w gnieździe naprowadzającego i krzyczał do słuchawki telefonu. Na twarzy jego widniała rozpacz — czy dlatego, że nikt mu już nie odpowiadał, czy dlatego, że ogłuchł od wybuchów, czy też może dlatego, że wróg był już istot-

nie blisko. Potem wstrzymał oddech i spurpurowiał: obok niego leżały trupy wrogów i nie było gdzie schronić się przed nimi ani przed nieznośnym ich odorem.

— Ogień na mnie!

Wolał raczej, by rozniosły go własne pociski, żeby tylko nie oddychać tym smrodem.

— Ja „Jaskółka”!... Wal! A niech was diabli!...

Ale artylerii nie obchodziła już „Jaskółka”. Bitwa trwała już piątą dobę. Samochody podwoziły rezerwowe posiłki. Żołnierze spoglądali na przepływający z przeciwnego kierunku potok rannych i szli do przodu ze swoimi ciężkimi myślami.

Bitwa wyrzucała ciągle nowych rannych. Ziemia drżała pod ciężkimi ciosami bomb. Wróg nie szczędził siebie. Rzucił się do ataku dosłownie po własnych trupach i dotarł do artylerii. Kiedy nieprzyjacielska fala uderzyła na starszego lejtnanta Pachomowa, artylerzyści zapracowali w granicznym tempie. Pachomow upadł ciężko ranny. Wówczas uderzył ze skrzydła cekaem Harkawenki. Ale i Harkawenko padł, przeszyty śmiertelnie wielu kulami. Zastąpił go pomocnik Graczow, pracował jednak tylko przez chwilę. Zabrakło Graczowa. Wówczas Popelniuk rzucił się między ranną obsługę cekaemu i z bliska położył całą nieprzyjacielską tyralierę.

— Ogień na mnie! — krzyczał dalej Orluk, czując już, jak ziemia drży pod ciężarem nieprzyjacielskich czołgów. Tym razem Orluka usłyszeli.

— Kierujemy ogień na ciebie! Uciekaj, pókiś cały! — krzyknął do telefonu starszy sierżant, Sybirak Dubrowin, który zastąpił rannego Pachomowa. Był to wesoły dryblas, który nigdy nie upadał na duchu. Od dawna już nosił list do rodziny, w którym skrupulatnie powiadamiał o swojej śmierci w boju, żeby wiedzieli, i oni wszyscy, i cała Syberia, jak on zginął na polu walki.

— Ognia!

Orluk jakimś cudem wydostał się z ogniowego kotła. Kiedy się obejrzał, płonęło już kilka nieprzyjacielskich czołgów; jeden z czołgów, najbliższy, trafiony pociskiem w sam przód, wyleciał w powietrze, zmieniając się w olbrzymią, szkarłatnoczarną kulę; wybuch był tak potężny, że w Orluka uderzyła żarem fala rozpalonego powietrza, a serce załomotało, jakby chciało uciec z piersi.

Korzystając z chwilowego zamieszania u nieprzyjaciela, Dubrowin wyprowadził baterię na odkrytą pozycję. I chociaż wielu żołnierzy zginęło od ognia czołgów, a i on sam, Dubrowin, był ranny, artylerzyści zniszczyli jeszcze sześć czołgów i uratowali tym skrzydło. Niedługo jednak utrzymali się. Ruszyły na nich nowe fale faszystów z automatami. I chociaż wszyscy zginęli lub zostali ranni, bitwa była wygrana.

— Czołgi! Dubrowin! Nasze czołgi! — krzyknął Orluk, obejrzawszy się.

Do ataku szły czołgi generała Głazunowa. Orlukowi wydawało się, że krzyknął „hurraa!”, ale tylko wyszeptał to słowo. Był dwukrotnie ranny.

W zażartej walce nie odczuwał ani bólu, ani upływu krwi. Jego zapał bojowy osiągnął taki stopień roznamiętnienia, że wściekłość na wroga opuściła go dopiero wraz z utratą krwi. Ogarnął go smutek. Topniejąc jak wosk na słońcu, upadł. I wydało mu się, że jakimś cudem padł nie na ziemię pomiędzy wzdęte konie i cuchnące trupy faszystów, lecz do czółna dziadka; wiosenna powódź pochwycała je i niosła bystrym nurtem wśród czarnych topoli, wierzb, dębów oraz przez urzekające łęgi wierzbiny i łożyny. Na zatopionych drzewach pękały pączki i rozkwitały delikatne kwiaty. Potem czółno pomknęło wśród wodnych kwiatów, mijając wsie, chutory, a po wiosennym niebie snuły się misternie modelowane chmurki. Następnie woda gdzieś nagle znikła i dziadkowa

łódka popłynęła po trawie, po kwitnących sadach, wśród krzaków porzeczek i agrestu, obok pasiek i stebników, i w końcu przy płynęła jak w bajce do rodzinnej chaty.

— Iwanie! To przecież ty, nasz Iwanek! — Biegli do niego rodzice, dziadek, babka, siostry. A on leżał w czólnie nie poraniony, zupełnie zdrowy i radosny, tylko nie wolno mu było wstawać.

— Iwanie! Iwasiu! — Biegła do niego ścieżką ona, jego najdroższa Ulana. — Mój Iwanek powrócił!

Wszyscy schylali się nad nim z życzliwością i miłością, ale on nie mógł się podnieść.

— Iwanku, odezwij się do nas chociaż słowem! A dlaczego na tobie taka biała koszula?

— Bo dziś przeszedłem do drugiej klasy — odparł Orluk, uśmiechając się z zadowoleniem.

— Czy tam, gdzie byłeś, jest wojna? — spytała matka.

— Wojna, mamoo... Tam jest wszystko. Caluński świat. A widać!...

— Pali się?

— Oj, jak się pali!... A widać, mamoo, na sto lat naprzód.

— A kiedy to się nareszcie skończy?

— Był już nakaz.

— Jaki nakaz?

— A szukaj mnie, moja matko. Szukaj mnie przy drodze, w stepie, nikt mnie nie pochował, będę ja tam, moja matko, trzy zimy zimował, mieszają się moje włosy już z trawą stepową, ciałem komsomolskim będę ja sępy hodował, będę swoją krwią gorącą poił, matko, rzeki, ludzkość wyzwalał na wieki.

— Przecież to pieśń?

— Nie, pieśń, to ja wam zaśpiewam. — Uśmiechnął się Orluk i zaśpiewał cicho: — Dziewczy-no, Ulano, zbudź mnie wcześniej rano, zbudź, o nic nie pytaj, zbudź zanim zaświta, nim na

śmiertelne tany zabrzmiały barabany, nim w niebieskich wrotach zagra trąbka złota...

Ulana cicho zapłakała.

— No, a to co za umarlaki? — spytał dziadek, wskazując na zabitych faszystów, leżących w czółnie na dnie u nóg Orłuka.

— To wrogowie — rzekł Orłuk. — Byłem naprowadzającym. Krzyczę: „Ogień na mnie! Ogień na mnie!...” A oni do mnie: „*Wer ist dort?*”<sup>\*</sup> A ja: „Śmierć!” Aj!...

Hitlerowcy trzymali go za nogi zeszywniałymi rękami.

— Tracę świadomość — powiedział Orłuk trwożnie, lecz głośno, jakby chciał się obudzić i zatrzymać szybki nurt rzeki. Leżał na polu bitwy w krwi i brudzie, zaczadzony trupim odorem.

Potem, gdy stracił przytomność, znów popłynął do domu, ale nie mógł się do niego zbliżyć.

— Hej, hej! Ulano!... — krzyknął do swoich bliskich, ci jednak szybko się oddalili. Coś niepowstrzymane niosło go precz od rodzinnego sadu.

Do Orłukowej chaty podchodzili z zachodniej Europy najpodlejsi jej przedstawiciele: faszyci hitlerowscy. Weszli do wsi przy dźwiękach werbli i ustnych harmonijek. Stukali do każdych drzwi, do każdego okna. Niemal wszyscy coś jedli, żuli, niektórzy wydawali się pijani. Z wodnistych oczu okupantów wodziła duchowe ubóstwo.

W eterze również toczyła się wojna. Odbywały się potyczki między radiostacjami. Stacje radiowe Berlina, Kijowa, Bratysławy, Pragi, Paryża, Budapesztu, Rzymu — rozsyłały po całym świecie przemówienie führera Ukrainy, Erika Kocha:

— Na niezmiernych przestrzeniach Ukrainy starczy ziemi dla wszystkich niemieckich żołnierzy. Możecie mi wierzyć, żołnierze, że wycisnę

---

<sup>\*</sup> Kto tam jest?

z tego kraju wszystko, by was zabezpieczyć. Czterdzieści pięć hektarów na żołnierza! Oto co znaczy walczyć, kiedy prowadzi nas Adolf Hitler!

— Heil! Heil! Heil! — zachłystywał się chrypliwie eter.

— Tu rozgłośnia imienia Tarasa Szewczenki! Robotnicy, kołchoźnicy i inteligencjo pracująca Ukrainy! Drodzy towarzysze! Hitler i jego bandy pragną zawojować świat i stworzyć światowe imperium o ustroju niewolniczym...

— Tu Budapeszt! Heil! Heil! Heil!

— Tu Berlin! Żołnierze! Spełnia się odwieczne pangermańskie marzenie połączenie Morza Bałtyckiego i Czarnego pod wodzą Führera! Heil! Heil! Heil!

— Tu Moskwa! Co stałoby się z ludzkością, gdyby nie było nas, Związku Radzieckiego? Gdzie narody czerpałyby siłę i dzielność do walki z faszystowskim gigantem? Dokąd potoczyłby się świat? W jaką przepaść?...

— Tu Berlin! Zabijajcie, zabijajcie, zabijajcie bezpardonowo partyzantów i tych wszystkich, którzy z nimi współdziałają! Nakazuję, by nie brać do niewoli i nie rozstrzeliwać, lecz wieszać.

— Tu Moskwa! Bracia i siostry!... W tych potężnych zmaganiach dwóch światów decyduje się los Związku Radzieckiego, a wraz z nim radzieckiego państwa ukraińskiego. Rozstrzyga się problem życia narodów w ogóle, a w tym i naszego narodu. Czy nasza kultura będzie się nadal rozwijać, czy też zginie razem z nami? Czy Ukraina będzie wolną republiką radziecką, czy ściętnie i zmieni się w faszystowsko-niemiecką kolonię?...

Odezwa rządu tonie w ochryplych wrzaskach i wyciu radiostacji Zachodu.



— Heil, heil, heil! — wykrzykują płatni spikerzy całej niemal Europy, a za nimi powtarzają, zrywając sobie głosy, nędzni ukraińsko-niemieccy nacjonałiści.

Ale oto radiostacja imienia Tarasa Szewczenki znów zawładnęła eterem:

— Do broni, waleczny narodzie, do broni! Niszczcie i rozgramiajcie faszystowskie zwierzę! Niech wznosi się do nieba święty płomień nienawiści do okupantów! Sława waszej krwi i dzielności! Śmierć faszystowskim okupantom!

— Mówi Moskwa! Mówi Moskwa! Mówi Moskwa!

— Żyję — wyszeptał Orluk do sierżanta Dubrowina, który podbiegł do niego. W twarzy jego nie było już ani kropli krwi. Dubrowin sam był ranny w głowę, ale starczyło mu jeszcze siły, by podnieść Orluka.

— Żyjemy... To najzwyczajniejsza rana... Aha, jest i druga... Ach, ty!... Tamuj krew! Zaciskaj!

— Nie zostawiaj mnie, Stefanie.

— Nie słyszę. Ogłuchłem!

— Nie pozwól mi się położyć! Trzymaj mnie na nogach!

— Aha! — odparł Dubrowin. — I ty się trzymaj, drepcz w miejscu!

— Drepczę...

— Drepcz, nie dawaj się!

— Przecież drepczę! — krzyknął Orluk. — Drepczę, Stiopo...

— Drepcz! My jeszcze pokażemy, co potrafimy! Jeszcze oni wszyscy nas zobaczą! — Dubrowin spojrział na zachód i wziął Orluka na plecy.

Ranni opuszczali pole walki, podtrzymując się wzajemnie. Wielu z nich wynosili sanitariusze i ładowali na samochody, które mijały się z samochodami wiozącymi posiłki. Na oddziale chi-

rurgicznym robota idzie pełną parą. Okna dzwonią od wybuchów. Niekiedy słycać dudnienie wielkokalibrowych cekaemów. Jedna z sióstr straciła przytomność.

— Hej, zabierzcie siostrę!

Chirurgowi Bohdanowskiemu wkładają do ust kanapki. Gumowy fartuch jest zakrwawiony, podobnie jak biały kitel. Zmarniała ze zmęczenia niemłoda już twarz zlna potem, oczy błyszczą. Ręce w gumowych rękawicach uniesione do góry.

— Wina!

W chirurga wlewali wino.

W pobliżu rozerwała się duża bomba. Od wybuchu posypało się szkło, tynk, żwir. Wszystko zadrżało i poruszyło się z miejsca. Fala powietrza rzuciła chirurgiem o ścianę, przygniotła do podłogi.

— Ulano, Ulano! — krzycał sierżant Orluk na stole operacyjnym. Już nieprzytomny, ciągnął do końca swą straszną grę, gestykując roztrzęsionymi rękami. — Ogień na mnie! Ogień na mnie! Ja „Jaskółka”! Faszyści tuż, tuż! „Jaskółka”! Na Mnie!... Ja „Jaskółka”!... Ulano!... „Jaskółka”!...

Szpital drżał i trzeszczał od potężnego ryku wojny.

W tym samym czasie daleko za Dnieprem złowieszczy ryk wojny wdzierał się do szkoły w rodzinnej wsi Iwana.

— Spokojnie, Ulano. Idą... Najważniejsze to spokój... Proszę cię...

— *Achtung!* \*

— Wstawać! Wstawać!

Komisarz hitlerowski, Kurt Schreder, wraz z tłumaczem i dwoma żołnierzami uzbrojonymi w automaty przeszedł szybko przez wszystkie klasy staropawłowskiej dziesięciolatki. Uczniowie i na-

---

\* Uwaga!

uczyciele wstawali w grobowym milczeniu. Przy wyjściu ze szkoły oraz na korytarzu stali policjanci.

Dyrektor szkoły Wasyl Markowicz Riasny był w najwyższym stopniu zdenerwowany. Obawiał się, że któryś z uczniów nie wstanie lub też odpowie niegrzecznie na jakieś pytanie komisarza. Wiedział, jak jego wychowankowie nienawidzą faszystów, jak ich nienawidzą nauczyciele. Wiadome mu było, że komsomolska grupa nauczycieli i uczniów przygotowywała się do utworzenia podziemnej drużyny bojowej, by przy pierwszej sprzyjającej okazji w sposób zorganizowany przedostać się do partyzantki. Współczuł im całym sercem i sam chętnie poszedłby z nimi, gdyby nie podeszły wiek. Nie był to taki tylko zwykły nauczyciel, krzewienie oświaty wśród ludu było tradycją jego rodu. Nauczycielami byli jego ojciec i jego dziadek, uczyły również jego dzieci — dwaj synowie, którzy poszli do Armii Czerwonej, oraz córka Ulana, która niedawno ukończyła instytut pedagogiczny w Nieżynie. Portrety Czernyszewskiego, Pisariewa, Dobrolubowa, Uszyńskiego i Szewczenki, na których wychowały się całe pokolenia nauczycieli ludowych, były czczone w jego rodzinie tak jak portret Lenina. Wasyl Markowicz był poważany w całej okolicy, i teraz, kiedy przedstawiciele władzy i aktyw partyjny wyruszyli na wschód, pozostawiając w podziemiu tylko małe, oddzielne grupki organizatorów ruchu oporu, dyrektor szkoły pozostał na wsi niemal jedynym autorytetem. Wiedział o tym i to mu ciążyło. Przygniatało go przecucie groźnych niebezpieczeństw. Niebo przesłaniały ciężkie chmury, przez które nie przedostawał się żaden promyk.

Komisarz zatrzymał się w siódmej klasie. Zapanaowała złowróźbna cisza. Przed komisarzem stała za katedrą córka dyrektora, młoda nauczycielka historii Ulana Wasylewna. Spojrzawszy

na córkę Wasyl Markowicz czuł, że zaraz stanie się coś strasznego, nieodwołalnego, czego nie można ani odwrócić, ani naprawić. Dostrzegł na twarzy córki to, co ukrywał głęboko w swym sercu. Dumna młodość nie potrafiła ukryć swych uczuć. Ułana patrzyła na komisarza Schredera z nie ukrywaną pogardą.

— To moja córka. Proszę dalej, do następnej klasy — powiedział Wasyl Markowicz.

— Doskonale — Schreder uśmiechnął się. — Pani pozwoli? — zwrócił się do Ułany i nie doczekawszy się odpowiedzi, usiadł, kładąc na katedrze pejcz i czapkę. — Proszę kontynuować. Powiedźcie jej, żeby prowadziła dalej lekcję.

— Niech pani sobie nie przerywa. Pan komisarz chce posłuchać pani lekcji — powiedział po ukraińsku oficer tłumacz, mężczyzna średniego wzrostu o nieokreślonym wieku, jakby jakiś wyblakły.

Wypędzony z Ukrainy w osiemnastym roku razem z hetmańskimi niedobitkami, cherlawy syn popa włońskiego, Jewhen Hrybowski przeżył za granicą dwadzieścia pięć lat. Przez ćwierć wieku nosiło go po Niemczech, Kanadzie, Brazylii, Argentynie, Południowej Afryce, Francji, Bałkanach. W tych długich wędrówkach po manowcach, zaznawszy tylu przygód, że starczyłoby ich na dobry dziesiątek bulwarowych powieści, dał się poznać wielu kontrwywiadom. Niejeden zakonspirowany szef kontrwywiadu przechowywał u siebie jego fotografie, raporty i przysięgi na wierność. Komiwojażer terroru, jak nazywano go w pewnych kołach, miał obywatelstwo Łotwy, Czechosłowacji, Francji, Niemiec, Bułgarii, Argentyny. Był agentem wielu państw. Lubił ładne kobiety, wino, kochał się w drogich kamieniach i nosił garnitury z wyszukaną elegancją międzynarodowych awanturników. Brał się do wszystkiego, niczego nie umiając, nie mając żadnego ludzkiego fachu.

Błąkając się długo po obczyźnie siał nienawiść do rządu swego narodu, myśląc o Ukrainie jedynie jako o obiekcie maniakalnej zemsty. Żalotne lata rozczarowań przesuwały w restauracjach, drugorzędnych hotelach, przedziałach wagonów. W chimerycznym, awanturnicznym szastaniu się minęła młodość, przeminęła cała epoka. W zmęczonej, chorej wyobraźni poplątały się wszystkie drogi całego świata, na których zagubił bliskich mu ludzi, dawno już o nich zapomniawszy, zapomniał nawet o ojcu na wsi, mizernym ciemnym popie. Był to już człowiek-minus. Wykorzystując go do grabieżczych zadań, niemieccy faszyci nie wierzyli nawet jednemu jego słowu i traktowali go pogardliwie jak wyrzutka ludzkości, jacy zawsze trafiają pod nogi na krętych szlakach międzynarodowej polityki.

Takim był Hrybowski. Wybuch wojny niemiecko-radzieckiej zastał go diabli wiedzą gdzie, we Włoszech, Tunisie czy też w Madrycie. Po kilku dniach był już w hitlerowskim mundurze. Groźny potok poniósł go razem z faszystowską hordą na Ukrainę.

— Proszę prowadzić dalej! — rozkazał nauczycielce.

— Jak podaje kronikarz — mówiła Ulana, zwracając się do uczniów — książ Światosław miał chód lekki jak lampart. Na wyprawy nie zabierał nigdy wozów, nie gotował też mięsa, ale pokrajawszy koninę, dziczyznę czy wołowinę, piekł na ogniu. Nie miał ni namiotu, ni pościeli i nigdy nie wyruszał na nieprzyjaciela bez wypowiedzenia wojny. Ten szlachetny i prostoduszny Słowianin zawsze uprzedzał o swej wyprawie. Wyrósł tu, gdzie my. Tam, za tą górą, w Wyszhorodzie, mieszkała jego matka Olga. A tu, za tym oknem, gdzie stoi Trojanowa chata, tysiąc lat temu pasły się jego konie...

Ułana umilkła na chwilę, opanowując podniecenie. Klasa nie spuszczała jej z oczu. Było tak cicho, iż zdawało się, że słychać pulsowanie krwi w sercach.

Żadne przemówienie nie mogłoby bardziej wzruszyć uczniów, niż te proste słowa. W ustach młodej nauczycielki głos narodu zabrzmiał nieśmiertelnym tysiącletnim dzwonem, jakby gdzieś nad Dnieprem zagrały surmy praojców, zarżały konie na stepowych pagórkach, zaleciało potem i krwią dawnych bitew, a potężny szczęk starych mieczy zagłuszył snujące się jeszcze echo dział i czołgów. Wszystko było zrozumiałe do końca. Wszystko wzywało do czynu.

Komisarz nie spuszczał z Ułany wodnistych oczu. Hrybowski również pożerał ją oczyma, tłumacząc mu półgłosem wykład nauczycielki.

Ułana odczuwała na sobie spojrzenia wrogów. Czowała się tak, jak młody niedoświadczony żołnierz w pierwszym swym boju, kiedy ze skrzydła zaczęły zasypywać go nieustannym niszczycielskim ogniem. Ale pod naporem instynktownej woli życia i zwycięstwa fala strachu zaczyna stopniowo opadać. Uwolniwszy się z krępujących go pęt, żołnierz rzuca się do przodu z dziesięciokrotnie większą pasją, i wówczas jego uderzenia nabierają szczególnej celności, a jego bojowy okrzyk brzmi ze szczególną siłą.

Głos Ułany wzmocił się. Po chwili jakby dojrzał o kilka lat. Było już w nim otwarte wezwanie.

— Kiedy w dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku hordy Pieczyngów, kierowane przez Bizantyjczyków, otoczyły go przy dniewprowych progach i książ Światosław widział, że nie ma żadnego wyjścia, znalazł jednak dla siebie i dla swej drużyny takie wyjście w walce. Kiedy wszyscy byli już ranni, a ich miecze się stępiły i rozpacz popychała do ucieczki z pola bitwy,

kniaź rzekł: „Wojowie, nie okryjemy sromem ruskiej ziemi, zostawimy tu nasze kości. Polegli sromu nie znają”. Wówczas jego drużyna odpowiedziała mu: „Kniaziu, tam, gdzie ty kładziesz swoją głowę...”

— „Tam i my położymy swoje!” — odpowiedziała gromko cała klasa i umilkła.

Zapadła niedobra cisza. Schreder wstał.

— Śmierć niemieckim okupantom? Doskonale! — Rumieniec na jego twarzy nie wróżył nic dobrego, był wściekły, gdy to usłyszał.

— Wstać! — warknął Hrybowski.

Wszyscy wstali.

— *Achtung!*

W drzwiach zjawili się uzbrojeni żołnierze.

— Panie komisarzy, przecież to lekcja! — próbował ratować sytuację bardzo zdenerwowany Wasyl Markowicz. — To tylko wykład z naszej dawnej historii.

— Będziecie mieli zaraz okazję trochę poznać historię współczesną — rzekł Schreder.

Hrybowski przetłumaczył to. Schreder spojrzał z nienawiścią na Ulanę.

— Zwykłem szanować kobiety, nawet jeśli spotkam taką, która warta jest nie szacunku, lecz na przykład kuli lub szubienicy, zgodnie z naszym prawem, ja jednak...

— Panie komisarzy!...

— Przebaczam jednak panie Ulanie...

— Nie potrzebuję pańskiego przebaczenia! — rzekła Ułana.

— Biorę to pod uwagę — powiedział Schreder i nakazując gestem wyprowadzić Ulanę spojrzał na nauczycieli. — Muszę wziąć całą szkołę w obronę przed jej szkodliwym wpływem. O ile mi wiadomo jest komsomołką.

— Tu wszyscy są komsomolcami — rzekł młody nauczyciel Serhij Homon, kiedy policjanci wyprowadzali Ulanę.

— Nieprawda! Ja nie jestem komsomolcem! Nie macie prawa tak mówić! — trząsał się ze strachu nauczyciel młodszych klas, Hordij Mandryka. — Ulano Wasylewno, proszę potwierdzić, że nie jestem komsomolcem.

— Pan? Oczywiście że nie — powiedziała Ulana, obejrzawszy się. — Jaki tam z pana komsomolec!

— Zresztą obojętne mi, czy jesteście komso-  
molcami, czy nie — rzekł Schreder. — Chcę,  
żebyście wy wszyscy, nauczyciele i uczniowie klas  
wyższych, jednakowo dobrze wspominali mnie w  
Niemczech, dokąd pojedziecie jeszcze dziś...

— Przepraszam!... Dziś?...

— Tu nie macie nic więcej do roboty. Zrozumiano?

— Ależ my się uczymy! — rozległ się głos jakiejś uczennicy.

— Nie będziecie się dalej uczyć. Będziecie pracować. Po co uczyć wiejskie dzieci? Jesteście przecież rolnikami. To wszystko!

— Ależ to niemożliwe! To jakaś pomyłka! Nie wierzę! — wybuchnął Wasyl Markowicz. — Niemcy Goethego, Schillera!...

— Niech się pan zamknie! To nietaktowne — powiedział Hrybowski. — Pozostaną tylko trzy grupy uczniów młodszych i nauczyciel Mandryka.

— Mandryka? Niech pan zaczeka. Proszę mu przełożyć! Niech pan wybaczy, panie komisarzu, ale pana mylnie poinformowano o naszej wsi! — Wasyl Markowicz pobiegł za komisarzem do sąsiedniej klasy. — Nasza wieś nie jest taka, jak pan sobie wyobraża. W okresie władzy radzieckiej wyrosło w niej wiele inteligencji: lekarzy, inżynierów, pedagogów. Są uczeni, agronomowie, chemicy... Przecież u nas...

— U nas, u nas! — rozzłościł się Schreder. — Proszę nie zapominać, że obecnie już nie my u was jesteśmy, lecz wy u nas!

— Pan chyba nie zdaje sobie sprawy z tego, co



pan mówi. Dureń! — wybuchnął nagle Wasyl Markowicz.

— Proszę liczyć się ze słowami — szepnął Hrybowski.

— Co on powiedział?

— On chyba zwariował.

— Co on powiedział?

— Powiedziałem, że oni nie pojedą do Niemiec. Hrybowski przetłumaczył.

— Czy to oni panu powiedzieli? — Schreder zbladł.

— To ja im powiedziałem — odparł cichym, ale twardym głosem Wasyl Markowicz.

— Nieprawda! Wasyl Markowicz nie mówił nam tego! — dał się słyszeć wzburzony głos młodej nauczycielki. — On chce wziąć na siebie nie swoją winę.

— Proszę przekazać temu bolszewikowi, że może się uważać za powieszzonego!

— Proszę mnie posłuchać — zaciskając zęby zwrócił się do nauczyciela Hrybowski. — Musi pan zrozumieć, że zostaliście pokonani. Komisarz radzi, żeby pan był ostrożniejszy w swoich wypowiedziach. Pan może być ukarany...

— Pan kłamie! — krzyknął Schreder po ukraińsku, zwracając się do tłumacza. — Powiedziałem, że on może się uważać za powieszzonego. A pan za zdegradowanego. Kurbacki!

Naczelnik policji Fedir Kurbacki w mig stanął przed Schrederem. Był to młody dezertor, bezwolne narzędzie hitlerowskiego okrucieństwa, bandyta i złodziej, który nieraz już siedział w więzieniu, odbywając stosunkowo łagodne kary za swe przestępstwa. Komendantem policji został natychmiast po wkroczeniu faszystów i od pierwszego dnia stał się postrachem całego powiatu. Z rąk tego podłego wykonawcy hitlerowskich rozkazów zginęły dziesiątki ludzi, którzy przeklinali przed śmiercią swą niemądrą wspaniałomyślność,

bo wówczas, gdy mieli władzę, a z nią i obowiązek zniszczenia przestępcy, litowali się nad jego matką i ojcem, nędznym sknerą.

— Bij! — rozkazał komisarz.

Kurbacki obejrzał się i zmartwiało. Przed nim stał stary dyrektor szkoły.

— Nie rusz go! — krzyknęła klasa.

Kurbacki zmieszał się. Nawet on nie mógł zdobyć się na taką zuchwałość, by podnieść rękę na Wasyla Markowicza.

Wówczas Schreder, widząc, że sprawa przybiera niepożądany obrót, uderzył Kurbackiego z całej siły trzy razy pejcem i dopiero wówczas bandyta, rżąc z bólu, jak pies na uwięzi, rzucił się na dyrektora.

— Towarzysze! Uciekajmy! — krzyknęli przestraszeni uczniowie z sąsiednich klas.

— Dokąd uciekać?

— Oni otoczyli szkołę.

— Przebić się! Musimy się przebić!

Chłopcy i dziewczęta z ósmej i dziewiątej klasy stali w ławkach i patrzyli w okna. Do szkoły podjechały samochody ciężarowe z żołnierzami. Z siódmej klasy doleciał krzyk.

— Wstrzymaj się z biciem, Kainie! — powiedział Wasyl Markowicz, znajdując w sobie dość siły, by odepchnąć Kurbackiego i podejść do Schredera. — Chcę podziękować katu za stryczek. Nie bój się, nie będę bił... — powiedział głucho, gdy Schreder cofnął się nagle przed nim o dwa kroki.

— Słuchaj no! Nie podchodź do mnie!

— Nie, to ty posłuchaj! — Riasny wyprostował się. Wiedział, że zginie i że nie wyjdzie już z tej klasy. Nie było jednak w jego sercu ani strachu, ani żalu. W ostatnich chwilach jego ucziwie przeżytego życia przyszedł mu w sukurs gniew. — Posłuchaj i zapamiętaj, dokąd przyszedłeś.

— Podbiłem...

— Nie. Tak ci się tylko zdaje.

— Jesteś śmieszny.

— Jestem wolny. Przetłumacz mu to dokładnie, nędzniku!... Jestem wolny. Ja i mój naród.

— Ja wyniszczę połowę twego narodu.

— Druga połowa zniszczy ciebie.

— Zabiję cię!

— Wiem. I sam tu zginiesz. Ale zanim zginiesz, przeklniesz tego, kto postawił ciebie na szlaku śmierci.

Schreder dzielił go pięścią.

— Nie trudź się — rzekł stary nauczyciel. — Ty nie możesz mnie obrazić. Za bardzo tobą pogardzam. I żeby ci tego dowieść, pluję ci w twarz przy dzieciach.

— Ja ciebie powieszę!... Nie. Na pal!... — pieklił się Schreder, wycierając oplutą twarz.

— Myślisz, że mnie tym przestraszysz? To starodawna ukraińska śmierć. Drżysz? Wbijaj mnie na pal! A podnieś wysoko, żeby wszyscy widzieli, jak gardzę tobą i wszystkimi twoimi uczynkami, ty nędzny faszysto.

Słowa te słyszała cała szkoła. I nagle...

Czy jest na naszej ziemi szkoła, która usłyszawszy takie słowa swego wychowawcy nie rzuciłaby się na wroga, najbardziej nawet okrutnego i bezwzględneho? Czy są takie dzieci?

Nie ma.

Wasyła Markowicza nie powiesili. Leżał w klasie z piersią przestreloną przez Schredera w otoczeniu rozrzuconych ciał swych nieustraszonych potomków, jakimi od wieków chlubiła się nasza ziemia.

Rozgromioną dziesięcioletnią szkołę pognano z wszystkimi nauczycielami do Niemiec. Pozostały tylko trzy pierwsze klasy i tchórzliwy Mandryka, który bał się własnego cienia.

Ułana zniknęła nie wiadomo kiedy. Opowiadało potem, że kiedy przyprowadzono ją do ko-

mendantury na przesłuchanie, to jakby ulegając natchnieniu, które nawiedza człowieka raz na sto lat w najbardziej odpowiednim, jedynym, niepowtarzalnym momencie, zaraz od progu rzuciła się do stołu i porwawszy leżący tam mauzer zastrzeliła dwóch oficerów gestapo i dwóch żołnierzy. Następnie wybiegła do sieni, położyła trupem trzeciego żołnierza i już na dziedzińcu zastrzeliła jeszcze jednego. Wszystko to stało się w ciągu kilku sekund.

Podobno Ulana ukrywa się u lekarza Wirskiego, który mieszkał w chacie Orluka; mówiono, że lekarz ten zniekształcił jej twarz nie do poznania straszliwymi liszajami, a ręce jakąś krostą, żeby nikt nie mógł ani jej poznać, ani ująć za rękę. Lekarza niemal na śmierć za to nie zakatowali, ale zaprzeczał uparcie tym pogłoskom i cudem pozostał przy życiu tylko dzięki olbrzymiej wytrzymałości fizycznej i psychicznej.

Po Ulanie zaginął wszelki ślad.

Przewaliła się jesień i zima.

Przeminęło drugie już płomienne lato.

Iwan Orluk miał wielu nowych przyjaciół. Frontowa przyjaźń rodziła się i umacniała szybko, podobnie jak szybko się kończyła wraz z życiem. Wszystko tu było inaczej.

Jedna myśl wznosiła się nad drugą coraz wyżej, każda następna była bardziej ważka od poprzedniej. Stosunki międzyludzkie układały się serdecznie i prosto, jak nigdy przedtem w domu i w szkole.

Orluk nie rozumiał tylko sojuszników, podobnie zresztą jak jego towarzysze. Uważał ich za egoistów. Ich zagraniczną kielbasę jadł niechętnie, zwłaszcza po gorących chwilach, kiedy czasami nie było już komu jeść. Brała tu górę jego młodość. Prócz tego w zrozumieniu psychiki obco-krajowców przeszkadzały mu pewne cechy jego

charakteru i wychowania oraz własna prostolinijność. Chciał na wojnie dzielić z sojusznikami wszystko po równi: i krew, i pot, i biedę. Nie miał w sobie za grosz tak potrzebnego w życiu zmysłu dyplomatycznego. Był dumny i wrażliwy. Słusznie pisał o nim pewien zaprzyjaźniony zagraniczny pisarz: Iwan odczuwał dramat świata w kategoriach bardzo osobistych. Zbrodnie faszystów nie dawały mu spokoju ni we dnie, ni w nocy.

Robił wszystko pod ciśnieniem imperatywu wielkości przy samym kraterze wulkanu; oślepiany blaskiem jego wybuchów, gotów w każdej chwili szczeznąć jak pyłek.

Niekiedy trzeba było przypadać na długie godziny do drżącej ziemi. Wydawał się wtedy sam sobie żalonym robakiem, tęsknota za normalnym życiem była wówczas nie do zniesienia. A niekiedy wprost przeciwnie: nasyciwszy się zemstą czuł się niezwykle silny i niedostępny śmierci. Dowódcy mogli mu wówczas zlecać każde najbardziej niebezpieczne zadanie. Jakby mu skrzydła wyrastały, a wyobraźnia rozpalala się z taką siłą, że zwycięstwo, które wielcy marszałkowie widzieli przez lunetę polową bardzo jeszcze odległą, wydawało mu się tak bliskie, iż czuł na sobie jego oddech.

Ale nieczęsto zdarzały się Orlukowi tak podniosłe momenty na wojnie. A czego było pod dostatkiem? Potu, trudności, codziennej wyczerpującej mordęgi przemarszów. I były permanentne niemal stany nadmiernych napięć.

Rzucając się do ataku Orluk krzyczał nieludzkim głosem. Tak samo krzyczeli obok niego jego towarzysze. I dopiero po bitwie, i to nie od razu, kiedy przestawała trząść nimi febra, mówiło się i pisało, czytało się we frontowych gazetach, że w najgroźniejszym dla nas momencie runęliśmy na wroga z okrzykami pełnymi patosu; może to

i prawda, bo tylko takie okrzyki mógł wydobyć z siebie napięty jak struna komsomolec Orluk.

Jak gdyby miliony głosów całego narodu wyrwały się jednocześnie z jego ust, zlewały się w niewiarygodny ochrypli ryk i niosły go, wspianą radzieckiego chłopca, na spotkanie z wrogiem, a śmierć ustępowała przed nim, chociaż podstawiła mu niekiedy swą kościstą nogę, wtedy padał ranny.

Raz został zraniony odłamkami pocisków w plecy i w bok. Rozebrany do pasa, stał w zaimprovizowanym w sadzie lazarecie wojskowym przed siostrą i założywszy ręce na kark obracał się powoli, owijając się w ten sposób bandażem. Obecny przy tym korespondent wojenny patrzył na niego z nie ukrywanym zachwytem. Był człowiekiem odważnym, z niejednego pieca chleb jadł, na twarzy miał zawsze uprzejmy uśmiech.

Jednak Orluk niezbyt lubił wojennych korespondentów. Ich reportaże z frontu wydawały mu się nieprawdziwe, wywoływały śmiech lub ironię.

— Orluk? Cześć! Rany boskie!

— Tak, tak. Załatwili mnie, dranie! Krew, rozumiesz, lała się ze mnie jak z zarzynanego wieprza.

— Pisałem o was, że pierwsi poderwaliście do ataku całą kompanię — powiedział korespondent.

— Kto? Ja?

— Tak! Wyszedł wspaniały reportaż. Cudo!

— Bzdura — rzekł cicho Orluk i uśmiechnął się. — Widzieliście to cudo?

— Przepraszam!

— Poszlibyście chociaż raz do ataku, tobyście zobaczyli, co to za cudo — rzekł postępując leżący obok ranny.

— Prawdę mówiąc, nie byłem dotąd w ataku.

— No właśnie! Wiedziałbyś, gdzie raki zimują. Pismak! — odezwał się niemłody już ranny, trzy-

mając na piersi zabandażowaną rękę, jak niemowlę w śnieżnobiałych pieluszkach.

Ranni uśmiechnęli się. Ale wielu spośród nich nie było do śmiechu. Jakby jeszcze dotąd przebywali „tam”. Ciężko utrudzeni leżeli teraz słabi, zakurzeni, jakby pomniejszeni, jak połamane zabawki. Jakiś pożółkły od bólu żołnierz wystękał:

— Jakie tam do diabła cuda?! Piszą lichu wie co! Oj!...

— Oczywiście — rzekł korespondent — ale ja miałem na uwadze co innego. Bo poderwać się w ogniu i stanąć na całą wysokość, to nie znać strachu, to ....

— Nie znać strachu? A spróbuj poderwać się i biec do ataku bez strachu!

— Oczywiście! Ja właśnie piszę, że to czyn bohaterstwa. I w tym jest właśnie piękno! — Korespondent uśmiechnął się. — Cały świat to podziwia. Tylko że wy nie potraficie tego zrozumieć. Nie umiecie już spojrzeć na siebie z boku.

— Mowa.

— No dobra — powiedział ranny żołnierz z obandażowaną ręką. — Nie umiem spojrzeć na siebie z boku. Ale widzę ich przecież, są tacy sami jak ja. Coście zobaczyli w nich pięknego? No, proszę mi pokazać chociaż jednego takiego! Czy może być piękno w zabijaniu ludzi?

— A diabli go tam wiedzą — rzekł Orłuk, owijając się białośnieżnym bandażem. — Mogę powiedzieć o sobie tylko jedno: tyle razy chodziłem już do ataku, ale prócz rozdrażnienia i złości nie odczuwam niczego. Włosy marzną na głowie. — Orłuk zwrócił się do dziennikarza. — Rozumiem, dlaczego niektórzy nawet siwieją. Włos się jeży, zęby kaleczą język, kamiennym ciężarem strach wgniata cię do ziemi, a wokół ciebie ziemia drży i dygoce i wciąga cię, wciąga... Więc jak podnieść się z niej, kiedy się jest przy zdrowych zmysłach?

I wtedy następuje taki moment, że ktoś z kompanii, on czy ja, podrywa się, klnąc cały świat...

— Zgadza się.

— ...i tego kundla wściekłego Hitlera!..

— Właśnie!

— I wychodzi już nie „hurra”, ale nie wiadomo co. Ryk!

— Zgadza się.

— A z tyłu cała Rosja groźnie do ciebie: „Naprzód! Czemuś przycupnął? Wstawaj! Nie trać ani sekundy! Nie wolno zmarnować ani sekundy!” Tak to wygląda. Czy może nieprawda?

— Prawda, Orluk, prawda! — odkrzyknął cały lazaret.

Orluk stał przed dziennikarzem w purpurowym świetle zachodzącego słońca, z założonymi na kark rękami i obandażowanym, nagim torsem. Żądza życia była w nim tak potężna, że utraciwszy niemal połowę krwi, nie stracił przytomności, podobnie jak i przedtem, gdy był kilka razy ciężko ranny, i tylko w najbardziej krytycznych momentach świadomość na moment go opuszczała, ale i wtedy, wyzwoliwszy się spod presji bólu, mózg pracował z nadmierną siłą, niosąc go Bóg wie gdzie, jak stepowego konia, który zerwał się z uwięzi.

Było to wtedy, gdy został po raz trzeci ranny pod Stalingradem. W kontrataku padł z rozbiegu na kulę ziemską i chociaż kula wysliznęła się spod niego, podniósł się jednak, z zakrwawioną twarzą, ale nie mógł długo utrzymać się na nogach i znowu upadł, tym razem na duży stół pokryty czerwonym sukniem, przy którym tłoczyli się przedstawiciele bratnich krajów z całego świata. Nie ukrywając swego zachwyty zaczęli go hucznie oklaskiwać. Ale on nie mógł ich zrozumieć. Nie opamiętał się jeszcze po ogłuszającym bitewnym gromie i nie mógł się zorientować, co to za ludzie: dziennikarze, pisarze, handlarze, czy też mo-



że jakieś inne osoby. Było ich wielu. Różnili się między sobą, wszyscy jednak byli delikatni i wyjątkowo uprzejmi.

Niektórzy, jak wskazywały naramienniki, przebrani byli w wojskowe mundury, co nadawało im jednak wygląd nie wojowniczy, ale wprost przeciwnie, jakiś kobiecy. Z ich wyrazistych, łagodnych i rozumnych oczu wycierała ciekawość, a świeżo wygolone policzki mieniły się tak dobrodusznym rumieńcem, że Orłuk, którego cechowała, jak już wspomniano, prostolinijność i zapalczywość nawet w normalnym stanie, nagle stracił panowanie nad sobą.

Rozrywany przez trudny do zniesienia ból, zakrwawiony i brudny, zaczął krzyczeć głośno i jęczeć, i stękać ciężko, i coś tam mówić, a oni oklaskiwali go i na wypródki nagrywali każdy jego jęk. Jeden z nich znał język rosyjski i przekładał cały ten jego fonogram na ich niezrozumiałą mowę.

— Panowie, on po prostu krzyczy. A szok już minął.

— Ale co on krzyczy?

— Krzyczy: „Mamo, proszę zabrać to mięso”.

— Mięso?

— Proszę zapytać, jakie mięso.

— Co on ma na myśli?

— Może konserwy mu się nie podobają?

— On się awanturuje i wykrzykuje brutalne przekleństwa.

— Ojej! Oj!

— Jaki chwyt!

— Ojej! Oj! Zabierzcie te puszki! — krzyczał Orłuk, plując krwią.

— Mister Iwan, proszę nie krzyczeć — rzekł łagodnie po rosyjsku sojusznik. — Dżentelmeni nie powinni krzyczeć. Pan może wydać się śmiesznym.

— Idźcie walczyć!

— Mister Iwan, pan nie powinien tak mówić.

— Co on mówi?

— On mówi brzydkie rzeczy. On czyni nam wymówki.

— Jakie?

— O, on jest niewątpliwie bardzo naiwny.

— Idźcie walczyć, sukinsyny!

— Mister Iwan, pan wyraża się niedyplomatycznie — powiedział tłumacz po rosyjsku tak poprawnie i melodyjnie, jakby urodził się w starym Petersburgu lub Odessie. — Pan nie powinien tak mówić. Chcę wierzyć, że pan nie ostygł jeszcze od zabijania tych faszystowskich zuchów i dlatego jest pan taki wzburzony. O, pan powinien ich zdrowo młócić!

— Młóć, bodajby diabli tak młócili waszą mamę! Oj!... — jęknął Orluk. — A ty czemu się uśmiechasz? Nie rozumiem ciebie!

— Za pozwoleniem, mister Iwan, kto pana nauczył odnosić się do nas z takim uprzedzeniem? Przecież jesteśmy waszymi sojusznikami. Mamy dla was wiele szacunku. Nasz rząd ma dla was wiele uznania.

— Nasz rząd ma też dla was wiele szacunku.

— A pan?

— A ja nie.

— Nie? Dlaczego? Może pan nie zrozumiał pytania? Czy pan ma świadomość tego, co pan mówi?

— Tak.

— To dlaczego pan tak mówi?

— Często odnoszę rany... Oj... Mówię to, co mówią wszyscy nasi żołnierze, ci, co jeszcze żyją! Ojej!... Oj! — jęknął Orluk na swym skrwawionym łóżku. — Wiem, co myślicie!

— Co on powiedział?

— Powiedział, że zna nasze myśli.

— Proszę przerwać tę rozmowę! On się zmęczył.

— Jeśli pan pozwoli...

— Wy myślicie tak: niech cieknie na wszelki wypadek. Przyznajcie się!

— Co niech cieknie?

— Moja krew!

— Pan nie powinien tak myśleć, mister Iwan.

— Ja bardzo cierpię!

— Ale my właśnie za to bardzo pana kochamy. My kochamy was za ofiarę. Jesteśmy zachwyceni waszym heroizmem. U nas każde dziecko zachwyca się nim! Tylko proszę pamiętać, mister Iwan, że hitlerowscy faszyści są równie okrutni co podstępni. Oni już przeszczepili wam antypatię do nas za to, że jakoby oszczędzimy naszą krew, a szafujemy waszą...

— A czy to nieprawda? — huknął Iwan.

— Oczywiście że nie. Przecież oni bałamucają również niektórych naszych dżentelmenów, wmawiając im, że wy chcecie zawojować całą Europę. To oczywiście też nieprawda, proszę jednak zrozumieć, jak chytry jest nasz wspólny wróg.

— Chytry? — stęknął Orluk. — A dlaczego wy nie wojujecie?

— To tajemnica wojskowa. On pyta, czemu my nie wojujemy. Niestety nie możemy panu na to odpowiedzieć.

— Dlaczego?

— Chcemy wprowadzić przeciwnika w błąd.

— Nieprawda! Gdzie wasi żołnierze? Pokażcie mi waszych żołnierzy!

Dżentelmeni zniknęli. Zjawili się weseli żołnierze, zupełnie niepodobni do tych, jakich Orluk znał. Grali na ustnych harmonijkach jakąś skoczną melodię i uśmiechali się do Orluka jak w teatrze.

— Baczość! — krzyknął Orluk, unosząc się na skrwawionym łóżku. — Wy urągacie moim ranom!

Żołnierze momentalnie znikli.

Na ich miejsce zjawił się chirurg i nałożył mu na twarz białą maskę z gazy.

— Ojej! Oj! — jęczał Orluk. — Kiedy zaczniecie wreszcie wojować?! — Orluk rozplakał się i zerwał maskę. Potem wstał ze stołu. I wtedy stwierdził, że jest olbrzymi, przynajmniej dwadzieścia metrów wzrostu. Stał, skrwawiony, na piedestale jak pomnik oświetlony reflektorami. Miał na sobie żołnierski płaszcz. Jego głowa niemal dotykała sufitu olbrzymiej sali. Było w niej pełno małych, przyzwoicie ubranych ludzików. Patrzyli na niego i obojętnie śpiewali jakąś znaną, bliską mu melodię.

Nagle zrobił jeden nieokreślony ruch i pomknął do chmur. Potem płynął morzem, a właściwie nie płynął, lecz leciał nad nim, bez samolotu, zwyczajnie jak ptak, kłębiące się pod nim morze wyglądało jak olbrzymia waza z pereł; nad morzem przewalały się chmury o baśniowych kształtach, słychać było dziwną muzykę. Wszystko dźwięczało w jakimś zachwyceniu nieskończonością i bezkresem.

Potem opuścił się na wodę. Wir zaczął nim kręcić z niewiarygodną szybkością, po czym pociągnęło go w głąb, w bezdenną wodnistą przepaść.

— Iwanku, Iwanku! — przebiły się gdzieś z daleka przez muzykę drogie głosy.

— Iwanku, Iwanku! — przebiły się gdzieś matka, dziadek, siostra i Ulana.

Wówczas zebrawszy ostatnie siły wy dostał się z topieli na powierzchnię i krzyknął:

— Jestem tutaj! Żyję! ...

— Zuch! To rozumiem, to jest żołnierz! Pod chloroformem, spod noża podaje sygnały! — rzekł chirurg, operujący poranionego Orluka. — Żyj, mój drogi! Żyj chociaż sto lat... Bandaż!

— Obejmuję dowództwo! — krzyknął Orluk,

wynurzając się na moment z maligny, po czym znów stracił przytomność.

— Proszę wybaczyć, mój miły, ale tutaj ja dowodzę — mamrotał chirurg. — Trzymajcie go! No tak... Dobra. Dawać następnego.

— Przejmuję dowództwo! Za mną, naprzód! — podrywał Orluk żołnierzy do ataku.

Okopywał się przed kulami łopatką, zlany potem i dzwoniąc zębami.

Przebiegał z okopu do okopu w kurzu, w brudzie, w śniegu. Przenosił w bród przez rzeki rannych towarzyszy i sam wiele razy omal nie utonął.

Rzucił się do ataku z okrzykiem — hurrra-hurra-hurraaa!

Brnął z towarzyszami przez jesienne bagna, niosąc ciężkie kłody dla przepraw.

Wyciągał działa z wybojów i jam, buksujące samochody, lekko przy tym uśmiechając się i żartując, wiedział bowiem, że nasza sprawa sprawiedliwa i że koniec końcem zwyciężymy.

Prowadził przeprawy przez gęstą krę, po szyję w wodzie, pod wściekłym ostrzałem.

Spał martwym snem w śniegu na dwudziestostopniowym mrozie, kiedy sanitariusze, układając rannych na nosze, zobaczyli i zabrali również jego.

— Śpię, dokąd mnie ciągniecie?! Jestem żywy! — krzyknął do sanitariuszy, budząc się na moment. — Połóżcie mnie z powrotem! — zawołał i znowu zachrapał. Może śnili mu się rodzice gdzieś daleko za Dnieprem. Ile jeszcze bojów przed nim!

Demyd i Tetiana Orlukowie leżeli na piecu i chociaż mieli na sobie kozuchy i buty, było im zimno. Stary piec już nie grzał, stał biały pod gwiaździstym zimowym niebem, jak we śnie, a dokoła dymiło spopielające wszystko pogorzeliśko. Chatę spalili, a starego Demyda okrutnie pobili. Nie pożyje już Demyd długo, bo taki siny i opuchnięty i tak nieznośnie bolą ręce i nogi, i boli głowa, a nikt już nie przyjmie ich na nocleg, wszystkie domy spaliły się, co do jednego, spłonęła cała wieś aż po rzekę, a na Zarzeczu w każdej chacie pełno okupantów.

I nigdzie nie śpiewano, chociaż był to Nowy Rok. Tylko z daleka, zza rzeki, dolatywał niekiedy pijany ryk faszystów i jakaś samotna kobieta rozpaczliwie wołała pomocy:

— Ratujcieeee!...

Był silny mróz. Na ciemnym niebie drżały zimne gwiazdy i niezmierna Droga Mleczna mknęła w nieskończoność dwiema krzywymi koleinami.

Przytuliwszy się do zimnego komina Demyd cicho postękiwał.

— Oj... Zapal w piecu, Tetiano. Jakoś nie mogę się ogrzać. I wypędź te... jak je tam... konie czy co... Niech tak nie hałasują... Patrz, znowu pełna chata...

— Dobrze, wypędzę. A sio!... — rzekła Orlukowa i machnęła ręką w stronę pogorzeliśka. — Już ich nie ma. I już ci cieplej, prawda?

— Jakby cieplej... Oj...

Demyd uspokoił się, przez jego zmęczoną twarz przemknął ledwie widoczny uśmiech. Uśmiechał się przez całe życie — w szczęściu i w nieszczęściu, gdy się bawił i gdy pracował, kiedy kpił wyrozumiale z ludzi i kiedy kpił z siebie.

— To my już teraz Niemce, Tetiano, patrz... I nasze dzieci też przepadły. Będą się błąkać po obcych krajach.

— Coś ty, Demydzie! Wszyscy wrócą do swoich domów i żadnych Niemiec tu nie będzie.

— Naprawdę? Dziękuję ci, Tetiano...

— Wszystko minie. Wyszaleje się, jak ta zamięć.

Ale zamięć nie cichła. Znowu niebo się zachmurzyło, gwiazdy potonęły w chmurach, śnieg zawiął pogorzeliśka.

— Ratunkuuu!... — doleciało przez zamięć.

— To ty, Tetiano? — spytał Demyd, jakby się budząc lub wracając z dalekiej drogi.

— To ja, Demydzie. Tetiana. Źle się czujesz?

— Zaśpiewaj mi kolędę.

— Kolędę?

— Uhm. Zdaje się, że umieram. Tak chce się spać. A to przecież Boże Narodzenie. Zaczną się schodzić goście. Iwan z dziewczętami. Co? Iwan! Zaśpiewaj mi o naszym Iwanie.

— O Iwanie? No dobrze...

I popłynęła w mrok zawieruchy stara kolęda Orlukowej matki:

Dzielny Iwan wrota kruszył,  
hej, kolęda, kolęda,  
gdy na obce grody ruszył,  
hej, kolęda, kolęda.

Wuu-u!... — wyła i huczała zawierucha, znacząc swój szlak zaspami śnieżnymi i przeganiając z lasów i błotnistych pól wszystko, co bezdomne.

Z dużymi ciągnie wojskami,  
hej, kolęda, kolęda,  
aż drży ziemia pod stopami,  
hej, kolęda, kolęda!...

Tego samego wieczoru dzielnego Iwana wezwano do sztabu dywizji, dokąd przyjechał dowódca armii Głazunow.

— Dajcie Orlukę!

— Starszy sierżant Orluk melduje się na rozkaz!

Sierżant Orluk stał w ziemiance przed generałem Głazunowem w pełnej gotowości bojowej. Było to w nocy, w donieckich stepach.

— Zadanie otrzymaliście?

— Tak jest, towarzyszu generale!

— Jest to zadanie, sierżancie Orluk, wyjątkowej wagi. Od jego powodzenia zależy nie tylko nasze zwycięstwo, ale i życie tysięcy ludzi. Jutro stracimy w przybliżeniu... no, nie chcę zakrakać. Wiele zależy od wyników waszego zwiadu. Zrozumiano? Otóż od sukcesu tego zwiadu zależy los około pięciu tysięcy waszych towarzyszy. Ja nigdy nie przesadzam. Zrozumieście?

— Tak jest, towarzyszu generale!

— To zadanie powierzyłem wam.

— Tak jest...

— Poczekaście. Pierwszy warunek: wykonacie to ze swoimi ludźmi natychmiast. Posługujcie się nożem, bagnetem, czym chcecie. Ale żadnego wystrzału, żadnego hałasu, Absolutna cisza, chemicznie czysta że tak powiem. Zrozumiano? I wziąć języka.

— Tak jest!

— I jeszcze jedno. Rozkazuję wam osobiście wrócić żywym.

— Tak jest, wykonać zadanie cicho i wziąć języka.

— To wszystko.

— Proszę pozwolić odmeldować się dla wykonania zadania.

— Możecie odejść...

Orluk zasalutował i wykonawszy w tył zwrot, wyszedł.

— Sierżant Orluk! — usłyszał głos generała, kiedy już zamknął drzwi. — Orluk!

— Tak jest, sierżant Orluk!

Generał Głazunow podszedł do sierżanta.



— Czy wy mnie pamiętacie? — zapytał zupełnie innym, cichym głosem.

— Tak jest.

— I poznaliście od razu?

— Tak jest.

— A dlaczegoście nie powiedzieli?

— Proszę o wybaczenie, towarzyszu generale.

— To nieładnie. Ale dlaczego?

— Bo bardzo wam wtedy nawymyślałem, towarzyszu generale.

— Od sukinsynów?

— Różnie — przyznał się Orluk czerwieniąc się.

— Udał się nam, co? — generał Głazunow zwrócił się do obecnych w ziemiance oficerów sztabu. — Niesie rannego dowódcę dywizji i wymyśla mu przez pięć kilometrów.

— Proszę o wybaczenie, towarzyszu generale armii, nie wiedziałem, kim jesteście. Patrzą, oficer i tyle.

— No tak. Dobrze, że prawie przez cały czas byłem nieprzytomny i tego nie słyszałem.

— No a wy swoją wagę, towarzyszu generale, macie, chyba ze sześć pudów, a wokół sami ranni, tylko siadać i płakać, a tu nieprzyjaciel naciska, a tu jeszcze i rzeka. Przeprawa zniszczona...

— No więc zacząłeś kłąć?

— Nie. To wy sami, towarzyszu generale, krzyčiliście i klęliście. No to widzę, że w tych nerwach, to mnie utopicie.

— No i co?

— No i uderzyłem... po głowie, żebyście zasnęli.

— Czym uderzyliście?

— Kułakiem... A czym miałem uderzyć?

— I zasnąłem?

— Tak jest.

— Dobry, co? Ciągnąłeś mnie wpław?

— Tak jest. A potem na sobie. Za rzeką ciągnęliśmy już we dwóch. Ten ranny chłopak, lejtnant, który mi pomagał, mówił, że jest waszym synem.

— Witalij?

— Tak jest.

— Nie ma już Witalija, Orluk... No, dobra. Dziękuję ci, bracie. Góra z górą, jak powiadają, się nie zejdzie...

— ...ale człowiek z człowiekiem spotka się, towarzyszu generale — dokończył Orluk. — Proszę pozwolić się odmeldować dla wykonania zadania!

Generał Głazunow milczał przez chwilę, patrząc ojcowskim wzrokiem na sierżanta. W oczach jego był smutek i niepokój.

— Idź, sierzancie. Spełniaj swój obowiązek — rzekł cicho jak do rodzonego syna.

Nie ma potrzeby szczegółowego opisywania, gdzie to wszystko się działo i przed jakim atakiem. Podobne sceny rozgrywały się wszędzie, gdzie bronili życia i honoru ojczyzny wspaniali ludzie radzieccy, wychowani dla pokojowej pracy.

Sierżant Orluk pełził po śniegu w białym ochronnym kitlu, a za nim, jak białe grudy, posuwali się wolno jego gwardziści. Od wschodu szła burza.

Pierwszy gwardzista:

— Koniec teraz ze mną, czy nie? Koniec teraz ze mną, czy nie? Nie! Jestem bardzo młody i powinienem myśleć raczej o śmierci wroga. A w ogóle, to trzeba myśleć tylko o czymś pięknym. Taki ładny miałem sen... Aha, w prawo. Tak jest, w prawo, tak... Tylko o czymś pięknym... No tak, zabijam ich. Wyobrażam to sobie dokładnie. Patrzę na zegarek: dwudziesta czwarta zero zero. Szczęśliwego Nowego Roku, obywatele całego świata! Wszystkiego najlepszego!

Drugi gwardzista:

— Oczywiście nie dopełnę, bracia i siostry, do Berlina. To bardzo daleko. Gdzie ja, a gdzie Berlin. Popatrzcie na globus. No, ale pies go trącał. Nie o tym myślę, nie o śmierci milionów moich

braci i moich wrogów. Berlin dla mnie nie istnieje. Jest tylko ten punkt strategiczny... I on wnet...

Ze wschodu szła burza. Zamieć śnieżna rozhułała się jakby po całym świecie. Wszystko, co żywe, przycupnęło, schowało się pod ziemię, w legowiskach, w mieszkaniach.

Trzeci gwardzista:

— Boję się. Żadnych myśli, żadnych uczuć. Jakbym się roztapiał. Głód rozpełznął po wszystkich kiszkach. Staram się jednak przewyciężyć strach, bo jestem dzielnym człowiekiem. A sierżant Orluk, bodajby go dzuma, też dzielny zabiaka. Ale wytrzymam wszystko, przysięgam. Żegnajcie, bracia i siostry, będę dalej wojował. W wypadku śmierci sierżanta przejmę dowództwo.

Czwarty gwardzista:

— Ot, piszą. Napisać można wszystko. Śmierć w boju to szczęście. Jakie szczęście? Niepotrzebne mi jest takie szczęście! Dajcie mi machorki, ile dusza zapagnie. Bez machorki ja nie żołnierz, taka jego Hitlera, Goeringa, Goebbelsa, Ribbentropa i całego światowego faszyzmu mać!... Albo z tą wódką: sto gramów! Kpiny! Dajcie mi raz na trzy dni, ale tak, żebym poczuł. A tu zamieć, że niech ręka boska broni! Żeby już zostać rannym albo co, do diabła! No, gdzie jesteś, swołocz faszystowska? Gdzie?!

Orluk:

— Wichrze, wichrze, osłoń mnie zamiecią przed wrogiem! Nieludzko zmordowany i niepodobny do człowieka pełnę do nienawistnej mety, tak czy nie? tak czy nie? Tak! Posuwam się prawidłowo. I w ogóle. Cicho sza... No, gotuj się bracie... (szepem) Za ojczyznę! Błogosław, matko... Ćśśś...

Orluk rzucił się na hitlerowskiego wartownika i bezszelestnie wbił mu nóż między łopatki. Gwardziści wyłonili się z mgły i zniknęli w okopach nieprzyjaciela.

Zawyła zamieć.

Jak go matusia odprowadzała,  
to go po drodze tak pouczała:  
Posłuchaj starej matki, niebogi,  
nie pchaj się do przodu,  
nie zostawaj w tyle,  
jak nie chcesz za młodu  
znaleźć się w mogile.  
Pośrodku się trzymaj  
wojska, synku miły,  
jeśli ci nie pilno  
do zimnej mogiły.  
Iwan matusi grzecznie wysłuchał,  
ale matusi swej nie posłuchał.

plakała w zamieć Tetiana.

— I dobrze zrobił — uśmiechnął się w myślach sam do siebie Demyd. — Trzeba wojować, trzeba krew przelewać.

Na czele wojska mieczem wywija,  
mieczem łby wrogów siecze, rozbija!...

— Otóż to. „Na tyłach wojska hula i pije!” — wyszeptał Demyd, ujrawszy w śnieżnej zadymce cały wyśpiewany obraz.

— Towarzyszu generale, proszę o pozwolenie zameldowania! — powiedział Orluk, wyłaniając się z mroku przed generałem Głazunowem. — Rozkaz został wykonany!

— Dobrze. A gdzie Orluk? — spytał generał, który dopiero po chwili go poznał. — Ach, to ty, Orluk?... Ajajaj! Dajcie mu wina!

Orluka rzeczywiście trudno było poznać. Twarz blada, wszystko w lepkiem, zielonkawym pocie i we krwi, jakby porozrywane pazurami drapieżnych ptaków lub zwierząt. Ciemnowłosa rana nad zapuchniętym czerwonym okiem we krwi, pocięty i mokry biały kombinezon ochronny we krwi. Orluk parował, chwiał się.

— Absolutna cisza, towarzyszu generale — wyszeptał i zaczął drzeć z zimna.

Generał podszedł szybko do niego i po ojcowski objął ramieniem.

— Och, Boże mój! No co ty? Co z tobą? Ranny?

— Nie. Obrzydliwie. — Orłuk machnął ręką i gorzko się uśmiechając spojrzał na generała.

Wypił wino, nie chciał jednak niczym zagryźć, i tak by nikt nie zauważył, chyłkiem wymknął się w mrok, posyłając całemu przekłętemu światu swoje gorzkie wyrzuty i pogróżki, aż zmorzył go sen.

Król jegomość wojska pyta:  
hej, kolęda, kolęda,  
Czyj syn dzielnie tak się spisał?  
hej, kolęda, kolęda,  
Niech to będzie ogłoszone:  
hej, kolęda, kolęda,  
córkę oddam mu za żonę!  
hej, kolęda, kolęda...

śpiewała Tetiana.

Demyd uśmiechnął się i spojrzał po raz ostatni na żonę. Twarz miał śnieżnobiałą. Szron, który przyprószył brodę, wąsy i krzaczaste brwi, wybielił też powieki.

— Wołaj, Tetiano, dziadka Mroza i szykuj kolację. Siadaj, Iwanie. Siadajcie, córki — wyszeptał cicho Demyd. — Mrozie, mrozie, a chodźże na kutię! Mrozie, mrozie, chodź!...

I mróz przyszedł na kutię. Demydowi zrobiło się ciepło. I okazało się, że mróz, to nie Dziadek Mróz, lecz jego własny dziadek, nieboszczyk Samiño, on sam zaś, Demyd, zrobił się małym chłopcem i tak mu jakoś lekko i swobodnie, jakby się uniósł w powietrze i popłynął w święto. I nie Tetiana, lecz jego młoda urodziwa matka śpiewała mu czarowne kolędy, jakich dziś nikt już nie zna. Śpiewała o dziwnych dziwach, o cudnych cudach, jak to u nich na Piotra lód na Dunaju zamarzał, a kto by wiary nie dawał — Demyd sam tam bywał, hej, kolęda kolęda! Demyd sam tam bywał, hej, kolęda kolęda! Szablą lód wyrąbywał, hej, kolęda kolęda!

Szablą lód wyrąbywał i konia poił. Hej, kolęda, kolęda!....

Zawierucha szalała.

I raj dalekiego dzieciństwa rozwarł się przed nimi czerwonymi makami, różowym kwieciem i chabrami. Wpatrzeni weń zasnęli w nim oboje, przytuleni do siebie.

Na ich ustach zastygł cichy uśmiech przesłany całemu światu. Stopniowo zasypywał ich śnieg i nikt ich nie znalazł aż do wiosny. A wiosną wokół pieca zakwitły wiśnie i grusza i odór rozkładających się ciał Demyda i Tetiany zmieszał się z zapachami wiśniowego sadu.

Dziwne rzeczy dzieją się na ziemi.

Minęła wiosna. Przeszło lato i zima. Przeminięło i trzecie płomienne lato. Ukraina płonąła od Donu do Dniepru. Rozgromione w zaciekłych bojach przewalały się przez Dniepr olbrzymie hordy hitlerowskie. Pod naciskiem groźnej broni radzieckiej Rzesza hitlerowska ustępowała wraz ze swymi satelitami. Wysadzano mosty na Dnieprze. Wysokie pożary przez długi czas barwiły szkarłatem wody Dniepru od bagien Polesia aż po Niż Zaporoski.

Cztery fronty ukraińskie parły na zachód czterema żelaznymi potokami. Uzbrojone we wszechstronne doświadczenie wojenne, nabyte pod Stalingradem, Woroneżem, Biełgorodem, Charkowem, nad Donem i w innych licznych bitwach, armie radzieckie wyszły na Dniepr.

W oddali na wzgórzach zamajaczyły dwie stare stolice. Tysiąclecie Słowiańszczyzny nad Dnieprem błogosławiło sukcesy potomków, a święci kijowskiej zrujnowanej Peczerskiej Ławry, którzy po raz pierwszy ujrzeli Sąd Ostateczny, patrzyli z potrząskanych złoceń na ciemną wodę wielkiej słowiańskiej rzeki.

— Dniepr! Przecież tu się kąpałem! To moja

rzeka, bracia! — Sierżant Sokoluk brodził po kolana w wodzie, a na brzegu stali na mokrym, zimnym piasku jego bojowi towarzysze. — To mój brzeg! Patrzcie! O tu, na wprost, na wzgórzu, widzicie grusze i wiśnie? To moje! A za wiśniami moja chata...

Ale żołnierze nie widzieli ani wiśni, ani grusz. Widział je tylko szczęśliwymi oczami sam Orluk: zakwitły tej jesieni w jego sercu.

Była ciemna noc, jedna z wielu nocy jesiennych, pełna wojennych dziwów i groźnego żołnierskiego szczęścia. Wiał silny wiatr. Dniepr szumiał we mgle, wstrząsany niespokojnymi wirami. Czarne chmury wchłonęły cały świat, od ziemi do nieba stała ściana głuchego, bezgwiezdneho mroku. Padał deszcz.

Nagle rozbłysnął i zapalił się ogniami cały prawy brzeg od Kijowa do Wyszhorodu i Międzygórza, widać było wzgórze za Dnieprem i Dniepr, i piaski lewego brzegu. Za piaskami, w przybrzeżnych łągach, i dalej, za łoziną w leśnym mroku, rozbijanym przez liczne wybuchy, szła gorączkowa robota. Rąbano masztowe sosny i wiekowe dęby, piłowano deski, pale na mosty, umacniano pontony, zbijano tratwy. Tysiące najróżniejszych środków przeprawy — szalup, czółen, tratw, łodzi, beczek i wszystkiego, za co tylko człowiek mógł się uchwycić, żeby nie utonąć — wszystko to ruszyło na ludzkich plecach i ramionach przez zarośla do Dniepru.

Ciężkie kłody i śliskie deski wymykały się z rąk, padając w kałuże razem z ludźmi, ale dziesiątki tysięcy cieśli, saperów, pontonierów, mostowców nie zwracały uwagi ani na drzazgi, ani na podrapania, ani na zdartą zupełnie skórę na swych żyłastych rękach i zgiętych pod ciężarem plecach, zapominając, że nie spali już dwie doby i prawie nic nie jedli, bo nie było kiedy, i jedzenie stygło w polowych kuchniach. Przed nimi był

Dniepr i każdy od generała do prostego żołnierza rozumiał, że trzeba spieszyć na prawy brzeg, póki rozbici w lewobrzeżnych bitwach hitlerowcy nie opamiętają się.

Podciągano potężną artylerię, a od Perejasława-Chmielnickiego dobijały już do Desny czołgi sławnego Krawczenki, jednak nie czekając na pełny skład posiłków, dowództwo frontu zezwoliło żołnierzom i oficerom armii Głazunowa przejść przez Dniepr.

— To wszystko... Zaczynamy! — powiedział generał armii Głazunow i spojrzawszy na zegarek wstał od map. Wstali również wszyscy generałowie, pułkownicy, dowódcy i oficerowie polityczni. Narada wojenna zakończyła się.

— Pozostała jeszcze godzina. — Generał Głazunow powiódł spojrzeniem po wszystkich obecnych i rzekł cicho: — Zapomnijcie teraz o wszelkich nakazach, trudnościach, wszystkich drobiazgach, o całym mechanizmie wojny. Idźcie do żołnierzy i powiedzcie im to, co najważniejsze. A najważniejsze teraz to dobre słowo. Powiedzcie im, jak tylko potraficie najlepiej, to, co podpowiada nam wszystkim ta noc. Wiem: ich nie trzeba ani przekonywać, ani zmuszać: przed nimi Kijów. Ale przez to ani Dniepr nie jest płytszy, ani wróg słabszy. To wielka noc. Dlatego nie bójcie się wielkich słów. Powiedzcie im, że dziś nie ma na całym świecie ludzi piękniejszych i czystszych niż oni. Mierźcie życie i śmierć wielką miarą. Powiedzcie prostemu szeregowemu, radzieckiemu człowiekowi-żołnierzowi, którego dziadowie i pradziadowie wymodlali sobie u Boga za kopiejkową świeczkę strzęp nieśmiertelności, powiedzcie mu, że tej nocy nieśmiertelność sama stuka do jego piersi. Idźcie.

— Żołnierze wielkiego Związku Radzieckiego! Forsujemy Dniepr!...



Pułkownik Riabow, Zarubin, Fedorczenko i inni pułkownicy i podpułkownicy wyjaśnili żołnierzom rozkaz dowództwa. Pułki stały we mgle. Rozkazy były bardzo dokładne i każdy dawno już wiedział, co ma robić, i wiele przemyślał przygotowując się do przeprawy.

— Tysiąc lat temu przyjmowali tu chrzest nasi przodkowie. Dziś w tę świętą rzekę wchodzimy my! — Pułkownik Fedorczenko, nie przywykły do patosu, zrobił pauzę, jakby dziwił się sam sobie. Nigdy jeszcze tak nie przemawiał, czuł jednak, że generał miał rację: właśnie takie słowa potrzebne były teraz żołnierzom. Sam również odczuwał patos tej historycznej chwili. W tej mgle głos jego był jasny i głęboko ludzki: — Niech każdy z was pomyśli, po co przyszedł na świat w tej szczególnej epoce! Czego oczekują od niego narody? Jakich czynów? Rozejrzyjcie się wokół siebie. Niech każdy wsłucha się w głos swej duszy. Czy jest ona wolna od balastu spraw osobistych, wspomnień, pragnień?!...

— Śmierć faszystowskim okupantom! — zabrzmiała głucho we mgle odpowiedź pułku.

— To wielka rzeka — już na samym brzegu powiedział do swego batalionu major Podsiekałow. — I chociaż wszystkie mosty zniszczono, my jednak będziemy na tamtym brzegu. Tak nakazała nam nasza ojczyzna.

Major spojrział w tę stronę, gdzie pod jesiennymi wiatrami kłębiły się dniewprowe fale i groźnie się nachmurzył. Wiatr smagał go deszczem, ale nie o deszczu myślał dowódca batalionu.

— Czego mamy sobie życzyć tej nocy i co przekazać naszym potomnym, jeśli, biorąc pod uwagę wszelkie okoliczności, wielu spośród nas zahaczy, że tak powiem, pocisk albo zakryje fala? Przekażemy im, bracia... — Podsiekałow raz jeszcze spojrział na wysokie, strome skarpy kijowskie. — No więc chcę powiedzieć, że kiedy nastał nasz

czas, to przekazemy im w testamencie nieśmiertelność!

Batalion: Śmierć faszystowskim okupantom!

Podsiekajłow: Chciałbym żebyście mnie zrozumieli: przed nami nie zwykły tylko tamten brzeg Dniepru. Przed nami, że tak powiem, tamten brzeg naszego losu! Pierwsze czółno prowadzi sierżant Orluk!

Sierżant Orluk: (już w czólnie) Nie oglądać się, to raz! Absolutna cisza, to dwa! Mieć oczy otwarte, to trzy! Jazda!

Tak rozpoczęła się ta bitwa. Początkowo poszło ich niewiele, chyba pięć chybotliwych czółen. Fale rzucały nimi w różne strony, znosiły je, zalewały bryzgami. I éma choć oko wykol. Ale kiedy — gdy byli już w połowie drogi — uderzyła w nich z prawego brzegu fala nieprzyjacielskiego ognia, Orluk ujrzał w feerycznym świetle, jak groźny był Dniepr przed jego domem. Woda kipiła i pieniała się od kul. Oświetlone wybuchami fontanny wody od min i pocisków rozcinały mrok i spadały ciężkimi, zimnymi potokami na tych, co płynęli i tonęli.

Cała rzeka, jak okiem sięgnąć, roiła się od żołnierzy. Płynęli i parli ciągle do przodu, tam, do śmiercionośnych ognii, na rybackich czólnach, na tratwach, na beczkach, na wyrwanych z zawiasów wrotach, zbrojni tylko w lekką broń i męstwo.

Sforsowali rzekę. Bataliony Podsiekajłowa, Sawy, Niefiedowa i Czupaja pierwsze wdary się na prawy brzeg, dając na długie lata przykład niezwykłej odwagi. Pierwsi z pierwszych zwycięzcy Dniepru — Konak, Sokolnikow, Tretiakow i Trochymenko — weszli do historii wojny. Już na samym brzegu skonał na ich rękach Jewhen Bariak, zabrakło też sierżanta Orluka.

Kiedy wybuch pocisku przewrócił jego czółno i podrzucił w górę, ranny Orluk wyskoczył z nie-

go i dał nura daleko w wodę; lodowaty wir poniósł go w dół rzeki razem z tysiącami jego towarzyszy. Zamajaczyły przed oczyma tamten brzeg, wiśnia, chata, a potem wszystko znikło.

Straszny był Dniepr pociemniały od krwi. O brzeg uderzała mętna fala.

— Następny!

Przed chirurgiem leżał Orluk.

Od czasu, jak czyjeś dobre ręce wyciągnęły go z wody, minęło kilka dni. I z każdym dniem stan jego pogarszał się. Gorączka w jego pozbawionym krwi ciele przekroczyła czterdzieści jeden stopni. Straszna gangrena gazowa dotknęła jego ręki, która leżała obok niego spuchnięta do niewiarygodnych rozmiarów, ze szkarłatno-sinymi plamami i pęcherzami, wydając nieznośny odór. Orluk już trzy dni nie spuszczał z niej oczu. Patrzył na nią jak na śmiertelnego wroga. I milczał.

Tej ręki nie można już było uratować.

— Już za późno — powiedział chirurg do swego asystenta — trzeba ją odciąć.

— Odcinajcie! Rżnijcie szybciej! — powiedział nieoczekiwanie Orluk zdecydowanym tonem.

Zdziwiony chirurg odwrócił głowę. Patrzyły na niego szeroko rozwarte poważne oczy Orluka.

— Ucinajcie szybciej! — zawołał i poruszył nerwowo głową, jakby odrzucając tym ruchem niepotrzebną rękę.

Nie pomogła Orlukowi ani surowica przeciwgangrenowa, ani próba transfuzji krwi. Jego opróżnione naczynia krwionośne skurczyły się i teraz stawiały opór przy transfuzji. Od stawu barkowego gangrena przesunęła się już przez mięsień mostkowo-obojęczykowy do szyi. Spuchnięte ramię przedstawiało widok groźny i trudny do zniesienia.

Kiedy go przewieziono do szpitala na tyłach, był już bez tętna. Stan jego był beznadziejny. Ży-

cie opuszczało Orluka. On jednak nie poddawał się. Nie tracił świadomości ani na chwilę, nie wydał też żadnego jęku. Milczał, i cała jego wola skierowana była na ten wyteżony i milczący opór przeciw śmierci.

— Jak się czujesz? — spytał chirurg w czasie obchodu i wziął go za rękę, stwierdzając, że tętno jest prawie niewyczuwalne.

— Niczego... Dobrze... Proszę powiedzieć, doktorze: będę żył? — wyszeptał Orluk, wpijając się spojrzeniem doktorowi jakby w samą duszę.

— Obowiązkowo, naturalnie. — Chirurg uciekł się do swego zwykłego, bardzo mu pomocnego kłamstwa, i widząc, że Orluk już umiera, że zostało mu jeszcze tylko kilka chwil życia, podszedł do innego rannego, nie zlecając dla Orluka nawet zmiany opatrunku.

Orluk zrozumiał, że nadzieja opuszcza go na zawsze.

— Proszę zaczekać!... Doktorze!...

Chirurg odwrócił się zakłopotany. Orluk odczytał jego myśli.

— To zmiana opatrunku już niepotrzebna? Co? — spytał, spalając się w swej gangrenie i parząc lekarza płonąącym spojrzeniem.

A co chirurg miał powiedzieć? Co miał mówić chirurg codziennie przy łóżku umierającego?

Więc odszedł chirurg wraz z lekarzami i siostrami do pokoju zabiegowego, a Orluk opadł na poduszki i zapłakał.

Przypomniał sobie swoją Kijowszczyznę, swą złotą krainę, swoje rozległe łąny, sady... Przypomniał mu się stary, odwieczny, rozległy, uroczysty w swym dostojęństwie Dniepr. Przypomniała się Ulana, z którą marzył przeżyć wspólnie całe życie nad swoją cudowną rzeką.

— Gdzie jesteś, Ulano? Spójrz na swego Iwana! Widzisz?...

Sierżant poruszył się niespokojnie na swej

śmiertelnej pościeli. Próbował zerwać się jak postrzelony ptak. Nie umierać chciał, lecz żyć!

Nagle zjawiła się Ulana albo może ktoś inny mu się przywidział.

— Oj! — jęknął Orluk i rozejrzał się po sali, gdzie na białych pryczach leżeli ranni, nie było więcej nikogo.

— Oto gdzie jestem...

I nagle wstał.

Obszedłszy wszystkie sale, chirurg Bohdanowski wpadł do opatrunkowego i po wydaniu poleceń usiadł przy oknie, czekając na początek dnia operacyjnego. Ranek był szary, chmurny. Bohdanowski podparł głowę rękami i zamyślił się. Wyrywało go z zadumy silne łomotanie do drzwi. Chirurg drgnął. Obejrzał się: Orluk! Stał w drzwiach w samej bieliźnie, w mokrych od krwi i ropy bandażach, pokryty zimnym potem.

— Opatrunek!... — stęknął Orluk i z wyciągniętą prawą ręką ruszył do stołu. — Ja chcę żyć! Zróbcie opatrunek i wszystko, co trzeba!

Sierżant Orluk szedł do stołu operacyjnego chwając się i zataczając jak na pokładzie statku podczas sztormu.

Niewiarygodność tego, co się stało, wręcz poraziła chirurga. Orluk był straszny i wspaniały.

— Myśleliście, że już umarłem? A ja żyję! — Orluk zachwiał się, szukając zdrową ręką oparcia.

— Opatrunek! Zróbcie opatrunek!... Chcę żyć!

I Orluk padł na ręce chirurgowi, który zdążył podbiec do niego, potem drżąc z przejęcia uniósł go jak chłopczyka i położył na stole.

— Sądzi pan, doktorze, że uda nam się go uratować? — spytał jego asystent, który właśnie wbiegł do sali opatrunkowej i ze zwykłą dokładnością zaczął podawać instrumenty.

— On już sam siebie uratował — rzekł chirurg dzwicznym głosem. — Proszę trzymać. Tak. Niech pan trzyma, do cholery! No!

Z chirurgiem działo się coś dziwnego, jakby inny człowiek. Zaczął pracować wesoło, z niezwykłą energią, podziwiając operowanego sierżanta.

— Patrzcie, co za olbrzym! Jaka klatka piersiowa! A bary jakie, co? — mówił z zachwytem chirurg, przemywając straszliwą ranę wodą utlenioną i nakładając na nią aseptyczny opatrunek. — A co za nogi! Jaka szyja! A jaki chód! Widzieliście, jak on wszedł? Strzelisty jak młody bóg. Kamfore! Tak... Wspaniale. Och, co za chłopak! Spójrzcie, jakie mięśnie. Jak on wszedł!

— Ale jak on tu przyszedł? Jest przecież chorym leżącym — dziwiła się siostra zabiegowa.

— Co pani tam wie! Kurka!

— Pan nie ma prawa mnie obrażać!

— Przepraszam...

— Ale skąd on wziął tyle siły? Przecież nie było w nim już tętna? — spytała druga siostra.

— Ale była wola. Trzymajcie!... Trzymajcie albo idźcie do stu diabłów!

— Sądzi pan, doktorze, że on będzie żył?

— Wszystkich nas przeżyje! Trzymajcie! Tak... Wierzcie mi, że on zrobił dla swego życia więcej, niż my robimy teraz. Bandaż!

Chirurg pracował jakby w natchnieniu. Nigdy jeszcze nie pragnął tak żarliwie uratować ludzkiego życia, jak teraz. Iwan leżał przed nim nieprzytomny, ale jego potężna wola życia i walki przeniosły się na chirurga i zawładnęły nim. Zapomniał o zmęczeniu, o bezsennych nocach, jak po jakimś cudotwórczym śnie i kąpeli, pracował lekko i radośnie, i słońce, które na chwilę wychyliło zza chmur i zajrzało do sali operacyjnej, jakby uśmiechnęło się do niego, jak obietnica szczęścia. W ten sposób siła oporu przeciw śmierci umierającego pomnożyła siłę woli lekarza i tę siłę zwracał chirurg choremu stokrotnie. Wławszy mu raz jeszcze surowicę przeciwgangrenową i pół litra krwi, kazał dać mu ciepłego wina i go-

rażcej herbaty i długo ogrzewać go termoforami. Stopniowo puls zaczął coraz lepiej pracować, policzki zaróżowiły się i Orluk otworzył oczy.

W jego szarych oczach gorzało jeszcze to samo pytanie. Wszyscy czworo — chirurg, asystent i siostry — skinęli mu głowami i odwrócili je, by ukryć wzruszenie.

Orluk spojrział na chirurga i uśmiechnął się.

— Wygraliście generalną bitwę niemal bez żadnych środków — rzekł wzruszony chirurg. — Dziękuję wam. Nauczylście mnie żyć. Chylę czoło przed potęgą waszej woli.

Kiedy wieźli Orluka z operacyjnego na łóżko, oklaskiwała go cała sala. Ranni z dumą patrzyli na swego towarzysza i krzyczeli na jego cześć „hurra!”, aż łóżka trzeszczały od ich szlachetnego uniesienia. Była to wielka chwila ulgi, jedności, szczęścia. Wszystko uśmiechało się do Orluka — ludzie, ściany szpitalne, niebo. Otworzyły się białe drzwi.

— Towarzysze ranni! Kijów wyzwolony! — doleciał od progu wysoki, czysty głos siostry.

Huczne „huraaa!” poderwało Orluka, wzmocniło jego siły. Ujrzał swój Kijów — Złote Wrota. Co prawda nie od razu naprawdę go zobaczył. Miesiąc minął, zanim wylizał się ze swoich ran i pojechał na rekonwalescencję do domu, do rodzinnych Pawłowców.

Minie jeszcze pół roku, a może rok. Zgodnie z nieubłaganymi prawami wojny, po straszliwych pożarach naszych miast zapłoną aż pod niebo miasta nieprzyjacielskie. Padnie Berlin. Hitler szcześnie, szcześnie jego przyjaciele, zażywając truciznę ze szklanych ampułek. Dantejskim korowodem przejdą jeńcy po swoich splądrowanych ulicach, wśród rozbitej cegły, zgliszcz i ruin, z pochylonymi głowami, przerażeni, niczego nie poznając i nie rozumiejąc. Będą strzelać do siebie samobójczo

fanatycy obłądnego „Drang nach Osten” i tragicznej Rzeszy i będą się wieszać na jedwabnych sznurach razem z dziećmi, nałożnicami i psami myśliwskimi pośród rzeczy, które zawładnęły ich niesytymi i okłamanyimi sercami.

Pomniki imperatorów i ich koni z brązu, i ich orłów, i lwów z rozwartymi wściekle paszczami runą strzaskane pod nogi, i padną na bruk ich sztandary, te tragiczne symbole wielkich obłąkańczych myśli przywódców narodu niemieckiego, którzy niemal przez sto lat daremnie szukali szczęścia. Nic nie znaleźli prócz spustoszenia i zniszczenia kwiatu ludzkości. Ale wszystko przemija.

Nowe sztandary — i już nie wrogości, lecz zgody i przyjaźni — załopocą nad wielu zburzonymi stolicami, i całe narody będą je oklaskiwać ze wzruszeniem, będą przypadać na placach do szarego żołnierskiego płaszczu sierżanta Orluka, będą pytać, skąd ten płaszcz, gdzie uszyty, kto go zaczarował, czy bardzo podziurawiony kulami. A potem wielu z nich zachowa z czasem powściągliwość, bo wszystko mija, i uznanie, i wdzięczność, a potem, ulegając codziennym troskom popolitości życia i zastarzałej inercji propagandy zaczną być może krytykować ten płaszcz za jego niedoskonały krój i drażniący, niezbyt delikatny zapach obcych dalekich równin.

Ale Bóg z nimi, ze stolicami, z uznaniem i z zagranicznym komfortem.

— Do domu!

— Niech się biją dyplomaci! Niech dziennikarze przelewają atrament! Przestań lać się, krwi! Niech już jak najszybciej będzie pokój!

— Niech żyje zwycięstwo! I pokój!

— I my niech żyjemy!

— I niech żyję trochę i ja, Iwan Orluk, sierżant. Oto ona, moja stacja. Bywajcie zdrowi, towarzysze!



— Bywaj zdrów, Orluk! Kłaniaj się od nas swojemu domowi i swojej rodzinie. Do zobaczenia! A nie siedź tam zbyt długo!

Towarzysze wypili raz jeszcze na pożegnanie, i Orluk, który dostał przepustkę dla rekonwalescencji, wysiadł z wagonu.

Pociąg pojechał na front.

Orluk rozejrzał się wokół — stacji nie ma. Ciszka. Taka cisza, że aż mu w uszach zadzwoniło, aż się zachwiało. Czas, który przez trzy lata leciał z szybkością pocisku, nagle zatrzymał się. Jakie to wszystko dziwne. Gdzie są ludzie? Gdzie flagi, plakaty? Cicho. Ojczyzna nie wyszła na powitanie swojego syna. Nie wyszli ni ojciec, ni matka, ni siostry, ni ona.

Nie było flag, nie było powitania. Fale radiowe nie rozkołysały jeszcze tej okolicy uroczystymi dzwonami Zwycięstwa. Nie było ludzi. Nie było niczego, o czym marzyli obrońcy ojczyzny, którzy tak długo szczękali zębami i bronią. To będzie dopiero przy drugim przyjeździe.

A teraz Orluk stał na swojej splądrowanej ziemi, na świeżych śladach niedawnych walk. Rozpościerały się przed nim ruiny jego rodzinnych stron. Były to martwe przedmieścia Kijowa — starte z powierzchni ziemi Browary, Darnica, Słobódka. Wyhurowszczyzna, wypalona Wyspa Truchanowska. Poskręcane przesła zniszczonych wybuchami dniewprowych mostów zwisały nad wodą jak potworne nagie szkielety. I wszędzie, gdzie tylko spojrzeć, dostrzegał Orluk straszliwe ruiny i zgliszcza. Tylko nie zalaływał już odór trupów. Ziemia je wchłoneła. Ale zwycięskie życie dawało o sobie znać. Zieleniły się już topole i wierzby. Szła wiosna.

Przeszedłszy przez Kijów, przez Podół, idąc dalej śladem niedawnych bitew przez Wyszchorod, pewnego wiosennego wieczoru sierżant Iwan Or-

luk przyszedł do swojej wsi i zatrzymał się przed rodzinną chatą.

Ale chaty nie było. Był tylko wśród ruin koło gruszy sam piec z wysokim kominem. Początkowo zdawało mu się, że się pomylił, że to nie jego chata, nie jego piec. Zaczął się wokół rozglądać po sąsiednich zabudowaniach, czy rzeczywiście zblądził. Ale wokół była pustka i wszystko było jakieś obce. Tylko tu i ówdzie sterczały takie same kominy i tylko pod wzgórzem tuliło się kilka chatynek bez strzech.

W domu jest, czy nie?

W domu.

Orluk poznał to po gruszy.

Któż nie pozna swojej starej gruszy, tego drzewa poznania dobra dzieciństwa?

Tak, Orluk był w domu.

Oto jego chata, biała, z ciepłą słomianą strzechą, porośłą zielonym aksamitnym mchem, prarchitektura ludzkiego schronienia. Nie zamknięta, zawsze otwarta dla wszystkich, bez potrzeby stukania do drzwi, bez „można?” i bez „proszę wejść!”, siedlisko proste jak dobre słowo i tak naturalne, jakby nie ludzkie ręce, lecz sama przyroda je stworzyła, jak gdyby wyrosło samo jak płód ziemi wśród zieleni i kwiatów.

Nie było w nim czeladzi. Nie było ani salonu, ani sypialni do długiego wylegiwania się, nie było tu miejsca dla lenistwa. Nie było na białych ścianach portretów rodzinnych, nie było obitych skórą foteli, nie było skrzyń w kącie ani pancerzy przodków, bo przodkowie mieszkańców tego domu walczyli dawniej z odkrytą pierśią. Ojciec i matka byli rolnikami, którzy przez całe życie wytwarzali dla ludzi chleb i miód.

Gdzie oni są? Dokąd ich zabrano z tej pięknej chaty? Gdzie zostali pochowani? Jakie przekleństwa szeptali przed śmiercią? Dlaczego tak ciężko żyć i tak mało jest szczęścia? I czas tak szyb-

ko biegnie i historia tak szybko się starzeje, jakby ta chata sześcia już bardzo dawno. Tylko smutek pozostał na piecu, tylko ból rozłąki na zawsze uciska nieznośnie i jeszcze coś nienazwane.

Orluk płakał. W tym momencie kochał swoją chatę ponad wszystko w świecie, bardziej od wszystkich pałaców i świątyń całej ziemi. Tyle marzył o niej w bagnach, w jamach, w wodzie i ogniu. Tyle myślał o niej, bojąc się, że może jej nie ujrzeć, kiedy przemierzał obce ruiny. Ile rozstań, smutnych pożegnań, daremnych oczekiwań poszło z tej chaty z ogniem i z dymem?

Kiedy była jeszcze żywa i kępki pszenicy porastały jej zieloną starą strzechę, i wokół było pełno dojrzałych słoneczników i arbuzów, i była do brotliwa jak matka — od niepamiętnych czasów ciągle ktoś ją porzucał, a kto ją raz porzucił, rzadko wracał. Jego też wiatry nosiły po świecie albo sam biegł jak pies za przypadkowo spotkanym cudzym wozem, i tylko rzadko ją wspominał, jak szczęśliwe dzieciństwo, jak swoją młodość zaprzepaszczoną i swoją mowę zapomnianą, i zwyczaje, i wierzenia, i urodę nieba i ziemi.

„Nie gloryfikuję cię, moja stara chato — rozmyślał Orluk pod nieznośnym ciśnieniem spotęgowanych uczuć. — Kiedy nie ma już wśród żywych ani ojca ani matki, ani łagodnych moich siostr i nikogo, i ciebie samej też już nie ma, po co mam się tobą pysznić, po co cieszyć twoją nieistniejącą, starą, dziurawą strzechą? Już nawet nie pamiętam, czy trochę dalej stała rzeczywiście stodoła z bocianim gniazdem, czy też mi się to wyśniło. Nikt mi nie zarzuci, że cię wychwalałem i że ciężko płaczę za tobą lub że sławię cię moją bronią i moimi ranami. Żegnam się z tobą. Jeszcze przed wielką wojną, kiedy ponosiła mnie radość i kiedy bardzo wiele chciałem, powiedziałem: zniknij z mojej ziemi! Szeźnij! Zamień się w pałac pokryty blachą, podrośnij, wznies się po-

nad sady, rozprzestrzeń się wszecz i w górę. Niech po twoich przestronnych komnatach hasają wesołe dzieci, niech w czas wolny od pracy odpoczywają i rozkoszują się dostatkiem i szczęściem twoi mieszkańcy. Niech to nawet nie będziesz już ty, byle zniknęły smutek i troska z twoich kątów i twojej zimnej sieni... Żegnaj. Nie ma już ciebie. Ja cierpię. Żal mnie dławi. Tak pachniałaś staro-dawnością i spokojem, chłodną miętą i zeschniętym goździkiem. A od twego dobrego pieca pachniało barszczem i świeżym chlebem, pieczonymi i suszonymi jabłkami, nasieniem, zieleń, korzeniami, a w sieni makiem, gruszkami i chomątem. Nie ma ciebie i nie mam gdzie głowy skłonić. Przez twoje małe okienka tak łagodnie zazierało słońce wraz ze słonecznikami, różnymi kwiatami i wszelkim pachnącym zieleń. A na pokuciu, nad białym obrusem na stole, i ciemny brodaty Bóg w srebrnej ryzie, i Szewczenko, i Woroszyłow, i Kozak Mamaj, i Budionny, i święty Jerzy na białym koniu, i jeszcze jacyś dobrzy ludzie i bogowie patrzyli ze ściany na piec i na próg, i na każdego, kto stanąwszy w drzwiach zdejmował czapkę, patrzyli łagodnie i przyjaźnie, jakby prze-rwali dla odpoczynku swe trudne i zawzięte zma-gania, a teraz żyli we wzajemnej zgodzie, rozmawiając, kiedy nie było nikogo w chacie, z ubożę-ciem, co mieszka za szybrem w kominie, i z przy-czajonym, stareńkim czortem ukraińskim... Wszy-scy oni razem śnili się po nocach mojej babuni, więc żegnała się przez sen i mamrotała z lękiem: „Miojcaisyna”...

Długo stał Orluk w bolesnym odrętwieniu. Nie opodał wojennym szlakiem przepływały, jak statki po morzu na zachód olbrzymie, wielotonowe samochody z ludźmi. Po wiosennym niebie przesuwali się samoloty. Zmierzchało.

Pogrążony we wspomnieniach, zapełnionych również niezliczonymi pożarami, wśród których

jego chata była tylko iskierką w stepie, Orluk nie zauważył, jak w pobliżu zatrzymał się młody żołnierz w szarym szynelu, dużych buciorach i czapce z klapami na uszy, który wysiadł z przejeżdżającej ciężarówki.

Cóż mógł go obchodzić jakiś żołnierz? Los rodziców, jakby startych z powierzchni ziemi, przysłonił mu cały świat. A żołnierz podszedł powoli do gruszy, nagle objął ją i jakoś smutnie przytulił się do niej. I chyba płakał, pogrążony w swej samotności, niczego wokół nie widząc.

Spostrzegli siebie nie od razu i nawet kiedy już się zauważyli, nie rzucili się ku sobie, tak niewiarygodne było to spotkanie z dawno minioną przeszłością.

— Czyżby to ty?

— Iwan?!

— Ulana?! Ula!

Oni i jakby nie oni. Ci sami i jakby nie ci sami! Niemal zupełnie niepodobni do siebie z tamtych dni. Nie, podobni! Ale dlaczego wszystko stało się inne? Dlaczego cały świat stał się niepodobny do dawnego? Gdzie to dawne? Gdzie?

— To naprawdę ty?

— Iwan!

Oboje rozplakali się, a tu jeszcze przeszło dwóch rannych, objąwszy się, w pomiętych ziemistych szynelach — też przypuszczalnie dopiero zeskoczyli z ciężarówki i szli teraz drogą życia i śmierci. Obandażowani żołnierze poszli gdzieś tam do swoich zgliszcz i tak śpiewali „Zabielały śniegi”, że nie tylko żywi, ale i umarli nie wytrzymałiby, tak potężna była władza pieśni tam, gdzie ta pieśń zawsze się rodzi.

Setki pytań, setki dotyków. Pytania to zbliżały się, to oddalały, skupiały się i rozsypywały, krążyły i zbaczały, lecz wszystko nie było tym, tym najważniejszym. Ale miłość jest rozumna i przenikliwa. To uśmiechając się, to przygląda-

jąc się sobie wzajemnie bardzo uważnie, niemal od razu odczuli, że zwyciężyli, że żadne zło, żadne nieszczęście nie stanęło między nimi. I odczuli radość życia.

— Tyle razy wydawało mi się, że wynoszę ciebie z boju. Setki razy myślałam już, że to ty, że ciebie niosę, Iwaśku! — mówiła Ulana dotykając jego piersi i rąk i nie spuszczać z niego wzroku, jak zaczarowana. Od czasu do czasu promienie radości w jej oczach były gaszone przez zastarzały lęk, tak wiele przecież wiedziała o śmierci i kalectwie.

— Jak to się stało, że żyjesz?

— Nie wiem. A ty?

— Nie wiem.

— Co się z tobą działo?

Była tam, gdzie on. Dostała się tam niemal cudem. I kiedy opowiadając chaotycznie, w podnieceniu przedstawiła mu tylko setną część przebytych szlaków, miejscowości, zdarzeń, zasadzek, marszów, zwycięstw i znajomych nazwisk, Orluk zrozumiał, że ta legendarna siostra Ulana, jaką wspominali ranni w wielu szpitalach polowych na całym głównym szlaku wojny, którą z zachwytem i wdzięcznością nieraz mu opisywano, ta siostra Ulana, która często przebywała blisko niego w sąsiednich jednostkach — że to właśnie była ona!

Orluk i Ulana zamieszkali u jego ciotki, Antoniny. Od niej właśnie dowiedzieli się szczegółów o śmierci ich rodziców i wielu sąsiadów.

W innym czasie, w innej sytuacji, prawdopodobnie długo opłakiwaliby tę straszliwą zagładę swoich rodzin, ale wojna domagała się życia, które w obliczu rozszalałej wszędzie śmierci władczo dyktowało im swe prawa. Iwan i Ulana postanowili wziąć ślub.

Na szczęście i ku wielkiej radości Orluka we wsi stacjonował jeszcze sztab jego pododdziału,

w sąsiedniej zaś sztab armii. Zjawili się więc oboje, już jako miejscowi mieszkańcy, u generała Głazunowa, żeby dał im ślub.

— Co takiego?! Jeszcze tylko tego dowódcy brakowało! — oburzył się oficer dyżurny, kiedy Orluk przedstawił mu swoją prośbę. — Tam opracowuje się plan ofensywy, a on tu głowę zawraca urzędem stanu cywilnego! Kto go tu wpuścić? Nazwisko!

Orluk zaraportował.

— A!... Orluk? — Nagle zjawił się w drzwiach dowódca i uśmiechnął się życzliwie do sierżanta. — No jak, żywy, zdrow?

— Jestem na swojej ojcowiznie, towarzyszu dowódcu — Orluk opowiedział generałowi o swej narzeczonej, o śmierci rodziny oraz o celu jego tu przybycia.

— Bardzo was proszę, towarzyszu generale, o zrobienie nam tego honoru, żebyśmy przez całe życie wspominali ten dzień jak wielkie święto.

— No dobra, rozumiem, tylko że nie wiem, jak to się robi. Nie miałem dotąd okazji — rzekł generał. — A jakbyście wy to chcieli, co?

— Nie wiem, towarzyszu generale, ale w każdym razie nie tak, jak było przed wojną.

— Chcielibyśmy, żeby było ładnie i trochę uroczyście — dodała Ulana.

— To jasne, że musi być nieco uroczyście, odpowiednio do warunków i charakteru miejscowości — powiedział Orluk.

— Dobrze, postaram się. Tylko dajcie mi trochę pomyśleć — rzekł poważnie generał Głazunow i spojrzawszy surowym wzrokiem na otaczających go generałów i pułkowników, kazał adiutantowi przygotować czarny cywilny garnitur. A kiedy adiutant ledwie, samymi tylko oczyma uśmiechnął się, generał zwymyślał go i chyba po raz pierwszy w tej wojnie rozżłościł się.

Ułana stała sama w skromnej chatynie ciotki Antoniny i zrzuciła z siebie żołnierskie odzienie — czapkę uszanke, szary szynel, bluzę, spódnicę, zdjęła ciężkie buty z twardej skóry, do których z takim trudem przywykła. Potem umyła się w zimnej wodzie i zaczęła wkładać przed lustrem dawno zapomniane kobiece fatałaszkę. W małym lusterku dostrzegła od razu taką odmianę, że wzruszona z trudem wstrzymywała łzy.

„Czy to naprawdę ja? To ja jestem rzeczywiście? Cudownie! Jak to dobrze, że jestem właśnie taka! Co za szczęście, że nie gniję gdzieś w jakiejś jamie, nie wegetuję gdzieś w niewoli. Że jestem żywa i właśnie taka! Ojej!” — dziwiła się Ułana, dotykając lekko brwi, twarzy, piersi. Zauważyła, że ma ładną kształną szyję i ramiona, że w jej dużych ciemnych oczach odnajduje nie utraconą łagodność i dziewczęcą romantykę, że jest lekka i smukła.

Nie mogła nadziwić się swojej urodzie. Przed lustrem w na pół zrujnowanej, nie dopalanej chacie z żołnierza wielkiej wojny ojczyźnianej w ciężkim, szarym szynelu przemieniła się, jak opłatek w kościele, w dziewczynę-narzeczoną.

Ślubny strój matki — biała koszula, wyszywana w duże czerwone kwiaty, i śmiejące się sznury koralu, i różne wstążki — wszystko tak wzruszająco pachniało domem i dawnym beztroskim dzieciństwem, że Ułana, jak zaczarowana, zapomniała na chwilę o całym świecie. Potem, kiedy była już zupełnie ubrana, spojrzała ukradkiem na swój szary szynel i rozplakała się. Chwyciła go, przytuliła go do siebie, przycisnęła do serca.

Skrzypnęły drzwi. Weszła Antonina.

— Jakieś miasto zajęli, ale nie dosłyszałam.

— Jakie?

— Byłam na bazarze.

— Ale jakie miasto? Kto o tym mówił?

— Sprzedałam wszystką rozsądę.

— Ale jakie miasto zajęli?



— Przecież mówię. No i kupiłam aksamitki i mak.

— Kołomyję? Czerniowce?

— I trochę barwinku, i malwy.

— Czy ciotka nie słyszy? Ogłuchła?

— Przecie mówię. Niech tam, myślę, kwitnie sobie. Lubię, kiedy kwiaty w ogródku. Moja nieboszczka matka, pamiętam, mawiała: „Ten świat jak maku kwiat. Rano kwitnie i do wieczora opada!” Tak to jest...

Antonina porozkładała na oknie nasiona, a potem zaczęła krzątać się przy dużym, zacisznym piecu, nie przestając opowiadać.

— Jak nastaly Niemce, to oni co? W partyzanty i dawaj strzelać do nich, te twoje Orluki. A oni wpadli i pół wsi za to spalili. I dziewczęta pognali do siebie, a nas zagarnęli aż po sam jar i w tym jarze wszystkich wystrzelali.

— Dzikie bestie!

— Ano... A ja przewoziłam ich czółnem na to ich strzelanie.

— Faszystów?

— Nie. Tych partyzantów. Wiozę ja ich kiedyś, a one, bestie, te faszysty znaczy się, jak zaczną strzelać, żeby ich pokręciło! No to ja krzyczę do partyzantów: „Nie chybczcie czółnem, bo potoniecie. I strzelajcie ciszej. Będzie, co ma być!” Ale nie było im sądzone tym razem przedostać się do brzegu. Wystrzelali z karabinów maszynowych wszystkich co do jednego. Tylko ja jedna zostałam żywa. Z początku nie wiedziałam, że już nie żyją, i mówię jeszcze do tych biedaków: Cicho, synki, i nie chybczcie czółnem... — Antonina zaniósła się krótkim szlochem i podeszła do Ulany.

Przed oczyma Ulany stanęli partyzanci, tak, jak opisała to Antonina. Jedni leżeli z bladymi twarzami zwróconymi ku niebu i gwiazdy zgasły w ich martwych oczach. Inni, z głowami wychylonymi za burtę, widzieli gwiazdy daleko w dole, pod

sobą, i wydawało im się w ostatnim śmiertelnym momencie, że płyną w gwiazdną dal.

— Oj, nie chwieście czółnem, chłopcy, nie chwieście!...

Antonina wiosłowała ostatkiem sił, a wody w łodzi przybywało. Partyzanci potonęli w jej oczach tak jak leżeli, a ją schwytali ci bandyci policjanci i całą mokrą i zbitą postawili przed esesowskimi oficerami na przesłuchanie.

— Nie pytajcie mnie. Nic wam nie powiem, dranie i łotry. Zabijcie mnie. Teraz mi wszystko jedno, boście moje dzieci zatłukli, żeby was tak tłukło o drogę, żeby szara ziemia was nie przyjęła...

Wówczas gestapowiec uderzył ją w ucho. Upadła. Wrzucili ją do dołu pełnego trupów. Potem strzelili do niej i zasypali dół ziemią. A w nocy ziemia zaczęła się ruszać — Antonina wylazła z mogiły jak sprawiedliwa dusza na starym obrazie Sądu Ostatecznego. I wyleźli też ranni Demyd Soroka i Roman Kłunny, którzy oprzytomnieli już w mogile.

— Tak to było, gołąbko... Żebyś wiedziała — rzekła Antonina do Ulany po długiej przerwie. — Od tego czasu ogłuchłam. I co by tam nie mówić, to durne to, że strach, nic po naszymu nie rozumieją, jak to drzewo albo bydło, tylko wódę żłopiają i szwargoczą te swoje hajła-hajła. A ile pognali do Niemiec krów, świń, koni, wszelkiego dobra! A ile ludzi zabrali, tysiące tysięcy! Dziewcząt, chłopców, że rozpacz była patrzeć! Oj Boże ty mój!... No, ale się zagadałam. Pójdę ogród kopać. Daj swój płaszcz, wyniosę — Antonina chwyciła za rękaw.

— Nie dam!

— A po co ci on? Spójrz na siebie, Boże ty mój, młoda i ładna jak kwiat, dalibóg prawdę mówię. Daj.

— Ten szynel jest mi droższy nad wszystko

w świecie! — powiedziała Ułana, nie wypuszczając płaszcza z rąk. — Zamknę go, cioteczko, w skrzyni, żeby moje dzieci i wnuki patrzyły...

— A co tam jest do oglądania? Chyba same dziury. O, wiele tam będą mogły zobaczyć.

— Ot, pleciesz! Stary szynel, podziurawiony kulami, a w dodatku jeszcze brudny, rzeczywiście jest się czym chełpić... Kto by tam spojrział na niego? I ty to mówisz, nauczycielka?!

— Ja to mówię.

— E!... Trzeba zapomnieć, żeby duszy nie zaturowało. Bohaterstwo! Nie bohaterstwo, ale bieda, nieszczęście. Wyrzuc to wszystko z głowy i myśl tylko o rzeczach pięknych i dobrych. Ojej, już jadą!... A tu jeszcze nie wszystko przygotowane...

Rzeczywiście, pod dom podjechało kilka samochodów. Na progu stanął Orluk z frontowymi towarzyszami. Ujrawszy Ulanę w weselnym stroju, zaniemówił z zachwytu i cofnął się o krok.

— Ułana?! Patrzcie, towarzysze! Tak się cudownie odmienić!

— No, jedziemy!

— Już? Pozwólcie chociaż pobłogosławić sieroty — rzekła wzruszona Antonina. — Nie mają ani ojca, ani matki, są sami jak te łodygi w polu...

— Nie, nie sami, ciotko — zaprotestowali czołgiści. — Każdy by chciał mieć takie towarzystwo!

Czołgiści i dziewczęta otoczyli młodych. Nie słychać było, jakie słowa przekazywała im Antonina, która przy tym popłakała się. Ale jeszcze przed udzieleniem błogosławieństwa odebrała jednak od narzeczonej szynel ze słowami:

— Daj, mówię ci, nie rób mi wstydu!

Samochody zatrzymały się koło instytutu gospodarstwa wiejskiego, jedyne większego budynku, którego faszyści po zupełnym splądrowaniu nie zdążyli wysadzić w powietrze.

W otwartych na oścież drzwiach powitał ich ge-

nerał-lejtnant Grigorij Grigorjewicz Głazurow. Był w cywilnym garniturze, co upodabniało go do uczonego. Tylko baretki bojowych orderów, mieniące się na piersiach, oraz to szczególne władcze spojrzenie zdradzały dowódcę.

Nikt nikogo nie pytał, dlaczego generał tak się ubrał. Ale wszyscy, którzy byli obecni przy nieoczekiwanym pojawieniu się generała po cywilnym — wojskowi, cywile, młodzi i starzy — wszyscy od razu wyczuli szczególną doniosłość tego gestu, akcentującego stosunek generała do wojny i pokoju, do życia, co przepełniło ich ciepłym uczuciem wdzięczności i miłości do niego.

Generał wziął Iwana i Ulanę za ręce i powiódł ich do sali. Nie było w tym obrabowanym pomieszczeniu ani obrazów, ani posągów, ani drogich antycznych lusterek. Ale też żywy obraz, który nieoczekiwanie odkrył się przed oczami młodych, uderzył ich swą wielkością.

Trzystu towarzyszy stało w tej sali ramię przy ramieniu, trzystu czołgistów, artylerzystów, spadochroniarzy, oficerów i pracowników politycznych, jak również wielu podoficerów i prostych żołnierzy witało Iwana i Ulanę. W świetle polowych reflektorów i świeczek piersi ich lśniły orderami. Oddzielnie stały dziewczyny w żołnierskich mundurach oraz miejscowe dziewczęta i podlotki z kwiatami. Osobną, trzydziestoosobową grupę stanowili obandażowani ranni, którzy przyjechali tu ze szpitala, by powitać zwycięstwo życia nad śmiercią.

Niech wściekłość nasza we wroga  
uderza tak jak grom,  
bo toczy się wojna sroga —  
święta wojna o nasz dom!

Śpiewali wszyscy, cała sala. Potężna pieśń wojny narodowej, jak tylko zjawili się młodzi, za-

grzmiała z taką siłą, że Iwana i Ulanę na moment osadziła w miejscu.

Nie śpiewała tylko mała grupka starych kobiet. Były to matki wywiezionych do hitlerowskich Niemiec córek oraz rozrzuconych przez wojnę po wszystkich frontach synów, od których już trzeci rok nie było żadnej wieści. Pełne trwogi sny wysuszyły serca matek, a w ich zatroskanych oczach widniały ślady walki, toczonej dzień w dzień, noc w noc między nadzieją a rozpaczą. Patrzyły na tę uroczystość z żalonym uśmiechem i płakały cicho, uczestnicząc w tej wspólnej radości i nadziei szczęścia dla młodych i dla siebie, dla swoich drogich dzieci; popłakiwały ze wzruszenia patrząc na tę piękną uroczystość tej niepowtarzalnej godziny, która dla ludu jest zawsze radosnym przeżyciem.

Orluk i Ulana zatrzymali się przed dużym stołem. Na stole, na haftowanym złotem czerwonym sztandarze, leżał wieniec z kłosów, a w nim książka — Konstytucja ZSRR. Śpiew umilkł.

— Proszę powtarzać za mną — rzekł cicho generał do młodych, i odwróciwszy się do stołu, na chwilę znieruchomiał. — Przed obliczem prawa — rozbrzmiał w ciszy głos generała — Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich my, Iwan Demydowicz Orluk i Ulana Wasylewna Riasna, wyrażamy swoją wolę wspólnego życia...

— ...wolę wspólnego życia... — powtórzyli młodzi.

— ...jako małżeństwo...

— ...małżeństwo...

— ...założyciele rodziny i kontynuatorzy swojego rodu — mówił dalej generał Głazunow — dla realizacji przyrodzonych praw...

— ...przyrodzonych praw — powtarzali dalej młodzi, odczuwając doniosłość swej roli na ziemi.

— ...w imię szczęścia naszego państwa, nieśmiertelności narodu i osobistego dobrobytu.

— ...nieśmiertelności narodu i osobistego dobro-

bytu — zakończyli Iwan i Ulana, zwracając się myślą do całego świata i do własnego sumienia.

Podano im księgę, w której się podpisali. A potem, kiedy podpisali się również świadkowie, generał Głazunow objął spojrzeniem wszystkich obecnych i głosem uroczystym i donośnym obwieścił:

— W imieniu prawa Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich stwierdzam wyrażoną wzajemnie wolę obywateli Iwana Demydowicza Orluka i Ulany Wasylewny Riasnej do wspólnego życia jako mąż i żona, ojciec i matka swych dzieci, opiekunowie rodziny i kontynuatorzy rodu w imię szczęścia państwa, osobistego dobrobytu i nieśmiertelności narodu.

Potem kazał podać im kieliszki z winem i pocałować się. Młodzi pocałowali się i wypili wino.

— Nie znałem waszych rodziców, Iwanie i Ulano.

— To byli męczennicy! To byli bohaterowie! — odezwali się kołchoźnicy, świadkowie ich życia.

— To byli radzieccy ludzie — rzekł generał — i ja, urodzony nad Wołgą, chyłę czoło przed ich pięknem, bo tylko piękni ludzie mogli wychować nad Dnieprem takie dzieci, jak Iwan i Ulana.

Potem, zwracając się bezpośrednio do młodych, powiedział:

— W wielkich czasach podaliście sobie ręce, Iwanie i Ulano. Rozgramiamy najpotężniejsze siły ciemności, faszyzm. Cały świat patrzy na nas z podziwem. Kim jesteśmy? Gdzie jest w nas to najważniejsze, niepokonane? Dzięki czemu zwyciężamy? Przez co? Dzielność? Wewnętrzne bogactwo? Geniusz? Trud? Wiem, że narody długo będą obmacywać naszą broń, liczyć nasze rany, promieniować wdzięcznością lub drętwieć z nienawiści. Będą się nami chlubić lub będą się nas bać, będą się straszyć nami wzajemnie, zbijać kapitał z naszej niedoskonałości i pomniejszać nasze zwycię-

stwo i przelaną krew. Płodźcie dzieci, młodzi! Byłście szczodrzy w bojowym trudzie, bądźcie szczodrzy w miłości, by często odzywał się u was pierwszy płacz dziecka. Płodźcie dzieci, śmiało i dużo. Zapełniajcie naszą ziemię. Ale pamiętaj, Ulano, że wilczyca też rodzi dzieci, ale wyrastają z nich wilki. Rodzić dzieci, to wielkie powołanie kobiety, ale jeszcze większe — narodzić i wychować nie wilka, lecz przyjaciela, nie drapieżne zwierzę, lecz brata. My bardziej od innych mogliśmy się o tym przekonać na naszym historycznym szlaku wojennym, gdzie na każdym kroku widzieliśmy, jak wojna okrutnie skrzywdziła radzieckie matki. Ile synów i córek zaprzepaścili wrogowie, ile nie spełnionych poczęć wysuszyło matczyne serca!

Matki ukradkiem pochlipywały, wspominając swoje zaginione córki, a młode kobiety w żołnierskich mundurach wpatrywały się w generała szeroko otwartymi oczami. W oczach Ulany pojawiły się łzy.

Generał zauważył to i zwrócił się bezpośrednio do nich:

— Nie w żołnierskich butach i nie w szarych szynelach zjawialiście się dziewczęta w marzeniach naszych młodych żołnierzy.

— To prawda — doszły głuche głosy żołnierzy i oficerów.

— Najpiękniejsze stroje i najwonnejsze kwiaty zdołały was w marzeniach naszych chłopców, ale los chciał inaczej: włożył na wasze dziewczęce ramiona szorstkie mundury żołnierzy. Nie muzyka była jego darem, lecz huk armat, nie kwiaty, lecz płomień pożarów i trupi odór zamiast kwiatnych woni! — mówił dalej generał z głębokim wzruszeniem, wspomniawszy być może coś drogiego w swym życiu, swoją dzielną młodość lub może bohaterską śmierć swego syna lejtnanta Witalija, który spalił się w czołgu pod Stalingradem, bo nikt jeszcze takim generała nie widział. Wszyscy

wstrzymali oddech i na chwilę jakby oderwali się od ziemi. — Kochajmy nasz rosyjski szynel — uśmiechnął się generał — najwspanialszą z wszystkich odzieży świata. I nigdy nie zapominajmy, że pod tymi szynelami na wszystkich szlakach wojny światowej biły nasze serca dla zwycięstwa, dla pokoju, dla szczęścia narodów.

I na tym zakończyły się uroczystości ślubne.

Gdy młodzi szli do samochodu, zabrzmiał salut z dziewięciu czołgów, wywołując wiele niegroźnego strachu i wesołego zamieszania. Ciotka Antonina, jak każe zwyczaj, obsypała młodych ziarnem i robiąc znak krzyża szeptała okolicznościowe starodawne życzenia. Stare ludowe obyczaje przeplatały się z burzliwą i huczną współczesnością, która je zmieniała, przelewając w nie nowe treści, sama przy tym podlegając sublimacji dawnego, stanowiącego podwaliny nowego.

Pochód weselny ruszył do domu. Dziewczęta zaczęły śpiewać<sup>▲</sup> stare pieśni weselne.

Kierowcy zerkali na swoich pasażerów i z zadowoleniem uśmiechali się, a słysząc, że jedna z pieśni odnosi się właśnie do nich, zaczęli tak energicznie dodawać gazu, że ani się spostrzeżono, jak willysy wpadły do wsi.

A oto i rodzinne pogorzelnisko. Idąc improwizują kolejną zwrotkę starej weselnej pieśni:

Powrócili do domu,  
powrócili do domu,  
dokonali rozgromu.  
Jak faszystów pobili,  
cały świat ucieszyli!  
Ciągłe z armat strzelali  
nigdzie nie nocowali...

Ostatnie słowa dziewczęta śpiewały już koło spalonej chaty, siadając do stołu. Stoły ustawione były w pobliżu w sadzie, jeden przy drugim długim rzędem aż do ogrodu, sięgając niemal dniprowej skarpy.



I tu, na starym, podmytym wodą wzgórz, popłynęły wspomnienia, opowiadania. Zgodnie z wesełnym obyczajem, świadczącym o żywotności i mocy ducha narodu, mówiło się i śpiewało tylko o rzeczach wesołych i radosnych, i o tej wielkiej sile, która tak szczerze ujawniła się w radzieckim człowieku w te płomienne lata.

Przyjechał generał partyzancki Riaboszapka i zapytał o Antoninę Trojan. Kiedy pokazali mu ciotkę Antoninę, generał podszedł do niej i wśród hucznych oklasków pocałował ją w rękę.

— Ojej, puść! Nie strasz mnie... czego chcesz? — spytała Antonina.

Wówczas generał wygłosił dłuższe przemówienie, z którego wszyscy obecni dowiedzieli się, kim była naprawdę Antonina, co wzbudziło dla niej głęboki szacunek. Okazało się, że stara już, słaba kobieta, dziesiątki razy przewoziła przez Dniepr naszych partyzantów, ratowała od zagłady jeńców, którzy znaleźli się w pobliżu, za co katowali ją w gestapo; no więc on, generał Riaboszapka, przybył tu specjalnie, żeby osobiście wręczyć jej medal za bojowe zasługi.

— Medal? Nie chcę — zaprotestowała Antonina. — Kto na mnie spojrzy, to zaraz powie: „A, to ta stara baba z medalem” i będą się ze mnie śmiać.

— To niemożliwe! — zawołał generał niemal groźnie.

— Zobaczycie! Nie znacie naszych ludzi. Tu wszyscy tacy zazdrośni, a jak wezmą na języki!... A jeśli już taka twoja łaska, to wiesz, synku, o co cię poproszę? A nie będziesz się złościł?

— Mówcie! — rzekł generał Riaboszapka.

— Kup mi złote kolczyki — powiedziała Antonina, wskazując palcem na ucho. — No i widzicie, już się śmieją! — pokiwała z wyrzutem głową, widząc, że rzeczywiście parę osób się roześmiało. — Miałam ja kolczyki, złote, mamine, to ci przekleści hitlerowcy zdarli mi z uszu! I jeszcze pobili. A ja

teraz bez tych kolczyków całkiem ogłuchłam, nic nie słyszę, w głowie ciągle huczy.

Generał poskrobał się po głowie i zamyślił się. Był prostym człowiekiem takiej dobroci, że nawet groźne złote epolety niewiele mu pomagały. Wyglądał na przebranego kołchoźnika w średnim wieku, chociaż wysokokaloryczny wikt, zakrapiany napojami, zepsuł nieco jego kołchoźną talię.

— A co wy o tym myślicie? — spytał niepewnie starego kołchoźnika Maksyma Trojana, męża Antoniny.

— Trzeba się zastanowić — odrzekł z rozwagą Maksym. — W ogóle to oczywiście ona zawsze była dzielną żoną, no ale jak tak pomiarkować, to że tak powiem, medalu, jeśli taka wasza wola, tobym jej nie dał. Dlaczego? A dlatego, że po pierwsze synowie już będą mieli ordery, kiedy wrócą, a ktoś przecież musi wrócić, no i mam jeszcze czterech wnuków na wojnie, a tam to już nie wnuki, ale jak nie zginęli, to po prostu piersi w medalach, ogień, a nie chłopcy! No to trzeba zważyć, że tak powiem, na wiek, żeby nie było ambarasu. Medal to sprawa młodych. Jednym słowem, żeby nie skrzywdzić młodych, to już lepiej dajcie jej te kolczyki i to wystarczy.

— Nie! — sprzeciwił się kategorycznie generał Riaboszapka. — Nie zgadzam się! Kolczyki to inna sprawa. Nie polityczna.

— Racja! — odezwali się chórem goście weselni.

— Kolczyki, matusiu, to wam znajdziemy w Berlinie — powiedział artylerzysta Dobrowin, Sybirak. — Żeby nie wiedzieć co, to wam zdobędziemy. Daję wam na to moje ruskie słowo!

Słowa lejtnanta Dubrowina utonęły w grzmocie oklasków.

— A póki co, matusiu, to bierzcie wedle zasług, nie opierając się dłużej, bo rozgniewacie generała.

Wśród nowej burzy oklasków generał Riaboszapka wręczył bohaterce medal. Antonina rozplakała się,

nie wytrzymała jednak, żeby nie zerknąć na męża.

— No, coś tak gały wybałuszył? Zazdrość ci?

— No, teraz to dopiero będę miał los — pomyślał głośno Maksym Trojan i spojrzawszy z wyrzutem na generała, z niezadowoleniem machnął ręką.

Wszyscy roześmiali się.

— Tu nie ma się ani co obrażać, ani śmiać — rzekł pouczającym tonem stary kołchoźnik, Bohdan Szamryło, już trochę podchmielony, który z okazji tej uroczystości przyczepił swoje carskie krzyże. — Każda rzecz ma swoje znaczenie. Baba z medalem to szczęśliwe zakończenie wojny. Wspomnicie moje słowo.

— Ciekawa prognoza — zauważył jakiś czołgi-  
sta.

— A co, może nie wierzycie w znaki? Gdzie wyście tam jeszcze byli, jak faszystów już wszy oblaży. A dlaczego? To był też znak, przepowiednia. A czy nie śmiali się ze mnie, jak mówiłem, że Hitler wnet kaput? A gdzieś po tygodniu zaczęli rzucać te wasze, znaczy się nasze, ulotki.

— Towarzysze, czy nie warto by go zabrać do sztabu wywiadu i wojennych prognoz? — spytał kapitan Netudychata i sam zaśmiał się, trochę głośniej i chyba nieco wcześniej niż powinien.

— Możecie się śmiać, a ja wam mówię, że ze znaków można wiele odgadnąć — rzekł Szamryło ignorując ostatnią przymówkę. — Ot, powiedzmy, wchodzi do mojej chaty kapitan. Nie zdejmuje czapki, nie wita się, rzuca niedopałek na ziemię; aż trzy oznaki. No i kto to taki? Kto powie? Nie wiecie, to ja wam powiem: zły dowódca pułku. — Szamryło spojrzął na kapitana Netudychatę z taką miną, jakby to, co powiedział, w żadnej mierze nie dotyczyło kapitana.

— Nieprawda! Nasz dowódca pułku jest Bohaterem Związku Radzieckiego! — zawołał kapitan Netudychata, czerwieniąc się.

— Nie o nim mówię — rzekł Szamryło — a gdyby nawet o waszym dowódcy, to dostał tego Bohatera Związku Radzieckiego za wroga. A dla przyjaciół, dla swoich, że tak powiem, ludzi, potrzebne jest nie tylko bohaterstwo, ale i grzeczność jego kapitanów, uprzejmość i inne przymioty. No, ale chwalić Boga i za to, co jest. No, oby nam się... — Dwukrotnie odznaczony stary dragon Bohdan Szamryło podniósł czarękę i nagle jakoś odmieniony powiedział z głębokim ojcowskim tłumionym wzruszeniem i serdecznością, jakby zwracał się do własnych dzieci: — Żeby się spełniły wszystkie wasze marzenia!

— Dziękujemy! — odpowiedzieli wszyscy.

— Wypijmy za wasze najpiękniejsze przymioty: za waszą dzielność, za trud, wypijmy za niepodległość naszej radzieckiej ziemi.

— Dziękujemy!

— Niech błogosławi waszą drogę cała Europa i niech pokocha was cała ludzkość! Żeby wasze działa siały postrach, a wasze głosy przyjaźń.

Kiedy wszyscy wypili, podniósł się Orluk.

— Dziękujemy za dobre o nas słowo i wypijemy, towarzysze, za rzecz najcenniejszą, wyróżniającą dziadka Bohdana Szamryłę. A wiecie, co mam na myśli? Czterech jego synów, szeregowych komunistów, Petro, Semen, Wołodymyr i Pawło, poległo za ojczyznę zaraz w pierwszych bojach. Dlatego też zdjęcie czapki w sieni dziadka Szamryły nie przynosi ujmy ani kapitanom, ani generałom.

Wszyscy podchodzili kolejno z kieliszkami do osieroconego ojca.

— Dziękuję — powiedział drżącym głosem, uśmiechając się nagle i przykładając rękę do serca. — Tylko że przecież dziś nie żałobne wspominki, lecz wesele. No więc niech będzie o życiu i o radości. Skąd ona przychodzi do człowieka? A przychodzi! Prócz tego jest we mnie jeszcze nadzieja, wierzę, że ktoś przecież musi powrócić...

— Towarzyszu generale, pozwólcie przywitać się z ojcem — zawołał nagle dźwięcznie młody oficer, zjawiając się, jak w bajce, z frontowej drogi.

Szamryło spojrział: Wołodymyr!

— Dzień dobry, ojcze!

Objął stary Szamryło swego Wołodymyra, objął Wołodymyr ojca, mocno, mocno, za wszystkich braci. Potem cofnął się nieco, chcąc nacieszyć się widokiem ojca, i nie wstydząc się leż znów go objął, wzdychając radośnie:

— Och, ojcze! Boże ty mój!

Następnie wziął w swe młode dłonie kościstą rękę ojca i długo nią potrząsał w milczeniu patrząc mu w oczy. Wreszcie pocałował ojca w rękę jak mały chłopczyk, chociaż miał sześć bojowych orderów. I tak oto przyszła do starego radość.

Stał przed synem uwznioślony poniesionymi ofiarami i miłością. W lewej ręce drżał nie wypity kieliszek i przezroczyście krople, lśniąc w słońcu, spadały na ziemię. A że byli tu też jeszcze inni ojcowie, patrząc na tę wzruszającą swą prostotą scenę popadli nagle w zadumę: czy i oni doczekają takiego szczęśliwego spotkania i czy bardzo odległa jest ta chwila? czy żołnierz przyniesie radość do domu? czy też może tylko sama sława opromieni ten dom swym chłodnym niecodziennym blaskiem, a on sam spopieleje w swym płonącym stalowym czołgu gdzieś pod Wrocławiem, Budapesztem — tyle miast, tyle jeszcze bitew przed nimi!

Antonina też to po swojemu przeżywała.

— No dość już... Czego tu płakać! — rzekł jej mąż Maksym Trojan, nie ukrywając niezadowolenia z powodu takiej słabości. — I medal, i łyż, wszystko do jednego worka.

— Przecież żal, ty nieczuły Herodzie! — odpowiedziała Antonina, która lubiła jednak popłakać i przy pożegnaniu i przy powitaniu. — A któż nas teraz pożałuje?

— A po co nas żałować? — nie ustępował Maksym. — Teraz to już nie będą nas żałować, lecz bać się.

Na drugim końcu stołu, dokąd przysiadł się generał Głazunow zostawiając młodych, rozmowa toczyła się o innych sprawach, kluczyła jednak tak zawiłą ścieżką, że generał długo nie mógł się zorientować, o co chodzi. Rozmawiali bardzo cicho i powściągliwie trzej kołchoźnicy, nieco już podpici, i jak zawsze bywa w takich wypadkach, wszyscy mówili jednocześnie.

— Zaczekaj, chwileczkę! Co ty mi tu takie rzeczy opowiadasz?

— A czy ja co mówię? — zdziwił się brygadzysta kołchozu Roman Kłunny. — Czy ja coś powiedziałem?

— Właściwie to nic.

— Myśli, że na głupiego trafił. Trzeba najpierw pomyśleć, co do czego, kiedy i jak, a nie tak tylko, żeby coś powiedzieć.

— No właśnie o tym mowa!

— No pewnie. Trzeba wpierw pomedytować. Jakże inaczej?

— Ano!

„Chytre dziady” — pomyślał Głazunow i przysunął się do nich bliżej.

— Wiecie, co ja mówię? — Kłunny zwrócił się do generała. — Ja mówię, że zniszczenie rzeczywiście jest straszne, diabli by go wzięli, tego Hitlera, ale nie wiem, jak tam to, znaczy się, w ogóle co się tyczy różnych przyczyn i warunków, bo to niby z jednej strony tak, a z drugiej wprost przeciwnie, a niech ich tam, i nie wiadomo co może jeszcze być... Właściwie, to nie mówię, że mogłoby coś być, przecież ja tego nie powiedziałem, tak sobie tylko miarkuję, a jeśli już mówić całą prawdę, to nawet nie ma we mnie takiej myśli, a tylko ot, tak sobie pytam, czy można w ogóle tak myśleć czy nie? Wy, towarzyszu ge-

nerale, widzicie lepiej niż my. No a jak wy, chłopy? Chomo!

— My, no cóż my? My jak wszyscy — rzekł Choma i spojrział pytająco na generała. — To bardzo delikatna sprawa!

— A ty, Sylwestrze? .

— Ja tak samo.

— I ja też mówię, że tak — rzekł Kłunny. — Ale czy ja co powiedziałem?

— No pewnie! Coś ty takiego powiedział?

— Ja powiedziałem? A co?

— Powiedziałeś...

— Nic takiego nie powiedziałem — zwrócił się Kłunny do generała. — Towarzyszu generale, co ja takiego powiedziałem? Powiedziałem, że jak ludzie, tak i ja! I nie ma o czym mówić! Już ja swoje wiem.

— Ej, Romanie!... — rzekł Choma, chcąc go pewnie chwycić za jakieś słowo.

— A ty mi tu nie ejkaj przed generałem! Dziś się z nim bawię, a jutro pośle mnie do ataku, więc ty mi tu przed nim nie ejkaj! Ty ile masz? Pięćdziesiąt piąty?

— Pięćdziesiąt sześć.

— No właśnie. A ja dostałem wezwanie. — Kłunny wyjął z kieszeni zawiadomienie o powołaniu do wojska. — Patrz! Ty tu o mnie ejkasz, a ja jutro będę zwyciężać! Wezmę i zwyciężę!

— A zwyciężaj sobie — odparł Choma — tylko nie trzeba tak niepolitycznie rozmawiać.

Roman obraził się.

— Coś takiego... A co wy na to powiecie, towarzyszu generale?

— Nie rozumiem, o czym mowa — powiedział generał, zaintrygowany tą „dyplomatyczną” rozmową.

— Chodzi o to — Roman machnął z determinacją ręką — że chcę was o coś zapytać, jak rodzinnego brata, ale mi gębę zatyka.

— Kto?

— Nikt. Tylko że my dobrze wiemy: przez jedną chwilkę można tyle napleść, że potem nie odkręci się tego przez pięć lat.

— Bzdura!

— Jeśli chodzi o mnie, to niech tam będzie bzdura, jak chcesz, to pytaj, tylko nas nie mieszaj do tego — rzekł Choma. — My nie chcemy czegoś takiego nawet słuchać.

— Ale o co właściwie chodzi?

— A o to, że stały się straszne rzeczy.

Generał zauważył, że Roman był już na dobrym gazie i że męczy go jakaś absurdalna myśl.

— Takiego zniszczenia, pożarów i rujnacji nie było jeszcze od stworzenia świata. Prawdę mówię?

— No, powiedzmy — rzekł generał.

— No to sobie pomyślałem...

— Roman, zamknij gębę, daj spokój.

— A mnie nie szkoda! — wypalił Roman, uderzając się pięściami w piersi i wpatrując się pilnie w twarz generała.

— Ale czego?

— Absolutnie niczego! Niech się pali! I niech się rozsypie w proch! Bo wszystko idzie ku lepszemu, wspomnicie moje słowo!

— Roman, czyś ty zgłupiał zupełnie, czyś pijany?

— Nie jestem pijany.

— No, dość już tego! Dajmy temu spokój. — Kował Sylwester był wyraźnie skonsternowany. — Proszę wybaczyć, towarzyszu generale.

— Nie przerywaj. Pozwól mi się sprawdzić na mądrym człowieku. Jestem trzeźwy. Jestem taki trzeźwy, towarzyszu dowódco — Roman zwrócił się znowu do generała — że niczym nie można by mnie upić... Nie mam żalu o tę rujnację. Był żal i nie ma żalu. Tak to już jest. Rozumiecie? I tak sobie myślę, dlaczego? Co za człowiek ze mnie?



— Sumienia w tobie nie ma — rzekł z wyrzutem Choma.

— Nie, jest. A wy nie macie za grosz inteligencji! — rozzłościł się Roman. — Dlaczego mnie obrażacie? Przychodzi kiedyś do mnie dwóch hitlerowców, jeden to nawet mówi po naszemu, pewnie z kolonistów. U was, powiada, wszystko do niczego, a widzę, że aż się trzęsą z zazdrości i chciwości. Ach ty taki owaki, powiadam, ty bandyto, złodzieju! A byłem wtedy pod gazem.

— No i ci?

— Rozstrzelali, sukinsyny. Patrzcie, widzicie tę dziurkę? Tędy kula weszła, a tamtędy wyszła. I jeszcze druga... Byłem trzy ćwierci do śmierci... A to wszystko — Roman wskazał na wypaloną ulicę — wszystko to zgliszcza i gruzy... Czy miało to tak stać pod strzechą do skończenia świata? Czy to mieszkania dla ludzi?

— Roman!

— No to jak człowiek nie ma już własnej zagrody, a w tej wojnie wzięliśmy przecież górę i nasze jest na wierzchu, to wychodzi, że teraz szybciej się u nas wszystko poprawi. No to jak myślicie, czy mam żałować tego wszystkiego? — Roman uderzył pięścią w pierś i wpił się wzrokiem w generała.

Wszyscy ucichli.

— Z jakiego rocznika?

— Pięćdziesiątka na karku — odparł Roman.

— To jesteśmy rówieśnicy. A pytanie ciekawe. Niech młodzi odpowiedzą. Bo oni biją się o sprawy najważniejsze. Orłuk!

Orłuk poderwał się.

— Tak jest!

— Ludzie interesują się, jak wojowaliście, jak przelewaliście krew. Z czym wracaliście do domu. Czego wam było żal, a czego nie żal, o czym myślicie? Jakie są wasze marzenia?

— Marzę tylko o zwycięstwie! — odparł Orłuk.

— Ale odpowiedz tak od siebie — nacierał Roman. — Czego chcesz osobiście?

— Mów, osobiście.

— Osobiście to można powiedzieć walczyłem prawie trzy lata. Byłem kilka razy ranny...

— To nie odpowiedź, to są fakty, które u mnie też są!

— Mówcie całkiem osobiście...

— Osobiście to przybyłem nie z Ameryki, lecz z frontu — rzekł Orluk zwracając się do Romana. — I zupełnie nie rozumiem, gdzie zaczyna się to wasze pytanie. Kiedy powiem, że chcę, by na tych ruinach były piękne domy, a w tym sadzie bawiły się dzieci i żeby był dobry urodzaj na pszenicę, i żeby obrodził sad, i żeby wszyscy przyzwócicie się ubierali, żeby na ścianach wisiały ładne obrazy, to czy jest to tak całkiem sprawa osobista? Czy pozwolicie mówić dalej, towarzyszu generale?

— Mówcie, mówcie.

— Nigdy dotąd, ani w bojach, ani kiedy leżałem ranny, nawet kiedy ujrzałem swój rozwalony dom, gdzie na piecu zamarzli moi rodzice, a siostry moje poszły gdzieś na poniewierkę, nigdy tak bardzo nie pragnąłem naszego zwycięstwa, jak właśnie dziś, kiedy stałem z Ulaną przed wami, towarzyszu generale, a wy dawaliście nam ślub. Gdy mówiliście o obowiązku przedłużenia rodu dla dobra państwa, nagle jakbym zobaczył na mgnienie oka wszystkich towarzyszy, którzy zginęli. Wszystkich! I zrozumiałem dzisiaj sens życia. — Orluk powiódł wzrokiem po gościach, otaczających ich ruinach i przeniósł spojrzenie na dalekie Zadnieprze. — Tak! Jest mi bardzo żal! Żal mi zabitych, pomordowanych, żal każdej wdowy, sieroty, żal każdej zniszczonej chaty, każdej zdeptanej niwy, każdego zrujnowanego miasta. Noszę w swoim sercu pogardę i nienawiść do faszyzmu i życzę narodom szczęścia, dlatego chcę się

bić całkiem osobiście, ponieważ pragnę zwycięstwa i na razie niczego więcej nie pragnę!

Generał spojrział na Romana. Brygadzysta kołchozowy stał przed Orlukiem do głębi wzruszony. Pojął całą małoduszność i ubóstwo swego rozumowania, swej postawy. Nie można oddzielać pożarów, ruin, cierpienia ludzi i olbrzymiego napięcia ich sił w ogniu wojny, nie można oddzielać tego wszystkiego od pragnień i perspektyw szczęśliwego jutra. Ta opaczna myśl zrodziła się z jego ponad dwuletniej samotności i bezczynności. Patrzył na Orluka i nie poznawał go. Wojna przydała jego młodej, poczciwej twarzy rysów surowości i męstwa. Ten w pełni dojrzały żołnierz był jakby uosobieniem zwycięstwa. Po raz pierwszy w ciągu swego pięćdziesięcioletniego życia Roman rozumiał do końca, że dziś w zwycięstwie tkwi istota i cały sens życia. Poczuł w sobie nagle taki przypływ woli, że aż zacisnął pięści i szczęki. Zdolny był w tej chwili do niezwykłych czynów, byle tylko mieć swój udział w zwycięstwie.

— Jesteśmy młodzi — mówił dalej Orluk, objawszy ręką Ulanę — ale ponieważ zginęli nasi rodzice i nie mamy nikogo z bliskich prócz przyjaciół, więc rozpoczynam z Ulaną nasz ród od początku, będę więc mówił jak stary, w imieniu ojca i matki oraz naszych wszystkich przodków i potomków: nigdy mój ród nie odstąpi przed nikim z tego dniewrowego brzegu, z tych kołchozowych pól. Nigdy!

W tym właśnie momencie podano generałowi Głazunowowi jakiś pakiet. Zapanowała cisza. Po chwili generał wstał. W głębokiej ciszy powstali też wszyscy dowódcy i żołnierze. Był to już zupełnie inny generał i inni też byli żołnierze i dowódcy.

Był wieczór. Czołgi szły na zachód z hałaśliwym chrzęstem i dudnieniem. Pod chatami, które aż

drżały od tego dudnienia, czołgiści żegnali się z dziewczynami. Ziemia ciężko stękała. Z zachodu, z naprzeciwka płynęły nieprzerwanym potokiem samochody z licznymi śladami wojny na swych obłożonych karoseriach. Na dużych platformach stały uszkodzone samochody, roztrzaskane i podziurawione kulami samoloty, ciężarówki wiozły obandażowanych żołnierzy.

Uchodźcy popychali dwukółki ze swym mizernym dobytkiem. Wyzwoleni z obozów koncentracyjnych, zmęczeni, wynędzniali ludzie rozglądali się wokół trwożnie, jakby jeszcze nie wierząc w swe ocalenie. Bohaterowie wojny, inwalidzi, powracali do swoich odzyskanych wsi, wzruszeni i zdziwieni.

Spotkania. Łzy. Krzyżujące się pytania. Na drogach wojny radość obejmowała się z nieszczęściem. Syn wraca do lepianki w starym, podartym szynelu, ale o nowych kulach.

Syn: Jestem inwalidą, ojczel!

Ojciec: Widzę. Trzeba się zastanowić nad tą sprawą.

Syn: Jaką?

Ojciec: No bo jesteś rzeczywiście inwalidą. Jesteś już teraz nie taki sobie zwykły człowiek, ale człowiek beznogi.

Syn: Ano.

Ojciec: A żyć bez nogi to bardzo delikatna i nieprosta sprawa.

Matka: Kaleka nieszczęsny!...

Syn: A wy mi tu, ojciec, nie róbcie żadnych wykładów.

Ojciec: Nie robię. Sam widzę, że nie masz jednej nogi. Boli?

Syn: W nocy. Budzę się, łap, a tu pusto!...

Matka: Co za nieszczęście!

Ojciec: A ty nie becz. Jeszcze dość się napłaczesz.

Matka: Kamień nie człowiek!

Ojciec: Lepiej byś milczała. Inwalidzi, synu, są

różni, jak wszystko na tym świecie. Jedni z bohaterstwa, drudzy z przypadku, a jeszcze inni z niedbalstwa. Po to jest wojna. A zdarzają się nawet inwalidzi z tchórzostwa albo z pijaństwa.

Syn: Nie ubliżajcie mi, ojcze, dostałem w ataku! Rozumiecie?!

Ojciec: Teraz to już wszystko jedno, w ataku czy nie w ataku. Wojna już się skończyła.

Syn: Czy wiecie, że to aż z Biełgorodu? (postukał o drewnianą kulę).

Ojciec: Z Biełgorodu czy nie z Biełgorodu, a ty nie pchaj się z tym ludziami w oczy.

Syn: Jak to?

Ojciec: A tak, że ludziom i bez twojej kuli ciężko, synku.

Syn: No cóż, dziękuję wam, ojcze. To tacy ludzie są!

Ojciec: Ludzie jak ludzie. Każdy ma dość swoich nieszczęść. No więc podziękuj losowi i kuśtykaj sobie ostrożnie, nie pij, nie gardłuj i wstrzymuj się od blagi. A dlaczego? Dlatego, że rany zachęcają do blagowania! Wiem to sam po sobie. A jak tam było na tej wojnie, to zaczniesz opowiadać dopiero za dziesięć lat. W ten sposób będziesz miał u ludzi szacunek i poważanie... A że nieszczęście, to wiadomo, i nie ma o czym mówić.

Matka: Jakie nieszczęście? Wrócił żywy! To szczęście!

Ojciec: Zamilcz już raz z tym swoim szczęściem. Szczęście, szczęście!... Ojczyzna o mało nie zginęła, trzeba krew przelewać!

Do małej kurnej chatynki na krańcu wsi podjeżdża willysem generał z dwoma pułkownikami. Rozglądają się wokół z zainteresowaniem, wchodzi do wnętrza.

Dziad: To ty, Opanasie?

Generał: Ja, dziadku.

Dziad: A ci?

Pułkownik lotnik: A to my, Wołodymyr i Maksym. Nie poznaliście nas?

Generał: Jaka ta chata mała. Aż dziw!

Pułkownik Wołodymyr: Dziw. Pamiętasz? Boże mój!

Pułkownik Maksym: Tak. Ale czy ona była kiedyś większa?

Dziad: No, opowiadajcie, wnuki, skąd wy? Żywi czy zabici? Może ja sam już umarłem? I tylko moja dusza z wami rozmawia? Bo już nie wiem, co myśleć, niech Pan Bóg odpuści.

Generał: Żywiśmy, dziadku!

Pułkownik: Jesteśmy w lotnictwie. Ciężkie bombowce. Przelotem.

Dziad: Taaak... Ciężko, powiadacie.

Pułkownik: Nie ciężko, tylko latamy z ciężkimi bombami.

Dziad: Gdzie?

Pułkownik: Nad całą ziemią. Byliśmy nad Chałchin-gołem.

Dziad: Że jak?

Pułkownik: I nad Madrytem. I w Ameryce, oblatywaliśmy samoloty. I nad Berlinem, i nad Ploeszti! I w ogóle oblecieliśmy dziadku prawie całą planetę.

Dziad: Planety nie znam. Słyszałem, ale widzieć jakoś nie zdarzyło się. Kometę to widziałem. Przeleciała kiedyś, o tam, za stajnią, z wielgachnym ogonem. Przepowiedziała wojnę japońską. A patrzcie, taki Niemiec już dwa razy przechodził bez komety.

Pułkownik: On już, dziadku, i bez komety i bez ogona.

Dziad: Cie, cie... No a teraz opowiadajcie, jaki jest ten świat, coście go oblecieli?

Pułkownik: Świat? Odpowiedź nieprosta!

Pułkownik drugi: To prawda.

Generał: Świat jest mały, dziadku.

Dziad: Mały, powiadasz?

Pułkownik: Nieduży ten świat, dziadku. Niewielki.

Dziad: Ajajaj! Szkoda mi was, że ten wasz świat tak się zesechł i zmniejszył. Kiedyś to świat był ho, ho! wielki! Wyruszyliśmy, bywało, z Połtawy do Kremieńczuka... Dawne dzieje, byliśmy jeszcze chłopcami, czumakowaliśmy. To wyjedziemy, bywało, w step, a step szerooki, szerooki, szeroki! A tam szlaki i na Mikołajów i na Mołdawię... Wielki był wtedy świat. I wesoły... To mówicie, że zmniejszył się? Jak tak mówicie, to może i po waszemu mniejszy.

Generał: A powiedzcie nam, dziadku... Co nasza mama mówiła przed śmiercią?

Dziad: Mama? Coś tam mówiła, alem zapomniał.

Generał wyjął zza pieca pęczek zeschniętych aksamitek, powąchał je i omal się nie rozplakał.

A w drugim kącie wsi, pod górą, skąd roztacza się rozległa panorama Zadnieprza, powitanie w chacie powracającej córki z matką. Smutne, niewesołe. W ciemnej sieni czai się po kątach rozpacz. Matka zmarniała, bardzo się postarzała.

Maria: Mamo!

Hanna: Córeczko! Maryjko!

Maria: Mateczko...

Hanna: Czy ja śnię? Żyjesz, Maryjko?

Maria: Żyję, mamo... ja...

Hanna: Wróciłaś... Ludzie kochani!

Maria: Dzień dobry, mamo... A Pawło? Nie słyszę Pawła. Nie wrócił?

Hanna: Pawło w domu.

Maria: W domu? Gdzie jest? Pawle!...

Hanna: Stoi we wsi na placu.

Maria: Na placu?

Hanna: Czeka na ciebie. Nie spotkałaś go?

Maria: Nie zauważyłam. Szłam dołem. Boże! No i jak on tam? Nie jest ranny?

Hanna: Cały.

Maria: Był na wojnie?

Hanna: Wojował bardzo długo.

Maria: Kim był?

Hanna: Kapitanem.

Maria: Kapitanem? Co wy, mamó?

Hanna: Kapitanem czy bohaterem, już nie pamiętam. Jakoś tam mówili, ale nie pamiętam.

Maria: Pobiegnę do niego.

Hanna: Tylko idź cicho.

Maria: Nie straszcie mnie! Mamó?!

Hanna: Idź cicho, córeczko. I zbierz siły.

Maria: Co wy, mamó? No to idę. Jak mi serce wali! Boję się, mamó...

Nie czując ziemi pod stopami, niczego wokół nie dostrzegając, ślepa i głucha na wszystko Maria pobiegła na wiejski majdan, potykając się w nocy i ciężko wzdychając:

— Oj, nie pójdę tędy przez łągi zielone. Oj, nie pójdę tędy, przez łągi zielone, mogę spotkać tego, co mi nie sądzony... Witajcie mi łągi, skróćcie moje męki... Nie, to nie tak! Co ja?... Oj, pójdę ja, młoda, ale nie przez łągi... Nie, jeszcze nie tak... Oj, zielonymi idę ja, młoda, łągami... Nie, nie łągami, lecz niziną-doliną. Oj idę ja, młoda, niziną-doliną, czy spotkam mego męża jeszcze dziewczyną?! Witaj, witaj mężu mnie nie przeznaczony!... Co się ze mną dzieje? Przecież to pieśń. Po co ta pieśń? Powiem wszystko swoimi słowami. Takich słów jak moje, nie ma w żadnej pieśni. Wiem, że wszystkiego nie da się powiedzieć, ale zbiórę wszystkie siły, wszystkie smutki, całą moją mękę... Powiem: witaj, witaj, przyjacielu!... Pawle!... Gdzie on? Dlaczego go nie widzę? Paweł, odezwijsię! To wróciła z niewoli twoja nieszczęśliwa Maria, twoja żona. Przyniosła ci swój wstyd i swoją mękę, dziecko nieznanego ojca. Zabij nas oboje albo pożałuj, jeśli jesteś bohaterem. Gdzie jesteś, Pawle? Dlaczego mi tak ciemno w oczach? Co się ze mną dzieje? Gdzie ja jestem? Pawle!...



Jednak Paweł nie odezwał się, chociaż był blisko. Pomnik z brązu należał już nie do niej, lecz do całego świata.

Położyła u podnóża cokołu dziecko, a sama przypadła do jego brązowych piersi i zastygła, sama jak z brązu, jakby była częścią pomnika.

— Gdzie jesteś, śmierci? Gdzieś ty, najlepsza, gdzie jesteś, moja jaskółko? Zlituj się nade mną. Gdzie się wałęsasz z innymi, moja czarna siostrzo? Przybądź, uśmiechnij się do mnie... Nie chcę żyć! Pawle, Pawle!... Jak mam żyć?...

— Uspokój się, żono. Dopóki jesteś młoda, poddawaj się prawom młodości. Niech płacze po mnie macierzyńska starość.

— Jakie są te prawa, co mnie pocieszy?

— Praca, miłość, dzieci.

— Gdzie je znajdę?

— W zdrowym nurcie lepszych czasów.

— A kiedy zabraknie ich dla mnie? Tyle nas jest...

— Więc szukaj wielkości w cierpieniu.

— Nie, nie mogę. Nie chcę. Nie potrafię. Nie dorosłam do cierpienia, jestem za słaba. Nie potrafię myśleć o rzeczach wielkich. Urodziłam się do zwyczajnego życia. Pomóż, poradź mi, jak przezwyciężyć cierpienie? Jaką bronią?

— Pracą.

— I czym jeszcze?

— Innych dróg nie znam. Chyba ich nie ma.

— Czy mówisz prawdę, mój wielki bohaterze?

— Nie jestem ani wielkim, ani bohaterem, chociaż towarzysze zapewniali mnie o tym. Ale trudziłem się dla ojczyzny w wielkich czasach i z wielkimi ludźmi i część ich wielkości przeszła na mnie, i oto stoję teraz z brązu na straży potomnych. Przecież pamiętasz, że niewiele myślałem o wielkości i mówiłem byle co i żartowałem nieraz głupio.

— Zawsze śmiałeś się ze wszystkiego.

— Byłem zawsze zajęty i nigdy nie miałem czasu. I tak było aż do samego końca. Za mało cię kochałem, chociaż narodzony byłem do miłości i do pokoju.

— Przebaczam ci...

— Za mało cię pieściłem...

— Za mało...

— Czasem zapominałem zupełnie o tobie. Żal włókł się za mną w marszach przez wojenne szlaki. Byłem surowy, a często nawet zły i gburowaty, żeby nie mięknąć wśród przekleństw, wołania o litość, różnych trudności i przeciwności. Mój czas był czasem przysięg, więc wykonywałem swoją przysięgę wśród warkotu i chrzęstu żelaza, aż pewnego razu rozpadłem się w krwawe strzępy.

— Męczenniku!...

— Nie. Moje cierpienie nie trwało długo. A jeśli chcesz wiedzieć, to zrosłem się cały z tym straszliwym rzemiosłem wojennym. Odczuwałem nawet chwile radości tego rzemiosła i zginałem w momencie uniesienia. Szedłem wówczas do ataku i wróg umykał przede mną. I tak masz przekazać swoim dzieciom: pod koniec mój wróg uciekał przede mną, uciekał...

Orluk i Ulana długo patrzyli za czołgami. I dopiero kiedy ostatnie maszyny zniknęły w mroku za pagórkami, a huk motorów i chrzęst żelaza zlał się w oddali w znajomą muzykę marszowych nocy, Orluk spojrzął na młodą żonę.

— Chyba pójdziemy, Ulano.

— Chodźmy. Trudno w to uwierzyć — cicho westchnęła Ulana odpowiadając na jakieś własne myśli.

— Tak, rozumiem.

— Pozostaliśmy we dwoje, a ja, prawdę mówiąc, z tobą i nie z tobą. Połowa, ta szczęśliwa, z tobą, a druga połowa poszła z nimi i nie może do ciebie wrócić.

— Ze mną też tak jest.

— Smutno mi.

— Mnie też.

— Prawda?

— Uhum... Wiesz, że czasami zupełnie zapomniałam o tobie.

— I ja.

— Prawda?

— Wiesz, jak bywało...

Zrozumieli, że nie wyłączyli się jeszcze z wojny. Należeli ciągle jeszcze do niej, jak płonący budynek należy do ognia. W mroku majaczyły im się złowieszcze łuny trzech płomiennych lat. Wspomnieli, jak gniew ginących towarzyszy wzmacniał ich odwagę. Jak zapominając wzajemnie o sobie na nieskończonych ciężkich szlakach wojny część swej miłości przynosili na towarzyszy frontowych. Jak ich kochali coraz bardziej, jak cząstkę samych siebie, swego gniewu i ta właśnie miłość podnosiła ich na duchu i przywiodła do domu. Śmierć długo na nich polowała, jednak nie upolowała ich.

Podeszli do swojej chaty.

— Kto tu? — usłyszeli nieznajomy głos wartownika.

— Swoi.

— Tu zajęte.

Okazało się, że ich chata została już zajęta. Ze dwudziestu żołnierzy spało już na glinianej podłodze, na łóżku, na ławach, na pryczy. Jakiś ranny Kazach leżał nawet na stole i cicho postękiwał.

Poszli do ciotki Antoniny. Ale tam było tak samo. Więc ciotka naszykowała im ślubne łoże w sardzie na starych saniach. Gwiazdziste niebo było świadkiem ich szczęścia.

— Patrz, Iwanie, jakie niebo... Skończyła się wreszcie wojna.

— Nie. Nie skończyła się.

— Jakie to życie jest niezmiernie i niewiarygodne! Jak wojna!

- Uhum.
- Nigdzieśmy o tym nie czytali.
- Nie czytali, nie myśleli. Nikt zresztą nie myślał.
- Wszystko jak we śnie.
- Też tak czuję. I jest tak, jakbyśmy przeżyli całe wieki.
- Właśnie. Zauważyłeś to? Wszystko się zmieniło, stało się inne.
- Tak. I ja też?
- I ty.
- A ty?
- I ja. Ale należysz już cały do mnie.
- A ty?
- Zdaje mi się, że tak. A ty?
- Ja? Pamiętasz, jak nieraz mówiłem ci przed wojną o swojej żądzy życia?
- Tak.
- Pragnąłem zawsze jakby się rozdwoić, rozmnożyć się, rozerwać na sto części, i żeby każda ta moja część żyła i tworzyła i poznawała różne piękne rzeczy i żebym jednak to był razem ja.
- Pamiętam.
- Nic ci już nie szkoda z tego, co zostało za tobą?
- Nie.
- A kochasz mnie?
- Kocham.
- I ja ciebie kocham. Kocham w tobie wszystko, kocham ziemię, po której tak długo chodziłaś. Kocham niebo i powietrze, którym oddychasz.
- Miły mój.
- Moja kochana. Kocham cię jak chleb i jak miód, i jak wodę. Kocham ten sad i ten brzeg, i Dniepr, w którym się kąpałaś, mała rybko, i piłaś z niego, i śmiałaś się na jego piaszczystych brzegach.
- Mów dalej, zamknę oczy.
- Wiele zabijałem.

— Nie mów o tym.

— Nie będę. Ale i ja też jestem cały poraniony...

— Nie, nie o tym... Powiedz, o czym teraz myślisz.

— Myślę, że znów stoimy z tobą u samych źródeł życia. Cokolwiek by mówiono, wszystko, co najważniejsze, jest w nas. Całe piękno, jakiego szukają artyści i poeci, wszystkie pejzaże, wszystkie wschody i zachody słońca, wszystkie trawy, kwiaty, płody, nasiona, wszystkie żniwa, wszystkie pory roku, słowem wszystko, co najbliższe i najdroższe żyjącemu człowiekowi, to wszystko nasze. Rosa wieczorna i poranna...

— Rosa! Iwasiu, jak ja lubię ranną rosę!

— A wielu ludzi w ogóle nie wie, co to rosa.

— Biedni.

— Im rosa nie jest potrzebna. Widzą szczęście w czym innym. Wschodu słońca też nie potrzebują.

— Tak. Oni nigdy nie brodzili po rosie boso.

— Bo mają bardzo delikatne podeszwy.

— Ja tobym wszystkich zmusiła, żeby chodzili po rosie.

— Na razie to niemożliwe.

— Dlaczego?

— Daleka do tego droga. Ale tak będzie. Człowiek wróci do rannej rosy. Wokół niego będą kwitnąć sady. A w kwitjącym sadzie nie można nie tylko zabić, ale nawet się kłócić.

— To prawda. Pamiętam, jak...

— A teraz potrzeba człowiekowi nie rosy, ale dachu nad głową.

— Mnie dach niepotrzebny. Chcę sypiać z tobą pod gołym niebem i patrzeć na gwiazdy.

Tak poczęło się ich nowe życie.

Wojennymi szlakami toczyły się w oddali samochody i działa. Usypiała ich muzyka przygotowywanych pod osłoną nocy przegrupowań.

Na wysokiej dniewprowej skarpie bieleły ruiny. Zakwitła na nich młoda wiśnia. A za wiśnią,

gdzieś daleko w dole, kotłowała się w mrokach jasnogranatowej nocy powódź.

I oto przyśnił się Ułanie dziwny sen.

— Kto tu?

— Kijowianie — rzekł ten, co podszedł do niej.  
— Książ Światosław i jego wojowie. Śnimy się  
tobie.

— Nie, nie... — wyszeptała Ułana. — Czy to  
możliwe, żeby się przyśnił ktoś sprzed tysiąca lat?

— Na tym miejscu tak, możliwe — odparł  
Światosław. — To prastary brzeg. Tam oto stały  
moje czółna.

— Ale ile to już lat minęło. Przeszły całe stu-  
lecia...

— Spotkały się dziś przy twoim łożu przeszłość  
i przyszłość.

— Nie rozumiem, nie wiem, o co chodzi... Iwa-  
nie! Śpisz? Iwasiu...

— Jaka stara trawa — powiedział Światosław  
i urwał pęk trawy. — I tak samo pachnie. I gwia-  
zdy te same. A Dniepr był stary już wtedy, kiedy  
wybiegałem myślą za Dunaj.

— Ale dlaczego właśnie tej nocy... towarzyszu  
generale? Chcecie ochrzcić moje dzieci?... Iwanku,  
to ty?

— O co chodzi?

— Spałeś?

— Nie.

— Nie?

— Myślałem o Dunaju.

— Ojej, kiedy? Powiedz dokładnie, kiedy to  
było?

— Co? Nie wiem. Śpię. Śpię pod niebem.

— A coś ty powiedział? Iwanku, co to było?

— Co takiego?

— Powiedziałeś coś o Dunaju. Mówiłeś, że  
wszystkie stulecia spotkały się... Co jeszcze powie-  
działeś? Przypomnij sobie!

— Coś ci się chyba przyśniło.

— Boję się. To było coś bardzo, bardzo dawnego... Czy wiesz, co to było? Rozumiesz coś z tego?

— Złudzenie. To tylko sen.

— Ale czy to możliwe, żeby dwom osobom przyśnił się ten sam sen? Przytul mnie, przytul mocno. Boże, jak cudownie... Jakie gwiazdy! Jacy my szczęśliwi! Czy może być aż takie szczęście?!

Objąłem ją mocno ramieniem.

Ulana wpatrywała się w gwiazdziste niebo. W jej oczach tliła się już najdroższa jej sercu tajemnica przyszłego szczęścia.

Światło...

Wkrótce na całym Prawobrzeżu zaroilo się od ludzi i maszyn. Wszystkie cztery fronty ukraińskie od poleskich błot' aż do samego Morza Czarnego poderwały się na jeden znak i ruszyły na zachód.

Ale kiedy ruszyły nagle lody na rzekach i prastary bożek wiosennych roztopów uwijał się tak skwapliwie, że nie można było ani przejechać konno, ani przejść — zawarczały i zawyły silniki zmotoryzowanych wojsk, zabuksowały koła, rozlegały się we wszystkich językach przekleństwa kierowców, maszyny stanęły. Wówczas cztery fronty ukraińskie zrezygnowały ze swych technicznych zasobów i z samą tylko lekką bronią, na przekór żywiołom i wojennym doktrynom, ruszyły gromić wroga i gnały go tak, jak nie gnał nikt jeszcze nigdy nikogo.

Wiele napisze się książek o tej przedziwnej wiośnie, wiele powstanie o niej pieśni i prac naukowych, długo będzie ona żyć we wspomnieniach.

Nienawiść obu walczących stron była tak potężna, niezliczone masy z taką zaciętością dążyły do zniszczenia przeciwnika, zabitych było tak wielu, że śmierć jakby czasami broniła się przed ich przyjęciem, musieli więc siłą kruszyć wątle czółno życia i pogrążyć się w niebyt nie kończącymi się dantejskimi szeregami. Inni wychodzili żywi z samych głębin piekła i spoglądając z naiwnym zdzi-

wieniem na swą śmiertelną drogę, zdumiewali niespotykaną siłą i mocą.

Chyba nigdy jeszcze historia nie splątała się w tak absurdalny kłębek, nigdy jeszcze serca milionów ludzi nie biły w takim oszalałym rytmie, nigdy europejski Zachód nie upadł jeszcze tak nisko w swym najpodlejszym przedstawicielstwie, ale też nigdy dotąd człowiek nie wykazał tyle dzielności i siły duchowej, co ludzie radzieccy podczas drugiej wojny światowej.

Wyzwalano miasta. Wyzwalano tysiące wsi. Z lasów wychodzili partyzanci. Miliony mężczyzn i chłopców z prawobrzeża włączyły się do tak długo oczekiwanej Armii Czerwonej. Co za spotkania, jakie pożegnania za Dnieprem i za Bugiem!

- Witajcie!
- Żegnajcie!
- Nie zapominajcie!
- Ratujcie!
- Wyzwalajcie!
- Odnajdźcie!
- Powracajcie!
- Pomścijcie się!
- Oczekujcie!

Żegnali się pospiesznie, jak popadło, i ruszali, spiesząc się, jakby chcieli dogonić swój los, i tylko na ostatnich pagórkach, za którymi na długo lub na wieki znikają ich rodzinne domy, oglądali się i wstrzymując przyptyw rozczulenia zdeterminowanym ruchem ręki, przyspieszali kroku.

Wielu spośród nich już nigdy nie powróci do rodzinnej chaty, nie zobaczy ni swojej rodziny, ni swego nieba, ni swej pięknej ziemi. Przysporzą swjej ojczyźnie sławy w wielu miastach i legną tam na wieki, pod Lwowem i Sandomierzem, pod Warszawą i Budapesztem czy też pod samym już Berlinem. Jednych towarzysze pochowają w bratnich mogiłach, drugich ptactwo rozniesie po cudzych błotach, innych rozerwą na szczątki potężne



miny tak, że śladu po nich nie zostanie, jeszcze innych tylko gniewne dymy poniosą nad ziemią, a niepokieszona matka do końca swoich dni będzie pytała podróżników: „A czy nie widzieliście czasem, nie słyszeliście przypadkiem?...”

Teraz jednak nikt o tym nie myślał. Nie było czasu. Szli do ataków, forsowali rzeki z piętrzącą się krą. Zmagali się z wiosennymi burzami, zapadali się w wodę. Zmętniałe nurty czerwieniły się, podmywając brzegi. Faszystowscy najeźdźcy cofali się w popłochu całymi formacjami. Tyraliery brnęły po kolana w bajorach, wśród deszczu i śnieżycy.

Już willysy pogrzęzły w bagnach, generałowie brnęli spieszenie szlakami nie do przebycia. Generał Głazunow w marszu studiował mapę terenu.

Deszcz, śnieg, wichura.

Wyciągali działa z kałuż i bagien. Śnieg.

Przerzucali mosty, po szyję w wodzie, wśród nacierającej kry.

Wylewały rzeki.

W małych i dużych okrażeniach hitlerowscy oficerowie popełniali samobójstwa.

Deszcz.

Długie sznury maszyn ugrzęzłe w kałużach.

— Nalot!

Generałowie, oficerowie, gauleiterzy, frontowe prostytutki wyskakują z samochodów i padają żywi i martwi w bagno.

— Nalot!

Druga fala iłów. Trzecia. Czwarta.

— *Halt* \* Dokąd?

— Ja? Ja chciałem...

— Uciec? Ty stary ukraiński psie! — zabrudzony oficer podpełznął do Hrybowskiego.

— Czy pan otrzymał mój rozkaz?

— Nie, panie pułkowniku — Hrybowski zbladł,

---

\* Stój!

poznał bowiem po głosie Schredera i zrozumiał, że wpadł.

— Sprawdzę... Ale na próżno próbuje się pan wysliznąć z tych błot.

— Ja...

— Przerzucimy pana na tyły do roboty dywersyjnej.

— Straciłem wszystkich ludzi.

— Pan kłamie! Pan zawsze kłamie, do stu diabłów! Proszę wziąć pod uwagę, że nie ma pan żadnego wyjścia. O przejściu na stronę bolszewików niech pan nawet nie myśli. Zresztą czeka tam pana stryczek. Dlatego niech się pan ma tu na baczności! Zrozumiano? Proszę nie zapominać, że już raz pana rozstrzelałem. A rozstrzelany to znaczy karany, więc winny, rozumiano? Diabli by pana wzięli razem z całym pańskim narodem!

— Panie pułkowniku!

— Wy wszyscy nas nienawidzicie! Rozgryzłem tę waszą Ukrainę, bandyci. Niech będzie na wieki przeklęty ten czas i ten dzień!... — Von Schreder przypomniał sobie starego nauczyciela Riasnego i jego prorocze słowa wypowiedziane przed rozstrzelaniem.

— Padniij!

Wszyscy padli w błoto...

Dowódca frontu, generał von Brenner, siedział w stojącym na drodze okropnie zabłoconym oplanym admirałem. Wokół niego stała po kolana w rzadkim błocie grupa oficerów sztabowych. Ledwie trzymali się na nogach. Przez wiele dni cofali się pod potężnym naciskiem Armii Czerwonej. Spoglądając w tył, na wschód, na czarne pola i rozmyte drogi, gdzie pozostała ich cała technika, padali na wznak gdzie popadło, chroniąc się przed lotnictwem. Ogarnięci psychozą okrażenia rzucali się na wszystkie strony i klnąc swój los, brnęli dalej ledwo powłócząc nogami. Zewnętrznie tak

się zmienili, że nie poznawali się wzajemnie. Wielu było pijanych lub robiło takie wrażenie.

Generał von Brenner dostał pomieszania zmysłów. Stało się to jeszcze przedwczoraj, ale nikt nie odważył się o tym mówić, a poza tym niewiele ich to obchodziło: wszyscy pełzli do przygranicznej rzeki, ledwie dysząc ze zmęczenia.

— *Meine Damen und Herren*, proszę napełnić kieliszki — powiedział von Brenner i uśmiechnął się beztrosko. Oficerowie znieruchomieli. Słowa generała nie dotarły jeszcze do ich świadomości. Ale żółtawoziemista cera, martwe nieobecne spojrzenie i nieprzytomny uśmiech na ustach generała wielu z obecnych poraziły bardziej, niż unicestwienie całych pułków i fascynujących iluzji.

— *O, Gotteswill!* \* — westchnął ciężko jakiś starszy, brudny pułkownik i spojrzał na zachód.

— Panowie, proszę siadać — uśmiechnął się von Brenner, wykonując tak wyszukany gest ręką, że zdyscyplinowani sztabowcy obejrzel się szukając nie istniejących krzeseł, ujrzawszy jednak pod sobą rzadkie błoto, stali dalej.

— Padnij! — rozległ się zachrypnięty krzyk.

Oficerowie padli na ziemię, rozśmieszając tym do łez generała Brennera. Posypały się bomby. Nikt jednak w pobliżu nie zginął i po chwili oficerowie powstali.

— Dziś w nocy, proszę panów, .dokonałem bardzo ważnego i pomyślnego dla nas spostrzeżenia — rzekł von Brenner. — Otóż zauważyłem, że generałowie Koniew i Watutin absolutnie ignorują wojenne prawidła. W wyniku tego całe zmotoryzowane armie ugrzęzły w bagnach nie wykorzystane. Od razu zwróciliśmy z żoną na to uwagę... Jak zapewne panom wiadomo, jestem żonaty. Ożeniłem się z Hitlerem. Mam nadzieję, że wiadome jest panom, iż nasz Führer jest kobietą, jeśli nie brać pod uwagę wąsów i wschodniej przestrzeni

\* Wola Boska!

życiowej. Eins, zwei, drei, vier, eins, zwei, drei, vier!

Oficerowie poczuli się niesamowicie. Pułkownik Tietz, który był w stanie najwyższego napięcia nerwowego, chciał zastrzelić generała, ale jego mauzer leżał gdzieś tam w błocie, zaś on sam miał zabłocone ręce, więc zacisnął tylko zęby i zaczął nagle trząść się w napadzie paroksyzmu.

— A propos, kto to wymyślił tę wschodnią przestrzeń życiową? — spytał nagle generał von Brenner. — I dlaczego życiowa, a nie śmiertelna? Odpowiadać! Generał Himmelstock!

— Nie jestem generałem Himmelstockiem.

— A gdzie generał Himmelstock?

— Zabity.

— A co ja powiedziałem?

— Pan powiedział: generał Himmelstock.

— Nieprawda. Nie mogłem tego powiedzieć. Chciałem powiedzieć coś innego. Pułkownik Haus zabity, tak?

— Zostali zabici Haus, Schmidt, von Rediger, Ratzenau, feldmarszałek Manstein.

— Przepraszam, a czy to nie pan jest feldmarszałkiem Mansteinem?

— Nie. Jestem kapitan Schulz — odpowiedział zabłocony kapitan i zamilkł zalekniony.

Generał von Brenner wstał i wyprężył się przed nim jak przed marszałkiem, przyprawiając tym Schulza niemal o obłąd.

— Ależ pan był przecież zabity, panie feldmarszałku! Nie?

— Nie! — wybełkotał Schulz.

— Widziałem pana osobiście przed śmiercią, panie feldmarszałku!

— Nie jestem feldmarszałkiem, pan się myli!

— Biegał pan z buławą marszałkowską po całej przestrzeni życiowej, a potem pan upadł i wtedy właśnie tak mnie rozbolała głowa!...

— Jestem kapitan Schulz.

— Padnij!

Przeszła jeszcze jedna fala myśliwców.

O, niemieckie dzieci! O, sieroty i wdowy wielkiego kraju! Generał von Brenner stoi po kolana w błocie.

Jego wodniste oczy skierowane są do tyłu na przebytą krwawą drogę aż do samej Wołgi; w oczach tych nie ma nawet przeblysku jakiegokolwiek myśli.

Ile mózgów, ile rąk, ilu ludzi w rozkwicie się zostało na tej drodze! Jacy mistrzowie, fachowcy, jakie talenty pokryły ziemię swymi trupami na tysiące wiorst! Smutna to sława... W połowie XX wieku, kiedy powstały już wszystkie warunki do przetworzenia ziemi w raj dla wszystkich, zarówno wielkich jak i małych narodów — co uczynili z Europą wasi zabici ojcowie, zatruci śmiertelną ideą faszyzmu? O, młodzi synowie Vaterlandu! Jeśli poprzednie wojny imperialistyczne niczego nie nauczyły waszych ojców, przejrzyjcie chociaż wy przy świetle swoich płonących domów: ani wy, ani nikt inny w Europie nie zdobędzie przy pomocy bagników i podoficerów niczego prócz nieszczęść i ruin.

Zbierajcie teraz burzę, jak posialiście wiatr. Poznajcie ciężar wojny także na własnej ziemi, jej krwawy obłęd i przerażenie, i wszystkie jej straszliwe znamiona. Idą do was z bronią pełni gniewu ludzie radzieccy, którzy nigdy nie chcieli być waszymi wrogami.

Von Brenner sterczał w błocie pod samą rumuńską granicą. W jego oczach był obłęd. Z prawej i z lewej strony podeszły groźne oddziały marszałka Żukowa.

Oficerowie podnieśli ręce.

Pociągnęły nie kończące się szeregi jeńców. Wytrąceni z orbity ogólnego planowego ruchu, wlekli się powoli i bez celu, jakby nie podlegając już prawu ciężenia, nieważcy i puści. To szły już ludz-

kie wraki. I mijające ich oddziały radzieckich żołnierzy patrzyły na nich obojętnie, bez złości i nienawiści, jak w próżnię. Maszerując na zachód każdy z tych żołnierzy zaprzątnięty był własnymi myślami.

W pawłowskiej szkole rozpoczęło się nowe życie. Ułana przyszła do swojej szkoły z mężem.

Ułana: Znacie się? Nauczyciel Hordij Pawłowicz Mandryka.

Mandryka: Przepraszam, ale my się chyba znamy. Pan zdaje się... hm...

Orluk: Aha!

Mandryka: Czy może się myłę?

Orluk: Nie myli się pan. Orluk.

Mandryka: Uhum. Eche, eche... Przepraszam, zdaje się, że chuchnąłem na pana?

Orluk: Proszę? Nie, co pan!

Mandryka: Nie chuchnąłem? Proszę wybaczyć. A mnie się zdawało, że chuchnąłem. Przepraszam.

Orluk: Nie szkodzi.

Mandryka: Więc nie chuchnąłem?

Orluk: Ależ nie.

Mandryka: Bardzo przepraszam, ja... Więc pan tego... przepraszam... Jakże to, hm... Ułano Wasylewno! Ojej! Poszła. Dokąd ona poszła?

Orluk: Poszła do klasy.

Mandryka: Ach tak, oczywiście.

Orluk: Jak wszystko się zmieniło.

Mandryka: Uhum. Tak. Wie pan, bardzo się cieszę. Chciałem od razu powiedzieć Ułanie Wasylewnie i panu, że jestem bardzo rad, iż mogę uczciwie spojrzeć wam w oczy.

Orluk: Ciężko wam tu było?

Mandryka: Lepiej nie mówić... Pan pozwoli uścisnąć sobie rękę. Ojej, zdaje się, że znowu chuchnąłem?

Orluk: Głupstwo. Co też pan!

Mandryka: Chciałem podziękować za wyzwolenie

z niemiecko-faszystowskiego jarzma. Co tu się działo! Strach pomyśleć! Ale gdzie Ulana Wasylewna?

Ułana była w klasie. Przed nią siedziały w ciszy dzieci. Połowa klasy była pusta.

— Dlaczego was tak mało, dzieci?

— Nie ma więcej.

Ułana weszła do drugiej klasy — to samo; w trzeciej, czwartej — obraz taki sam. W klasie siódmej nie było nikogo, była pusta, ławki zniszczone, brudne gołe ściany.

— A!...

— ...a-a-a... — odbiło smutnym echem.

Usiadła za zakurzonym stołem i schyliła głowę. Na chwilę ożyła przeszłość: w ławkach trzydziścioro sześcioro czupurnych chłopców i dziewcząt. Na ścianach portrety wielkich ludzi. Na stole — kwiaty. Uczniowie urodziwi, o dobrych oczach. Dziewczęta z cudownymi głosami.

Przypomniała się lekcja śpiewu; dzieci śpiewały cicho wiosenną pieśń:

Postawię świeczkę  
naprzeciw księżycu —  
i cicho stąпам, i cicho stąпам...  
A woda szeleści,  
biały kamień pieści  
w księżycu się kąpie, w księżycu się kąpie.

Potem nagle klasa zmieniła wygląd: ładne, roześmiane dzieci znikły, zamiast nich zjawiły się chude, wynędzniałe dziewczątka z faszystowskiej niewoli, frontowi bohaterowie, powieszeni młodzi partyzanci ze stryczkami na szyjach, ranni żołnierze, wynędzniali więźniowie obozów koncentracyjnych, dziwacznie ubrani.

I cicho stąпам, i cicho stąпам,  
a woda szeleści, biały kamień pieści...

— Ułano Wasylewno — rozległ się w ciszy cieniutki dziecięcy głosik.

Ułana podniosła głowę. W drzwiach stała dziew-

czynka o szarych, zaciekawionych oczach, Nastia Hułakowa.

— Czy pani zabijała faszystów?

Ulana drgnęła, wyprostowała się. Nastia zamknęła drzwi. Ulana raz jeszcze objęła spojrzeniem pustą klasę i wróciła do pokoju nauczycielskiego.

Mandryka: Ulano Wasylewno! Chciałem podziękować za wyzwolenie z niemiecko-faszystowskiego jarzma.

Ulana: Proszę mi powiedzieć, czy to pan zamazywał portrety w podręcznikach szkolnych?

Mandryka: Musiałem. Strach, co tu się działo... Początkowo myślałem...

Ulana: Co?

Mandryka: Nic, słowo honoru, klnę się na mój honor. Tylko że tego, niech mi pani wierzy, no już było tak, że o mało nie uciekłem do partyzantów.

Ulana: I co panu przeszkodziło?

Mandryka: No jakoś tak nie ten, nie wychodziło. Pani nie zna faszystów. To najpotworniejsi wrogowie ludzkości. Wie pani, że płakałem?

Ulana: Rozumiem tylko łzy wdów, matek i dzieci.

Mandryka: Ja ich przeklinałem!

Ulana: Naprawdę?

Mandryka: Nienawidziłem ich!

Ulana: Dokonywał pan sabotażu? Stawiał im zbrojny opór? Zachęcał pan uczniów i ich ojców do dzielności i wytrwania?

Mandryka: Ja? Oczywiście.

Ulana: Szerzył pan i umacniał wiarę w nasze zwycięstwo? Czekał pan na nas?

Mandryka: Na was? Jeszcze pani pyta!...

Ulana: Proszę powiedzieć, co mój ojciec mówił przed śmiercią? Jak zginęli Sotnyk, Homon, Hnatiuk? Gdzie są uczniowie?

Mandryka: Jacy?

Ulana: Gdzie są dziewczęta? Gdzie przyszłe matki naszego narodu?



Mandryka: Nie wiem. Tam u nich.

Ulana: Co im pan powiedział na drogę? Co im pan przekazał?

Mandryka: Co to, sądowe przesłuchanie?

Ulana: Nie. To tylko nauczyciel pyta nauczyciela pośród żywych i martwych milionów. Pan się przestraszył?

Mandryka: Nie, ja...

Ulana: Niech się pan nie boi. Dzisiaj osądza się wszystkie narody, całą filozofię, historię, politykę, sądzi się cały świat. Procesuje się współczesność z przeszłością, ludzkie i bohaterskie z nikczemnym i zbrodniczym.

Mandryka: Tak... ja tego... jeśli pani pozwoli...

Ulana: Kim pan jest? Po co pan żyje na świecie? Proszę mi powiedzieć, co pan wyniósł z tej straszliwej wojny? Co pan tu robił?

Mandryka: Ale pani nie wie, co tu się wyprawiało. Na świecie dzieje się coś takiego...

Ulana: Pytam pana konkretnie: co pan robił?

Mandryka: Cierpiałem. Tu działały się takie rzeczy...

Ulana: To, co tu się działo, nie wydarzy się już nigdy. To był czas bohaterów i męczenników naszego narodu. Przykro mi, że nie został pan ani jednym, ani drugim. Całe życie przechodził pan na palcach — powiedziała i poszła do dzieci.

— Ulano Wasylewno, czy pani zabijała faszystów? — znowu zapytała Nastia Hułakowa.

— Nie, dzieci. Nie. Nie zabijałam. Ja tylko ratowałam naszych żołnierzy od śmierci.

— A jak pani ich ratowała?

— Wynosiłam rannych z ognia, przewiązywałam ich rany, dawałam im swoją krew.

— A dużo krwi pani oddała?

— Dużo.

— Niech pani jeszcze opowiada.

— Uśmiechałam się do nich, mówiłam im przyjemne rzeczy.

— A mego ojca pani nie widziała? Nie uratowała go pani?

— Nie, twego ojca nie widziałam.

Ulana postanowiła zmienić temat rozmowy.

— Słuchajcie, dzieci, dziś jest wielki dzień. Nasze wojska oczyściły już z wroga ojczyznę i biją go na jego terytorium. Dziś nie będzie lekcji. Porozmawiamy o tym, co będziemy robić, kiedy dorśniemy.

— Taras też zabił dwóch faszystów — rzekła Nastia.

— Trzech.

— Jaki Taras?

— Bowkun! — ożywili się uczniowie, wskazując na mocnego jak dębczak chłopca Tarasa Bowkuna.

— To prawda, Tarasie?

— E!... To były Madziary — rzeczowo odpowiedział Taras.

— Oni zabili naszego ojca i jego ojca, i dziadka, i Halkę, a Taras pozabijał ich — rzekła Nastia. — Jak dorosnę, to wyjdę za Tarasa.

— Nie wiesz czasem. — Taras machnął ręką i odwrócił się.

— A ja jak dorosnę, to też będę zabijać faszystów — powiedział mały chłopczyk.

— Tak — zamyśliła się Ulana. — A ty co chciałabyś robić? — spytała dziewczynkę.

— Chciałabym ratować rannych. Jako siostra miłosierdzia.

— A ja chcę chleba.

— Tak. A ty?

— Ja też chcę chleba.

— A ty?

— Ja chcę automat.

— A mnie chce się płakać i jeść mi się chce.

— A ty?

— Ja chcę, żeby mój ojciec i mój dziadek powrócili z wojny z orderami. I chcę spać w chałupie.

— A ty, Hupało?

— Ja? Żebym tylko jak najszybciej wyrósł, to ja im wtedy pokażę! — powiedział lichy odziany chłopczyk i brzydko zaklął.

— Nie wolno przeklinać. To wstyd i nieładnie.

— On pił samogon.

— On był już pijany. I palił papierosy.

— Byłeś pijany?

— Byłem „getrunken dreimal”.

— Więcej nie będziesz?

— Nie. Żebym tylko szybko wyrósł.

— Żeby szybko rosnąć, to trzeba spać. Babcia mi mówiła, że rosnę we śnie. Czy to prawda? — spytała ciekawska Nastia.

— Prawda.

— A Wasia Stupak będzie się żenić.

— Sam powiem.

— Chcesz się ożenić, Stupak?

— Myślę o tym — powiedział cicho Wasyl Stupak i spojrzął na nauczycielkę. Było coś wzruszającego w szczególnym wyrazie jego nie po dziecięcemu zamyślonych ciemnoszarych oczu. — Tyle już żyję na świecie i nigdy o tym nie myślałem, a teraz myślę.

— Ale przecież jesteś jeszcze mały. Ile masz lat?

— Trzynasty. Policjanci zabili ojca. A potem powiesili matkę. No to babcia z przestrawu umarła, a dziewczęta, to jedna w Niemczech, a druga nie wiadomo gdzie. A na mojej głowie jeszcze dwoje małych. I krowa wnet się ocieli, będzie mleko. I trzeba będzie wnet obrobić ogród. No to myślę wziąć jaką sierotę i mieszkać z nią. No pewnie, rozumiem, że nie jestem jeszcze dorosły, ale nie można dać dzieciom zginąć. Czy może lepiej

jeszcze poczekać? Teraz kołchoz nie da mi przecież przepaść z dziećmi. Jak pani myśli?

— Mowy nie ma. Kołchoz nikomu nie da zginąć, nikomu! — powiedziała Ulana pewnym głosem, jakby odpowiadając na jakieś bardziej ogólne i głębsze pytania. — Kołchoz nie dał, Stupak, zginąć państwu, więc tym bardziej nie da zginąć tobie. Dziś przyjdziemy do ciebie do domu i wszystko jakoś urządzimy.

— To nie żenić się?

— Nie trzeba się żenić. Trzeba się uczyć. Chcesz się uczyć?

— Nie, nie bardzo.

— Dlaczego?

— A tak.

— Ale kiedy będziesz się uczyć, to możesz zostać wielkim człowiekiem.

— A mój ojciec nie był uczonym, a był wielkim człowiekiem — odparł Taras po namyśle.

— Wiem. Twój ojciec był wielkim człowiekiem. On był organizatorem i przewodniczącym kołchozu i był partyzantem i wspaniałym komunistą. A gdyby jeszcze zdobył naukę...

— Niemcy! — krzyknął ktoś z uczniów, ujrawszy przez okno transport jeńców.

Dzieci przestraszone rzuciły się do ucieczki, dziewczęta zaczęły płakać, wszystkim pozostały wojenne urazy. Tylko Taras Bowkun nie stracił głowy. Ujrawszy Niemców ocenił od razu sytuację i momentalnie znikł. Biegnąc do ziemianki, wykopanej w pobliżu jego spalonej chaty, spostrzegł jeszcze jedną partię jeńców, którzy wchodzili do wsi z innej strony. Byli to Węgrzy, którzy na widok długiej kolumny Niemców zaczęli wykazywać podniecenie. Zaniepokoiło to konwojentów.

— Dokąd? Gdzie biegniesz?

— Zawracaj! Jazda stąd! Dokąd?

— Hej, zabieraj jeńców! Nie puszczaj ich do Niemców!

Niemieccy jeńcy wychodzili już na wiejski wygon. W drugiej uliczce zjawili się Węgrzy. Niemcy wyczuli niebezpieczeństwo. Wśród Węgrów narastała wrzawa.

— Zatrzymaj kolumnę! Zatrzymaj, mówię ci! — krzyczał konwojent węgierskiej grupy.

— A ty nie krzycz — odpowiedział podoficer prowadzący konwój niemiecki.

— Nie ręczę za swoich Madziarów, rozumiesz?!

I rzeczywiście, Węgrzy nie wytrzymali i rzucili się na Niemców.

— No i co, nie mówiłem ci?

— Stać, hołoto, bo będziemy strzelać! — krzyknął komendant konwoju węgierskiego i chwycił automat...

— No, no, tylko nie tak ostro! Pilnuj lepiej swoich faszystów. Jasne?

— A ty nie strasz!

— Ja nie straszę.

— I nie gróż mi tu!

— A bo co?

— A to, że z twoich Madziarów też może zostać samo tylko pokwitowanie odbioru. U mnie esesowcy, nie widzisz? — konwojent niemieckiej kolumny potrząsnął groźnie automatem.

— Nie kłóćcie się, dajcie już spokój. Diabli ich nie wezmą. Aha, zapomniałem powiedzieć dzień dobry — powiedział stary kołchoźnik Dmytro Kłunny.

— Też tak myślę, towarzysze. Dzień dobry. Niech się trochę poczubią — dodał przewodniczący kołchozu Demyd Soroka. — Madziary to więcej konno kiedyś wojowali. A teraz Hitler przeniósł ich do piechoty. No to pewnie mają o to pretensje. Niech chociaż wyładują swoją złość pięściami, nie przeszkadzajcie im... Ale się naparzają, patrzcie!... Jasny gwint!

Istotnie jeńcy przedstawiali obraz, którego nie da się opisać. Gdyby tak dzieci mogły zobaczyć, jak nisko upadli ich ojcowie zatruci rasizmem! Gdyby matki zachodniej Europy popatrzyły na swoich nieszczęsnych otepiałych synów, brudnych, zarosniętych, którzy pogubili swą zbrodniczą broń na rozległych stepach Ukrainy! Dusili się wzajemnie, kąsali, szczękali sprężynowymi nożami, rozbijali sobie nosy czym popadło. Była to już złośliwa karykatura wojny. Węgrzy mieli wyraźną przewagę; żywo gestykulowali i wołali coś po węgiersku do swoich konwojentów, wzywając do sprawiedliwej w ich przekonaniu zemsty za swoje wszystkie nieszczęścia.

Ta bójka nie przyciągała jednak większej uwagi starych kołchoźników. Ludzie chcieli teraz żyć, tworzyć, pracować. Potężny instynkt życia oraz niewyczerpana energia tkwiąca w naturze rolnika, który przez tysiąclecia zwykł był siać i umacniać życie we wszystkim, co mogło żyć i rosnąć — domagały się szybkiego zapomnienia o tym wszystkim, co było zbrodnicze i absurdalne.

Kobiety krzątały się w ogrodzie, rozwiązywały woreczki z nasieniem i sypały je z radosnym zapalem w nagrzaną wiosennym słońcem ziemię. Na bójkę jeńców nikt nawet nie spojrzał.

— No i wyobraźcie sobie, kumo — mówi Antonina do swojej sąsiadki siejąc mak — zachodzi do mnie generał. Sam generał! Pije mleko i pyta: „Powiedźcie no mi, kiedy ta przekłeta wojna się skończy?” I pomyśleć: nawet same generały nie wiedzą! A skąd ja, mówię, mam wiedzieć? Ciągłe tylko biją się i biją i pchają się do śmierci i do kto wie jakiego kalectwa.

— Oj prawda — odparła sąsiadka, pochyłona nadal. — Ale zdrowi, na psa urok, porobili się na świeżym powietrzu! A jaki mają wikt! Widziałaś, co jedzą? Teraz, to trudno ich będzie nagonić z wojny do domu.

— A jakże! A co to im? No więc on, znaczy mój generał, wypił mleko i jeszcze tam coś, no i zasnął, a koło niego aż dwie z epoletami i telefonami: „Towarzyszu generale, towarzyszu generale!” Jaki on wam towarzyszu, powiadam. Nie wstyd wam? Mógłby być waszym ojcem, powiadam. A jakie kudły miały ponakręcane! Dalibóg, nie kłamię. A on śpi, bidulek, a epolety na nim błyszczą, i tak jakoś żal mi się go zrobiło... Ile on tego narodu na śmierć posyłał! — Antonina z trudem wstrzymywała płacz.

— No chyba. Drogoście zapłacili za mak? — spytała sąsiadka.

— No pewnie! Jego żona i dzieci gdzieś tam cierpią, a te tu się kręcą koło niego i kręcą, że-bym tak wieczora nie doczekała! „Kiedy ta wojna się skończy, nie wiem”, powiada do mnie... A widać że mu tak ciężko na sercu. Chryste!... A ciebie dokąd diabli niosą?! — krzyknęła Antonina, ujrawszy, jak jeden mocno poturbowany niemiecki oficer wyśliznął się z węgierskich rąk i przeskoczywszy przez płot biegł ogrodem prosto do niej. Był to Hrybowski, ale Antonina nie zdążyła mu się przyjrzeć.

Nagle silny ogień z karabinu maszynowego przerwał węgiersko-niemiecką bójkę.

— Jezus Maria! Już strzelają!

— Kto tam strzela?

— Przerwać ogień!

— Kto strzela? Która strona?

Karabin maszynowy na chwilę zamilkł i nagle znowu się odezwał. Jeńcy przypadli do ziemi, gdzie kto stał. Konwojenci rzucili się do rozwalonego pieca w ogrodzie, skąd padały strzały.

— Nie podchodź! — rozległ się rozpaczliwy krzyk z zapiecka, po czym znów zaterkotał karabin maszynowy.

Żołnierze przypadli do ziemi, dwóch z automatami pobiegło, by zejść strzelającego od tyłu.

— Wy dokąd? Stać! Wszystkich was powystrela, biedaki! — stara Bowkunicha omal nie upadła, biegnąc naprzeciw żołnierzom.

— Kto to strzela?

— Przebaczcie starej, chłopcy, to mój. Nie ma na niego żadnego sposobu. Już dwa automaty mu odebrałam, bomby, naboje! I znowu smarkacz gdzieś wykopał!

— Mamo, uciekajcie stąd, nie przeszkadzajcie!

— Poczekaj no, już ja ci postrzelam! Ja ci... Ostrożnie, chłopcy, chowajcie się za mnie! — I Bowkunicha, a za nią dwaj fizylierzy zaczęli zbliżać się do pieca.

Taras zrozumiał, że przegrał tę walkę i zaczął głośno płakać. Jego mała wojownicza dusza odczuła, że przyszedł czas pożegnania się z tymi niezwykłymi cudownymi zabawkami, jakimi obdarował go los. Czegóż to nie było w Tarasowym „bunkrze”: dwa pistolety maszynowe wykradzione faszystom, parabellum, ze trzydzieści min, naboje zwykłe i pociski świetlne, którymi strzelał co noc w niebo, jakieś flaszki, bańki, tarcze, blaszanki, proch armatni do armat i moździerzy — wszystko, co przynieśli okupanci, co zatręło jego młode serce.

— Nie podchodź, bo strzelam! — krzyknął do matki groźnym dziecięcym basem i gorzko zapłakał.

— Rzuć to, mówię ci! Chłopcy, nie wychylajcie się za mnie, bo zginiecie! Rzuć, słyszysz?!

Jednak żołnierze rzucili się na Tarasa i po krótkotrwałej walce wręcz chłopiec poddał się, zdążył jednak ukąsić jednego z żołnierzy bardzo boleśnie w rękę.

— Puść!

— A to ci giez!

— Giez? To tygrys, a nie giez! On mi już chatę rozwalił! Patrzcie, to jego robota! Skaranie boskie



z nim! — biadała Bowkunicha, kiedy rozbrojony już Taras stał przed dowódcą konwoju.

— Co takiego? Rozwalił chatę? Ten chłopak?

— W zimie. Przyszło czterech oficerów, zjedli kolację, siedli do kart, potem zaczęli pić. To on wykradł im broń, wziął bombę z pieca i pod obrazy. Chwała Bogu, że mnie wygnali z chaty, bo, powiedzieli, mają za delikatne powonienie. Przepadłabym na amen.

— A Niemcy?

— To były Madziary — chlipnął Taras.

— Kłamiesz! Mów, kto rozwalił chatę?

— Ona sama się zawałiła.

— No i macie, niech ręka boska broni od takiego dziecka — dał się słyszeć głos Antoniny, która właśnie podeszła. — I w kogo to się wdało, lichowie. Żołnierzyki nasze kochane! Wyzwolicie naszą wieś i zabierzcie z sobą tego zabijakę! Wyjdzie z niego taki generał, że nie tylko Hitler, ale sam diabeł mu nie poradzi! Zobaczycie!

Wszyscy roześmiali się.

Przebiegłszy obok Antoniny, Hrybowski czmychnął za róg stajni, potem przemykał się sadem, kryjąc się za spalone ciągniki i wpadł tylnym wejściem do szkoły.

Mandryka! Jedyna szansa. Cieniusieńka słomka, za którą być może zdoła się uchwycić — prosić, straszyć, grozić. Oto drzwi jego mieszkania. Jakie szczęście: w korytarzu nie ma nikogo!

Na progu zjawił się Mandryka.

— Hordiju Iwanowiczu!... Pawłowiczu...

Poznawszy Hrybowskiego raczej po głosie niż wyglądzie, przestraszony Mandryka szybko zamknął drzwi przed samym nosem bandyty.

— Proszę otworzyć!

— Przepadłem! Boże mój!... — przeraził się Mandryka. — E-e... Niech tam. Nie znam pana!

— Hordiju Stepanowiczu, na miłość boską!

— Nie znam pana!

— To ja!

— Nie... Nie znam!

— Hrybowski!

— Nie znam. Nie znam żadnego Hrybowskiego! To prowokacja! Proszę odejść, jestem zajęty!

— Proszę otworzyć drzwi! Słyszysz?! Otwórz drzwi, bo zabiję! — syknął Hrybowski i szarpnąwszy z całej siły otworzył drzwi. Mandryka, który trzymał za klamkę, wypadł na korytarz. Ale nie udało się Hrybowskiemu wpaść do mieszkania.

— Stać, obywatelu — dał się słyszeć spokojny kobiecy głos.

Hrybowski obejrzał się: Ułana. Wówczas dużym wysiłkiem woli i nabytej przez lata wędrówek po świecie umiejętności przeistaczania się, nagle wyprostował się i jakby już opanowany, grzecznie uklonił się i powiedział po francusku:

— Proszę mi łaskawie wybaczyć, mademoiselle, ale nie rozumiem, co pani powiedziała. Nie znam waszego języka. Czy pani mnie rozumie?

A potem dodał kilka słów łamanym językiem rosyjsko-francuskim:

— Je sui Français... Ja Francja... De Gaulle, de Gaulle. Niemnożka wada, pożałujsta.

Było to powiedziane z tak sugestywną siłą, że zwiódło nie tylko Ulanę, ale nawet Mandryka zawahał się, czy istotnie stoi przed nim niemiecki agent, który przed chwilą nazwał go po imieniu. Pomyślał, że chyba mu się przesłyszało. Hrybowski wyczuł to i uwierzył, że kłamstwo to go uratuje. Przed nauczycielami stał niemłody już Francuz w niemieckim mundurze, „ofiara faszyzmu” z pokaleczoną twarzą i zapuchniętymi oczyma, którego istotnie trudno było poznać. Zapewnił, że jest bardzo szczęśliwy i że gotów jest choćby jutro walczyć w szeregach francuskich przeciw Niemcom... Ach, ci Niemcy i te dzikusy Madziary!

— To on! Ki diabeł?! To przecież on!

Antonina, która właśnie weszła, od razu poznała Hrybowskiego.

Sąd nad zdrajcami ojczyzny i katami narodu odbył się w budynku tej samej szkoły. Uważnie przyglądano się każdemu jeńcowi niemieckiemu. Rozpoznano wśród nich między innymi Kurbackiego, jeszcze jednego bandytę, a nawet samego komisarza von Schredera, który był jeszcze niedawno postrachem całej okolicy.

Sądowi przewodniczył sędzia wojskowy pierwszego stopnia Petro Samijłowicz Wełyczko. Na głównego oskarżyciela ludowego powołano Iwana Demydowicza Orluka. Kiedy Orluk odmówił wystąpienia w tak odpowiedzialnej roli ze względu na swój młody wiek i brak doświadczenia życiowego, przewodniczący rady rejonowej Demyd Soroka na zebraniu oświadczył:

— Towarzysze! Na naszą wieś spadła sława. Przyniósł ją znany w całym Związku Radzieckim Iwan Orluk. Teraz nie jesteśmy już tylko takimi sobie prostymi ludźmi. Kiedy gdzieś ktoś spyta teraz, gdzie te Stare Pawłowce, to każdy powie: „To tam, gdzie urodził się ten Orluk, który był na wojnie dwanaście razy ranny”.

— Sześć — sprostował Orluk.

— Sześć to dla ciebie, a dla nas i dla potomnych trzeba dodać. A kto, jak nie ty, pytam, ma oskarżać naszego wroga! A do przelewu krwi toś ty nie był za młody?

Orluk zgodził się, ale swojej żonie zabronił kategorycznie bywać na posiedzeniach sądu. Kiedy wzburzona wspomnieniami ciężkich przeżyć wybierała się na posiedzenie, Orluk objął ją i przygarnął do piersi.

— Nie pójdziesz.

Ułana: Jak to nie pójde? Dlaczego?

Orluk: Nie chcę, żebyś brała w tym udział. Nie chcę żebyś oskarżała...

Ulana: Iwanie, oni zabili...

Orluk: ...naszych rodziców... I właśnie dlatego chcę ci oszczędzić...

Ulana: Proszę cię.

Orluk: To ja ciebie proszę. To, coś ty była zmuszona robić na wojnie, to aż nadto jak na kobietę.

Ulana: Nie.

Orluk: Bardzo cię proszę, rozumiesz? Nie chcę, żebyś znowu wdychiwała ten odór okrucieństw i zbrodni. Idź do szkoły, ucz dzieci dobra. Tam jest twoje miejsce.

Ulana: Pójdę na tę rozprawę. Chcę ich zobaczyć.

Orluk: Po co? Jeszcze się rozbeczysz i będziesz trzęsła się od przekleństw.

Ulana: Nie będę.

Orluk: Będziesz.

Ulana: Ja ich rozszarpie!

Orluk: No i widzisz sama, już płaczesz. Nie pójdziesz tam.

Ulana: Proszę cię, Iwanie! Wiele wycierpiałam na wojnie. Mam prawo.

Orluk: Też wiele wycierpiałem. Ale powinienem myśleć i działać w zależności od sytuacji. Kiedy cofałem się do Wołgi, nienawidziłem cały świat i siebie. Kiedy mnie ranili, zwałałem się na ciebie całym ciężarem, a ty ciągnęłaś mnie z pola bitwy, brudna, umazana moją krwią. Czy powiedziałem ci chociaż raz: Nie nadwerężaj się, nie wykańczaj się, chroń swą urodę? Nie. Bo wtedy ratowaliśmy nasze państwo.

Ulana: A teraz już nie trzeba?

Orluk: Nie powiedziałem, że nie trzeba w ogóle. Ale tam, gdzie już można, nie trzeba tak, jak było na wojnie. Przywykłaś, Ulu, do wojennych okropności i dlatego sama siebie widzisz w gorszym świetle, niż jest naprawdę. Chciałabyś sama osobiście niszczyć ludzką nikczemność, ale ona nie jest warta nawet jednego twojego spojrzenia. Po co ci to? Zabiję ich i bez ciebie.

Ulana: Zamierzasz zamknąć mnie w klatce?

Orluk: Tak. Chciałbym zamknąć cię w złotej klatce, żeby żadne zło cię nie dosięgło.

Ulana: Co ty wygadujesz? Jak ci nie wstyd?

Orluk: Nie podoba ci się to? Możesz poskarżyć się na mnie. Nawet w samym Komitecie centralnym partii.

Ulana: Żebyś wiedział, że się poskarżę. Egoista.

Orluk: Proszę bardzo. A ja powiem tam otwarcie, że bez ciebie nie ma dla mnie ani szczęścia, ani radości, ani niczego na świecie. Nie ma życia bez ciebie.

Ulana: To cię wyrzucą z partii.

Orluk: Nie wyrzucą. No, do widzenia. Wszystko ci opowiem swoimi słowami.

Sala była przepelniona. Otwarto wszystkie okna i drzwi, żeby przebieg rozprawy słyszeli wszyscy, nawet ci, co stali na placu przed szkołą. Przybyło wiele osób z sąsiednich wsi, byli też ludzie z różnych odległych miast, którzy opuścili je, by ratować życie.

Gdyby nieszczęście mogło ludzi upiększać, gdyby łzy miały właściwość nie trucizny, lecz stuletnich wspaniałych win rozweselających serca, gdyby ogrom śmierci, zniszczeń, faszystowskich prowokacji, grabieży i kłamstwa wywoływał na ludzkich twarzach jasny uśmiech, nie byłoby na całym świecie ludzi bardziej promieniejących, niż ci, co poschodzili się na ten sąd.

Tu spotkała się jakby cała Ukraina. Przyszło tu wiele osieroconych matek, wiele wdów. Przyszli kalecy-inwalidzi. Były tu sieroty, które widziały swych ojców i swe matki na niemieckich szubienicach. Były dziewczęta o fantastycznych biografiach, które uciekły z faszystowskiej niewoli, były dziewczęta zupełnie zmarnowane, odesłane z Niemiec jako już całkiem nieprzydatne. Byli smutni ludzie, których wyгнаła z miast bieda i strach,

k którzy utracili rodzinę i własny ką. Byli bici i rozstrzeliwani. Byli nieznani, zagubieni ludzie, którzy na jeden fatalny moment uwierzyli w realność „nowej ery” i teraz zadręczali się tajemnie swym oportunizmem, byli tacy, co poszli na służbę do wroga i teraz ukrywają się, przeklinając fa-szystów, swoją hańbę i cały świat. Większość jednak stanowili uodpornieni na wszystko ludzie starsi, którzy tyle zaznali i tyle już widzieli w swoim życiu, że gdyby nagle aniołowie zatrąbili na sąd ostateczny, nikt by nawet nie drgnął.

Wszyscy patrzyli na Orluka, a on spoglądał na ludzi. Potem przeniósł spojrzenie na oskarżonych.

Poczuł jeszcze większe podniecenie i zdenerwowanie niż przed bitwą. Czuł się teraz częstką narodu, wyrazicielem jego woli. Zwrócone na niego oczy utwierdzały go w tym i umacniały. Przewodniczący sądu Wełyczko spojrzał na niego z ojcowskim, rozumiejącym uśmiechem i lekko zakaszał.

Orluk rozpoczął przewod sądowy.

— Oskarżony Hrybowski!

Hrybowski milczał. Przyglądał się zadrapaniu na swojej brudnej ręce, jak gdyby nie słyszał, że ma stanąć przed sądem.

— Oskarżony Hrybowski!

Hrybowski milczał nadal. I dopiero kiedy doprowadzili go do Orluka, spojrzał ze zdziwieniem na niego i na Wełyczkę.

— Proszę odpowiadać!

— *Ich weiss nicht, was sagen Sie. Ich bin kein Hrybowski!... Je suis Leon Gerard\**.

Orluk: Oskarżony Schreder, czy poznaje pan tego człowieka?

Schreder: Nie.

Orluk: Oskarżony Kurbacki!

Kurbacki: Nie znam go. Nigdy go nie widziałem...

---

\* Nie wiem, o czym pan mówi. Ja nie jestem Hrybowski... Ja jestem Leon Gerard.

Orluk: Świadek Mandryka!

Mandryka: Ja... tego... ja go...

Orluk: Imię, imię ojca?

Mandryka: Moje?

Orluk: Tak.

Mandryka: Hordij Pawłowicz.

Orluk: Rok urodzenia?

Mandryka: Ale przepraszam, ja... Tysiąc dziewięćset dziesiąty.

Orluk: Zawód?

Mandryka: Nauczyciel... Czyż...

Orluk: Gdzie byliście podczas okupacji?

Mandryka: Nigdzie, przysięgam! Tu... Iwanie Demydowicz, czyż ja...

Orluk: Nie współpracowaliście z okupantem?

Mandryka: Nie. Jak mogłem współpracować?

Orluk: Wy sam jeden zostaliście w szkole?

Mandryka: Tak. Bo wszystkich...

Orluk: Co towarzysze powiedzieli wam przed śmiercią?

Mandryka: Nie pamiętam. Tu działały się takie rzeczy...

Orluk: Czy poznajecie w oskarżonym, który wtargnął do waszego mieszkania, ukraińsko-niemieckiego nacjonalistę Hrybowskiego, który razem z faszystowskimi katami zniszczył jedną trzecią naszej wsi, naszą szkołę, dyrektora?

Mandryka: Ja...

Orluk: Poznajecie?

Mandryka: To jest ten, jak mu... Jakby on i nie on. Bardzo trudno odpowiedzieć tak od razu „tak” czy „nie”. Spytajcie najpierw ludzi, oni go też widzieli, to wtedy i ja przyjrę mu się i powiem... Trzeba się przecież dobrze przypatrzeć.

Soroka: Ale kręci!

Orluk: Świadek Wirski Pawło Iwanowicz.

Wirski: Jestem.

Orluk: Lat?

Wirski: Pięćdziesiąt.

Orluk: Zawód?

Wirski: Lekarz.

Orluk: Miejsce urodzenia?

Wirski: Dubno.

Orluk: Uchodźca?

Wirski: Tak.

Orluk: Czy świadek współpracował z faszystowskim najeźdźcą?

Wirski: Nie.

Orluk: Nie tracił nadziei na nasz powrót?

Wirski: Nie.

Orluk: Nie wpadał w rozpacz?

Wirski: Tak.

Orluk: W niewiarę?

Wirski: Tak. Nie... Chyba tak.

Orluk: Nie dopuścił się zdrady narodu?

Wirski: Nie.

Orluk: Czy nienawidził świadek wroga, jego podłości?

Wirski: Podłości, okrucieństwa, chciwości...

Orluk: Świadek stracił swój dom?

Wirski: Tak.

Orluk: Odzież?

Wirski: Odzież... Książki...

Głosy z sali: Wszystko stracił.

Orluk: I rodzinę?

Wirski: I rodzinę: ojca, żonę, dzieci.

Orluk: Uciekł świadek z obozu koncentracyjnego?

Wirski: Tak.

Orluk: Ukrywał się?

Wirski: Po lasach, po jarach.

Orluk: Jak świadek trafił tu?

Wirski: Szedłem, gdzie oczy poniosą i jakoś dobrnąłem tutaj.

Orluk: U kogo świadek mieszkał?

Wirski: U waszego nieboszczyka ojca... Początkowo. A potem... Och, lotry!

Orluk: Zarażaliście ludzi z naszej wsi krostą?

Wirski: Tak. Krostą, liszajami, jaglicą...



Głosy z sali: On ratował nas w ten sposób od niewoli.

Orluk: A co myśleliście, widząc te wszystkie okropności, grabieże, zbrodnie? Co o tym myśleliście?

Wirski: Nic nie myślałem. Był czas, kiedy zupełnie nie mogłem myśleć.

Orluk: To znaczy?

Wirski: Tego było tak dużo, że odbierałem to w kategoriach raczej emocjonalnych niż intelektualnych.

Orluk: Może jaśniej?

Wirski: Raczej czułem niż myślałem.

Orluk: Ale czego było tak dużo?

Wirski: Cierpienia.

Orluk: Czy te cierpienia, straty, patrzenie na te wszystkie potworności, czy to wszystko uwzniośliło pańską duszę, oczyściło pańskie serce?

Wirski: Od czego?

Orluk: Proszę odpowiedzieć na pytanie.

Wirski: Nie rozumiem tego pytania. Kiedy zginęli pańscy rodzice i wszyscy krewni pańskiej żony...

Orluk: Nie pytam was o zagładę mojej rodziny. Jako oskarżyciel proszę świadka, by odpowiadał na moje pytania. Powtarzam: czy wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na was, uczyniły was lepszym, uszlachetniły was, jak o tym od wieków piszą w książkach?

Wirski: Nie.

Orluk: One jakby was pomniejszyły i ogłuszyły; czy tak?

Wirski: Tak. Chyba tak. Człowiek rodzi się dla radości, dla pracy, dla braterstwa. Faszyści obniżyli w mojej świadomości wysoką rangę człowieczeństwa. Przestałem uważać siebie za koronę stwórczenia.

Orluk: Czy możecie opowiedzieć o tym dokładniej?

Wirski: Wolałbym nie. Mogę tylko dodać, że oni dostarczyli mi wielu powodów do tego, by być nie-

dobrym, bezwzględnym, mściwym, żeby znienawidzić ludzkość.

Orluk: Ale jesteście przecież człowiekiem radzieckim. Nie możecie nie kochać ludzkości i źle o niej myśleć.

Wirski: Dziękuję. Oczywiście. Ale obecnie w ogóle nie jestem zdolny do myślenia o ludzkości. Niechaj ona sama pomyśli o sobie, spojrzawszy na mnie. Proszę o niezadawanie mi takich pytań.

Orluk: Ciężko wam?

Wirski: Proszę nie pytać zbyt wiele. Można umrzeć od samych tylko wspomnień.

Orluk: Proszę się uspokoić. Zeznajecie jako świadek.

Wirski: Nie jestem świadkiem. To świat, o który pan pyta, jest świadkiem....

Wełyczko: Towarzyszu prokuratorze, konkretniej.

Orluk: Czy poznajecie tego człowieka? Kim jest ten człowiek?

Wirski: (wpatrując się wnikliwie w oczy Hrybowskiego) To nie człowiek.

Orluk: To Hrybowski?

Hrybowski: *Nein, ich bin kein Hrybowski. Ich bin Leon Gerard aus Lotaringien\**.

Wirski: Zaraz... zaraz... gdzie ja go widziałem?

Orluk: (do Hrybowskiego) Może panu strach posługiwać się mową ojczystą? Może nie mogą przejść przez gardło słowa: tato, mamó, brat, siostra, ludzie, zabiłem, zaprzepaściłem, skrzywdziłem, oddałem w niewolę?

Hrybowski: *Ich verstehe nicht.\*\**

Wirski: Przepraszam, proszę wezwać tu rozstrzelanych!

Orluk: Wprowadzić rozstrzelanych.

Otworzyły się drzwi. Do stołu sędziowskiego poszło pięć osób: Antonina, Demyd Soroka, Ołena

---

\* Ja nie jestem Hrybowski. Ja jestem Leon Gerard z Lotaryngii.

\*\* Nie rozumiem.

Stupakowa, Podorożny i Hlib Bowkun. Hrybowski spojrział na nich i zadrżał. Drgnęli również Kurbacki i Schreder.

Orluk: Ołena Stupakowa!

Stupakowa: Jestem.

Orluk: Lat?

Stupakowa: Dwadzieścia cztery. Jesteście moim rówieśnikiem.

Orluk: Wdowa?

Stupakowa: Andrija zabili. Był partyzantem. I zabili dwoje dzieci i ojca Andrija i mego ojca. Wdowa i sierota. Zupełna.

Orluk: Byliście rozstrzeliwani?

Stupakowa: Byłam. Ja? Tak, byłam.

Orluk: Dlaczego przez cały czas uśmiechacie się?

Stupakowa: Proszę nie zwracać na to uwagi. To nie zależy od mojej woli. I głos, jak mówią, też zmienił mi się od wtedy.

Orluk: A więc nie do śmiechu wam teraz, obywatelko Stupakowa?

Stupakowa: (nadal uśmiechnięta) Nie.

Orluk: Raczej chce wam się płakać?

Stupakowa: Chciałabym coś robić. Pracować.

Orluk: Nie martwcie się. Jeszcze popracujemy razem. Tylko nie trzeba się śmiać. Proszę was, nie uśmiechajcie się.

Stupakowa: Ja się nie śmieję, Waniu. Płaczę, tak jak i ty.

Z oczu Orluka płynęły łzy gniewu. Ale nie płakał. W tych łzach odbijał się świat. I tego właśnie nie wytrzymał jeden ze zbrodniarzy.

— Pytajcie mnie! Powiem wszystko! — rzekł głucho Kurbacki i uderzył głową o ławę.

Wełyczko: Chwileczkę!

Orluk: Proszę.

Wełyczko: Oskarżony Schreder, proszę stanąć tu. Oskarżony Schreder, powiedzcie, czy w planach rządu niemieckiego mieściło się stworzenie w jakiegokolwiek formie ukraińskiej państwowości?

Schreder: Nie.

Węlyczko: Czy rząd wasz planował zniszczenie wszystkich separatystycznie nastrojonych Ukraińców?

Schreder: Tak.

Hrybowski: No więc tak. Jestem Hrybowski!

Mandryka: To on! Chciał nas przechytryć! Patrzę na niego, patrzę, jakby on. Co to za podły człowiek! Strach!

Była już północ. Po ciemnych drogach ciągnęli z zachodu wyzwoleni z niewoli radzieccy ludzie. Niesli resztki swego mienia, gniew, nieszczęście i straszne wieści o krwawych rozprawach.

— Kto tam? Kto idzie?

Ludzie stali koło domów i na drogach oczekując powrotu swych bliskich i wołali w ciemność:

— Kto tam? A skąd? Nietutejsi? Nie swoi?

Nie, nie swoi. Szli połtawscy, dońscy, woronescy.

— A czy przypadkiem nie spotkaliście gdzie naszych?

— Nie, nie spotkaliśmy.

I znowu skrzypiały drzwi. I znowu wołała w mrok nadzieja.

— A kto tam? Kto idzie? A czy nie widzieliście? A czy nie słyszeliście?...

— Nie, nie widzieliśmy, nie słyszeliśmy. Pozwólcie przenocować.

W drugim dniu procesu sądowego Hrybowski odpowiadał na wszystkie pytania oskarżyciela z jakąś szczególną gorliwością. Odpowiadał szczerze, dokładnie. Każde pytanie przedłużało mu przecież życie, pragnął więc tych pytań jak najwięcej.

Niektóre pytania rozrywały go na strzępy, wydobywały na zewnątrz całe jego wnętrze, rozcinały go i ćwiartowały; zupełnie rozbity odpowiadał wówczas lakonicznie: tak, tak było, nie. Stopniowo wydobyto z niego całą jego biografię,

wszystkie jego kręactwa, zdrady, ujawniające jego zupełną amoralność.

— Co oskarżony sobie wyobrażał? Jak mógł? Czy nie przerażał oskarżonego bezmiar śmierci i zniszczeń? Ile milionów nieszczęśliwych zapędzono w niewolę? Mówcie, mówcie, mówcie!

— Powiem, wszystko powiem!

Orluk: Gdzie przebywa teraz wasz wspólnik?

Hrybowski: Sajhak? Został rozstrzelany.

Orluk: Przez kogo?

Hrybowski: Przez Schredera.

Orluk: Oskarżony Schreder, wyście rozstrzelali agenta Sajhaka?

Schreder: Tak.

Orluk: Za co?

Schreder: Za niezrozumienie wyznaczonego mu miejsca w Trzeciej Rzeszy.

Orluk: To znaczy?

Schreder: On wyobrażał sobie, że Führer stworzy dla niego na Ukrainie protektorat.

Głos z sali: Mówiono, że Schreder jego też rozstrzelał.

Orluk: Oskarżony Hrybowski, czy was rozstrzelano?

Hrybowski: Tak.

Orluk: Oskarżony Schreder, gdzie i kiedy próbowaliście rozstrzelać Hrybowskiego?

Schreder: W Iwankowcach w czterdziestym drugim roku.

Orluk: Za co?

Schreder: Za to samo.

Hrybowski: Przepraszam, ale sprawa wyglądała trochę inaczej: Różniłem się z Sajhakiem co do szczegółów.

Orluk: Milczeć, wyrodku! Przed kim ty się usprawiedliwiasz?

Wełyczko: Towarzyszu oskarżycielu, proszę się uspokoić.

Orluk: Przepraszam. Wydało mi się nagle, że od-

nowiły się moje rany. Oskarżony Hrybowski, w jaki sposób pozostał pan żywy?

Hrybowski: Byłem ciężko ranny. Wylazłem w nocy z jamy.

Orluk: Kto was wykurował?

Hrybowski: Pewna stara kobieta.

Orluk: Przyznaliście się jej, kim jesteście?

Hrybowski: Nie.

Orluk: Dla jakich wywiadów zagranicznych pracujecie?

Wełyczko: Niech oskarżony napisze to na kartce.

Orluk: W jaki sposób spotkaliście się znowu ze Schrederem?

Hrybowski: Nie spotkałem się z nim. Pracowałem w zorganizowanym przez hitlerowców rzekomym oddziale partyzanckim, który walczył z waszymi partyzantami.

Orluk: A potem?

Hrybowski: Potem zostaliśmy rozbici i uciekłem. I wtedy właśnie jak uciekałem, spotkałem się ze Schrederem i od razu dostaliśmy się do waszej niewoli.

Orluk: Jakie było wasze ostatnie zadanie?

Hrybowski: Zorganizować na tyłach grupę dywersyjną.

Orluk: Kto wam zlecił to zadanie?

Hrybowski: Schreder.

Orluk: Oskarżony Schreder, potwierdzacie to?

Schreder: Nie... A właściwie tak.

Orluk: Dlaczego „a właściwie”?

Schreder: Bo kiedy patrzę teraz na to indywiduum, miałbym ochotę zaprzeczyć absolutnie wszystkiemu.

Antonina: Iwanie, powiedz mu, niech będzie przeklęty! (do Schredera) Jesteś mordercą, potwornym katem, jak takiego może nosić święta ziemia?!

Orluk: Ta kobieta was przeklina. Uważa was za potwornego kata.

Antonina: Jesteś gorszy od drapieżnego zwierzęcia.

Orluk: Pohańbiliście miano człowieka.

Schreder: Nie ja osobiście.

Orluk: Kłamiecie. Zachowywaliście się na naszej ziemi nie jak oficer wojsk okupacyjnych, lecz jak amoralny morderca.

Schreder: To są problemy polityczne. A polityka nie podlega kryteriom moralnym. Jest wojna i wszyscy działamy w jej orbicie. Hegel powiedział: „Wojna jest wieczna i moralna”.

Orluk: Nie, ona nie jest wieczna i nie jest moralna. Ona zniknie razem z waszą ciemną siłą. Ośmielacie się może nie przyznać do popełnionych zbrodni?

Schreder: Nie, chciałem powiedzieć, że działałem nie tylko na mocy przysięgi, ale i w oparciu o maksymy tak wielkich myślicieli, jak Hegel, Nietzsche, Fichte. Ten ostatni powiada: „We wzajemnych stosunkach między państwami nie ma innego prawa prócz prawa silniejszego”. Hitler unowocześnił te nauki. Ale kiedy w ubiegłym roku zrozumieliśmy, że przegraliśmy wojnę i że zginęliśmy, nasze okrucieństwo wzmogło się w sposób dla każdego chyba oczywisty.

Orluk: Oskarżony Hrybowski! A jakimi naukowymi maksymami wyście się kierowali w swym działaniu? W imię czego kłamaliście, prowokowaliście, nakłanialiście innych do zdrady, chcieliście sprzedać Ukrainę, oddać nasz naród w niewolę na zagładę?

Hrybowski: Cierpliwości, zaraz wszystko wyjaśnię... Kiedy przybyłem z nimi na Ukrainę, zrozumiałem, że jestem tu obcy. Działiałem pod wpływem strachu przed śmiercią, z wściekłości, z zemsty. Zaraz wszystko powiem. Wszystko! — Hrybowski z jakąś tragiczną determinacją machnął ręką i zwrócił się do sali. Chciał coś powiedzieć. Ale w tym momencie zawarczał nad samą szkołą samolot, zarzucając ulotkami wszystkie chaty, ogrody i pola.

— Ulotki zrzucają! — zawołał przez okno Taras Bowkun.

— Jakie?

— O wujku Romanie. Rozbił sześć czołgów!

— Kto?

— Wujek Roman.

— Ojciec rozbił czołgi! — krzyknęło przez okno dwóch jasnowłosych chłopczyków i pobiegło dalej ulicą.

Ludzie tłocząc się opuszczali szkołę.

— Ludzie, słuchajcie! — zawołał z przejęciem Hrybowski, ale nikt go już nie słuchał.

— Już nam obrzydło słuchać tej padliny. Robota czeka!

Z tymi słowami opuścili salę sądową jako ostatni świadkowie Sylwester Wołoszuk i Płaton Złotarenko.

— Ludzi nie interesują wasze zeznania. Ludzie są zajęci — powiedział do oskarżonego przewodniczący sądu.

Tymczasem bosi gońcy przybiegli z ulotkami do domu. Stary Semen Kłunny krzątał się w sadzie.

— Dziadku, ojciec rozbił czołgi! — zawołali jednocześnie zdyszani i skwapliwie zaczęli czytać staremu ulotkę. — „Szanowny Semenie Własowiczu!...”

— Wynoście mi się stąd! Psoty ich się trzymają! Nie drażnijcie mnie! — rozzłościł się dziadek.

— Dziadku, kiedy to naprawdę! „Przekazujemy wam radosną wieść! Wasz syn Roman Semenovicz został uhonorowany najwyższym mianem Bohatera Związku Radzieckiego! — czytali chłopcy zawarte w ulotce gratulacje dowództwa. — Macie pełne prawo być z niego dumnym...”

W tym momencie wyszła z chaty matka.

— Mamo! — rzuciły się do niej dzieci. — Mamo, nasz tato został bohaterem!



Z tego też powodu nie dane było prokuratorowi Orlukowi wystąpić z mową oskarżycielską. A kiedy po pół godzinie Hrybowskiego i Kurbackiego prowadzono za wieś na rozstrzelanie, nikt nawet nie spojrział w ich stronę. Ludzie tłoczyli się przy domu Romana.

Wokół Semena Kłunnego zebrało się pół wsi. Stary kowal był niepiśmienny, więc ulotkę o synu czytał mu na głos niemłody już księgowy z kołchozu, Makar Padałka.

— „Sześć nieprzyjacielskich czołgów zniszczył wasz syn w nierównym boju na granicy...”

— Sześć czołgów!

— Cicho!

— „Tylko najlepsi synowie naszego narodu, dla których nie ma na świecie niczego ważniejszego od obrony ojczyzny, tylko tacy ludzie mogą dokonywać takich cudów waleczności...” Niech czyta dalej kto inny, bo mnie coś litery skaczą...

Z tymi słowami wzruszony Makar podał ulotkę Podorożnemu.

Ale zanim Podorożny zdołał się zorientować, od kąd ma czytać, tekst podchwyciło przynajmniej dziesięć głosów.

— „Niedaleki jest już czas, kiedy wróg zostanie zupełnie rozgromiony!”

Potem nagle wszyscy umilkli i rozlegał się tylko głos młodej nauczycielki:

— „I wówczas wasz syn powróci do domu, do was, do żony, do dzieci, powróci jako zwycięzca, a sława o nim, jako bohaterze ziemi ukraińskiej, trwać będzie przez wieki! Dziękujemy wam, ojczyźnie bohaterów. Rada wojenna frontu”.

Zapanowała uroczysta cisza. Wszyscy patrzyli z powagą na starego, czekając co powie.

— Ależ ten wasz Roman! — dał się słyszeć czyjś głos. — I co wy na to, Semen Własowiczu?

Ale nawet w tej uroczystej chwili swego życia

Semen pozostał sobie wierny, nie ulegając pysze i próżności.

— Nie wiem — odrzekł spokojnie, wsłuchany w ostatnie słowa z oczami utkwionymi gdzieś w dal — czy nie wzbudziło to w niektórych wątpliwości, niewiary czy zazdrości. — I żeby nie wydać się śmiesznym czy też niegodnym swego surowego czasu, dodał obojętnie: — Po mojemu to albo jakaś propaganda, albo kłamstwo. No bo jak to możliwe, żeby ot, tak sobie sześć czołgów? To nie kaczkki krzyżówki na bagnach. To po co byłoby kuć te czołgi, tyle stali marnować, jakby można ot, tak sobie!

— To już nie na nasz rozum — zauważył Choma Czepurny. — No ale wychodzi na to, że tak było!

— No jeśli tak, to niech już będzie tak — skapitulował stary kowal. — Cieszę się.

Aż tu nagle zjawił się na zakręcie willys, a w nim — kto by to pomyślał — Roman!

Początkowo nikt go nie poznał. Był bez brody i cały zakurzony. Można było go poznać tylko po jasnych jak jęczmienne kłosa wąsach. Lekka bluza, epolety, pilotka i marsze na świeżym powietrzu bardzo go odmłodziły, wyglądał na dwadzieścia lat. Na plecach karabin. Na piersiach — Złota Gwiazda. Za willysem — dwa zdobyczne ciągniki. To generał Watutin przysłał na siew obiecaną pomoc.

Willys otoczony ludźmi zatrzymał się na wprost chaty.

— Romanie Semenowiczu!

Posypały się pytania, okrzyki, śmiechy, i znowu pytania.

— A jak ten? A tamten? A czy ten a ten-żyje? A czy daleko stąd? A jak wojuje Pawło Horobeć?

— Nieźle wojuje! Pognaliśmy już Hitlera, czort by go wziął, aż do Rumunii.

— A jak tam Łoboda? A Buchało?

— Wszyscy żyją, i Łoboda, i Buchało, i Harkawenkowie ojciec i syn — uspokajał Roman.

— A mego Opanasa nie widziałeś czasem? — spytała jedna z matek.

— Przykro mi, ale waszego Opanasa już nie ma — powiedział cicho Roman i zdjął pilotkę. — Nie ma Opanasa i Łewka Czepurnego też nie ma.

— No a czy to prawda, żeś ty coś tam rozbił? — spytał ostrożnie Semen, kiedy matki Opanasa i Łewka odeszły, by w samotności opłakiwać synów.

— Sześć czołgów! — potwierdzili towarzysze Romana, siedzący w willysie.

— Czym?

— Flaszkami — odrzekł Roman. — Ano, myślę, spróbuję, co to za flaszki. Rzuciłem, a tu się pali.

— Co?

— Czołg. Przerwały się już do naszych okopów. No to ja wtedy drugą! Pali się! To ja biegiem do okopu, biegnę, biegnę, a tu już trzeci wali przez okopy. No to ja znowu bęc! Pali się, aż dudni! Więc biegnę z powrotem do towarzyszy, a oni mnie całują. Stójcie, barany, mówię do nich, nie całujcie! Dawajcie flaszki! No i za flaszkę, jedna, druga, znowu pali się jak cholera!

— Nie bujasz?

— A co tu bujać? Wszystko odbywało się na ludzkich oczach.

— A może was ze strachu zaślepiło?

— Daj spokój, nie przeszkadzaj! No i co dalej?

— No więc skoczyłem, a oni już na okopach! Jeden już prosto na głowę sunie. Poczułem jakby ogień na plecach. Schyliłem się, przeszedł. No to wtedy wyprostowałem się i w sam zad czwartego! A potem w piątego! I w szóstego!... I pomyśleć: flaszki!

— Dobra robota! Słyszałem, że po pięć setek płacą za jeden czołg.

— Naprawdę?

- A jakżeś ty myślał!  
— No a jak rzucałeś te flaszki?  
— Tak jak uczył dowódca. Prosto w zad.  
— Taki słaby ten zad, czy jak?  
— A diabli go wiedzą. Są tam jakieś gazy...  
Tylko marynarki mi szkoda, czort by ich wziął!  
— Marynarki?  
— Tak.  
— A gdzieś ją zostawił?  
— No właśnie tam. Musiałem zdjąć, żeby był lepszy rozmach. No i załatwił ją ogień albo gąsienice. Strasznie mi było żal.  
— A mówiłem ci, nie bierz marynarki, nie bierz marynarki — gderał Semen. — Będziesz teraz paradował bez marynarki, wojaku!  
— No cóż, ojczy, to wojna. Jak komu się poszczęści.  
— Miałeś pecha! Taką marynarkę zmarnować!  
— biadał nadal Semen. — No, ale dość tego, trzeba cieszyć się tym co jest, Bóg z nią! Chodźcie, zapraszam na obiad.

Są miejscowości wesołe, radosne, ale są i posepne, budzące niepokój. Są łagodne doliny i owiane smutkiem góry. I nazwy są wesołe, jak Worskła lub Desna, i są ciche, marzycielskie, jak Sejm lub Don. I są nazwy o dźwięku złowieszczym i tragicznym, jak rzeka Horyń na Wołyniu. Każda miejscowość ma swą duszę.

Stare Pawłowce też miały duszę. Była w nich jakaś spatynowana dostojność. Rozłożyły się na górze oraz w podgórskich malowniczych dolinach. Wśród sadów i ogrodów białeły przyjaźnie uśmiechnięte chaty. Od przebiegającej przez wieś szerokiej drogi biegły we wszystkich kierunkach malownicze uliczki i ścieżki do porozrzucanych w zieleni podwórz i chat. W ogrodach i za wsią od niepamiętnych czasów wysterczały ugorowate pagórki, które szczególnie wieczorem wyglądały jak

stare ruiny pokrytych kurzem budowli lub też jak kurhany nieznanymi olbrzymów.

Mieszkańcy wsi byli urodziwi i skłonni do zadumy. Od dawien dawna kobiety wyszywały rękawy koszul wspaniałymi czerwonymi kwiatami, sady i ogrody kwitły tu więc przez cały rok.

I kto kiedykolwiek przechodził czy przejeżdżał przez Stare Pawłowce, latem czy wiosną, w dzień czy wieczorem, temu na zawsze pozostawały w pamięci zwłaszcza rozległe pola, które ciągnęły się od przestronnych kołchozowych zabudowań zaraz jak tylko weszło się na górę. Tu każdy, kto tędy przechodził, niezależnie od tego, w jakim był nastroju, musiał się zatrzymać.

„Stań, człowieku! Oto twój świat, odwieczny i wspaniały, w którym przeżywasz swą krótką chwilę — przemawiał uroczysty spokój. — Ciesz się, bądź dobry. Oderwij się na moment od codzienności, od powszedniości, od drobiazgów, odpocznij. Patrz”.

Jak sięgnąć okiem ciągnęły się czernihowskie i połtawskie ziemie — zielone łąki, jeziora, wsie na wzgórzach, pola i drzemiące bory, wśród których jaśniały piaszczyste plamy.

Pod zielonymi górami płynął w srebrzystych brzegach pośród zielonych łąk prastary Dniepr. Nad jego stromymi skarpami biegł wzgórzami obok Wyszhorodu szlak na Kijów. Na wyszhorodzkim wzgórzku kwitły wiśnie i majaczył samotnie, pochylony nad Dnieprem, prastary dąb, który nie jeden już wiek szumi coraz radszymi gałęziami.

Było w tym krajobrazie coś z epickiej rozległości i odświętnego dostojeństwa, czuło się tu odwieczny bieg czasu i niezmierny spokój... Kiedyś pały się tu konie Światosława. Szarooki książę nocował w naddnieprzańskich łągach i wpatrzony w gwiazdy marzył o Dunaju. I tak samo pachniało macierzanką i piołunem. Tylko Dniepr był

wówczas szerszy, trawy bujniejsze i Dunaj bardziej odległy.

Wiosenne chmury staczały na niebie i w Dnieprze potężne bitwy, a nad Dnieprzańskim Niżem jedna olbrzymia chmura zagarnęła niemal pół świata i hen, gdzieś za Ostrem i Kozielcem, niemal nad samym Czernihowem, połączyła się z ziemią sinymi pasmami deszczu.

Ludzie wyszli w pole siał. Niezwykły był ten siew nad Dnieprem wiosną czterdziestego czwartego roku. W polu nie dudniły maszyny, nie lśniły świeżą farbą rozłożyste siewniki. Wojna pożarła bogatą technikę kołchozową, wyniszczyła i pokaleczyła konie, zanieczyściła ziarno.

Orano traktorami, ale też i krowami i kopano ziemię łopatami. Siano pradawnym sposobem: siewcy rozrzucali szcudrze ziarno rękami szerokim, uroczystym gestem. Stare kołchoźnice szły jak żołnierze tyraliera, powoli, z gołymi głowami. Dalej szli siewcy — kobiety i wdowy po żołnierzach na czele z Wasyłyną Bowkunową. Siał też lekarz Wirski, siał sędzia ludowy Iwan Orluk razem z Ulaną i wielu jeszcze innych ludzi, zaś dzieciarnia biegła na bosaka za bronami lub bawiła się w wojnę wokół martwych „tygrysów”. Tu i tam błyskały na piersiach bojowe ordery.

Wiosenny wiatr nadymał puste rękawy koszul Płatona Wernyhory i Jurka Marsy. Siewcy z pełnymi garściami kroczyli przez pola niedawnych bitew i spoglądając na rozległy zadnieprzański horyzont wspominali swych dzielnych towarzyszy i dowódców.

I dlatego, że krew zabitych nie całkiem jeszcze wsiąkła w ziemię i rany pozostałych przy życiu dokuczały zwłaszcza w niepogodę i w nocy bolało puste miejsce po odciętych rękach — przez stare pole wspomnienia przewalały się jak fale i obrazy krwawych zmagañ wyłaniały się nad Dnieprem z pamięci z niezwykłą wyrazistością. Powietrze

rozrywały huki i warkot, pole dygotało od ciężkich czołgów, dział i innego hałaśliwego żelastwa, warczały samoloty, ze złowieszczym gwizdem leciały z góry śmiertcionośne bomby. Na wyszrodzkich pagórkach i na starym cmentarzu płonęły czołgi.

Czarne słupy dymu nad Dnieprem wieściły kres Hitlera. Wieś płonęła. Tysiące armat waliło nieustannie w nieprzyjaciela, bez przerwy rozlegały się detonacje, ludzie miotali się w kurzawie, w dymie, oświetlani błyskiem dział jak zjawy epoki.

Kula ziemską obracała się w próżni. Wchłonęło ją olbrzymie morze pożarów nad Rosją, Białorusią, Ukrainą. Samoloty prowadziły swe niszczycielskie dzieło, słycać było, jak ziemia ciężko stęka i jęczy.

„Wynaleźli skrzydła i pomniejszyli mnie, zniszczyli moje odległości i tajemnice, stałam się dla nich za ciasna. Ich geniusze rozkładają już moją idealną sferę, przenikając w głąb mego atomu i rozszczepiając go, przez co naruszają odwieczną równowagę we wszechświecie. Co będzie dalej? Czy zniknę, wybuchając w pewnym momencie w przestrzeniach wszechświata? Spłonę? Przeszanę być, a wraz ze mną zniknie w kosmosie moja niepokojna, ludzka pleśń?...”

Ale oto ze zgrzytów i świstów radioodbiorników, ze stukotu zaszyfrowanych sygnałów radiowych, z tego całego zgrzytliwego, złowieszczonego szumu eteru wyłonił się ludzki głos:

— Nie! Nie zakończy się twój byt, najpiękniejsza z planet, ojczyzno nasza, Matko-Ziemi! Znikniemy, przetwarzając się w twym wnętrzu i przepływając z pokolenia w pokolenie jak fale w oceanie, w krwawych objęciach cierpienia i radości. Ale znikając, zawsze będziemy głosić twoją chwałę: „Chwała ci! Niech będzie błogosławiony twój chleb i twoje wino, przyływ i odpływ, niech bę-

dą błogosławione wiosny i jesień, dni i noce, rosy wieczorów i poranków, niech będzie błogosławiona miłość i praca, chwała krwi bezcennej, przelanej w imię wolności i braterstwa narodów, w imię zgłębienia największej tajemnicy życia na tobie, Ziemi — tajemnicy naszej ludzkiej wspólnoty”.

W polu cisza. Umilkły armaty. Zagasły na wzgórzu ofiarne ognie. Rdzewiejące czołgi ziajały czarnorudymi lufami dział. Nieprzydatne już pokaleczone gąsienice połyskiwały stalową łuską, jak pokonane olbrzymie węże. Doły, naboje, łuski i wszelkiego rodzaju odpady wojny, oraz niezliczona ilość zabitych.

Iwan i Ulana zatrzymali się na pagórku. Przed nimi rozciągało się Zadnieprze.

— Jak pięknie!

— O czym myślisz? Powiedz... Chciałbyś żyć tu w innym czasie? Za księżny Olgi, za Jarosława, za Chmielnickiego? Albo może za sto lat?

— Nie, obecnie.

— Ja też.

— Bo my rzeczywiście obroniliśmy wszystkie minione stulecia — powiedział Orłuk wpatrując się w Zadnieprze. — Całą naszą historię, minioną i przyszłą.

— Jesteś szczęśliwy?

— Tak. Jestem szczęśliwy, że nie stałem się złym, że będę żyć bez nienawiści i strachu, że odnalazłem swoje miejsce na ziemi. W tej garstce kołchozowego ziarna — Orłuk rozwarł szeroko dłoń z nasieniem pszenicy — jest w istocie więcej treści, niż w całej historii faszyzmu. Zauważyłaś, jak sięją?

— Tak.

Orłuk spojrział na siewców.

— Oto oni. „Nasz naród jest ponad wojną”. To niezapomniane słowa twego ojca. Jaka bitwa może równać się z tym obrazem siewby?!



Starzy siewcy, kobiety, młode dziewczęta i chłopcy oraz frontowa brygada Romana szli tyralierą i zasiewając pole boju ziarnem rozmawiali o swoich sprawach.

— No, ręki, czort z nią, to mi nie szkoda — rzekł Płaton Wernyhora, siejąc.

— A czego ci żal? — spytał Soroka.

— Ano właśnie. Żal mi tego, że nie dostałem tytułu bohatera. Jakoś nie wyszło!

— Bałeś się, czy co? — zapytał Roman.

— Raz, że się bałem, ale przede wszystkim dlatego, że jakoś nie miałem szczęścia. Już jesteś, bywało, blisko tego bohatera, już zdecydowałeś się na coś takiego, że pomyśleć nawet było potem straszno. I nagle: bęc! leżysz jak długi! Przychodzisz do przytomności w szpitalu! I chcesz czy nie — rzną.

— Oj, prawda.

— Potem wracasz do jednostki, ale nikt już o twoich zasługach nie wie, wszyscy nowi. Nie ma sprawiedliwości!

— Oj, prawda.

Za siewcami szli inwalidzi i działwa szkolna z bronami, a za nimi, ledwie widoczni z bruzd, dreptali boso jasnowłosi bohaterowie przyszłych bezkrwawych bitew o przekształcenie przyrody a zamykały ten roboczy pochód kawki i wrony.

Nagle rozpaczliwy krzyk zmusił wszystkich do obejrzenia się.

— Rany boskie! Rzuć to zaraz! Ludzie, ratujcie!...

Antonina biegła za swoim pięcioletnim wnukiem Wasylkiem. Przestraszony jej krzykiem uciekał przed babką co sił w nogach. Nic nie widział, bo duża ojcowa czapka nasunęła mu się aż na nos. Nie potykał się jednak i biegł szybko, przytrzymując lewą ręką porcięta. W prawej trzymał duży granat, który znalazł w bruzdzie.

— Rzuć to, rzuć mówię ci, żeby cię o ziemię rzucało!

— Nie rzucaj!

— Rzuć!

— Nie rzucaj! Zginiesz! — krzyknął Orluk i pobiegł za chłopcem.

— Zatrzymajcie go!

— Och, ty szczeniaku, zabijesz się, do diabła! Antonino! Uciekaj, nie podchodź do niego! — krzyczeli siewcy, goniąc go i przecinając mu drogę.

Wasyłko przestraszył się. Te groźne okrzyki zbiły go ostatecznie z tropu. Biegł nadal co siłą, ale granatu nie rzucał. Wyskoczywszy z bruzdy biegł dalej polem do „tygrysów”, gdzie bawiły się dzieci.

— Stój! Nie puszczajcie go do dzieci!

Ułana nie od razu zorientowała się, o co chodzi. Dopiero kiedy zobaczyła w ręku Wasyłka granat, z krzykiem zaczęła biec za Orlukiem.

— Iwanie! Iwanku! Wróć! Nie podchodź do niego!... Iwan!

Wasyłko biegł właśnie naprzeciw Orluka. Kiedy jednak usłyszał głos nauczycielki, nagle zawrócił i popadł w niewolę babuni.

Antonina odebrała mu granat i rzuciła go daleko. Kiedy granat wybuchnął, co przyjęto z ulgą, Antonina zaczęła bardzo starannie wybijać Wasyłkowi z głowy głupstwa. Skrzywdzony chłopczyk zapłakał wielkimi dziecięcymi łzami.

Plakała też Ułana. Miała ochotę przypaść do piersi Iwana, wstydziła się jednak ludzi.

— Uła, co ci jest? — zdziwił się Orluk. — Brałaś przecież udział w bitwach!

— To zupełnie co innego, Iwasiu — uśmiechnęła się Ułana przez łzy. — Tam była wojna, a tu życie.

Wkrótce Orluk pożegnał się ze wsią i młodą żoną. Jeszcze przez cały rok życie i śmierć prowa-

dziły o niego grę w bitwach, jakich ludzkość dotąd nie znała. I ostatecznie zwyciężył człowiek.

Stał przy Bramie Brandenburskiej. Przechodziły przed nim niezliczone szeregi jego towarzyszy; widział nad ich głowami blask matczynego błogosławieństwa Ojczyzny.

1944—1945 r.

# POEMAT O MORZU

Ryczy i jęczy Dniepr szeroki,  
Wściekła wichura pędzi w dal,  
Do ziemi wierzby gnie wysokie,  
Wznosi na rzece góry fal.

Jestem na pokładzie parowca „Niekrasow”.  
Przed moimi oczami przepływa czarowny świat:  
błękitne wody, białe piaski, domki na wysokich  
brzegach. Mijamy Kaniów.

A oto mogiła Szewczenki. Nad rzeką zarysowuje  
się majestatycznie Kopiec Tarasa.

I błądy księżyc o tej porze  
zza chmury czasem wyjrzy gdzieś,  
jak czółno w szarosinym morzu...

Pieśń wybucha wraz z pierwszym kadrem fil-  
mu. Śpiewa ją potężny chór na „Niekrasowie”.  
Pieśń potężnieje, narasta, rozlewa się w zapadają-  
cym wieczorze po dniewprowych falach.

Lecące nade mną ptaki wzruszają. Zawsze wzru-  
szają mnie ptaki na wieczornym niebie.

Podchodzi do mnie mężczyzna w średnim wieku.  
Nie wiem, kim jest — nauczycielem, inżynierem  
czy może ogrodnikiem. Ale jest w nim coś bliskiego  
mi i drogiego. Kiedyś, we wczesnym dzieciństwie,

brodziliśmy razem boso po dziewiczych piaszczystych wysepkach naszej wielkiej narodowej rzeki, obaj piliśmy jej miękką wodę. On szczęśliwy jest dlatego, że ja płynę po rodzinnej rzece, ja jestem szczęśliwy, że płynie po niej on i grupa dziewcząt i chłopców, i dwie młode pary z niemowlętami, i przystojni wodniacy, i zamyśleni kołchoźnicy.

Pyta mnie cicho:

— To pan?

— To ja — odpowiadam.

Ściska moją dłoń i całuje w ramię.

— Dziękuję.

— Od razu wiedziałem: to na pewno pan.

O czym pan teraz myślał?

— Właściwie o niczym — odpowiadam. — To znaczy o wszystkim.

— Myślał pan o domu?

— Myślałem o życiu. Ale więcej jest teraz we mnie czucia niż myśli. Myślałem, jaki piękny jest świat i jakie piękne jest życie. I jaka szkoda, że ludziom dane jest tak rzadko to odczuwać.

— Rozumiem pana. To rzeka tak nastraja. Też ulegam takim myślom i emocjom, kiedy płynę... Jak woda chlupocze... Płynie pan...

— Do domu. Do wsi, gdzie się urodziłem. A pan?

— Ja też... Płynę jak we śnie...

Za rufą — łódź mknie gdzieś w ciemnosiną dal, zamyślony rybak, gwiazdy na niebie i w wodzie, a dalej lśni srebrny brzeg.

Opuszczam się w śluzę zaporoskiej grobli. „Niekrasow” w komórce śluzy. Z wody wyłania się stopniowo mokry masyw betonu. Na mokrej betonowej ścianie odczytuję ślady minionego czasu: jakieś napisy, daty, słowo „gwardia”, słowo „Litwa”, imiona, ślady oszalowań, wybuchów — wszystko w zielonej patynie czasu, w strumieniach wody.

Przenoszę się myślą w dwudziesty trzeci wiek i wówczas komora służowa wydaje mi się bardzo staroświecka. Patrząc na mokrym, jeszcze bardziej pozieleniałym betonie wyryte imiona i nazwiska murarzy, cieśli, betoniarzy, reprezentantów wielotysięcznego kolektywu budowniczych początku epoki wielkich budów.

Z wysokiej baszty komory służowej płynie z głośnika radiowego czwarta symfonia Beethovena.

„Niekrasow” opuszcza się coraz niżej i niżej. Mokre ściany unoszą się na coraz większą wysokość. Ludzie na pokładzie jak zaczarowani patrzą w milczeniu w górę. Słońce zachodzi krwawą czerwienią. Szkarłatne promienie, oświetlające przedziwnie dalekie chmury gdzieś na stratosferycznych wysokościach, nadają niebu wygląd uroczysty i zwycięski zarazem; ucichli wszyscy, nawet dzieci, zamilkł też chór na górnym pokładzie „Niekrasowa”.

Otwierają się ostatnie wrota służy: przede mną Chortycia i majestatyczny łuk grobli Dnieprogesu.

Podniesiono szandory. Czterdzieści osiem potężnych strumieni zlało się w jeden olbrzymi pieniający się wodospad, który huczy i szumi, zachwycając poetów i dzieci. Nie. To tylko złudzenie. Woda spada tu z hukiem tylko wiosną podczas powodzi. Teraz grobla jest sucha i martwa.

Dniepr jest obecnie znacznie płytszy. W rozległych dniewprowych łęgach setki robotników rąbią, karczują traktorami stuletnie wierzby, sokory, topole — przygotowuje się dno przyszłego morza. Step omdlewa bez wody. Już piętnaście miesięcy nie ma deszczu. Na niżej położonych dniewprowych wyspach wycięto siedemset tysięcy samych tylko stuletnich drzew.

Na górnym pokładzie „Niekrasowa” młode małżeństwo z trojgiem dzieci. Jedno u ojca na rękach,

dwoje na tłumokach, a matka śpi oparta o ramię męża.

Obok — troje miejscowych dziewcząt, które niedawno wsiadły. Nawiązują z nimi rozmowę.

— Przepraszam, czy wy pracujecie...

— Tak. Przygotowujemy tu dno morza — lekki ruch w kierunku zalewu. — To znaczy oczyszczamy je z drzew i korzeni.

— A ja jestem tynkarką z Nowej Kachowki. Tynkuję domy.

— Coś podobnego!

— A tak. Pan się dziwi, bo jestem mała. A ja już byłam brygadzystką na polach bawełnianych. No i odeszłam...

— A w domu?

— Matka i dwie siostry...

— A ojciec?

— Zabity na wojnie.

— Mój też.

— A co z waszą koleżanką?

— Z Wala?

— Dlaczego płacze? Skąd te łzy?

— Płacze dlatego, że jej ciężko i że cierpi.

— On był pani mężem, Walu, tak?

— Mężem?... Nie wiem, jak to nazwać... Taki egoista!...

— Ma pani dziecko?

— Tak.

— Chłopczyk?

— Tak.

— Jak ma na imię?

— Walerek... On też Walerek.

— Ładny dzieciak...

— Prawda? — Wala się uśmiecha. — Już nie wiem, jakim go słowem nazwać...

— Zwyczajny łobuz. Podły tchórz i dezterter.

— On wróci do pani, Walu. Na pewno przyjdzie.

— Za nic w świecie! Nigdy! Sama wychowuję

Walerka... Mego syna. Nie tak go wychowam...  
O, jak gardzę tym człowiekiem!

— Przepraszam, a kim on jest?

— Studentem czwartego roku wydziału wodnego politechniki. Mistrz. Sportowiec. A taki podlec...

— Ja nigdy nie wyjdę za mąż — zwierza mi się ze smutną ufnością pracownica morza.

Ma ujmującą twarz, ładną szyję i ramiona. Ale jest bardzo duża, jest w niej coś z antycznej kariatydy, peszy ją to. Przypuszczam, że zazdrości swojej przyjaciółce, tynkarce Ołesi, jej delikatnej, filigranowej budowy.

— Dlaczego pani nie wychodzi za mąż? Nikt nie proponował pani ręki i serca? — pytam, odczuwając niezręczną staroświeckość dwóch ostatnich słów.

— Proponowali. Tylko trafiali się albo ordynarni, albo brzydcy. Jeden, co prawda, był bardzo przyzwoity, prosił, jak pan to powiedział, o rękę i serce. Ale się nie zgodziłam.

— Nie spodobał się?

— Nos. Jakiś skrzywiony na bok. Na wojnie, powiada, pocisk blisko przeleciał. No niech pan sam powie... Przeplakałam wtedy nad rzeką całą noc... Czy można przez całe życie patrzeć na taki nos i to z bliska? Nie, nie...

— To niesłuszne i niemądre — protestuje Olesia i patrzy na mnie pytająco. — A pan to pewnie profesor?

— Tak, coś w tym rodzaju.

— Nigdy bym tak nie powiedziała na zebraniu czy z trybuny, bo byłoby to haniebne, ale panu się przyznaję, jeśli pana interesują nasze osobiste marzenia. Ja to chciałabym przede wszystkim wyjść za mąż, to znaczy żeby mieć męża. Tak... Nie musiałby być nawet przystojny czy znakomity. Chciałabym tylko jednego: żeby miał dobre serce, tkliwe i dobre. Żeby mnie kochał i szano-



wał, żeby troszczył się o mnie, żebyśmy mieli dużo ładnych dzieci.

Potem z nieco nienaturalnym uśmiechem, spojrzawszy na przyjaciółkę, powiada do mnie:

— Za co kocha się dziecko? Chyba za coś niewiadomego, prawda?

W oczach dziewczyny jest nieroztrwoniona naiwność i ufność. Przepelniona jest cała pragnieniem radości i cała jest otwarta dla szczęścia w swoich najpiękniejszych nadziejach i przeczu ciach. A jednocześnie w głęboko utajonych podtekstach jej słów wyczuwam nuty niepokoju i być może lęku, czy nawet wśród najlepszych jej rówieśników znajdzie tę czułość i delikatność, jakiej oczekuje jej dziewczęce serce.

W oczach Wali znów pojawiły się łzy.

Młoda matka oparta na ramieniu męża przebudziła się, dziecko zaczęło się wiercić i cicho kapry sić.

— Ojej... Pokołysz je trochę, chce mi się jeszcze spać... Co za sen miałam... Lecę gdzieś, lecę...

— Dokąd tak lecisz? Co za dziwaczka, wystarczy, zaśnie i zaraz zaczyna latać. Zbudź się, profesor chce ci coś powiedzieć...

— Nie ruszaj się. Nie budź mnie... Jeszcze troszkę... Chwilkę jeszcze...

Mówi to jakby przez sen i zamknawszy oczy, zasypia znowu. I jak to czasem bywa u młodych i zdrowych ludzi, przerwane przebudzeniem sennymajaki wracają w tym samym kształcie. Śni się jej, że razem z dziećmi leci nad Dnieprem płynnie i lekko jak ptak. Lekki ruch ręką i już zanurza się w błękit nad rzeką. To radosne uczucie sennych lotów znane jest każdemu, kto zna smak pracy, w kim żyją zdrowe pragnienia, młode marzenia i potężny zew zmysłów.

Wysoko w niebie nad Dnieprem samolot. Pasażerów niewielu. Naczelnik budownictwa GES Ary-

starchow, inżynier „Hydrospecbudu” Szyrokow, naczelnik wydziału montażowego GES Bułatnikow oraz „główny gospodarz morza” i „zatopiciel” Bohaczuk. Ci inżynierowie w średnim wieku, komuniści, wracają z delegacji i przelatując nad „swoim morzem” pochylają się nad jego planem.

Samolotem tym leci ponadto 55-letni generał Fedorczenko wraz z młodym synem Alikiem. Generał nie odrywa oczu od okna. Jest po cywilnemu. Potężnej budowy, o stanowczym wyrazie grubo ciosanej twarzy, na której odbiły się wielkie wydarzenia naszej doby.

Ciasno mu w kabine pasażerskiej. Chciałby spojrzeć na stopy, odczuwać przestrzeń. Wchodzi do jasnej kabiny pilotów i staje jak urzeczony. Nie widzi już pod sobą ani Kijowszczyzny, ani Charkowszczyzny, ani Zaporozża, tylko całą planetę spowitą w lekką błękitną mgiełkę.

I wszystkich, kogo kocha, cały naród, który gdzieś tam w dole pracuje i nad którym przelatuje, chciałby objąć i nisko mu się pokłonić. Ale nikt tego nie wyczyta z jego surowej twarzy. Porrywa go potok wspomnień, skojarzeń, nowych wiadomości oraz myśli o wielkich zadaniach, jakie stoją dziś przed nim.

Jak daleko może widzieć człowiek! I jaki jest potężny przy całej swej małości! Tylko przez krótką chwilę żyje na maleńkiej planecie gdzieś w jednej z niezliczonych galaktyk — a jednak obejmuje wszechświat, cały, od początku do końca.

„Jestem nieśmiertelny — myśli generał Fedorczenko, wpatrując się w błękitne przestworza — i to bez względu na to, ile mikronowych jednostek czasu będzie istnieć moje osobowe „ja”. Jestem nieśmiertelnym, szczęśliwym człowiekiem i to co czuję, i to co robię jest piękne... Tylko jakby mi czegoś jednak brakowało...”

— Brakuje panu czegoś, prawda?

— Właśnie.

— No chyba! Przecież nie ma łągów — Arys-tarchow, który wszedł do kabiny pilotów, wesoło spogląda na szeroką, bezludną dolinę Dniepru. — Konka, widzi pan? A to dawny Wielki Ług Zapo-roski. Tu oczyszczamy z pni 35 tysięcy hektarów. W tej części morza będzie czyste zarybione dno.

— Taak... Nie ma łągów... — rzekł generał ze zdziwieniem.

— Oczywiście. Przecież lecimy nad morzem. Wnet już Berysław i Kachowka.

— Kachowka? Gdzie?

Generał podchodzi do sferycznego okna i nieco pochylony jakby zawisa w błękitnych przestworzach nad bezkresną równiną i cienkim strumykiem Dniepru wśród piasków.

— Legendarna Kachowka... Boże mój!... I wszystko to działo się za naszych czasów! Tu rozgramialiśmy w dwudziestym roku Wrangla. Tu służył kiedyś za parobka mój ojciec... Dawno, dawno temu... W dziewięćdziesiątych latach. U Falzfeina. To o takich jak on, pamięta pan, pisał Lenin: „W tawryjskiej guberni nadmiar siły roboczej istnieje szczególnie w miasteczku Kachowka, gdzie kiedyś zbierało się do czterdziestu tysięcy robotników...”

Generał zamyślił się.

— Tak. Najmowali się od świętego Mykoły do Matki Boskiej Opiekuńczej, schodzili się i rozchodzili po tych obszarach...

— Pieszko?

— Pieszko, bracie, pieszo... Idą ojcowie stepami wzdłuż Dniepru. Siermięgi, torby, boso. Idą najmici...

We wspomnieniach generała step zaludnia się najmitami. Oto olbrzymie ich tłumy na brzegu Dniepru. Setki czółen. Oto leżą na brzegu tysiące najmitów czernihowskich, połtawskich, kurskich, smoleńskich, podolskich. Czekają, by ich ktoś na-

jął. Oto idą. Gdzieś daleko za nimi majaczy Dniepr. Po stepie snuje się smutek. Rozpalone słońce chyli się już ku zachodowi. Cała bezbrzeżna równina i Dniepr, i bezchmurne niebo zalane przyćmioną czerwienią skwaru. Grupka burłaków wydaje się zagubioną i smutną jak klucz żurawi. Oto ich smętna pieśń:

Oj burłak, burłak młody  
wyszedł wcześniej z domu.  
Hej, hej, ściele się  
długa droga jemu,  
oj młodemu.

Z Krymu idą czumacy w ciemnych, zasmolonych koszulach. Chude, krętorogie woły, nagi step. Bezlitosne słońce pastwi się nad bezbroną ziemią. Czumacy śpiewają ochrypłymi basami:

Hej z przesławnej tej Odessy  
przywieźli dżumę.  
Upadł czumak pośród drogi,  
hej, hej, szykujcie trumnę.

Stoją ponuro jego krętorogie woły. A na kurhanie stuletni kobziarz dośpiewuje dziewczętom swoją dżumę:

...A ze stepu kruki, wrony  
hej, hej, do niego lecą...

Generał stoi w jasnej kabinie samolotu. Leci nad stepem pogrążony we wspomnieniach.

A po stepie mkną samochody z ludźmi, wzniesając tumany kurzu. Na scytyjskiej mogile geologiczne oznakowania, a przy mogile bieleją namioty poszukiwaczy.

Pasażerowie ciężarówki odprowadzają oczami samolot.

Syn kołchoźnicy Marii Hurenko opuszcza kołchoz. Idzie połą drogą mijając wieś. Przeżywa

ciężkie chwile. Iwanowi wydaje się, że wszyscy patrzą na niego z pogardą jak na dezertera, chociaż nikt nie zwraca na niego uwagi.

Idzie powoli, ale w duchu przyspiesza: żeby jak najszybciej oderwać się od wsi. Powziął nieodwołalną decyzję. I matka o tym wie, i siostra, jednak odprowadzając syna matka próbuje go zatrzymać, prosi, błaga, lecz wszystko daremne.

— Tobie, mamó, ciągle się zdaje, że jestem dzieckiem. A ja mam wojnę za sobą. Byłem dwukrotnie ranny, brałem udział w wyzwalaniu wielkich miast Europy...

— Ale jesteś przecież najmłodszy, synku...

— Tak, ale starszych nie ma. Wszyscy trzej zginęli, a ojciec czwarty.

— Ano los tak chciał. Ale czemu ty mnie porzucasz? Zostań, Iwasiu!

— Nie mogę, mamó.

— Spójrz tylko, jak tu ładnie, jak tu wszędzie wesoło!

— Mnie tu już niewesoło.

— A jak pięknie! Taka cisza...

— A mnie, mamó, potrzebny jest zgiełk i hałas. Potrzebuję ruchu.

— Jakie u nas wierzby, jakie krynice! A gdy zakwitną czereśnie...

— Nie.

— Niepięknie?

— Ja chcę innego piękna.

— Błota! — woła z wyrzutem za odchodzącym bratem starsza siostra wdowa. — Żeby chociaż jakiś fach miał, a to tylko dzień i noc jak nie wywrotka, to buldożer.

— Jestem fachowcem budowlanym — odpowiada Iwan na pożegnanie. — A zobaczycie, kim będę za pięć lat!

Kołchoz „Droga do Zwycięstwa” porzuca również Ryszard Husak. Odprowadzają go jego sąsiedzi Korż i Ałczewski wraz z żonami i dziećmi.

Nie mają mu nic do powiedzenia, czort z nim, chce jechać, to niech jedzie. Ale sam Ryszard chce jakoś usprawiedliwić swój krok.

— Po co mam ciągle zginać plecy w tym kołchozie? Dokąd?

— Daj spokój. Jakie plecy? Bzdura!

— Świat zobaczyłem. Przeszedłem pół Europy.

— Myśmy też przeszli.

— Nudzę się tu, rozumiesz, w tym kołchozie. Nie mogę dłużej! Nic tylko robota i robota. Nie ma tego, co potrzebne jest i mnie, i mojej Duńce: ani parku, ani światła, ani teatru, ani nawet klubu. Sadyby bez ogrodzenia... Nuda, nuda! Nie chce się wracać do domu, każdego dnia to samo.

— To zrób u siebie ogrodzenie.

Ale Ryszard nie chce słuchać żadnych rad. Nie są mu potrzebne.

— Dość tego! Uciekam jak ryba z dziurawego niewodu. Wyfruwam jak ptak z otwartej klatki.

— Zaraz, zaraz... Trzeba myśleć także i o państwie.

— Dajcie spokój... Jak doszło do tego, że przestałem lubić rolnictwo, to niech państwo o mnie pomyśli... Taka chandra mnie gryzie, że... No to cześć!

— Ręki nie podam.

— Jak uważacie.

Idzie bardzo szybko, zatacza się jak pijany, mężczy go duchowa rozterka i chaos wewnętrzny. Patrzą za nim sąsiedzi, z którymi przeżył tyle lat. Husak, zatrzymaj się!

Husak staje. Podchodzi do niego Korż. Husak jest przekonany, że usłyszy od niego najbardziej obraźliwe słowa.

— Leć, Husaku\* — mówi Korż, który już wiele w życiu widział. — Jak się już tak złożyło, że naszą rozmowę słyhać na pół świata, to chcemy,

\* Husak — w języku ukraińskim znaczy „gąsior” (przyp. tłum.).

żebyś wiedział: nie mamy do ciebie żalu. Leć... Będziemy ci z naszej pracy posyłać ziarno, dlatego że naszym zadaniem jest, jak wiesz, dostarczać krajowi chleba i miodu. My też zdobywaliśmy stolice i wyzwaliśmy narody, i widzieliśmy rzeczy wielkie i straszne, i wiele piękna też widzieliśmy. W życiu jak w życiu, o wszystkim się zapomina. Ale zawsze trzeba myśleć tak, jakby nie zapominało się o niczym. Słyszysz? Dlatego nigdy nie przestaniemy mówić nawet przed takim, szczerze mówiąc, nędznym człowiekiem jak ty: z ziemią trzeba ostrożnie! Ziemia mści się za zdradę...

Na szerokim gościńcu pięciotonówka zabiera dziewczęta. Orysia Hordijenko biegnie do ciężarówki. Niemal zupełnie odeszła już od matki. Żal jej, ale pora już na nią, więc zostawia matkę. W ostatniej chwili rozstania powie jej wszystko, i matka ją zrozumie.

— Nie zatrzymujcie mnie, mamó...

— Córeczko...

— Nie trzeba. Może znajdę sobie odpowiedniego chłopca.

— Gołąbko moja...

— Chcę kogoś kochać i być kochana, mamó... Was przecież kiedyś kochali. Może i ja... znajdę... mamó... znajdę...

Samochód rusza, pojechał. A matka, która zatrzepotała rękami, zmaląła w stepie tak szybko, że po chwili nie było jej już widać.

Dziewczęta w samochodzie milczą. Wszystkie snują swoje dziewczęce myśli. Ale nie, chyba już śpiewają. Co mają robić dziewczęta w stepie na ciężarówkach, wśród tych błękitnych bezkresnych przestrzeni? I chociaż ich pieśń wypełnia rozpálny step, oczy dziewczyny wyprzedzają samochód, rozmarzone i jednocześnie pełne napiętej powagi: jaki ją spotka los?

Dwie dziewczyny przytulone policzkami śpią,

na wietrze fruwały ich jasne włosy. Twarze rozumne, łagodne. Wokół step bezkresny wszystko ucieka do tyłu, dziewczęta trwają w milczeniu, zamknięte powieki ocienione rzęsami kryją przed światem ich sny. Skądś płyną dźwięki pieśni...

Dziewcząt jest wiele. Obstały mnie jak gromadka ptasząt — jedna, druga, trzecia...

...tysiące pytań atakuje mnie zewsząd, tysiące pytań wiruje nad ich głowami w tumanach kurzu.

Mija nas czwarty MAZ.

W nim pięć młodziutkich dziewcząt przytulonych do siebie stoi trzymając się za nadwozie. Śpiewają. Ale jak! Chcą przekrzyczeć warkot silnika i zapełnić swym śpiewem całą przestrzeń! Step jest teraz samą pieśnią.

Sosnowe klepki, denko dębowe —  
Czemu odwracasz ode mnie głowę?...

Jest to stara, smętna pieśń, ale one śpiewają ją w tonacji tak radosnej, a ich szeroko otwarte usta są tak piękne, że nie istnieje dla mnie w tej chwili nic piękniejszego na świecie. I już ich nie ma. Przemknęły błyskawicznie jak miraż.

Wodzę wzrokiem po tym wspaniałym, bezkresnym pejzażu. Moje serce przepęlnia jednocześnie radość i żal. Myślę, jak można żyć tak długo bez stepu. Potem zwracam się do kierowcy willysa, a on jakby wyczytał z mojej twarzy, o co chcę go zapytać, więc nim zdążyłem przemówić, odpowiada na nie zadane mu pytanie:

— Tak... Teraz żadna siła nie zatrzyma ich już we wsi. Jak się naczytali o Eugeniuszu Oneginie i Tatianie, to już koniec! Teraz to albo skończyć z oświatą, albo wieś przebudować.

— Dlaczego?

— Został naruszony ład, rozumiesz?

— To znaczy?



— To znaczy, że nudno im w kołchozie. A tu jeszcze domy zaniedbane, nie ogrodzone... No więc rozlatują się we wszystkie strony. A jeszcze niedawno Kachowka, budowa kanału... W ciągu czterech lat i grobla, i miasto wyrosło, i pałac kultury, kwietniki na ulicach... Niebo na ziemi, dali-bóg...

A oto i Kachowka. Ale nie ta legendarna, rozśławiona pieśniami. Przy wjeździe do niej rozczarują się ci, co chcieli odnaleźć trwałe ślady heroiki wojny domowej.

To — Nowa Kachowka, miasto budowniczych elektrowni wodnej Dnieprowego Niżu. Dopiero pięć lat, jak wyłoniła się z piasków i winorośli, a liczy już dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców, młode matki zdążyły tu już urodzić ponad tysiąc dzieci; i wszystko tu łśni nowością: domy, ogrodzenia, ulice, gazony, kwiaty, szkoły — wszystko rośnie, wszystko pięknieje z każdym dniem.

Szalony upał. Na ulicach ludzi mało, tylko ciężarówki mkną do grobli i śluzy. Tysiące młodych budowniczych pracują tu dniami i nocami, ale są niemal niewidoczni — budowa olbrzymia i wiele tu sprzętu mechanicznego. Więc muzyką, pochłaniającą wszystkie inne dźwięki, jest tu nieustanny warkot i szum maszyn. Całymi kilometrami ciągną się niezliczone kopczyki zamulonego piasku, zardzewiałe rury o metrowej średnicy.

Południowe niebo odbija się w olbrzymim błotnistym grzęzawisku. Pompy błotne przerzucają tu piasek, wyrzucając ze swych rur muł.

To połyskliwe grzęzawisko wydaje mi się piękne. Czy to możliwe? Możliwe. Czyż glina sławnego rzeźbiarza nie jest zastygłym błotem?

— Dobra robota! Ładnie tu, co? Proszę spojrzeć — Arystarchow pokazuje mi jeden z odcinków budowy. — Oto dialektyka: przecież to błoto, prawda? A ładnie...

— Tak, to dziwne.

— A jacy ludzie! Idzie właśnie Grekow, król mechanizacji, wielki człowiek, proszę go zapamiętać... Michale Petrowiczu! — huknął nagle na „króla”.

— Witajcie! — odpowiada z daleka Grekow przechodząc po rurze przez błoto.

— Przekazał wam pozdrowienia wiecie kto? Generał Fedorczenko. Leciałem z nim samolotem. Zajmuje się teraz sprawami atomowymi.

— Co wy mówicie? To mój dowódca! A gdzie on jest?

— Pojechał do domu, do starego ojca w Zielonych Kątach. Ciągnęło, powiada, do starej chaty, pożegnać się.

Generał armii Fedorczenko i Alik idą stepem. Na twarzy Alika znudzenie rozpieszczonego nieuka. Idzie nie obok, lecz wlecze się w tyle kilka kroków za ojcem.

— Papa, coś ty miał za pomysł, żeby iść piechotą! Samochodem dawno już bylibyśmy na miejscu.

— Dziadek napisał: przyjdź do domu pieszo.

— Dziadek nie może ci przecież rozkazywać.

— Dlaczego nie może?

— Dlatego, że ty jesteś generałem.

— Nie przeszkadzaj mi, rozmyślam.

Generał idzie w milczeniu, oglądając szerokie łąny. Przez pola, jak statki po morzu, płyną gromady żniwiarek. W oddali błękitnieje Zalew Dnieprowy, a gdzieś, hen, we mgle, już na tamtym brzegu, na ledwo widocznym wzgórzu, majaczy wieś. Jak lekko oddychać!

Generał rozmyśla.

„Jak wiele szczęścia zaznałem w życiu! Szczęścia walki, napięcia woli, trudu. Szczęścia miłości i groźnych bitew, i zwycięstw mego narodu w gigantycznych zmaganiach pracy z kapitałem.

I szczęścia moich zwycięstw i osiągnięć. Jako boby pastuszek poganiałem tu przecież cudze stada owiec, tu zjawily się pierwsze odciski na moich dziecięcych rękach, tu brodziłem po dzikich brzegach mojej wielkiej rzeki...”

— Nudno tu. — Chłopak ma na szyi lejkę, ale niczego nie fotografuje. — Za nic w świecie bym tu nie mieszkał!

„Nędzny generalski synalek — myśli ojciec. — Syn parobka nic ci na to nie odpowie”.

— Papa, co to za pagórki?

— To mogily królów scytyjskich. Uczyłeś się o Scytach?

— U nas o żadnych Scytach nie było mowy.

Generał dalej wspomina w milczeniu.

„Tu przebiegło moje bosonogie dzieciństwo i moja burzliwa młodość — raz jeszcze rozgląda się po rodzinnych stronach, sięgając spojrzeniem daleko, niemal w głąb wieków. — Tu przez dwa i pół wieku moi dziadowie, Zaporozcy, stali na straży narodu, a i ja sam krew tu przelewałem i przede mną uciekał mój wróg...”

Zaczynają snuć się wspomnienia. Początkowo tylko w swej postaci dźwiękowej. Słychać świst, nie maći on jednak piękna rozległej panoramy wraz z niebem bez jednej chmurki. Ale dźwięki, niewyraźne i dalekie, narastają, wzmagają się, rozprzestrzeniają i nagle pod jasnym niebem przekształcają się w gigantyczną symfonię bitewną.

Chłopczyk jest poza nią, ale jego ojciec-żołnierz pogrążył się już całkowicie w boju, który sam wywołał i sam jest teraz porażony jego siłą. Zniknęły lany zbóż, zniknęło jasne niebo...

Detonacje, dudnienie, warkot. Ziemia drży pod ciężarem stalowego potoku niemiecko-faszystowskich czołgów.

— Ognia! — krzyczy niewiarygodnie ostrym głosem dowódca baterii. Wściekłość, gniew i pa-

sja walki dodają żołnierzom takiej siły, że ciężkie działa są w ich rękach jak dzienne zabawki. Z niezwykłym napięciem mięśni przetaczają je, obracają w prawo, w lewo, złani potem jak w łaźni. Życie i śmierć liczą się teraz na sekundy, odmierzane przez nacierające czołgi.

Wszystko co żywe napięte jest do ostatnich granic. Wybuchają czołgi, płoną.

Wzniesając chmury kurzu mkną szosą nie kończącym się potokiem na pole bitwy przepelnione żołnierzami pięciotonówki. W przeciwnym kierunku płynie taki sam potok rannych i kontuzjowanych. Zderzają się czołgi z czołgami, samoloty z samolotami.

Dniepr! Zmienił się nie do poznania. Dopływ Dniepru, wesoła Konka, wygląda odrażająco. Woda mętna, zakrwawiona, pełno w niej martwych ryb i trupów oraz innych śladów ludzkiej furii. Pociski tną ją i rozrywają się na dnie. Z głębin i jam wypływają na powierzchnię brudnobiałymi brzuchami zamordowane sumy, karpie, szczupaki.

Padają stuletnie drzewa, zwalają się w rzekę na sztorc, korzeniami do góry.

Nad polem bitwy pełno ptactwa. Fale powietrza jak podczas tajfunu miotają nimi to w jedną, to w drugą stronę, do przodu, do tyłu! Huk i detonacje rzucają na płonąca i spopieloną ziemię stada białych gołębi. Na pół martwe podrywają się z ziemi w czarnej kurzawie, w fontannach dymu i piasku i spadają z powrotem jak popadnie.

Powietrze płonie! Na żołnierzach tlą się koszułe, ogień praży żywe ciało na plecach. Wołają „Palę się!” i padają na ziemię, tarzają się po niej, gasząc jeden drugiemu płomienie uderzeniami dłoni.

Pali się farba na działach. Strzelają z płonących dział i sami zapalają się od pocisków zapalających.

W szpitalu polowym wre praca. Od wybuchów drżą ściany. Siostra padła nieprzytomna.

— Zabrać siostrę!

— Zabierzcie siostrę, już! Siostro!

— Siostra upadła!

— Gdzie siostra?

Chirurgowi wkładają do ust kanapki.

Na gumowym fartuchu chirurga krwawe plamy. Zmęczona twarz zroszona potem, oczy zapadłe. Ręce w gumowych rękawicach uniesione w górę.

— Wina!

W chirurga wlewają wino.

Potężny wybuch rusza wszystko z miejsc. Fala powietrza rzuca chirurga na podłogę.

— Ulano! Ulano! — krzyczy w malignie ranny żołnierz na operacyjnym stole i mającąc prowadzi swą niebezpieczną grę do końca. — Ogień na mnie! Ogień na mnie! Ja „Jaskółka”! „Jaskółka”!...

Fedorczenko stoi wśród rannych obok namiotu szpitala polowego w ogrodzie, rozebrany do pasa, z założonymi na kark rękami, i powoli obraca się, „namotując” się w ten sposób na bandaż. Jest ranny w piersi na wylot. Siostra rozwija bandaż i patrzy na Fedorczenkę z niemym zachwytem. W oczach ma łzy.

Zachodzi słońce. Fedorczenko odniósł zwycięstwo. Jest wolny. Dziwne uczucie triumfu i zdumienia, dostępne tylko tym, co zwyciężali w krwawych bitwach...

„Minie dwanaście niezwykle lat — snuje dalej swe myśli — zanim będzie mi sądzone powrócić do rodzinnego domu nad wielką rzeką. Przejdę ciężki szlak zwycięstw. Świat się zmieni. Zginie faszyzm. Wyzwolone narody rozpoczną nowe, rozumne życie. Naprzód, naprzód Fedorczenko!... Na placach stolic europejskich staną pomniki braci-żołnierzy, a szlaki naszych marszów oznaczą niezliczone ich mogiły. Wielu nie powróci już ni-

gdy do swych domów rodzinnych, nie zobaczą już nigdy ani swej rodziny, ani nieba, ani wielkiej rzeki. Rozniosą po świecie sławę ojczyzny i legną na wieki — jedni pod Lwowem, drudzy pod Sandomierzem lub Warszawą, inni pod Budapesztem czy samym Berlinem. Jednych pochowają towarzysze w bratnich mogiłach, drugich ptaki rozdziobią na obcych błotach, jeszcze innych rozniosą miny tak, jakby ich nigdy nie było na świecie”.

W potężną kakofonię bitewnego zgiełku wlewa się i stopniowo ją wypiera wzruszająca pieśń:

Oj słowiki, słowiki, uciszcie swój śpiew.  
Niech żołnierze podrzemią wśród drzew...

Pieśni tej słuchają zamyśleni cieśle w różnym wieku. Pracują w milczeniu wysoko pod krokwiemi. Błyskają siekiery. Przez step przebiegają podmuchy gorącego wiatru. Ostra widoczność, horyzont rozszerzył się na wszystkie strony świata. Piękny jest człowiek w walce o ojczyznę. Piękny jest w cierpieniach i śmierci za nią. Ale najpiękniejszy jest w swym trudzie.

...spokojnie śpią wśród drzew.

Głęboko wzruszony Fedorczenko wchodzi do rodzinnej wsi. Ona czy nie ona? Trudno ją poznać.

Tak, zmieniła się nie do poznania. Wszystko co młode wyrosło, stare postarzało jeszcze bardziej, obory znikły, płoty porozwalane. Znikły też sady, wysokie czarne topole, wierzby. Na miejscu wielu chat bieleją piec na świeżych ruinach. Cała malownicza dolina jakby się roztopiła, rozplynęła się w powietrzu.

— Przepraszam... Dzień dobry! Powiedzcie mi, jak przejść... Gdzie tu jest moja chata?

Maria Hurenko, która wyprawiła syna do Kachowki, od razu domyśliła się, kogo ma przed sobą, zaskoczona jednak spytała:

— Jaka chata?

— Maksyma Fedorczenki.

— Zaraz, zaraz... To wy?...

— Hnat.

— Hnat?!

— Maria?!

— Tak. To wy?... To wy, Hnacie?... Boże mój!...

Dzień dobry!

— A ja ciebie poznałem.

— Ja też poznałam cię od razu. Tyś teraz wielki człowiek...

— No... generałem zostałem. Nawet nam się to kiedyś nie śniło, prawda? No a co u ciebie?

— Nie narzekam. Też żyjemy nie najgorzej. Mąż, co prawda, na wojnie... Tak jakoś od razu go zabili, nawet niedługo, biedak, wojował...

— A dzieci?

— Dzieci też. Troje nie wróciło z wojny, jeden jest gdzieś tam kapitanem podwodnego okrętu, jeden na budowie w Kachowce, a teraz już najmłodsza córka tam się rwie, kończy właśnie szkołę...

— Tak... Ileż to lat, Mario.

— Ano... Przeszumiało... czterdzieści lat.

— Przeleciały nie wiadomo kiedy.

— A ja patrzę i myślę, nie poznaje mnie, bosą... Ale ja tu gadu-gadu, a oto już wasza chata! Tam, gdzie ta wysoka grusza, widzisz? (Zauważywszy Alikę). To synek?

— Tak. Młodszy. (Do Alikę). Dlaczego się nie przywitasz?

— A dlaczego mam się witać? Nie znam jej — odparł głucho Alik.

Generał miał ochotę go rozszarpać, nie dał jednak znać po sobie. Ale Maria to zauważyła.

— Głupstwo. Teraz taka moda. Nie trzeba go bić.

Odprowadza generała oczyma i długo jeszcze patrzy za nim.

Kiedy ona miała lat szesnaście, a on osiemnaś-

cie, był pierwszym, który w cichy wieczór koło przełazu trzymał w milczeniu jej dłoń i długo nie wypuszczał jej z ręki. To on obudził w niej tkliwość, marzenia, pragnienie szczęścia i nadzieje, i łyzy. Ale było to już tak dawno, jakby tego w ogóle nie było. Jak sen. Dlatego dwie łyzy, które spłynęły po jej policzkach, wyschniętych z powodu starości i mordęgi, były lekkie, jakby ich w ogóle nie było. Ale dwie kołchoźnice w średnim wieku, którym Maria opowiedziała o przyjeździe generała Fedorczenki, nie tłumili swego płaczu, co prawda z innego powodu. Ich wdowie łyzy zniknęły tak szybko jak rosa w słońcu. Czas niemal zupełnie zaleczył rany, i nieodwracalna strata, która pozbawiła je radości, uciechy i dzieci, zmiękczyła tylko ich serca.

Jest w domu generał armii Fedorczenko?

Jest w domu.

Poznał to po gruszy na podwórzu.

A oto i chata: biała, stareńka, z ciepłym słomianym dachem.

Fedorczenko wszedł już na podwórko zarośnięte rdestem i rumiankiem. I tu zaczęło się z nim dzieć coś niezrozumiałego, co zmusza go szybko podejść do starego stołka pod gruszą; i już nawet nie może usiąść, lecz opada na stołek, opierając się o niego jedną ręką, a drugą, szeroką chłopską dłonią zakrywając twarz. Drżą rozstawione palce.

Widząc, że ojciec usiadł, by odpocząć, Alik rusza wąską ścieżką w dół, do rzeki. W tym samym czasie z bocznej uliczki podchodzi do wrót trzech czy czterech chłopców, przyglądając się z ciekawością generałowi, który siedzi pod gruszą z zakrytą twarzą. Gdy odwraca wreszcie głowę w kierunku swej ubożuchnej chatynki, po jego grubo ciosanej, pobladłej teraz twarzy toczą się łyzy, których nie dostrzega. Roje wspomnień, nie tylko jego własnych, ale całej jego rodziny i całych pokoleń, wynurzają się nagle z jego pamięci i wyrrywają na wolność,



już dawno, dawno przysypane, niemal pochowane pod grubymi nawarstwieniami wydarzeń z przeszło czterdziestu lat. Przez wszystkie te lata jego umysł był zaabsorbowany wojnami. One stanowiły duchowy klimat jego epoki i przynależał do nich cały, zdobył na nich sławę, a szczęście wojenne nie porzucało go, bo walczył z bronią w rękę o przodujące idee naszej współczesności.

Ale oto z przeciągłym skrzypieniem otwierają się stare drzwi i na tle ciemnej sieni pojawia się stara ciotka generała, Antonina.

„Hm... Któż to taki siedzi pod gruszą, pojęcia nie mam. Jakby Hnat, nie Hnat... Ale Hnat, jak powiadają, ma generalskie naramienniki i złote ordery...” Antonina zmieszana zamyka drzwi, nie wiedząc, co robić.

Opanowawszy się, Fedorczenko podnosi głowę. Przed nim, zupełnie blisko, najodważniejszy ze wszystkich, siedmioletni chłopczyk, bosy, spodnie podwinięte do kolan, w rękę pobłyskują na sznurku trzy małe, na pół zeschnięte leszcze.

— Jak ci na imię?

— Saszko.

— A nazwisko?

— Fedorczenko.

— Fedorczenko? A jak ma na imię twój ojciec?

Saszko zawstydzził się. Nie znał imienia swego ojca.

— Powiedz: Opanas — podpowiadają chłopcy zza płota.

— Opanas? — Generał Fedorczenko ucieszył się, jakby odkrył nagle coś bardzo mu drogiego i bliskiego. — Więc jesteś synem Opanasa? A wiesz, kim ja jestem? Twoim stryjem. Ja też Fedorczenko... — Generał sadowi sobie chłopczyka na kolana i objąwszy go delikatnie, całuje w czoło. Spłowiałe na słońcu włosy Saszki, bosa noga i rybki przypominają mu własne dzieciństwo.

— Ja też Fedorczenko! I ja Fedorczenko! — odezwały się zza płotu dziecięce głosy.

Do generała podchodzi kilku chłopczyków i jedna dziewczynka. Oni też chcą, by stryjek ich popieścił.

— A wy, czyje?

— My Danyłowe, a to stryjka Lwa Fedorczenki.

— A ja Natałczyna. Moja matka Natałka.

— A wy czegoście powłaziły na podwórze? — pyta od progu Antonina, która zaczęła się już domyślać, kogo ma przed sobą. Dzieci pierzchają. — Czy to nie ty, Hnacie?...

Generał wchodzi do ciemnej sieni, otwiera drzwi... Jest w domu... Tak, to jego mieszkanie. Tylko zamiast Boga i świętych na pokuciu i na ścianie po prawej wiszą duże oleodruki Lenina, Woroszyłowa, Budionnego oraz jego własny portret obok świętego Jerzego pogromcy smoka i obok fotografii krewnych.

Ale dlaczego wszystko takie maleńkie, niziutkie? Jakie malutkie okna! Rozgląda się. Z ciemnych kątów, z wnęk piecowych i spod pieca powiało jakimś zastarzałym smutkiem.

— Jaka mała chata!... Przecież ona była duża...

— Ano zwyczajna, jak u wszystkich. — Stara ciotka Antonina uśmiechnęła się z łagodnym smutkiem.

— I ja się tu urodziłem? Naprawdę narodziłem się tutaj?

— Tak. Tu się urodziłeś. Dziwi cię przeszłość?

— Tak. To niemal niewiarygodne. Ciocia nawet sobie nie wyobraża...

— Ano bywa... — Głos Antoniny równy, spokojny, bardzo przypomina głos matki. — Oto stara grusza za oknem. A to żelazne kółko na belce widzisz? Patrz na sufit... Na nim wisiła twoja kołyska, i mama, siedząc na tym oto stołeczku, kołysała cię, kołysała... Dawno... dawno...

— Ten sam stołeczek...

— Tak. A pamiętasz, jak matka śpiewała?

Aaa, kotki dwa, figę zjedzą obydwaj...

Nie było nigdy wielkiej wojny ojczyźnianej.

Koło pieca huśta się dziecięca kołyska. W kołysce pięćmiesięczny chłopczyk przebiera rączkami. A matka śpiewa cicho dawno zapomnianą kołysankę:

Aaa, kotki dwa, figę zjedzą obydwaj...

Kołysance towarzyszą szybko zmieniające się kadry z całego życia:

Pierwsze kroki.

I pierwsze spodnie.

I pierwsze wielkie nieszczęście: matka umarła.

I łązy na polu wśród trzody owiec podczas ulew-  
nego deszczu.

I pierwsze spotkanie z „nią” obok przełazu.

I musztra w carskiej armii.

Wojna, pierwsze rany — raz, drugi, trzeci...

I więzienne kraty. I pluton egzekucyjny. I uwolnienie.

I pełne uniesienia ataki Pierwszej Konnej.

I chyba znów szpital.

I miłość siostry miłosierdzia.

I jeszcze, i jeszcze...

— Hurraaa!... krzyczą koło szpitala polowego  
ranni żołnierze wielkiej wojny narodowej.

Grzmia ciężkie działa, wzniesając nad zamasko-  
wanymi pozycjami chmury pyłu.

I stało się cicho na ziemi.

— A gdzież ojciec? — pyta Antoniny generał  
Fedorczenko, wydobywając się z natłoku wspom-  
nień.

— Wieś buduje na górze. Ciągłe wojuje z przewodniczącym kołchozu.

— Nie zgadza się z nim?

— Broń Boże!... Ale przez całe życie zawsze z kimś wojował i taki już umrze. Dom kultury wybudowali za ciasny, a w dodatku okna wychodzą nie tam, gdzie trzeba. A ten jeszcze z tym ZIM-em...

— Kto?

— Przewodniczący.

— A kto jest przewodniczącym?

— Sawka Zarudny.

— Sawka? I dobry z niego przewodniczący?

— Bardzo. Pracowity, serdeczny. Tylko politycznie już, powiadają, nie podchodzi.

— Dlaczego?

— Zaczął pić, serce mu nawala. No więc chcą go zdjąć, ale nie ma kandydata. Był tu niedawno. A zły! Aż siny na gębie. „Czy ten wasz generał, pyta, nie przyjedzie?” Bardzo chce się z tobą widzieć... O, właśnie idzie,

— Sawka?

— Hnat?!

— Poznajesz mnie?

— Nie, wybacz, ale jakoś nie mogę cię poznać.

— Ja ciebie też... Ojej!... Tyś przecież Zarudny?

— Tak.

— Bracie mój... Witaj!

— Jak się masz.

— A co u ciebie? Przecież myśmy kiedyś... razem ryby łowili.

— Uhm... Sianośmy zbierali.

— Paśliśmy konie.

— Kartofle piekli.

— Taaak... Czuję jeszcze ich zapach...

— No a jak ty tam?

— Jako tako.

— A jak się żyje?

— Jak by ci tu powiedzieć... Żyjemy w wielkich czasach, to trzeba płacić za ten przywilej. Wojna będzie?

— Nie powinna być.

— Ty tylko tak, żeby mnie uspokoić, czy pytałeś wyższych od ciebie?

— Pytałem...

— Taak... Gdyby pobożne życzenia wystarczyły...

— Dawno nie widzieliśmy się...

— Dawno. Sto lat.

— Jak los nas porozdzielał!...

— Ano tak. Tyś generał, a ja prosty chłop.

— No, chłop na ZIM-ie to też generał.

— Uhm... Głównodowodzący...

— Oczywiście!

— ...nad babami i szkolakami. A młodzież na budowie u Arystarchowa. I wszyscy tylko chcą się kształcić.

— To i dobrze!

— Ba!... Uczyć chcą się wszyscy, ale nie gospodarstwa wiejskiego. Nie widzę w tym nic dobrego... Wszyscy uciekają od ziemi. Co to jest takiego? Jak długo jeszcze?!... Na trzydzieści osiem chłopców i dziewcząt, którzy ukończyli dziesięciolatkę, tylko jedna dziewczyna wybrała studia agronomiczne. Moja młodsza, Katarzyna, też wybrała się do Kachowki na hydrotechniczny. A gdybyś widział, jaka ładna! — W głosie Antoniny przebija miłość do Kati. — A rozumna, a grzeczna! Cała wieś nią się cieszyła.

— No więc będzie inżynierem. To pięknie, Sawko. Pokażesz mi tę ślicznotkę?

— Nie ma jej — mówi w zamyśleniu przewodniczący kołchozu. — Powinna była przyjechać, ale jej jeszcze nie ma... Pewnie coś ją zatrzymało.

— Coś ty...

— Różne myśli się po głowie plączą... (słychać klakson ZIM-a). No, muszę już iść. A o inżynierach i ludzkim szczęściu pomówimy wieczorem.

Wchodzi kierowca.

— Sawo Andrijowiczu, maszyna z Kachowki. Czy to czasem nie Katia przyjechała?

— No to bywajcie. (Wychodzi).

— Bardzo cierpi — Antonina mówi cicho, jakby się bała, że Zarudny może usłyszeć za drzwiami. — Jego żonę, Hannę, powiesili.

— Co wy mówicie?!

— Niemieccy faszyści. Zaraz jak tylko przyszli. Przechowywała dwóch rannych oficerów rosyjskich. A on był z chłopcami w wojsku. No to sama się zajęłam Katią. Potem synowie gdzieś przepadli na wojnie, a teraz córka nie chce zostać w domu. Więc ciężko staremu. Postawił na górze nową chatę, cztery izby, no i dla kogo to? Kładłam mu karty: rozpacz koło niego.

Zarudny podjeżdża do swej nowej chaty niemal jednocześnie z Katarzyną, która żegna się wesoło z koleżankami i kolegami z budowy.

— Tatusiu!

— Jak się masz, córeczko! Oto twój nowy dom. Patrz, ile przestrzeni wokół.

— Jak tu ładnie!

— Podoba ci się?

— Bardzo! Jaki z was majster, tato! Do wszystkiego. Wszystkim w Kachowce mówię: takiego majstra, jak mój ojciec, nie ma drugiego na świecie...

Katarzyna obeszła wszystkie cztery izby, czyste, białe, jasne.

— Lubię wszystko, co nowe!

— I ja. A co słyhać w Kachowce? Jak tam? Szybko skończą?

— Kachowka aż dudni, ojczu. Tam już zbudowali nowe miasto. Na piaskach. Ludzie nie mogą się nadziwić. My sami się dziwimy, tak to jakoś wszystko szybko i lekko. Na ulicach kwiaty, drzewa owocowe, nawet winorośl chcą posadzić. I dlatego

jedna z ulic będzie się nazywać Winogronowa. Tam tak pięknie, mówię ci!... Jedna pisarka powiedziała: uznaję dwa miasta, Leningrad i Kachowkę. Wszyscy są po prostu w niej zakochani.

— A grobla?

— Grobla? Cudo! I Dniepr tam taki błękitny...

— Taak... Dniepr błękitny, ale skąd u ciebie ta rozpacz?

— Jaka rozpacz?

— W oczach.

— Lepiej niech ojciec nie pyta.

— Boli serduszko?

— Oj, boli, tato.

— Nie ma radości, wzajemności?

— Nie wiem.

— Więc tobie już też świat jest niemiły. I dom... tak?

— Tato!

— I słońce już nie grzeje?

— Nie trzeba... Dość!

— Szkoda. A kim on jest, powiedz...

— Kto?

— Ten człowiek... głupi.

— On jest bardzo mądry.

— Idą do nas. Uśmiechnij się... Wchodźcie, prosimy!

Wchodzi Wala z dzieckiem. Jest zmęczona. W oczach stanowczość i jakaś gniewna troska.

— Dzień dobry!

— Dzień dobry. Co powiesz?

— Czy do was nie przyjeżdżał pewien mężczyzna?

— Nie.

— Pewnie mi się zdawało... Przepraszam.

— A kto taki miał do nas przyjechać?

— Kierownik robót z Kachowki. Widziałam, jak przejeżdżał przez groblę.

— Kierownik robót? A dlaczego miałby jechać do nas?

— On do nas nie przyjedzie. — Katarzyna czuje, że się zdradziła. Wychodzi szybko z izby, zamykając za sobą drzwi.

— Kto to jest ten kierownik robót? Czy to nie czasem ten z zatopionej wsi? — pyta Walę Zarudny.

— Uhm. Ojciec tego dziecka. Był na grobli, a teraz jest w Kachowce. On bardzo szybko zaczął rosnać. Ja, powiada, rosnę, idę naprzód, a wy, to znaczy ja i dziecko, zostaliście w tyle. — Wala spojrzała na maleństwo, na swoje nieślubne dziecko, które cicho spało blisko jej wzburzonego serca, po czym przeniosła smutne spojrzenie na Zarudnego. — To znaczy, że jego tu nie było? Proszę mi wybaczyć, zdawało mi się.

Katarzyna stoi za drzwiami w drugiej izbie, przeżywając głęboką rozterkę. Co robić? Kim jest ta dziewczyna? Czyżby ona rzeczywiście miała podstawy do przypuszczeń, że on mógł do nich przyjechać? Ale on już nie przyjedzie. Nie, nie... Słyszy, jak ojciec mówi do Wali:

— Wyglądasz na bardzo zmęczoną. Spocznij.

— To nie zmęczenie. To gniew tak spala! — odpowiada Wala. — Jest we mnie coś smutnego, prawda? Tak jakby nie było socjalizmu i jakbym żyła w jakichś starych książkach czy pieśniach. Ale nie, on się myli!...

Nagle ostro zadzwonił telefon. Zarudny podnosi słuchawkę.

— Tak... Tak, tak, jadę... Co za piekło! Nie ma chwili spokoju. Katarzyno!

— Jestem! — Katarzyna wchodzi do izby.

— Jadę do powiatu. Będę w domu o trzeciej. Tak... Porozmawiaj z dziewczyną...

— Nie, nie trzeba. Proszę mi wybaczyć, już idę. Dziękuję, bardzo dziękuję.

Katarzyna została w nowym domu sama. Ogarzył ją niepokój i smutek.



Wala idzie drogą. Coś ją zmusza, by się obejrzeć. Być może Katia patrzy za nią. Nie, nie patrzy. Pozostała w nowym domu. Próbuje jakoś odpędzić smutne myśli, zaczyna śpiewać, ale śpiew przechodzi zaraz w płacz.

Wala stoi w polu na skrzyżowaniu dróg. Podnosi rękę, by zatrzymać zbliżający się samochód. Ale samochód mija ją szybko, spowijając ją w tumanie kurzu.

A oto kierownik robót Walery Hołyk, o którym była już mowa i o którym od razu trzeba powiedzieć, że nie lubił ludzi, przy czym uważał to za rzecz oczywistą. Nie lubił ani robotników, ani chłopów, ani burżuazji, o jakiej czytał w książkach i gazetach. Swoich kolegów ze szkoły i studiów, a potem swoich towarzyszy pracy, też nie lubił. Rywalizował z nimi, ale nie w tym nowym, socjalistycznym sensie.

W wyniku szeregu złożonych przyczyn, do jakich nie tak łatwo i prosto się dokopać — kto tam wie, czy jego rodzice nie potrafili dać mu dobrego przykładu i odpowiednio go wychować, czy też w szkole coś przegapili albo też w Komsomole nie umieli się z nim jakoś dogadać co do spraw na pierwsze wejrzenie niepozornych i nieważnych, które niestety z czasem niepostrzeżenie urastają do rzeczy ważnych i budzących niepokój — słowem wszystkie uczucia, w jakie natura wyposażyła Walerego Hołyka, były skierowane wyłącznie na własną osobę.

Był raczej sprytny niż mądry, raczej rozważny niż impulsywny. Brak wrodzonych zdolności zrekompensowany był przez upór i zdecydowaną wolę przebijania się. Jest świetnym mówcą i organizatorem. W jego gabinecie stoi w kącie sztandar przechodni komsomołu, którego za nic w świecie

nie wypuści z rąk; przysięgali to uroczyście kom-somolcy, pracujący pod jego kierownictwem.

I czy to dlatego, że z powodu swoich cech tak kontrastował z otoczeniem, czy też w wyniku jakichś innych przyczyn i uwarunkowań bardzo się podobał dziewczętom i niejedna już przekleła ten dzień i godzinę, kiedy spotkała się z nim.

— Może ją zabrać? — pyta Hołyka kierowca willysa.

— Szybciej, szybciej!.. Bo się spóźnimy... Tfu, ależ to kurz!

Od razu poznał Walentynę, i nagle zrobiło mu się jakoś głupio.

Obejrzał się: oddalić się od niej jak najszybciej! Willys znika w chmurze kurzu.

Wymija ich ZIM Zarudnego.

Przewodniczący kołchozu Sawa Andrijowicz Zarudny może się wydać na pierwszy rzut oka człowiekiem niezbyt łagodnym i uprzejmym. Jest jednak szczerzy, niezmordowany i bardzo dokładny w pracy. Jego potężna postura przywodzi na myśl Gogolowskiego Zaporozca Kyrdiagę. Głos tubalny, ruchy powolne. Jest przewodniczącym kołchozu już dwadzieścia cztery lata.

W okresie ostatniego półtora roku wykonał ze swoimi kołchoźnikami wiele różnych robót. I tak jak dotychczas, zarówno w kołchozie, jak i na wojnie, gdzie nie posunął się, jak to określał, powyżej starszego sierżanta formacji czołgów frontu południowego, wykazywał zawsze duże opanowanie i zewnętrzny spokój. Nie zważając na wyjątkowo ciężki, suchy rok, wśród spalonego słońcem stepu, na pięknym wzgórzu nad brzegiem przyszłego morza, dobudowuje nową wieś dla przesiedlenia kołchoźników ze strefy zatopienia.

Prócz tej wsi zbudował już piękną farmę, garaż, stajnię, warsztaty mechaniczne. I to wszystko bez żadnych inżynierów i techników, siłami pięciuset

kołchoźników i kołchoźnic. Entuzjazm tworzenia i pracy.

Nie, to nie jest właściwe określenie, oznacza ono bowiem działania ludzi w ich ambitnym, ale krótkotrwałym porywie. A tu pracują uparcie i długo, od świtu do nocy, pod palącymi promieniami słońca, znosząc pragnienie, kurz i inne dolegliwości. Trwa tu wieloletnia walka z przyrodą i nie każdego roku człowiek wychodzi z tej walki zwycięsko.

Zdarzają się tu po dwie, trzy kampanie siewne bez jednego normalnego zbioru. W ciągu ostatnich trzydziestu lat susza spowodowała tu groźne skutki. Całe wołżańsko-donieckie i ukraińskie południe już dawno stało się pastwą gorących, suchych wiatrów. Pałace wichury ciągną ze wschodu na Mołdawię, na Węgry. Ziemia, woda i słońce są we wzajemnej wrogości, o czym nie wiadomo na razie jeszcze milionom mieszkańców zachodniej Europy — nic już nie jest w stanie zastąpić drogi pustyni! Jedna tylko siła na świecie może ją ujarzmić: kolektywny, planowy, uporczywy trud wielkiego radzieckiego społeczeństwa. Dlatego też nie będziemy tu tropić jakichś beztroskich uśmiechów i idylli. Dziś co innego jest tu ludziom sądzone. Już od piętnastu miesięcy nie ma deszczu. Wszystkie siły narodu skierowane są do walki o chleb, o stworzenie nowego morza.

Na spadzistym wzgórzu, skąd roztacza się rozległy widok na step, na dalekie wsie, na stary Zielony Kąt, wśród wyciętych już łągów, na rzeki Pidpilną, Skorbną i Czortomłyk oraz na całą olbrzymią czaszę przyszłego nowego morza — buduje się nową wieś, przestronną, z szerokimi prostymi ulicami i dwoma budynkami dziesięcioleci.

Przyjeżdżają ciężarówki z łupkami do pokrycia dachów.

Wzdłuż długich ulic ryją kanały na instalację wodociągową. Na krokwiach nie dokończonych jeszcze domów pracują cieśle.

I chociaż ładniej by to wyglądało, gdyby napisać, że kobiety i dziewczęta budują swoje domy śpiewając pieśni, one pracują w milczeniu mieszając glinę, z której kształtują i układają mokre walce, farbują, bielą.

Śpiewa tylko jedna rodzina, do której zaraz pojeździemy z całą aparaturą filmową.

Któż to buduje taki wesoły dom?

Iwan Krawczyna.

Jeśli kiedyś gdzieś w nowym mieście nad szeroką rzeką rzeźbiarze będą chcieli postawić pomnik Dobrego Człowieka, lepszego modelu niż Iwan Krawczyna chyba nie znajdą.

Krawczyna jest człowiekiem nacechowanym harmonią. Z twarzy i całej jego postaci emanuje chęć działania. Oczy szare, błyszczące, chłone z ciekawością świat, zawsze uśmiechnięte. Pszeniczne wąsy harmonizują z opalenizną twarzy.

Krawczyna pracuje od rana do wieczora. Droga od zamysłu do jego realizacji jest zawsze bardzo krótka. Pracuje szybko i lekko. I zdaje się, że nie ma nic takiego, czego by nie potrafił zrobić. Jest cieślą, stolarzem, bednarzem, pszczelarzem, kowalem. Robi dachy, buduje mosty i domy. Kosi i sieje. Zna się na maszynach, jest sadownikiem, sam robi wino i bardzo lubi śpiewać. To właśnie on teraz śpiewa.

W samych tylko kąpielówkach i koszulce gimnastycznej, wymachując zamasyżycie siekierą i wyśpiewując wszystkimi głosami, od basu do sopranu, buduje razem z żoną i dziećmi własny dom.

Jaskółko moja prześliczna! Sercu radośnie w ten czas.  
Na wiekiś moja, kochana! Śmierć jedna rozłączy nas...

— Śmierć jednaaa rozłączy naaas — podchwy-  
tują chłopcy w niebieskich spodenkach, jeden  
mniejszy od drugiego. Pieśni śpiewają różne — lu-  
dowe ukraińskie, rosyjskie, białoruskie. Dzieci  
wtórują niezbyt składnie, ale za to starannie,

a Krawczyzna poucza je nie przerywając pracy. Ale oto po krótkiej przerwie jeden z chłopczyków, wyraźnie naśladowując ojca, zaczął głośno:

— Ukraina, ojczysty kraj!

Wszyscy czworo: Ojczysty kraj...

Dzieci usiłują śpiewać basem, a ich ojciec bierze górę tenorowej partii...

— Szczęśliwi tam ludzie, szczęśliwa kraina... tra-ta-ta-ta-ta-ta-ta! Podaj deskę!... Nie puszczaj!... Im Bóg błogosławi, wszelkie dobro zsyła!... *A w stepie głuchoj umirał jamszczyyyk!* \*

— Ta-ra-ra-ra-ra-ra ra-ri-ra-rii — ciągną dzieci cieńkimi niezharmonizowanymi głosikami.

Krawczyzna przerzuca się szybko na bas-baryton i już słychać nową pieśń: *Jesli Wołga razoljotsia!*

— *Wołga ma-atuszka riekaa!* \*\* — podchwytną radośnie chłopcy.

— Fiu-ju-ju!... Na-ri-ra-ri-ra ni-ra-raa...

Nowa sadyba Krawczyny położona jest na skraju wsi na wesołym, spadzistym wzgórzu. Na prawo — bezmierny step. Na horyzoncie — scytyjski kurhan, a przed domem brzeg morza. Samego morza na razie jeszcze nie ma, jest tylko jego szeroka czasza. I chaty też jeszcze nie ma. Jej przejrzysty szkielec ze świeżo ociosanych belek sprawia w błękitnym powietrzu wrażenie delikatnego rysunku. Ale w filary rusztowania powbijano już gwoździe, na których wiszą ręczniki i odzież. Między filarami kilka stołków i własnej roboty stół, a na stole coś jakby półlitrowka...

Przy białym piecu żona Krawczyny, Maria, gotuje obiad.

— No, ale wujek Hnat dziś już na pewno przyjedzie! — woła z krokwi najmniejszy chłopiec.

— Wujek nie jeździ, tylko lata!

---

\* A w stepie głuchym umierał woźnica!

\*\* Jeśli Wołga się rozgniewa!

Wołga, matka rzeka!

— Dlaczego?

— Dlatego, że jest generałem.

— Ja też będę generałem... Trach! Bach! Babach!...

— Masz ci los! Chciał być inżynierem, a teraz nagle generałem.

— A wujek zdobywał Berlin...

— No to co z tego? Wszyscyśmy go zdobywali. I ja też... „Tyś na wieki ma, kochana, jedna śmierć rozłączy naaas!...”

— A dlaczego nie jesteś generałem tylko sierżantem?

— Dlatego, że ojciec bywał często ranny — odpowiada Maria niosąc talerze do stołu.

— Oczywiście! I przez to nie otrzymałem trzech orderów. Zostajesz ranny i zaraz do szpitala: co z oczu to i z serca... *A w stepi głuchoj umirał jamszczyk...*

Krawczyzna widzi już w wyobraźni swój dom i promienieje radością, jakby dom stał już gotowy i pozostały tylko drobne prace wykończeniowe.

Na drodze zatrzymuje się samochód Zarudnego.

— Dzień dobry!

— Dzień dobry!

— Najlepsze życzenia w nowym domu. Można do was?

— Bardzo prosimy — odpowiada wesoło Krawczyzna. — Do jadalni proszę iść przez gabinet.

— Jak się macie! Cudowne miejsce...

— Proszę siadać — zaprasza Maria.

— Jak tu pięknie, jak pięknie...

— Prawda? Okna na morze. Cóż to będzie za radość dla serca — Maria jest szczęśliwa, a jednocześnie zaniepokojona: czego ten Zarudny chce?

— Pojedziesz na Kachowkę — spokojnie i rzeczowo zwraca się Zarudny do Krawczyny. — Spędzamy tam teraz wszystkie buldożery z dwóch okręgów.

Krawczyzna: Zapora na Dnieprze?

Zarudny: Tak.

Maria: A chata?

Zarudny: Sami ukończymy. Tylko żebyście jutro starą rozebrali. Daję dwa dni czasu i jazda... Do widzenia!

Krawczyzna: Zaczekaj! Chociaż kielicha wychył w nowej chacie. (Nalewa kieliszki).

Zarudny: No... za co pijemy?

Maria: Właśnie! Za starą chatę, za nową, czy za wyjazd Iwana?

Krawczyzna: Za to, żeby tu wszystko było jak najlepiej! (Kładzie rękę na sercu, w oczach pogoda i życzliwość). Żeby zawsze tego... było czysto i ten... swobodnie.

Zarudny: Daj Boże! No to bywajcie!

Maria: A ludzi się nazjeżdżało...

Zarudny: Przyznaję się, sam ich wezwałem.

Przez budowę w kierunku starej wsi pomknął ZIM Sawy Andrijowicza. Tego ZIM-a, jak mówi kpiąc z samego siebie, wtrynili mu w powiecie „według rozdzielnika”. Długo się złościł i początkowo nawet wstydził się nim jeździć, aż w końcu przyzwyczał się i przestał zwracać uwagę na różne docinki i dowcipy na ten temat.

Ma się dziś spotkać z gośćmi, których zaprosił z wszystkich krańców Związku Radzieckiego. Do wszystkich wysłano listy w imieniu rodziców, braci, sióstr, krewnych. Tym razem zjechało do wsi ludzi jak nigdy dotąd. Sporo przyjechało takich, co nie byli w domu już po dwadzieścia i więcej lat i tak naprawdę, to wielu z nich widzi się po raz pierwszy. Wszyscy trochę wzruszeni, niektórzy odnawiają stare znajomości, dziwią się wzajemnie na swój widok, mówiąc o tym jak świat się zmienia i jak nieubłagany jest czas.

Jedna z przybyłych kobiet jest wiceministrem chemicznego czy też jakiegoś innego przemysłu. To bardzo mądra i wykształcona kobieta, bo prze-

cięż inaczej w żadnym wypadku nie powierzyliby jej tak wysokiego stanowiska. Z drugiej jednak strony — wynikało to już z jej charakteru, a ujawniło się rażąco zwłaszcza w ostatnim czasie — brakło jej w obcowaniu z ludźmi bezpośredniości i prostoty. Dlatego też przyjechawszy do rodzinnej wsi ZIM-em odpowiednio do tego się zachowuje. Prócz tego z powodu długotrwałych wysiłków i napięć intelektualnych oraz poszerzających się horyzontów pojawiła się w niej krótkowzroczność, w wyniku czego niemal nie poznaje przyjaciółek ze swego bosonogiego dzieciństwa. Natomiast wszystkie te jej przyjaciółki, kobiety też bardzo rozumne — odpowiednio do wykonywanych funkcji w kołchozie — poznały ją od razu po samochodzie stojącym na podwórzu starej chaty, jak gdyby dla umyślnego, choć może i bardzo wzruszającego kontrastu. Tak, poznały ją i obraziły się.

Wokół ZIM-a, zachowując należną odległość, tłoczą się mali chłopcy, nie będziemy jednak opisywać tego, co robią manifestując tym swój stosunek do wspomnianego samochodu, gdyż moglibyśmy zaszkodzić sprawie motoryzacji. Jeden z chłopców trzyma na sznurku chyba pięć rybek, drugi — jedną, ale za to dużą.

— Proszę pana, niech pan zatrąbi!... Proszę pana...

— Wynoście się do stu diabłów, nie drażnijcie mnie! — odzywa się kierowca, odpoczywając w cieniu po długiej jeździe.

Pies Sułtan milczy, zajadając coś razem z kogutem i kurami z odwróconego hełmu niemieckiego.

— Niech pan zatrąbi!... — proszą młodzieńcy rybacy.

I w tym momencie jeden z nich, chcąc prawdopodobnie rzucić czymś twardym we własne odbicie w zimowskim reflektorze, nieoczekiwanie trafia w ciotkę wiceministra jakiegoś tam przemysłu, Stepanidę, która nagle wyszła z sieni.



— Gdzie rzucasz, żeby cię tak o ziemię rzucało! Przeklęty bękart, szyszkami rzuca!

Ciotka wiceministra jest taka obrażona, że nawet Sułtan i kogut zaczynają reagować na jej krzyki. Więc chłopaki w nogi! A sama wiceminister stoi na placu i słucha opowiadań kapitana żeglugi wielkiej Danyła Rewy o nawigacji arktycznej. Obok niego stoi inny kapitan, żeglugi rzecznej, Andrij Prytulak z maleńką śliczną córeczką na rękach, trzymającą lalkę, która jest jej miniaturką.

Nieco dalej trzy kołchoźnice obmawiają wiceministra.

— Myślałby kto, że to nie wiadomo co! I jeszcze się odwraca!

— No właśnie! Ona myśli, że jak już ZIM i cienkie pończoszki, to... A pamiętasz, jak się uczyła? Gorzej od nas...

Im oczywiście nie wpadnie na myśl, że wiceminister z nie znanych im powodów czuje się tu nieswojo, a nawet się wstydzi; przyjmują to jako pychę i zarozumiałość, same jednak też odczuwają jakieś skrępowanie z domieszką obrazy, a nawet zazdrości.

Podchodzi stara kołchoźnica Chrystia Chlibowa.

— Oj, jaka nasza wieś stała się teraz wesoła! — Chrystia z ciekawością wpatruje się w twarze gości. — Dostatków tu nie ma, ale za to jacy ludzie!... Rozkwitają jak maki... Witajcie!

— Witajcie, ciotko Chrystio!

— Wszystkiego najlepszego!

— Pozwólcie popatrzeć na siebie i porozkoszować się, bo to ciągle tylko się żegnamy i odprowadzamy, i płaczemy, no bo nikt już potem nie wraca... Jak spojrzę na moje życie, to tylko ciągle pożegnania. Czy nie ma już w naszych domach radości? Czy ziemia tak już nam obrzydła?

— Nie, nie obrzydła nam ziemia.

— Nieprawda! Nic tylko same pułkownicy i generały i in-te-li-gen-ty. Nawet Brykun Charko,

choć głupek, to i on też... Nie widzieliście Brykuna?

Właśnie Brykun wychodzi z pochylonej, starej chaty. Odzież, postawa, chód — sama dostojność, trudno w nim rozpoznać dawnego, największego w kołchozie warchoła i donosiciela. Nie było go tu dwadzieścia lat. Początkowo rozeszła się pogłoska, że podobno za coś tam niesprawiedliwie go aresztowano, ale z czasem nawet myśleć o nim przestano.

— Patrzcie, Brykun się zjawił!

— Co wy mówicie, gdzie?!

— Idzie tu! A mówili, że aresztowany.

— Brykun?

— Charko... Ważna mi figura!

— Zlikwidowali pewnie jako niepotrzebny ten urząd, gdzie przez dwadzieścia lat przelewał z pustego w próżne.

— Działacz! Pęknać można ze śmiechu!

Śmieją się.

Podchodzi do mnie przyjaciel z mojego dzieciństwa Hryhory Bezwerchy, brat malarza Fedora Bezwerchego, cierpiącego na zadyszkę. Podobnie jak brat lubi rodzinną wieś, lubi po kryjomu i stare cerkwie, i chaty, ale jego twórczość związana jest głównie z budownictwem stołecznym, przy czym nie chodzi tu o zwyczajne budownictwo mieszkaniowe, ale o gmachy, których się nie buduje, lecz się je „wznosi”. Jego specjalność to panteony, pawilony, pałace kultury, rządowe sanatoria z niezliczoną ilością kolumn, pilastrów i klasycznych urn, które szczerze rozstawiał, gdzie trzeba i nie trzeba, by wreszcie osiągnąć laurowe wyżyny. Prócz wazonów, w których tworzeniu przewyższył wszystkich klasyków architektury, wzbogacił architekturę paradnych podjazdów olbrzymimi kulami z lśniącego granitu oraz schodami pokrytymi „szybkościowym” cementem, które bardzo szybko ujawniają swoje ceglane wnętrza. Jego fantazja w budowaniu schodów jest wręcz bezgraniczna.

Buduje je nawet wówczas, gdy nigdzie nie prowadzą i są pozornie zbędne — rzecz jasna po to, żeby ludzie mogli piąć się coraz wyżej i dążyć wzwyż.

Ostatnio opracował projekt klubu kołchozowego dla rodzinnej wsi. I chociaż w projekcie klub został nazwany szumnie pałacem kultury, wspomniany projekt wywołał nieoczekiwane oburzenie zarówno Zarudnego, jak niemal całego zarządu kołchozu, o czym dowiemy się nieco później. Teraz mój przyjaciel jest tak samo jak ja wzruszony spotkaniem.

— Dzień dobry!

— Cześć! Witam serdecznie.

— Nie możecie sobie wyobrazić... To znaczy nigdy w życiu... coś takiego...

— Rozumiem... Ja też.

— Jak nas dużo, patrzcie.

— I jak różni jesteśmy. Cały kraj jak w zwierciadle, odwaliło się kawał drogi!

— Jak dalekośmy zaszli... Nigdy nie przypuszczałem...

— Tak... Jestem wprost oszołomiony. Jakbym się na nowo narodził albo zmartwychwstał...

— A życie ucieka!

— Taak... I radośnie, i żal, i nawet jakoś wstyd, co?

— Rozumiem. Zapomnieliście. Nie wolno tak zapominać! Nie można...

Podchodzi do nas generał Porochnia. Jest w takim nastroju jak my.

— Juriju Hryhorowiczu, witam! Poznajecie?

— Oczywiście.

— Wasz uczeń. Czytałem o was, widziałem wasze budowle, wasze obrazy...

— Dajcie spokój, bo się jeszcze rozbeczymy.

Witamy się, ściskając sobie dłonie. Lubimy się, więc jesteśmy szczęśliwi z powodu tego spotkania, jacyś rozjaśnieni, ale i smutni.

— Powiedzcie mi sąsiedzi, drodzy goście... — podchodzi stara kobieta o niezwykle surowym obliczu. — Już dziesięć lat codziennie i co noc proszę: powiedz mi, słońce jasne, i wy mi powiedzcie, gwiazdy złote, czy na placu w Berlinie stoi dotąd mój młodszy syn Iwan?

— Tak — odpowiadają wojskowi. — Wasz syn ciągle stoi na tym placu!

— Z mieczem w jednej ręce, a z dzieckiem przy sercu w drugiej?

— Stoi matko, z mieczem.

— Więc miejcie baczenie, żeby stał. I nie upuszczał ani dziecka, ani miecza.

Stepanidę Woroncową zna cała okolica. Na wojnie zginęło jej siedmiu synów. Nie wytrzymała, rozum jej się pomieszał, i kiedy pewnego razu wdowa po jej synu Iwanie pokazała „Ogoniok” z kolorową fotografią pomnika nieznanego żołnierza w Berlinie, Stepanida, uderzona podobieństwem postaci z pomnika do jej Iwana, nigdy już nie rozstawiała się z tym numerem czasopisma.

— To on, widzicie? — pokazuje im swego syna z brązu.

Podjeżdża Zarudny. Wraca z powiatu, gdzie go dłużej zatrzymali, przekazując mu różne sprzeczne instrukcje. Więc jest wściekły. Też i dlatego, że się spóźnił na wyznaczone spotkanie z gośćmi i że zmarnotrawił sporo czasu potrzebnego do budowy wsi na wzgórzu. Więc kiedy zacznie zaraz mówić o swej radości, nie należy oczekiwać, że ta radość rozjaśni nagle jego surową, mało wyrazistą twarz. Jego głos też pozostanie, jak zwykle, spokojny. Będzie obecny tu tylko połowicznie, myślami będzie na budowie.

— Bardzo się cieszę, że chociaż raz mogę was wszystkich razem widzieć w domu! Witajcie! — Sawa Andrijowicz podchodzi kolejno do każdego, wpatruje się w twarze, ściska dłonie. — Jestem

bardzo rad! To duża radość i przyjemność widzieć, że nasz kołchoz dał państwu tak wielu mądrych i dobrych ludzi... O!? Kogo ja widzę?! Rewa?

— Tak, to ja, Sawo Andrijowiczu. Witajcie!

— Z Oceanu Lodowatego?

— Zgadza się. Rozglądam się wokół i zdaje mi się, że śnię...

— A to... I wy też zawitaliście?...

— Dzień dobry...

— To dobrze, to bardzo dobrze! Proszę tylko spojrzeć — szerokim ruchem zaprasza mnie, bym się rozkoszował tym niecodziennym widokiem. — Stu dziewięćdziesięciu nauczycieli, agronomów, lekarzy, inżynierów, oficerów! Z żyjących aż sześciu pułkowników: Sokyrenko, Bondarenko, Doroszenko, Demydenko...

— Jestem!

— Biłokiń!

— Jestem!

— Pułkownik Czub! Kapitan z Oceanu Lodowatego Rewa! Generał Porochnia!

— Jestem!

— Generał armii Fedorczenko!... Witajcie, witajcie, witajcie! Może komu, zwłaszcza po stolicy, nasz widok nie jest zbyt wesoły. Nie możemy dziś niczym zaimponować, chyba tylko suszą i kurzem. Nie jesteśmy milionerami. Nie ma wśród nas ani deputowanych, ani mistrzów kołchozowych zbiorów. Jakoś nam nie wyszło ani jedno, ani drugie. Brakuje ludzi. Jedni wyrosli i rozpostarli skrzydła, by wyfrunąć na wysokie stanowiska państwowe, inni, chociaż skrzydeł nie mieli, też się rozleźli, czy trzeba było, czy nie trzeba, każdy gdzieś tam, gdzie więcej asfaltu, elektryczności, i stamtąd krytykują nas i pouczają, jak siać i orać.

— Sawo Andrijowiczu...

— Nie przeszkadzaj. Już dawno tę mowę przygotowywałem. Taak... Może ta moja mowa nie całkiem będzie składna i wygładzona, ale to nieważ-

ne. Najważniejsze jest teraz jedno, towarzysze. Najważniejsze... — głos Zarudnego załamał się w poczuciu niezwykłości tego, o czym wszyscy oczywiście wiedzą, ale o czym on pragnie osobiście powiedzieć tym, co się tu zebrali. — Będzie tu, towarzysze, morze! Tak! Będzie morze i nasza wieś pójdzie na wieki pod wodę. Właśnie tu, gdzie urodzili się nasi przodkowie i my, gdzie rośliśmy, kochali, płakali i radowali się, będzie dno morskie. Gdzie nasze matki kiedyś jeszcze jako dziewczęta układały pieśni... taaak... będzie dno morskie. Oczywiście artyści mogliby dla muzeów namalować dziś choćby i sto obrazów starych wsi, zmurzałych grobli... Ale artystów malarzy nie ma... Żeby ludzie kiedyś w komunizmie mogli zobaczyć, jak wyglądało to nasze dno morskie. Że powstało ono nie w jakimś tam okresie sylurskim, lecz że jest to nasze, robotniczo-chłopskie, ludzkie morze. No więc pomyślałem sobie: jeśli już ci artyści nie mają sumienia czy rozumu, czy może coś innego skuło ich ubogie duszyczki, wezwę na świadków żywych. I wtedy poprosiłem, by napisali do was listy.

— Dziękujemy, Sawo Andrijowiczu — rozległy się głosy.

— Przepraszam! O co tu właściwie chodzi? — Charyton Brykun był wyraźnie niezadowolony. — Dlaczego wezwano na przykład mnie? Profil mojej pracy, że tak powiem... Nie jestem... tego... malarzem, ale specjalistą od lodówek.

— Proszę nie przerywać!

— Siedź cicho!

Między Sawą Andrijowiczem a Brykunem była stara, wzajemna niechęć, a mówiąc prościej, to kiedyś śmiertelnie się nienawidzili. Więc oczywiście przewodniczący wolałby dziś Brykuna tu nie oglądać. Wyczuwało się to z jego słów.

— Taaak... Nie tylko orły i sokoły zlatują do nas. Przyleciały i pomniejsze ptaszki: prezes Po-

wiatowej Spółdzielni Hodowli Komarów, prezes Powiatowej Spółdzielni Skutecznego Zanieczyszczenia Rzek, dyrektor Okręgowej Centrali Bezrybnej, dyrektor Okręgowej Centrali Zbytu Bubli. Przybyli nawet tacy, co porzuciwszy ziemię, ćwierć wieku kopcili gdzieś w biurach albo biegali jak zbłąkane psy za cudzymi wozami. Ale wyobraźcie sobie, że nawet w tych mizernych naturach coś się odezwało. Powtarzam: jestem bardzo szczęśliwy.

Sawa Andrijowicz jednak ani razu nie spojrzał w stronę Brykuna, więc ten specjalista od lodówek zaczyna się wyraźnie gorączkować.

— Przepraszam bardzo, pozwólcie! Ja jednak chcę przede wszystkim znać sedno sprawy. A te wszystkie drobne ptaszki i zbłąkane psy nie mają tu sensu...

Sprytny Brykun od razu domyślił się, że był to kamyczek wrzucony do jego ogródka, tym bardziej że kiedy przewodniczący mówił o tych zbłąkanych psach, większość obecnych odwróciła się w jego stronę. Bardzo to uraziło jego dumę.

— Jeśli, zgodnie z instrukcją, dana wieś ma iść na dno morza, to pójdzie niezależnie od tego, czy wszyscy tu obecni przyjechaliby, czy też nie przyjechali. To po pierwsze. A po drugie: po co mnie tu wzywano osobiście?

— Pożegnać się z chatą. Przystępujemy do oczyszczania dna morskiego z budynków. Wszystko się likwiduje: chaty, sady, ogrody, wszystko. No więc jeśli ktoś ma tu coś jeszcze — nie patrząc na Brykuna Sawa Andrijowicz kładzie swą kwadratową dłoń na piersi — to bardzo proszę. A jak ktoś ma lodówkę, to wybaczcie i idźcie `sobie, żeby moje oczy was więcej nie widziały...

Ojciec generała Fedorczenki, Maksym Tarasowicz, to wielki oryginał; każdy, nawet Sawa Andrijowicz, podchodzi do niego oględnie i ostrożnie. Niemiarygodnie zadufany w sobie, trudny we

współżyciu, nieprzejednany i zawsze z czegoś niezadowolony. Nigdy nie można było zgadnąć, co mu za chwilę strzeli do głowy. Gdyby nie syn, generał armii, i gdyby nie poważny wiek, nie wiadomo, co by mu się oberwało za jego język. Ma już osiemdziesiąt pięć lat, odejmuje je jednak sobie, nie chcąc rozstać się z dawną reputacją najlepszego cieśli w powiecie. Ciesielstwo ma we krwi. Cieślą był jego ojciec, dziad i pradziad Łukian, który zbudował kiedyś na Siczy cerkiew, wzbudzając podziw całego kosza zaporoskiego. Ma naturę raczej żołnierza niż robotnika, ale wielki los żołnierza przypadł w udziale tylko najstarszemu spośród sześciu jego synów, generałowi armii Hnatowi, z którym też ma jakieś swoje porachunki. Na wojnie stracił aż trzech synów w młodym wieku, dwaj byli żołnierzami, a jeden oficerem.

Stary Fedorczenko, brygadzysta cieśli, jest dziś w kiepskim nastroju. Nie podoba mu się ani nowa wieś, ani pałac kultury, który buduje, przeklinając bez przerwy tę robotę. Widać go właśnie z połykującą siekierą w ręku.

— Maksymie Tarasowiczu, dzień dobry! — wita go uprzejmie przewodniczący kołchozu, podchodząc do domu kultury.

Stary udaje, że nie słyszy powitania, i po raz setny zaczyna kląć i gderać.

— Diabli by ich wzięli z ich planami! Co to ma być? Wieś?!

— A co jej brakuje?

— Kto zarządził budować chaty w jeden rząd pod sznurek? Chaty, baczność! Na biurokrate w prawo patrz!

— Dalibyście spokój, przestańcie. Co wy? Planu sporządził Centralny Zarząd Budownictwa Wiejskiego.

— A ja pluję... Dajcie mi inny Centralny Zarząd! Nie chcę budować wsi pod sznurek!



— Dlaczego?

— Dlatego, że jestem majstrem. Rozumiesz? I mam już prawie sto lat. Ja nie chcę komunizmu na Dnieprze wyciągać po sznurze. Co to za plany?

— Plany jak plany. Zwyczajna wieś.

— Nie, nie zwyczajna! To ma być nowa wieś na brzegu nowego morza. Dlatego czegoś mi tu brakuje, tylko nie wiem, czego. I czuję, że robię nie to, co trzeba.

— Co znaczy nie to? Wieś jak wieś.

— Nie ma własnego wyglądu. Nowej jakości... Rozumiesz?

— Cóż robić? Przecież nie mogę wam tu przywieźć całej akademii architektury!

— Właśnie przywieź! Niech chociaż raz odbędą swoje posiedzenie tu, na krokwiach.

— Ba! Niechby choć raz popatrzyli na step ze swojej wysokości.

— Tak, tak! I pobudowali trzy wzorcowe budynki, trzy różne i ładne, żebym miał z czego wybrać. Jest wyobraźnia?! Czy zamiast wyobraźni jest tylko instrukcja?! Akademicy... Dlaczego w stolicach można złocić kopuły i krzyże? A cerkiew, którą zbudował mój dziad, najlepszy majster Zaporozża, zniszczyli. Jak ja żałuję, że nie ma Boga! Zjawiłby się chociaż na chwilę i pokarałby własną ręką tych bękartów, co zniszczyli dzieło mego przodka! Ani żadnej dumy, ani powagi... Ech!... Stałaby na brzegu morza, przeszłoby jeszcze trzysta lat, my byśmy wszyscy dawno pomarli i zgnili, a nowi ludzie rozkoszowaliby się nad nowym morzem naszymi starociami i starociami naszych przodków... — Stary splunął w dłoń, nie przestając wymachiwać siekierą.

— Wspaniale, ojczy! — woła generał armii podchodząc do nowej budowy.

Stary Fedorczenko już przedtem zauważył, że zbliża się do niego syn, jego sławny syn, ten sam,

który już od dawna błaga go, żeby ojciec przeniósł się do stolicy. A co on by tam robił? Siedziałby z założonymi rękami na utrzymaniu syna? Nie!

— Dzień dobry, ojcze!

— Aa! Zdrawija żelajem, wasze priewoschoditelstwo! \* — w głosie staruszka radość zmieszana z sarkazmem. — Zgodnie z regulaminem wystąp!

Podporządkowując się starym, od dawna oczywiście znanym ojcowskim żartom, generał Fedorczenko wypręża się i salutuje staremu ojcu, który siedzi na krokwiach połyskując siekierą. Jest w cywilnym ubraniu; w oczach z trudem powstrzymane łzy, tak głęboko stary wzruszył go w tym momencie, tak bardzo dumny jest z ojca i tak przejęty siłą jego niepokońanego ducha.

Stary groźnie chmurzy się i też rozkoszuje się widokiem syna. Potem wbija siekierę w krokiew, złazi na ziemię i pozwala synowi objąć się. Ojciec zeschnął się oczywiście, skurczył, stał się wyraźnie niższy od syna. To go peszy, zasmuca go też, że syn ubrany jest nie tak, jakby on chciał.

— Jakoś dawnośmy się już nie widzieli.

— Dawno, ojcze... Jestem bardzo szczęśliwy, że umiecie jeszcze się złościć...

— A, złoszczę się po trochu, dzięki Bogu. Tu nieboszczyka nawet by rozzłoscili... A dlaczego nie włożyłeś munduru? Pokazałbyś się ludziom. Jak wieś, to już można bez munduru? Też coś... A zdarza się, że przyjeżdżają tu i chodzą po ulicy w samych majtkach... Tfu... Wstyd i hańba...

Podchodzi do przywiezionego z łęgów starego pnia wierzbowego, na którym zwykł odpoczywać podczas przerwy w pracy. Na pniu tym zdążył już się usadowić Alik. Nawet nie spojrzawszy, stary strąca Alika z pieńka skutecznym klapsem w kark.

---

\* Zdrowia życzymy, wasza ekscelencjo!

Alik na chwilę nieruchomieje; po raz pierwszy w życiu oberwał. Stary siada na pniu.

— No, dobrze, żeś przyjechał. Myślałem, że cię już nie zobaczę... Matka płakała do samej śmierci.

— Ale dlaczego ojciec nie przyjechał do mnie?

— Bzdura... To twój chłopczyk?

— Tak. To Alik.

— Jak?

— Alik.

— Alik... Chodź no tu. Podejdz, nie bój się, głuptasie... Wstydzi się... Podaj dziadkowi wodę. Wodę podaj! No co stoisz jak głupi?

— Jaką wodę? Skąd?

— Hnat, podaj mi wodę.

Generał podaje ojcu kubek wody.

— Dziękuję... A uczy się chociaż?

— E! — generał machnął wymownie ręką.

— Dlaczego ty się źle uczysz?

— Dlatego, że...

— No, dlaczego?

— Nie wszyscy mogą dobrze się uczyć. Ktoś musi się przecież uczyć źle.

— Ach tak...

— Matematyka nie wychodzi.

— Nie wychodzi, powiadasz? To rozwiązuje zadania.

— Nie dadzą się rozwiązać.

— A kimże ty będziesz, jak dorośniesz?

— Będę śpiewać w operze.

— Jak?

— Basem. Miałem alt, ale teraz przebija się już bas.

— Aha...

— Albo może będę prokuratorem, albo sędzią.

— Kto ci to powiedział?

— Mama.

— A dlaczego ty masz zostać sędzią? Na jakiej podstawie?

— Bo tam nie jest potrzebna matematyka.

- A co jest potrzebne?  
— Przestępcy.  
— Jacy przestępcy?  
— Różni, tacy, jakich będę sądzić.  
— Pięknie. Więc chcesz być sędzią. A na jakiej podstawie chcesz sądzić ludzi?  
— Tam są paragrafy. I trzeba tylko mieć wy-czucie, jaki paragraf dla kogo.  
— Taak... sędzia. A do mnie na ciesielkę nie poszedłbyś?  
— Nie.  
— Dlaczego?  
— Papa jest generałem, więc jak ja mogę być cieślą?  
— A jak ojciec ci nakaze?  
— Nie chcę.  
— Dlaczego?  
— Nudno tu. I to robota fizyczna.  
— I dlatego chcesz sądzić ludzi?  
— **Tak.**  
— Ano, daj no mi kij...  
Alik znika za rogiem chaty, szukając oczywiście kija...

Powracamy raz jeszcze do starej chaty. Staremu oczywiście jej żal. I z tym przeklętym żalem boryka się w milczeniu już trzeci rok, złości się i gdera.

Nawet charakter mu się pogorszył. To nie mieszkanie w mieście, żeby walizki do ręki i już go nie ma. To siedziba. To dość jeszcze mocna ta chata, a mimo to zaraz ją zrujnujemy, dlatego że przyszedł czas, żeby tak zrobić. Wgnieciemy wesołymi buldożerami jej gliniane ściany w ziemię i nagle stanie się tak, jakby nigdy na ziemi jej nie było, nikt się w niej nie urodził, nie cieszył się, nie umierał.

Oto stoi jeszcze, biała i czysta. Jest letnia noc. Stajnia też jest biała z ochrową smugą w dole. Na

białej ścianie czerwony pieprz, złociste kolby kukurydzy i pęczki zeschniętych ziół leczniczych.

Pies Pirat i kury jedzą z niemieckich hełmów.

Na podwórzu wysoka, stara grusza. Pod gruszą stół i zawieszona na gałęzi kołyska. A dalej ogród, łąki, jeziora z sitowiem, a za jeziorami we mgle Dniepr. A nad tym wszystkim błękitne niebo. Bez jednej chmurki. Tu przeszło życie czterech, jeśli nie pięciu pokoleń Fedorczenków.

— Taak... Oto drzewo, które lubiłeś. — Stary Fedorczenko podchodzi z synem do gruszy. Jakby się odmienił. Znikła wojowniczość i niechęć do świata. Smutno teraz staremu na starym podwórzu.

— Już tu trochę wyrąbałem, patrz: czereśnie, morele, czarne topole, ale gruszę zostawiłem do twojego przyjazdu. Porąb ją sam. Masz... — Stary podaje synowi siekiere.

Generał bierze siekiere. Jak opanować wzruszenie?... Jak porąbać to drzewo?...

Stary cieśla patrzy na gruszę, pod którą przeżył całe życie.

— Cudo...

— Och, ojciec... — wzdycha cicho generał, czując, jak proste sprawy mogą okazać się skomplikowane.

— Rozumiem. Ciężko powracać do przeszłości. Przecie tyś przez całe życie szedł...

— Tak. „Naprzód, naprzód, Fedorczenko...”

— Jakie jasne i wesołe to drzewo — mówi Antonina, patrząc z miłością na gruszę. Oczy ma czyste, głos łagodny, przyjazny. — Już pewnie będą rąbać, oj... — zwraca się do sąsiada Ałczewskiego.

— Słuchajcie, a może by tak, diabli go wiedzą, ale tak czasami sobie myślę: zamienić to wszystko, no... jednym słowem, żeby zamiast tego pokojowa energia atomowa, co? — wtrąca się do rozmowy

wy Ałczewski. — A co wy na to, Hnacie Maksymowiczu? Przecież nastąpiła już era atomowa?

— Tak — generał patrzy w zamyśleniu na swoją gruszę. — Tylko że nasze morze to nie jest problem energetyki w zwykłym znaczeniu tego słowa... To przede wszystkim problem nawodnienia, a więc życia i rozkwitu naszego Południa.

Antonina nie zna się na erach i problemach energetycznych, ale te przyjemne i zrozumiałe dla niej słowa, jak życie i rozkwit, ucieszyły ją.

— Ja też tak myślę — w głosie Antoniny gra nuta nadziei, która nigdy jej nie opuszczała. — Ale tak sobie miarkuję, że niechby już ta grusza została tu, bo to przecież my... generały i dostojne ich wysokości. A morze, jak już nie dozwolone dalej żyć bez niego, niech tam już sobie pójdzie dołem, o, tędy na Skorbnę, na Czortomłyk... co? Powiedziałam coś nie tak?...

Wszyscy w milczeniu uśmiechają się z powodu tych „my, generały”.

— No cóż. Wam do śmiechu, a ja tak bardzo chciałabym umrzeć kiedyś właśnie pod tą gruszą.

— Cóż tam nasze grusze i chata, i piękno, kiedy przyszedł czas stanąć o życiu kraju na tysiące lat! — Generał zwraca się do Antoniny bez cienia uśmiechu, z głęboką serdecznością.

W tym momencie dostrzega malowniczą grupę dzieci, niosących wypchane ptaki błotne i wypchanych czworonożnych mieszkańców dnierzańskich żuław. To uczniowie przenoszą do nowej szkoły eksponaty muzeum fauny z podlegającej zatopieniu strefy. Wesoła procesja nagle zatrzymuje się, by popatrzeć na swojego sławnego ziomka, bohatera wielkich bitew.

— Wszystko tu będzie nowe i piękno będzie nowe, nie łąkowe już, nie błotne, lecz morskie... No a co wy na to, chłopcy? — zwraca się Fedorczenko do młodych przyrodników. — Morze czy pełne komarów łągi?

— Morze! — odpowiadają chórem chłopcy z wypchanymi ptaszkami.

— Na płacz mi się zbiera... Dzień dobry!

— Dzień dobry.

— Och, Boże miłosierny...

Łzy ciekną po starej, rzadkiej prawości surowej twarzy ze śladami dawnej urody. To sąsiadka Antoniny, Sołomija Besarab. Jej rodzina już trzy tygodnie mieszka w nowym, ładnym domu na wysokim wzgórzu, ale w jej sercu radość z nowego splotła się ze smutkiem. I smutek okazuje się silniejszy. Jej stare serce ciągnie do starej ruiny, dlatego że nie ma w niej już przyszłości, lecz tylko to, co przynależy do starości: przeszłość. Przeszłość, która umiera na jej oczach. I przeszłość, którą ona przeżyła: łęgi, sad, rzeka Pidpilna i mogiły ojców, i ulica, i chata, w której doznała wszystkich swych radości i kochania, i wszystko, wszystko... I dzieci. Dla niej już nic nie powróci.

— Rozbierają dach!

— No cóż, już pora. — Stary Fedorczenko nie znosi łez. — Czego beczysz? My też jutro rozbieramy... I skąd się w tobie bierze tyle tych głupich łez?!

— Bociana żal... Rozbierają na chacie gniazdo... Niewinny ptak też cierpi, mój Boże...

W tym momencie niewinny ptak zaczyna trwożnie krążyć nad podwórzem.

— Oj, ptaszyno ty nieszczęsna! — Sołomija klaszcze ze współczuciem w ręce. — Nie masz ty już gniazdka swojego, nie masz gdzie głowy skłonić... Dokąd teraz poniesiesz od nas szczęście?

— No, dość już płaczu! Przytuli się gdziekolwiek. Wstyd płakać przy dzieciach — śmieją się.

A dzieciom bardzo wesoło. Patrzą w górę na bociana i wyciągają do niego ręce z wypchanymi ptakami.

Grupa przyjezdnych zatrzymała się na wzgórzu, gdzie kiedyś nad rozległymi łągami wznosiła się ich cerkiew. Przed nimi na dziesiątki kilometrów ciągnęły się bujne łągi z lasami, malowniczymi jeziorami, zatokami i gęstym sitowiem — królestwo ryb, dziczyzny i komarów, z którymi związane są nierozzerwalnie wspomnienia z dzieciństwa.

Wszystko, co im, ich ojcom i dziadom wydawało się piękne od pierwszych dziecięcych lat, wszystko zniknęło.

Olbrzymia gładka równina bez jednego drzewa po obu stronach Dniepru nie raduje dziś oczu lirycznie nastrojonych widzów. Nowe piękno nie zastąpiło jeszcze minionego. Przed nimi dopiero pole bitwy o to nowe piękno i w marzeniach nie wszyscy jeszcze je widzą. Jest ono tylko w najbardziej płomiennych sercach.

Zachód słońca zapowiada posuchę i spiekotę.

W milczeniu przewożą z łąki ostatnie pnie starych wierzb. Nie słychać śpiewu ptaków: nie ma drzew. Zamilkł nawet Krawczyzna, nie słychać jego chóru. Jako członek zarządu jeden z pierwszych, dla przykładu, rozbiera swoją chatę. Stoi teraz na niej pracując siekierą i łomem. Obok żona strąca widłami rupiecie ze strychu. I w miarę jak rozwalał ubogi słomiany dach i zaczął wyłaniać się z starego słomianego poszycia archaiczny komin, ogarniał go coraz większy smutek. Czuł się tak, jakby ten smutek wchłaniał wraz z pyłem i kurzem rozwalanego domu. Był to smutek, jakiego kiedyś doznawaliśmy czasami żegnając się z matką przed daleką drogą w pogoni za szczęściem. Żeby już jak najszybciej się oderwać, jak najszybciej zanurzyć się w nowym świecie.

Z chaty wyrwano już futryny drzwi i okien; patrzy teraz biała na świat przepastnymi, przerażającymi oczodołami. Jest w niej coś tragicznego jak w antycznej masce. A jednocześnie jej żaloszny;



przygnębiający szkielet wraz z dwiema figurami jest w jakimś sensie równie poetyczny jak przepiękna kachowska grobla naddnieprzańska, budowana o sto kilometrów niżej. Tylko że to jakby odwrotna strona patetyki Kachowki.

Mam ochotę powiedzieć Krawczyźnie kilka dobrych słów, ale on nie chce ich słuchać.

— Nie potrafię teraz ani śpiewać, ani tańczyć, nie drażnij mnie, nie pognębiaj.

— Sam siebie pognębiasz.

— Daj spokój, nie chcę słuchać, chociaż jesteś jakimś tam laureatem.

— Nie zaznasz radości, kiedy będziesz robić jedno, a myśleć o drugim.

— A o czym ja mam myśleć? Wyrąbałem dziś rano sad koło studni, z której kiedyś piliśmy z tobą wodę, z której pił mój ojciec i mój dziad. A teraz i ją rujnuję. To przecież nie miejskie mieszkanie: rzeczy do walizek i cześć! To chata!

— Chałupa. Ale przecież na wzgórzu czeka na ciebie nowy dom.

— Tu się urodziłem. Kłębi się od wspomnień, rozumiesz?

— A ty stań wyżej.

— Stoję.

— Myśl o morzu, o nowej Kachowce!

— Widziałem. Im tam dobrze. Dwadzieścia tysięcy i wszyscy młodzi. Budują miasto nad samym Dnieprem. A tu, do diabła, wypaliło do czysta wszystko, piętnaście miesięcy nie było deszczu. Proszę bardzo! Jedną chatę buduj, drugą rozwalaj, ścieraj z oblicza ziemi: to rozkaz morza! A ja jestem zakurzony kurzem przeszłości...

— Ależ rujnowanie to też budownictwo. Ty też budujesz morze.

— Buduję, niech będzie przeklęte!

— Daj spokój. Kiedyś przekłinaliśmy tak bitwy, ale wojnę wygraliśmy.

— No to nie pytaj. Pozwól mi się pozłościć w milczeniu... Morze, morze...

Jednym uderzeniem obucha rozwała komin i znika w chmurze pyłu. Znikam i ja, słysząc więc już tylko nasze słowa w tym pyle.

Ja: Przecież to wielka historyczna konieczność.

On: Słyszałem to już sto razy.

Ja: Już od wieków stepy są spragnione wilgoci!

On: Czyżby? Dziękuję za informację.

Ja: Pustynia sunie na Europę. Studnie wyschły na przestrzeni setek kilometrów!... Tylko morze!...

On: Przecież nie mówię, że morze nie jest potrzebne. Ja też dla niego pracuję. Jestem tylko rozstrojony, słyszysz? Chyba widzisz, jak się męczę... od trzech dni! Nie mogę się składać z samych tylko molekuł entuzjazmu. Jestem człowiekiem. Nie wolno się tam bawić, bałwany! — krzyknął do dzieci, które wesoło baraszkowały w zbutwiałej słomie.

— No, coś ty się tak podniecił? — Podchodzi generał Fedorczenko. — Jak się macie.

— *Zdrawija żelaju.*

— Ten człowiek nie chce nic zrozumieć — mówię do generała. — Cześć!

Krawczyzna jest na mnie wściekły.

— Co on tam rozumie... Tam, w Dnieprze, kąpał się w czterdziestym trzecim, pamiętacie?

— Pamiętam.

— Zdaje się, że wtedy wy nami dowodziliście?

— Przypuścimy.

— A jaki był deszcz i wiatr, pamiętacie? I właśnie wtedy na tym brzegu, akurat przed tą chatą, którą teraz rozwalam... psychologiczny moment, co?!... — pod naporem wspomnień Krawczyzna wali pięściami w piersi. — Pamiętacie wiatr i deszcz?!

Wiatr i deszcz. Noc, jakiej nigdy nie zapomni nikt z tych, co zostali przy życiu...

— Dniepr! Przecież ja się tu kąpałem! To moja rzeka, bracia! — Sierżant Krawczyzna brodzi po kolana w wodzie, a na brzegu stoją na mokrym chłodnym piasku jego bojowi towarzysze. — To mój brzeg, patrzcie! O, tu, na wprost, na wzgórzu, widzicie grusze i wiśnie? To moje! A za wiśniami chata...

Ale żołnierze nie widzą ani wiśni, ani grusz. Widzi je jeden Krawczyzna i to tylko w wyobraźni, bo ciemność okryła cały świat.

Dniepr niespokojnie szumi i ryczy, i fala liże brzeg, od ziemi do nieba zalega ściana głuchego, bezgwiezdneho mroku.

Nagle rozbłysnął i zapłonął cały prawy brzeg i widać było scytyjskie mogiły nad Dnieprem i piasek lewego brzegu. A po tej stronie, za piaskami, w przybrzeżnych krzakach, i dalej, za łożyną, w lasach, kipi w ciemności robota.

Rąbią wierzby, grusze i topole, rzną deski, ciosają kłody i pale na mosty, ciągną pontony i tratwy. Setki najrozmaitszych środków przeprawy — szalup, czółen-wywrotek, beczek, bram z desek i tego wszystkiego, za co tylko człowiek mógł się uchwycić, żeby nie utonąć — wszystko to przenoszone jest na ludzkich plecach przez zarosła do Dniepru.

Ciężkie kłody i śliskie deski wymykają się z rąk padając w jamy razem z ludźmi, ale dziesiątki tysięcy cieśli, pontonierów, saperów nie zwraca uwagi ani na drzazgi, ani na zdartą skórę na stwardniałych dłoniach, zapominając, że nie spali już dwie doby i prawie nic nie jedli, bo nie było kiedy, i jedzenie stygło w połowych kuchniach.

Dniepr! Każdy, od generała do prostego żołnierza, rozumie, że trzeba spieszyć na tamten brzeg, póki rozbici w lewobrzeżnych bitwach hitlerowcy nie opamiętają się.

— To wszystko... Zaczynamy! — Generał armii,

spojrzawszy na zegarek, wstaje od map wojskowych. Powstali również wszyscy generałowie, pułkownicy, dowódcy poszczególnych jednostek i oficerowie polityczni. Narada wojenna zakończyła się.

— Pozostała jeszcze godzina. — Generał armii mówi powoli i cicho, ale każde jego słowo ma siłę najgłośniejszych wydawanych rozkazów. Zapomnijcie teraz o wszelkich nakazach, trudnościach, wszelkich drobiazgach, o prozie i całym mechanizmie wojny. Idźcie do żołnierzy i powiedzcie im to, co najważniejsze. A najgłośniejsze teraz i najważniejsze to dobre słowo. Powiedzcie im, jak tylko potraficie najlepiej, to, co podpowiada wam ta noc. To wielka noc. Dlatego nie bójcie się wielkich słów. Powiedzcie im, że dziś nie ma na całym świecie ludzi od nich piękniejszych i czystszych. Odmierzajcie życie i śmierć wielką miarą. Powiedzcie prostemu człowiekowi, żołnierzowi, którego dziadowie i pradziadowie wymodlali sobie u Boga za kopiejkową świeczkę strzęp nieśmiertelności, że w tę noc nieśmiertelność sama stuka do jego piersi. Idźcie!

— Żołnierze wielkiego Związku Radzieckiego! Forsujemy Dniepr!

Pułkownik Riabow, Zarubin, Fedorczenko i inni pułkownicy i podpułkownicy wyjaśniają żołnierzom rozkaz dowództwa.

Pułki stoją w ciemnej mgle. Rozkazy były dokładne i każdy już dawno wiedział, co ma robić i wiele przemyślał przygotowując się do przeprawy.

— Tysiąc lat temu w tej samej rzece przyjmowali chrzest nasi przodkowie. Dziś my wступujemy w tę świętą rzekę! — Pułkownik Fedorczenko, nie przywykły do patosu, robi pauzę, jakby dziwił się sam sobie. Nigdy jeszcze tak nie przemawiał, czuje jednak, że generał miał rację: właśnie takie słowa potrzebne są teraz żołnierzom.

W tej mgle głos jego był jasny i głęboko ludzki. — Niech każdy z was pomyśli, po co przyszedł na świat w tych wielkich czasach. Czego oczekują od nas narody? Jakich czynów? Rozejrzyjcie się wokół siebie. Niech każdy wsłucha się w głos swej duszy. Czy jest ona wolna od balastu spraw osobistych, wspomnień, pragnień?!

— Śmierć faszystowskim okupantom! — zabrzmiała głucho we mgle odpowiedź pułku.

— To wielka rzeka — już przy brzegu mówi do swego batalionu major Podsikajło. — I chociaż nie ma się czym przepawić, my jednak wkrótce znajdziemy się po tamtej stronie. Tak nakazuje nam obowiązek wobec ojczyzny.

Major Podsikajło spojrział na Dniepr i groźnie się nachmurzył. Wiatr smaga go deszczem, ale nie o deszczu myśli teraz dowódca batalionu.

— Czego mamy sobie życzyć tej nocy i co przekazać naszym dzieciom, jeśli tego i owego z nas zahaczy, że tak powiem, pocisk albo zagarnie fala?

Batalion: Śmierć faszystowskim grabieżcom!

Major Podsikajło: Taaak... To wszystko! Pierwszym czółnem dowodzi sierżant Krawczyna!

Sierżant Krawczyna: (w czółnie) Nie oglądać się, to raz! Zupełna cisza, to dwa! Patrzeć uważnie, to trzy! Jazda!...

Tak rozpoczęła się wtedy ta bitwa. Początkowo poszło ich niewielu: wszystkiego pięć chybotliwych, wątłych czółen. Fale rzucały nimi w różne strony, znosiły je, zalewały bryzgami. A za falami nic nie widać.

Nagle uderzyła w nich z prawego brzegu fala nieprzyjacielskiego ognia. Wszystko zalane zostało feerycznym światłem. Krawczyna dostrzega rodzinny dom, a przed nim groźny Dniepr. Woda kipi i pieni się od kul. Oświetlone wybuchami min i pocisków fontanny wody rozcinają mrok i spadają ciężkimi, zimnymi potokami na płyną-

cych i tonących. I cała rzeka, jak okiem sięgnąć, w prawo i w lewo, pokryta wojskiem. Żołnierze prą naprzód do śmiercionośnych ogni na rybackich czółnach, na tratwach, na beczkach, na wyrwanych z zawiasów wrotach, zbrojni tylko w lekką broń i męstwo.

Brzeg!...

Są już na brzegu.

Tylko sierżanta Krawczyny nie ma.

Gdzie Krawczyna? Jest Krawczyna, tam! Oto jego czółno!

Uwaga!...

Trzymaj się, sierżancie! Zbliża się przeznaczony dla ciebie pocisk! Podnieście swoje czółno i podrzuci do góry jak drzazgę, a twoja krew zabarwi mętną wodę. Oj, Krawczyna!...

Lodowaty nurt już niesie go z prądem razem z wieloma, wieloma... Jeden z nich ma oczy otwarte szeroko, jakby w tej ostatniej chwili dziwił się swemu losowi i tej potwornej kanonadzie...

— I takie to sprawy... — Krawczyna pali papierosa, którym poczęstował go Fedorczenko. Wspomnienia jakoś zupełnie go odmieniły. Twarz stała się surowa, z wyrazem zakłopotania, jak u żołnierza, który wie, że być może trzeba będzie... Lepiej nie wspominać!

— A trzeci order uciekł mi przed samą chatą. I co wy na to?...

— Oczywiście że to nie w porządku. Ale teraz nie można tego tak przeżywać.

— A ty nie pouczaj go, nauczycielu — dał się słyszeć nagle głos jego matki skierowany wyraźnie do mnie. — Ciągłe tylko poucza i ustawia jak politruk. A dlaczegoś płakał, jak gruszę rąbali?

— Kto? Kiedy? — pytam zupełnie zmieszany. Nie wiem, co odpowiedzieć, wstyd mi.

— Widziałam. Myślisz, że nie widziałam?... Wczoraj.

— Ja nie płakałem — próbuję się wyprzeć.

— Łżesz! A może twoja siostra, jak porzucała chatę, też nie płakała? Nie całowała futryn i starego pieca? Może nie lamentowała: „Oj, chatko moja, gołąbeczko, żegnaj! Dziękuję ci za ciepło, za dobro!”? Ale tam milczałeś!

Jestem zupełnie zbity z tropu. Rzeczywiście, kiedy rąbali gruszę i wrywali z chaty okna z okiennicami, pozostawiając ziejące pustką oczodoły, krzyknąłem wprawdzie: „No, baby, dość już tego płaczu!”, ale odszedłem szybko, bo czułem łaskotanie w gardle. A one, już beze mnie, całowały piec i głaskały delikatnie stare drzewo okiennic. I dopiero później, kiedy przeniosły się do nowych, wesołych domów i oblewały nowe mieszkania, mówiły między sobą wzruszone, uśmiechając się: „No, aleśmy się napłakały, nie daj Boże... Taka żałość nas brała... Tylko ci przyjezdni milczą. Mają kamienne serca! Jakżeż można porzucać starą chatę, nie roniąc łez?!”

Rozbiera chatę Fiłon Besarab, mój sąsiad, pięćdziesięcioletni cieśla. Lekka nieregularność rysów delikatnej twarzy, wąsy i ciemna bródka z siwizną czynią go podobnym do apostoła z obrazów El Greca. Jego cichy, nacechowany szczerością głos, jego miękki uśmiech, jego duże, promienne, ciemne oczy, cała jego wątła postać emanuje dobrocią i wrodzoną szlachetnością.

Rozebrał już dach starej chaty i teraz wrywa okna i drzwi. Rozbierając chatę bardzo starannie i nawet wesoło, mimo wszystko nie wierzy w jej zatopienie. Nie. Jeśli kiedyś rzeczywiście będzie tu morze, to jego sadyba pozostanie nietknięta, o czym obwieszczał wszystkim już nieraz.

— Brzeg pójdzie o, tak, tędy, patrzcie! O, tak jak biegnie ten parów. Rozumiecie? A tu gdzie ja, będzie półwysep.

— Więc dlaczego rozwalacie chatę? Czemu przenieśliście się do nowej?

— A to zgodnie z ogólnym zarządzeniem. Przyszli, wymierzili, kołek wbili: trafiłem do tej strefy, no i chcesz czy nie chcesz musisz wspiąć się na wyższy szczebel. Tam oczywiście już tak ładnie nie będzie.

— Dlaczego? Przecież tam bardzo dobra widoczność. A jak jeszcze podejdzie morze!...

— Ojej, morze... A co to takiego morze? Dużo wody. Morze... Tylko paruje ciągle.

— To co, nie macie ochoty?

— Nie w tym rzecz, czy się chce czy nie. Musi się mieć ochotę. Jeśli to stało się główną sprawą naszych czasów, to na niechceniu daleko się nie pojedzie.

Ale oto ze zgrzytem i dudnieniem na podwórze — jeśli to, co pozostało, można jeszcze nazwać podwórzem — wjeżdżają dwa buldożery.

Filon Besarab nagle zbladł.

— No, pobłogosławcie, gospodarzu! — woła wesoło kierowca spycharki.

— Zaczekajcie chwileczkę... Stójcie! — głos jego staje się cichy, jakby nagle wysechł. — Jedną chwileczkę... Tylko się odwróć... — uroczyście odwraca się, zasłaniając lewą ręką oczy.

— Można?

— Można...

Buldożery wrzynają się ze zgrzytem w ścianę. Chata momentalnie wali się, wznosi się pył. W kurzu stoi tylko nie naruszony piec. Ale oto i piec już pada, starty z powierzchni ziemi.

Filon ogląda się: pusto. Chaty nie ma. Wszystko jak we śnie.

Mój drugi sąsiad, Hryhory Szyjan, postanowił w ogóle nie porzucać swej starej chaty na wysokim wzgórzu nad łąkami. Początkowo, co prawda, rozebrał nawet dach na stajni. Potem spojrzął na sad, na rozległy horyzont, i mimo to, że córki go przekonywały, sąsiedzi śmiali się z niego, kierow-



nik robót czaszy przyszłego morza Walery Hołyk, który przyjechał z Kachowki, nakazywał mu i interweniował nawet sekretarz komitetu powiatowego Walery Biłous — nic nie pomogło.

Czy Szyjan był pewny, że woda nigdy nie pojdzie do jego chaty, czy nagle doszedł do głosu upór, czy też maskowany zewnętrzną gruboskórnością głęboki żal w obliczu rozstania się z domem, w którym urodził się i przeżył całe życie, nie pomogły ani żadne perswazje, ani państwowe subsydia na nowy dom, ani nawet pogróżki Hołyka.

— My i tak rozwalimy twoją chatę buldożerem. Słyszałeś?

— Nie straszcie! Nie tacy już próbowali nas zastraszyć...

Różni różnie to komentowali.

— On chyba pomyłony.

— On nie pomyłony.

— Więc dlaczego nie rozbiera chaty?

— Rozbierze, nie gorączkujcie się.

— Kiedy kategorycznie odmówił!

— On nienawidzi nakazów. Nakazów i instrukcji jest bardzo dużo i on nie nadaża.

— Dlaczego?

— Diabli go wiedzą! Nie ma do tego serca. Wścieka się i udaje, że robi na opak.

Kierownik robót Hołyk jest wściekły. Zaczyna już krzyczeć na Szyjana.

— Pytam cię po raz ostatni: \oczyszczysz teren w strefie zatapiania czy nie?

Szyjan: Nie tylko teren oczyszczę, ale ostatnią koszulę z siebie zdejmę, tylko uśmiechnij się do mnie po ludzku chociaż raz, żebyśmy odczuł dobroć nie w ogóle, ale w twoich oczach.

Hołyk: Nie czas na uśmiechanie się. Śmiechu mu się zachciewa!

Biłous: Musimy budować morze!

Szyjan: Ale mimo to uśmiechnijcie się. Nie patrz-

cie na mnie wilkiem. Powiedzcie do mnie: dzień dobry, jak zdrowie, jak żona, dzieci? Złóżcie mi życzenia z okazji święta narodzin nowego morza. Fiłon Besarab: (podchodząc) Nie licz na to. To do niego nie dociera.

Szyjan: Uhm. Brak mu inteligencji, nic na to nie poradzisz!

Besarab: Tak. Nie grzeszy mądrością.

Szyjan: Żebyś wiedział! Nawet tchórz okaże się kiedyś dzielnym, skąpiec chociaż raz w życiu będzie szczodry, łajdak porządnym, nieszczęśliwy szczęśliwym. Jedno tylko nie przychodzi samo: inteligencja. Jak ktoś jest jej pozbawiony, to o nic nie pytaj, nic nie pomoże, niezależnie od tego, na jaką pracę go wyznaczysz. Jedno tylko potrafi: wrzeszczeć jak gigantofon!

Hołyk nie spodziewał się takiego uporu, więc znowu pojechał zadzwonić do Kachowki, do samego Arystarchowa.

U Arystarchowa wielka narada. Obecnych jest trzydzieści osób — inżynierów, naczelników wydziałów, wykonawców z różnych odcinków budowy. Może się wydawać, że Arystarchow słucha wypowiedzi nieuważnie, jakby od czasu do czasu był nieobecny. Stałe pięcioletnie już napięcie, znajomość ludzi i codzienna zmienność najbardziej skomplikowanych żywych procesów, jakimi kieruje, powodują, że jego uwaga działa jednocześnie w kilku kierunkach. Replikuje celnie przemawiającym, rozmawia z różnymi miastami przez telefon słuchając jednocześnie wypowiedzi na naradzie, zastanawia się, przez jakie wąskie gardła trzeba będzie za trzy miesiące przepychać robotę z powodu błędów popełnionych teraz przez dwóch kierowników odcinków budowy, a równocześnie, przypatrując się swemu inżynierskiemu sztabowi, myśli:

„Jakimi wejda ci ludzie do historii budownictwa

komunizmu? Wspaniałymi. To znaczy, mówiąc szczerze, oni są już takimi. Twórcy najbardziej skomplikowanej budowy w warunkach niemal jednoczesnych badań, projektowania i wykonywania robót budowlanych przy wszystkich trudnościach rozliczeń za przedterminową pracę.

W czym tkwi piękno? W procesie tworzenia, w wielkości jego rezultatów. A że Zubrycki, Ozirow i ten niezdarny Boczarow nie wydają mi się takimi, jakby się chciało, to nie ma to większego znaczenia. Podobnie jak i to, że robota wydaje mi się codziennie taka niedoskonała. Przecież tak samo było i podczas wojny domowej, i w czasie kolektywizacji wsi, i na wielkiej wojnie narodowej. A przecież jakie powstały dzieła o światowym, historycznym znaczeniu i jakie były sukcesy!...”

Rozmawia przez telefon z zastępcą przewodniczącego rady ministrów w Kijowie i spogląda na naradę obojętnym pozornie okiem:

„Siedzą przede mną moi współcześni, moi drodzy współbojownicy... Najbliżsi mi nowi towarzysze nowej epoki...”

Do telefonu:

— Taaak! Niedobrze, że znowu nawalają z betonem!... Tak, słyszę... Jak długo będziecie jeszcze nas zwodzić?... No, dobra, dobra! Przyjadę za godzinę, ale uprzedzam: nie będziecie tym uradowani! — Odkłada słuchawkę.

„...Wnikliwe, cierpliwe, niezmiernie wytrwałe jest to moje heroiczne pokolenie bolszewików! Minie niewiele czasu, jak ci ludzie przegrodzą Dniepr, Wołgę, Jenisej i Angarę, stworzą morza zawierające setki miliardów metrów sześciennych życiodajnej wody, przeprowadzą przez stopy kanały nawadniające, zmieniają oblicze ziemi. To oni. Z nimi powinienem wejść do historii wielkich robót...”

Rzuca replikę:

— Brak solidarności, ot co! Brak pomocy sąsiedzkiej. Nie myśli się o tym, żeby sąsiada podciągnąć, sygnalizować mu niebezpieczeństwo rozszczepienia frontu, wreszcie wymagać od niego, oto czego nam brakuje!

Arystarchow mówi cicho, patrząc z nie ukrywana wymówką na inżyniera Boczarowa:

— Czy dobrze was zrozumiałem?

— Tak — odpowiada Boczarow, speszony swym nieudanym wystąpieniem.

— Nie jest przecież aż tak, żeby wszystko było złe. Jest wprawdzie wiele niedobrego, ale jest też i wiele dobrego, nawet wspaniałego. Za nisko patrzycie. Tak, tak, patrzycie tylko ciągle w dół.

Hołyk nie dodzwonił się do Arystarchowa.

— On jest teraz bardzo zajęty. Nie mogę... Proszę nie nalegać. Tak... Najwcześniej za dwadzieścia minut — odpowiada mu przez telefon dyżurny sekretarz.

Hołyk wieszka słuchawkę.

Dwanaście tysięcy ludzi zamyślonych, tworzących w ciszy, zmierzających do tego samego celu. To nowy, powojenny poziom intelektualny narodu. Wielka epopeja wojny narodowej, zwycięstwo, praca partii, kontakty z Zachodem, nowa technika, nowe stanowisko państwa w dziedzinie stosunków międzynarodowych — cały nasz nowy dzień wyczuwa się wyraźnie w kolektywie budowniczych.

Jeszcze niedawno, tu, w pobliżu bagnistych brzegów Dniepru, jakoś dziwnie koegzystowały, jak na wystawie plastycznej, zupełnie nie przylegające do siebie krajobrazy.

Krystaliczne strumyki źródeł z idyllicznymi wierzbami, tajemnicze trzciny, zaciszne jeziora z nenufarami i jeśli nie z rusałkami, to w każdym razie z karasiami i linami. A obok olbrzymie stożki wydobytego z głębin trzeciorzędu żółtego pias-

ku, długie zardzewiałe rury metrowej średnicy ciągną się kilometrami, gdzie tylko spojrzeć, przez jeziora i sitowie.

Powietrze aż drżało ciągle od zgrzytu traktorów, ciągnących do Dniepru bardzo długie sztaby stalowych szpuntów i rur oraz olbrzymie arkusze blachy stalowej. Warczały pogłębiarki. Chrzęst metalu i łoskot wybuchów. I niezliczone metry sześcienne przemieszczonej ziemi.

I oto stoi już to cudo — jasna grobla. Tak już ją nazywają i patrzą na nią z miłością.

Arystarchow przyjmuje dramatopisarza. Nie ma spokoju na twarzy inżyniera ludzkich dusz. Minęły już dwa tygodnie, jak wyjechał ze stolicy nowym samochodem. Jechał przez stepy, wpadł do Askanii-Nowej dla odświeżenia się, nocował u trzech przewodniczących kołchozów, jadł kawony, kąpał się, obszedł cały teren budowy, odwiedził sekretarza komitetu partyjnego, radę zakładową, wydział specjalny, rozmawiał z pięcioma robotnikami, a pomysłu na sztukę ciągle nie ma. A jak nawet przebija jakaś tam fabuła, to znowu brak konfliktu. A czas już wracać do stolicy.

— Nie wiem, co mam panu pokazać. — Arystarchow rozkłada przepraszająco ręce. — Oczywiście sztuka, jak poucza partia, jest niewypłacalnym dłużnikiem wobec narodu.

— Oczywiście — potakuje dramaturg.

— Wątpię jednak, czy mógłbym w czymś panu pomóc. Zabójstw u nas nie ma, miasto nowe. Z kradzieżami i rabunkami też bardzo słabo. A panu, jak wiem, potrzebne są konflikty.

— Oczywiście.

— Niestety w tym artystycznym, że tak powiem, znaczeniu nie ma ich u nas. Nasz powiat jest inżynierski. Oczywiście grobla, tama i przygotowanie dna morskiego to rzeczy bardzo skomplikowane. Panu poza tym potrzebne są uczucia,

poezja... Potrzebny jest nie tylko heroizm, entuzjazm, pokonywanie trudności, ale i namiętności i przeżycia duchowe, uniesienia...

— Nie... To jest, oczywiście tak.

— Potrzebne są też panu ludzkie cierpienia, które wspólnie z radością stanowią o autentyczności życia. A jakie tam u nas cierpienia? Z jakiego powodu? Chyba z powodu bałaganu w mocno zużytym transporcie czy opóźnionych dostaw materiałów. Ale to wszystko przecież nie to. Spójrzcie na ludzi, jak urosli! Jaką groblę zbudowali! A miasto! Widział pan?! Dopiero cztery lata i już dwadzieścia tysięcy. Tysiąc urodzonych tu dzieci. Resorty czekają w kolejce po przydział parcel dla fabryk. Za dwadzieścia pięć lat będzie się tu cieszyć życiem pół miliona ludzi. Czyż to nie pięknie: zbudować nowe miasto?... — Arystarchow patrzy w okno i zamyśla się chwilę. Ma wysokie, wypukłe czoło, jest w jego postaci masywność i ociężałość nie odpowiadająca wiekowi, kontrastująca z subtelnością charakteru. Zmęczenie spowodowane ciągłymi, skomplikowanymi kłopotami oraz permanentną koniecznością podejmowania decyzji wycisnęły na jego wyglądzie wyraźne piętno. Z zawodu jest inżynierem, ale ma duszę poety. Jest dyrygentem olbrzymiej orkiestry, w której wielu trębaczy z powodu swej młodości czy też nieumiejętności utrzymania się przez dłuższy czas w harmonijnym rytmie, prawie już cztery lata fałszuje nuty, skazując dyrygenta na ciągłe tortury. Ale drobne niedokładności wykonawców, nieuchwytnie dla nie wtajemniczonych, nie mają wpływu na ogólny kształt muzyczny symfonii, która brzmi potężnie, wspaniale i zgodnie z głównym zamysłem geniuszu kompozytora. Muzyka taka rozlega się na Dnieprowym Niżu, na stepach Ukrainy, na Wołdze, na wielkich rzekach syberyjskich, roznosząc po całym świecie nieznanne potężne tony.

— To niedobrze! Co takiego?... A metal jest?... Pytam, czy jest metal? — Arystarchow rozmawia znowu przez telefon z jakimś miastem. A miasto, jak widać, niepunktualne, nieoperatywne, więc złości się na to miasto, oburza się na nie, a jednocześnie przekonuje je, perswaduje. I gotów jest tak przekonywać bez końca, to dalekie, parszywe miasteczko, byleby tylko otrzymać... — Aha! Więc mówicie, że jest metal?... No więc żeby trochę nam natychmiast wysłali!... Że co? Pamiętajcie: zwłoka to śmierć. Zabraniam! Tak, to wszystko.

Sekretarz kładzie na biurku jakieś notatki i wychodzi w milczeniu.

Wchodzą jeszcze do niego dwaj inżynierowie.

— Proszę — mówi sekretarz do inżynierów. U Sergija Michajłowicza jest pisarz, to potrwa przynajmniej godzinę.

Inżynierowie wchodzą do gabinetu. Arystarchow nakręca kolejny numer telefonu. Męczy go jakaś natrętna myśl. Jest niezadowolony i jakby na pół obecny. I nagle:

— Kotka Pulcherii Iwanowny! Konfliktowa sytuacja czy nie?

— Jaka kotka? — inżynierowie wymienili zdziwione spojrzenia.

— Gogolowska ze „Staroświeckich ziemian”. A dlaczego już od stu lat lubimy tych dwoje starych, mizernych Gruzinów, Opanasa Iwanowicza i Pulcherię Iwanownę? Dusza artysty... — Odkłada hałaśliwie słuchawkę i zwraca się do dramato-pisarza: — Dusza! To znaczy talent i miłość!... Co pan kocha? Bez czego nie może pan żyć? W imię czego gotów pan jest codziennie zwyciężać, ponosić ofiary, cierpieć? Co nie daje panu spać, odpoczywać, cieszyć się? Panu osobiście, jednemu — jednemu. Proszę mnie objaśnić. Proszę wymienić pańską najważniejszą, osobistą pasję twórczą, bez której ognia świat runie w przepaść? Czy też

może nie ma jej pan, a jest tylko stan gotowości reagowania na chwilę bieżącą?

Znów dzwoni telefon. Arystarchow podnosi słuchawkę, wyraźnie się złości.

— Dlaczego? Jak to nie chce? Nie ma takich ludzi, którzy nie chcieliby, żeby było lepiej!

Głos Hołyka: Są! ... Stoi na domu i nie ruszy się, choćby go się rznąło! I ludzie to widzą!

Arystarchow: Ale czy wyjaśniłeś mu, że go zatopimy?

Głos Hołyka: Oczywiście! Ale nie wierzy...

Arystarchow: To znaczy, że źle mu wyjaśniłeś. Nie umiecie rozmawiać z ludźmi. Nasz naród jest rozumny. I trzeba z nim rozumnie rozmawiać. Ty oczywiście krzyczysz tam jak dureń. Grozisz mu, co?!

Głos Hołyka: Nie ja jeden. Jest ze mną sekretarz komitetu powiatowego. My tu obydwaj malowaliśmy mu obraz jasnej przyszłości! Słowo honoru!... Możecie sobie wyobrazić? Przez cztery godziny!...

Przy chacie Hryhorijsa Szyjana wszystko, co trzeba, już zostało powiedziane, obraz jasnej przyszłości został namalowany. Ale Szyjan nie ustępuje. Nie ustępuje też jego żona Domacha.

Szyjan: Dość już tego wychwalania przede mną przyszłości! Ja tu każdym dniem należę do niej bardziej niż do współczesności.

Hołyk: W jaki sposób?

Szyjan: Chociażby przez to, że otrzymuję mniej od was.

Biłous: No wiesz, za takie gadanie...

Hołyk: Słuchajcie no, gospodarzu. To nie żarty. Arystarchow was tu zatopi!

Szyjan: Tylko nie straszcie! Arystarchow ma swoje plany i kombinacje, a ja mam swoje. U mnie morze pójdzie dołem, o tak, dookoła, a tu powsta-



nie indywidualna wyspa. Dawno już o tym marzę.

Biłous: Nie będzie żadnej wyspy. Tu, gdzie teraz stoimy, będzie dwa i pół metra wody, jeśli nie trzy!

Hołyk: A podczas burzy będą olbrzymie fale. To przecież morze!

Domacha: Nie szkodzi. Możemy nawet się potopić, żeby w domu.

Szyjan: Właśnie. I możemy wam nawet dać zaświadczenie: za naszą śmierć od potopu nie winić nikogo!

Biłous: Przecież to nonsens. Taka śmierć to będzie komedia!

Szyjan: Tym lepiej. Przynajmniej umrzemy wesoło.

W drodze na Krym wjeżdża do wsi samochodem żona generała Fedorczenki, Anhelina Michajłowna.

Nie jest zachwycona rodzinną ziemią generała. Step, skwar, żadnego komfortu. Kołchoźnicy nazywają jej męża Hnatem i nawet są z nim na ty i on uważa to za naturalne. Okropność!

Przy budowaniu nowej wsi napięć jest nie mniej, niż przy wyburzaniu starej. Architekt Bezwerchy nie przypuszczał, że jego dar dla krajanów — projekt domu kultury — będzie tak otwarcie skrytykowany i że padnie pod jego adresem tyle gorzkich słów.

— Nie jestem zadowolony, mówię ci szczerze. Więcej, czuję się obrażony. Co ja mam z tym robić? — stary brygadzysta ciesielski, znany nam już ojciec generała Fedorczenki, nie ukrywa swego niezadowolenia. W jego rękach drży z irytacji srebrzysta siekiera. — Jestem człowiekiem kulturalnym i brygadzystą. Dlaczego ja mam cierpieć?...

— Przepraszam. Projekt był zatwierdzony przez prezydium.

— Jakie prezydium? Nikogo z prezydium tu nie widziałem.

— Proszę się nie denerwować, to wam szkodzi.

— Mnie szkodzi wasz spokój. I brak u innych wyobraźni też mi szkodzi.

Bezwerchy, zupełnie zgnębiony, nie wie, co powiedzieć.

Mnie osobiście projekt Bezwerchego też się nie podoba, próbuję jednak bronić kolegę z artystycznej branży, co prawda bezskutecznie. Czuję, że zarząd kołchozu, cieśle i niektóre kobiety nie są po mojej stronie.

— Proszę go nie bronić — Sawa Andrijowicz obejmuje mnie smutnym, pytającym spojrzeniem; ma czerwoną, spoconą twarz, siny nos i ciężko z trudem oddycha. — My dobrze widzimy, że niełatwo dziś panu wśród nas. Tyle lat minęło...

— Niezwykłych!

— Pan przymierza nas do własnego obrazu naszego życia. I proszę się przyznać, nie bardzo przystajemy do tego?

— Dlaczego? Wprost przeciwnie — próbuję zaprzeczyć.

— Dajmy temu spokój! Niereprezentatywni, niemalowniczy. Brak odpowiednich strojów ludowych. Nędzne domy, kłopoty, step. Ni gór, ni przepaści, ni gromu armat. A duszę ma pan heroiczną. I chce pan wstrząsnąć ludzkimi sercami.

— Chcę.

— Ale po to trzeba samemu przeżywać duchowe wstrząsy... Prawda? Ale jak?

— Ja...

— Przeszłość wojenna odeszła. Pogasły pożary. Zapomniano o głodzie. Mogiły w stepach zarosły. Nie trzeba ciągle wspominać.

— Oczywiście.

— I nasza pozycja w świecie zobowiązuje, i honor. Nie możemy dla schlebiana amatorom

krwawych widowisk i ciemnych namiętności udawać tego, czego u nas nie ma.

— Aha! I deszczu też już drugi rok nie ma. Wyszło wszystko na czysto — włączyła się stara kołchoźnica, odbierając rozmowę po swojemu.

— A czemu tak mało płacisz za dniówkę? — nacierały na niego kobiety.

— Mało. Nie da się ukryć — zgodził się Zarudny.

— A dlaczego ludzie uciekają do miasta?

— Bo zamęczał ich robotą!...

— Trochę tak jest, nie przeczę.

— Trochę? Bardzo! — wybuchnęły kobiety. — Chcesz wszystko od razu?

— Przyznaję się do winy, i będę męczył dalej jeszcze przez trzy albo cztery lata, diabli nas nie wezmą. — W głosie Zarudnego taki spokój i dobroduszość, że wszyscy, w tym również i ja, uśmiechają się.

— Dziękuję. Dogadaliśmy się...

— A dlaczego?... Ech! — Łew Jacenko chciał o coś spytać, ale kobiety mu przeszkodziły.

— Niczym się nie przejmuję! — zwróciły się do mnie, rozgniewane, wskazując trzęsącymi się rękami na Sawę Zarudnego. — A wódkę to sam pije.

— Zdarza się.

— Kwaterkę dziennie.

— To norma. Wszystko u mnie w normie — replikuje spokojnie Zarudny. Przywykł do takich scen, więc i teraz ma obojętny wyraz twarzy. — Pamiętacie moich synów? Też były tęgie chłopcy. U mnie wszystko takie: kłopoty, plany, nadzieje i... rozpacz!

— A dlaczego to? A czemu tamto? Dlaczego, dlaczego?...

— Poczekajcie, nie wszyscy naraz. — Zarudny zwraca się do mnie: — Wybraliśmy pana na swego artystę i pan będzie odpowiadał za nasz

portret. Dlatego proszę dobrze się przyglądać. My czekamy cierpliwie... No a wy, Juriju Hryhorowiczu... — Odwrócił się ociężale do architekta, a potem do członków zarządu. — On nam przywiózł gotową konfekcję: projekt domu kultury. Widownia na czterysta miejsc! Proszę bardzo...

— Zaplujemy w jeden wieczór — rzekł cicho, ale dobitnie jeden z członków zarządu.

— Śmiech i grzech... Zarzucimy niedopałkami i pestkami.

— Nie rozumiem! — Architekt Bezwerchy rozłożył tragicznie ręce. Był bliski płaczu, nikt się jednak tym nie przejmował.

— Bo pan sobie myśli: ii, nie ma się dla kogo wysilać. Oto morze! — Zarudny robi szeroki gest w kierunku Wielkiego Ługu. — A oto my na brzegu tego morza, koło domu kultury. Oto zarząd kołchozu: siedmiu oficerów rezerwy. Wyzwalali cztery stolice. Widzieli rzeczy straszne, widzieli i wspaniałe... Do jakiego domu kultury chce pan nas zaprosić?

— A czego wy byście chcieli? Czy możecie powiedzieć konkretnie, o co wam chodzi? — zapytał obrażony Bezwerchy.

— Półtora tysiąca pokrytych aksamitem foteli! I ani jednego mniej. I żeby obrazy były ładniejsze niż w cerkwi... Żeby wszystko w nim radoowało serce. Żeby piękno mnie zobowiązywało i uskrzydlało.

— Chcę posadzić w tym fotelu matkę na stare lata. Wszystkie matki!... Osłodzić im ciężką, odpowiedzialną pracę.

— Oto głos żołnierzy! — Zarudny zwrócił się do kołchoźników. — Może kobiety chcą coś powiedzieć? Oto najlepsza przodownica Chrystyna. Powiedz im, Chrysto.

— Mnie tam nie trzeba żadnych pałaców — mówi Chrystyna smutnym głosem, w którym drży

tłumiona skarga na zły los oraz zapiekły żal. — Ani miękkich foteli, ani obrazów...

— Dlaczego?

— Jestem kobietą młodą...

— Więc czegoż ci trzeba?

— Nie wiecie?... Mogę powiedzieć przy wszystkich...

— Męża! — rozległ się głos starej kołchoźnicy. — Ciężko jej spać bez żywego ciała.

— Dajcie spokój... nie można tak... jeszcze mam swój wstyd.

Patrzę na Zarudnego i widzę, jak momentalnie cały się przeobraził. Młoda wdowa przypomniała mu coś wielkiego, niezapomnianego. Zmienił się wyraz jego oczu, zmienił się głos, trudno było teraz udawać obojętność.

— No cóż, tak było sądzone — mówi smutno. — Męża ci nie zwrócę. Wojna pożarła także moich synów.

Podchodzi Stepanida Woroncowa ze starym czasopismem.

— Powiedzcie mi, czy stoi mój Iwan z mieczem w ręce, przyciskając dzieciątko do serca? Ludzie...

— Bądźcie spokojni, stoi.

— Towarzysze!

— Zaczekajcie. — Chrysta zwraca się do Bezwerchego. — Chcieliście mnie zapytać...

— Tak. O pałac kultury.

— Co mi sprawia radość? Nie wiem. Nie wiem. Ale czymś trzeba przecież się cieszyć.

— Dumą.

— Jestem dumna. To trudna radość.

— Pracą...

— Czym jeszcze?

Zarudny widzi, jak pod ciężarem wspomnień wzrasta wśród kobiet smutek. Trzeba zmienić bieg ich myśli. I trzeba zmienić miarę życia. I to natychmiast.

— Przestańcie, ludzie! Po co ten szum? Wszystkim przecież wiadomo, nawet dzieciom: ziemia jest wielka. I morze roboty. Nie wystarcza rąk i nie ma deszczu, i wody podziemne uciekają. I cięń bomby wodorowej nad światem. Cóż robić? Chodzi przecież o nasze życie. Trzeba, żeby wody nie uciekały. I żeby słońce nie było wrogiem dla ziemi, a ludzie dla ludzi. Jesteśmy do tego powołani. Czyżbyście nie rozumieli?

— Za wiele niesprawiedliwości!

— Jeśli wszystko jest tak zrozumiałe, to dlaczego już tak długo jest ciężko i wszystkiego brakuje? — zabiadoliły kobiety.

— Nie wiem. Gdybym wiedział, to byłbym ministrem. A jestem tylko zwyczajnym przewodniczącym kołchozu i kiedy mi jest ciężko, to wspominam Lenina. Widziałem go trzy razy... Na trybunie. Stałem w Smolnym na warcie. Nie pamiętam już jego słów, tysiące ludzi, ale pozostała mi jego jasna postać, widzę go, jak stoi...

Sawa Andrijowicz zamilkł nagle i zamyślił się. Nastąpiła cisza. Umilkli wszyscy w obliczu wielkiego imienia, hamując swoje namiętności; zamyślił się pracownicy ziemi nad swym powołaniem.

Patrzę na ich spalone wiatrem twarze, na ostre zmarszczki i nabrzmiałe żyły na rękach. Nad czym zamyślił się moi bracia i sturękie siostry, stojące z dziećmi u samych podstaw naszego życia? W co są wpatrzeni?

Chyba nigdy jeszcze niczego tak bardzo nie pragnąłem, jak teraz tu, na brzegu nie istniejącego jeszcze morza: żeby nasza ojczyzna stanęła przed oczami narodów w całej wielkości swych dokonań! I żeby wszystko, co było w naszym niezwykłym życiu — sukcesy, trudności, tytaniczne wzloty, wieloletnie niedostatki, samoograniczania dobrowolne i niedobrowolne, i skutki suszy i zimna, i krew przelana w gigantycznych zmaganiach wojennych (w rysach naszego narodu nie

ma miejsca na zwyczajność i drobiazgowość), nawet błędy z ich najcięższymi następstwami, będące udziałem wszystkich wielkich pionierów, nawet one — żeby wszystko to zjawiało się na ekranie w niecodziennym świetle, jako znaki zwycięstwa!

Dzień chylił się już ku wieczorowi, ale widzialność i słyszalność jest tak wspaniała, jakby znikły niepostrzeżenie wszystkie granice.

Skąpiana w złocie i ciepłym błękicie, pociągająca przestrzeń przyzywa wszystko w stepie do spokoju i pokoju.

Do generała przychodzi na podwórze czterech różnie ubranych kołchoźników. Ich opalone rozumne twarze mogłyby się wydawać męzne, a nawet ładne, gdyby nie biedne, bezbarwne, ciasne kaszkiety, które potrafią zdeformować najbardziej nawet przystojnych mężczyzn i spospolitować nawet bohatera.

Kto wyprodukował te potworne czapki, zmieniające piękno w brzydotę? Złośliwy wróg czy gorliwy prostak zmajstrował na miarę swego duchowego ubóstwa, a drugi prostak zatwierdził dla wszystkich szerokości, od Morza Białego do Morza Czarnego. Dlatego z tak wielkim trudem rozpoznaje generał swych dawnych kolegów.

A to przecież oni, przyjaciele z dzieciństwa i bohaterscy współtowarzysze, brygadzysta Makar Korż, Petro Nahnybida, Petro Besarab i Łew Jacenko z wąsami jak dojrzałe kłosa pszenicy, trochę chyba podchmieleni.

Usłyszawszy jakiś ruch na podwórzu, Anhelina Michajłowna wyszła z sieni.

— Dobry wieczór! — powiedzieli grzecznie i wesoło przyjaciele generała.

— Dobry wieczór. Wy do kogo?

— Hnat w domu?

— Jaki Hnat? Nie rozumiem.

- Maksymowicz.
- Chcieliście powiedzieć generał armii?
- Zgadza się. (Ujrzawszy w sieni Fedorczenkę).
- Jak się masz Hnacie! Przyszliśmy cię przywitać.
- Jak się macie... Cześć, Korż!... Oo! Besarab?!
- *Zdrawija żelaju!*
- Jacenko?
- We własnej osobie.
- O! I Nahnybida jest?!
- Zgadza się.
- Sto lat!
- Poznajecie?
- No jakżeż! Cieleńta paśliśmy razem. I konie.
- Tak. I Budapeszt wyzwaliśmy.
- Byliście w mojej armii?
- Wszyscy jak jeden mąż. Ja nawet byłem ranny...
- Ja też. Noga fabryczna, patrz!
- Mój ty Boże! Siadajcie. Jak wam się żyje?
- Dziękujemy. A wam?
- Nie. Najpierw wy.
- My? To zależy, z której strony spojrzeć...
- A w ogóle to zwyczajnie, nędznie.
- Ale macie perspektywy: morze.
- Tak. Nadzieja jest. Chociaż niektórzy, co prawda, zaczynają wpadać w pesymizm.
- Dlaczego?
- Zarudny bardzo gnębi. Sawka.
- Powiedz nam prawdę, Hnat. Jako znakomity generał i w ogóle...
- No, no, no...
- Powiedz uczciwie, czemu tak jest?
- Co?
- Nie mogę powiedzieć... — Łew Jacenko przyłożył brązową pięść do serca i zbliżywszy się do generała powiedział cicho i łagodnie: — Wypiłem o pięćdziesiąt gramów za dużo. Nie gniewaj się. Dlatego zadam tylko jedno pytanie: dlaczego?



— Co dlaczego?

— Już milczę. Zrozumiałeś? Eech!

— Zaczekaj. O tym potem! A w ogóle, Hnacie Maksymowiczu, to po omówieniu sytuacji międzynarodowej i wewnętrznej doszliśmy do wniosku, że ludzkość zmądrzała — powiedział Korż. — Nasi wrogowie nie mają już żadnego hasła, z którym można by prowadzić narody przeciw nam w bój.

— Hasła nie ma, ale wróg ma maszynę wojenną — rzekł Fedorczenko. — Marzy o tym, by ją puścić w ruch.

— To jeszcze gorzej. Ale jesteśmy sierżantami rezerwy tylko w czasie pokoju. Bo w razie wojny jesteśmy przez całe życie do dyspozycji. Dlatego... Tylko, że to tajemnica, Hnacie.

— No, do pewnego czasu... Można?

— Tak.

— No więc przyjdź do nas na przewodniczącego kołchozu! Na postrach wrogom. Tu, nad morzem, stworzymy z tobą coś takiego...

— Ziemię ruszymy z posad!

— Pozwólcie! Jestem bardzo wdzięczny. Ale czy znacie moją rangę?

— Bardzo nam odpowiada.

— Nie musisz nam dawać odpowiedzi ođ razu. Dajemy ci trzy dni czasu. Zastanów się.

— I twego chłopaka wy kierujemy na łudzi, dalibóg! I z żoną będzie lżej, bo będzie to już nie generałowa, a tylko żona przewodniczącego.

Nieco później, kiedy zacznie już zmierzchać, Fedorczenko i jego czterej przyjaciele z dzieciństwa oraz jeszcze dwaj kołchoźnicy wyjdą w step.

Jak będą szli brzegiem przyszłego morza, o czym będą mówić, co będzie poruszać ich serca — autor na razie nie ujawni. I nie dlatego, że zachciało mu się nagle ukryć coś przed czytelnikiem. A jeśli nawet tak jest, to ten i jeszcze dwa lub

trzy epizody autor pozostawia nie rozszyfrowane przede wszystkim dla samego siebie. Niech te fragmenty na razie leżą odłogiem. Potrzebne jest to do podtrzymania stanu gotowości do działania.

Padną różne pytania, krótkie i mocne jak strzały. Krąg zainteresowań bardzo szeroki, żądania rozumne, plany sięgają wysoko.

Na granatowym niebie wschodzą gwiazdy.

Odprowadzam Fiłona Besaraba do jego nowej chaty. W białej letniej nocy jego zagroda robi bardzo miłe wrażenie. Oczywiście przez całe lato gospodarz śpi pod gołym niebem.

— Miałbym ochotę zapisać, Fiłonie, co wyniosłeś z bardzo złożonych doświadczeń swego życia — mówię do przyjaciela.

— Niewiele. Jestem prostym wyrobnikiem ziemi i zdaję sobie sprawę, że życie moje samo w sobie, jako coś odrębnego, nie ma znaczenia. Wielki jest oczywiście jego sens ogólny. — Mówi głosem czystym i przenikliwym, jak to bywa u starszych ludzi, którym dane było więcej pracować i myśleć, niż mówić. — Już sam nie wiem, ile mam lat, sześćdziesiąt czy trzysta. Kładę się spać po dniu pracy, z prawej Dniepr, z lewej step, a nad głową wszechświat. I wierz mi, że nie ma już znaczenia, czy zbudzę się rano do pracy, czy też umrę w nocy. Nie ma we mnie ni zazdrości, ni zła, ni strachu. Nie jestem politykiem, chociaż można by też myśleć, że ze mnie wielki polityk. Co ja wiem? Niedobre zboże rodzi smutek, dobre powinno oczywiście cieszyć. I tyle. I wiem jeszcze to, że dopóki żyć będzie na ziemi chociaż jeden głodny żebrak, dopóty wszyscy będą żebrakami. Dopóki chociaż jedna dusza przebywa w niewoli, nikt nie jest wolny.

Jeśli nie milczeć — a trzeba by, gdyby się chciało dogodzić długiemu szeregowi redaktorów, ustawiaczy i mentorów, albo też jeśli nie chce się dokonywać uników w sprawach najważniejszych,

zapewniających własną pomyślność, liczących się z opinią starej księżny Marii Ołeksijewnej, zabezpieczających utrzymanie własnego mieszkania, własnego samochodu, własnej willi i miejsca w przydiach — to bardzo trudno pisać o wsi, w której przeminęło bezpowrotnie własne dzieciństwo.

Zamyślane, rozumne twarze o powściągliwym uśmiechu są bardzo wymowne, a osiadła na nich troska świadczy o tym, jak wysoka jest niekiedy cena bohaterstwa pracy. Jak nudno i ciężko jest jeszcze w wielu naszych wsiach, jak ubogie są chaty! O, krytycy i artyści! Wy, którzy żyjecie w dobrobycie, spójrzcie na te ubogie chaty!

— Jadę już, ojcie! — doleciał z ciemności głos młodego Besaraba.

— Szczęśliwej drogi.

Zawyła wywrotka. Fion Wasylowicz wyciera szeroką dłonią antyczne czoło i kładzie się na pryczę.

Z daleka, od strony Dniepru dochodzi nieustanny głuchy warkot pogłębiarki.

Wyszedłem w step. Jedna myśl goni drugą. Dawno już porzuciłem wieś. Coś niecoś osiągnąłem w dziedzinie kultury, a jeszcze więcej na froncie walki z „urawniówką”. Bardzo mnie pociągało hasło „każdemu wedle potrzeb”: obrosłem w sadło, stałem się ważny. I niemal nikt — ani ja, niestety, ani moi przyjaciele — nie potrafił dać ludowi swoim osobistym życiem godnego przykładu, tak jak pokazał nam to Lenin.

I nagle mój dom i cała ta moja dotychczasowa krzątanina i niemal wszystko, w czym tkwiłem — stało się dla mnie dalekie i obce. Przyjaciele odpłynęli w jednej chwili gdzieś w dal, współtowarzysze znaleli do pigmejskich rozmiarów, byli jak pył na drodze.

Oddycham najdroższym w świecie, czystym stepowym powietrzem, rozpływam się w prze-

strzeni pośród nocnej ciszy, wpatrzony w uroczyste niebo.

Nieopisanie cudowna letnia noc w stepach Ukrainy. Rozległe przestrzenie, wspaniała widoczność, majestatyczność. Niebo w milionach gwiazd.

Ciemno, ale i nieciemno. Dniepr w srebrzystej poświacie, oddech czarującej ziemi jeszcze ciepły. Ale nie ma ciszy: od Dniepru niesie się daleko łagodny, harmonijny śpiew pogłębiarek, nad którym wznosi się pieśń. To śpiewają Ołesia i Hurenko. Droga nie kurzy. Jezioro śpi. Oto mulista Konka i stare wierzby. Daleko za Dnieprem biegnie na górze Berysław.

Idę sam. Przede mną pusta droga:  
Kamienisty szlak połyska w mgle.  
Cicha noc. Pustkowie słuca Boga...

Oboje mają piękne głosy i wrodzony talent wokalny. Ołesia cała we władzy czarownych myśli.

...I do gwiazdy gwiazda słowa śle.\*

— Dziś na budowie, kiedy rozlewałam rozczyn, pyta mnie ten redaktor, czy jak mu tam: co chcielibyście widzieć w filmie, jakich ludzi, wielkich czy małych, i czy chcielibyście, żeby tam było o miłości? — Ołesia przytula się delikatnie do Hurenki. — Więc mu powiedziałam tak: oczywiście o miłości, a ludzie żeby byli różni, ale więcej małych, ot, takich jak ja i ty. A on do mnie: nie jesteście ludźmi małymi. Być może, że właśnie dziś jesteście wielkimi ludźmi. Nasze państwo, powiada, jest wielkie dlatego, że wy jesteście w nim wielcy, wy, zwyczajni, mali ludzie... „Pod sklepieniem uroczystym nieba śpi w błękitnym świetle ziemska dal...”\* Jakże słowa!

---

\* Michał Lermontow. Przełożył Jerzy Zagórski.

- Bardzo ładne.
- A potem pytał mnie o życie osobiste.
- Czy coś powiedziałaś mu może o mnie?
- Powiedziałam.
- Coś mu powiedziała?
- No, sam powinienś wiedzieć... A w ogóle to mu powiedziałam, że chciałabym widzieć na filmach uczucia głębokie i bardzo silne, i żeby tam mówili delikatne słowa, i całowali się, i żeby płakali i przeklinali...
- Kogo? Dlaczego? Też masz pomysły...
- Nie machaj ręką! Żeby w tych filmach było wszystko.
- Wyobrażam sobie... A ty czemu płaczesz?
- Nie płaczę. Cieszę się, że są we mnie takie myśli. Patrz, jak pięknie. Jak cudownie!
- Bo ty jesteś taka.
- Jaka?
- No, cudowna!
- Kochasz mnie?
- Tak.
- Powiedz: „kocham”.
- Przecież powiedziałem.
- Ale ja chcę słyszeć.
- Odpowiedziałem ci.
- Chcę słyszeć to słowo! Iwanku, a co, jeśli my rzeczywiście jesteśmy wielcy ludzie?
- Nie sądzę. Nie można przecież powiedzieć: wielki kierowca buldożera czy wielka tynkarka.
- Dlaczego?
- Dlatego że nas jest dużo. To tak, jakby powiedzieć: wielki kołchoźnik.
- On mówi, że jest różna miara ludzi... Kochasz mnie?
- Tak.
- O Boże... Nie, powiedz: „kocham”. Nikt nas... tu tylko my i gwiazdy, Iwasiu! Ja cię tak kocham!
- I ja.
- Zamknij oczy. Zamknąłeś?

— Tak.

— I ja zamykam. Słyszysz plusk wody? To morze szumi nad nami.

Stoją jeszcze chwilę z zamkniętymi oczami, potem biorą się za ręce, pochylają się ku sobie i jednoczą w objęciach jak dwie wiosenne fale.

Woda zakrywa ich. Bezbrzeżne morze gra falami tam, gdzie objęły się dzieci trudu. Ledwie obraz morza zdążył nas zachwycić, już znika i znów widzimy Olesię i Hurenkę. Leży w jego objęciach, szczęśliwa, i patrzy do góry w gwiazdy.

Czego jeszcze możemy chcieć w tę noc?

Posłuchamy, jak na wysokim brzegu Dniepru, koło kamieniołomu, na dawnym sarmackim gródzisku, śpiewają kamieniarze; śpiew ich dzięki niezwykłej sile młodych głosów niesie się po całej okolicy. Albo może popłaczemy w polu z Katarzyną. Lub też wejdziemy na stromą mogiłę króla scytyjskiego i popłyniemy na skrzydłach czasu w odległą przeszłość.

Popłyniemy w przeszłość, ale po drodze zajrzemy na skąpane w księżycowym blasku stare podwórze.

W głębokim przekonaniu Anheliny Michajłowny jej mąż, którego nigdzie nie można puszczać samego, ma lekkiego fioła. W każdym razie, kiedy powiedział jej o propozycji kołchoźników i o tym, że propozycja ta nie daje mu spać, bezapelacyjnie oświadczyła:

— Co za nonsens! Tyś zgłupiał ostatecznie na stare lata.

— Mówię poważnie. To sprawiło na mnie zupełnie nieoczekiwane niezwykle wrażenie...

— Nonsens!

— Wzruszyło mnie to, poruszyło wszystkie moje najlepsze uczucia bardziej niż order, stanowisko, niż zwycięstwo pod Budapesztem.

— Kłamstwo, kłamstwo, wymyślasz jakieś sen-

tymentalne bzdury! Po pierwsze, kto ci na to da pozwolenie?

— Wiem: nikt. Muszę oczywiście do końca życia stać na straży. Ale chcę ci powiedzieć, że to wspaniałe i że mam dla nich głęboką wdzięczność, która przepełniła i oczyściła moje serce. W duchu godziłem się na tę propozycję, powinnaś to zrozumieć. I jestem szczęśliwy, dlatego że to mi mówi tak wiele, tak wiele...

— Nic ci nie mówi.

— Niczego nie rozumiesz.

— Daj spokój... Generał przewodniczącym kołchozu. Bzdura!

— Zamilcz, błagam! Mieszczanka!

— Ja mieszczanka?!

Żeby uniknąć awantury, generał Fedorczenko zacznie liczyć w milczeniu do stu, dialog nabędzie więc nieco niezwykłego odcienia: na filmie będzie liczyć półgłosem za generała sam autor, a liczby te będą zalewane potokiem słów Anheliny Mychajłowny, z których jasno będzie wynikało, że jej mąż to człowiek w najwyższym stopniu zły, pozbawiony elementarnego wychowania, że on tu zupełnie się rozkleił, że ją obraża i że wykazuje zupełne niezrozumienie swego wysokiego stanowiska. Że ma talent tylko do wojaczki, a we wszystkich innych sprawach tak jak był, tak i pozostał zwykłym chłopem ze wsi. Że ta żałosna chatynka, dla której przyjechał, żeby się z nią pożegnać, to nic więcej, jak głupi sentyment i kaprys i że ta cała bieda z nędzą, ten brak elementarnych wygod, są niedorzeczne i nie do zniesienia. Czyżby go już zupełnie zaślepiło?

„...czterdzieści pięć, czterdzieści sześć, czterdzieści siedem, czterdzieści osiem, czterdzieści dziewięć, pięćdziesiąt, przekłeta pasożytko, nędzne stworzenie, zabić ciebie to za mało, przecież my z nich żyjemy, sześćdziesiąt jeden, sześćdziesiąt dwa, sześćdziesiąt trzy...”

Nie! .Ona nie zostanie tu ani godziny dłużej, ona żąda natychmiastowego wyjazdu do sanatorium, w przeciwnym razie ona pojedzie sama z Alikiem i będzie skandal.

— Alik! Alik!...

„...siedemdziesiąt trzy, siedemdziesiąt cztery, pięć, sześć, siedem, osiem, słusznie pisał Dostojewski — żona to zalegalizowany wróg własnego męża — czy niesłusznie? Siedemdziesiąt dziewięć, osiemdziesiąt”.

— Alik! Gdzie Alik?

— Rozkoszuje się przyrodą?

— Tak. Boskie powietrze. — Anhelina Mychajłowna jest przekonana, że słowa „boskie powietrze” czynią ją uroczą. — Siadajcie... e... Antonino. Alik!

— Dobry wieczór!

— Dobry wieczór, Alik! Jak cudownie śpiewają...

— To kamieniarze nad kamieniołomem.

— Alik!...

Kamieniarze rzeczywiście śpiewają nadzwyczajnie. I jeśli temu śpiewowi brak może harmonii, to jego siła jest olbrzymia. Stojąc, siedząc lub przechadzając się grupkami po wysokim brzegu nad kamieniołomem, zaczarowani pięknem nocy i widocznością rozległego horyzontu, wstrząsają powietrze siłą swych młodych głosów.

Na kurhanie w księżycowej poświacie zatrzymują się Alik i Mychajłyk.

— Na tej mogile smutno nawet w dzień — mówi Mychajłyk — a w nocy zawsze tu straszno. Nie boisz się?

— Nie — odpowiada obojętnie Alik.

— Tu jest pochowany król. — Mychajłyk jest wyraźnie podniecony. — Powiadają, że dwa tysiące pięćset lat. Wyobrażasz sobie, jaki on był?

— Kto?

— Król.



— No jaki? Nijaki.

— Jak to nijaki? To mógł być taki król... cały w złocie. I powiadają, że zakopany z nim koń też jest cały ze złota. Szukają go wszędzie, we wszystkich mogiłach. A zamknij oczy.

— Po co?

— Zamknij.

— A ty?

— Ja też.

Chłopcy zamykają oczy i w wyobraźni Mychajłyka pojawia się obraz, który może narodzić się tylko tu, na stepie, i tylko w czystym dziecięcym widzeniu: Scytowie chowają swego króla. Rżą konie. Jacyś dziwaczni jeźdźcy krążą ze spisami po stepie w szalonym popłochu. Płoną ogniska. Olbrzymi, świeżo wykopany dół. Zawodzenia płaczków wstrząsają nocnym stepem. Ciało króla wiozą na rydwanie. Konie drżą. Konie z czterech kwadryg leżą już zabite. Żołnierze zabijają dalsze cztery konie z piątej kwadrygi. Wloką na stos piękne niewolnice. Zgraja psów. Od zapachu krwi ryczą byki. Królowa, wpatrzona w straszną twarz króla, przebija się nożem.

Mychajłyk otwiera oczy. Wszystko momentalnie znika.

— Ojej! Widziałeś?

— Co?

— Nie widziałeś niczego?

Alik otwiera oczy.

— A co miałbym widzieć?

Antonina jest zaniepokojona nieobecnością dzieci. Już noc, a ich nie ma.

— Czego ty tam płaczesz, Mychajłyku?

— Ładny chłopczyk — mówi generał Fedorczenko.

— Oj, ładny. A jaki zdolny! Jak postawię miskę barszczu, to zje migiem. I ojciec też taki szybki i sprawny. Wszystko robi w biegu, jakby mimochodem... A ty czemu beczysz, huncwocie?

— Alik się bije — odpowiada przez łyzy Mychajłyk podchodząc do babki.

— Dlaczego pobiłeś Mychajłyka?

— Ja go nie biłem. Tylko raz go znokautowałem.

— Dlaczego?

— A bo niech nie kłamie. Kłamie, a potem jeszcze się kłóci.

— Ja kłamałem?

— No a coś mówił o tym królu? Nie kłamałeś może?

— A co on mówił? O jakim królu?

— Mówił, że go widział.

— Kogo?

— Króla.

— Wstydzilibyś się, Alik. Przecież on jeszcze mały.

— Wybił mu króla z głowy — zauważa stary Fedorczenko. — Widać jeden pójdzie po linii służbowej, a drugi chyba będzie artystą albo pisarzem. No dobra, trzeba iść spać.

Przejeżdżają spóźnione samochody, naładowane zmęczonymi przez cały dzień ludźmi. Bez pieśni i nawet bez rozmów.

Ołesia idzie samotnie drogą, lekka, delikatna, szybka. Chód sprawia jej przyjemność. On też spieszy gdzieś tu na spotkanie z nią.

Oto on. Chciałoby się, żeby w nocnym stepie byli tylko oni sami, on i ona.

Oto ona. Chciałoby się, żeby w nocnym stepie byli tylko oni sami, ona i on.

„Chcę tak leżeć w stepie w ciepłą noc sama, chcę patrzeć na niebo. A nade mną żeby tylko gwiazdy i twoja twarz, kochany. I nigdy w życiu tego nie zapomnę, nigdy...”

Samochody przebijają się przez mrok nocy, za-

ładowane zmęczonymi ludźmi. Cicho znikają.

Ich dłonie splatają się. Patrzą sobie w oczy z taką powagą, jakby każde ich słowo, każdy odcień myśli miały decydujący wpływ dla sensu ich całego życia. Tak wpatrzeni w siebie, mocno przytuleni, idą i prowadzą rozmowy, nie przeznaczone dla postronnych.

— Powiedz, czy w komunizmie ludzie będą cierpieć?

— Oczywiście. Jeśli będą kochać, to będą też cierpieć, tylko że o tym nie zwykło się mówić.

— Ja też myślę, że będą. Wczoraj, kiedyś nie przyszedł, tak cierpiałam, tak bardzo cierpiałam, taka byłam nieszczęśliwa... A ty?

— Ja nie bardzo cierpiałem.

— Jak to? Nie cierpiałeś? Nie mów mi takich rzeczy.

— Cierpiałem, ale mało.

— Mało? Dlaczego?

— Maszyna, rozumiesz, utknęła w błocie, trzeba było półtorej godziny ją wyciągać, wybrudziłem się smarem jak diabeł.

— Iwanku, powiedz, że mnie kochasz.

— Tak.

— Powiedz głośno: „kocham!”

— Tak.

— Głośno: „kocham!” No!

— No, głośno. Ojej, przestań, słowo daję... Trudno mi to wymówić.

— Dlaczego?

— Przecież wiesz.

— Nie.

— Nie jestem przecież ładny, nie widzisz?

— Nieprawda. Przestań. Jak możesz tak mówić!

— A co, może powiesz, że ładny?

— Tak. Jesteś prawie absolutnie piękny. Oj, Iwaneczku... — Całuje rękę.

— Coś ty?! Ojej! Jakaś ty... Dalibóg, no, co ty

robisz? — zaczynają w milczeniu całować się po rękach.

— Jaką ty masz piękną dłoń. Jak kwiatek...  
A paluszki jakie długie...

— A ty masz wielką jak łopata i też ładną.  
I twarz masz ładną.

— No, dość już.

— Przecież ja nie potrzebuję, Iwanku, jakiejś szczególnej urody. I to, że nie jesteś kimś znakomitym, też nieważne. Ważne, że masz piękną duszę.

— Duszę... tak... Namordowałem się z tym kranem. Dwoma ciągnikami, rozumiesz? Ledwośmy się uporali. A jeszcze lina w dodatku się urwała! No a potem podszedłem do twego okna, ale było ciemno.

— Spałam?

— Tak. Wtedy cichutko zaśpiewałem i też poszedłem spać...

Podejdę do okieneczka,  
Bądź szczęśliwa, me słoneczko,  
Bądź zdrowa, moje słoneczko...

Śpiewają razem.

Step, księżyc, Dniepr.

Słychać daleki, harmonijny warkot. To grają buldożery, genialne maszyny epoki.

Noc pierzcha. Świta. Błady księżyc oświetla zupełnie inny obraz w stepie: idą Katarzyna i Waleri Hołyk. Widać, że wszystko już zostało powiedziane dziesiątki razy i że nie potrafią już iść dalej razem. Nawet uroda nocy przybiera smutny odcień i tylko pogłębia mękę dziewczyny. Katarzyna jest jeszcze młoda, dlatego też nieszczęścia i cierpienia, jakie los jej zesłał, przygniatają ją z wielką siłą. Cokolwiek by się mówiło, kochać i być kochaną to dla dziewczyny w rozkwicie młodości najważniejsze pragnienie jej jestestwa. Jest

to tak samo naturalne i nieodwołalne, jak dla starszego wieku słabość i pragnienie spokoju.

Co przyniósł jej ukochany w tę noc? Jakie kwiaty, jaki wzlot myśli i uczuć? W smutnym niepokoju patrzymy na niego jak malarz stojący w samotności przed własnym nieudanym obrazem: na co poszły farby, płótno i praca?

Trudno odczytać z zimnej twarzy Hołyka, czy sądzone mu jest przez całe życie wlec za sobą swoje wady, a nawet posuwać się z nimi naprzód i piąć wyżej, czy też nie. Jego dotychczasowe życie zajęte było jedną tylko nieskomplikowaną sprawą: od zadania do zadania przez ich jak najszybsze wykonywanie. Wszystko u niego niestety kształtuje się w ten sposób, że każda następna chwila wypiera bez śladu minioną, nie powodując żadnego głębszego przeżycia. Żadne ciosy losu nie oświetlały nagłym światłem jego mętnej natury. Ale być może zdarzy się jeszcze kiedyś coś takiego, kiedy jak oświetlony błyskawicą ujrzy w prawdziwym świetle swoją prawdziwą twarz, ale będzie już za późno. I nie pomoże wtedy ani samokrytyka, ani samoanaliza, ani szukanie społecznych przyczyn. Nic już nie powróci jego duszy harmonii, dlatego że wszystko zmierza tylko do śmierci, nic nie zatrzymuje się na życiu. Dlatego też nie będziemy spieszyć się z wyrokowaniem: to białe, a to czarne. Oto człowiek z uśpionym sumieniem przyporządkowany wielkiej sprawie w potężnym i rozumnym kolektywie. I nawet zakończenia ich ważnego dialogu posłuchamy spokojnie w tę czarowną, ukraińską noc.

Katarzyna: Zdradziłeś, okłamałeś mnie... Dlaczego?

Walery: Tylko bez melodramatu... Mam tego powyżej uszu.

Katarzyna: Jak ty do mnie mówisz... Czy myślałam kiedyś, że będę z tobą taka nieszczęśliwa!...

Walery: Więc nie ma o czym mówić, będziesz szczęśliwa z innym.

Katarzyna: Z kim? Nie dręcz mnie.

Walery: Szczęście, szczęście... W naszych wielkich, przełomowych czasach są sprawy ważniejsze niż osobiste szczęście.

Katarzyna: Jakie? Wymień mi.

Walery: Dobro socjalistycznej ojczyzny.

Katarzyna: I ty mi to mówisz? A przedtem mówiłeś...

Walery: Już ci mówiłem i mówię jeszcze raz: daj mi święty spokój z tym psychologizowaniem.

Katarzyna: Dlaczego mnie oszukiwałeś, czemu kłamałeś mi każdego dnia i każdego wieczoru?

Walery: To nie oszukiwanie. Ja niczego w tym nie widzę, rozumiesz? Takie jest życie. Wszystko ma swój początek i swój koniec. Czy nie rozumiesz, że to już koniec?

Katarzyna: Jestem w ciąży.

Walery: Nie wiem, nic o tym nie wiem... To... To nic nie pomoże.

Katarzyna: Walery!

Walery: Zrozum, że ja nie potrafię kochać tylko jednej. Inni mogą, a ja nie. Taką już mam naturę. Jestem szczery. Nie chcę więcej udawać. Skończyło się!... Było i nie ma, rozumiesz? Wszystkie was kocham, wszystkie pożądam, a wy wszystkie mnie zamęczacie.

Katarzyna: Kochasz tylko siebie, więcej nikogo. Coś ty za świństwa o mnie naopowiadał? Chwaliłeś się przed kolegami, że ja...

Walery: Dość, przestań!

Katarzyna: To potworne! Gdyby był Bóg... na niebie... to ciężko by cię skarał za ten grzech.

Walery: Czego ty właściwie chcesz? Zmusić mnie do małżeństwa? Ale sama przecież mówiłaś, o tych plotkach, że mam dwie żony i każda ma dziecko. O co ci więc chodzi?

Katarzyna: Teraz już o nic... Jeszcze tylko jedno, ostatnie pytanie.

Walery: No?

Katarzyna: Przysięgnij mi...

Walery: Przysięgam... O co chodzi?

Katarzyna: Już nie trzeba.

Nie idą już razem. Minął już ten czas, kiedy wszystko było u nich wspólne: oddech, rytm, jednakowe reagowanie na dotyk, harmonia wszystkich ruchów.

Katarzyna pozostała w tyle. Hołyk idzie sam. Przeżywa ciężkie chwile. W tym momencie Katarzyna jest mu wstrętna. Czuje się winny wobec niej i dlatego prawie jej nienawidzi. Ta nienawiść sprawia mu pewną ulgę i jakby go usprawiedliwia. Ale uczucie ulgi szybko mija i znowu zaczynają go gnębić różne myśli: „Oj, niedobrze, niedobrze... Diabli wiedzą, dlaczego one tak na mnie lecą. A jakie interesujące, jedna ładniejsza od drugiej, ale kiedy się dobrze przyjrzeć, nic szczególnego. Katarzyna? Podobała mi się bardziej od innych, ale ona też... Co w niej jest? Miłość, uroda, i to niemal wszystko. Ożenię się ze Switłaną, tylko ze Switłaną, tylko ze Switłaną. Dlaczego? Bo jej ojciec jest bogiem mechanizacji i to wystarczy. Wystarczy! Sam nie mogę zrozumieć, jak to jest ze mną, zabić mnie, to jeszcze za mało, sukinsyna, no ale czemu ja taki jestem? Czemu?! Ale nie, chwileczkę, wstrzymajcie się, przecież nie w tym rzecz, nie to najważniejsze przecież. Najważniejsze, że buduje się komunizm, grobla rośnie, morze się przybliża i wszystko to jest cudowne i wspaniałe. I ja przecież też rosnę, uczestniczę w tym potężnym potoku wydarzeń. Tak. Jako część tego jestem oczywiście amoralny. Ale jakie znaczenie ma moja amoralność?! Żadne. Kropla w morzu... Trzeba patrzeć szerzej. Szerzej i wyżej”.

Katarzyna idzie w tyle.

Sama.

Tak znieważono w niej wszystko, że nie chce jej się żyć.

„Nie mogę, nie chcę żyć” — błąka się wśród no-  
cnej przestrzeni jej gorzka myśl.

Autor nie wszystko tu napisał, dlatego że nie jest jeszcze jasny do końca przebieg pewnych smutnych wydarzeń. Kiedy powiedzieli mu rano, jak zaśpiewało coś w stepie niemal przed samym świtem, pomyślał: nieszczęście. To porzucony człowiek śpiewa własne requiem. Doprowadziła go do tego jego samotność, i to wycisnie swe piętno na wszystkim, co stanie się z nim później.

Chowają Katarzynę z uroczystymi przemówieniami. Łez nie widać. Pochlipuje tylko cicho i żałośnie kilka młodych dziewcząt i starszych kobiet, które pograżyły się w osobistych wspomnieniach, oraz dwie lub trzy przyjaciółki.

Ale rozpamiętywanie nagłej śmierci młodej ładnej dziewczyny i robotnicy wyraźnie modeluje twarze wszystkich obecnych, zaś w surowych oczach męża zaufania i grupowego widać jakąś podniosłą determinację. Mówcy przypominają zalety Katarzyny — skromność, niezwykłą pracowitość, umiejętność współżycia w kolektywie. Przyrzekają nie tylko nie upadać na duchu, ale jeszcze mocniej zewrzeć szeregi.

O kierowniku robót Hołyku nie mówi się wprost. Ale ponieważ krążące już drugi dzień pogłoski o prawdziwej przyczynie przedwczesnej śmierci wzbudzają młode serca, wywołując gniew i oburzenie, więc uczucia te przebijają w wystąpieniach niemal wszystkich mówców. Wprawdzie nie wymienia się nazwiska Hołyka i piętnuje się jedynie sam fakt degeneracji stosunków międzyludzkich, stanowiących relikw przeszłości w naszym społeczeństwie, ale wszystkim wiadomo, o kim mowa. A kwintesencja mów pogrzebowych sprowadza się do tego, że takich drani należy wymiatać żelazną miotłą, wypalać gorącym żelazem



i nie dopuszczać do wielkich budów na odległość armatniego strzału.

O tym armatnim strzale ze szczególną emfazą i patosem oraz kunsztem oratorskim mówi sam Walery Hołyk, którego sytuacja wprawia w prawdziwe natchnienie.

I trudno zrozumieć, jak on odważył się na to wystąpienie. I nikt nie przerywa mu ani jednym słowem, nie wzywa go na pojedynek, nikt nie nakazuje mu, by szedł precz i nigdy więcej nie pokazywał się na budowie. Taka jest siła inercji pewnych umownych sytuacji.

Krótko, z głębokim bólem, przemawia ojciec Katarzyny, przewodniczący kołchozu.

— Żegnaj na wieki, moja dziewczynko, dziecino moja... Nigdy już nie usłyszę ani twoich pieśni, ani twego śmiechu i nie uraduję serca, stary i samotny, twoimi nie narodzonymi dziećmi. Będzie, będzie nowe morze i nowe fale. Rozkwitną stepy i ludzie w lepszych czasach i w bogactwie. Tylko do końca moich dni pozostanie moje stare cierpienie... — Głos Zarudnego zadrgał bólem, co udzieliło się ludziom: wśród kobiet dał się słyszeć płacz. — Nie ustrzegł ciebie twój jednooki ojciec... Przebacz... Nigdy nie miałem dla ciebie czasu, nigdy... Ktoś znieważył twą urodę i twoją czystość, a ty obraziłaś się na nas wszystkich i rozliczyłaś się z nami... Szczodrze się rozliczyłaś, ptaszyno moja, moja córeczko!... Kim on jest? Obudź się i powiedz mi: kim jest ten łotr, ten nikczemnik...

Ludzie rozmawiają i komentują na całej budowie: w wytwórni betonu, na grobli, w odlewni metalu i w narzędziowniach, na spycharkach.

— Jakżeż tak można!... Kiedy dowiaduję się o czymś takim, chce mi się krzyczeć.

— Ale takie jest życie.

— Nie chcę o tym słuchać.

— Jesteśmy przecież dziećmi wielkiej wojny.

Przypomnijcie sobie pożary, blokady, katastrofalne wybuchy, obozy śmierci.

— Taak... Wszystko przeszło, przeminęło.

Przeszedł huragan, a martwa fala długo jeszcze będzie wzburzać ludzkie morze. Biedna dziewczyna...

— A co teraz z tym biednym ojcem?

— To straszne.

— Zrobiliśmy olbrzymie postępy na światową skalę, szykujemy się polecieć na inne planety. I jak to wszystko pogodzić?... Planety i to...

— Nie wiem. Jakbym wiedział, to nie byłbym kierowcą spycharki. Czort jego wie! Absolutnie nie mogę pojąć.

Dla rozpatrzenia bolesnej sprawy Katarzyny oraz wyciągnięcia konsekwencji w stosunku do Hołyka, którego wina została udowodniona i której zresztą sam częściowo nie zaprzecza, powołana została specjalna komisja złożona z trzech najlepszych robotników budowy pod przewodnictwem inżyniera Tycheo. Niestety nie ma jeszcze takich promieni, które by bezbłędnie wykazały przydatność wymienionych towarzyszy właśnie do tej sprawy i ich szczególne kwalifikacje, wychodzące poza ich niekwestionowaną pozycję społeczną i godność obywatelską.

Zorientowawszy się od razu z jakimi ludźmi będzie miał do czynienia, a poza tym przypomniawszy sobie, że jeden z członków komisji też był w przeszłości wplątany w podobną, chociaż nie tak drastyczną sprawę, Hołyk próbował wpłynąć na złagodzenie konsekwencji organizacyjnych.

— Daj spokój, Hołyk, dość już. — Głos trójki jest zdecydowany, ale niezbyt surowy, dlatego oczywiście że ludzi w takiej sytuacji każda podobna sprawa szybko znuży. — Nie da rady, trzeba ci będzie wlepić naganę.

— Tak, nagana jest niezbędna.

— Ależ towarzysze...

— Nagana z ostrzeżeniem. To wszystko.

— To za surowo, towarzysze!... Może nagana, ale bez... Proszę nie łamać mi kariery. Ja rosnę...

— Oczywiście! Rosnące kadry!... — uśmiechnął się sarkastycznie Tychy wstając, oburzony tupeciem Hołyka. — Bądź zadowolony, że na tym się skończyło; że to wszystko było umowne, że odbyło się tylko w wyobraźni autora, którego poniosła pasja moralizowania. I że nieszczęśliwy ojciec Katarzyny nie płakał nad trumną, a ty wcale nie wygłosiłeś swego zakłamanego kainowego przemówienia. Przecież to wszystko mogło się zdarzyć, prawda, Hołyk?

— Diabli go wiedzą. Przykro tylko, że poza tym to wspaniały pracownik. Pracownik pierwszorzędny, co?!

Hołyk orientuje się w tym momencie, że można spróbować jeszcze się bronić, jeśli przejdzie się z obrony do ataku.

— Tak, pracuję nieźle. Tego nie da się ukryć. Dlatego wzywam was, byście podeszli do tej sprawy głównie i przede wszystkim z pozycji interesów państwa i produkcji jako wartości nadrzędnych. Poza tym brak tu najbardziej elementarnego kryterium prawnego: gdzie są fakty? Same tylko domysły i plotki. Ktoś być może korzysta z okazji, by się odegrać.

— Z jakiego powodu?

— O, powodów może być sporo. Chociażby z zawiści, że u mnie jest przechodni sztandar, że rosnę i poszerzam horyzonty.

— Tak. Możliwe, że myśmy ciebie nie zrozumieli — powiedział Tychy i spojrzął na towarzyszy.

— Oczywiście.

— Ale my staramy się dobrać do ciebie klucze... Proszę wejść!

Wchodzi Katarzyna. Jest w roboczym kombinezonie. Niewątpliwie wezwali ją z roboty.

— Dzień dobry.

— Witamy.

Hołyk zbaraniał. Ale głupia historia! Chciałoby się zapaść pod ziemię. Powiedzieć jej coś? Ale co? W gardle zaschło.

— Czy mogę już iść? Mam naradę produkcyjną... — Hołyk zaczął kaszlać i wycierać nos.

— Możesz...

Znika momentalnie. Poczuł ogromną ulgę. Na skwerze spotyka się z dwoma przyjaciółmi. Jest uradowany, rozmawia z podnieceniem. Tylko po co oni wezwali Katarzynę?

— No i tak, Katiu — zwrócił się do niej przyjaźnie Tychy po wyjściu Hołyka. — Przede wszystkim, jak zdrowie, jak samopoczucie?

— Świetnie.

— Pracujesz?

— Oczywiście.

— A czy nie chciałabyś przejść na inny odcinek?

— Nie. Dlaczego?... Nie, nie!

— Byłoby spokojniej...

— Jestem zawsze spokojna.

— Tak. A uczyć się... nie jest ci teraz ciężko?

— Nie. Wprost przeciwnie. Nauka interesuje mnie teraz bardziej niż kiedykolwiek. Dziś wykład profesora Grekowa. Jest kogo posłuchać!...

Audytorium hydrotechnicznego instytutu wieczorowego jest ciasne. Ale młodzieży to nie przeszkadza, tym bardziej że wszystkie okna są otwarte, widać niebo i tysiące ogni na grobli, skąd dopiero co przyszli młodzi budowniczowie.

Inżynier Grekow prowadzi wykład. Ma twarz prostego robotnika, co szczególnie przyjemnie komponuje się z jego olbrzymią erudycją oraz harmonią myśli i uczuć. To pracownik Ziemi wykłada o Ziemi.

Sugestywny i zrozumiały wykład o okresach

geologicznych pobudza wyobraźnię młodych słuchaczy, przenosząc ją w głąb zamierzchłych czasów sprzed milionów lat, nad główne rzeki wielkiej Rosji, w przyszłość.

„Rosyjska Federacja ma wiele potężnych rzek: Wołga, Don, Ob, Jenisej, Angara, Lena, Amur i inne. Na Ukrainie jest tylko jeden Dniepr. Ale i Dniepr, podobnie jak Wołga, w ciągu kilku najbliższych lat zakończy erę swego, że tak powiem, archaicznego bytu i przekształci się w szereg zbiorników wodnych oddzielonych groblami, z potężnymi elektrowniami wodnymi, śluzami i całym systemem kanałów nawadniających. I tak jak sam Dniepr jest jedyny, tak też unikalne będą jego wielkie hydroelektrownie, w tym siedem spośród czternastu na terenie Ukrainy. Innych, podobnych im urządzeń hydrotechnicznych na Dnieprze nie będzie przez całe tysiąclecia. Dlatego nawet przewidując rozumne wykorzystanie w technice przyszłości energii atomowej, długo jeszcze w planowaniu urodzajów będziemy liczyć przede wszystkim na nasze zorganizowane zasoby wodne. I nasi potomkowie oczywiście też, niezależnie od wysokości osiągniętego stopnia kultury i cywilizacji w odległej nawet erze komunizmu. Hydrotechniczne urządzenia epoki wielkich robót pozostaną w ich świadomości jako symbole mądrości i męstwa naszego heroicznego czasu”.

Katarzyna i Walery siedzą obok. Oczy kierownika robót szeroko rozwarte. Słucha wykładu, czy też pograżył się myślami w swoim niespokojnym życiu? Co on zapisuje tak gorączkowo, jakby mechanicznie, nie patrząc na papier? Ciężko im siedzieć obok siebie.

Słowa uczonego, który odkrywa przed nimi głęboki sens ich powołania, nakładają się na dręczące ich wewnętrzne monologi.

Walery: Nienawidzę Arystarchowa. Powiedział mi raz przy wszystkich, że jestem nie budowni-

czym, lecz wyrobnikiem morza, i że nie komunizm można ze mną budować, lecz biurokrację. A mnie tam wszystko jedno. Nie, nie jest mi wszystko jedno, okłamuję się. Jest mi ciężko. Kim jestem? Czym jestem? Jaka szkoda, że nie jestem inżynierem-profesorem, który wygłasza te mądre wykłady. On ma swoje książki, prace naukowe, a ja? Nic. Ale ja jeszcze pokażę, co potrafię... Ożenię się z jego córką i pofrunę w górę, wszystkie drzwi będą stały przede mną otworem. Dlaczego? Dlatego, że on jest bogiem hydromechaniki.

Grekow: Nasi wrogowie twierdzą, że ludzkość zginie przez pustynię. Wcześniej czy później pokryje ona martwym całunem całą kulę ziemską. Ziemia stanie się królestwem suszy, takie już jej fatalne przeznaczenie. A decydującym czynnikiem w powstaniu tej wszechpustyni będzie człowiek... Oto co mówią dziś grabarze ludzkości. Oto dlaczego jest takim szczęściem być radzieckim inżynierem i uczonym: przed nami stoją otworem niezmiernie obszary radosnej pracy dla dobra całej ludzkości.

Katarzyna: „Chcę słuchać, chcę słuchać i nie potrafię. Słowa profesora znikają, rozplývają się. Dlaczego? Dlatego, że zostałam głęboko obrażona. Poniżył mnie człowiek, zdradziecki człowiek. Mówią mi: on jest dobry, mądry, pracowity. On nie jest winien swej duchowej ślepoty. Wszystkiemu winny kobiety, które utraciły swoich mężów na wielkiej wojnie. To one, nieszczęsne wdowy, tak go rozbastwiły, domagając się od niego tylko... Nie, nie wierzę, że on nie jest winien...”

Pisze w notesie: „Widzę swoją bohaterską matkę, rozpiętą na gruszy przez okrutnych faszystów. Za co? Za kogo? Za nas wszystkich... i za ciebie...”

Kładzie w milczeniu notes przed Hołykiem. Ten stawia milcząco duży znak zapytania i dopisuje:

„Towarzysze, podwyższajcie swą świadomość. Trzeba patrzeć naprzód”.

Katarzyna czyta pouczającą odpowiedź i dopisuje: „Patrzę, ale nie widzę tam ciebie...” Brak jej powietrza. Szybko wychodzi z audytorium. Grekow: (natchnionym głosem) Historia powołała nas do innych spraw. Jesteśmy powołani do obrony narodu przed niewiarą we własne siły i do wskazywania mu rozumnych szlaków życia. Tam, gdzie słońce, woda i ziemia przebywają przez wiele tysięcy lat w dysharmonii, trzeba stworzyć morza, a od tych mórz rozprowadzić po stepach i pustyniach nowe rzeki, głębokie i czyste jak nasze marzenie, nasze dążenie do pokoju i braterstwa narodów. Oto kim dziś jesteśmy!”

Nie widziało się jeszcze na budowie takiego ruchu, jak w ten wieczór. Przegradza się odnogę Dniepru. Nieprzerwanym potokiem płyną wywrotki, wzniecając kurz. Wszystkie urządzenia mechaniczne są w akcji. Krawczyzna zapomniał o zmęczeniu, chociaż kończy już swoją zmianę. On też jest jednym z artystów tej wielkiej panoramy. Jadące zgodnym rytmem maszyny, huk koparek na kamieniołomach, płynny i uroczysty ruch kranów budowlanych w ciemnobłękitnej przestrzeni, sygnały, światła, chlupot wpadających do wody brył kamiennych i szum pieniającej się wody ujętej w kamienne karby — wszystko to podnieca go i raduje.

A na grobli, w najwyższym punkcie budowy, który jest jej wzrokiem i słuchem, pracuje maszynista dźwigowy wraz z synem Mychajłykiem, tym samym, który widział na kurhanie pogrzeb króla scytyjskiego. Podczas obrotu dźwigu kabina szybko szybuje nad ziemią i rzeką; z prawa w lewo i z lewa w prawo rozciąga się wieczorna panorama budowy niezwyklej urody.

Mychajłyk jest urzeczony. Tego piękna star-

czy mu na całe życie. Kiedyś być może będzie inżynierem na budowach, jakie trudno dziś sobie nawet wyobrazić, ale po raz pierwszy spotyka się z ich pięknem. To pierwszy obraz świata, który uskrzydlił jego wyobraźnię. Ojciec jego jest już nieco zmęczony, więc rozmowa z nim jakoś się nie klei.

— Tato, a na Marsie robili kanały też takimi dźwigami?

— Tak, chyba takimi.

— A koparki „chodzące” są tam?

— Są.

— A ja polecę z tobą?

— Dokąd?

— Na Marsa.

— Po co? Tam też ludzie nie mają rajy. I zimno. Nie ma co jeść. Z mieszkaniem też bieda. Tyle tylko, że nazywają się Marsjanie.

— A u nas na Ziemi lepiej?

— Nie wiem, synku. Jak komu. Pracować wszędzie trzeba... Lepiej niż na Marsa pojechać nad Jenisej lub do Kremenczuku.

— Cóż to za ogromna siła! Szkoda, że nie ma ze mną Marii! — Krawczyzna odwraca do mnie na moment swoją zakurzoną twarz i znów zanurza się w potoku maszyn. Jego owłosione krągłe dłonie trzymają mocno kierownicę. — Marzyła o tym, żeby uczestniczyć w tym święcie na Dnieprze. I masz ci!

— A co z nią jest?

— Proszę sobie wyobrazić, że ma właśnie rodzić... Już czwarte dziecko. I co na to powiecie?

— No cóż, to wspaniale, bardzo dobrze.

— Ale solennie przyrzekliśmy sobie: rodzimy, przegradzamy Dniepr i cześć! Przechodzę na nową budowę, na dźwig. Dwaj chłopcy podrastają już, zorganizuję rodzinną brygadę. Piękna robota: też fizyczna, ale taka bardziej umysłowa. — Kra-



wczyna spojrział w górę, omijając wysoki dźwig.

Nie wiem, czy on jest partyjny, czy bezpartyjny. Być może formalnie nie ma go na liście członków partii, ale wobec historii nowego świata jest on człowiekiem partyjnym. Pracuje dla wielkiej sprawy komunizmu, razem z milionami sobie podobnych, tak jak pracowałby dla siebie samego, wezwało go do tego życie, oddaje więc tej sprawie swą całą pasję, wszystkie swe siły i najlepsze pomysły na małym posterunku kierowcy ciężarowego samochodu.

Kiedyś mówiło się, że Krawczyna jest partyjny. Było to w latach wojny narodowej. Kiedy wpadli w okrążenie i znaleźli się w zupełnie beznadziejnej sytuacji, Krawczyna uczynił zadość prośbom kilku młodych żołnierzy, którzy przed śmiercią chcieli wstąpić do partii, wszystkich ich wpisał na listę i nawet wydał tymczasowe zaświadczenia. O tej liście dużo się potem mówiło, kiedy szczęśliwie uratowali się wszyscy, co wtedy zapisali się do partii. Potem okazało się, że sam Krawczyna pozostał podobno bezpartyjny, ponieważ nie umie utrzymać języka za zębami.

Jedno w związku z tym można o Krawczynie powiedzieć na pewno: w głównych problemach życiowych nie było w nim żadnych rozbieżności z partyjnym programem. Żadnych „izmów”, żadnych odchyień, prócz chyba... ale o tym nie będziemy mówić.

No, a jeśli były tam jakieś drobne odchylenia, to tylko na Boże Narodzenie, Nowy Rok i na Wielkanoc, kiedy zresztą nie wiadomo, co wtedy dzieje się w kuchni samego sekretarza komitetu powiatowego. Ale kiedy dobrze sprawę rozważyć, to nie było tu nawet żadnego klerykalizmu. Choćby wziąć towarzyszy „wyższych rangą”, na przykład różnych tam pełnomocników, nie mówiąc już o zaopatrzeniowcach czy innych „wysokokalorycznych” posadach; to też ludzie, którzy

lubią sobie dogadzać, jakże inaczej? Taki człowiek bywa niekiedy nawet groźny i lubi postraszyć, zwłaszcza gdy Krawczynowie dadzą mu wyższe wykształcenie, dźwigną go, stworzą mu sławę, dobrobyt, posadzą z żoną do ZIM-u, ZIS-u, ale jemu ciągle mało, a przy tym zaczyna okazywać niższym od siebie diabli wiedzą na kim wzorowaną pogardę. Wtedy już lepiej nie pytać Krawczyny o politykę. Naplecie w ciągu pięciu minut tyle, że i za pięć lat nie zdołałby tego odpokutować. Przygada wszystkim. Wtedy i minister dureń, i sekretarz komitetu powiatowego gamoń. Nie podchodźcie wówczas do Krawczyny przez tydzień albo i przez dwa. I dopiero po dwóch tygodniach, kiedy się uspokoi, przestanie oburzać się i psioczyć na „kacyków”, zacznie mówić jak po ciężkiej chorobie, cicho i zbolałym głosem, z jakąś bolesną skargą w oczach:

— Ech!... No więc słuchajcie... Że przeleźli z feudalizmu do kapitalizmu, że wśliznęli się z kapitalizmu do socjalizmu, czort z nimi! Ale czy mają leżeć dalej? Z nami?... Co-o?! Do komunizmu?!

— Nie powinni leżeć.

— Nie życzę sobie! Przysięgam, że jak ukończymy groblę, napiszę osobiście do Komitetu Centralnego: towarzysze, nie życzę sobie, zastosujcie wszelkie środki, nie patrzcie ani na kwalifikacje, ani na wykształcenie, ani na staż: Jeśli jest łajdakiem, to precz z nim! Grubianin, biurokrata precz z nim! Bezduszny egoista, to precz z nim! Taką dziewczynę zmarnować! Córkę przewodniczącego kołchozu, śliczną dziewczynę, ukończona dziesięciolatka, kryształ. Spotykam ją niedawno. Co z tobą, Katiu? Milczy. Już ani uśmiechu, ani urody...

Katarzyna stoi na brzegu Dniepru. W wodzie kąpią się niezliczone gwiazdy. Wchodzi niepo-

strzeżenie do wody — raz, dwa, trzy, cztery kroki... Zadrzały w wodzie najbliższe gwiazdy.

Z daleka, gdzieś od Kozackiej Wyspy, dolatuje cichy śpiew, muzyka, i nieustanny warkot pogłębiarki. W te odległe dźwięki wplata się głos Katarzyny:

— Powiedz mi, rzeko... I wy mi powiedzcie, gwiazdy złociste, gdzie jest mój ukochany? Czyżby go nigdy nie było i nie ma? Czyżbym oślepla i wymyśliła to, czego nie ma w życiu, co jest tylko w pieśniach i starych księgach?... Dlaczego mam tak obolałą duszę? Dlaczego jestem tak słaba? Robota wymyka mi się z rąk. Na wykładach nic nie słyszę. Obok siedzi on, którego już przecież nie ma...

Patrzy z rozpaczą w gwiazdziste niebo odbijające się w wodzie. Krew odpłynęła z twarzy. Jej piękne ciało przyjmuje już woda, tylko oczy jeszcze wpatrzone w gwiazdy...

— Rzeko moja... Och, jak mi żal, jak strasznie żal...

Nigdy jeszcze cierpienie nie było tak dojmujące. Klasnąwszy w dłonie głucho jęknęła.

— Hej! Katiu, to ty? — usłyszała nagle silny, wesoły głos.

— Ja. Dobry wieczór.

Do brzegu zbliża się wywrotka Krawczyny.

— Poznałem po sylwetce. Marzysz na łonie przyrody?

— Myłam się... i tak się jakoś zagapiłam — odpowiada Katarzyna z trudem uśmiechając się.

— Jak pięknie, proszę spojrzeć!

— E, tu to jeszcze nic! Gdybyś zobaczyła groblę, to jest cudo! A ile maszyn, kamienia!... I Dniepr ryczy i jęczy, no, tak jak u Szewczenki czy u tego, jak mu tam...

Zatrzymawszy maszynę w wodzie, Krawczyna zdjął zakurzoną koszulę i zaczął się myć. Tylko nie słysząc już ani plusku wody, ani jego słów,

ani śmiechu. Płynie jasno oświetlony statek „Taras Szewczenko”, napełniając powietrze swym potężnym basem.

Podjeżdżając z Katarzyną do domu Krawczyzna zauważył światło i ruch w mieszkaniu. Co to mogłoby być? Czyżby Maria wróciła już z porodówki? I kiedy zdążyłaby urodzić? Przecież wczoraj wieczorem był u niej!

— Mario, kochanie, jak się czujesz? Już po wszystkim?

— Tak. Dobrze się czuję.

— Dziś przez cały dzień myślałem o tobie.

— I ja o tobie.

Oczy Marii promienieją radością. A więc wszystko jest w porządku.

— Wszystko poszło dobrze?

— Tak. Nawet bardzo.

— A ja, rozumiesz, jadę z pisarzem, patrzę: Kattia stoi w Dnieprze, rozkoszuje się przyrodą.

Krawczyzna jest szczęśliwy, bo żona jest szczęśliwa. Cała jego mała chatka jest napełniona szczęściem.

— No daj mi je. Chłopczyk?

— Chłopczyk.

Chwytającym za serce, macierzyńskim ruchem podaje dziecko mężowi.

— To Walerek, tato! — chórem informują dzieci.

— Daliśmy mu już imię Walerek!...

— Tak? Teraz wszędzie same Walerki... — Krawczyzna troskliwie bierze dziecko. — Dobry wieczór, syneczku! To ty? Pojawiłeś się na świecie? Ojej, Mario! Jak cudownie! Jakby gałązka wyrosła z mego serca. I jakbym sam narodził się na nowo po raz czwarty. Chłopaczku mój... Ktoś ty? Kim on jest? Towarzysze... Może narodził się wybitny talent? Co? Przecież geniusze ludzkości też mieli ojców i matki... I było gwiazdziste niebo, i kochali się, i współczuli sobie...

Słów takich nigdy nikt od Krawczyny nie sły-  
szał. Nawet kiedy urodził się ich pierwszy chłop-  
czyk, słowa były inne i inna radość; tak urósł  
on w ciągu tych lat budowy. Ale być może, że  
i wówczas, i teraz w ogóle słów tych nie wyma-  
wiał, a tylko jego dusza przepełniona była rados-  
nym odczuciem wielkiego sensu życia. I radość ta  
promieniała na całą chatę, bo kiedy były wypo-  
wiadane, czy też rodziły się w myślach i rwały  
na wolność te jego słowa, uboga biała chatyn-  
ka wypełniła się muzyką narodzenia człowieka  
i uwielbienia matki. W muzykę tę wplotła się  
cicha melodia chorału; była tak blisko, jakby  
śpiewano tu w mieszkaniu i w sieni. Czy to rze-  
czywiście oni śpiewają? Tak, śpiewają. Ale oto  
nowo narodzony zaczyna płakać.

— Słyszycie? Śpiewa...

— Ależ ono płacze — mówi Maria.

— Kto?

— Dziecko. Przecież zaczęło płakać — potwier-  
dzają kobiety.

— Przestańcie! Dlaczego miałby płakać? — pro-  
testuje Krawczyna. — To nie płacz. To krzyk!  
A to zupełnie co innego. Wrasta z krzykiem w  
przyszłe życie. Słyszycie?

Krawczyna wtóruje śpiewem płaczącemu dziec-  
ku: *Oj-ri-ra-ra-a, towarzyszc Woroszyłow, primi  
ot krasnych konnikow pokłon!...\**

Wszyscy podchwytyją i śpiewają.

Tylko dwie młode kobiety, ciesząc się razem  
z Marią i podśpiewując, tak nagle zapłakały, nie  
przestając się uśmiechać, że nie można było na  
nie patrzeć. Były to pewna wdowa oraz porzucu-  
na Katarzyna.

Krawczyna zauważył to. Podchodzi blisko i mó-  
wi bardzo cicho:

— Widzę wszystko, Katarzyno.

---

\* Towarzyszu Woroszyłow, przyjm od czerwonych  
kawalerzystów pozdrowienia!...

— Proszę nie mówić ojcu — jeszcze ciszej prosi Krawczynę przez łyzy dziewczyna.

— Nie gniewaj się dziecko, ale napiszę: twoja córka stała w Dnieprze... myła się...

W prywatnym mieszkaniu inżyniera Grekova odprawa. Na ścianach rysunki, przekroje, schematy. Wszyscy stoją, tu nie ma zwyczaju rozsiania się. Pod koniec narady, kiedy wszyscy zaczynają już mówić równocześnie, Grekow przekazuje jeszcze ostatnie zarządzenia, by udać się następnie na jeden z odcinków budowy.

— Nie, nie, to już wy za to odpowiadacie, wyście, jak mówią, wódz geodezji. I ja was będę brał za to do galopu.

— Ciszej tam! Co to za wrzawa w korytarzu?

Ale wzmożony gwar nie cichnie. Ludzie wchodzi i wychodzą. Niektórzy nadal zawzięcie dyskutują, kreśląc palcem w powietrzu jakieś schematy i śledząc uważnie te napowietrzne rysunki. Inni, pochyleni nad stołem, rozmawiają kreśląc coś ołówkami w notesach.

— No, jedziemy!

— Dajcie spokój, przestańcie! — Grekow zmywa głowę inżynierowi Tychemu, który nie wykonał czegoś tam na czas. — I nie myślcie, że będziecie się chować za jakąś wyższą od was rangą figurę! Wy tu jesteście dowódcą i wy będziecie odpowiadać... Skróćcie czas przygotowania.

— Spróbuję.

— Myślę, że powinniście się spisać na piątkę.

— Kiedy ja... Brakuje rur...

— Wołodymyrze Petrowiczu, nie uciekajcie!

— Ja nie uciekam, przyszedłem właśnie.

Dzwoni telefon.

— Tak! Grekow... Chwileczkę... Ciszej!

— Wasza córka wychodzi za mąż — rozległ się nagle w korytarzu ostry dziewczęcy głos.

— Ciszej tam! Narada!

— Kto tam jest? Kto to?

Zjawia się Wala.

— Żeni się z waszą córką.

Grekow: Nie rozumiem. Kto? Kiedy?... Proszę nikogo teraz nie wpuszczać!

Wala: Dziś.

Grekow: Chwileczkę... Do kogo przyszlście?

Wala: Do was. Pracuję w kamieniołomie. Inżynier Grekow?

Grekow: Czym mogę służyć?

Wala: Switłana, wasza córka...

Grekow: Mychajle Petrowiczul... Słuchajcie, nie teraz, potem... (podnosi słuchawkę telefoniczną)

Tak! Grekow... Tak... Tak... Tak...

Wala: Wychodzi za mąż, podła! Za mego męża Hołyka Walerego. Wszystko jej powiedziałam, całą prawdę...

Grekow: Proszę przestać!... Nie czas teraz... (do telefonu) Jedną... Ja tylko... Jedną chwilkę...

Wala: Proszę nie udawać. Wiem wszystko. Wesele w klubie.

Grekow: Jakie wesele? W jakim klubie? (do telefonu) Sergiju Mychajłowiczu, przepraszam, ja pana ledwie słyszę. A pan słyszy mnie? Zachorowałem nagle. Właśnie w tej chwili wdziera się w moje życie coś takiego, że ja... Nie, nie zawał, nie... Raczej obłęd... w biały dzień... Odkładam słuchawkę, przepraszam.

Krawczyzna dotrzymał słowa. Przyjechał Zarudny, ojciec Katarzyny. Właśnie idzie. W jego twarzy wyraz zdecydowania. Czy słusznie zaraz postąpi? Czy tak jak trzeba? A jak trzeba? Jedni powiedzą: wariat. Inni: biedak. A jeszcze inni: to postać wymyślona, w życiu takich się nie spotyka. Wróble i dudki łatwo osądzą orła: kiepsko lata w krzakach i konopiach.

Krawczyzna wchodzi do biura.

— Do kierownika robót?

— Tak.

— Proszę poczekać. Ma konferencję — głos sekretarki-maszynistki łagodny, twarz rozumna.

Zarudny siada na krześle, chociaż trudno mu teraz usiedzieć. Nie tak wyobrażał to sobie. Myślał, że będzie tak:

— Do kierownika robót?

— Tak! — I prosto do jego drzwi. Nie słyszy słów sekretarki: „Proszę poczekać, ma konferencję”. Otworzy gwałtownie drzwi, przed nim jego wróg. Nie pamięta nawet, jaki wróg ma gabinet. Co na ścianach, jakie okna, wykresy, fotografie i nie pamięta też, co na dworze, dzień czy noc.

— Wyjdź! — krzyknął tak, że Hołyk wstrzymał oddech: widzi przed sobą tego, kogo musiał bać się bardziej niż innych, ojca Katarzyny. Wyglądał strasznie, takiego gniewu Hołyk jeszcze nie widział. W rękach olbrzymi bat, którym można wilka zasieć...

— O co chodzi? Co to? — wyszeptał Hołyk drętwiejącymi wargami.

— Ja go zamorduję!

Wbiega Katarzyna.

— Ojcie! — woła z rozpaczą. — Ojcie! Co ojciec robi, niech się ojciec zatrzyma!

— Halo! Hallo!... — Hołyk chwytą szybko za słuchawkę telefonu, ale Zarudny uderza batem po przewodzie i słuchawka wypada z rąk kierownika robót.

Wali się ściana.

Wali się trzechsetletnia wierzba.

Słychać szum wody. Nie, to nie woda. Nie ma ani gabinetu, ani biurka. Na wieczornym niebie niespokojnie szybują chmury o zmieniających się dziwnych kształtach. Na brzegu zbiornika wodnego, oświetleni dziwnym światłem, spotkali się wrogowie: pasja etyczna z pasją zwierzęcą.

— Przygotuj się na śmierć!

— Co wy robicie? Towarzysze...



— Ojczy, ja go kocham!  
— Nie!  
— Przysięgam!  
— To nie miłość...  
— Błagam... Ojczy!  
— To cierpienie... To cierpienie, moje dziecko,  
i strach, i wstyd, nic więcej.

— Ojczy, bo ojciec pożąda!  
— On ciebie rzucił, okłamał. Znieважаł twą  
urodę i wyśmiał twą miłość...

— Chwileczkę!... Poczekajcie... — Hołyk czuje  
się urażony. — Przypuśćmy, że ja rzeczywiście...  
Ale czyż jestem winien, że ja je wszystkie...

— Co ty je wszystkie? No? Co? Mów!

— Czy można za to?... Teraz to nie jest prze-  
cież problem... To dramat mojego rośnięcia! Prze-  
cież rosne! I jeśli w związku z tym jestem zmu-  
szony je zmieniać, to robię to po linii wznoszącej  
się, przysięgam... Co wy robicie?! Aj! Ojej! To  
okrutne!

— A dlaczego nie mam być dla ciebie okrutny?  
Na kogo, jeśli nie na ciebie, mam się wściekać?  
Za czyje pieniądze wyszedłeś na inżyniera?

— Aj! Oj!...

— Po co przelewałem swoją krew? Zdobywa-  
łem miasta, trzech synów utraciłem pod Berli-  
nem! Żebyś ty, zadowolony z siebie łajdaku, po-  
deptał mój kwiat?!

Katarzyna głośno płacze. Zarudny podchodzi do  
Hołyka:

— Skąd ty się wzięłeś? Z jakich szczelin prze-  
szłości wpełzasz do komunizmu? Goguś z móz-  
giem inżyniera i sumieniem pluskwy. Nienawidzę  
cię! Przez dwadzieścia pięć lat nie zakładałem  
rąk. Tu wszystko zroszone moim potem i moją  
krwią. Niczego nie oszczędziłem: ni Boga, ni dia-  
bla, ni życia pozagrobowego, od ust sobie odej-  
mowałem. Wieś rodzinną starłem z powierzchni  
ziemi dla nowego morza, i starłem chatę, w któ-

rej urodziłem się sam i moja córka Katarzyna. Słyszysz? Przyrosłem do korzeni zboża, które przenika całe moje jestestwo... Zastanawiam się: dlaczego? Skąd we mnie niekiedy to poczucie chaosu? Dlaczego jestem biedny bardziej niż trzeba? Kto znieważył moje serce i lekceważył moje troski? Kto zasłania przede mną radość z pracy? Kto zasiewa we mnie wątpliwości czasem nawet co do piękna mojego celu?

— Ja?

— Ty! Jeśli czynimy takie rzeczy jeden drugiemu, bezczestymy innych, okłamujemy, ponizamy, to po co nam morze? Po co wyrąbywać stare lasy, przenosić dziesiątki wsi? Po co nam nowe morza, jeśli w naszych sercach nie morska fala, lecz błoto i zgnilizna? Jeśli kiedyś księżęta i baronowie zbroją bronili czci swych delikatnych córek, to co ja mam zrobić z tobą, gwałcicielu mojej córki, komsomołki, pracownicy morza?! Co, pytam ciebie?!

— Co z wami? — sekretarka przestała wystukiwać na maszynie. — Mówiliście coś?

— Ja? Nie... Tak się jakoś zamyśliłem... — Sawa Andrijowicz ocknął się, nie wiedząc, gdzie się znajduje. — Maszyna stuka jak karabin maszynowy, więc zacząłem wspominać...

— Wojnę?

— Tak... takie różne rzeczy chodzą po głowie... Może już można wejść?

— Dokąd?

— Do kierownika.

— Przecież on wyszedł. Nie widzieliście?

— Jak to wyszedł? Dokąd?

— Nagle go wezwali.

Trudno w to uwierzyć. Zarudny otwiera drzwi i wchodzi. Gabinet pusty. W kącie przechodni sztandar. Schematy. Biurko. Nad biurkiem olbrzymi portret.

Hołyk wchodzi z lękiem do inżyniera Tycheho. Na jego „dzień dobry” nikt nie odpowiada.

Otwiera następne drzwi. To samo. W pokoju trzyosobowa komisja.

Hołyk siada.

— Można postać też.

Szybko zrywa się z krzesła. Trzeba było wstać spokojniej.

„O co chodzi?” — chciał spytać zaczepnie, ale wargi odmówiły posłuszeństwa, a w dołku poczuł jakby rozpuszczoną tabletkę miętową.

Inżynier Tychy podchodzi bardzo blisko. Jakby zupełnie inny człowiek.

— Narzeczony? — pyta cicho z pogardą.

— To znaczy?

— Można pogratulować...

— Nie rozumiem.

— Żenisz się z córką Grekowa?

— A gdyby nawet... — Hołyk czuje, że otwiera się przed nim przepaść, która go wciąga.

— Czy to też fantazja autora?

— Ja...

— Poczekaj z tym jakaniem.

— Jakim prawem włączacie w moje osobiste życie?! Ja...

— Poczekaj, mówię. Jest to osobiste życie przede wszystkim inżyniera Grekowa i jego córki.

Tychy bierze z biurka arkusz papieru i podaje Hołykowi.

— To twój wniosek do urzędu stanu cywilnego. Podrzyj to i zapomnij o nim. Ośmioklasistka, szesnaście lat. Coś ty, chciałeś z premedytacją wpędzić jej ojca do grobu? Czy wiesz, co z tobą będzie, jeśli ujawnimy tę sprawę?... Ale to jeszcze nie wszystko...

— Tak. To był mój błąd — mówi głucho Hołyk.

— Twój. Możliwe że i nasz. I tylko dlatego, że Grekow jest jednym z najbardziej szanowanych

inżynierów, twój złoczyńca pozostanie tajemnicą, gdyż chodzi tu o życie Grekova. Masz szczęście. Podziękuj!

— Będę milczał!

— Raz na zawsze: koniec, kropka!

— Tak.

— Słowo?

— Przysięgam...

Od tego dnia Walery Hołyk nie zaznał już spokoju. Nie cieszyła go ani robota, ani wskaźniki, ani sukcesy w budownictwie, ani zachwyty zwiedzających budowę wycieczek. Rozgoryczony i rozżalony postanawia wrócić do Katarzyny. Czekając na nią, pisze listy. Błaga o spotkanie.

Spotykają się wieczorem na wysokiej grobli. Są sami.

Walery: Katarzyno!... Gdyby można powrócić...

Katarzyna: Nie.

Walery: I zacząć wszystko od nowa. Przecież wszystko już minęło.

Katarzyna: Nic nie mija.

Walery: Przysięgam na honor, na życie!...

Katarzyna: To na nic. Gdyby po zniesławieniu mnie i zadaniu mi cierpienia opanowała cię nagle namiętność, i to taka, że rzuciłeś się jak ślepy... Ale ty... To nasza ostatnia rozmowa. Powiedz mi w imię czegoś, co jest najdroższe na świecie... no... naszego morza...

Walery: Powiem.

Katarzyna: Ty wszystko zaplanowałeś, zrobiłeś z wyrachowania?

Walery: Tak.

Katarzyna: A więc nie przez niepohamowaną namiętność, nie z bogactwa nieujarzmionego serca?

Walery: Z jego ubóstwa.

Katarzyna: Z małości.

Walery: Tak, z małości i... nikczemności! Sam jeszcze nie mogę zrozumieć do końca...

W pobliżu grobli w pakamerze.

Kierownik robót Szumyło: Wspaniałe było to twoje wczorajsze wystąpienie! Konkretnie, ostro! Z absolutną znajomością tematu. I z jakim zaangażowaniem! Kiedy wezwali ciebie do Arystarchowa, wrzawa była jeszcze z godzinę.

Walery: Tak?... (Dzwoni telefon, podnosi słuchawkę) Tak!... Wysłałem czterdzieści maszyn. Tak, i sam wyjeżdżałem do kamieniołomów. (Do Szumyły). No, kończymy. Jeszcze godzina i Dniepr uspokoi się na wieki, a my będziemy świętowali dzień zwycięstwa.

Szumyło: Racja. A widziałeś ludzi? To rzeczywiście prawdziwe święto. No to leceć. (Wychodzi).

Walery Hołyk podchodzi do okna. Poczul przygnębiającą nudę. I zdawało mu się, że słyszy głos Katarzyny: „To, czemu poświęcili życie wielcy i mali ludzie, co opiewa literatura, sztuka — miłość — ty tak poniżyłeś! Rozmieniłeś swoje złoto na miedziaki. Rozejrzyj się — wszystko tu jest przeciw tobie: wszystko się raduje! Tylko ty jeden jesteś smutny i ci wszyscy, do których się zbliżysz”.

Walery: (cicho) Katarzyno, czy tamto nie może powrócić?

Wieczorem spotkał ją na brzegu Dniepru. Wiatr. Fale myją brzeg.

Walery: Och, gdyby można było wrócić...

Katarzyna: To niemożliwe. Ale po co?

Walery: Nie potrafię żyć bez ciebie.

Katarzyna: Słowa! Wyczytane w książkach słowa.

Walery: Nie! To moje własne. Przysięgam!

Katarzyna: Musimy się rozstać.

Walery: Chwileczkę... Błagam. Wszystko, coś powiedziała, to prawda: mój egoizm i ślepotą, wszystkie te moje wstrętne namiętności. Ale to jest prawdą tylko do dnia dzisiejszego. Dziś łuska spadła z moich oczu. Wszystko zrozumiałem! Chcę

krzyczeć głośno, prosić i kajać się: nie! Dziś obudził się ten, którego we mnie widziałas!...

Katarzyna: Żegnaj.

Walery: Obejrzyj się. Przecież mnie kochasz. Tobie się tylko zdaje, że mnie nienawidzisz. Powiedz, że tylko ci się zdaje. Spójrz na mnie.

Katarzyna: Nie widzę nic.

Idzie aleją młodego parku. Mijają ją dziewczęta, kobiety, robotnicy z dziećmi na rękach. Dzieci mają ładnie ubrane lalki, które trzymają w celuloidowych rączkach kolorowe kulki. Radość i pokój.

Rozmowy:

— Jaki przystojny chłopak!

— To kierownik robót z grobli, Hołyk.

— To ten?

— Tak.

— Jak on przemawiał wczoraj na mityngu! Aż trudno było słuchać. Aż się rozplakałam z radości i dumy!

Oglądają się za nim z zachwytem.

Znowu się spotkali wieczorem, po pracy, pod topolą.

„I blady księżyc o tej porze...” — płynie gdzieś z głośnika.

Wiatr. Jesień w pełni. Szumią wysokie topole.  
Katarzyna: Jak ja marzyłam... Moje serce tak ciebie pragnęło...

Walery: Katarzyno!

Katarzyna: Stepy, grobla, niebo, morze, wszędzie widziałam ciebie, byłeś dla mnie wszystkim.

Walery: Nie rozumiałem tego. Rozdzielałem miłość od życia. Zdawało mi się wtedy, że prócz kochania i pieśczęt nic w tobie nie ma.

Katarzyna: Tak mało?

Walery: I urody oczywiście.

Katarzyna: Biedny, biedny, och, jakiś ty biedny! Nie mogę wymówić słowa...

Walery: Jakiego?

Katarzyna: Kiedy pewnej nocy, pamiętasz, zosta-

wieś mnie w stepie, powiedziałam głośno: „Mój miły”, a potem jeszcze jedno słowo, które mnie przeraziło. Omal nie umarłam wtedy.

Walery: Przebacz.

Katarzyna: Nie mogę. Jestem tylko zwykłą kobietą.

Walery: Nie, ty jesteś niezwykła.

Katarzyna: Dlaczego? Czyż pragnienie szczęścia, miłości i macierzyństwa jest czymś niezwykłym?

Walery: Błagam...

Katarzyna: Nie, już się rozstaliśmy. Może gdzieś na innej rzece lub morzu spotkam morską duszę...

Do Arystarchowa przyjechał z Zarudnym generał Fedorczenko. Obejrzelili groblę, elektrownię wodną, miasto. W gabinecie dyrektora:

— No i tak, Hnacie Maksymowiczu. Proszę siadać. Oblecieliście hydrobudowy wielkich rzek.

— Tak, prawie wszystkie.

— No i zobaczyliście naszą. — Arystarchow spojrzał na wiszącą mapę. — Co sprawiło na was największe wrażenie?

— Wspaniała Angara. To potęga!

— Wielu moich pracowników marzy o tym, żeby się tam przenieść.

— Nie. Dniepru starczy wam na dziesięć lat. Pięć elektrowni wodnych, pięć mórz. Ale największego przeżycia doznałem nie na Angarze, ale tu. I nie na waszej grobli, chociaż jest przepiękna, cześć wam i sława. Spotkało mnie to w mojej wsi — powiedział generał Fedorczenko i spojrzał na Zarudnego, który sam posłał do niego delegację. — Zaproponowali mi we wsi posadę...

— Posadę? We wsi? Czy nie przewodniczącego kołchozu?

— Tak.

— Czego im się zachciało? — Arystarchow smutno się uśmiechnął.

— Powiedziałem im to samo.

Wchodzi sekretarz.

— Wezwaliście Hołyka, już jest.

— Niech wejdzie.

Wchodzi Hołyk.

— Wzywaliście mnie?

— Tak. — Arystarchow zwraca się do Hołyka z gorzkim uśmiechem. — Żebyś ty wiedział, Hołyk, jak nie miałem ochoty widzieć ciebie dzisiaj! Przyjechał właśnie mój dawny dowódca oraz jego przyjaciel. Dla mnie święto. Ale dałem słowo jednemu inżynierowi, że z tobą pomówię.

— Mogę przyjść kiedy indziej.

— Nie. Nie chcę tuić przed gośćmi swego zmar-twienia. Takie to już życie: dobro i zło razem się splatają. Niedobrze, Hołyk!

— Nie rozumiem.

— Jesteś cham, bracie.

— Może trochę jestem.

— Nie trochę, ale bardzo. Ładnie to?

— Trudno być zawsze układnym, gdy się uczestniczy w wielkich sprawach. Możliwe, że ktoś jest chamem.

— Nie ktoś tylko ty. Naród posłał nas tu dla wykonania wielkiego zadania. Wszyscy są szczę-śliwi...

— Tak.

— Dlaczego twoja twarz tego nie wyraża? Dla-czego jesteś grubiański? Dlaczego jesteś dla ko-biet okrutny? Jesteś przecież prawie inżynierem. Państwo tyle na ciebie łożyło! Dlaczego nie ma w tobie inteligencji?

— Jestem inteligentny.

— Nie. Spotykam tysiące robotników inteli-gentniejszych od ciebie, arystokratów ducha!

— Pan mnie nienawidzi — mówi głucho Ho-łyk, nienawidząc w tej chwili samego siebie. — Pan już dawno mnie nienawidzi i dlatego wydają się panu właśnie takim.



— Mylisz się. Wszystkie moje uczucia zagarnia grobla, morze, zagarniają tysiące budowniczych. Ledwie mi ich starczy. Ale rozumiem, że ciebie istotnie można nienawidzić... — Widać, jak Arystarchowowi ciężko, mówi głosem pełnym smutku. — Ciebie, Hołyk, można tak znienawidzić!...

— Proszę bardzo. Tylko że na budowie zawsze przodowałem, a pan sam wręczał mi sztandar przechodni.

— Chyba kolektywowi... — rzekł Fedorczenko.

Hołyk przeżywa trudne chwile. Nie chce się poddać. Zwyciężyły upór i pycha.

— Tak, mojemu kolektywowi. A z naszymi narodowymi wadami to, jakby nie było, uporamy się już w komunizmie.

— Ho, ho, widzicie go!

— Właśnie. Chamstwo chce się przemykać do komunizmu. Nie, Hołyk, takich komunizm nie przyjmie. Dlaczego obraziłeś inżyniera Grekowa?

— Nie obrażłem go.

— Więc on ciebie obraził?

— Tak.

— Chciałeś żenić się z jego córką?

— Tak, chciałem.

— Przecież jesteś już żonaty dwukrotnie — mówi Zarudny, wpatrując się w człowieka, którego pewnego razu zabił w swej wyobraźni. — Masz dzieci z dwiema kobietami.

— Ja to zatailem.

— Dlaczego?

— To dramat mego życia.

— Artysta dramatyczny...

— Tak zostałem wychowany. Widziałem w tym, rzecz jasna, podłość, ale nic więcej. Lecz znacznie gorsze od podłości jest to, że ja... Nie wiecie o mnie najważniejszego. I nikt nie wie. Co wy mi możecie zrobić? Jak ukarać? Sam siebie ukarałem na wieki, tak, ukarałem! Chodzę wśród ludzi tak,

jakby mi ktoś głowę oderwał i wyrwał żalose moje serce. Czy mogę już odejść?

— Idź.

— Niech idzie.

— Odejdź od nas. Nic ci nie zrobimy. Zresztą nawet zebranie partyjne niewiele by tu pomogło. Wstyd byłoby właśnie teraz stawiać przed ludźmi twój „problem”. Wstyd i obraza.

Hołyk w milczeniu wyszedł.

Wkrótce nastala zima. Na Dnieprowym Niżu zaczęła się późno i przeszła niemal niepostrzeżenie, tylko na początku wiosny nagle się ochłodziło i rozhulały się takie śnieżyce, że co najmniej na tydzień zawiąły wszystkie drogi. Praca na grobli była utrudniona, pogorszyło się zaopatrzenie. Nikt, co prawda, nie upadał na duchu, tempo robót utrzymywało się, ale ludzie są tylko ludźmi i tam, gdzie jest jakiś niedostatek, zawsze towarzyszą mu smutek i rozgoryczenie, i obrażanie innych. Nie ominęły one również rodziny Krawczyny, a wszystko przez tę zamieć...

W nocy słyhać trwożny krzyk ptaków. Lecą, niewidoczne, gdzieś wysoko nad chatą. Co gna je tak wcześnie w taką spóźnioną o tej porze roku lodowatą zamieć?

— Słyszysz? Ptaki krzyczą.

— Gdzie?

— Jakby gdzieś blisko... O, znowu. Wyjdę zobaczyć.

Krawczyna wstaje i cicho wychodzi z chaty, żeby nie obudzić dzieci.

W maleńkim sadzie sześć dzikich gęsi. Osłabły z zimna i głodu i na pół zamarzniete pospadały z nieba na mokry śnieg. Kiedy Krawczyna podnosił je, nawet się nie wrywały.

W chacie duża radość. Przebudziły się dzieci. Zaglądają pod piec.

— To gęsi, tato?

— Gęsi.

— Dzikie?

— Dzikie! A jak wysoko lecą nad chatą...

— Możemy je zaraz zarznąć, tato, prawda? Ale będzie smacznie!

— Kogo chcesz zarznąć? Prędzej ciebie zarznę, pętaku!

Przez kilka dni Marii też ślinka ciekła na gęsinę, a można by też trochę sprzedać, bo już nie było pieniędzy.

— Patrz, jakie one zdrowe. A jakie tłuste!

— Nie wstyd ci? — oburzył się Krawczyzna. — Co chcesz sprzedawać? Ptaki, które spadły?

— No to co? Są teraz nasze. Do nas należą.

— Kto ci to powiedział? Przecież to nie z polowania. To nieszczęśliwy wypadek.

— To nasze szczęście.

— Jakie tam szczęście? Dla nich to nieszczęście. Jesteśmy przecież ludźmi! Widzisz, z jakim zaufaniem patrzą na nas, biedactwa? Czują, że je uratowaliśmy. A ty co knujesz? Pytam, co tam knujesz?

— Ja chcę gęsiny, tato!

— Nie będzie gęsiny!

— Nie, będzie. Ja je karmiłam!

— A ja powiedziałem, że nie będzie. Słyszałaś?

— Patrzcie go! No, dziękuję ci bardzo. Nigdy ci tych gęsi nie zapomnę. Do samej śmierci!

— Ja chcę zjeść nóżkę...

— Co takiego? Jaką nóżkę?

— Gęsią. Nóżkę albo skrzydełko. Tato!...

— Nie można jeść skrzydeł. Na skrzydłach latają.

— Latają... Komediant! Rodzonym dzieciom skrzydełka żałuje!

— Zamilcz!

— A ja hodowałam je przez dwa tygodnie! Żeby powyzdychały, żeby je zaraza wydusiła!

— Dzieci byś się wstydziła!

— Tato!

— Ja ci dam skrzydełko, szczeniaku! Ja ci pokażę!

— Nie czepiaj się dzieci!

— Daj mi spokój!

— Nie, to ty daj mi spokój!

— Daj mi spokój, mówię ci! Dajcie mi wszyscy wreszcie spokój! Wszyscy! Zmarnowaliście moje życie!

— Kto? Ja zmarnowałam ci życie? To tyś mi zmarnował... Nigdy nie potrafiłeś nic zdobyć dla rodziny. Wszystko ci się z rąk wymyka.

— Zamilcz, mówię!

— Bo co?

— Zamknij gębę, bo cię stłukę! I przestańcie krzyczeć wreszcie. Ciągłe tylko „jeść, jeść!” Niech was wszystkich diabli wezmą!

Jak wiele słów niepotrzebnych powiedzieli! Jak nieprzyzwoicie i bezlitośnie obrażają się wzajemnie! Jakie niesłuszne wyrzuty wyłażą gdzieś z najciemniejszych zakątków ich w istocie pięknych charakterów, jak plugawią ich usta! Oto co robią z ludźmi bieda i niedostatek...

Rozzłościwszy się na żonę, Krawczyzna wypuszcza gęsi na wolność. Trwożnie i radośnie wzleciały w górę szare gęsi i popłynęły, popłynęły...

A on stoi z zadartą do góry głową i patrzy za nimi. A potem wbiega na pagórek i patrzy jeszcze stamtąd z rozpostartymi ramionami i rozstawionymi palcami rąk, jakby sam chciał oderwać się od ziemi. Ale nie oderwie się od niej.

Nagle wydaje mu się, że ktoś płacze za jego plecami. Odwraca się — na progu ciemnej sieni stoi jego żona, tylko nie taka, jaką znał przez wiele lat, jakby zupełnie odmieniona. Jej zapłakana twarz jest jakby wymyta w potoku jakichś radosnych uczuć, jak gdyby świeciła w półmroku przedświt. W tym momencie mają po dwadzieścia lat. Są znowu młodzi i piękni, jak wówczas, bardzo już dawno...

Kochają się.

Ona mówi do niego najdroższe, najważniejsze słowa.

I wszystkie te słowa są dziwnie bliskie jemu, skromnemu kierowcy ciężarowych samochodów. W żadnym ze słów nie ma przesady.

Jej głowa spoczęła na jego piersiach. Słucha, jak bije jego serce. Widzimy jego twarz, dobrą i dzielną. W tę chwilę olśnienia jest zamyślony i trochę smutny.

— Jakiś ty piękny! Jak mi cię żal! Jak droga mi jest twoja moc i twoja wolność, Iwanie. Czy jest ktoś na świecie bardziej od ciebie ofiarny w pracy i bardziej jej oddany? Nie. Ile ty dałeś z siebie...

— No, ale ty też. Chyba nawet więcej. O wiele więcej ode mnie.

— Kochasz mnie?

— Kocham. Dobrze, że wypuściliśmy gęsi.

— Obejmij mnie mocniej... Słyszysz? Lecą.

— Idzie wiosna. Rozleje się Dniepr już na wieki.

— Przyjdzie morze. Jakoś nawet strach.

— Tak.

— O! Znów lecą...

Objęci, zaczynają cichutko śpiewać swą ulubioną pieśń:

Przyleciały gęsi z dalekiego kraju,  
I zmaciły wodę, hej, w cichym Dunaju...

Zasypiają.

Obok śpią ich dzieci, wszystkie czworo.

I śni im się, że lecą, objąwszy się z ptakami i dziećmi.

Przez całą zimę woda na Dnieprze podnosiła się, zalewając błotniste łąki i jeziora. A wiosną, kiedy z wszystkich dopływów i z górnego biegu rzeki ruszył lód, a wkrótce za lodem olbrzymia

powódź — cały Dnieprowy Niż, od Zaporozża aż po Kachowkę, zmienił zupełnie swój wygląd. Znalazł się pod wodą Wielki Ług Zaporoski, potonęły na wieki stare krzyże na cmentarzach pradziadów. Zniknęły rzeki Pidpilna i Skorbna. Rozlane na przestrzeni dziesiątków kilometrów wody zasiliły małe rzeczki i zalały wyschnięte parowy. Niektóre pozbawione wody wsie stepowe znalazły się nieoczekiwanie jak w bajce, na brzegach morskich zatok.

Narodziło się bezkresne morze z bezkresnym morskim horyzontem.

Geologiczny cud! Powiew wieczności, jak od starej ziemi i starego nieba. Ale morze jest nowe. I ta właśnie jego natchniona i dumna młodość wzrusza, ale też żąda i przyzywa, jak rewolucja.

Ze stepowych kołchozów, oddalonych o setki kilometrów, zjeżdżają się ludzie. Podnieceni i zdumieni, weseli lub zamyśleni, szczęśliwi i głęboko wzruszeni stoją na nowym brzegu patrząc na dokonane przeobrażenia przyrody.

Już wieją nizinne wiatry i morskie fale biją już o brzegi, a na falach statki i mewy.

Przyszedł czas rozstania. Goście znowu zebrali się u Zarudnego. Widzę ich wszystkich. Pułkownicy i generałowie, nauczyciele i agronomowie, różni kierownicy i ich zastępcy, pomocnicy, pełniący obowiązki, powiatowi zaopatrzeniowcy i kapitan wielkiej żeglugi podchodzą do niego, by się pożegnać. Sawa Andrijowicz stoi zasmucony. Wie, że wszyscy muszą się rozjechać, ale to pożegnanie jest smutne. Nawet wypił trochę więcej, twarz mu poczerwieniała. Oni odjeżdżają, ale on zostaje. I wielu z nich już oczywiście nigdy nie zobaczy. Wszyscy ściskają jego szeroką, mocną dłoń. Spozstrzega, że są już na pół nieobecni, i do każdego też coś tam powtarza z roztargnieniem.

— Wszystkiego dobrego... życzę szczęścia... wszystkiego najlepszego... życzę sukcesów...

Wszyscy się żegnają, obejmują się i w zamyśleniu patrzą na morze, na którego dnie zatoneło na wieki ich dzieciństwo. Słychać buczenie statku oraz śpiew. Przez radio podają o przygotowaniu do lotu na Księżyc automatycznej rakiety i o lotach na inne planety.

Sawie Andrijowiczowi zdaje się, że zapomniał o czymś powiedzieć.

— Czekaście! Nie powiedziałem wam najważniejszego!

Wszyscy zwrócili się do niego.

— Kochajcie ziemię! Kochajcie pracę na ziemi, bo bez tego ani my, ani nasze dzieci nie będą szczęśliwe na żadnej planecie.

Pożegnałem się i ja z Sawą Andrijowiczem. Ledwie go już widać na brzegu.

Jesteśmy już na pokładzie statku na nowym morzu. Obok mnie jego budowniczowie: Arystarchow, Szyrokow, Bułatnikow i inni — płyną na nową budowę.

Na statku jest też generał Fedorczenko.

— No i znowu jesteśmy w drodze — mówi Arystarchow uśmiechając się. — Bądź szczęśliwe, żegnaj miasto!

Budowniczowie widzą, jak oddala się ich olbrzymia budowla. Arystarchow jest szczęśliwy, ale jest w nim i smutek.

Patrzę na brzeg morski, który odpływa w dal, i schyliwszy głowę myślę o wszystkich pracownikach nowego morza: „Daj im, losie, siły i pragnień loty wysokie, i wiele lat szczęścia. Dzięki za skarby, które podarowaliście mi, za natchnienie, za radość życia wśród was. Przyjmij mą miłość, narodzie mój drogi, rzeko ogromna i księżycu jasny, i brzegu mój czysty”.

Na pokładzie wszyscy moi przyjaciele i Krawczyzna z rodziną. Czytam z ich twarzy radość.

Przekształcając przyrodę, oni sami się przekształcili, wyszlachetniali, urosli duchowo.

Tylko Hołyk stoi przy burcie samotny, odosobniony. Tak stoją w zielonych gajach samotne, opalone piorunem, ciemne drzewa.

A na brzegu Katarzyna patrzy w dal, na morski horyzont. U jej nóg pluszcze morze i fala goni falę, jakby pytając w niepokoju o coś najważniejszego na świecie.

1955—1956 r.



## ZACZAROWANA DESNA

W tym krótkim szkicu autobiograficznej opowieści filmowej autor pragnie na wstępie uczynić pewnego rodzaju wyznanie: w jego realny, codzienny świat coraz częściej zaczynają wkradać się wspomnienia.

Co je wywołuje? Długie lata rozłąki z ziemią ojców? Czy też tak już jest człowiek zaprogramowany, że przychodzi czas, kiedy poznane w dawno minionym dzieciństwie bajki i modlitwy wynurzają się z pamięci i zapełniają cały nasz mikrokosmos, niezależnie od tego, gdzie się znajdujemy?

A może i jedno, i drugie i to w takim samym stopniu, co przemożne pragnienie podczas grzebania się w bliskich sercu zabawkach dziecięcych, zawsze jakoś tam przebijających przez nasze dzieła, pragnienie, by uświadomić sobie istotę swojej istoty, o pierwszym brzasku, u samych praźródła. Pierwsze radości i smutki, i uroki pierwszych zachwyceń dziecięcych...

Jak pięknie i wesoło było w naszym ogrodzie! Kiedy wyszło się z sieni i spojrzano, wszędzie wokół wszystko zielone i bujne. A gdy jeszcze sad zakwitał wiosną! A co się działo na początku lata: ogórki kwitną, arbuzy kwitną, ziemniaki kwitną. Kwitną maliny, porzeczki, tytoń i fasola. A ile słoneczników, maku, buraków, lebiody, kopru,

marchwi! Czego to też nie nasadzi nasza niespożyta matka!

— Niczego na świecie tak nie lubię, jak sadzić coś tam w ziemi, żeby potem rośło. To mi dopiero radość, kiedy wyłazi z ziemi taka czy inna roślina — lubiła mawiać matka.

Ogród tak był zapełniony roślinami, że w środku lata nie mogły już w nim się pomieścić. Właziły jedna na drugą, splatały się, dusiły w tym tłoku, wspinały na stajnię, na strzechę, wypełzały na płot, arbuzy zaś zwisały z płotu wprost na ulicę.

A malin — i czerwonych, i białych! A wisien, a słodkich gruszek! Bywało, jak się najesz, to przez cały dzień brzuch był jak bęben.

I rośło jeszcze, pamiętam, mnóstwo tytoniu, w którym my, malcy, chodziliśmy jak w lesie, gdzie pojawiły się pierwsze zgrubienia z pracy na dziecięcych dłoniach. A za starą szopą rosły wzdłuż płotu duże krzaki porzeczek, bzu i jeszcze jakichś nie znanych roślin. Tam w tajemnicy przed matką nosiły się kury i różne drobne ptactwo. Rzadko tam zapuszczaliśmy się, bo było ciemno nawet w dzień i baliśmy się żmij. Któż z nas nie bał się w dzieciństwie żmii, jakiej przez całe życie nie widział na oczy?...

Koło domu, który stał w sadzie, kwitły kwiaty, a za chatą, naprzeciw drzwi od sieni, koło wisien, była porośnięta piołunem stara piwnica z otwartą pokrywą, skąd zanosilo zawsze pleśnią. O zmierzchu skakały w niej żaby, a były pewno i żmije.

Na tej piwnicy lubił sypiać dziadek.

Nasz dziadek był bardzo podobny do Pana Boga. Kiedy się modliłem, zawsze miałem przed oczami wiszący na pokuciu portret dziadka w starych srebrzystych szatach, podczas gdy sam dziadek leżał na piecu i cicho pokaszliwał, słuchając skierowanych do siebie modlitw.

W niedzielę przed obrazami świętych paliła się

mała niebieska lampka, w której zawsze gromadziło się pełno much. Święty Mikołaj z obrazu też był podobny do dziadka, zwłaszcza kiedy dziadek przyszyrzygał sobie czasem brodę i wypijał przed obiadem kieliszek wódki z pieprzem, a mama się nie kłóciła. Święty Fedosy podobny był raczej do ojca. Nie modliłem się do tego świętego o ciemnej brodzie, który trzymał w ręku pastorał, owinięty nie wiadomo dlaczego białą chustką. A Pan Bóg, podobny do dziadka, trzymał w jednej ręce okrągłą solniczkę, a koniuszkami trzech palców drugiej ręki jakby zamierzał wziąć ząbek czosnku.

Zwali naszego dziadka, jak się dopiero później dowiedziałem, Semenem. Był wysoki i chudy, miał wysokie czoło oraz długie, faliste siwe włosy i białą brodę. Jeszcze z młodych czumackich lat została mu wydatna przepuklina. Pachniał ciepłą ziemią i trochę młynem. Był piśmienny w zakresie cerkiewnym i lubił w niedzielę czytać z namaszczaniem psalterz. Ani dziadek, ani my nic z tego nie rozumieliśmy, ale to właśnie nas podniecało jak jakaś dziwna tajemnica, która nadawała czytany tekstom osobliwy, niecodzienny sens.

Matka nienawidziła dziadka i uważała go za czarnoksiężnika. Nie wierzyliśmy w to i zawsze braliśmy dziadka w obronę przed jej napaściami, bo przecież psalterz był w środku nie czarny, lecz biały, a gruba skórzana okładka była jasnobrunatna jak hreczany miód czy stara cholewa. Zresztą matka po kryjomu zniszczyła ten psalterz. Spaliła go w piecu, każdą kartkę oddzielnie, bojąc się, że gdyby wrzuciła od razu cały, mogłyby wybuchnąć i rozsadzić piec.

Dziadek lubił pogawędzić i cenił sobie dobre słowo. Czasami jadąc na łąkę, kiedy ktoś pytał go o drogę do Borzny lub Baturyna, długo stał na środku i wymachując batem, krzyczał za podróznym:

— Prosto i prosto, i prosto, i nigdzie nie skręcajcie!... Dobry człowiek pojechał, niech mu Pan Bóg da zdrowie — wzdychał łagodnie, kiedy podróżny wreszcie zniknął w krzakach.

— A kto to jest, dziadku? Skąd on?

— A Pan Bóg go wie, czy ja wiem... No, co stoisz jak wryty? — zwracał się dziadek do konia, siadając na wóz. — No, jazda, ruszaj...

Był on naszym dobrym duchem łąki i ryb. Najlepiej z nas wszystkich umiał zbierać grzyby i jagody. Rozmawiał z końmi, z cielętami, z trawą, ze starą gruszą i dębem — z wszystkim żywym, co wokół rosło i poruszało się. A kiedy nałowimy czasem ryb niewodem lub wędką, i przyniesiemy do szopy, dziadek uśmiechając się kpiąco kiwa głową i mówi z uczuciem żalu, który z biegiem czasu będzie zawierał coraz więcej akcentów rezygnacji:

— Phi, alboż to ryba? To nie ryba, ale lichowię co. Kiedyś, żebyście wiedzieli, były ryby! Ot, bywało, jak pójdziemy z nieboszczykiem Nazarem, Panie świeć nad jego duszą...

I tu dziadek wiódł nas w gąszcz takich baśniowych starych czasów, że przestawaliśmy oddychać i bić na łydkach i na szyi komary, które gryzły nas teraz bez przeszkód i piły naszą krew, i już dawno wieczór zapadł i wielkie sumy rzucały się w Desnie, wśród gwiazd, a my ciągle słuchaliśmy z szeroko otwartymi oczami, aż wreszcie usypialiśmy w pachnącym sianie pod dębami nad zaczarowaną rzeką Desną.

Dziadek uważał za najlepszą rybę lina. Nie łowił ich w jeziorach ani niewodem, ani na wędkę, lecz wybierał je jakoś z wody po prostu rękami, jak chiński kuglarz. Liny jakby same podływały do jego rąk. Mówiono, że znał jakieś zaklęcie.

Latem dziadek lubił na piwnicy wygrzewać się na słońcu, zwłaszcza w południe, kiedy prażyło tak, że my wszyscy, i nasz kot, i pies, i kury, cho-

waliśmy się pod lubczyk, porzeczeki lub tytoń. Wtedy właśnie najbardziej się rozkoszował...

Dziadek lubił słońce ponad wszystko. Przeżył pod słońcem około stu lat i nigdy nie krył się przed nim w cień. Tak też właśnie, leżąc na piwnicy, blisko jabłoni, zmarł w promieniach słońca, kiedy przyszedł jego czas.

Dziadek lubił kaszleć. Niekiedy kaszlał tak długo i głośno, że mimo naszych wysiłków nie udawało się nam go przedrzeźniać. Jego kaszel słychać było w całym przysiółku. Kaszel ten pozwalał starym ludziom przepowiadać pogodę. Czasem, kiedy słońce dobrze przypiekło, dziadek aż siniał od kaszlu i charczenia, ryczał jak lew i wył jak wilk, przyciskając obu rękami spodnie w tym miejscu, gdzie była przepuklina i zadzierając w górę nogi jak mały chłopczyk. Wówczas Pirat, który spał obok dziadka na trawie, zrywał się, dawał nura w lubczyk i z przestachu szczekał stamtąd na dziadka.

— Chociaż ty mi tu nie szczekaj. Wystarczy, że ja szczekam — żalił się dziadek.

— Hau, hau!

— A bodaj ci kość stanęła w gardle! Yhy-yhy!...

W środku zaczynały mu nagle grać tysiące cieniutkich fujarek. Kaszel bulgotał w piersiach jak lawa w wulkanie, długo i groźnie, i po jakimś czasie, kiedy fujarki wyciągały najwyższe tony i dziadek był już zupełnie siny, jak kwiat powoju, wulkan wybuchał; uciekaliśmy wtedy gdzie popadło, ale długo jeszcze goniły nas dziadkowe gromy i przynoszące ulgę postękiwania.

Kiedy pewnego razu uciekałem tak od dziadkowego ryku, wyskoczyłem z porzeczek prosto w tytoń. Był wysoki i bardzo gęsty. Kwitł właśnie wielkimi, żółtymi gronami, przypominającymi ornamenty na popiej ryzie, a nad kwiatami unosiły się ledwo widoczne w rozedrganym powietrzu pszczoły. Od razu oplotły mnie duże, tytoniowe

liście. Upadłem w zielony gąszcz i polazłem pod liśćmi do ogórków.

W ogórkach też były pszczoły. Przysiadają na krótko na kwiatach i latały od słonecznika do maku i od maku do ula tak szybko, że mimo iż starałem się zwrócić na siebie ich uwagę i drażniłem je na różne sposoby, nie miały czasu na to, by mnie ugryźć. Żądło pszczoły boli, ale kiedy zacznie się płakać, dziadek lub matka dają miedziaka, który trzeba przyłożyć do bolącego miejsca. Wtedy ból szybko przechodził, a za kopiejkę można było kupić u Masija aż cztery cukierki i ssać je ze smakiem aż do wieczora.

Pokręciwszy się koło pszczół i najadłszy się ogórkowych pączków, natrafiłem na marchew. Rosła ona wszędzie między ogórkami równym kędzierzawym rzędkiem. Obejrzałem się, czy ktoś nie patrzy. Nie, nikt mnie nie widział. Wokół tylko drzemiący tytoń, mak, wysoka jak topola kukurydza i słoneczniki. Czyste południowe niebo i tak cicho, jakby wszystko posnęło. Tylko pszczoły brzęczą i gdzieś zza tytoniu, od strony piwnicy dochodzi dziadkowy kaszel. Rzuciliśmy się więc z Piratem do marchwi. Wyrwam jedną — małą. Nać duża, ale sama marchew drobniutka, biała i zupełnie niesłodka. Wyrwam drugą — jeszcze cieńsza. Trzecia — cienka. A tak mi się zachciało marchwi, że trzęsę się cały. Przebrałem cały rząd, ale nie znalazłem ani jednej. Obejrzałem się. Co robić? Posadziłem wszystkie wyrwane marchewki z powrotem, niech rosną, myślę sobie, i ruszyłem dalej na poszukiwanie czegoś smacznego.

Jakoś długo włóczyłem się po ogrodzie. Po marchwi wysysałem miód z tytoniowych kwiatów i z kwiatu arbuźów rosnących pod płotem, próbowałem zielonych bodziszek i białego maku jeszcze z mleczkiem, pokosztowałem wiśniowego kleju z wisien, ponadgryzałem na jabłoni dziesiątki zielonych kwaśnych jabłek i chciałem już wracać do

domu. Aż tu patrzę: prababka, mama dziadka, coś tam krząta się koło marchwi. Więc ja biegiem. A ona zerk i za mną. Którędy tu uciekać, więc przez słoneczniki, przewróciłem jeden, drugi.

— Jak biegiesz, bodaj ci nogi uschły!

Więc ja w tytoń. „Dam nura w maliny — myślę sobie — a potem przeczołgam się pod tytoniem”. Pirat za mną.

— Gdzie leziesz w tytoń i łamiesz go, bodaj ci ręce i nogi połamało! A bodajś nie wylazł z tego tytoniu do świętego nigdy! Żebyś zwiądł, ośle, tak jak ta marchew zwiądła od twoich katorzniczych rąk!

Nie zagłębiając się w historyczną analizę niektórych kulturalnych przeżytków trzeba powiedzieć, że u nas na Ukrainie prości ludzie nie bardzo wierzyli w Boga. A jeśli już wierzyli, to raczej w Matkę Boską oraz w świętych: Mikołaja, Piotra, Ilię i Pantelejmona. Wierzyli też w nieczystą siłę. A samego Boga, nie to, żeby nie uznawali, ale po prostu przez delikatność nie odważali się bezpośrednio niepokoić. Ludzie prości dobrze wychowani, do jakich należała również moja rodzina, uważali w swej skromności, że boskie wtrącanie się w ich codzienne sprawy byłoby czymś niewłaściwym. Dlatego też zwracali się w swych modlitwach z różnymi prośbami do niższych instancji, jako to do wspomnianych już Mikołaja, Piotra i innych. Kobiety miały własną udeptaną ścieżkę: wszystkie swoje kłopoty powierzały Matce Boskiej, która przekazywała je Synowi czy Świętemu Duchowi w postaci gołębicy.

Ludzie wierzyli w moc świąt. Pamiętam, jak babka często wołała do mnie: „Ażeby cię pobiło święte Boże Narodzenie” albo „Pobij go, święta Wielkanocy”.

Otóż rzuciwszy się przez tytoń do sadu moja prababka w biegu upadła na kolana. I tak jak dziadek lubił słońce, tak jego matka, którą zwali, jak też

dopiero później się dowiedziałem, Marusią, bardzo lubiła przeklinać. Przeklinała wszystko, co wpadło jej w oczy: świnię, kury, prosięta, żeby nie kwiczały, Pirata, żeby nie szczekał, przeklinała dzieci i sąsiadów. Kota przeklinała po kilka razy dziennie tak skutecznie, że w końcu zachorował i zdechł gdzieś w tytoniu.

Prababka była malutka i bardzo ruchliwa. Oczy miała takie świdrujące i bystre, że nic nie mogło się przed nią ukryć. Mogła nie jeść przez trzy dni, ale bez przekleństw nie wyżyłaby nawet jednego dnia. Były one jej duchową strawą. Z najbłahszego powodu płynęły jej z ust niepowstrzymanym potokiem jak wiersze natchnionego poety. Różowiły się wówczas jej policzki, a oczy błyszczały. Była to twórczość jej porywczej, ciemnej, zestarzałej natury.

— Matko Boska, królowo niebieska — krzyczała babka zwracając się do nieba — najmilsza moja, wielka święta męczennico, skarz tego durnia swoją świętą ręką! Tak jak on powyrywał z szarej ziemi tę marcheweczkę, tak ty, królowo miłosierdzia, powykręcaj mu rączki i nóżki, połam mu, święta władczyni, paluszki i przeguby. Królowo niebieska, orędowniczko moja litościwa, weź mnie w obronę, wysłuchaj mojej modlitwy, żeby on rósł nie w górę, ale w dół, i żeby nie usłyszał już nigdy ani bożej kukułki, ani bożego gromu. Święty Mikołaju, co tak chętny jesteś do pomagania, święty Jerzy, święty Grzegorzcu na białym koniu i w białym siodle, skarzcie go swoją świętą prawicą, żeby już nigdy nie mógł jeść marchewki, bodajby go syfilis zżarł i wrzody go zgnoiły, bodajby go czerw stoczył...

Babka zegnała się z takim zapalem, patrząc w niebo, że aż trzeszczała od ciągłego żegnania się.

A w malinach leżał zrzucony z nieba maleńki aniołek i płakał bez łez. Spadł nieoczekiwanie z bezchmurnego błękitnego nieba na ziemię i poła-



mał sobie koło marchwi swoje delikatne skrzydła. To byłem ja. Przyczajony w malinach za porzeczkami słuchałem babcinych modlitw jak urzeczony. Bałem się ruszyć nawet palcem, żeby przypadkiem Matka Boska nie dostrzegła z nieba, że jestem tu w malinach. Nawet Pirat patrzył spod porzeczek na babkę z lękiem.

Nie wiem, czym by się zakończyły babcine modlitwy. Może by mi powykręcało ręce i nogi, gdyby nagle nie rozległ się głos dziadka, którego obudziły modlitwy mojej prababki.

— Mamo, a czy nie przynieślibyście mi miseczki kompotu? — zwrócił się do matki. — Tak mnie coś w żołądku piecze!

— Co? A, to ty tu leżysz, żebyś już nigdy nie wstał! — przeniosły się modlitwy prababki ze mnie na mojego dziadka. — Zaraz przyniosę, bodaj ciębie franca zżarła, żebyś jadł i nigdy nie mógł się najeść, żeby cię rozerwało, żebyś był pękł jeszcze w kołyse!...

Baba weszła do chaty, a „Pan Bóg” na piwnicy patrzył za nią z cichym uśmiechem.

Nie słyszałem, o czym dziadek rozmawiał przy kompocie ze swoją mamą. Nie w głowie mi były rozmowy i kompot. Wpełznąłem cichutko w maliniak, prawie aż do samych żmij, nie wiedząc, gdzie się podziać i co robić.

„Ech, żeby tak tu umrzeć w tych malinach. Niechby wtedy szukali, płakali nade mną, żalowali mnie, że byłem sprytnym chłopcem i świętą duszyczką. Potem zanieśliby mnie do grobu, a ja koło grobu ożyłbym, ale czemu koło grobu, wcześniej bym ożył i jakbym się poderwał, a babka uciekłaby ze strachu i nie wróciła już, a my wtedy do chaty i za kutię\*<sup>”</sup>. Bardzo lubiłem kutię. U nas

---

\* Na wsi ukraińskiej jada się kutię nie tylko w wigilię Bożego Narodzenia, lecz również podczas stypy (przyp. tłum.).

umarło już pięciu chłopczyków i dwie dziewczynki. Umarli jeszcze jako małe dzieci.

Chciałem bardzo wrócić do domu. Przeczółgałem się pod płotem, poza kupę gnoju, obok grządki z arbusami, wszedłem cicho do ciemnej sieni i stanąłem przed drzwiami izby.

„Zaraz wejść i wszystko zobaczę”.

Zrobiło mi się w środku chłodno, jakbym się najadł mięty. Otworzyłem drzwi.

Nie wiadomo, kto i kiedy zbudował naszą chatę, jacy majstrowie. Myśmy byli przekonani, że nikt w ogóle jej nie budował, że wyrosła sama między gruszą i ogrodową piwnicą jak pieczarka, zresztą podobna była do starej białej pieczarki. Chata była bardzo malownicza. Jedno, co nie podobało się w niej, i to nie nam, lecz matce, to okna wrastające w ziemię i brak zamków. U nas nic się nie zamykało. Wchodźcie, proszę bardzo, nie pytając się, czy można. Prosimy! Matka uskarżała się na ciasnotę, ale nam, małym, przestrzeni i piękna wystarczało, a kiedy jeszcze spojrzeło się w okno, widać było i słońce, i grusze, i niebo. A na białej ścianie, pod świętymi wisiało aż do kredensu wiele pięknych obrazów: Pocajowska Ławra, Kijowska Ławra, klasztor Nowy Atos, widok klasztoru Symono-Kananickiego w pobliżu miasta Suchumi na Kaukazie. Nad klasztorami wisiały w powietrzu obrazy Matki Bożej z ozdobnie haftowanymi ręcznikami oraz fruwały białe anioły skrzydlate jak gęsi.

Jednak obrazem nad obrazami był Sąd Ostateczny, który matka kupiła na jarmarku za kurę jako przestrożę dla swych wrogów: babki, dziadka i ojca. Obraz ten był tak straszny, a jednocześnie tak pouczający, że nawet Pirat bał się spojrzeć na niego. Górną część obrazu zajmował nasz dziadek wraz ze wszystkimi świętymi. W części środkowej umarli wyłazili z trumien — jedni w górę do raju, inni w dół. Przez cały obraz, środkiem i dołem

pełzał w pierścieniowych splotach olbrzymi niebieski wąż. Był on o wiele grubszy od tych węży, jakie kiedyś zabijaliśmy w arbuzach. A pod węzem wszystko paliło się jak podczas pożaru. Było to piekło. Gorzały tam grzeszne dusze wraz z diabłami. U samego dołu w ramkach było coś w rodzaju prospektu czy cennika kar za grzechy. Kto kłamał, wisiał nad ogniem na haku za język, kto nie pościł — za brzuch. Kto w czasie postu pije po kryjomu tłuste mleko albo smaży jajecznicę ze słoniną, ten na gorącej patelni gołym tyłkiem leżeć będzie; kto się klócił, ten odwrotnie — będzie lizał patelnię językiem.

Wiele było grzechów i wiele kar, ale jakoś nikt się ich nie bał. Początkowo bardzo się bałem tego obrazu, stopniowo jednak przywykłem jak żołnierz na wojnie przyzwyczajają się do huków armat.

W naszej rodzinie prawie wszyscy byli grzeszni: niedostatki, gorące temperamenty, mnóstwo pracy i kłopotów gospodarskich, do tego jeszcze dziedziczna skłonność do ostrego słowa, więc chociaż niekiedy myśleli o rajach, to raczej spodziewali się piekła z dolnej części obrazu.

Ojcu diabli wlewali do ust gorącą smołę, żeby nie pił wódki i nie bił matki. Babka lizała rozpaloną patelnię za swój długi ożór i za to, że była czarownicą. Dziadka (mama przysięgała na wszystkie świętości, że to prawda) trzymał w rękach sam diabeł, za to, że był czarnoksiężnikiem i że czytając w niedziele czarnoksięski psalterz zadawał jej uroki, od których ona już trzeci rok choruje; wiadomo, że czarnoksięski, bo często darła po kryjomu kartki z tej czarnej księgi i rozrzucała ich skrawki w stajni, w szopie, w arbuzach, w maliniaku, a one same potem zlatywały się do skórzanej okładki. A prócz tego kiedyś, bardzo dawno już temu, żmija przynosiła w nocy pieniądze na piec dla nieboszczyka ojca mego dziadka, Tarasa.

I rzeczywiście, w dolnym prawym kącie obrazu

na diabelskich rękach siedział dziadek. Co prawda nie był zbyt podobny do naszego dziadka, bo był goły jak w łaźni i brodę miał nie białą, lecz rudą, osmoloną ogniem, a sterczące na głowie włosy aż skwierczały w płomieniach. W rękach trzymał dziadek sakiewkę z pieniędzmi.

Mój starszy brat Owram już dawno został przeklęty przez babkę i jego naga dusza leciała na łeb na szyję z lewego górnego kąta obrazu prosto do piekła za to, że kradł gołębie ze strychu i wykraadał słoninę z komory w czasie postu. Prócz tego Owram przepadał za kozuchem z mleka, które stało w glinianych garnkach w piwnicy i w komorze.

Sama matka natomiast zaklinała się, że będzie w raju pośród świętych jako zboląta męczennica, która karmi swoich wrogów, dziadka i babkę, i dogadza im.

Matka błagała świętego Jerzego, który zdeptał smoka koniem, żeby tak samo zdeptał jej wrogów — ojca, dziadka i babkę, bo zmarnowali jej życie.

Matka przysięgała, że kiedy jeszcze jako dziewczyna spała w komorze, pewnej nocy zjawił się jej we śnie święty Jerzy w białych popich szatach, na białym koniu, z długą spisą, a kiedy ona zaczęła z przestrachu jęczeć, spytał:

— To ty, Odarko?

— Ja.

— Nie bój się, to ja, święty Jerzy, przyśniłem ci się, żeby przekazać ci znak. Będiesz teraz, Odarko, czynić ludziom dobro w moim imieniu..

Od tego czasu, dziesięć czy dwadzieścia lat temu, matka poczuła się wróżką i zaczęła leczyć ludzi z bólu zębów, z zadanych uroków i z przestrachu, chociaż sama ciągle chorowała.

— Patrzcie, gdzie jestem — pokazywała niekiedy na jakąś świętą duszę w pobliżu Matki Boskiej, u góry obrazu Sądu Ostatecznego. — Widzicie?

Matka tak często dotykała palcami tej pobożnej

duszycki, że zamiast twarzy miała ona brązową plamę, jak stolica na mapie. Ale z czasem sprawy matki popsuły się. Jakoś długo już nie dawała babce jeść. A wtedy babka nakupiła w cerkwi świeczek przeciw matce i postawiła je przed obrazem Pana Boga. A wiadomo, że po czymś takim żadna dusza nie może dostać się do raju. Od tego czasu matka zaczęła ciężko chorować i po nocach dusił ją często pokuć. Mieszkał on u nas w kominie. Powiadają, że nie wydawał nigdy żadnego głosu i podobny był do czarnego kozucha odwróconego futrem na wierzch.

Tak naprawdę, to jedynym świętym w naszym domu byłem dotąd ja. Lecz skończyła się moja świętość. Nie trzeba było zabierać się do marchewki. Niechby sobie rosła. A teraz jestem już grzeszny. Co się ze mną stanie?

Po wejściu do chaty podkradłem się cichutko pod obraz Sądu Ostatecznego i zacząłem pilnie, jakoś zupełnie po nowemu przyglądać się karom piekielnym, przedstawionym u dołu obrazu. Nie miałem odwagi spojrzeć w górę. Tam mnie już nie było.

Na jaką karę zasłużyła moja ciepła jeszcze od grzechu dusza? Chyba za pierwszy grzech na niezbyt wielką, nie gorszą od tego ognia po kostki w lewym kącie obrazu. Oj-oj-ojej!...

Spojrzałem po raz ostatni na świętych, gdzie siedział ich komitet, i zrobiło mi się tak żal, że już do nich nie należę i będę na wieki w tym piekle na dole, i tak strasznie żałowałem, że nie wytrzymałem, przytuliłem głowę do piekła, akurat pod dziadkową sakiewką, i gorzko zapłakałem.

Od spoglądania na kary piekielne zaczęły mnie piec pięty, więc szybko pobiegłem przez sień i podwórze do stodoły na palcach, jakby po rozpalonej patelni, którą babka lizała językiem. Wtedy nic jeszcze nie pisali w gazetach o moich amoralnych czynach, ale dobrze pamiętam, że świat, do którego należałem wówczas, bardzo ostro zareagował na

mój rozpaczliwy krzyk na tej rozpalonej patelni. Z łopotem skrzydeł wzbily się nad chatą gołębie, zagdakały kury, zakwiczały prosięta, Pirat obudził się i zaszczekał: „A kto mi tam biega po podwórzu?” Następnie skrzypnęły złowieszczo drzwi i na progu ciemnej komory zjawiała się babka:

— A ty czego wrzeszczysz, bodajbys się udławił?! Żebyś tak krzyczał i nie mógł przestać! — a potem do Matki Bożej w niebie: — Matko Boska, królowo niebieska! Tak jak on nie daje mi spokoju, tak i ty mu nie daj ani na tym, ani na tamtym świecie!...

Potem ujrzała krążące nad chatą gołębie i zwróciła się do nich:

— Gołąbeczki moje, święci moi obrońcy! Żeby on nie zobaczył już nigdy waszych świętych piórek i nie słyszał waszego niebiańskiego gruchania! Żeby nie wyszedł ani na krawca, ani na szewca, ani na cieślę, ani na młocarza...

A potem baba zaczęła układać o mnie pieśń, śpiewając ją jak kolędę:

Ani na oracza w polu, ani na kosiarza łąki,  
Nie daj Panie Boże.

Ani na kosiarza łąki, ani też na kupca w drodze,  
Oj, nie na kupca w drodze ani rybaka na morzu.

Potem, kiedy gołębie posiadały już na strzechę, babka znowu przeszła na uroczystą prozę:

— Skarżcie go, święte gołąbeczki, i ty, Matko Boża, taką pracą, żeby nie zaznał ni snu, ni odpoczynku, i dajcie mu, błagam was, takiego naczelnika...

Dokładnej charakterystyki mego przyszłego naczelnika już nie słyszałem. Nie naczelników miałem w głowie. Trzeba było się ratować, póki nie za późno. Wlazłem szybko do starego czółna, które stało w stodole, w kącie na różne niepotrzebne graty, i zacząłem rozmyślać, co powinienem zrobić dla odzyskania świętości.

I właśnie wówczas po raz pierwszy w życiu postanowiłem spełniać dobre uczynki. „Nie będę jeść z omastą przez cały tydzień. Będę przynosić dziadkowi wodę na piwnicę ogrodową, ile tylko zechce, i zacznę chodzić do cerkwi”. A potem, patrząc na jaskółki, pomyślałem jeszcze: „Gdyby tak z gniazda powypadały małe jaskółeczki! Zaraz nakarmiłbym je muchami i chlebem, żeby tylko jaskółka widziała, do jakich czynów jestem zdolny, i powiedziała o tym Panu Jezusowi”.

Ale jaskółeczki nie wypadały z gniazda, tylko żałośnie piszczały z otwartymi dzióbkami, a wokół gniazda nieustannie krążyli ich rodzice i znosili im muszki.

„Co by tu zrobić? — zastanawiałem się, zostawiwszy w spokoju jaskółki. — Pójdę na ulicę okazywać szacunek wielkim ludziom. Dziadek mówił, że za to odpuszcza się na tamtym świecie wiele różnych grzechów. Będę zdejmował przed nimi czapkę i mówił „Dzień dobry!” Akurat w czólnie poniewierała się jakaś czapka. Była to stara czapka dziadkowa. Teraz nie ma już takich czapek. Nie szyją już takich, a i czólen takich jak to też już nie ma. Czapka była gruba i przypominała miedziany kocioł. I ciężka też była jak dobry kociołek. Przez jakiś czas długo leżała w sieni pod stępą. Kotka kociła się w niej, ale potem baba potopiła kocięta w sadzawce, a czapkę wrzuciła do czólna, dlatego zalatywała ta czapka nie dziadkiem, lecz kotami. No, ale nie było co się zastanawiać. Żeby było tylko co zdjąć z głowy dla okazania szacunku. Włożyłem czapkę na głowę — spadła mi aż na usta — i wyszedłem za wrota.

Ulica była pusta. Wszyscy dorośli pracowali w polu. Tylko koło sklepu, akurat naprzeciw studni z żurawiem, siedział na ganku w czarnym surducie sklepikarz Masij przypominający jaskółkę. Nie chciałem jednak przed Masijem zdejmować dziadkowej czapki. Dziadek mówił, że Masij nie ma duszy,

tylko samą parę, dlatego też oszukiwał wszystkich, kto do niego przychodził. Więc Pan Bóg sprawiedliwie go pokarał, nakazując swoim złodziejom okraść jego sklepik z dziesięciu rubli, jak mówiono; jego żona i dzieci długo potem krzyczały i płakały, a on sam również głośno lamentował, że został żebrakiem, i wzywał na wszystkich cholere. Nasz ojciec, chociaż śmiał się z Masija jak z błazna, to jednak żałował go, pomagał mu w ciężkich chwilach i nigdy go nie zaczepił, nawet po pijanemu.

I gdzie tu znaleźć człowieka dla okazania mu szacunku? Obszedłem zrozpaczony wiele bezludnych uliczek, aż w końcu wpadłem na to, że trzeba zacząć od naszego sąsiada, starego Zacharki. Na pewno siedzi koło chaty.

Dziadek Zacharko był kowalem, chociaż nigdy nie widziałem, żeby coś kuł. Od kiedy sięgam pamięcią, przechodził często koło naszej chaty z całym snopem długich wędek, a kiedy wracał z polowu, to tak walił butami, że budziliśmy się w nocy jak od bicia piorunów. Miał duże buty i taki ciężki chód, że zdawało się, iż ziemia się pod nim ugina. Brodę miał, tak jak nasz dziadek, zupełnie siwą, z rudą pręgą pośrodku.

Po skończonym łowieniu dziadek Zacharko siedział na kłocu w pobliżu naszego domu i ćmił papierosy, wpatrzony w jeden punkt jakby na spławik. Palił tak mocny tytoń, że nie można było stać blisko niego. Omijały go z daleka kury i prosięta, a psy, co biegły naszą ulicą, zbaczały z drogi i biegły dalej przez ogrody. Bratowa Halka, która spała w komorze, wyrzucała z niej na dwór świtkę dziadka i skarżyła się matce, że dziadek ją zadusił tym swoim tytoniem. Mówiono, że Zacharowego zapachu nie znosiły nawet ryby i dlatego tak słabo brały. Kiedy przechodził obok naszej chaty, nad ulicą długo jeszcze unosił się tytoniowy dym. Dym ten znajdzie się jeszcze kiedyś w moich filmach



o rodzinnej ziemi, w których mój przodek po raz ostatni złoży na białej koszuli swoje stwardniałe od pracy dłonie, pod jabłonią, wśród jabłek i gruszek, i marchew ożyje w moich filmach, i ten mój grzech, i przekleństwa babuni; a tymczasem idę, zasmucony chłopczyk, do starego kowala odpokutować pierwszy grzech.

— Dzień dobry, dziadku! — zawołałem, zdejmując obu rękami czapkę z głowy, i szybko poszedłem dalej.

Odpowiedzi nie było, dziadek mnie nie zauważył.

„Chyba nie usłyszał — pomyślałem. — Trzeba wrócić i powiedzieć jeszcze raz głośniej”.

— Dzień dobry, dziadku! — powiedziałem raz jeszcze drżącym głosem, zdejmując tę ciężką czapę, i zacząłem nasłuchiwać, czy dziadek Zacharko coś powie, czy odpuści mi chociaż trochę grzechów. Ale dziadek milczał.

Co teraz robić? Dokąd się udać?

Wyszedłem z naszego zaułka na ulicę w nadziei, że może jednak kogoś spotkam i pozdrowię z szunckiem. Ale ulica też była pusta. Nawet Masij gdzieś znikł. Poczułem skurcz w gardle, a od ciężkiej czapki rozboleł mnie kark. Postąłem chwilę i poszedłem raz jeszcze do dziadka Zacharki, by spełnić dobry uczynek.

— Dziadku, dzień dobry! — zawołałem, zatrzymując się.

— A idźże ty do stu diabłów! Przestań mnie drażnić, ciągle się tu pętasz, jakby nieczysta siła cię nosiła! — rozgniewał się dziadek.

Usłyszawszy to, aż podskoczyłem ze strachu. Moje cierpienia były nie do opisania. W ciężkiej rozpacz, zapominając momentalnie o ratowaniu grzesznej duszy, dałem szybko drapaką do domu. Przebiegłem w mig przez podwórze, wpadłem do szopy i ległem znowu na dziadkowej świtce w czółnie. „I po co właściwie przyszedłem na świat? —

pomyślałem. — Nie trzeba było w ogóle się rodzić” — po czym postanowiłem: „Zasnę. Zasnę i będę rosnać. Dziadek mówił, że ja rosnę podczas snu”.

Tak rozmyślając popłakałem trochę na wspomnienie Sądu Ostatecznego. Popatrzyłem na małe jaskółki i zwinąwszy się w kłębek żałośnie westchnąłem. Jaki mały jestem w tym dziadkowym czólnie, a znam już tyle nieprzyjemnych i przykrych rzeczy. Jak jest nieprzyjemnie, kiedy baba przeklina, albo kiedy długo pada deszcz i nie ustaje. Nieprzyjemnie, kiedy pijawka wpija się w łydkę albo kiedy szczekają na ciebie cudze psy, albo gdy gęś syczy koło nóg i czerwonym dziobem skubie spodnie. A jak przykro jest nieść w jednej ręce duże wiadro z wodą albo plewić i przeredzać tytoń. Nieprzyjemnie jest, kiedy ojciec przychodzi do domu pijany i bije się z dziadkiem lub z matką albo tłucze naczynie. Nieprzyjemnie chodzić boso po ściernisku albo roześmiać się w cerkwi, kiedy zbiera ci się na śmiech. I nieprzyjemnie jechać na wozie z sianem, kiedy wóz w każdej chwili może przewrócić się do rzeki. Nieprzyjemnie patrzeć na wielki ogień, ale na mały przyjemnie. I przyjemnie jest obejmować żrebaka. Albo obudzić się przed świtem i zobaczyć w izbie ciele, które w nocy się urodziło. Przyjemnie brodzić w ciepłych kałużach po burzy i deszczu czy łowić rękami szczupaki, zmąciwszy wodę, lub patrzeć, jak ciągną niewód. Przyjemnie jest znaleźć w trawie ptasie gniazdo. Przyjemnie jeść babkę wielkanocną i pisanki. Przyjemnie, kiedy wiosną woda przedostaje się do chaty i sieni i wszyscy muszą brodzić, przyjemnie spać w czólnie, w życie, w prosie, w jęczmieniu i we wszelkim nasieniu na piecu. I zapach wszystkich nasion jest przyjemny. Przyjemnie ciągnąć kopice do stogu i chodzić wokół stogów po ziarnie. Przyjemnie, kiedy jabłko, o którym się myślało, że jest kwaśne, okazuje się słodkie. Przyjemnie,

kiedy dziadek ziewa i kiedy latem dzwonią na nie-  
szpory. I bardzo też lubiłem, kiedy dziadek rozma-  
wiał z koniem i żrebakiem jak z ludźmi. Lubiałem,  
kiedy ktoś przechodząc nocą koło naszej chaty mó-  
wił: „Daj Boże zdrowie”. I lubiałem, kiedy dziadek  
odpowiadał: „Daj Boże i wam!” Lubiałem, kiedy  
o zachodzie słońca w jeziorze lub w Desnie rzuciła  
się duża ryba. Lubiałem, wracając z łąki, leżeć na  
wozie i patrzeć w gwiazdziste niebo. Lubiałem za-  
sypiać na wozie i lubiałem, kiedy wóz zatrzymywał  
się koło chaty na podwórzu i przynosili mnie, sen-  
nego, do chaty. Lubiałem skrzypienie kół pod cięż-  
kimi wozami w żniwa. Lubiałem ptasi świergot w  
sadzie i w polu. Lubiałem jaskółki w stodole i der-  
kacze na łące. Lubiałem plusk wiosennej wody.  
I smętne żabie kumkania w błocie. Lubiałem dziew-  
częce śpiewy, koledy, pieśni noworoczne, gaiki, do-  
żynki. Lubiałem, jak o zmierzchu spadały nieocze-  
kiwanie w trawę jabłka. W tym spadaniu owocu  
była jakaś tajemnica i smutek, i odwieczna trwa-  
łość praw przyrody. I lubiałem grzmoty i pioruny,  
których matka się bała, i burze z deszczem, za ich  
podarunki dla mnie w sadzie.

Jednak ponad wszystko w świecie lubiałem mu-  
zykę. Gdyby mnie ktoś spytał, jaką muzykę lubi-  
łem we wczesnym dzieciństwie, jaki instrument,  
powiedziałbym, że najbardziej ze wszystkiego lu-  
białem słuchać klepania kosy. Kiedy w cichy wie-  
czór, gdzieś przed Piotrem i Pawłem nasz ojciec  
zaczynał klepać koło domu w sadzie kosę, to była  
to dla mnie najczarowniejsza muzyka. Niekiedy  
jeszcze i teraz wydaje mi się, że gdyby ktoś pod  
moim oknem poklepał kosę, od razu odmłodniał-  
bym, stałbym się lepszy i rzuciłbym się do pracy.  
Wysokie i czyste dzwonienie kosy zapowiadało mi  
radość i uciechę sianokosów. Pamiętam ten dźwięk  
z samego dzieciństwa.

— Cicho, Saszka, nie płacz — uspokajał mnie  
pradziadek Taras, kiedy zacząłem czegoś tam ma-

rudzić — nie płacz, głupiutki. Wyklepiemy kosę i pojedziemy nad Desnę, i nakosimy dużo siana, i nałowimy ryb, i nawarzymy kaszy.

Przestawałem wtedy płakać, a pradziadek brał mnie na ręce i opowiadał o Deśnie, o trawie, o tajemniczych jeziorach — Dziubynie, Cerkowne, Tyche — i o rzece Sejm. A miał taki łagodny głos i dobre oczy, a potężne jak korzenie, włochate ręce były takie jakieś dobrotliwe, że na pewno nigdy nikomu nie wyrządziły zła, nie kradły, nie zabijały, nie przelewały krwi. Znały tylko trud i pokój, szczodrość i dobroć.

— Sprzątniemy siano i nawarzymy kaszy. Nie płacz, chłopczyku...

Uspokajałem się, a potem cichutko, samymi końcami palców, odrywałem się od ziemi i od razu przenosiłem się nad Tyche, Cerkowne i Sejm. Były to najpiękniejsze na świecie jeziora i rzeki. Takich już nie ma i nigdy nie będzie.

No więc rozmyślając tak sobie w czóźnie na kożuchu, przymknąłem oczy. Nie stało się jednak ciemno. Jeszcze do dziś, kiedy zamykam oczy, nie odczuwam mroku. Nieprzerwanie i jasno świeci nadal mój mózg, oświetlając widziane i niewidziane, bez żadnych dat i jakiegokolwiek ładu w nie kończącym się szeregu obrazów. Obrazy przepływają, płyną wody Dunaju i Desny. Chmury przesuwają się po błękitnym niebie powoli i kapryśnie, prowadząc bitwy i zmagania w takim nasileniu, że gdyby jedną tysięczną część udało się ujarzmić i ustawić w jasny książkowy czy filmowy rząd, nie na darmo żyłbym na świecie i nie na darmo absorbowałbym swoich naczelników i obserwatorów.

Czegoż to nie widziałem na samym tylko zachmurzonym niebie! Tytani i prorocy, którymi wypełnione było niebo, nieustannie zmagali się w bitwach, co napełniało smutkiem moją dziecięcą duszę.

Niepokój, ruch i walkę dostrzegałem wszędzie — w dębowej i wierzbowej korze, w starych pniach, w dziuplach, w kałużach, na odrapanych ścianach. Na czymkolwiek spocznie tylko moje oko, zawsze i wszędzie dostrzegam we wszystkim podobieństwo do ludzi, koni, wilków, węży, świętych; to znów coś przypomina wojnę, pożar, bójkę lub potop. Wszystko żyło w moich oczach podwójnym życiem. Wszystko prowokowało do porównań, wszystko było do czegoś podobne, już dawno gdzieś widziane, wyobrażone i przeżyte.

Ale co ja robię? Powinienem pisać o czóźnie, a piszę o chmurach. O tym oto starym czóźnie, leżącym wśród gratów w stodole, o tym czólenku...

No więc wśród tych rozmyślań zamknąłem oczy i od razu zacząłem rosnać. Ale oto powolutku, po cichutku czóźnie jakby zachwiało się, zachybotąło i popłynąłem ze stodoły po trawie do sadu, między drzewami i krzakami, minąłem piwnicę ogrodową i lubczyk, przepłynąłem obok dziadka. Dziadek stał się jakiś malutki, mniejszy ode mnie. Siedział u babki na rękach, w białej koszuli, i patrzył za mną z łagodnym uśmiechem. A czóźnie niosło mnie dalej przez sad, pastwisko na Zarzecze, a z Zarzecza, obok chutorów, na Desnę.

Zagraj, muzyko, zaśpiewajcie anioły w niebie, ptaszki w lesie, żabki przy brzegach, dziewczęta pod wierzbami. Płynę z nurtem wody. Płynę i świat płynie nade mną, płyną chmury wiosenne, wesoło zmagając się na niebie, pod chmurami płynnie przelotne ptactwo — kaczki, czajki, żurawie. Bociany lecą jak ludzie we śnie. I płynie woda silnym nurtem. Przepływają łozy, wierzby, wiązy, topole w wodzie, zielone wysepki.

No i przyśniło mi się w czóźnie coś bardzo pięknego. Ale nic już nie pamiętam. A może się nie śniło, może rzeczywiście byłem na Deśnie? Może naprawdę coś takiego się wydarzyło, ale już dawno przeminęło i pogubiło się po drogach i już

nigdy nie powróci świętość bosonogiego dzieciństwa. I tytoń nigdy już dla mnie nie zakwitnie popimi ryzami, i nie przestraszy mnie już Sąd Ostateczny, jeśli mnie nie przestraszył sąd ludzki.

Jedno tylko pragnienie tworzenia dobrych rzeczy pozostało we mnie na całe życie.

Pochylił się ku wieczorowi mój dzień, mgła zakrywa jasne pole, a ja rozglądam się wokół z niepokojem — trzeba się spieszyć. Na wierzbowych czółnach płyną goście, fala falę goni na Deśnie, przynosząc mi myśli z dalekiego, ciepłego kraju... Co ci jest? No, co ci?...

Kiedy byłem dzieckiem, miałem aż cztery niańki. Byli to moi bracia: Ławrin, Sergij, Wasylko i Iwan. Pożyli jakoś niedługo, bo za wcześnie, jak mówiono, zaczęli śpiewać. Jak wyleżą, bywało, wszyscy czterej na płot, usiądą rzędem jak wróble i jak zaczną śpiewać! Skąd brali te pieśni, kto ich uczył? Nikt ich nie uczył. Kiedy umarli od zarazy wszyscy czterej w jeden dzień, ludzie mówili: „Pan Bóg zabrał ich do swego anielskiego chóru”. Oni rzeczywiście wyśpiewali wszystkie pieśni, jakie mieli przez całe życie wyśpiewać, jakby przeczuwając, że krótkie to będzie życie.

Nie darmo niektóre co wrażliwsze kobiety nie wytrzymały ich koncertów. Patrzyły na nich, smutno kiwały głowami, żegnały się, a nawet płakały same nie wiedząc czemu: „Oj nie będzie pociechy z tych dzieci...”

Stało się to, jak powiadają, akurat w Zielone Świątki. Do naszej białej chaty przyszło nieszczęście. Mijał mi dopiero pierwszy rok życia. Dowiedziawszy się na jarmarku w Borznie o tym, że w domu dzieci umierają z nieznannej choroby, ojciec pocwałował końmi. Jak on przebył tych trzydzieści wiorst, okładając batem bezlitośnie konie,

by nas ratować, jak wołał na Deśnie przewoźnika i jak mknął dalej — o tym długo jeszcze podróżni sobie opowiadali. A w domu widzieli tylko, jak wdarł się mokrymi końmi we wrota, jak wrota roztrzaskały się i pokaleczone konie padły z krwawą pianą na pyskach. Rzucił się ojciec do synów, a oni leżą już martwi, tylko ja jeden jestem żywy. Co robić? Bić matkę? Matka na pół żywa. Gorzko nasz ojciec zapłakał nad nami:

— Oj, synkowie moi, synkowie! Dzieteczki moje, słowiczki!... Czemuście tak wcześnie odśpiewali...

Potem nazywał nas orlątkami, a matka słowikami. A ludzie płakali i długo lamentowali, że ani rybaków już z nas nie będzie, ani kosiarzy na łące, ani oraczy w polu, ani też sławnych wojaków.

Z czym porównać głębię ojcowego bólu? Chyba z ciemną nocą. W wielkiej rozpaczycy przeklinał imię Boże i Bóg musiał milczeć. Gdyby objawił mu się wówczas w całej swej potędze, ojciec rzuciłby się na niego, przebił widłami lub zarąbał siekierą. Popa wygnał precz z podwórza oświadczając, że sam pochowa swoje dzieci.

Podobny wybuch rozpaczycy i gniewu, już nie na Boga, ale na nas, dorosłych, widzieliśmy prawie pół wieku później, kiedy drugi raz w życiu płakał na porzuconych przez cofające się nasze wojska kijowskich wzórzach nad Dnieprem, czyniąc nam wszystkim gorzkie wyrzuty. Miał rację czy nie ten oddany w niewolę starzec — nie nam go sądzić. Przecież od dawna już wiadomo, że siłę cierpienia mierzy się nie natężeniem zewnętrznego ucisku, lecz głębią doznanego wstrząsu.

Widziałem wielu pięknych ludzi, ale nie spotkałem takiego, jak ojciec. Głowę miał dużą, ciemnowłosą i wielkie, rozumne, szare oczy, z których zawsze wyzierał smutek: ciężkie kajdany analfabetyzmu i zniewolenia. Cały pogrążony w smut-

ku, a jednocześnie jakaś wewnętrzna wysoka kultura myśli i uczuć.

Ile on ziemi zorał, ile zboża skosił! Z jaką wprawą pracował, jaki był silny i czysty! Ciało białe, bez jednej plamki, włosy połyskliwe, faliste, dłonie szerokie, szczodre. Jak pięknie niósł łyżkę do ust, podtrzymując ją skórką chleba, żeby nie poplamieć płachty, rozścielonej na trawie nad Desną. Lubił dobry żart, lubił zgrabne, celne słowo. Miał poczucie taktu i szacunku. Pogardzał zwierzchnością i carem. Car ze swą nędzną bródką i mizerną postacią obrażał jego godność; i jeszcze tym, że podobno miał rangę niższą od generała.

Jedno, co mogło razić u ojca, to jego odzież. Była taka brzydka, szara, uboga! Jakby jakieś złośliwe karły, chcąc pomniejszyć i zniekształcić obraz człowieka, antyczny posąg okryli brudem i łachmanami. Wraca, bywało, z szynku do domu, ledwie trzyma się na nogach i patrzy w ziemię z jakimś mrocznym smutkiem; płakać mi się chciało, kiedy obserwowałem go, ukryty z Piratem w malinach. Ale mimo to nawet i wtedy był piękny, tyle było w nim bogactwa. I to niezależnie od tego, czy kosił, czy siał, krzychał na matkę czy na dziadka, uśmiechał się do dzieci czy bił konia lub też jego samego bili bezlitośnie policjanci. I nawet wtedy, gdy opuszczony przez wszystkich, osiemdziesięcioletni starzec wystawał bezdomny na placach w czasie faszystowskiej niewoli i kiedy ludzie traktowali go już jak żebraka i wręczali mu kopiejki — nawet wówczas był wspaniały.

Mógł stanowić dla malarzy model rycerzy, bogów, apostołów, wielkich uczonych lub siewców — takie było w nim bogactwo. Wiele wyprodukował zboża, wielu ludzi nakarmił, wielu uratował od powodzi, wiele ziemi przeorał, zanim pozbył się na zawsze swego smutku.



Zgodnie z odwiecznym prawem życia, schyliwszy siwą głowę, zdjęwszy czapkę i oświeciwszy myśli milczeniem, kieruję swój przybity smutkiem talent do niego, niech sam podyktuje mi swój testament. Oto stoi przede mną daleko na kijowskich wzgórzach. Jego piękna twarz jest sina od niemieckich razów. Ręce i nogi spuchnięte, rozpacz zalała mu oczy łzami i głos już zamiera na wieki. I ledwie słyszę te jego ostatnie, dalekie słowa: „Dziateczki moje, słowiki...”

Pewnej nocy nasza chata, która — jak wiadomo — wrosła już po okna w ziemię, była widownią dwóch wydarzeń.

Kiedy obudziłem się rankiem na piecu, gdzie spałem w prosie czy w życie — nie, chyba w jęczmieniu, więc po obudzeniu się w ciepłym, dusznym ziarnie czuję, że w domu dzieje się coś niezwykłego, jak w bajce: dziadek płacze, matka płacze, kura w sieni gdacze i czuć jakby cerkiewny zapach. A na dworze Pirat ujada na żebraków. I słyszę, że żebracy kręcą się już w sieni i obmacują drzwi szukając klamki. Otwieram oczy i zanim zdążyłem całkiem się ocknąć, matka podchodzi do zapiecka i wyciąga ręce z niecką, a w niecce dziecko, owinięte w białe pieluszki, jak na obrazku.

— Zbudziłeś się już, syneczku? Przyniosłam ci lalkę, dziewczynkę. Spójrz, jaka ona!

Popatrzyłem na tę lalkę. W pierwszej chwili jakoś mi się nie podobała. Nawet trochę przestraszyłem się jej: mordka jak piąstka, szara i pomarszczona jak pieczone jabłko.

— Jaka śliczna. Prawdziwa laleczka! — mówi łagodnie wzruszonym głosem matka. — I ziewa już, patrz. Gołąbeczko ty moja śliczna, kwiatuszkę mój...

Ujrzałem łzy na szczęśliwej matczynej twarzy,

która promieniała, rozświetlona radością. Wszyscy wiedzieliśmy dobrze, że matka była skłonna do łez. „Ale dlaczego płacze teraz?” — pomyślałem.

— Dlaczego wy, mamó?...

— Ja tak tylko, dla dziadka, żeby się nie wściekał, niech go licho porwie — wyszeptała mi radośnie do ucha. — A czy wiesz, jaki się dziś cud u nas stał?

— Jaki?

— Teraz to już przepadłem z kretesem, sierota! Yhy, yhy! — doleciał nagle rozpaczliwy krzyk dziadka, po czym chwycił go taki silny kaszel, że kreda posypała się z sufitu. Tylko przez fujarki i koguciki, które wygrywały w dziadkowym kaszlu, przebiegał rozpaczliwy smutek. Zrywam się i patrzę z pieca: ojej! Prababka leży na stole pod obrazami świętych. Dziadka mama. Nadreptała się przez z górą sto lat, raniąc bosc nogi... Teraz leży cichuteńko już, głową do carów, książąt i Sądu Ostatecznego, ze splecionymi rączkami i też po swojemu jakby się uśmiecha, że nikt już teraz nie będzie jej drażnił ani wymawiał długiego życia. Zamknęły się wszechwidzące oczy. Ustała jej pełna zapamiętania twórczość ludowa i wszystkie jej przekleństwa jakby uleciały z chaty razem z jej duszą. Czy wiecie, jaka to radość, kiedy umierają prababki w starych chatach, zwłaszcza zimą?! Jaka to ulga! Chata od razu staje się jakby większa, powietrze czystsze i jasno jest jak w raju. Złazę szybko na zapiecek, wskakuję stąd w dziadowe walonki i mijając żebraków wybiegam na złamanie karku na podwórze. A na dworze grzeje słońce. Latają gołębie, których nie ma już kto przeklinać. Pirat bawi się wesoło łańcuchem i drutem. Na starej strzesze pieje kogut. Gęsi jedzą coś z wieprzem w pełnej zgodzie z jednego koryta. Ćwierkają wróble. Ojciec ciosze trumnę. Śnieg taje. Ze strzech kapie woda, ze strzech kapie woda... Wlazłem na kupę prętów łożyny

i zacząłem się huścić... huścić... huścić... A drogą idzie z wiadrami po wodę dziadek Zacharko, kowal Zacharko, idzie dziadek Zacharko...

— Hej, dziadku! Nasza baba umarła. Przysięgam, że nie kłamię! — krzyknąłem uszczęśliwiony i roześmiałem się.

— Ach ty rozbójniku! — rozżłościł się Zacharko. — Zawsze ci wesoło, tobie zawsze wesoło, ja ci zaraz dam!...

Aż tu nie wiadomo skąd wziął się rudy byczek Myna, który lubił bość, bo różki go swędziały, a tu jeszcze nawóz przymarzył i łaskotał w brzuch. No więc tymi różkami pchnął furtkę i wali na Zacharkę! Stary zaczął go przeklinać i z krzykiem „Ratunku, kiszki wypruje!” upadł w kałużę. Myna bodzie kowala Zacharka, wiadra brzęczą, kury gdaczą, ojciec robi trumnę, ze strzech woda kapie a Pirat jak zacznie szczekać! Zakwakały kaczki, zasyczały gęsi, kury się nastroszyły, a wróble — frr!... — i już ich nie ma! A Pirat, drań, jak skoczy!... Chciał gonić Mynę, ale pewnie zapomniał, że jest na łańcuchu, no więc przeciągnął po drucie crescendo przez całe podwórze taką głośną nutę, że drut się zerwał.

Na moment nastąpiła cisza. Nad chatą wzniosły się w niebo gołębie, symbole pokoju i ładu. Ja zachłystywałem się szczęściem i tak się uśmiełem, że nie czuję się na siłach pisać w dalszym ciągu w tym stylu. Dlatego aby nie wpaść w symbolizm czy biologizm, przejdę lepiej do prozy obyczajowej, tym bardziej, że ona sama już się zbliża.

Z prawej i lewej strony od studni ciągnęli zza stodoły kluczem żurawim dalsi żebracy. Ślepcy poczuli pewnie węchem martwą prababkę, bo błędnie skręcają z szerokiej drogi w naszą uliczkę i od razu zaczynają śpiewać:

Ciała wasze będą dla robaków żerem.  
Kości wasze przyjmie szara matka ziemia.

Nie pomogą bracia ani przyjaciele,  
Tylko pomoc może wam jałmużna wasza!

Obwieszeni dużymi torbami, ze skierowanymi w górę bielkami, jakby uśmiechali się do nieba, śpiewali swoje straszne pieśni, opierając się wzajemnie o siebie i o długie kostury. Pirat rzucił się na nich z wściekłym ujadaniem. Nienawidził żebraków, a prócz tego chciał przypodobać się ojcu, który też ich nie znosił. Zapomniał tylko nieostrożny Pirat, że ślepcy są podstępni, o czym przekonał się wnet na własnej skórze.

— Au-au-au — załośnie zaskomlił Pirat, kiedy stary watażka żebraków Bohdan Chołod zdzielił go kosturem po grzbiecie.

Teraz już nie ma takich żebraków. I takich modlitw, i toreb. Nie ma już ślepoty i takich straszliwych bielk na oczach ani takich krzywych nóg, ani garbów... Zniknęły razem z wiejskimi bogaczami.

Matka też nie znosiła żebraków i bała się ich, ale obdarowywała ich zawsze hojnie. Miała swój honor i chciała, by chociaż ślepcy uważali ją za bogatą.

Ponazłaziło się tych żebraków pełne podwórze. Bohdan Chołod, ich wszechwładny i bardzo już stary przywódca nie lubił chodzić z torbą po domach. Nie podobali mu się ani ludzie, ani psy. I właściwie nie wiadomo było, czy był ślepy, czy też widział. Patrzył zawsze tylko w dół i miał tak nastroszone brwi, że nawet jeśli miał zdrowe oczy, to spod tych brwi i tak nie widział niczego prócz ziemi pod nogami. A wyglądał tak strasznie, że zamykały się przed nim wszystkie drzwi i wszystko milkło w izbach i sieniach, póki nie odszedł. Dlatego nie chodził nigdzie niemal zupełnie a swą daninę zbierał siedząc na rogu koło bazaru. Wcale nie żebrał, nie domagał się jałmużny. Jego dudniący, pełen złości głos nie nadawał się do żebrania.

— Dajcie mi! Chociaż kopiejkę!... Albo jabłuszko!... — wołał groźnym, ochryplym, niezadowolonym i gniewnym głosem. — No, ludzie, no!... Dajcie co łaska! Podarujcie no cokolwiek!...

A kiedy przez dłuższy czas nikt nie reagował na jego wezwania, uderzał ze złością kosturem o ziemię.

— Ha! A bodajście zmarnieli! A bodajby was wilki zagryzły!... Dajcie co łaska!

Pewnego razu, kiedy tak uderzył kosturem o ziemię, przestraszył śmiertelnie córkę naczelnika policji Konaszewycza, która szła rozmarzona na spotkanie z jakimś paniczem.

— Aj! — jęknęła panienka i aż podskoczyła ze strachu. — Ratunku-ù!...

— Dajcie co łaska!...

Na drugi dzień policjant Owramenko pozbawił żebraka prawa siedzenia przy rynku. Chołód osiedlił się na bezludziu pod starą oborą, gdzie go zadręczały bezlitosne dzieci okolicznych mieszczan.

— To w sam raz miejsce dla niego, wałkonia. Chociaż ludzi nie będzie straszyć — powiedział nasz ojciec i splunął. — To nie żebrak, ale raczej dąb strzaskany piorunem.

Ojciec nienawidził Chołoda, chociaż sam nie wiedział dlaczego, może za głupio roztrwonioną siłę lub zaprzepaszczony potężny głos, który zawsze wpędzał go w smutek. A w ogóle to ojciec tak nienawidził wszelkiego niedostatku, że nawet unikał słowa „ubogi” na określenie siebie samego. Zamiast powiedzieć „moje ubóstwo” mawiał: „Moje bogactwo nie pozwala mi na kupienie nowych butów”.

Spośród wszystkich żebraków ojciec uznawał tylko jednego: Kułyka. I chociaż Kułyk, ubrany w czamarkę i wielkie buty nie do zdarcia, robił wrażenie bogatszego od ojca, ten nigdy nie żałował dla Kułyka jałmużny i nigdy nie obraził go.

Ojciec miał szacunek dla sztuki. A Kułyk chodził zawsze z bandurą i nie śpiewał po cerkiewnemu. Ojciec cenił w Kułyku artystyczny sposób bycia. Sam ojciec, chociaż wyglądał na przebranego w łachmany artystę imperatorskich teatrów, śpiewać nie umiał. Tylko czasami, kiedy podpisał sobie z sąsiadem i przyjacielem Mykołajem Trojhubem, próbował razem z nim śpiewać jedyną znaną im pieśń burłacką, wspominając swoje burłakowanie po Donie, to po Kachowce i po kachowskich stepach zaporoskich:

Ech worki mi ciężą i bolą mnie plecy!  
Ech, lepiej mi było na statek się najać,  
Lepiej się najać... E-ech! najać na statek  
Ech za kieliszek wódki-i!...

I ta pieśń się urywała. Ciągnęli ją jak berlinkę pod prąd, ale śpiew się rozłaził jakoś i zamierał w dysharmonii. Wówczas śpiewacy przestawali dyrygować sobą wzajemnie rękami i milkli, dziwiąc się z przykrością swej nieumiejętności śpiewania, i już więcej nie śpiewali, i wypijali w milczeniu, coś tam mamrocząc i ciężko wzdychając.

Tak. No więc na czym to stanęliśmy? Na żebrakach.

Kowal Zacharko leży w kałuży i krzyczy. My na chce go przebić rogami. Na niebie gołębie. Ze strzechy kapie woda. Żebracy śpiewają o mękach piekielnych. Pirat szaleje. Na kupie gnoju kogut czubi kurę. Na stodole wróble. A ja na łożu. Huśtam się na wilgotnej łożu i kaszlę głośno, i śmieję się szczęśliwy: czuję wiosnę. I tak mi dobrze. Wszystko takie wesołe. I pachnie wszystko gnojem, pachnie mokrym śniegiem, mokrą łożyną.

— Taaato! Byczek tratuje dziada!

— Gdzie?

— W kałużyyy! — krzyczymy razem z kogutem.

Żyliśmy w pewnej harmonii z siłami przyrody. Zimą marzliśmy, latem smażyliśmy się na słońcu,

w jesieni miesiliśmy błoto, a wiosną zalewała nas woda, i kto tego nie zna, nie zna tej radości i pełni życia. Wiosna płynęła do nas z Desny. Wówczas nikt jeszcze nie słyszał o przekształcaniu przyrody i woda płynęła, jak i dokąd jej się podobą. Czasami Desna wylewała tak żywiołowo, że zalewała nie tylko lasy i sianokosy. Całe wsie były wówczas pod wodą, wołając o ratunek.

I z tego właśnie wywodziła się nasza sława. Można by całą książkę napisać o tym, jak z ojcem i dziadkiem ratowaliśmy ludzi, krowy i konie. To było moje przedszkolne bohaterstwo, za które teraz na pewno wysłaliby mnie do Arteku. Wtedy żadnych Arteków jeszcze nie znali. Działo się to bardzo dawno, zapomniałem już, w którym roku, wiosną, w przededniu świąt wielkanocnych; była taka powódź, jakiej ani dziadek, ani jego matka, ani nikt nie pamiętał. Poziom wody wzrastał z zastraszającą szybkością. W ciągu jednego dnia znalazły się pod wodą lasy, łąki, ogrody. O zmierzchu rozszalała się burza. Przez całą noc ryczała Desna, dzwoniły dzwony, w ciemności gdzieś daleko krzyczeli ludzie, wyły żałośnie psy, szumiał i pluskał deszcz. Nikt nie spał. A rano wszystkie ulice były pod wodą, której ciągle przybywało. Co robić?

Wówczas naczelnik policji posłał do mego ojca olbrzymiego policjanta Makara.

— Ratuj ludzi na Zagroblu. Potoną, słyszysz? — rozkazuje ojcu ochrypłym głosem Makar. — Masz najlepszą łódź w całej guberni, no i jesteś przecież marynarzem.

Usłyszawszy to matka od razu w płacz.

— Na samą Wielkanoc?!

Ojciec krzyknął na matkę, żeby umilkła, i zwrócił się do Makara:

— Rad bym ratować ludzi, ale nie chciałbym zgrzeszyć. O świcie Zmartwychwstanie. Muszę zjeść kawałek święconej babki wielkanocnej, no

i wypić trzeba zgodnie z tradycją. Już dwa miesiące nie piłem. Nie można lekceważyć świąt.

— Wsadzimy ciebie do aresztu — powiedział Makar i powąchał pieczone prosię na przypiecku. — Zamiast dyplomu za ratowanie ludzi i zwierząt, będziesz tłukł pluskwy w marmrze.

— Dobrze — skapitulował ojciec. — Na wasze sumienie, zbóje. Idę.

Matka, która zawsze przed świątami wielkanocnymi była bardzo podniecona, krzyknęła żałośnie z rozpaczą:

— Dokąd ty chcesz jechać? A babka wielkanocna?!

— Dawaj nie święconą. Jak już grzeszyć, to grzeszyć. Siadaj, Makar. Jezus Chrystus zmarł twychwstał!... Nalejcie po drugim! Za wiosnę, za palmę, za wodę, za biedę!

No i jak zaczęliśmy tak świętować w sobotę, tośmy po trochu pozasypiali, przespaliśmy rezurekcję i dopiero o świcie z wielkim trudem dopłynęliśmy łodzią do zatopionej wioski Zagroble. Cała zagrobelska parafia siedziała z nie poświęconymi babkami wielkanocnymi na strzechach. Wschodziło słońce. Widok był niezwykły jak ze snu lub bajki. W promieniach słońca roztaczał się przed naszymi oczami jakiś nieznaną świat. Nie można było niczego poznać. Wszystko było inne, jakby piękniejsze, potężniejsze, weselsze. Woda, chmury, bystre nurty — wszystko płynęło, wszystko bezustannie niosło naprzód, szumiało, błyszczało w słońcu.

Jak piękna jest wiosna!...

Wiosłowaliśmy z całych sił pod mądrym kierownictwem naszego ojca. Było nam gorąco i radośnie. Ojciec siedział z wiosłem u steru wesół i silny. Czuł się wybawcą tonących, bohaterskim żeglarzem Vasco da Gama. I chociaż los zesłał mu topiel zamiast oceanu, miał duszę wilka morskiego. Może właśnie dlatego, że duszy tej starczyło-



by na cały ocean, „Vasco da Gama” czasami nie wytrzymał tej dysproporcji i topił swoje okręty w szynku. Powiadają, że pijanemu i morze po kolana. Gdzież tam! Nieprawda. Tylko że dowiedziałem się o tym zbyt późno. Ojciec nasz topił okręty dlatego, żeby bodaj od czasu do czasu w brudnym szynku mała kałuża jego życia zamieniała się w morze — bezdenne i bezkresne.

Woda przybierała z żywiołową pasją. Wieś nie zdążyła się ocknąć, jak znalazła się na wyspie, która też zaczęła szybko zniknąć pod wodą.

— Ra-tun-kuuu!...

Woda parła bystrym, spienionym nurtem ulicami i łakami i aż syczała pod przyzbami i drzwiami od sieni, zalewając stajnie, zagrody dla owiec i stodoły. A potem nagle podniosła się aż na półtora arszyna i wdarła się przez drzwi i okna do mieszkań.

— Och, na Boga, ratujcie!...

Chaty chwiały się pod naporem wody. Ryczało bydło. Uwiązane konie, stojąc po szyję w wodzie, skostniały z zimna. Świnie potonęły. Z sąsiednich, zadeśniańskich wsi, woda niosła potopione, wzdęte byki. Dobrała się też do cerkwi, do samych carskich wrót. Zatonęła cała wieś. Jeden tylko Jarema Bobyr, nasz krewny ze strony dziadka, nie ucierpiał z powodu tej powodzi. Orientował się w znakach wszystkich naturalnych żywiołów, szczególnie zaś wierzył w myszy. O powodzi dowiedział się dużo wcześniej, jeszcze zimą. Kiedy na święto Jordanu myszy zaczęły uciekać ze stodoły i komory i biegać po śniegu, nasz sprytny krewniak od razu domyślił się, że na wiosnę będzie powódź. I chociaż wtedy głupi i nierozważni gospodarze śmiali się z niego, rozebrał w milczeniu nad sienią strzechę, zbudował na dachu szopę, oraz prowadzące do niej schody i naznosił pełny strych siana i zboża. I kiedy wieś, zamiast „Chrystus zmartwychwstał”, wołała w rozpacz „Ra-

tunku!”, wielka rodzina Bobyra ulokowała się na dachu koło żłobu w otoczeniu krowy, koni, owiec, kur i gołębi, zupełnie jak na starym obrazie, który wisiał kiedyś w cerkwi.

— Ratunku-u!... Chata tonie!... — krzyczeli w dole.

— Chrystus zmartwychwstał!

Przyszło Chrystusowi przy tej okazji wysłuchać takich rzeczy, jakich nie słyszał nawet żaden ławnik. No a ktoś jeszcze puścił prowokacyjną wieść, jakoby żona popa jadła w wielki post zakazane potrawy i że pop dał jej na to dyspensę. Było w związku z tym wiele hałasu. Kiedy jednak głębiej zastanowić się nad tym, nie były to jakieś antyreligijne, bezbożne rozmowy. Siedząc na strzechach z nie poświęconą paschą, wśród potopionego bydła, wierzący chcieli oczywiście, żeby Pan Bóg miał więcej względów dla stworzonego przez siebie świata. Mówiąc prościej, chcieli od Boga, Matki Boskiej i wszystkich świętych czegoś lepszego, niż te przygnębiające i niewczesne przykrości.

— No bo rzeczywiście, co to za pascha, u diabła, kiedy, niech Pan Bóg odpuści, trzeba ją jeść nie poświęconą. Cała parafia na strzechach, a w mieszkaniach pływają sumy.

— Chrystus zmartwychwstał, moczywody! — krzyknął wesoło ojciec, kiedy łódź, przepłynąwszy górą przez płot na podwórze, stuknęła dziobem o strzechę.

— A niech to licho porwie! — zawołał ze strzechy starszy już mężczyzna, Łew Kyjancja, i podał ojcu kieliszek. — Prawdziwie zmartwychwstał. Ratuj, Petro. A co ci tak wesoło? Wnet chatę poniesie. O, już się chwieje.

— Oj, na Boga! Ratujcie! Zlitujcie się! — zakrzyczały błagalnie baby.

— Dzień Zmartwychwstania, radujmy się, lu-

dzie! Pascha Pańska, pascha od śmierci do życia i od ziemi ku niebiosom...

— Ratunkuuu! Toniemy...

Zza chaty wypłynęła mała łódka, a w niej śpiewacy: pop Kyryło, diak Jakym i przy sterze kościelny Łuka. Duchowne osoby pływały już od dawna wśród domów i święciły paschę, podtrzymując na duchu parafian.

— Tutaj, do nas, dobrodzieju! Dzieci płaczą za paschą.

— Cierpliwości, prawosławni! — krzyknął pop Kyryło. — Najlepszy nasz Stwórca posyła nam przez wodę swoją szczęśliwą zapowiedź urodzaju zboża i traw... Dokąd płyniesz, bałwanie! Do strzechy płyn, do strzechy! Oj, bo wypadnę!

Kościelny Łuka jakoś tam dobił do strzechy. Słudzy cerkiewni kropili paschę i pisanki wiosenną wodą święconą, ale że za często rozgrzewali się kieliszkiem, więc już zapomnieli, co i jak mają śpiewać.

— Tu, ojczulku, nie „Dzień Zmartwychwstania” trzeba śpiewać, ale zakląć zdrowo — zażartował nasz ojciec, śmiejąc się.

— Czego się śmiejesz? — rozzłościł się ojciec Kyryło, który nie lubił mego ojca za jego urodę i nieco nonszalancki sposób bycia. — I tu też występujesz przeciw Bogu, grzeszniku, niedowiarku obłudny?!

— Ojczulku, i wy, diaku, i ty, zakrystianie, wyjaśnię od razu, jak to jest z tą moją wiarą: nie jestem przeciw Bogu — powiedział wesoło mój ojciec, przyciągając arkanem do łodzi na pół utopioną cielicę. — Saszko, chwyć ją za rogi. Trzymaj, nie bój się. Przeciagnę linę pod brzuch... Nie jestem przeciw Bogu, osoby duchowne, nie jestem przeciw święceniu paschy i nawet nie przeciw wielkiemu postowi. Nie przeciw wołowi i osłu, i wszelkiemu bydłatku bożemu... I jeśli czasem zagniewam jego wszechmocne i wszechwidzą-

ce oko, to wcale nie dlatego, że w niego nie wierzę czy też wierzę w jakiegoś innego boga.

— Będiesz ty się smażył w piekle za takie słowa — stanął diak w obronie swego mocodawcy.

— Trudno — rzekł ojciec, i podważywszy cielicę wielkim drągiem, wciągnął ją zreźnie na łódź. — Jak już ze mnie taki grzesznik, to gdzież mam się smażyć, jeśli nie tam, gdzie wy mówicie. Oczywiście Pan Bóg widzi z nieba lepiej, co i jak, jaki ogień czy wodę spuścić na nas, myszy czy robactwo, albo suchy gorący wiatr czy złą zwierchność lub wojnę. No, a z drugiej strony, ja jako stworzenie boże też mam swój rozum i jakieś swoje pojęcie, może ciasne, ale nie takie całkiem głupie. Więc dlaczego mam chwalić Pana Boga, a zwłaszcza na Wielkanoc, za taką powódź? Nie znane mi są Boże plany co do takiej dużej porcji wody. I nie widzę w tej wodzie nic dobrego.

— Drogi Boże są niezbadane — ostro upomniał ojciec Kyryło.

— A jakże — zgodził się ojciec i gospodarskim okiem objął powódź. — W takim planowaniu powodzi powinien być oczywiście jakiś wielki boski zamysł, ale jak chodzi o mnie to wiem tylko jedno: mam mokre spodnie i włosy na głowie też nie wysychają.

— Zamilcz, grzeszniku! — krzyknął gniewnie pop Kyryło i w tym momencie spotkała go duża przykrość: zachwiał się w łódce, zamachał rękami i wpadł głową w wodę! Łódka przechyliła się w drugą stronę i po diaku i kościelnym zostały tylko krążki na wodzie.

A nasza zatopiona wieś jak ryknie śmiechem, aż wszystkie strzechy się zatrzęsły. Kobiety, dziewczęta, starcy, mężczyźni, dzieci! Co za ludzie! Tak się śmiać ze świętej paschy, z samych siebie i z wszystkiego na świecie w samą Wielkanoc! I to gdzie? Na strzechach, w otoczeniu koni i krów, którym tylko głowy i rogi sterczą z zimnej topie-

li. Nie! Narodowy charakter zagroblan nie wzniosł się na poziom zrozumienia słuszności i celowości nieszczęścia, reagując śmiechem nawet w obliczu świętej paschy. Patrząc na ludzi śmiał się też mój ojciec — wielki dobry człowiek.

— To ci parafia! Co wiosny moknie tak już tyśiąć, a może i więcej lat i czort ich nie wytopi i nie ruszy stąd. Co za natura!...

Zaczepiwszy rękojęścią wiosła o złoty łańcuch, ojciec wciągnął popa Kyryła jak suma do swojej arki wypełnionej krowami i owcami. Potem zaczęli wyciągać diaka i tak się przy tym śmiali, że zapomnieli o zakrystianie Łuce, którego chyba zjadły raki, nie pamiętam już. Taka to była wtedy woda.

Moja wieś zaginęła i szczyła z powierzchni ziemi nie od wody, lecz od ognia. I też wiosną. Nie minęło pięćdziesiąt lat. Spłonęła za udzielaną partyzantom pomoc. Kto nie został zabity, ogarnięty płomieniem rzucał się do wody.

Spaliła się cerkiew, przepełniona krzyczącymi ludźmi. Wysokie płomienie buzowały przez całą noc, ogień trzeszczał, od czasu do czasu rozlegały się głuche wybuchy, a wówczas wiatr unosił wielkie płonące wiechcie słomy, jak dusze zabitych matek, w ciemną pustkę nieba. Zbrodniarze z ekspedycji karnej uganiali po ulicach i ogrodach za kobietami, wyrywali im dzieci i rzucali do ognia płonących chat, a kobiety, żeby lepiej tego nie widzieć, nie płakać, nie przeklinać, skakały same za dziećmi i paliły się w płomieniach straszliwego faszystowskiego sądu.

Powieszoni patrzyli w górę z koszmarnych szubienic, kołysząc się na powrozach i rzucając na ziemię i na wodę straszliwe cienie. Zginęło wszystko, co nie zdążyło uciec do lasu, w oczerety lub też w partyzanckie ostępy. Zniknęła piękna wieś. Nie było już ni chat, ni sadów, ni dobrych, weso-

łych ludzi. Tylko piece białeły jeszcze długo wśród popiołów.

Płonąłem wówczas i ja w tym ogniu, umierałem śmiercią każdego mieszkańca wsi, każdego zwierzęcia, każdej rośliny; płonąłem jak drzewo i cerkiew, kłóysałem się na szubienicach, rozpadałem się w proch i niosłem się dymem od potężnych wybuchów. Z moich mięśni i poprzetrąconych kości w połowie dwudziestego stulecia wygotowywano mydło. Moja skóra szła na okładki i na abażury do lamp, wałała się po drogach wojny, miażdżona ciężkimi czołgami ostatniej wojny ludzkości. I stało się tak, że pewnego razu nie wytrzymałem i wykrzykując z płomieni bojowe hasła i wezwania do bezwzględnej zemsty na wrogu, zawołałem: „Boli mnie, boli!”

— Czego krzyczysz? — skarcono mnie. — Co cię przywiodło do tego w takich wielkich czasach? Ból, strach?

— Cierpienie. Wybaczcie, jestem artystą i obrażnia była zawsze moją radością i moim przekleństwem. I oto nagle zdradziła mnie. Kiedy patrzyłem na to nieszczęście, przez chwilę wydawało mi się, że ginie nie moja wieś, lecz cały naród. Czy może być coś straszliwszego na świecie?!

Od tego czasu zacząłem pocieszać się złudną myślą, że doskonałość ludzka jest w większej mierze dziełem sukcesu i szczęścia niż następstwem cnót. Nie miałem oczywiście racji. Nigdy nie wolno zapominać o swoim życiowym zadaniu i zawsze trzeba pamiętać, że twórcy powołani są przez naród po to, aby ukazywać światu przede wszystkim piękno życia, które jest samo w sobie najcenniejszym i największym spośród wszystkich możliwych wartości. Aż dziw bierze i trudno myśleć o tym bez smutku, że nie ma w nas siły i jasności, by zrozumieć tę prostą prawdę, iż szczęściem jest samo życie, stanowiące zmienny ciąg dramatów i radości, i że tak wiele piękna

umyka bezpowrotnie z naszego pola widzenia.

No, ale siadajmy raz jeszcze, proszę was, do wierzbowych czółen. Weźmiemy jesionowe wiosła i wrócimy na Desnę, na jej wesołe wody tego roku, kiedy ratowaliśmy z ojcem na Wielkanoc ludzi od powodzi.

Pamiętam, że długo jeszcze utrzymywały się wody po wiosennej powodzi. Jeszcze w środę w połowie pięćdziesiątnicy\* było jej wiele na łąkach i w dolinach, dlatego też sianokosy rozpoczęły się w tym roku późno.

Długośmy marudzili wybierając się na tę kośbę. Słońce już zaszło, a my jeszcze w domu. A jeszcze to, a jeszcze tamto, różne kłopoty, kłótnie, mama komuś tam wymyśla, a potem, kiedy mnie zobaczyła, jak wrzaśnie:

— Ty już na wozie?!... Nie bralibyście chociaż małego! Komary go zagryzą.

— Nie zagryzą, nic mu nie będzie — złości się ojciec.

— Jeszcze w Deśnie się utopi, żebym tak skończyła, że się utopi!

— Nie utopię się, mammo!

— Mądrala! Spadniesz tam ze skarpy w głębinę, co ja z tobą mam!

— Ale mammo, po co miałbym spadać ze skarpy... dajcie spokój... — mówię bliski już płaczu.

— To się kosą skaleczysz. Powiedz, będziesz się plątał między kosami?

— Nie będę! Ojej, dalibóg nie będę!

— Kłamiesz! Saszeńko, zostań, dziecko, w domu... — błaga mnie matka. — Tam w krzakach tak strasznie!

— Nie strasznie, mammo.

— A w jeziorach są jamy.

— Nie polezę do jamy.

---

\* Uroczyście obchodzona w prawosławiu środa przypadająca w połowie tzw. pięćdziesiątnicy — okresu od Wielkanocy do Zielonych Świąt (przyp. tłum.).

— A w lesie są żmije!

— Ojej, mamó... przestańcie!

— Nie jedź, syneczku. Nie bierzcie go!...

Na moje szczęście nikt nie zwraca uwagi na błagania matki. Ojciec po raz ostatni lustruje wóz.

— Wszystkośmy wzięli, co trzeba?

Wszystkośmy wzięli: ziemniaki, cebulę, ogórki, chleb, kociołek, wielką miskę drewnianą, niewód, dużą płachtę, sprzęt do košby, grabie — wszystko jest już na wozie.

No i wreszcie otwiera się brama, matka żegna się i coś jeszcze przekazuje, konie ruszają, jedziemy.

Nie oglądam się. Koło chaty mama-kukułka kuka mi na pożegnanie. Przez wiele, wiele lat matka będzie mnie potem ciągle odprowadzać, patrząc przez łzy na drogę, długo będzie kreślić za mną znak krzyża i modlić się od gwiazd wieczornych do porannych, żeby nie tknęła mnie ni kula, ni szabla, ni żadne oszczerstwo. Przez wiele, wiele lat będę wyrywać się w drogę, spiesząc w nieznaną dal. Te pożegnania wejdą kiedyś do moich filmów, rozłąka uwije sobie gniazdo w moim sercu. Wszyscy będą kogoś porzucać i spieszyć na spotkanie z niewiadomym, i komuś będzie żal. Tylko że ja teraz nic jeszcze o tym nie wiem.

Leżę na wozie. Obok, plecami do mnie, dziadek i ojciec z kosiarzami. Wiozą mnie do królestwa traw, rzek i tajemniczych jezior. Nasz wóz jest cały z samego tylko drzewa: dziadek i pradziadek byli czumakami, a czumacy nie lubili żelaza, bo jak mówili, przyciąga piorun. Do Desny jest od nas pięć wiorst bardzo trudnej drogi. Trzeba przejechać przez dwie, nigdy nie wysychające duże kałuże ze zbutwiałymi gałęziami, dwa mosty, potem znów przez taką samą kałużę, minąć dwa chutory z psami i wąskimi, krętymi uliczkami przejechać przez wieś Małe Ustie, następnie jechać wzdłuż rzeki krętym brzegiem



i bardzo uważać; żeby nie przewrócić się do wody, potem skierować się w prawo w dół i z rozbiegu przejechać brodem przez rzekę, wjechać na górę i zjechać z góry, i znowu pod górę i z góry, następnie dwa razy skrócić w prawo i znowu jechać nad rzeką między osikami i dębami — i dopiero tam, nad samą Desną, było moje królestwo.

W drodze kosiarze rozmawiali o różnych sprawach, złązili z wozu przed kałużami i pod górę, potem wsiadali, i znowu widziałem wokół siebie w górze ich potężne plecy i kosy, które trzymali w rękach jak żołnierze broń.

Na wysokim, ciemnym niebie świeciły dla mnie gwiazdy i księżyc na nowiu. Pachnie ogórkami i starą siecią na ryby, chlebem, ojcem i kosiarzami, pachnie błotem i trawami, dochodzą jakieś krzyki... od razu poznaję, że to derkacze i przepiórki. Poda mną cicho skrzypi czumacki wóz, a na granatowym niebie Czumacki Szlak \* wskazuje drogę. Wpatruję się w niebo i skręcam z wozem i kosiarzami to w prawo, to w lewo, a razem z nami skręca gwiazdny wszechświat; szczęśliwy zapadam niepostrzeżenie w sen.

Budzę się na brzegu Desny pod dębem. Słońce wysoko, kosiarze daleko, kosy dzwonią, konie pasają się. Pachnie zwiędłą trawą i kwiatami. A nad Desną cuda! Łozy, nasyp, skarpa, las — wszystko lśni i błyszczący w słońcu. Skaczę ze skarpy w piasek, myję się w Deśnie, piję wodę. Woda łagodna, słodka. Piję jeszcze raz, brodząc po kolana z wyciągniętą szyją, jak łoszak, potem wdrapuję się na skarpe i jazda! Ganiać po łące! I nie biegam już, lecz latam ledwie dotykając trawy. Wbiegam do lasu — grzyby. W łozinie — jeżyny. Zmączę wodę w jeziorze — ryba.

I tak rozkoszuję się przez dwa lub trzy dni, pó-

---

\* Czumacki Szlak — ludowa nazwa Drogi Mlecznej (przyp. tłum.).

ki nie skoszą trawy. Noszę drwa, rozpalam ogień, obieram ziemniaki, zbieram dla kosiarzy jeżyny na nalewkę. Po skoszeniu zaczynamy wszyscy grabić siano, i tak powoli zmienia się mój baśniowy świat: ojciec, dziadek i stryj stają się milczący i stropieni, w oczach ich pojawia się podejrzliwość: zaczynają dzielić kopy.

Łąka była wspólna. Nikt nie potrafił jej podzielić, bo każdy obawiał się, że może mu przypaść ta trzecia część akurat na kolanie Desny, niszczone bezlitośnie przez wiosenne wody. Dlatego kosili i grabili razem. Potem dzielili kopy i dopiero wówczas każdy układał je w stogi w swoim szałasie. I nie wiem czemu, ale tak jakoś się działo, że niemal przy każdym sianokosach zdarzały się przy podziale kóp niesnaski. Zawsze ojcu lub stryjowi zdawało się, że ktoś tu kogoś oszukał na jedną kopę, no a wtedy od słowa do słowa serce zalewał wściekły gniew i nasi wspaniali ojcowie zaczynali się kłócić, wykrzykiwać i wreszcie brali się za łby nad zaczarowaną rzeką Desną.

Bili się żerdziami, grabiami, trzonkami wideł, trzymając je obu rękami, jak dawni wojowie. Czasami gonili się z siekierami, krzycząc tak głośno i strasznie, że echo szło po Deśnie, ponad Czerwiakowym Lasem i nad cichymi, tajemniczymi jeziorami. Wtedy my, dzieci, też zaczynaliśmy się wzajemnie nienawidzić, to znaczy ja i brat z Samiłowymi chłopcami, i też byliśmy gotowi rzucić się do bójk, aleśmy się bali. Do pełnej nienawiści brakło nam jeszcze lat i niedoli. Poza tym nie chcieliśmy tracić towarzyszy naszych wspólnych rybackich połowów, więc tylko odwracaliśmy się od naszych małych wrogów i nie patrzyliśmy w ich stronę.

Jedne tylko konie nie brały udziału w wojnie. Pasły się razem, jednako chude i zaharowane, z wrzodami na wytartych grzbietach, i kiwały

łbami, patrząc na nas obojętnie i odganiając natrętne gzy.

W tych zaciekłych bojach szczególną odwagą i dzielnością odznaczał się dziadek. Minęło już pół wieku od jego śmierci, ale dopóki będę żył, nigdy nie zapomnę wojowniczej pasji, drzemiącej w dziadkowych piersiach. Był on zdolny do tak szalonego wybuchu gniewu, że mógłby mu tego pozazdrościć największy na świecie artysta czy generał. Podczas bójki cały płonął. Jego wysokie piersi sapały jak miechy kowalskie, fujarki piszczały w nich, chrypły, piałały, ale zagłuszał je jego rozpaczliwy bojowy okrzyk: „Sybir naszego cara!” \*

Z tym potężnym hasłem rzucał się do ataku jak prawdziwy ataman swego sianokosu, póki przepuklina nie zwałała go pod kopę; tarzał się wtedy na grzbiecie, z podkurczonymi nogami i skurczonymi palcami nóg, przyciskając przepuklinę dłońmi i zaganiając ją z powrotem jak złego ducha. Uporawszy się nieco z duchem, dziadek znowu chwycił za widły lub siekiere i na łeb na szyję rzucał się w samo piekło. Wtedy grabieżca Samijło nie wytrzymał ataku dziadka i zaczynał uciekać pod dęby. Gonili się między dębami i kopami, ale Samijło nie potrafił już uciec od dziadka. Potykał się i zdyszany zaczynał krzyczeć: „Ratunkuuu!” Dziadek już zamachiwał się na Samijłę siekierą. Nie wytrzymałem i zakrywałem oczy, a oni rąbali się siekierami jakby rąbali drzewo. Krew lała się z nich kotłami. Odrąbывali sobie głowy, ręce, wrąbывali się w rozpalone piersi i krew, mówię wam, płynęła z nich wiadrami. A oni to rozbiegali się, to rzucałi się na siebie z długimi drewnianymi widłami krzyząc:

— Zabiję!...

— Oj, ratunku!...

---

\* Okrzyk żołnierzy rosyjskich z czasów wojny z Japonią 1904—1905 r. (przyp. tłum.).

— Haaa!...

Rozwścieczony Samijło rzucał się na dziadka, przebijał na wylot jego brzuch wielkimi widłami i przyciskał do ścierniska jak święty Jerzy smoka. Dziadek krzyczał tak strasznie z bólu, że liście szeleściły na dębach i szło takie echo, że żaby skakały do jeziora, a wrona, o której będzie jeszcze mowa, zrywała się nad lasem. Jednak dziadkowi jakoś udawało się zamachnąć od dołu i tak rąbnąć Samijłę siekierą po łysinie, że jego głowa pękła na dwoje jak kawon. A wtedy Samijło... No i tak dalej.

Te straszliwe boje kończyły się dopiero pod wieczór, jednak zawsze szczęśliwie. Okazywało się, że wszyscy są żywi i cali, tyle tylko, że długo i ciężko dyszeli od wewnętrznego ognia. Atamanowie byli bladzi z silnego bojowego strachu i rozchodzili się do swych szałasów groźnie się oglądając.

Ognisty mój dziadek długo jeszcze nie mógł tego darować. Był namiętym wojownikiem i wypijał po bójce spory garnek zimnej wody, nie zominając przed tym wodę przeżegnać.

— No to co, czas chyba na obiad.

— Jaki tam obiad! Pora wieczerzać — odpowiadał ojciec, spoglądając z gorącą nienawiścią na nieprzyjacielski szałas.

Po kolacji wszyscy szli spać. Czasami zasypiałem jeszcze przed kolacją, patrząc na gwiazdy albo na Desnę lub ogień, na którym gotowała się kasza. Wtedy ojciec albo dziadek długo nie mogli mnie się dobudzić na kolację, trudno mi już było otworzyć oczy, leciałem im przez ręce w sen jak lin w przeręblę i tyle mnie widzieli przy wieczerzy.

Dziadek lubił spać pod dębem. Przed snem długo i jakoś tak łagodnie ziewał, jakby wybacząc tym światu wszystkie jego lekkomyślne uczynki, i opowiadał kosiarzom o swych młodych latach,

o czumakowaniu i o tym, jak kiedyś wszystko było inaczej. Wszystko było wtedy piękniejsze. Rzeki i jeziora były głębsze, ryba większa i smaczniejsza, a ile grzybów i jagód w lesie — wprost trudno opowiedzieć, a i lasy były gęstsze, a trawy takie, że wąż by nie przelazł, czy teraz to są trawy?!

— Nie ma co gadać — westchnął pod krzakiem kosiarz Trojhub. — Wszystko marnieje, jest coraz gorsze.

— Ho, ho! — filozofuje dalej dziadek pod dębem. — A jaka rosa kiedyś była, a woda, a błoto jak długo stało. A teraz to wszystko szybko wysycha i całe błoto na nic.

— Uhm! Dobrze mówicie, dziadku, idzie ono do tego, jak mówił ten, jak mu tam, idzie... — potakiwał ziewając i zapadając w sen Trojhub.

— A ile komarów było! — zachwycił się we wspomnieniach dziadek. — Nie można było oddychać przez te komary, wierzcie mi, a wielkie toto jak niedźwiedzie. A teraz, co to za komary? Tak jakby ich wcale nie było... Albo takie derkacze. Jak, bywało, zaczną ci derkać w nocy, to zupełnie spać nie było można, Bóg mnie skarż. A teraz gdzieś tam derknie. O, słyszycie? Nie mówiłem? Też się kończą...

Rzeczywiście, dwa derkacze, które zaczęły przekrzykiwać się w naddeśniańskiej trawie, nagle ucichły, jakby usłyszały, że mówi się o ich derkaczowym losie.

Słuchałem tych rozmów pod dębem i tak mi się robiło smutno, tak żal, że zanim wyrosnę, to świat zmarnieje i nie będzie już wtedy ani sianokosów, ani ryb.

— Kto ci to powiedział? — spytał ojciec, kiedy przylazłem do niego i zacząłem chlipać.

— Dziadek.

— Nie słuchaj dziadka, synku. Jest już stary, czy on może jeszcze coś rozumieć? On toby tylko

jadł i plótl różne głupoty. Jest takie porzekadło: „Jak głowa siwieje, to człowiek głupieje”.

— Tato, a Desna nie wyschnie?

— Nie, nie wyschnie, nic się jej nie stanie. Śpij, dość już na dziś.

— I wszystkie ryby wyłowią.

— Nie wyłowią. Teraz, synku, ryba zmądrzała. Przedtem ludzie byli głupi, to i ryba była głupia. A teraz, jak ludzie zmądrzeli, to i ryba, choć drobna, stała się rozumna i chytra, że aż strach. Kto tam teraz ją złowi? Śpij.

Nasłuchuję. Coś zaskrzypiało i cicho plusnęło gdzieś w Deśnie. Patrzą — ognik: tratwy przepływają. Słysząc ludzkie głosy. Więc znowu do ojca:

— Tato!

— Co, synku?

— Co tam za ludzie płyną?

— To z daleka. Orłowscy. Ruscy ludzie, z Rosji płyną.

— A my kto? My nie ruscy?

— Nie, my nie ruscy.

— A jacyż my, tato? Kim jesteśmy?

— A kto tam wie — jakoś ze smutkiem odpowiada mi ojciec. — Jesteśmy prości ludzie, synku, chachłacy... Ci, co uprawiają zboże, chłopci, można powiedzieć, wieśniacy... Kiedyś, powiadają, Kozacy my byli, a teraz już tylko nazwa została.

— A dziadek powiada, że kiedyś były bardzo duże komary...

— Może i były. Na komarach to on się dobrze zna. Całe życie czumakował po stepach, to je hodował, a potem pieniądze po szynkach przepijał. Aż strach wspominać, co było...

— A co takiego było? — dał się nagle słyszeć skruszony głos dziadka.

— A co, nie było? Lepiej byście już milczeli — jakoś ze smutkiem odpowiedział w ciemność ojciec.

Jeszcze o czymś tam rozmawiali, ale nie wszystko rozumiałem. Zasypiając już usłyszałem tylko,

że nie wszystko było dobre w przeszłości na tym bożym świecie. Było wiele biedy i nieszczęść i było wiele smutku.

Wreszcie nastąpiła cisza. Tylko pod dębami chrapałi kosiarze, a dziadek długo jeszcze ziewał przeciągle, potem przeżegnał usta, dąb, pod którym leżał, oraz Desnę, i uczyniwszy jeszcze kilka znaków krzyża, zasnął.

Zaderkały derkacze, zapitpiliła przepiórka, odezwały się jeszcze jakieś ptaki, zaryczał buhaj. W Deśnie rzuciła się gdzieś duża ryba, no i w końcu zasnąłem na dobre.

Już z półtora wieku, jak mówiono, sprawami pogody zajmowała się u nas wrona. Była to, żeby tak rzec, nasza rodzinna wrona. Rozsiadała się koło naszego szałas na wysokiej czarnej topoli i stamtąd widziała nas wszystkich i wszystko, cośmy pili i jedli, jaką rybę złowili, czy nie okaleczyliśmy kosą derkacza lub przepiórki, widziała wszystkie ptaki w naszym lesie, wszystko słyszała, ale najważniejsze — przepowiadała pogodę. Trafnie odgadywała zbliżanie się deszczu czy burzy i to przy bezchmurnym, jasnym niebie. Kiedy trzykrotnie zakrakała w szczególnej tonacji, dziadek ni z tego, ni z owego zaczynał kaszlać i ziewać, a wkrótce i my rzucaliśmy grabie i widła, i ziewając padaliśmy senni pod kopy. Jeden tylko wujek Samiło nie ulegał tym wronim czarom, które doprowadzały go do gniewu.

— Ażebyś zdechła! A kysz, nieczysta siło!...

Wujek Samiło nie był ani profesorem, ani lekarzem, ani inżynierem. Nie był też, jak już można się domyśleć z jego imienia i z tego, co się tu już o nim pisało, ani sędzią, ani ławnikiem, ani popem. Nie nadawał się na wysokie stanowiska. Nie był nawet dobrym rolnikiem, sam się zresztą uważał za złego gospodarza. Jego intelektualnych uzdolnień nie starczyło na ten skomplikowany i mądry zawód.

Ale jak każdy człowiek, również i on miał swój talent, w którym odnajdywał siebie. Był kosiarzem. Był tak znakomitym kosiarzem, że sąsiedzi zapomnieli nawet jego nazwisko i nazywali go Samiłoś-kosiarz lub po prostu Kosiarz. Posługiwał się kosą tak, jak dobry malarz pędzlem — lekko i sprawnie. Gdyby go tak puścić z kosą przed siebie, obkosiłby całą kulę ziemską, żeby tylko była dobra trawa oraz chleb i kasza.

Poza swoją specjalnością, jak to bywa często wśród wąsko wyspecjalizowanych fachowców, był człowiekiem raczej ograniczonym i słabym.

Był też słaby i bezsilny wobec wrony, bo chociaż ją przeklinał i wygrażał jej pięściami, nie mijało nawet pół godziny, jak zza lasu nadciągała wielka ciemnoszara chmura i zaczął kropić deszcz.

Wrona знаła każdego z nas bardzo dobrze, wiedziała, kto czym oddycha i czego pragnie. Raz ojciec, rozeźlony na nią o deszcz, który wykrakała, poprosił Tychona Bobyrię, najlepszego myśliwego w całej okolicy, by ją zastrzelił. I jak myślicie? Ledwie ojciec to powiedział, wrona zerwała się ze swojej topoli i przeleciała za Desną na wysoki dąb. I chociaż Tychon odmówił kategorycznie strzelania do ptaka chronionego prawem bożym, wrona powróciła z dębu na topolę dopiero wieczorem i nakrakała takiego deszczu i burzy, że siano całkiem zgniło.

Tu czytelnik może powiedzieć, że taka wrona jest nietypowa i że deszcz mógł zgnoić siano i bez jej krakania i bez dziadkowego kaszlu, na podstawie czysto naukowej prognozy meteorologicznej. Odpowiem: być może. Ale nie miałem wcale zamiaru pisać o rzeczach typowych. Opisuję tylko to, co było kiedyś nad Desną, właśnie tam, w tym miejscu, gdzie wpada do niej Sejm.

Ale jak już się raz zgadało o pogodzie i o myśliwym, który odmówił zabicia wyżej opisaney wrony, trzeba będzie opisać również samego myśliwe-



go. Tylko dla pełni obrazu spróbujemy namalować jego niepowtarzalną sylwetkę nie zwykłym sposobem, lecz by tak rzec, z punktu widzenia kaczek, które żyły w naszym jeziorze. Trzeba to zrobić nie dla wzbogacenia stylu, lecz dla oddania większej prawdy, bo przecież to on zabijał kaczki, a nie one jego.

— O, już kuśtyka... — kwacze, bywało, stara kaczka do swoich kaczątek. — A sio, do sitowia! Patrzcie, jak się zatacza, żeby zdechł!

Kaczątka szybko chowają się, gdzie się da, kaczka też niepostrzeżenie znika pod wodą. Na jeziorze cisza. Do brzegu zbliża się Tychon z cętkowanym psem myśliwskim. Jeśli psocąc wśród lilii wodnych kaczątka jej nie słuchały, zdenerwowana matka nie mogła sobie znaleźć miejsca.

— Ratujcie się, o, celuje, widzicie?! Zaraz bachnie tak, że tylko pierze z któregoś polecą...

Tychon Bobyr rzeczywiście celował już z brzegu.

— No i co teraz będzie? Rany boskie, przepadliśmy... Cicho, mówię, nie chlupać, żebyście powzdychały!... — kwacze kaczka z rozpaczą. Kaczęta przycichły, nie ruszają się... Nigdzie żadnego szelestu...

No ale zanim huknie ten strzał, mamy trochę czasu, żeby opowiedzieć o Tychonie ze swego, ludzkiego punktu widzenia. Był on człowiekiem biednym i dlatego, aby nie marnować naboju, stał się wyborowym strzelcem. Mimo to nie często udawało mu się upolować dziką kaczkę. Dlaczego? Oto dlatego. Tychon miał jedną nogę znacznie krótszą, cieńszą i sztywną, nie rozginała się nawet we śnie. W wyniku takiej dialektyki przyrody wszystkie kaczki, nurki, kurki wodne, czajki — całe ptactwo wodne poznawało go już z daleka i chowało się w sitowiu albo w wodzie pod nenufarami. W ten sposób nawet krzywa noga służy czasami harmonii przyrody, jej równowadze.

Prócz tego harmonii przyrody sprzyjała strzelba

Tychona. Był to już taki stary grat, że jej kurek myśliwy nosił zawsze w kieszeni i nakładał go dopiero kiedy było trzeba, przed samym strzałem. Tychon lubił długo celować.

— No, strzelajcie już, wujku — szepcą do Tychona, a serce zamiera mi ze strachu: no, zaraz trachnie! — Strzelajcie... Oo, już wypływają... Nie widzicie?... No, wujku!...

Nabieram szybko powietrza i przestaję oddychać. Aż sinieję od tego długiego czekania. Jednak strzału nie było. W decydującym momencie nagle okazało się, że nie ma kurka. Gdzie kurek? Pewnie odpadł i zgubił się w trawie. Długo myszkowaliśmy w trawie i pod krzakiem, już słońce zaczęło zachodzić, a kurka nie ma. Taki jestem nieszczęśliwy! A tu wszędzie pełno kaczek. Stara też zauważyła, że u nas coś nie w porządku, i wypłynęła z całym potomstwem.

— Strzelajcie już, zasnęliście, czy jak? — woła z daleka ojciec.

— Nie, dziś ze strzelania nic już nie będzie. Zdaje się, że zostawiłem kurek w domu, w kamizelce — smutnie odparł ojcu Tychon i pokuśtykał do wsi. Omal się nie rozbeczałem. Pies też posmutniał i pokręciwszy się niechętnie odszedł. Kaczki cieszyły się, pływały, pluskały się. Już noc zapadła, a one ciągle się pluskały.

Musicie wiedzieć, że Tychon nie podnosił ręki na żadnego ptaka prócz kaczek. I jest to całkiem zrozumiałe: wszelkie drobne ptactwo, jak derkacze, przepiórki, kuliki, kurki można wykosić kosą w trawie, jeśli się nawiną, albo złapać. No a o słonkach, bekasach czy kszykach nikt nawet nie myślał, że w ogóle istnieją na świecie. Lata coś pod lasem jak cień, a co to takiego — licho wie.

Dzikich zwierząt też było mało — jeź, zając, tchórz. Wilki gdzieś się wyniosły i nawet samo słowo „wilk” znane było jedynie z dziadkowego przekleństwa — „żeby cię wilk zjadł”. Były tu gdzieś

podobno lwy, ale spotykało się je bardzo rzadko. Tylko jeden raz lew przeszedł po nasypie Desny, ale gdy mówię komu o tym, nikt nie wierzy.

A było to tak: Zastawiliśmy z ojcem sieci w Deśnie i płyniemy do szałasu małym czółnem. Woda cicha, niebo rozgwieżdżone, i tak mi dobrze płynąć, tak lekko, jakbym nie płynął, lecz leciał w jasno-granatowej przestrzeni. Patrząc w wodę — księżyc w wodzie się śmieje. „Rzuć się, rybo” — pomyśle, i ryba się rzuca. Spojrzę na niebo: „Spadnij, gwiazdko” — i gwiazdka spada. Nad wodą pachną trawy, więc ja do nich: „Odezwiście się, trawy” — odzywają się przepiórki. Patrząc na baśniowy, zalany srebrnym światłem brzeg. „Zjaw się na brzegu, lwie” — i lew się zjawia. Olbrzymia głowa, kudłata grzywa i długi ogon z kitą. Idzie powoli wzdłuż nasypu, nad samą wodą.

— Tato, patrzcie, lew — szepczę do ojca, jak czarowany.

— Jaki tam lew... To przecież... — ojciec nie skończył i zaczął uważnie wpatrywać się w brzeg, a kiedy czółno zrównało się z lwem, ojciec uniósł wiosło i uderzył głucho płazem po wodzie. A lew jak skoczy, jak ryknie! Aż echo poniosło się gromem. Mam duszę na ramieniu. Cały brzeg, skarpy, łoży, cała okolica rozedrgała się tym rykiem. Ojciec omal nie wypuścił wiosła i mimo że był przecież odważny, to jakoś zmarkotniał i siedział bez ruchu, dopóki naszego czółna nie zniosła woda do stromego brzegu. Posiedzieliśmy jeszcze w milczeniu z pół godziny; oglądamy się — ani nasypu, ani lwa, ruszył gdzieś w łęgi.

Ogień palił się tej nocy przy naszym szałasie nad Desną do samego rana. Było mi jakoś straszno i czemuś żał tego lwa. Nie wiedzieliśmy z ojcem, co robić, gdy zacznie on jeść nasze konie lub dziadka, który spał pod dębem. Długo nasłuchiwałem, czy nie ryknie jeszcze raz. Nie ryknął. Przed samym zaśnięciem nasza mnie straszna ochota, by

zacząć hodować lwy i słonie, żeby wszędzie było jakoś ładniej i nie całkiem spokojnie. Zbrzydły mi już cielęta i konie.

Na drugi dzień ludzie mówili, że nie na długo udało się temu lwu uciec z klatki. Kiedy pod Bachmaczem wydarzyła się katastrofa pociągu i klatka wędrownego zwierzyńca uległa uszkodzeniu, lew wyrwał się na wolność, rozejrzał się wokół i poczuł się tak źle, tak mu obrzydli już i widzowie, i pogromcy, i cały świat, że machnął na to wszystko ogonem i ruszył nad Desną, żeby znaleźć chociaż trochę odpoczynku. Nie przeszedł nawet trzydziestu wiorst, kiedy go dogonili, otoczyli ze wszystkich stron i zabili, bo był lwem. Nie mógł przecież chodzić wśród cieląt i koni. Do wozu nie można go przecież zaprząć, więc jaka z niego korzyść? Gdyby chociaż potrafił szczekać lub meczyć, ale ryczy tak, że liście więdną i trawa się kładzie... No dobrze... Ale co też ja wypisuję! Zdaje się, że tej nocy w ogóle nie płynąłem Desną. Płynął chyba ojciec sam, a ja leżałem w szałasie pod dębem, obok dziadka. Może i tak było. No, ale lew i tak przechodził naszym brzegiem! I strażnicy zabili go gdzieś koło Spaskiego.

Myślę jednak, że czas już postawić krzyżyk na lwie i przejść do opisanie zwierząt domowych, bo czuję jakąś niepewność pióra: to ocknęli się we mnie moi redaktorzy. Żyją wokół mnie wszędzie. Jeden z tyłu za lewym uchem, drugi pod prawą ręką, trzeci za biurkiem, czwarty w łóżku — żeby i w nocy mnie redagować. Są przepełnieni zdrowym rozsądkiem i nienawidzą niejasności. Ich cel: żebym pisał tak jak wszyscy; albo trochę gorzej od innych.

Tam gdzie moje serce stygnie, oni je podgrzewają; tam gdzie zaczynam płonąć ogniem swych namiętności, oni chłodzą mój mózg, żeby czasem coś tam z tego nie wyszło.

— Niech coś wyjdzie! — mówię im. — Trzeba, żeby w moim dziele coś wyszło. Błagam!

— Nie!

— Dlaczego nie napisać, że kiedy byłem chłopczykiem nad Desną, pragnąłem bardzo, żeby wszędzie były dzikie lwy i żeby dzikie ptaki siadały mi na głowę i na ramiona nie tylko w snach?

— To nieprawdopodobne, a przy tym ludzie mogą tego nie zrozumieć.

— Przecież byłem wówczas maleńki i nie miałem jeszcze zdrowego rozsądku. Czułem wtedy, że to mogłoby się zdarzyć.

— Po co?

— No, może dla szczęścia.

— Wykreślamy. Przecież można było nie zobaczyć tego lwa, jakby się bardzo chciało, jeśli nie jest to w ogóle fantazja.

— Nie!... Za nic w świecie!

— Spokojnie... Może tego lwa zastąpić czymś bardziej współbrzącym z naszą rzeczywistością. Można, na przykład, napisać o koniach. Były u was konie?

— Wstyd mi pisać o koniach.

— Dlaczego?

— Były chude i brzydkie.

— No więc można by je jakoś uogólnić.

— Ich nie można uogólnić. Były sparszywiałe. A prócz tego były smutne.

— No to co z tego?

One rzeczywiście były smutne, i dlatego, zanim je opiszę, wspomnę lepiej o czymś zabawnym, a potem przejdę już do koni.

Żył u nas długo pies Pirat. Dużego wzrostu, niemłody już, poważny i stateczny pies z dwoma włochatymi ogonami i z dwiema parami oczu, z których górna, kiedy dobrze przyjrzeć się z bliska, okazywała się parą rudych plam na ciemnym łbie.

Otóż kiedyś, zgubiwszy się w Borznie na jarmarku, gdzie ojciec sprzedawał dziegieć, Pirat znikł.

Pożałowaliśmy go trochę, no i na tym się skończyło. Ale oto po pięciu tygodniach, akurat w niedzielę po południu, kiedy wszyscy siedzieli koło chaty, łuskając ziarno, patrzymy — biegnie Pirat, wynędzniały, chudy. Ujrawszy z daleka całą naszą rodzinę i chatę padł na ziemię i czołgał się do nas na brzuchu chyba ze sto kroków, przewracając się na grzbiet i głośno płacząc z pełni szczęścia, jak biblijny syn marnotrawny.

— To ja, wasz Pirat, poznajecie? — szczekał przez łyżę. — O, jaki jestem szczęśliwy! Jak ciężko mi było bez was!... Wierzcie mi, że omal nie zdechłem ze smutku, mało nie zwariowałem, dalibóg.

Tak nas wzruszył tymi łzami, że nawet ojciec, który nie znosił manifestowania uczuć, był bliski płaczu. Tak to już jest na świecie. Zwykły pies, a tak człowieka potrafi wzruszyć. Matka rzewnie płakała przygadując z niewymownym uśmiechem: „A bodajś ty zdechł! I pomyślcie, pies, a taką żalność w człowieku budzi i takie rzeczy wyprawia. O, jak pełźnie. Tfu, nieczysta siła, skąd się tu wzięłeś?”

Szkoda gadać, rozumny i dobry był z niego pies. Korzystał u nas z wszelkich przywilejów psiego życia nie tylko dlatego, że był wiernym i czujnym stróżem. To był pies robotny. Lubił pomagać w gospodarstwie, wykonując z własnej inicjatywy wszelkie prace: nosił w zębach z ogrodu do sadu ogórki i składał na jedną kupkę, wypijał zbędne kurze jaja. Podrastał już jego syn, także Pirat, jeszcze młody, wesoły, sprytny psiak. Swą artystyczną naturą rozweselał cały zaułek. Lubił grać. Był można rzec psim artystą. Bawił się z cielętami, z prosiętami, bawił się z gołębiami i gęśmi, naszymi i cudzymi. Niekiedy we dwóch ze swym ojcem, poddając się wysokiemu psiemu natchnieniu doigrawali się tego, że zabawa kończyła się kalectwem lub śmiercią ich partnerów i wówczas obaj artyści albo uciekali gdzie oczy poniosą, albo chowali się szybko w tytoń, żeby przeczekać tam czas

ostrej reakcji na ich psoty, dopóki ludzie nie pozbierali pierza i nie zjedli smażonej ofiary psiego arcyzmu. Matka zapewniała, że kiedyśmy tak zjadali w sadzie kurę, obydwaj Piraci patrzyli na nas z tytoniu i po psiemu śmieli się z nas.

— Ha, bodajście zdechli! — gromił nagle dziadek strasznym głosem, rzucając w artystów kością. Oszkalowani artyści rzucali się do ucieczki, łamiąc tytoń. Żeby nogi połamali!

No i płacze się coś takiego po głowie. Nie wspomnienia, a licho wie co. Może przejść teraz do koni?

Tak, no więc o koniach...

Wydawało mi się, że konie i krowy coś wiedzą, znają jakąś niedobrą tajemnicę, ale nikomu jej nie zdradzą. Odczuwałem ich niewolniczą ciemną duszę i przez nie wierzyłem we wróżby, zwłaszcza w nocy, kiedy wszystko żyło odrębnym, różnym od zwykłego życiem. Rozmaite bywały u nas konie, bo ojciec często wymieniał je na jarmarku. Były konie chytre i złe, były też nieszczęśliwe, obrażone, chłopskie końskie dusze. Były konie zastraszone i były zawzięte, były zawsze czymś zafrasowane i byli zaczarowani na wieki końscy grzesznicy. Miały swój własny, różny od naszego świat. I zawsze były uciemnione, skazane na swój los nieodwołalnie i na wieki. Widoczne to było zwłaszcza po zachodzie słońca, kiedy wpatrywało się z bliska długo w wielkie, ciemne końskie oko.

Jeden nasz koń nazywał się Muraj, drugi zaś Tiahnybida. Obydwa były stare, chuderlawe, brzydkie. Już nie pamiętam, a zresztą chyba nikt nawet nie wiedział, jakiej były maści. Sparszywiały i tak czochrały się o co się tylko dało, że wszędzie sypały się z nich parchy. Gdzie tylko spojrzeć, na podwórzu, w stajni, na wszystkich belkach i kołkach, widniały ślady ich czochrania, jakby całe gospodarstwo było w parchach. Dlatego też ani w życiu, ani w literaturze nie było chłopczyka, któ-

ry by tak marzył o urodzie koni, jak ja, i tak się wstydził ich zawinionej przez człowieka brzydoty i nędzy.

Muraj był już bardzo stary i bardzo smutny. Tiahnybida, młodszy, rozumniejszy i lepszy od Muraja, miał nadwerżone ścięgna u nóg i dlatego, gdy pasł się czasem na błotnistej łące, nogi mu drętwiały i padał w błoto z kępkami trawy i musiał tam leżeć do rana, bo konie nie potrafią przecież wzywać pomocy. I dopiero rano, kiedy już zbudziliśmy się pod siermięgami i świtkami, wyciągaliśmy go z błota za ogon, jak ichtiozaura. Nie protestował i patrzył na nas, małych, z wdzięcznością i — jak nam się zdawało — z miłością. Kochałem go za jego nieszczęśliwą dolę i za rozum. Był to mądry i dobry koń, nie było jednak w nim absolutnie nic, ale to nawet jednej kropelki, heroicznego czy malowniczego, czy też tego, co śpiewają o koniach w pieśniach i kolędach. Tylko nie dopatrujcie się w tym żadnej aluzji.

Ach, jakie mieliśmy wspaniałe konie! Kiedy je wspominam, dotąd mi i żal, i wstyd, chociaż upłynęło już pół wieku. Ciężko im się u nas żyło. Roboty dużo, obrok marny, uprząż wytarta, żadnego uważania. Ojciec często złościł się na nie i krzyczał, i kłął, i bił je czym popadło, ciężko oddychając i blednąc z gniewu.

Pewnego razu nad Desną, w nocy, leżąc na sianie i patrząc w gwiazdy podsłuchałem, jak po całodziennej ciężkiej pracy pasące się konie rozmawiały między sobą.

— Dlaczego on taki zły, nie wiesz?

— Nie wiem. Tak się naciągałem, że ledwie stoję na nogach.

— A myślisz, że ja coś wiem? Też nic. Znam tylko chomąto, hołoble i bat. I chyba jeszcze tylko jego wymyślanie.

— Znam i ja to jego wymyślanie. Nasłuchałem się go dość. Tak mi jakoś smutno i źle.



— Mnie też smutno. Kiedyś latałem nad chmurami. — Tiahnybida wyciągnął szyję i spojrział na Desnę. — Tysiące lat temu, jeszcze zanim nastąpiły orki i wozy, na moim grzbiecie jeździli prorocy. Miałem wtedy jeszcze skrzydła. A mój praszczur był końskim carem czy bogiem, kiedyś matka mi o tym opowiadała.

— Ja też miałem skrzydła, ale nie mam. Ani skrzydeł, ani urody tylko wrzody na grzbiecie. Żeby zrobić chociaż porządne siodło, siodła też nie ma. Jego złość przygniata mnie, a w dodatku, czy uwierzysz, nie wiem, jak ciebie, ale nie ma dnia, żeby mnie nie bił. I co z tego? Padam z nóg.

— To prawda. Tylko że on nie nas bije...

— Gadaj zdrów. Nie nas... Ale boli nas?

— On, koniku, bije swoją dolę. Jesteśmy chudzi, sparszywiali i siły mamy mało, ot co. A on ma naturę dawnych bohaterów, czyż potrzebni mu są tacy jak my? Wczoraj, kiedy utknąłem z wozem w kałuży i on chłostał mnie batem, i kopał, i ryczał jak lew, dostrzegłem w jego oczach takie bezgraniczne cierpienie, że gdzie tam do niego naszemu! I pomyślałem wtedy: i ty też cierpisz ból, przeklęty, biedny człowiecze.

— Cicho. Paśmy się w milczeniu. Jego chłopiec patrzy — rzekł Muraj, dostrzegłszy mnie pod kopą.

Od tego czasu nigdy już nie uderzyłem konia ani razu.

— Pozwólcie z kołędą! — słyszę dziewczęcy głos z podwórza. Patrzą w okno: to nie księżyc w pełni z gwiazdzistego nieba świeci w chatę przed Nowym Rokiem. W małym okienku, akurat naprzeciw pieca, różowieje na mrozie dziewczęca buzia.

— Można pokoleďować? — jeszcze raz pyta ktoś pod oknem.

— Śpiewajcie! — odpowiada głośno matka.

— Dla kogo?

— Dla Saszki.

Zuch Saszko po targu chodził  
hej, kolęda, kolęda...

Zaśpiewały aż cztery dziewczyny i nie wiadomo, czy to spowodował mróz, czy te dziewczęta i słowa kolędy w zimowy wieczór, że rozdzwoniła się ta pieśń i potężniała i było tak jakoś podniosłe i uroczyste, iż mnie, małemu, dech zaparło. Przytuliłem się przy oknie pod ręcznikami do ściany, żeby dziewczęta mnie nie zauważyły, i cały zamieniam się w słuch. I wówczas one długo i powoli, jakby leciały w bezmierną dal czasu, na siedemset może lat, wyśpiewują mi mój los. A ja, wsłuchując się w urzekające słowa kolędy, zaczynam żyć życiem jej bohatera: już jako dorosły młodzieniec chodzę po targu z koniem wśród kramarzy i kupców. I gdzieś muszę tego konia sprzedać, bo mój alter ego z kolędy śpiewa tak:

Oj, mój koniu, mój doradco,  
hej, kolęda, kolęda,  
co za ciebie mi zapłacą?  
Hej, kolęda, kolęda...

Oj, mój koniu, mój obrońco,  
hej, kolęda, kolęda,  
sprzedać cię za sto czerwońców?  
Hej, kolęda, kolęda...

A koń jak malowanie, szyja jak toczona, w grzywie czerwona wstążka, wyśpiewuje mi na ucho, żeby go nie sprzedawać i myśleć o sobie. Czuję koło ucha jego delikatne, miękkie wargi i słyszę śpiewane przez dziewczęta słowa konia, których nigdy nie zapomnę:

Czy jeszcze Saszko pamiętasz,  
hej, kolęda, kolęda,  
jak deptali nam po piętach,  
hej, kolęda, kolęda,  
Turcy razem z Tatarami,  
hej, kolęda, kolęda,  
szli rzekami i stepami,

hej, kolęda, kolęda,  
aż nas w końcu doganiają,  
hej, kolęda, kolęda,  
na stromym brzegu Dunaju,  
hej, kolęda, kolęda...

I co ja mam teraz począć? Już wraże konie rżą na Dunaju i wraże strzały wygwizdują mi nieszczęście. I wtedy, rozwarłszy szeroko oczy, czuję, że jakaś siła podnosi mnie z ławy i niesie z chaty prosto do konia. I wówczas koń mój skoczył —

Szeroki Dunaj przeskoczył,  
hej, kolęda, kolęda,  
nawet kopyt nie zamoczył,  
hej, kolęda, kolęda,  
i ani mnie, ani szabli,  
hej, kolęda, kolęda,  
bisurmanów wzięli diabli!  
Hej, kolęda, kolęda!...

Wracam z Dunaju do chaty, patrzę, a tu matka też śpiewa, kołysząc kołyskę; i jest w jej wyglądzie i w jej śpiewaniu coś niezwykłego, jakby sama płynęła gdzieś w przestrzeniach swego serca i jakby dziewczęta, stojące pod oknem na mrozie, śpiewały pod samym gwiazdzistym niebem. O, jak pięknie! A Dunaj jaki szeroki i głęboki! Woda zimna aż syczy. A po tamtej stronie rzeki Turcy i Tatarzy wściekają się, że tak wielu ich podeptałem koniem.

A potem przyszły inne dziewczęta z kolędą i po nich jeszcze inne. Czego też nie nasłuchałem się o sobie! Było tam o tym, jak z dużymi ciągnę wojskami, aż drży ziemia pod stopami, i o tym, żem pobił wroga w obcych grodach i że orałem pole szarymi orłami, i obsiewałem ziemię drobnymi perłami, i mościłem mosty zawsze tarcicowe, i ścieliłem kilimy zawsze kolorowe, i smałem choleweczki do królewskiej dziewczeczki, małem się z nią majem za modrym Dunajem. I jechałem lasami — lasy szumiały. I jechałem mostami — mosty dźwięczały.

A kiedy jechał przez grody,  
hej, kołęda, kołęda,  
witali go chlebem, wodą,  
hej, kołęda, kołęda...

A potem zupełnie już sennego przenosili mnie na piec. Tam zasypiałem na życie wśród kolęd, obejmując mocno za szyję swego konia jak malowanie... I dawałem wtedy sobie słowo, że nigdy go nie sprzedam za żadne skarby. I nie sprzedałem go po dziś dzień. Oj, koniu mój, koniu, nie sprzedam ciebie. Żeby mi było nawet bardzo ciężko, żeby nawet Turcy i Tatarzy obścapiли mnie na targu, nie rozstanę się z tobą za żadną cenę.

Oto jakie były u nas konie.

Minęły sianokosy, a po nich żniwa. Dojrzały gruszki i jabłka na Przemienienie Pańskie. Maliny i wiśnie już dawno zniknęły. Uszyli mi nowe spodnie z długimi nogawkami i zaprowadzili do szkoły.

Nauczyciel Łeontij Sozynowicz Opanasenko, stary już, nerwowy złośnik, miał złote guziki i fontaż pod szyją. Wydawał mi się wielkim panem, nie mniejszym od naczelnika policji czy sędziego. Był wyższy od ojca, co również dodawało mu groźnej siły.

— *Eto twój?* \* — spytał ojca, zerknąwszy na mnie zza okularów zmęczonymi oczyma.

— Tak, z przeproszeniem, to mój chłopiec czy, jakby to powiedzieć, najmłodsze dziecko — odpowiedział ojciec cichym, obcym głosem, łagodnym jak w cerkwi.

— *A kak zowut?*

— Saszko.

— *Tiebia nie sprasziwaju. Puskaj sam otwie-*

---

\* To twój? A jak się nazywa? Nie pytałem ciebie, niech on sam odpowie. No jak? A jak się nazywa twój ojciec? Wiem, że tato, ale jak się nazywa? Niedorożwinięty.

tit — odpowiedział nauczyciel tonem śledczego i znowu przeszył mnie swymi szarymi oczyma.

Milczałem. Nawet ojciec był jakby przestraszony.

— Nu?

Wczepiłem się jedną ręką w ojcowe spodnie, drugą zaś miałem czapkę i bardzo chciałem powiedzieć swoje imię, ale nie mogłem wydobyć głosu. W ustach mi zaschło.

— Nu *kak*? — nachmurzył się nauczyciel.

— Saszko — wyszeptalem.

— *Aleksandr!* — huknął nauczyciel i spojrzał z niezadowoleniem na ojca. Potem przeniósł na mnie spojrzenie i zadał mi najbardziej bezmyślne i najgłupsze pytanie, jakie kiedykolwiek mógł wymyślić ludowy nauczyciel. — *A kak zowut twojego otca?*

— Tato.

— *Znaju, czto bat'ko, Zowut kak?!*

No i co wy na to powiecie? Spojrzeliśmy z ojcem na siebie i nie mieliśmy już wątpliwości, że nasza sprawa jest przegrana. Jednak ojciec miał jeszcze odrobinę nadziei.

— No, powiedz, synku, jak się nazywam. Powiedz, nie bój się, no!

Zaprzeciłem rozpaczliwie głową i odwróciłem się tak gwałtownie, że byłbym upadł, gdybym nie trzymał się ręką ojcowych spodni. Zaczęło mnie nudzić, poczułem się bardzo niedobrze.

— No mówże, nie wierć się. Czemu milczysz, co? — ojciec chciał mi podpowiedzieć swoje imię, ale chyba też się zawstydził. — Nie powie, dopraszam się łaski, mały jeszcze, wstydzi się.

— *Nie razwitoj* — zakonkludował niemądry nauczyciel.

Musieliśmy z ojcem odejść.

Było to w odległych, starych czasach, kiedy nie mieliśmy jeszcze zdrowego rozumu. Nie wiedziałem wówczas, że wszystko przechodzi, wszystko prze-

mija, odchodzi w niepamięć i gubi się w nieustannej zmianie godzin, że wszystkie nasze przygody i uczynki przepływają jak woda między brzegami czasu.

Ale czy nie za bardzo gloryfikuję swoich starych koni i wsi, i swej starej chaty? Czy nie mylę się w swoich wspomnieniach i uczuciach?

Nie. Nie jestem zwolennikiem ani starej wsi, ani starych ludzi, ani żadnej starzyzny w ogóle. Jestem synem swego czasu i cały należę do swej współczesności. I jeśli zwracam się niekiedy do krynicy, z której piłem niegdyś wodę, i do mojej białej przyjaznej chaty i przesyłam im w daleką przeszłość swoje błogosławieństwo, to dopuszczam się tylko tej „pomyłki”, jaką popełniają i zawsze będą popełniać, dopóki istnieć będzie świat, serca bijące żywym rytmem swego ludu wszystkich epok i narodów, kiedy zanurzają się w zaczarowanym, niezapomnianym świecie swego dzieciństwa. Świat objawia się przed jasnymi oczami pierwszych lat poznania, wszystkie odczucia bytu zestrzajają się w nieśmiertelną harmonię, głęboko ludzką i bezcenną. Smutno jest człowiekowi, kiedy wysycha i ślepnie wyobraźnia, kiedy zwracając się do najdroższych źródeł dzieciństwa i młodości nie widzi w nich nic drogiego, niezwykłego, nic go nie grzeje, nie budzi radości ani ludzkiej smętnej zadumy. Bezbarwny jest taki człowiek, niezależnie od tego, czym się zajmuje, i bezbarwna jest jego praca, nie ogrzana ciepłymi promieniami czasu.

Współczesność jest zawsze na drodze z przeszłości w przyszłość. Dlaczego mam lekceważyć miniony czas? Czy dlatego, żeby nauczyć wnuków nie nawidzieć drogiej mi kiedyś i świętej mojej współczesności? Ich terażniejsza współczesność też kiedyś stanie się dla nich przeszłością w wielkiej dobie komunizmu!

W minionym życiu moich rodziców było wiele płaczu, ciemnoty i żalu. Niejasne nadzieje i darem-

ne oczekiwania znajdowały swój grób w wódce i w kłótniach. I to, czego im los podarował najwięcej, to praca, ciężka praca. Każdy przeżył swój czas nieszczęśliwie, każdy po swojemu — i pradziad, i dziad, i ojciec z matką. Tak, niby wszyscy urodzili się dla miłości i niby wszyscy mieli szanse ją przeżyć. Ale zapewne nie odnaleźli się wzajemnie lub nie dostrzegli, a gniew i nienawiść, jakie były im wstrętne przez całe życie, podrzuciła im zła wróżka, i przez całe życie niepokoiły ich i niepotrzebnie komplikowały je złudne przywidzenia. I całe ich życie było pełne trudów i trosk, jak życie ludzi pierwotnych. Nie wiedzieli, jak je zmienić, i oddając przewagę temu, czego nie przysądził im ich czas, nie mogli się nim nacieszyć.

Tylko było to tak dawno, że niemal wszystko utonęło we mgle odległego czasu, jak sen. W zmęczonej wyobraźni jedna tylko Desna pozostała niezniszczalna. Święta, czysta rzeka moich niezapomnianych dziecięcych lat i marzeń.

Nie ma już dziś takich rzek, jaką ty byłaś kiedyś, Desno, nie ma. Nie ma już żadnych tajemnic na rzekach ani spokoju. Wszędzie i wszystko jasno. Nie ma ni Boga, ni czarta, i jednak żal mi, że nie ma w rzekach rusałek i młynarzy z wodnych młynów. Ale za to wielu letników kąpie się teraz w kąpielówkach, robiąc złą krew ludziom i budząc w nich gorycz, zwłaszcza w gorący letni czas; i chyba dlatego tak mi wstyd odpoczywać tam, gdzie ludzie pracują.

Wtedy jeszcze Desna była rzeką głęboką i bystrą. Nikt się wówczas jeszcze w niej nie kąpał i chyba nikt też nie rozwałił się goły na jej piaskach. Nie było wtedy możliwości. Ciężko pracowaliśmy lub byliśmy jeszcze dziećmi. Dziewczęta nie kąpały się nawet w święto, wstydząc się zdjąć koszulę. Mężczyznom z dawien dawna zgodnie z obyczajem nie uchodziło kąpać się. A kobiety obawiały się, żeby nie zmyć wodą zdrowia. Kąпалиśmy się

tylko my, mali. Desna była wtedy jeszcze panną, a ja — zdziwionym małym chłopczykiem z szeroko otwartymi zielonymi oczami.

Błogosławiona bądź, moja nietknięta dziewico Desno; ile razy cię wspominałem przez te wszystkie lata, zawsze stawałem się jakiś lepszy, bogatszy i bardziej szczodry. Tak bardzo mnie obdarowałaś na całe życie.

Daleka moja, piękna! Jestem szczęśliwy, że urodziłem się na twoim brzegu, że piłem w niezapomnianych latach twoją miękką, niebieską wodę, chodziłem boso po twoich baśniowych nasypach, słuchałem rybackich gadek na twoich czólnach i opowieści starych ludzi o starych czasach, że liczyłem w tobie gwiazdy na rozbudzonym niebie, że i dotąd, patrząc niekiedy w dół, nie utraciłem szczęścia widzenia tych gwiazd nawet w codziennych kałużach na drogach życia.

1954—1955





# SPIS TREŚCI

<i>Stefan Kozak</i> Aleksander Dowżenko . . . . .	5
Autobiografia . . . . .	15
Arsenał . . . . .	38
Ziemia . . . . .	73
Opowieść płomiennych lat . . . . .	111
Poemat o morzu . . . . .	247
Zaczarowana Desna . . . . .	372



Redaktor:  
Elżbieta Kwaśniewska

Redaktor techniczny:  
Zbigniew Winiarski

Korektorzy:  
Krystyna Pisarzewska  
Lidia Wrzosek

*Dwa tysiące siedemset dwudziesta szósta  
publikacja LSW*

Wyd. I. Nakład 5000+305 egz.  
Pap. druk. m/gł. kl. IV, 70 g, 92×114 cm.  
Oddano do składania 15 III 1976 r.  
Podpisano do druku w czerwcu 1976 r.  
Druk ukończono w sierpniu 1976 r.  
Ark. wyd. 20,75; ark. druk. 27,5  
Olsztyńskie Zakłady Graficzne  
10-417 Olsztyn, ul. Towarowa 2  
Zam. 667/Z J-118/135  
Cena zł 42.—

